

PRZEGLĄD POLSKI.

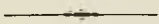
ROK XII.

Kwartał IV.

(Kwiecień, Maj, Czerwiec).

Ogólnego zbioru tom 48.

(Zeszyty od 142 do 144).



W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI Drukarni „CZASU”
pod zarządem J. Rakocińskiego.
1878.

WYKŁAD

POLSKI

WYKŁAD

WYKŁAD

(Kwiecień, maj, Czerwiec).

WYKŁAD

(Czerwiec do 14)

WYKŁAD

WYKŁAD

WYKŁAD

SPIS RZECZY

zawartych w tomie IV. rocznika XII.

	str.
Gustaw III i Katarzyna II. r. 1788, przez X. Waleryana Kalinkę	3
O pośmiertnych Komedjach Aleksandra Fredry (serya druga), przez Stanisława Tarnowskiego . . .	15
„Do reformy stosunków wiejskich.“ X. O przemyśle domowym (dokończenie) — XI. Izba rolnicza, przez Alfreda Szczepańskiego	41, 400
O. Angelo Secchi, jego żywot i prace, przez Stefana Pawlickiego	111
Bibliografia	144
Dodatek do „Przeglądu Polskiego.“ Listy Bogusława Radziwiłła, ze zbiorów W.hr. Pusłowskiego wydane przez Bernarda Kalickiego	1
Mapa podziału Turcyi.	
Zarząd rosyjski w Bułgarii. Uwagi i wspomnienia naoczne-go świadka, przez Eugeniusza Utina. — II. Z Tironowy do Kazanłyka. Przekład Ludwika Kozłowskiego	74, 220
Kiejstut, tragedia w pięciu aktach, przez Adama Asnyka	147, 346
Tragiccy Grecy, przez Wojciecha Dzierżyszyckiego	190, 312
Treściwy Dyaryusz głównych wydarzeń zaszłych w Rzymie, od dnia 7 do 20 lutego 1878, przez * *	260
Bar. Brüggena „Rozkład Polski“ przez Xawerego Liskego	299
Szkoły w Polsce i ubodzy uczniowie krakowscy w czasach najdawniejszych, przez Ks. Ignacego Polkowskiego .	412
Przegląd literacki, przez Bolesława Baranowskiego, Stanisława Tarnowskiego i Xawerego Liskiego	267, 299, 436
Psalterz Dawidowy, przekład <i>Kazimierza Bujnickiego.</i>	
Lilla Veneda, tłómaczenie Juliusza Mien.	
Przegląd polityczny, przez Aleksandra Szukiewicza	131, 284, 442
Seweryn Gałęzowski, przez K.	273
Leopold Kronenberg, przez Stanisława Tarnowskiego	279
Berlicz Sas (Juliusz hr. Strutyński)	283
Kronika żałobna	456
Nowe książki	294, 459

GUSTAW III i KATARZYNA II.

1788 ¹⁾.

W czasie, do którego niniejsze opowiadanie się odnosi, wybuchła na północy Polski nowa wojna. Wprawdzie, nie miała ona bezpośredniego związku z dziejami naszymi, niemniej jednak wpływ jej na umysły Polaków był widoczny i o tyle dopomogła do nowego uszykowania się stronnictw politycznych, o których z kolei mówić mamy. Przytem dostarczy może wielu szczegółów charakterystycznych do historyi tej epoki; słuszną więc, abyśmy przy niej zatrzymali się przez chwilę.

Nieodpowiednia zasobom państwa rola, jaką Szwedzi za czasów Gustawa Adolfa odegrali w Europie, bodźcem była dla wszystkich z kolei następców do awanturniczych na ląd stały wypraw. Trzech z kolei Karolów, którzy tron szwedzki po Gustawie i jego córce zajmowali, poszło torem głośnego w dziejach swego poprzednika, a wyprawy ich były długo w Szwecyi popularne. Naród szukał w nich chwały wojennej, której Szwed każdy wielce jest chciwy, a przytem, może i wpływu swej ludności, trudnej do wyżywienia w kraju zimnym, skalistym i ubogim; królowie dążyli do znaczenia w Europie a oraz do silniejszej na stałym lądzie dla swego państwa podstawy; wojskowi zaś, tak dobrze generałowie jak żołnierze, spieszyli po prostu na rabunek i łupy, któremi do dziś dnia szwedzkie zamki są przepełnione z Niemiec, Czech, Austrii i Polski ²⁾. Stuletnie słabego państwa wysilenia, które

¹⁾ Obacz *Przegląd Polski* z grudnia 1877, stycznia i lutego 1878.

²⁾ O ile Szwedzi radzi byli każdej wojnie z Polską i byleby ją na ziemi polskiej, ludnej i bogatej prowadzić, korzy-

za Karola XII przeszły wszelkie granice możliwości, skończyły się z dniem jego śmierci, materyalnem i moralnem

stali z każdego pretextu, o tyle Polacy leniwo, ze wstrętem się do niej brali. Pierwsi w każdym razie mieli coś w niej do zyskania, drudzy nic. Ciekawą pod tym względem wskazówkę znajdujemy w broszurze niemieckiej wydanej podczas najazdu Karola Gustawa na Polskę (Ambrosii Melilambii *Sendschreiben an einem vornehmen Cavallier betreffend die schwedische und polnische Waffen. 1657*). Szukając powodów, dla których Szwedzi wtargnęli do Polski, autor opowiada następną anekdotę:

„Einmal ritten etliche Kaufleute aus der Leipziger Messe. Als nun ein grosser Regen kam, stellten sie sich mit ihren Pferden unter einen grossen Eichenbaum und wollten warten bis der Regen fürüber gieng. Kurz hernach kam eine streifende Parthey und einer unter ihnen grüsste die Kaufleute und sagte: Glück zu Ihr Herrn, was macht Ihr da? Einer unter der Kaufleuten antwortete: Hier halten wir ein wenig bis das böse Wetter fürüber gehe. Was? sagt der Partheygänger; wollet Ihr Gotteswetter und Wind verachten? Ihr Gottlose Vögel, ihr Gotteslästerer; herunter von den Pferden, herunter, oder wir wollen euch schiessen; der Dampff soll euch dem Hals heraus gehen. Also muste der theure Name Gottes ein Deckel ihrer Rauberey seyen!...“

Dalej zaś tak mówi: „Als ich nun zu Dantzig in ein Wirdtshaus kam, da assen zween Pohlen und discurrirten mit einander von den *Induzien* die zwischen König Gustavo und König Sigismund gemacht wurden. Der eine sagte: „Wir haben einen Frieden gemacht der unser Cron nicht reputirlich ist.“ Der andere sagt: „Wir müssen sehen das wir desto grösser Ehre einlegen in einem Zug wider den Türcken. Bei diesem Krieg ist nichts zu erjagen. Dann bekommt ein Schwed einen Polen gefangen, so findet er bei ihm für zwey oder drey Mann Kleydung. Aber, wann du einen Schweden oder Teutschen gefangen bekommst, so hat der..... sohn das Wambs so zerschnitten dass du nichts daraus machen kanst.“

W każdym prawie szwedzkim zamku można się spotkać z jakąś pamiątką polską. Rabowano bez braku, nie tylko co kosztowne i pożyteczne, lecz co padło pod rękę. W bibliotece król. w Sztokholmie jest kilka lub kilkanaście woluminów — rachunków kuchennych z dworu Jana Kazimierza! W jednym zamku prywatnym pod Sztokholmem pokazują jako zaszczytną dla rodziny pamiątkę, kaplicę, w której ołtarz, krzyż, lichtarze, kazalnica, ławki, zgoła każdy

bankructwem kraju i wywołały reakcją równie przeciw wyprawom wojennym jak przeciw uciążliwemu despotyzmowi dwóch zwłaszcza ostatnich Karolów. Miejsce jedynowładztwa monarszego zajął najopłakańszy, najbezwstydniejszy nierząd oligarchii, któremu podobnego nigdzie, nawet w Polsce, za czasów saskich, nie było. Nowa władza państwa, złożona z pięciu despotów: marszałka, hetmana, admirała, kancлера i podskarbiego, pod nominalnem przewodnictwem królowej lub króla, jak zaczęła swe rządy od sprzedawania sąsiadom zdobytych lub dziedzicznych miast i prowincyj, tak sprzedawała się następnie państwom zagranicznym, dla których rząd szwedzki był, przez lat pięćdziesiąt z górą, przedmiotem ledwo nie publicznej licytacji. Dwa stronnictwa, jedno opłacane stale przez Francją, drugie przez Rosją, wydierały sobie władzę, tępiąc się i prześladując nawzajem; a taka była ich na siebie zawziętość, że kiedy jedno z nich będąc u rządu, wydawało wojnę któremu z sąsiadów, drugie nie omieszkiwało porozumiewać się z tymże sąsiadem i pomagać mu na szkodę nie tylko partyi przeciwnej ale i własnej ojczyzny. W porównaniu ze szwedzką, polska arystokracja w najgorszych nawet czasach, o wiele była szlachetniejszą i patriotyczniejszą. Polscy magnaci brali pieniądze od obcych, to prawda, lecz nie zawsze dla siebie, częściej dla stronnictwa i na wydatki publiczne, przytem nieraz i bardzo znacznie dokładali ze swojej szkatuły, kiedy szwedzkimi rzadko coś innego kierowało prócz prostej chciwości. Że w takich warunkach państwo szybko zdążyć musiało do upadku, to rzecz jasna, i były już gotowe na rozbiór Szwecyi układy między Rosją, Prusami i Danią. Ocaliła Szwecją przedsiębiorczość Gustawa, wierna pomoc Francyi i popularność dynastyi w niższych klasach narodu; ale te wszystkie środki ratunku w jednym źródło swe miały — w dzie-

sprzęt, pochodzą z innego miasta i z innego kościoła katolickiego na stałym łądzie. W bibliotece tegoż zamku widziałem kilka zwojów manuskryptów polskich z czasów Zygmunta III. które niewiedzieć poco zabrano, bo do nich żaden Szwed nie zajrzał. Zdaje się, że i archiwum królewskie z epoki Wazów porwali Szwedzi, chociaż większą część po drodze zmarnowali, i tylko urywki zostały; tak, n. p.

dziczności tronu. Jakkolwiek bezsilna i bardziej jeszcze od polskiej sponiewierana korona szwedzka, potrafiła ona jednak, dla tego tylko, że dziedziczna, i lud wiejski uwolnić i wojsko regularne utworzyć i stałe stronnictwo koło siebie skupić i związków tradycyjnych z obcymi dochować. Brak ludzi zastąpiła w Szwecyi instytucya, — której w Polsce nie było.

Od r. 1772, w którym udało się Gustawowi, odważnym i zręcznie dokonanym zamachem stanu, wyprowadzić władzę królewską z nicestwa, był między nim a Katarzyną antagonizm konieczny. Jeszcze za Iwana Groźnego, Moskwa, jak wiadomo, cisnęła się do brzegów bałtyckich; w sto lat później, gdy się wydobyła z rozstroju, o jaki ją przyprowadziły wojny polskie i zamieszki samozwańców, odnowiła swe zamiary. Ordyn Naszczokin podawał Alexemu Michałowiczowi plan zabrania wybrzeża szwedzkiego wraz z Finlandyą, a spółczesny mu patriarchy Nikon doradzał nawet wyprawę na Sztokholm jako dogodną i konieczną dla dopięcia tego celu. Połowę tego planu ziścił wiek XVIII; traktatem w Nysztadt, zyskała Rosya Inflanty, Estonią i Karelią (1721), traktatem w Abo południową część Finlandyi (1745); pozostawała do wzięcia druga połowa tej prowincyi. By i tę opanować, trzeba było jakim bądź kosztem utrzymywać w Szwecyi anarchią. Po roku 1772 o wiele stało się to trudniejszym. Świeży rozbiór Polski, pilniejsza baczność Europy i nieukończona jeszcze wojna turecka, nie dozwoliły Katarzynie reformę Gustawa wyrzucić; trzeba więc było co najmniej dawne zarody nierządu troskliwie pielęgnować i nie dopuścić, by odarta ze swych przywilejów arystokracya szwedzka pogodziła się z koroną. Jątrzyć umysły, powagę królewską osłabiać i wszelkiemu wzmocnieniu państwa przeszkadzać: ten był niezmienny program ambasadorów rosyjskich w Sztokholmie po roku 1772, tak dobrze Ostermana, jak Markowa i Razumowskiego. Koło nich skupiała się opozy-

w Archiwum państwa czytałem listy hetmana Zamoyskiego do króla z wyprawy jego na Wołoszczyznę. Upsalska biblioteka jeszcze dawniejsze ma polskie zabytki, prawdopodobnie przez Gustawa Adolfa z Prus zachodnich zabrane.

eya, od nich odbierała kierunek i zasiłki pieniężne, i nawet podczas sejmu, w ich pałacu, zbierała się jawnie na swe narady.

Zbyteczna dodawać, jak dalece niecierpliwiły Gustawa te nieustające w jego stolicy spiskowania posłów rosyjskich. Wszakże, już to z potrzeby oszczędzania przemożnego sąsiada, już też z wrodzonej lekkomyślności, której jako syn XVIII wieku niepoślednią miał dozę, długo w najserdeczniejszych zostawał on z Katarzyną stosunkach; po dwakroć ją nawiedzał, zawsze w najrafinowańszych grzecznościach i pełen rycerskiej niby galanteryi, chciwie nawzajem przyjmował pochlebstwa, które mu Katarzyna pełną garścią sypała. Lecz nie na samych tylko pochlebstwach kończyło się z jej strony. I Gustaw, jak wielu panujących w w. XVIII, chorował na Ludwika XIV; szczodłą ręką opłacał pisarzy, protegował sztuki, teatr, stawiał pałace choć bardzo niesmaczne; a że dochody były szczupłe, cierpiał więc niedostatek. Lubił podróżować a zawsze z okazałą świtą; w Friedrichshamm, gdzie w r. 1783 z Katarzyną się zjechał, wybierał się w podróż artystyczną do Włoch. Katarzyna ofiarowała mu na ten cel 200,000 rubli i prosiła go, by pałac ambasadora rosyjskiego w Neapolu za swój własny uważał, gdzie też podczas pobytu swego w tem mieście, jej kosztem, z wielką wystawą był podejmowany. — Rażące sprzeczności jego charakteru wywołały o nim najróżnorodniejsze sądy. Józef II, którego podczas podróży tej odwiedził, powiada, że to jest człowiek fałszywy, bez zasad, samochwalca i pyszałek niezdolny, z jakimś pokostem dowcipu i powierzchownych wiadomości. Leopoldowi w Toskanii wydał się mizantropem, który wszystkiego się obawiał, nikomu nie ufał, nawet najbliższemu; ze drżeniem odbierał listy ze swojego kraju a ciągle narzekał na Rosyą ¹⁾. Fryderyk II, choć był wujem jego, miał go za człowieka sprzedajnego, gotowego oddać się każdemu, co go więcej zapłaci. Takiegoż zdania byli ministrowie rosyjscy i tego mu tylko życzyli, aby swem postępowaniem tak się zohydził w opinii, iżby żaden dwór

¹⁾ *Joseph II und Leopold von Toscana. Korrespondenz herausg. v. Arneth. Wien 1872. I, 178 et seqq.*

europijski nie chciał mieć z nim do czynienia. — Inaczej sądzono go we Francji. Tam chwalono jego przezorność polityczną, doskonałe zrozumienie interesów swego kraju, gorący patriotyzm, odwagę i rezolucję zdumiewającą, zrećzność w przeprowadzeniu swych planów. — I jednemu i drugiemu portretowi nie można odmówić pewnego podobieństwa. Niezaprzeczenie człowiek to był wielkiej energii i niepospolitych zdolności, ale wiek w którym żył, otoczenie w którym dorósł, skazyły jego bogatą naturę. W braku zasad religijnych, interes kraju i własnej chwały jak ją pojmował, były dla niego najwyższem dobrem, przed którym wszystko powinno ustąpić; otoczony przewrotnymi ludźmi, zmuszony do skrytości, do dysymulacji, zbyt łatwo mijał się z prawdą, słowa danego nie ważył, a próżnością bez granic najpięniejszym czynem swoim ujmował powagi. Przy tem wszystkiem było w jego usposobieniu coś rycerskiego, ale bardziej jeszcze na rycerza pozować lubił; skory do przedsięwzięć zadziwiających, jeszcze skorszy do tego by go świat w nich podziwiał; wymowy porywającej, sam jeszcze bardziej nad nią się unosił i nią się upajał; z wysokiem uczuciem godności monarszej, z popędem do bohaterstwa w duszy, łączyła się niesmaczna fanfaronada i teatralność. W każdym dziele, które rozpoczynał, zaraz siebie samego oglądał, słowa swoje, czyny, nieraz i osobę do efektu zamierzonego przystrajał; tak że rzeczywista wartość jego wtedy się dopiero w całej prawdzie ukazywała, gdy postawiony w najwyższem niebezpieczeństwie i dla siebie i dla kraju, o sobie całkiem zapomnieć musiał. Wtedy, ale wtedy tylko, był on istotnie patriotą, monarchą i bohaterem, i tym kilku chwilom zawdzięcza on, że pomimo mnóstwa wad i śmieszności, pozostanie w historyi jako król, który dobrze swemu państwu się zasłużył. Zasługą zaś jego, przez którą Szwecyą uratował, jak głównem tłem życia, było odbudowanie władzy monarszej; zasługą tem większą, że ją życiem przypłacił.

Wojna turecka wydała się Gustawowi pożądaną od dawna porą do pomszczenia się na Rosyi, ubezpieczenia Finlandyi, odzyskania prowincyj straconych. Chociaż Francya odradzała mu najmocniej zerwanie z Rosyą, to jednak subsidia jej w ostatnich latach wypłacone dozwoliły mu armią

i flotę zaopatrzyć i przysposobić do wojny. Raporta jakie z Petersburga odbierał, przedstawiały Rosyą w nader trudnem położeniu, cała siła zbrojna ściągnięta na południe nie wystarczała do rozpoczęcia boju z Turkami; tem mniej mogło być mowy o jakimś ubezpieczeniu się od północy. Chwila więc była dla Szwecyi dogodną. Ale dwie przeszkody krępowały Gustawa. Konstytucya, którą sam nadał w r. 1772, zabraniała królowi zaczepnej wojny bez przyzwolenia Stanów; nigdy zaś nie można było spodziewać się, aby Izba szlachecka na taką wojnę z Rosyą przyzwoliła; Gustaw wszakże mniemał, i nie bez przyczyny, że byle mu się udało pobić Rosyą, to mieszczańska i chłopska Izba najchętniej go rozgrzeszą z takiego pogwałcenia konstytucyi. Druga przeszkoda zachodziła ze strony Danii, która związana była z Rosyą przymierzem odpornem. W początkach 1788 roku, Gustaw udał się do Kopenhagi aby ministeryum duńskie wciągnąć w swoje plany. Stanowczo odmowną otrzymał odpowiedź; co większa, duński następca tronu ostrzegał go że jeżeli Rosyą zaczepi, Dania będzie musiała jej pomóc. Ale i tę trudność król spodziewał się wyminąć. Wiedział z jaką niechęcią na wojnę turecką spoglądają Prusy i Anglia; stawiając się przeto jako obrońca i sprzymierzeniec Porty, liczył na poparcie tych dworów, o tyle przynajmniej, że Danią będą chciały powstrzymać. Przedsięwzięcie jak widzimy było niepewne, bardzo ryzykowne, wielkimi najeżone trudnościami, zwłaszcza gdy się zaczęło taką przeciwniczkę jak Katarzyna. Ale były przytem nadzieje szczęśliwego rezultatu; wszystko zależało od szybkiego zaczęcia i również energicznego prowadzenia sprawy.

W ciszy i z wielkim pośpiechem czyniono ostatnie przygotowania do wojny. W maju (1788) przeszło trzydzieści tysięcy wojska zebrano na granicach rosyjskiej Finlandyi i flota mogła już opuścić Karlskrone. Aby te rozporządzenia wojenne przed narodem i wojskiem wytkłomaczyć, Gustaw rozgłaszał że w sąsiednich prowincjach rosyjskich wielki panuje ruch wojska i że Rosya zamierza go napaść znienacka. Była to nieprawda, Katarzyna zbyt była rozumną, aby w takiej chwili Szwecyą zaczepiać; z resztą, gdyby nawet chciała, jej zasoby nie byłyby na to przyzwoliły. Gdy posłyszała

o odgrazaniach się Gustawa, rzekła do swego sekretarza: „Choć ręce mi świerzbią, aby palnąć Szweda, muszę być Fabiusem ¹⁾.“ Tem niezręcznem kłamstwem Gustaw dobrowolnie uwikłał się w trudności. Albo wojny nie należało rozpoczynać, albo wystąpić otwarcie jako mściciel Szwecyi. Państwo jak Rosya, które wciąż działało na szkodę swych sąsiadów i nawet w czasie pokoju nie przestawało szkodzić im podstępnie, nie miało prawa wymagać, aby względem niego przestrzegano ściśle litery traktatów. To też zrywając z niem, należało te podstępny wykazać, ogłosić, i w nich i w pa-tryotyzmie szwedzkim szukać powodów do wojny a nie dopuszczać się fałszu, którym Rosyi nikt jeszcze nie pobił i nie pobije, fałszu tem zgubniejszego, że zgoła nieprawdopodobnego. Nie należało ściągać na siebie pozeru, że naród własny chce się oszukać ani podawać w ręce Katarzyny niebezpiecznej broni, z której ona jak zobaczymy skorzystała po mistrzowsku. Posłowi swemu w Sztokholmie, hr. Rozumowskiemu kazała złożyć notę, w której zaprzeczając pogłoskom o jej zaczepnych zamiarach, zapytała nawzajem co znaczą groźne ze strony Szwecyi uzbrajania się; pytanie to postawiła tak dobrze ministerstwu jak *„tym wszystkim którzy mieli udział w szwedzkim rządzie“* i którzy przeto razem z królem mieli prawo decydować o wojnie (18 czerwca 1788 r.) Było to głośnie wyzwanie arystokracji szwedzkiej aby pilnowała swych praw, na które król następuje. Gustaw ujrzał w tej nocy obrazę dla siebie i chęć rozdwojenia go z narodem i kazał wyjechać ministrowi rosyjskiemu (d. 23 czerwca) a do Petersburga posłał ultimatum, ale tak groźne i śmieszne przesadnymi żądaniami, że, jak słusznie powiedziano, nawet Sułtan turecki nie poważyłby się stawiać podobnych swemu lennikowi. „Gustaw był upojony (mówi najnowszy jego historyk) widokiem swoich przyszłych zwycięstw. Zapowiedział głośnie, że wyróci posąg Piotra na placu Izaaka w Petersburgu, zaprosi damy swojego Dworu na bal do Peterhofu; w myśli widział się już zbawcą Turcyi, odnowicielem europejskiej równowagi i sam przyznawał, że

¹⁾ *Zapiski Chrapowickaho. Cztenia w istoricz. obczestwie Moskwa 1862.*

o tem marzy, jak chwała jego imienia rozechodzić się będzie po Azyi i po Afryce ¹⁾)." *Rubikon już przebyty*, zawołał, wyjeżdżając ze Sztokolmu z wielką ostentacją. Tymczasem przybywszy do Finlandyi i stanąwszy z wojskiem nad rzeczką Kymmene, z kąd tylko 30 mil było do Petersburga i dwie forteczki po drodze do wzięcia, zawahał się, finlandzkiego Rubikonu przejść nie śmiał. Od granicy rosyjskiej było głucho, żadnego śladu tych przygotowań wojennych, o których tyle z polecenia królewskiego mówiono. Gustaw strawił trzy tygodnie na czekaniu z wojskiem, pragnąc wywołać ze strony rosyjskiej jakąś zaczepkę. Napróżno; „ja go nie zaczepię, mawiała Katarzyna, a on się śmiesznością okryje; widocznie chce się pozbyć Finlandyi!“ Nie traciła też czasu. Znajdował się w jej służbie oficer finlandzki, baron Sprengporten, który posiadając dawniej zaufanie króla, często był przez niego używany; później wszedłszy do armii rosyjskiej, wraz z mundurem zmienił przekonania i ojczyznę, wydał w ręce Potemkina plany fortec szwedzkich i stał się dogodnym w ręku Katarzyny narzędziem do znoszenia się z finlandzką i szwedzką opozycją. Przygotowano zdradę w cichości. Gdy król odebrawszy wiadomość o bitwie morskiej pod wyspą Hogland (17 lipca) zaszczytnej dla Szwedów ale nie bardzo pomyślnej, dał wreszcie rozkaz przypuszczenia szturm do fortecy Fridrichshamm, pułkownicy finlandzcy odmówili posłuszeństwa pod pozorem, że plan ataku był źle przez króla obmyślany i że dział ciężkiego kalibru nie dostawało (3 sierpnia). Chciał król swoją wymową porwać żołnierzy do boju, ale tym razem wymowa jego zawiodła. Odstąpiono od oblężenia. Jenerał Arnfeld i trzech pułkownicy finlandzcy nie pytając króla, wysłali list do Katarzyny z propozycją zaprzestania kroków wojennych. Nic miłszego spotkać jej nie mogło. Odpowiedziała w sposób najuprzejmiejszy, że doskonale odróżnia postępowanie króla od narodu, że prosi pułki finlandzkie aby ustąpiły z jej państwa; bo co do szwedzkich, te siłą odpędzi. Zanim ta odpowiedź Imperatorowej nadeszła, oficerowie finlandzcy brnąc

¹⁾ A. Brückner. *Schweden und Russland 1788. — Historische Zeitschrift XXII, 367.*

dalej po swej drodze, podpisali w zamku Anjala (12 sierp.) *Akt związkowy*, którym ogłosili wojnę jako nieprawnie rozpoczętą, zaprosili szwedzką armią aby przystąpiła do zwiąsku i kończyli żądaniem zwołania sejmu. Na akcie podpisało się 12,000 związkowych. Wkrótce potem, a zawsze z pominięciem króla, zawieszenie broni z Rosyą zawarte zostało.

Tryumf Katarzyny był zupełny. Nigdy jeszcze nieprzyjaciół niebył tak głęboko upokorzony, przywiedziony do niemocy i okryty taką śmiesznością wobec własnego wojska, narodu i całej Europy jak był nim Gustaw w skutek haniebnej zdrady w Anjala. Już nie o zwycięstwo nad Moskwą chodziło ale o obronę od własnych poddanych. Zwołanie sejmu było nieuchronnem, a sejm właśnie zapowiadał szereg nowych upokorzeń: zburzenie dzieła dokonanego w r. 1772, może i konieczność abdykacyi. Z niewymownym uciskiem duszy powrócił Gustaw do Sztokholmu (wrzesień 1788); tam nowy spotkał go cios. Ten cios miał go dobić i ten uratował.

W moc traktatu, o którym wspomnieliśmy, zażądała Imperatorowa od Danii, aby na wspólnego uderzyła nieprzyjaciela. Ani flota ani armia duńska nie były gotowe: wszelako Dwór kopenhagski czyniąc zadość zobowiązaniom przymierza, wysłał wicekróla Norwegii, Karola ks. heskiego, aby z wojskiem norweskim ruszył na Szwecyą. W schyłkowej już już porze roku, przebywszy niedostępne prawie góry z dwunastoma tysiącami ludzi, książę heski stanął w początkach września pod Gotenburgiem i rozpoczął oblężenie tego miasta. Wiadomość o tem doszła króla, w chwili gdy do Sztokholmu przyjechał. Ten to grom właśnie, zamiast przynieść, podniósł duszę Gustawa. Co miał gotowego żołnierza pod ręką, wysłał czem prędzej na wzmocnienie załogi Gotenburga; sam udał się do Dalekarlii i odwołując się do patriotyzmu tej ludności, zawsze wiernej swoim królom, zyskał kilka tysięcy ochotnika; za jej przykładem poszły sąsiednie prowincye, i z siłą, którą z niewypowiedzianą zebrał szybkością, stanął Gustaw pod Gotenburgiem, jeszcze na czas by przeszkodzić poddaniu się miasta. Nie zaniedbał też szukać ratunku zagranicą. Poruszone jego niebezpieczeństwem Dwory pruski i angielski zagroziły królowi duń-

skiemu wojną, jeśli natychmiast nie każe swojej armii odstąpić od Gotenburga i Szwecyi nie opuści. W pierwszych dniach października, książę Karol podpisał zawieszenie broni; wkrótce potem rząd duński zobowiązał się Szwecyą zostawić w pokoju.

Minęło groźne niebezpieczeństwo; Gotenburg uratowany i kraj od jednego zasłoniiony nieprzyjaciela. Było to dziełem Gustawa, jego odwagi i wielkiej przedsiębiorczości, które w najtwardszej chwili, z całym zajaśniały blaskiem. Ta zasługa ujęła naród, zmieniło się usposobienie na korzyść króla, konspiratorowie z Anjala za przybyciem do Sztokholmu przyjęci z pogardą jako zdrajcy i jawni stronnicy nieprzyjaciela. Po stronie Gustawa stanęło teraz duchowieństwo, mieszczaństwo, lud, domagając się ukrócenia przywilejów arystokracji i odjęcia im możliwości szkodenia państwu. Wiedział o tej szczęśliwej dla siebie przemianie Gustaw i z Gotenburga zwołał sejm na miesiąc luty 1789. Zanosilo się na to, że związek w Anjala stać się może grobem dla politycznego znaczenia arystokracji szwedzkiej; wszakże nie dostrzegając niebezpieczeństwa, trwała ona w zaciętej opozycji przeciw projektom, które Gustaw nader zřęcznie na korzyść klas niższych podawał do sejmu. Niechęć i rozdrażnienie wzajemne wzrosły do tego stopnia, że trzy Izby niższe prosiły króla, aby użył środków, jakie uzna za stosowne, iżby ułatwić możność obrad i konkluzyj sejmowych. Tego też pragnął Gustaw, kazał uwięzić trzydziestu członków z Izby szlacheckiej i oddał pod sąd głównych przestępców z armii fińskiej; i po takich dopiero wstępnych krokach wniósł tak zwany „*Akt zjednoczenia i bezpieczeństwa*,” który przyznawał królom szwedzkim samowładny rząd w kraju, nieograniczone prawo wydawania wojny i zawierania pokoju, szafunek skarbu i pobór zwyczajnych podatków; sejmowi zaś pozostawił tylko przyzwolenie na podatki nadzwyczajne oraz decyzyą w projektach, które mu rząd przedstawi. Dla ujęcia klas niższych, Gustaw znosił przywilej zapewniający samej tylko szlachcie wyższe urzędy cywilne i wojskowe. Trzy Izby przyjęły te projekta z oklaskiem; czwarta to jest szlachecka stawiała opór dłużej miesiąca i nie inaczej jak przemocą można było wymusić na niej przyzwolenie.

Dokonawszy głównego dzieła, Gustaw sejm rozwiązał (w kwietniu 1789) i ze zwyciężonymi łagodnie postąpił; przywódców zeszłorocznego buntu, skazanych na śmierć ułaskawił, przemieniając ich karę na deportacyą, z wyjątkiem jednego któremu ścięto głowę.

Ubezpieczony w ten sposób wewnątrz kraju, Gustaw z końcem wiosny wyruszył napowrót do Finlandyi odnowić wojnę z Moskwą. Ale stan rzeczy już tutaj całkiem był zmieniony. Konspiratorowie z Anjala sami padli ofiarą swej zdrady ale Katarzynie ogromną oddali usługę; zyskała ośm miesięcy czasu na przygotowanie się do boju. W innych warunkach prowadzona, nie przyniosła odnowiona wojna tych korzyści, jakich w roku zeszłym można się było spodziewać. Przelano wiele krwi, zmarnowano wiele zasobów, rezultatu nie było żadnego. Będziemy mieli później sposobność wspomnienia o tych wypadkach; tymczasem powróćmy do spraw polskich.

X. Waleryan Kalinka C. R.

O POŚMIERTNYCH KOMEDYACH ALEKSANDRA FREDRY.

(SERYA DRUGA).

Zgodnie z ułożonym przed rokiem przeszło planem, ukazało się w ciągu ubiegłej zimy na scenach polskich znowu pięć nieznanych sztuk Aleksandra Fredry, druga serya jego pośmiertnych komedyj. Dziwna jakaś, a widoczna obojętność dla teatru, która jak nieraz słusznie powiedziano, zjawia się u nas co pewien odstęp czasu, a w tym roku grasuje podobno po wszystkich naszych miastach, przyczynić się musiała do tego, że o tych komedych nie wiele dotąd mówiono i pisano. Tak nie wiele, że kto nie mieszka w mieście i nie ma sposobności widzieć ich na scenie, może nawet samej ich osnowy nie znać dokładnie, jeżeli przypadkiem uszły jego uwagi sprawozdania ogłaszane w pismach codziennych zaraz po pierwszym każdej z tych komedyi przedstawieniu. Tem też wyraźniejszy może obowiązek, teraz kiedy już wszystkie pięć przeszły przez ogniową próbę sceny, pomówić o nich na nowo, przypomnieć je tym którzy znają, tym co nie znają opowiedzieć co w nich jest; jednym i drugim, i za nich, zaręczyć, że przypadkowa a daj Boże krótkotrwała niełaska publiczności na teatru, nie jest i nie może być obojętnością dla dzieł Aleksandra Fredry.

Środek tej drugiej grupy pośmiertnych komedyj zajmuje rozmiarami i rodzajem najpoważniejsza a wierszem do wyższej godności podniesiona *Wychowanka*: obok niej stają dwie trzyaktowe komedye prozą: *Godzien liłości* i *Ożenić się nie mogę*, a *Jestem zabójcą* i *Teraz*, małe sztuczki o jednym akcie symetrycznie zaokrąglają grupę.

Skoro rozmiarami i wierszem *Wychowanka* pierwsza zwraca na siebie uwagę, więc od niej zaczniemy.

Na komedye jest ona naszym zdaniem za smutna. Sytuacje są bolesne, intryga jest szeregiem intryg brzydkich, ludzie jedni są oburzająco nikczemni, drudzy prawdziwie nieszczęśliwi; więc choć w zakończeniu bohaterka idzie za mąż za jedyne go w całej sztuce porządnego człowieka, to tylko tem rozwiązaniem podobna jest do komedyi rzecz, która zakrawa raczej na domowy dramat, i to bardzo przykry. Ten ogólny charakter sztuki nie może oczywiście stanowić zarzutu, nie jest błędem: błędy znajdują się dopiero w szczegółach, ale te żeby wykazać, potrzebujemy pierwiej opowiedzieć treść sztuki, ostrzegając z góry, że nie wszystko co opowiemy, będzie zupełnie budującym. Nie nasza wina, treści zmienić nie możemy, musimy ją podać jak jest. A żeby ją osłaniać gazami najgrubszymi, najmniej przeźroczystymi, zawsze ona przeglądać będzie musiała.

Jest niewątpliwie materyał na powieść, na komedye, nawet na dramat, w położeniu młodej panienki, sieroty, bez majątku, wychowanej przez obcych. A niechże jeszcze zdarzą się takie dodatki, choćby tylko życie z ludźmi niezbyt dobrego serca lub wychowania, albo gorsze jeszcze zawikłania! Niech na przykład taka dziewczyna zakocha się w synu swojej opiekunki, ile wtedy łez ukrytych, jakie nieraz ciche, niewidzialne a bolesne dramata. Wiele ich było takich, które z takiego położenia wyszły, wyrwały się, idąc za mąż za pierwszego lepszego, byle wyjść z domu w którym zostać było zbyt boleśnie, ile do śmierci nosiło w sercu krwawe ślady rozdzierającego a tłumionego cierpienia! Kronika życia towarzyskiego mogłaby w każdym prawie pokoleniu wskazać takie przykłady. Nic więc dziwnego, że pisarz dramatyczny zwrócił uwagę na to położenie, i chciał różne wy-

nikające z niego zajścia i cierpienia pokazać z całem współczuciem jakie im się słusznie należy.

Ta *Wychowanka* wszakże nie jest biedną dziewczyną. Sama nie ma nic, ale opiekun pan Morderski robi ją dzieidczką całego swego majątku i swata ze swoim synowcem. Przecież nie mniej jest nieszczęśliwą od tych, co bez posagu od przypadku chyba wyglądają męża i losu. Strojona i wyposażona, przez wdzięczność dla opiekuna ma za swój obowiązek pójść za jego synowca, którego ani kochać ani nawet lubić nie może, który ze swojej strony chce się z nią żenić tylko dla posagu, a w osobie swojej opiekunki ma srogą pod słodkimi pozorami nieprzyjaciółkę, która majątku i konkurenta jej pragnie dla swojej siostrzenicy. I te dwie kobiety nie dość że jej dokuczają i przesładują nieustannie i nielitościwie, jeszcze przez kłamstwo i intrygę rzucają takie na nią posądzienia, że biedna dziewczyna prawie zhańbiona ma do wyboru albo wyjść z domu jako żona śmieszego i głupiego sługi, albo wyjść z niego nietylko bez grosza i sposobu do życia, ale bez dobrego imienia. Szczęściem w ostatniej chwili znajduje się dla niej nadspodziewane i nadspodziewanie świetne wyjście z tych smutnych i niegodnych zawikłań.

Oto jej historia, którą żeby lepiej zrozumieć, trzeba się cofnąć opowiadaniem o lat kilkanaście w tył. W lesie pana Moderskiego był leśny, który się nazywał Hryńko Bajduła: miał żonę Martę, która była bardzo ładna i podobiała się panu dziedzicowi. A kiedy w chacie Bajdułów przyszła na świat córka, pan Morderski wziął ją na wychowanie do domu.

„Umyta, ostrzyżona, do piekarni wzięta
„Zrazu boso w koszulce pasła gąsięta.
„Potem już w gorseciku szła do garderoby,
„Wkrótce Pani ją wzięła do swojej osoby.
„Później ją na spaceru brano dla posługi,
„W końcu i do salonu weszła raz i drugi,
„I nareszcie od łyżeczki Panie do rzemyczka
„Będzie z niej wielka Pani, Złotogór dziedziczka.“

A w tym postępie od koszulki i bosych nóg do kosztownych modnych sukien, od piekarni do salonu, ile zniosła upokorzeń, ile grubijaństw od służby która jej tego wyniesienia darować nie może, ile gorzkich przymówek i ostrych pocisków od Pani i jej siostrzenicy Pauliny, to tylko Bóg jeden wie, a ona druga.

Dopóki nie dorosła, było jeszcze pół biedy. Ale odkąd jest panną na wydaniu, a pan Morderski ułożył sobie wydać ją za synowca Piotra, zaczęło się dopiero piekło prawdziwe. Naprzód, iść za pana Piotra nie miała najmniejszej ochoty, bo był głupi, ciężki, nieokrzesany, bez jednej w całej swojej osobie zalety, a odmówić nie śmiała, bo z jej ręką tylko majątek opiekuna miał się dostać temu, kto miał do niego najbliższe prawo. A nadto jeszcze, pani Morderska bezdzielną, liczyła jak na cztery tuzy na to, że i majątek i synowiec męża dostanie się jej siostrzenicy: jednak choć nad mężem panowała samowładnie, w tem jednym na swoim postawić nie mogła. Ztąd złość do *Wychowanki*, ztąd niezliczone drobne zemsty, ztąd wreszcie różne a coraz brzydsze sposoby pozbawienia jej łask opiekuna i zerwania jej ułożonego już małżeństwa.

Pierwszy sposób jest taki: Pan Piotr ma swoje szlacheczkie przesady, a jeszcze więcej ma ich jego matka. Oboje wzdrygają się na myśl koligacyi z *Wychowanką*, i tylko stanowcze oświadczenie pana Morderskiego, że bez panny nie da im ani grosza, skłoniło ich do proszenia o rękę Zofii. Ale cóż się stanie dopiero, czy te przesady nie doprowadzą ich do ostateczności, jak się dowiedzą, że ojciec Zofii (bo matka już dawno umarła) żyje, że córkę odwiedza? czy wtedy pan Piotr nie zerwie? czy nie będzie wołał wyrzec się wszystkiego jak przed całym światem przyznać się do teścia chłopa? Hryńko przytem, zaprzeczyć się to nie da, byłby teściem bardzo nieprzyjemnym. Pijak, wór dziurawy, który z córki wyciąga wszystko co tylko biedna dziewczyna mieć może.

„powinienby siedzieć gdzieś za kratą

„bo zdawien dawna pilnie zasługiwał na to“.

Nie sam tylko pan Piotr skrzywiłby się na takiego te-

ścia. Pan Morderski zatem boi się, że Hryńko wszystkie jego układy zniweczy, zwłaszcza, że już im sprzeciwiać się zaczął. Domyślił się on zaraz że zameżcie córki może być dla niego nieprzebraną kopalnią zysków, że i córkę, i przyszłego zięcia, i opiekuna będzie mógł skubać na różne sposoby, i ledwo wyszły zapowiedzi „beziemiennej wychowanki pana Morderskiego“, on swoją ojcowską władzą zaprotestował:

„że małżonków Bajdułów Zosia córka prawa,
„że bez ojca jej za mąż wydać nie mam prawa“,

a jak się ten protest i ten ojciec przed światem odkryje, za nic nadzieje i układy Morderskiego.

Musi on więc koniecznie złapać Hryńka, który się umyślnie kryje, wpadł jak kamień w wodę, złapawszy zamknąć go w kozie, nastraszyć, a wtedy

„Zrobić pewną zgodę,
„Aby mi raz na zawsze praw swoich ustąpił.
„Jak się dobrze wytrzeźwi, a lepiej wygłodzi,
„Na dobrowolny układ może się i zgodzi.
„Może jak pomiarkuje, że idzie o skórę,
„Zrzeknie się córki, pójdzie za dziesiątą górę“.

Zgodnie z tem wyrachowaniem więc poleca pan Morderski swojemu dominikalnemu mandataryuszowi czy aktuaryuszowi (wtedy jeszcze były dominia), panu Narcyzowi, żeby Hryńka wyszukał, żywego czy umarłego to jest trzeźwego czy pijanego do dominium dostawił, i pod osobistą odpowiedzialnością trzymał w areszcie do dalszych rozkazów.

Ale na tym samym Hryńku spoczęły także wszystkie nadzieje i plany pani Morderskiej. Mężowi zależy na tem, żeby go schować przed całym światem; jej znowu potrzebna wolność Hryńka. Ona chce, żeby dziś właśnie, w dniu zaręczyn, wśród balu, wśród gości, zjawił się ojciec narzeczonej, a narzeczoney wtedy z gniewem i wstydem rzuci jej pierścioneł, który może Paulina zręcznie podnieść zdoła.

Hryńko tymczasem, ścigany tak w różnych celach przez Pana i Panią, ostrożnie, cicho, wkrada się do ich domu, i niespodzianie staje przed swoją córką. Chce pieniędzy, dużo pieniędzy, dwadzieścia talarów, bo mu potrzeba na drogę.

Musi iść daleko, bo tu zostać niebezpiecznie: szukają go, chcą zamknąć, gdyby miał o czem poszedłby w świat i nigdy nie wrócił — „słowo honoru!“ Zabiera Zofii co tylko miała pieniędzy, zabiera jej pierścionki, ale to wszystko nie dosyć, żąda więcej. Córka, mając za swój obowiązek ratować go od więzienia, a nie mając już nic, daje staremu słudze Szymonowi swój zegarek, żeby go zastawił, a pieniądze jakie ztąd dostanie odda ojcu dziś w nocy, podczas balu, na umówionem miejscu w ogrodzie.

Dotąd akt pierwszy.

W drugim bal po zaręczynach. Pani Morderska już myśli że wygrała sprawę. Przez swego zaufanego służącego Michała udało jej się Hryńka wyszukać, ukryć w ogrodzie, i namówić żeby w stanowczej chwili, podczas kolacyi, przyszedł błogosławić córkę. Niestety cały ten spisek układał się w obecności Szymona, także służącego, który znowu jest powiernikiem i protektorem Zofii. Ten jest bardzo stary, zdziecinniały, zdaje się że ma niespełna w głowie, dla tego nikt na niego nie zważa ani się go wystrzega. Przecież rozumiał, że chcą Hryńka puścić między gości, rozumiał że to czemś złem grozi jego panience i jednym słowem pokrzyżował szyki nieprzyjaciółom. Panu Narcyzowi mandataryuszowi szepnął, że Hryńko leży przy fórtce w ogrodzie, a pan mandataryusz, któremu Morderski kazał pod karą śmierci niebezpiecznego włóczęgę ująć i uwięzić, w tej samej chwili poszedł, ujął, i uwięził. Od swego Michała znowu dowiaduje się pani Morderska, że jej plan na ten raz spełził na niczem. Wprawdzie próbuje go jeszcze ratować Paulina, woła Zosię, donosi jej że ojciec okuty w łańcuchy jęczy w podziemnym lochu, tłumaczy że obowiązek córki każe jej natychmiast paść do nóg opiekunowi, i prosić za ojcem, ale Zosia ostrzeżona nieznacznie przez Szymona że to jakaś zdrada, odkłada ten dobry uczynek na później. Przykazuje mu tylko żeby zaraz po balu oddał jej pieniądze za zastawiony zegarek, a z temi pieniędzmi ona pójdzie do aresztu, uwolni ojca i wyprawi go w świat. Tym sposobem zaręczyny doszły szczęśliwie do skutku, a Paulina na całą pociechę pozwala sobie tej małej zemsty, że kiedy pan Piotr już dobrze pijany z kieliszkiem w ręku wykrzykuje „niech żyje

moja żona“! ona kończy ten toast wrzeszcząc mu w samo ucho „*Zoska Bajdulicha*“!

Potem pan Morderski, szczęśliwy i spokojny, bo Hryńka ma już w swojej mocy, wyjeżdża gdzieś z domu w jakichś pilnych a do komedyi nie należących interesach.

Zofia zrobiła jak powiedziała. Ledwo się bal skończył, zjawia się niespodzianie w mieszkaniu pana mandataryusza: przyszła wypuścić ojca z więzienia, żąda kluczy. Narcyz w strachu o swoją głowę, a przynajmniej o miejsce i skórę, dać ich nie chce, ale jakiś brylant który Zofia miała na sobie, i obietnica że później dostanie więcej, zwyciężyły jego skrupuły. Nie zupełnie wprawdzie, bo daje nie klucze tylko jakiś żelazny drąg, którym się więzień może wyłamać. Ale Zofia tego nie chce: wyłamanie byłoby zaraz widocznem, wiadomem, śledzono by za zbiegiem, ujętoby go znowu: Hryńko musi wyjść tak, iżby się nikt nie spostrzegł, drzwiami. A nie mogąc wyprosić, grozi Zofia Narcyzowi że go zabije, poczem bierze klucz i śpieszy ojca wypuścić.

Nieszczęściem całej tej sceny świadkiem był Michał, szpieg pani Morderskiej, i pobiegł zaraz z donosem. Ledwo Zosia miała czas wykonać swój zamiar i uciec do domu, kiedy przed wystraszonem mandataryuszem staje pani Morderska sama w swojej osobie. Dał się przekupić, wypuścił więźnia, którego Pan porучzył szczególnej jego czujności, jak się Pan dowie, bez namysłu odda go w rekruty. Jeden jest sposób ratunku. Powiedzieć, że Zofia przyszła do niego na miłosną schadzkę, że nie ten jeden raz tylko, a wtedy pan Morderski choć się rozgniewa, będzie musiał i na ślub zezwolić, i jeszcze dać jaki posażek na wzięcie dzierżawki. Rozgłoszenie tej wieści, i zezwolenie męża bierze już Pani na siebie.

Jakoż nie próżnuje. Z początkiem czwartego aktu widzimy pana Piotra w wielkiej alteracyi jak się skarży przed gośćmi i domownikami, że stryj chciał go ożenić nie dość że z córką chłopca ale z kochanką mandataryusza. Ostrzegł go o tem list bezimienny podrzucony w nocy do jego pokoju. Przeczytawszy go pan Piotr, zrobił śledztwo ze wszystkimi służącymi i stróżami, którzy widzieli jak Zofia szła w nocy do pana Narcyza, spisał formalny protokół, i te

dokumentu pokazuje, czyta, wreszcie oświadcza i stryjence samej, że z jej wychowanką żenić się nie może. Pani Morderska oburzona taką potwarzą woła Zofię, żeby sama za-dała fałsz potwarzy, ale Zofia się miesza, i nie przeczy, że była u Narcyza. Po co tam była, powiedzieć nie chce. A więc rzecz jasna! Spisek się udał, dziewczyna zgubiona. Ze szkaradną złośliwością pociesza ją Paulina, zaręczając że opiekun pozwoli jej pójść za kochanką, że takie małe zapomnienia trafiają się nie raz. Zofia nie rozumie, nie pojmuje czego od niej chcą, o co skarżą, traci głowę, kiedy niespodzianie znajduje sprzymierzeńca i opiekuna. Jest w sztuce pan Wacław, który aż dotąd nic nie robi, mało mówi, tylko na każdą zdradę pani Morderskiej, na każdą złośliwość Pauliny, na każde kłamstwo Morderskiego, na każde głupstwo lub gburowstwo pana Piotra, ironicznie się uśmiecha. Ten jeden wie od razu że Zofia niewinna, że cała historia o Narcyzie jest intrygą i potwarzą, i ofiaruje swoją przyjaźń i pomoc biednej prześladowanej. Ale jaka podstawa tej potwarzy, jaki pozór prawdy? tego nie wie i dojść chce koniecznie.

A tymczasem pani Morderska doszła do swego celu, wytłomaczyła panu Piotrowi, że po takim skandalu stryj wychowance majątku dać nie zechce ani może, że z pewnością teraz da go Paulinie, i doprowadziła młodzieńca do oświadczenia, które panna skwapliwie przyjęła.

Z początkiem piątego aktu wraca do domu Morderski. Ale zanim się dowiedział o mniemanym romansie i koniecznem niby małżeństwie wychowanki z Narcyzem, spotkał naprzód Szymona, który mu dziękuje za służbę, bo chce pójść na wieś do swojej wnuczki i zabrać z sobą prześladowaną i zniesławioną sierotę. Nie może jeszcze zrozumieć co to ma znaczyć, kiedy wbiega Zofia wzruszona, zapłakana, ale uradowana, z papierami w ręku. Te papiery oddał jej zeszłej nocy Hryńko, przez wdzięczność że mu dostarczyła pieniędzy na drogę; tylko ona, odurzona i oburzona tą potwarzą która na nią nie wiedzieć z kąd spadła, zapomniała o nich i teraz dopiero do nich zajrzała. Są to papiery jej rodziców, jej własna metryka, i list ostatni umierającego ojca. Ojciec ten, pan Barski, był żołnierzem, (zdaje się

w roku 1831), ranny, chory, zmuszony ukrywać się po lasach, tułał się z małym dzieckiem, przy którego urodzeniu umarła mu żona, aż wreszcie zaszedł przypadkiem do chaty leśnego Bajduły, i tam umarł z ran i z wycieńczenia. Przed śmiercią miał ledwo napisać ten list do swego dziecka, a leśnego prosić żeby je odniósł do pierwszego lepszego dworu w sąsiedztwie. Ale Hryńko i jego żona nie wysłuchali tej prośby umierającego; zamiarkowali że dziecko może być dla nich dobrą spekulacją, środkiem wyciągania pieniędzy od pana Morderskiego przez całe życie. Marta udała dziewczynkę za swoje dziecko: reszta wiadoma.

Kiedy pan Morderski duma nad swoją długoletnią pomyłką, dopiero przychodzi żona, uwiadamia go o mniemanych stosunkach wychowanki z mandataryuszem, i skłania, bez żadnej już trudności, do zezwolenia na ich ślub. Morderski obrażony zrazu, że Narcyz śmiał podnieść oczy na pannę Zofię, (bo schwytał jakiś przez niego podrzucony list miłosny), błogosławi w końcu. Dlaczego Zofia nie protestuje na gwałt, ale błogosławić się pozwala, dlaczego teraz jeszcze nie wyjawia prawdy, kiedy żadne już względy nie nakazują jej milczenia? Chyba dlatego, że jej brakło czasu. Bo w tej samej chwili wpada pan Wacław, który nie tracił czasu, puścił się w pogoń za Hryńkiem, znalazł go, zmusił do wyznania prawdy, i teraz wraca z tryumfem i z Hryńkiem i prosi o rękę panny Barskiej, która rozczulona okazanem jej w złej doli współczuciem, tak mu odpowiada:

Jak bluszczu bez podpory gałązkę rzuconą

Podjąłeś mnie współczuciem, wzmocniłeś obroną.

Jak bluszcz chwytam się ciebie, szczerze cię obwinę,

Z twego serca żyć będę, albo przy niem zgine.

Pani Morderska oświadcza na to, że będą dwa wesela, bo Pan Piotr prosił o rękę Pauliny, ale kiedy szukają narzeczonego pokazuje się, że narieczony zniknął. Pan Piotr trochę własnym domysłem a trochę z pomocą Wacława zamiarkował że stryj Pauliny nie lubi i nic jej nie da, i wyjechał bez pożegnania, zostawiając tylko ustne przez kogoś uwiadowienie dla panny Pauliny że:

„nieładna i nic nie ma, zatem mnie nie kupi“.

Oto treść sztuki która naszym zdaniem należy do słabszych jakie Fredro kiedy napisał, a w każdym razie do najmniej przyjemnych. Pomijając już to cośmy powiedzieli na początku, że jest na komedję za smutna, na dramat nie dosyć, a zwłaszcza na dramat wierszem nie dość poetyczna, ma ona oprócz wszystkich błędów w szczegółach, jakiś ogólny charakter przykry i wstrętny. Co za świat brzydkie! co za ludzie odrażający! Pojmuje się wszystkie intrygi, zdrady i zbrodnie i okrucieństwa, a w dramacie mogą one nawet wyglądać bardzo pięknie. Ale wielka infamia bez wielkich wymówek, bez wielkiej namiętności lub wielkiego celu, wielka infamia małych ludzi, głupich, ciasnych, napuszonych, ozdobionych do tego wszystkiemi wdziękami złego wychowania, gburostwa, jakiejs natury grubej, jakiejs złośliwości okrutnej a grubijańskiej, to jest oburzające zapewne ale jeszcze więcej odrażające. Że to wszystko zdarzać się może w rzeczywistości, nie przeczymy, ale w literaturze mało znamy figur tak wstrętnych jak te dwie kobiety złe, niktzemne, głupie, źle wychowane, zjadliwe jak żmije, a w swoim głupstwie i śmieszności nie śmieszne, w swojej przewrotności nie zajmujące ani dramatyczne. I Pan Piotr o tyle tylko od nich lepszy o ile głupszy. I całe otoczenie, jakiś sąsiad pieczeniarsz, jakiś drugi literat paszkwilista, jakaś sąsiadka co szachruje w karty, i te znęcania się tak grubijańskie nad Wychowaną, i te szpiegowania przez służących, to wszystko składa jakąś atmosferę duszną od podłości, obrzydliwą, nie jak w jaskini rozbójników ale jak w szynkowni rzeźmieszków i oszustów. Do takich należy charakterem i postępowaniem pani Morderska i Paulina, a rodzajem wychowania i stopniem wykształcenia, poziomem umysłowym i moralnym całe ich towarzystwo, od pana Piotra aż do Narcyza, który jeden z nich wszystkich ma ten charakter z wiedzą i wolą autora, jeden z jego zamiaru miał do takiego świata należyć. Kobiety miały być złe i przewrotne, ale miały umieć nadawać sobie jakieś pozory: pan Piotr miał być gburem i głupim jarmarcznym hulaką, ale miał być typem złego młodego wiejskiego szlachcica. Ale ta różnica w wykonaniu zatarła się tak że jej nie znać, a wszyscy razem są zbiorem dość obrzydliwym figur tak niktzem-

nych, że choć w rzeczywistości trafiają się zapewne, to przecież nie często, i obraz jeżeli jest do jakiego świata podobny, to zdaje nam się, że dzięki Bogu nie do polskiego, a jeżeli nawet, to nie jest ani zajmujący ani przerażający, tylko odrażający.

Ale jest druga jasna strona tego obrazu, która go przecież uzupełnia i przykre wrażenie tamtej może naprawić? Zapewne, mogłaby naprawić, i nawet jeżeli kto chce koniecznie, naprawia faktycznie, skoro są ludzie uczciwi i porządni. Ale artystycznie nie naprawia, bo ci dobrzy nie są więcej od tamtych złych zajmujący, a jak tamci swoją przewrotnością tak ci szlachetnością i nieszczęściem wzruszenia jakoś wywołać nie mogą. Pan Wacław ze swoim nieustannym sarkastycznym uśmiechem jest użytym już a nieco mdłym typem człowieka gorzkiego, który wiele doświadczył i źle o ludziach sądzi ale serce zachował dobre i szlachetne. Stary Szymon — (jeszcze raz stary służący!) różni się od wszystkich innych starych służących tem jedynie, że ma szum w uszach i zawsze mu się zdaje że go ktoś woła. *Wychowanka* wreszcie, Zofia, heroina, ta która swoim położeniem powinaby rozczulać a swoim wdziękiem podbijać, ta jednostajnie wzdychająca i płacząca nie ma ani dość indywidualności i fizyognomii, ani tego wdzięku jaki Fredro czasem swoim kobiecym postaciom nadaje. Dziwna rzecz: kiedy poezji nie szuka: kiedy o niej nie myśli, on znajduje ją, i to w bardzo szlachetnym gatunku: (Aniela jest niezaprzeczenie poetyczną figurą młodej dziewczyny) — a kiedy w poważniejszych lub smutnych sytuacjach postawione mają z obowiązku czytelnika podbić i wzruszyć, wtedy jak na złość odbiega je ten poetyczny urok. Dowód na dawniejszej Zofii z *Przyjaciół*, albo na tej nowej Zofii *Wychowance*, której najładniejsze słowa przytoczyliśmy powyżej, a która prócz nich ma jeszcze w swojej roli ładne następujące:

A wiesz Pan jak to boli, jak to pierś rozrywa
Kiedy śród serc milionów łączonych w ogniwa
Wyrzec trzeba: Ja sama, sama w całym świecie
Porzucone, wzgardzone, zabłąkane dziecie.

Zawsze celem zawiści, dla ojca, dla matki,
Często nawet przekleństwa za one dostatki
Których podziału ciągle żądali odemnie.
Ileż od nich cierpienia nie zniosłam tajemnie:
Ileż niekzemnej złości od każdego sługi
Co mścił cichą obelgą jawne swe usługi.
A ci co mi kazali zwać się rodzicami
Nie pytali o serce nie mając go sami.
Byłam cackiem, nie więcej. W jej pańskim objęciu.
Zimno mi było zawsze obcemu dziecięciu:
Jego zaś przywiązanie, szum, i blask szczodroty
Coś jak słowo zagadki groziło z ciemnoty.
Owe łaski bez jutra cierpkim były darem:
Wdzięczność codzien żądana stała się ciężarem.
A ten świat, na swych śmieciach zazdrośny i hardy;
Ileż mi on w oklaskach nie udzielał wzgardy!
Co tam szeptów, ucinków, co psoty dziecięcej,
Od najmłodszych, najbrzydszych, najgłupszych najwięcej.
Ileż to ja jak lalka bez woli i mocy
Pół w tańcu a pół w płaczu nie spędziłam nocy!
Ja sama, zawsze sama, płakała utraty
Ubóstwa, lecz wspólnego, wśród rodzinnej chaty.

Ze wszystkich figur najlepiej może udał się Hryńko ze swoją fizyognomią chytrego włóczęgi, i Narcyz ze swojemi wąsikami, papilotami, i sukcesami u córek klucznicy a nawet u panien sędzianek z sąsiedniego miasteczka.

A pan Morderski? Przecież to jedna z głównych figur, a bodaj nie zupełnie główna, i o niej dotąd mówiliśmy tak mało? To właśnie jeden z błędów sztuki, że można treść jej opowiedzieć dokładnie, tak mało wspominając o panu Morderskim, bo to dowód jak on na prawdę mało do akcji należy. A szkoda, bo miał zakrój na niepospolitą figurę, na typ nowy, oryginalny, a głębszy, i przytem komiczny, i na nie-szczęście bardzo polski. Jest on samolub, pyszałkowaty, fanfaron, nie dobry w gruncie, a na pozór wylany, serdeczny, otwarty, niby wzór obywatela, umiejący nie źle grać tę komedję szlachetności i oszukujący nią drugich a najbardziej siebie. Ale prócz tego jest on i czemś więcej jeszcze. Jest

częstym u nas po roku 1831 (a może i później jeszcze) typem, tych wojskowych co nigdy nie służyli w wojsku, co z żołnierska chodzili, mówili, nosili się, choć nigdy prochu nie powąchali, lub powąchawszy odwracali się ze wstrętem i pośpiechem od tego zapachu: pułkowników którzy jeżeli czem byli, to już co najwięcej porucznikami, bohaterów których całą umiejętnością, zasługą i męstwem, że po huzarsku kłać umieją. Oto jak złośliwie lecz dowcipnie opowiada jego historię Paulina:

„Mąż mojej cioci

Co się w rangi wojskowe coraz nowe złości
Nigdy w wojsku nie służył. Ma być znane światu
Że on kiedyś przed laty wysłany z powiatu
By dostawiał sztabowi owsa, słomy, siana
Przybrał sobie nawiasem tytuł kapitana.
Później, przebywszy Wisłę parę razy łódką
Został w domu majorem ze szpiczastą bródką:
Nareszcie tryumfalnym witany okrzykiem
Z Rzeszowskiego jarmarku wrócił pułkownikiem.
I za każdym awansem wyższe jego progi,
Szerszy galon u czapki, i dłuższe ostrogi.
A co najlepsze, że tak wkładał się sam w siebie
Że na prawdę wszystkiego przysiągłby w potrzebie.

Ten opis, to najświetniejszy ustęp całej sztuki; przypominający humorem i stylem najzabawniejsze sceny *Cudzoziemczyny*, *Nikt mnie nie zna*, albo *Zrzędy i Przekory*. Takich błysków humoru jest więcej, (na przykład kiedy Morderski i Narcyz drżą ze strachu przed zamkniętym Hryńkiem, albo kiedy Wacław drwiąc sobie z Piotra opowiada mu że Bajduła pochodzi z wielkiej rodziny, jest potomkiem:

„Hana co w pień nad Prutem wyciął sto tysięcy“

P. PIOTR — Ba! A któż był wycięty?

WACŁAW

Araby: pogany.

Odtąd kraj bez Arabów Besarabią zwany.“

Ale po tym świetnym opisie, Morderski sam wydaje się bladym, nie usprawiedliwia tej sławy jaką mu Paulina

zrobiła. Mówi wprawdzie że posiwał w obozach, klnie bez ustanku „*mille tonnerres*“ komenderuje „*marsz*,“ a na końcu awansuje jeszcze i na generała. Ale ta cała mania wojskowości, ta fanfaronada, która sama siebie okłamuje, zostaje na wierzchu, nie zlewa się z jego uczuciami i postępkami, nie jest powodem jego uczynków, ani eboćby ubocznym motywem i pierwiastkiem w sztuce. Dawszy mu tę naturę i tę śmieszność, określiwszy ją tak doskonale, należało koniecznie skorzystać z niej, wyzyskać ją w działaniu. Wszakżeż w tem sztuka i doskonałość pisarza komedyi, żeby wady lub śmieszności, jakie figurom swoim daje, wchodziły w akcyę samą, były tą sprężyną która porusza figurę, sama poruszana znowu przez inne osoby komedyi. Tego nie ma. Pułkownik Morderski nie tylko jest zupełnie bierny w całej sztuce, ale nadto ta wybitna jego cecha, ta wojskowość która się tak dobrze sama w siebie wklamała, nie wpływa na akcyę, zostaje na boku czy na wierzchu a do rzeczy nie należy, i mogłaby niebyć wcale, a komedia przez to nie zmieniłaby się ani na włos w swojej treści. Czyli, że podobnie jak *Wielki Człowiek* Jenialkiewicz, Morderski jest figurą wybornie wyrysowaną, ale ta figura raz wyrysowana nie rusza się, nie robi nic, i natury swojej w działaniu nie rozwija i nie pokazuje. A szkoda, jeszcze raz szkoda, bo pomysł był szczęśliwy i świetny.

W samym zaś układzie sztuki, w prowadzeniu intrygi, jest także dość złego. Nie będziemy już wracać do tej niby dramatycznej a w wykonaniu tylko wstrętnej sytuacji powtarzy: ale te podsłuchiwanie powtórzone aż trzy razy, te szpiegowanie przez służących, te papiery które się tak na sam czas znajdują, ten nieboszczyk ojciec, deus ex machina tak podobny do wszystkich wujaszków z Ameryki, cóż to za zużyte i biegłego pisarza niegodne sposoby posuwania i rozwiązywania akcyi! A gdyby przynajmniej papiery były się znalazły we właściwej chwili, ile byłby na tym zyskał cały akt piąty! Wyobraźmy sobie że Morderski z powrotem spotyka właśnie pierwszą żonę, lub Narcyza, że się o całej mniemanej miłości dowiaduje, że z wielkiego gniewu przechodzi w ton żołnierski, rozkazujący, i ze zwykłą sobie energią postanawia ślub, i że w tej chwili dopiero wbiega Zofia

ze swojemi papierami, czy wtedy efekt nie byłby bez porównania większym? Zdumienie Morderskiego, konfuzya jego żony, wszystko podniosłoby się bardzo, a niemniej i wrażenie czytelnika czy widza, który teraz od początku aktu ma już zagadkę rozwiązana, a tak do ostatniej chwili mógłby być pytać niespokojnie co oni z tą nieszczęśliwą wychowanką zrobią, czy jej doprawdy za tego Narcyza nie wydadzą? A ta zmiana tak korzystna dałaby się zrobić tak tanim kosztem, tak łatwym sposobem, prostem tylko przedstawieniem scen i ułożeniem ich w inny porządek. Dziwna rzecz, że autor nie zwrócił na to uwagi. Wszystko razem wzięwszy, trzeba powiedzieć że z materiału komicznego czy dramatycznego jaki niezaprzeczenie kryć się może w przykrem położeniu *wychowanek*, nie zrobił on takiego obrazu jakie robił z innych fenomenów naszego życia.

Dostrzegł za to z wielką bystrością innego fenomenu psychologicznego, i wziął go za przedmiot do innej sztuki która wydaje nam się perłą tegorocznej seryi.

Pomiędzy różnemi rodzajami egoizmu na tym świecie, jest jeden najdowiecniejszy może ze wszystkich, a bardzo zabawny, egoizm zamaskowany poświęceniem, udrapowany niesprawiedliwością losu i ludzi, ukoronowany jak cierniami wszystkimi swojemi krzywdami i cierpieniami, łzawy, melancholiczny, wiecznie utyskujący nad swoim sercem „nieznanem i prześladowanem,” znoszący swoje uciski „z przebaczenia anielską pogardą,” a tymczasem umiejący na swoim postawić, z drugich korzystać, i zmusić ich żeby z prawdziwą dla siebie ofiarą lub szkodą, jego mniejszym lub większym celom służyli. Taka hypokryzya egoizmu, często bezwiedna, tak że człowiek w dobrej wierze ma się za anioła poświęcenia, kiedy jest na prawdę nieznośnym dla drugich tyranem, wymyślnym, niedelikatnym, nieczważającym na to co im przyjemne lub potrzebne, trafia się nie rzadko między ludźmi. Są nawet małe dzieci które umieją tę sztukę, i kiedy innym dzieciom ustępują, to tak wyraźnie dają poznać ogrom swego poświęcenia, tak tragicznie idą na ofiarę, z takim anielskiem spojrzeniem patrzą w niebo biorąc je za świadka swojego ucisku i heroizmu, że drugie dzieci prostoduszne i pocziwe, zawstydzone, skruszone, przekonane że

zawiniły, gotowe do płaczu, ustępują od razu i jeszcze biedne proszą małego tyrana, żeby zrobił to co chce, a on chytry flut długo prosić się każe mówiąc że woli zrobić to co chcą wszyscy: i co więcej, wierzy że się poświęcał, admiruje rzadką dobroć swego serca. Między starszymi są także tacy sami, i podobnemi środkami dochodzą do swoich celów. I takim jest bohater tej drugiej komedyi: czas, kieszeń, wygoda, przyjemność, nawet bezpieczeństwo drugich, nawet ich przyszłość, wszystko to jego i dla niego, on wszystkiem rozrządza, wszystkiego używa i nadużywa w sposób prawdziwie oburzający, a zawsze narzeka, zawsze wzdycha, zawsze nikt o niego nie dba, nikt mu nic dobrego zrobić nie chce, on jest zawsze dla wszystkich a nikt i nic dla niego, on jest bardzo nieszczęśliwy, jest prawdziwie *Godzien Litości!*

Czy nie prawda, że w takim charakterze jest wyborny, wspaniały materyał na komedye? Postawmy obok niego drugi, pannę zaledwo dorosłą, źle wychowaną, zuchwałą, weale niemądrą, gąskę emancypowaną a upartą jak kozioł, która plecie bez sensu o wyższości kobiet a słuchać nie chce pod żadnym warunkiem, dodajmy otoczenie z ludzi rozsądnych i spokojnych, którzy przez takie dwa charaktery zaplątani są w różne nieprzyjemne zajścia i są ofiarami tego egoizmu i tego uporu, a pojmiemy łatwo, że jest w tym przedmiocie wszystko czego tylko do zabawnej i rozumnej komedyi potrzeba.

Pan Elwin jest godzien litości! Sierota, wychował się pod opieką przyjaciółki swoich rodziców, która litując się nad nim tak pieściła, tak psuła, tak dogadzała, że własny syn nietylko surowiej był chowany ale we wszystkiem ustępować musiał zepsutemu, kapryśnemu, godnemu litości malcowi. „Byłeś tyranem całego domu“ mówi mu prawdziwie godna litości ofiara jego egoizmu, jego przyjaciel adwokat Dormund. Kiedy dorósł, pan Elwin który nie niewygodnego robić nie chciał, powiedział raz sobie i światu, że jest poetą. Nowy tytuł do litości, bo możeż być los nieszczęśliwszy jak tych wybranych a niezrozumianych, których laury kryją same ciernie! Elwin natrafił więc na nieprzebraną zylę westchnień i narzekań, i stał się jeszcze godniejszym litości. „Z gór gdzie dźwigał ciężkich krzyżów

„brzemie, widział z dala obiecaną ziemię,“ i już widział jak „zapomniany będzie“: ale na pociechę, że „do tych nie wejdzie przestrzeni“ wchodził do innych, do tych, gdzie się pije, gra i hula, a prawdziwym krzyżem jaki dźwiga jest talia kart, kieliszek, albo weksel który trzeba zapłacić. O! czy świat nigdy nie zrozumie, że poeta potrzebuje się odurzyć, „kłębami dymu otoczyć“, wybuchnąć namiętnościami jak wulkan, że tym brudem ziemi, tem podłym złotem tak gardzi, że go ani liczyć ani trzymać nie zdolny, i kiedy mu się zachce wydać go musi... a potem drudzy niech za niego płacą długi. I dziwią się jeszcze, i nie chcą, i strofują go. O! on godzien litości!

Z tej więc hypokryzyi grubego samolubstwa i z téj komedyi poetycznych natchnień misternie złożony bohater w pierwszej scenie melancholicznie rozwodzi swoje żale. „Nigdy „chwili pociechy! zawsze od dzieciństwa płynąłem jak pod wodę! Mój Boże! kiedy czasem w cichej pogodnej nocy, zatopię „oko w gwieździste sklepienie“ i tam dalej... „jakoże piękny „ten świat, a na nim człowiek jak lichy, jak podły!...

— „Grałeś?“ — mówi na to zimno przyjaciel, adwokat Dormund, który zna i wie już dobrze co ten ton poetyczny znaczy.

— „Grałem,“ odpowiada godzien litości,

— „Przegrałeś?“

— „Przegrałem.“

I wywięzuje się z tego rozmowa, w której poetyczny komedyant żąda podpisania nowego wekslu i obiecuje, że wszystko co winien odda kiedyś razem, a praktyczny zimny adwokat odmawia podpisu ale daje pieniądze. Biedny Elwin! Jak godzien litości! A jak mądrze, i jak brzydko trafia do swego celu. Kiedy mu Dormund zrazu oświadcza, że i dla własnej niemożności i dla jego dobra nowych długów płacić za niego nie będzie, umie on tak odpowiedzieć szlachetnie i wzniosłe, że tamten nie wzruszony ale urażony i dotknięty w swoich uczuciach, dobry przytem i prostodusznie do niego przywiązany, daje mu pieniądze:

„Prawda, nadużywałem twojej przyjaźni! zapomniałem, „że nie mam prawa do twojej miłości. Odrącasz mnie!

„Dobrze. Ale zostaw mi przynajmniej wspomnienie, że byłem kiedyś kochany i t. d.“

A kiedy Dormund wycisnąwszy kieszeń jak cytrynę, moralizuje godnego litości, mówiąc mu, że gdyby tylko chciał mógłby wyjść na człowieka, ale trzebaby na to do czegoś się wziąć i coś robić, Elwin bierze się istotnie do nowej roboty, przez okno daje jakieś znaki porozumienia córeczce sąsiada, pana Warskiego, młodej Antonii, którą kocha „niepojętą siłą, szalenie, wściekle!“

Dormund gniewa się nie żartem, nie chce żeby sąsiad mógł mu zarzucić iż z jego mieszkania jakiś kawaler romansuje z córką i żąda od Elwina słowa, że z jego okien z panną rozmawiać nie będzie.

Elwin słowo dał, i uczciwie, wiedział że dotrzyma, bo to okno nie potrzebne mu wcale. On rozmawia z panną nie z tak daleka, ale w pokoju przyjaciela: oddawna już nauczył ją przychodzić na miłosne schadzki w to miejsce, bezpieczne, bo w złym razie nie on byłby posądzonym. Jakoż ledwo Dormund wyszedł, wchodzi panna Antonia, także w swoim rodzaju miła osóbką. „Jeżeli tu przychodzę“ mówi — „to nie dlatego, że uległam twoim pisemnym namowom. To dowodziłoby tylko słabości charakteru. Ale przychodzę, bo to zgadza się z moimi zasadami nieograniczonej wolności, którą kobiety wywalczyć muszą. Kocham wybranego, poślubionego duszą, ale póty tylko, póki miłość „jego będzie odgłosem mojej“.

Po tem wyznaniu wiary, oświadcza Elwinowi, że związek ich natrafia na nowe przeszkody. Że ojciec wprawdzie chce wydać ją za mąż coprędzej, żeby się jej pozbyć z domu, ale chce wydać za bogatego, żeby jej dać jak najmniej lub nie wcale, a sam chce się ożenić powtórnie! z panną Laurą, wdową, w której się szalenie zakochał, która właśnie dziś ma do nich przyjechać, a w której Antonia przeczuwa nieprzyjaciółkę i przyczynę niezliczonych nieszczęść w przyszłości. Radzą nad sposobami jakby, pod jakim pozorem, Elwin mógł wkroczyć się do domu pana Warskiego, a naradę przerywają sobie poetyczną improwizacją, której oto próbka:

Gdybym miał skrzydła sokole
 Wzniósłbym się jeszcze do góry,
 Wyżej... wyżej... po nad chmury,
 Po nad gwiazdy! po nad słońca!

Tam! w przestrzeni wiecznem kole,
 Bez krawędzi i bez końca,
 Bylibyśmy zawsze sami!
 Jeden tylko Bóg nad nami.

(wcale szczęśliwe naśladowanie wielu głupich wierszydeł w których nie ma nic prócz słów).

Na tę czułą scenę wraca Dormund. Zdziwiony trochę tym nowym sposobem dotrzymywania słowa honoru, wyprasa Elwina za drzwi, pannie Antonii zaś próbuje przemówić do rozsądku i wytłómaczyć, że nie powinna chodzić na schadзки z poetami, kiedy niespodzianie staje przed niemi ojciec.

Pan Warski, który córki chce się pozbyć koniecznie, bo myśli, że się stanie młodszym, jak ją z domu wyprawi, i że pani Laura łatwiej za niego pójdzie, uważał od pewnego czasu, że córeczka zagląda do domu p. Dormunda. A miarkując, że to jego planom wybornie służy, siedział cicho, zaczął się, śledził tylko pilnie czekając sposobnej chwili. I teraz, zeszedłszy ich razem, oświadcza panu Dormundowi, uprzejmie, spokojnie, słodko, że albo pan Dormund dziś zaraz oświadczy się o rękę Antonii, albo będą się strzelać. To powiedziawszy z najgrzeczniejszym ukłonem odchodzi.

Wtedy wpada Elwin, godniejszy litości niż kiedykolwiek, zgubiony, zdradzony przez przyjaciela, pozbawiony szczęścia i Antonii (Elwin słyszał wszystko z drugiego pokoju). Dormund temi wyrzutami doprowadzony do wściekłości, sam już nie wie co robić, a zwłaszcza co ma robić żeby się wydobyć z tego położenia: kiedy zakochany poeta wpadł na praktyczny pomysł. Niech Dormund niby w ważnym interesie wyjedzie, jego zaś niech pośle do Warskiego jako ambasadora z notyfikacją, że jutro zaraz po powrocie stawi się u niego w charakterze konkurenta. Tym sposobem on zyska na czasie, Elwin dostanie się do domu Warskich, oba mogą na tem skorzystać.

Cały ten akt pierwszy jest bardzo ładny. Zabawny, dowcipny, pełen ruchu i niespodzianych a naturalnych efektów, nadewszystko wysoko i wykwintnie komiczny, pod względem psychologicznym misterny, zajmujący i oryginalny.

Dalej ten pierwiastek psychologiczny gra już cokolwiek mniejszą rolę, choć nie znika, a za to z zawiązanego wężła wysnuwają się liczne nowe i wcale niespodziewane zawikłania. Poeta poradził sobie mądrze: wszedłszy raz do domu pana Warskiego, podbił go zupełnie. Uduje magnetyzera i leczy go niby z chronicznego bólu głowy, wyrabiając nad nim różne dziwaczne gesta. Zręcznie przytem zniechęca go do Dormunda, wychwalając co to będzie za zięć doskonały, jaki oszczędny, wyrachowany, praktyczny, biegły prawnik przytem i adwokat, z pewnością nie tylko posagu żony nie straci, ale najmniejszych jej praw z największą ścisłością dochodzić zechce i potrafi. Dormund, kiedy przychodzi z oficjalnem oświadczeniem, gra tę samą rolę i o rachunkach z opieki mówi tak śmiało i swobodnie, jak żeby to była rzecz najłatwiejsza i najśluszniejsza na świecie. Panu Warskiemu przyszły zięć zaczyna się mniej podobać, a z drugiej strony wzmaga się chęć wydania córki, bo piękna wdówka, kuzynka Laura, już przyjechała i miłość starego wdowca goreje coraz silniejszym płomieniem.

Ta pani Laura z zajęciem niezwykłym słucha opowiadań o narzeczonem Antonii panu Dormundzie. Zobaczyła go wreszcie, i wtedy nowa komplikacya! Znali się oni, kochali się nawet, ona bardzo, on trochę: ale nie dosyć, bo znajdując ją zbyt wesołą, roztrzępaną, kokietką, odjechał, porzucił, wystawiając ją na śmiech i potwarze złych ludzi. Pani Laura pojąć nie może, jakim sposobem człowiek rozumny jak jej dawny wielbiciel, może chcieć się zenić z taką pustą a przewróconą głową jak Antonia; a niechcąc dowiadywać się prawdy wprost od niego, próbuje wyciągnąć ją zręcznie z jego przyjaciela profesora Elwina. Profesor, który o tem tylko myśli jakby przeszkodził jego ożenieniu z Antonią, zaręcza, że Dormund nie kocha Antonii wcale, a na własny już domysł i w przekonaniu że kłamie, daje jej do zrozumienia, że Dormund ją samą, Laurę, zawsze pamięta. Staje tedy między nimi alians zaczepno-odporny, którego pierwszym

celem jest: zyskać na czasie. Idzie to nieźle, bo stary Warski coraz więcej wystraszony rachunkami z opieki, wyrzekłby się chętnie zięcia prawnika. Ale wtedy psuje znowu szyki kochana Antonia. Uważała ona długie i tajemnicze rozmowy swego Elwina z Laurą, i zgodnie ze swoim miłym charakterem wpadła w zazdrość, a w zazdrości w postanowienie, że na złość, otóż na złość i Elwinowi i Dormundowi i ojcu i wszystkim, będzie córką posłuszną i pójdzie za Dormunda. Ten w końcu nie wiedząc już jak się jej pozbyć, grozi: wyda przed ojcem wszystkie jej schadzki z Elwinem. A tymczasem prawdy tej doszła wreszcie Laura, i szczęśliwa że jej Dormund wolny, używa swego wpływu u pana Warskiego na połączenie poety z emancypantką. Poszło szczęśliwie, ojciec pozwolił w nadziei, że i rachunków zdawać nie będzie i zaraz po ślubie córki sam ożeni się z Laurą; (Laura tymczasem przebaczyła Dormundowi i dała mu słowo) — Elwin zaślubi Antonię, a jak mu potem będzie, to łatwo zgadnąć. Teraz dopiero będzie naprawdę *Godzien Litości*. Tytuł komedyi przestaje być ironicznym, a staje się zupełnie usprawiedliwionym jej rozwiązaniem.

Wszystko razem, choć akt pierwszy świetniejszy może od dwóch następnych, choć to co najbardziej zajmujące, hypokryzja egoizmu, występuje w tych już nie tak wyraźnie, wszystko razem wzięwszy jest to ładna, zabawna, dobrze zbudowana i rozumna komedia.

Druga trzechaktowa „*Ożenić się nie mogę*“, nie stara się o wykwintny dowcip ani o subtelne odcienia charakterów. Jest tem, co z francuska nazywamy *farsą*; a na taką, to jej grzech największy, nie jest dość zabawna, jakoś nie śmieszny. Pan Gdański, kupiec, niemłody, bogaty, ożenił się z młodą i przystojną szlachcianką, która posagu nie miała żadnego, ale za to *pięknie przyjęła edukację*, była *comme il faut* a nawet *dystyngwowana*, miała *dobry ton*, słowem mogła być *wielką damą* (na małej parafii). Zgody było w tem małżeństwie mało. Pan musiał chyłkiem tylko i ukradkiem przyjmować swoich dawnych przyjaciół z *mieszczkańskiego świata*, pani wyelegantowana od rana do nocy siedziała w salonie wyszurowanym, wykadzionym, sztywnym i nudnym jak ona sama, czekając na arystokratyczne wizyty — najczęściej

daremnie. Oboje się nudzili, niecierpliwili, kwasili i gryźli wzajemnie. Do tego pani Hermenegilda miała wstręt, obrzydzenie, abominację do wdowców, a pan Gdański był właśnie wdowcem. Okoliczność tę, równie jak dorosłą córkę Julię, którą go Pan Bóg pobłogosławił, ukrył starannie przed żoną. Sam mieszkał w Warszawie, pannę wysłał do Lwowa. Ale po dwóch latach sprzykrzyło się Julii to *incognito*, i nie uprzedzając ojca wpada pewnego pięknego poranku do jego domu jak bomba, i to właśnie w najgorszą porę, po strasznej scenie małżeńskiej, kiedy macocha i wiadomość i pasierbice przyjęłaby jak najgorzej.

W tej samej chwili zjawia się także u Gdańskiego jego dawny przyjaciel, najlepszy, ale mieszczański, pan Florek. To bohater sztuki, ten co *ożenić się nie może*. Raz, na Węgrzech, wziął już ślub z piękną jakąś brunetką, ale ledwo miał czas upić się na weselu, kiedy wpadli kozacy (było to w roku 1849), porwali pijanego, wsadzili w kibitkę i jednym pędem powieźli do Kijowa. Trwało to czas jakiś nim się uwolnić zdołał, a przez ten czas poznał i pokochał pannę Teodorę Babinosow. Jednak wierny małżonek zaraz po uwolnieniu pośpieszył na Węgry do swojej słomianej wdowy... ale o zgrozo! zastał ją żoną innego, jakiegoś barczystego brodatego madyara, który go porwał za kołnierz i jak piórko wyrzucił za okno. Żona miała go za zabitego i najspokojniej poszła sobie za męża. On wtedy wraca do Kijowa, do swojej Teodory, zastaje ją na marach! Jakies zakłęcie, ożenić się nie może. Ale tym razem ma nadzieję, że się to przecie raz skończy. Jechał ze Lwowa ze śliczną wdową, do której się przez całą drogę umizgał, która na to patrzała łaskawie... o zdziwienie, w domu przyjaciela zastaje tę samą mniemaną wdowę: to Julię, która będąc samą w podróży, przybrała ten poważny tytuł. Tem lepiej: Florek poprosi przyjaciela o rękę córki, a przyjaciel który chce tylko żeby ta córka znikła coprędzej, odda mu ją z podziękowaniem.

Gdański tymczasem drży ze strachu. Co powie żona jak zastanie w domu przyjaciela mieszczanina i córkę! kiedy więc żona weszła do pokoju, on bez namysłu przedstawia jej swoich przyjaciół, pana Barona Florka, i jego żonę Ba-

ronowę. Hermenegilda rada tytułowanym gościom bardzo uprzejmie zatrzymuje ich na obiedzie, mistyfikacja idzie dalej, Julia kłamie, że jej mniemany mąż był wdowcem, że ma kilkoro dzieci, że pomimo tego jest najszczęśliwszą z kobiet, kiedy zjawia się nowy aktor w tej całej sprawie, zapowiedziany już przez Florka pan Milder, który w ważnych interesach przyjechał do Warszawy, a nie ma żadnych stosunków i znajomości. Z Florkiem zaś i z panią Baronową jechał razem ze Lwowa, stąd znajomość i protekcya. Ale zaledwo wszedł, Hermenegilda miesza się, błędnie... poznaje człowieka, którego niegdyś kochała, do którego pisywała, który ma jej listy! Temi listami straszy ją Milder i skłania do tego, że musi wyrobić u męża zezwolenie a raczej błogosławieństwo dla Julii, tajemnie zaślubionej z panem Markskim, który skompromitowany politycznie przyjechał do Warszawy pod przybranem nazwiskiem Mildera. Biedny Florek i tym razem jeszcze ożenić się nie mógł.

Tajemne małżeństwa, utajone córki, panny podróżujące pod tytułem wdów lub mężatek, wszystko to już zużyte trochę, a w tym razie nie odświeżone wykonaniem, komicznymi sytuacyami lub zabawnymi conceptami. Główna figura, ten nieszczęśliwy człowiek, który się koniecznie chce ożenić a nigdy podobać się nie może, który się zakochuje, zasługuje, nadskakuje jednej po drugiej, a jedna po drugiej tylko się z niego śmieje, jak się nieraz daje spotkać w życiu, tak w teatrze może być bardzo zabawnym. Ale tu, ani w jego dawniejszych przygodach, ani w akcji komedyi, ani w tem przysłowiu *ten to tego* które ustawicznie powtarza, wiele humoru i *vis comica* nie ma.

Jestem zabójcą, to znowu przedmiot wiele razy już obrobiony; stary opiekun który sobie ułożył ożenić się z młodą wychowanicą, i dom zazdrośnie przed wszystkimi a zwłaszcza przed młodymi zamyka. Bartolo ten nazywa się pan Kokoszkiewicz, Rosina odpowiada na imię Klary, Figara zastępuje jak może służącą Zuzia, a Almavivą jest pan Marski — (nie ten zapewne co się w tamtej sztuce ożenił, może jego brat lub krewny).

Sytuacya ta, w którą po Molierze jeden tylko Beaumarchais tchnąć umiał nowe życie, wydała tym razem małą jedno-

aktową komedyjkę, która ani bardzo się czem podobać ani bardzo niepodobać nie ma. Treść jej różni się od wszystkich podobnych tem, że pan Kokoszkiewicz oprócz wychowanki ma i ogród w którym chłopcy z całego przedmieścia robią mu nieustanne psoty i szkody. Żeby temu zapobiedz, rozlepił na ogrodowym parkanie ostrzeżenia, że będzie strzelał do każdego kto wejdzie (upoważnienie do tak energicznej obrony dał mu pijany burmistrz w chwili rozczulenia). Tem pozwoleniem silny, widząc kręcącego się po ogrodzie Marskiego, chce go nastraszyć, udać że go bierze za szkodnika czy złodzieja i wypalić do niego drobnym strótem. Niestety, Marski pada trupem, Kokoszkiewicz jest zabójcą! straszna perspektywa oskarżenia, sądu, powieszenia, której stary dziwak tak się boi, że kiedy Marski ożył szczęśliwie, przez wdzięczność zrzeka się swoich zamiarów i oddaje mu pannę.

Teraz mieści w sobie materyał na poważną, może smutną, ale głęboką i znaczącą komedię, tylko na komedię dużą. Gdyby zamiast jednego aktu było ich trzy a nawet pięć, mogłaby być rzecz wielkiej wartości. Treść wskazuje sam tytuł. Ma to być obraz tego co jest teraz, jacy ludzie, jaki świat, jaka młodzież, jakie kobiety, jakie pojęcia, jakie pragnienia... obraz na szczęście zbyt czarny.

Jest więc jedna panna, Agata, praktyczna, pozytywna, która wierzy tylko w kasę ogniotrwałą a lubi tylko jedno na świecie, obcinać kupony, i ta po kwadransie rozmowy zupełnie otwartej i szczerej, idzie za mąż za wiedeńskiego bankiera czy agenta giełdowego, którego nie kocha, który jej nie kocha, tylko wzajemnie cenią w sobie swój zmysł praktyczny i robią korzystną spółkę. Tym życzy się, żeby ich pierwszy *krach* pochłoniął.

Jest druga panna, Joanna, której znowu wystarcza kwadrans rozmowy, żeby pójść za pana Ernesta, próżniaka, w długach po uszy, bez grosza, bez zawodu i zajęcia, dlatego że wesół, że zabawny. Jest między temi dwiema siostrami kuzynek, pan Leon, który przez całe lata chce się żenić to z jedną to z drugą, ale taki mazgaj że wybrać nie może, nie wie której chce, i oświadcza się o obie, ale wtedy, kiedy już innym dały słowo. A tak nie ma woli, że pozwala bez oporu zaręczyć się ze starą ciotką tych panien i swoją,

pocieszając się tem że do ślubu daleko i że się może jakoś wykręci. Jest wreszcie ciotka, stara lafirynda wiecznie chora na migreny i spazmy, mdlejąca, umierająca, która niby jest opiekunką tych panien a tak nie wie co one robią, że nawet za mąż wydają się bez jej wiedzy. I jest jeszcze sąsiad, wieczny spiskowiec, który w komedyi nie ma nic do roboty, tylko zbiera składki na wielkie narodowe cele, a kto mu odmawia temu grozi, że dzienniki patryotyczne obrzuca go błotem.

Pojmuje się, że to co *teraz* koło siebie widział, (on co lepsze czasy pamiętał), mogło Fredrę mierzić i gniewać, i że ta indygnacya pchała go do pisania jak niegdyś Juwenala: „*difficile est satyram non scribere.*“ Pierwiastki tego wszystkiego są między nami: jest i ten pociąg do kuponu i do giełdy, ta wiara w pieniądź jedynie, którą słusznie wyszydza i gromi. Jest i lekkomyślność taka jak u Joanny i Ernesta, jest i brak woli, niedołęztwo takie jak u Leona, są i stare elegantki, które serce i umysł mają tylko dla swoich nerwów i dla swoich kapeluszy, są wreszcie i tacy panowie Podziemscy, i takie dzienniki... patryotyczne! I dla tego komedya mogła być bardzo głęboką, bardzo znakomitą. Tylko na to potrzeba było dwóch rzeczy. Naprzód rozwinięcia tego pomysłu, jakiejs intrygi, jakiejs akcyi, komedyi, a nie dyalogowego obrazeczka. Powtóre, uzupełnienia światła w obrazie, dobrej strony medalu, którego odwrotną stronę tylko autor pokazał. Gdyby ten akt jedyny był tylko pierwszym aktem dużej komedyi, gdyby tak zarysowane charaktery i stosunki były się rozwijały w działaniu i okazywały w skutkach, to rzecz mogłaby była stać się bardzo zajmującą. Bardzo zaś nauczającą i prawdziwą, i może potrzebną, gdyby obok tych płochych, lub ośchłych, lub cynicznych, lub głupich, lub nieuczciwych, autor był postawił i ludzi porządnych. Bo tak przecież znowu nie jest, żeby *teraz* panny miały głowy tak puste jak Joanna, albo tak suche jak Agata, a starsze kobiety tak mało powagi jak Baronowa, żeby młodzi byli albo tak lekkomyślni jak Ernest albo tak do niczego jak Leon, żeby gonitwa za pieniędzmi była zaraziła wszystkich, aż do młodych dziewcząt. Nie: *teraz* jesteśmy lepsi na prawdę niż w tym satyrycznym

obrazku, a w młodym pokoleniu, kobiecym czy męskim, są dzięki Bogu tacy, którym wierzyć można, że *kiedyś* ludzie będą lepsi niż *teraz*, a przynajmniej nie gorsi. Są panny takie, że tylko za nie Bogu dziękować i prosić żeby nigdy gorszych nie było, są młode chłopcy z energią, z charakterem, z zawodem, z nauką, z pracą, może nawet *teraz* jest ich więcej niż bywało dawniej. Są może głupie lafiryndy, ale w porównaniu z poważnymi, roztępnymi, wzorowymi kobietami jest ich mało: są niezaprzeczenie tacy, co „obrzucają błotem“ — ale są przecież nawet i tacy, co się ich nie boją. Tak źle jak w tej komedii *Teraz*, jeszcze u nas nie jest i nie zdaje się, żeby tak źle być miało. Oczywiście autor byłby to wszystko uwzględnił, gdyby był pisał dzieło a nie drobnostkę: a my robimy te uwagi nie dla tego, żeby go strofować, ale iżby wyrazić nasz żal i powszechną szkodę, że z pomysłu tego bogatego w mądre i przydatne prawdy, zamiast drobnostki nie zrobił dzieła.

Oto jak nam się wydają pośmiertne komedye Fredry z tegorocznej seryi: za rok, jeżeli nic nie przeszkodzi, zdamy sprawę z ostatniej.

St. Tarnowski.

Do „Reformy Stosunków Wiejskich.“

X.

O PRZEMYŚLE DOMOWYM.

(Dokończenie).

V.

Jeżeli przemysł domowy z natury swojej wszędzie wymaga opieki, to tem więcej jest ona nieodzowną w Galicyi, gdzie przemysłu tego dotąd zupełnie prawie nie ma, (lub zupełnie pierwotny, surowy, zastarzały, ograniczony na bardzo mały zakres) — gdzie lud wiejski *w ogóle*, lubo obdarzony wielu zdolnościami, ciemny jest, zupełnie nieprzemysłny i do pracy niechętny, wreszcie gdzie niema wcale ducha przedsiębiorczego. Opieka też ta musi być wykonywana, przez długie jeszcze czasy, jeżeli idzie rzeczywiście o otwarcie nowych źródeł dochodów, i to w dwojakim kierunku: *naukowym i handlowym*.

Tylko przez naukę może być przemysł domowy wzbudzony, lub wydobyty z pierwotnej produkcyi do produkcyi ulepszonej, któraby go robiła zdolnym do konkurencyi. *Nauka* musi podać: nowe sposoby pracy, nowe wzory, wskazać użytkowanie nowych materyałów, obznajomić z użyciem nowych

pomocniczych narzędzi. Nauka musi spowodować ulepszenie wyrobu co do jakości i trwałości, gustu, mody; nauka musi wprowadzić podział pracy, a wreszcie przez uproszczenie, przyspieszenie i zwiększenie produkcyi wpłynąć na obniżenie cen za wyrób.

W kierunku tym działać można jedynie przez *specyalne szkoły dla przemysłu domowego*, gdy zaś idzie tu o przemysł domowy *wiejski*, przeto szkoły te tylko *po wsiach*, w pewnem choćby tylko teritorialnem skombinowaniu ze szkołą zwykłą zakładane być powinny. Zakładanie ich po miastach albowy celowi zupełnie nieodpowiadało, albo też musiałoby osiągnięcie celu utrudniać, odraczać, jako przeciwne temu, czego natura sprawy wymaga.

Uposażenie szkół takich w siły i przybory naukowe musi być odmienne dla każdej miejscowości i dla każdego rodzaju przemysłu, musi podlegać ciągłym zmianom — i muszą być zakłady te z miejsca na miejsce przenoszone, według potrzeby, co również z natury sprawy wynika. Stała norma, instrukcyja, plan, jest tu niemożliwy, gdyż ma się do czynienia z warunkami najrozmaitszemi, do których się w każdym danym razie stosować, zmiany i zakres uwzględniać, a nawet je przewidywać i wywoływać potrzeba, dla zabezpieczenia żywotności nauki, *zastosowanej* ściśle do wymagań przedmiotu i do fluktuacyj handlowych. Dlatego też urządzenie szkół takich wymaga znawstwa, specyalnych ludzi, ciągłej baczności, nadzoru specyalnego. Działanie szkół tych, ma wprawdzie na celu i los dalekich pokoleń — musi wszelako dążyć od razu do osiągnięcia najbliższych korzyści, musi być ściśle praktycznem, dającem uczniom bezpośredni rychły *zarobek*. Tem samem szkoły te różnią się zupełnie od szkół zwykłych mających za zadanie w ogóle oświatę; a celem swoim, lecz nie organizacją zbliżają się do warsztatów rękodzielniczych wzorowych — *ateliers modeles*.

Przypuściwszy osiągnięcie wymienionych korzyści z specyalnej nauki — wcale by ta opieka sama jeszcze przemysłu domowego na wielką skalę nie stworzyła, ani ubezpieczyła; potrzeba bowiem do tego zabezpieczyć mu, stworzyć, urządzić obrót i powodzenie handlowe. Pod tym względem jak to już wyżej wspomniano, przemysł domowy, uprawiany przez

liczne tysiące, aby się korzystnie utrzymał i rozwijał wymaga: znawstwa całego zakresu danego przemysłu u nas i zagranicą, rachunkowości, organizacji pracy, magazynów materiałów z pierwszej ręki nabywanych, zapewnienia dostawy tych materiałów, kalkulacji kosztów produkcji i cen, stałego odbytu, ciągłej styczności ze źródłami odbytu, uwzględniania zmieniających się ciągle wymagań — słowem kupieckiej zbiegliwości i przemysłowej przedsiębiorczości.

Niepotrzeba udowadniać, że lud nasz sam, choćby wyuczony ulepszanego przemysłu domowego, nie jest i nigdy nie będzie w stanie uprawiać go stale na szeroką skalę i na eksport — odbyt zaś krajowy prawie żadnej nie gra tu roli. Dopomóż w tym względzie ludowi i krajowi i trzeba i można; stać się to wszelako może nie przez pomysły filantropijne, nie przez wystawy, nie przez zaliczki pieniężne, w ogóle nie przez kredyt, który lud po większej części *zużywa* nieprodukcyjnie, a co do przemysłu domowego nigdyby go należycie używać nie mógł i nie umiał, — ale stać się może jedynie przez opiekę wykonywaną w ten sposób, że kraj, bezpośrednio, lub pośrednio weźmie sprawę przemysłów domowych w swoje ręce i poprowadzi jako interes, jako przedsiębiorstwo.

Jeżeli interes ten ma warunki pomyślnego rozwoju i może się rentować, to zorganizowanie go i handlowa eksploatacja może być zadaniem tylko odpowiedniej inteligencji, działającej na podstawie odpowiedniego kapitału.

Bez tych warunków nigdzie, a więc i u nas sprawa tego rodzaju powieść się nie może. Weźmy porównanie. Instytut techniczny w Krakowie wydawał, a obecnie politechnika we Lwowie wydaje wszelkiego rodzaju inżynierów; lecz czyliż przez to kraj przyszedł do posiadania *wielkiego przemysłu* fabrycznego, którego kierownikami są inżynierowie? bynajmniej; owszem inżynierowie nasi po większej części, muszą szukać gdzieindziej pracy i chleba. Tak samo szkoły przemysłu domowego, mogą usposabiać pewną ilość producentów, pionierów zaledwie wobec tego, że ich tysiące potrzeba — lecz ci producenci to dopiero przemysł *in potentia*. — Ażeby się stał, wszedł *in actum*, do tego oni nie mają wcale sposobu. Inżynierowie mają przynajmniej w swojej inteligencji kapitał, a mogą sami wyszukiwać i otrzymywać materyalny kapitał —

lecz czyliż n. p. Bartki koszykarze, albo Mykity snycerze itp. mogą każdy zosobna mieć swoje magazyny, sprowadzać materiały, korespondować z miastami portowymi i z Ameryką, trzymać specjalne pisma z wzorami, być *au courant* ulepszeń mechanicznych, kierunków ruchu handlowego i mody, uorganizować sami podział pracy, liczyć się ze zmiennymi trudnościami konkurencyi? To wszystko jest i będzie zawsze dla nich niemożliwem, a zatem albo porzucą wyuczony przemysł, bo sobie nie dadzą rady, albo wrócą do zakresu pracy miejscowej, jak dotychczas — a wtedy niema już mowy o przemysle domowym, jako o czynniku w ekonomii krajowej i niepotrzebne były zachody.

Potrzebne są przeto dla przemysłu *domowego* inteligencya i kapitał z góry, z po za ludu — a mogą one być albo *swoje krajowe*, albo *obce*.

Dla krajowych kapitałów, odstręczonych już poniekąd od giełdy i spoczywających, odślaniają się tu sposobności do korzystnej lokacyi, do *pracy* w przedsiębiorstwach zawiązywanych w celu eksploatacyi tego lub owego przemysłu domowego. Przedsiębiorstwa tego rodzaju powinny też znajdować wszelaką zachętę, ułatwienie, pomoc ze strony kraju przez *Wydział krajowy*. W tym celu potrzeba, ażeby sejm obok szkół dla przemysłu domowego uchwalił także pewien wieczysty fundusz (nie potrzeba więcej jak 50,000 złr.) w celu racjonalnego, ekonomicznie uzasadnionego dźwigniania przemysłu domowego. Manipulacya tym funduszem przedstawia się w następujący sposób:

Należy wyjść z przypuszczenia, że już szkoły specjalne istnieją i pozostają pod zarządem, czy nadzorem Wydziału krajowego, przez utworzenie specjalnych do tego delegatów, czy komitetów. W takim razie *produkcyja samychże szkół*, oraz wyuczeni w nich rolnicy pozostają w pewnej zależności od ustanowionych organów Wydziału krajowego. Tenże albo sam wzbudza, albo przystępuje z udziałem, jako *z pożyczką*, do przedsiębiorstw, któreby się zawiązywały, jeżeli uczestnicy dają z charakteru i zdolności odpowiednią gwarancyą. Dla uzyskania pożyczki krajowej potrzeba, ażeby przedsiębiorstwo wykazało: co i w jaki sposób chce eksploatować — czy i gdzie zamierzone wyroby mają zapewniony odbyt, na jakie rozmiary —

jakie koszta produkcji, porównanie cen, z cenami zagranicznymi — jakie potrzebne materiały i narzędzia pomocnicze, czy i w jaki sposób zapewniona ich uprawa, lub dostawa — jaki potrzebny kapitał — jaki może być obrót, jakie *w przybliżeniu* zyski. Przedsiębiorstwo może być spółkowe, lub też jeden przedsiębiorca. — Jeżeli powyższy wykaz, plan, obliczenie, okażą się istotnemi, po zbadaniu okolicy i sprawdzeniu wszystkich przytoczonych danych (o ile to da się obliczyć), Wydział krajowy przystępuje do przedsiębiorstwa z pewnym kapitałem. Kapitał ten zostaje ulokowany na bieżący rachunek w najbliższej instytucji kredytowej — i wypłacany przedsiębiorstwu w miarę potrzeby wykazywanej, oraz jeżeli przedsiębiorstwo warunków *dalszych* dotrzymywać będzie. Kontrolę zatem całego interesu będzie Wydział krajowy utrzymywać przez swoich delegowanych, dla których niemoże być tajemnicy — gdyż właśnie na największej zyskowności krajowi zależy. Warunki zaś *dalsze* przedstawiają się jako konieczne:

- a) że przedsiębiorstwo będzie ludowi dostarczać materiałów po cenach hurtownych;
- b) że będzie mu dostarczać narzędzi i maszynek na spłatę powolną, wyrobami, tak, żeby lud doszedł do własnych narzędzi;
- c) że ceny płacone ludowi za wyrób, będą na każdy sezon obliczane z udziałem delegata Wydziału krajowego;
- d) że coroczna kampania przemysłu domowego *obejmować będzie tylko 6 zimowych miesięcy*, od października do marca włącznie — w których lud od zajęć rolniczych ma dużo wolnego czasu, zatem bez uszczerbku dla rolnictwa niemniej i bez uszczerbku dla przedsiębiorstwa, które będzie miało czas na zaopatrywanie magazynów materiałowych, na obroty handlowe, podróże i t. d.

W tych warunkach, raz z góry danych, przemysł rozwijany, na takie tory pchnięty, pozostanie już w nich na zawsze, bo zwyczaj przemysłowe i handlowe w ogóle są nieruchome, są stałe, zmiany trudne do przeprowadzenia, a tem bardziej u ludu wiejskiego, z natury konserwatywnego.

Przedsiębiorstwo złoży kaucyą odpowiednią — a od udziału — czyli od *pożyczki* krajowej — opłacać będzie pewien niski

procent. Pożyczkę tę udzielaną na lat kilka, będzie przedsiębiorstwo spłacać rocznymi ratami, sposobem amortyzacji, a będzie ona zabezpieczoną na interesie skryptem dłużnym, notaryalnym. Udział taki kraju *w jednym* przedsiębiorstwie może wynosić najwyżej 3000 złr. — gdyż o ile wiem — cały kapitał nie potrzebuje być większy jak 6000 złr. I wtedy dopiero pożyczka krajowa, poprzednio przyznana, może być podniesioną, gdy już przedsiębiorstwo własny kapitał w interes włożyło.

Nie piszę tu ustawy, ani kontraktu, ale tylko zasady do jednej i drugiego — zasady, które przy obleczeniu ich w prawnicze brzmienie mogą oczywiście doznać uzupełnień i zmian. Wskazuję tylko podstawę, możność układu, a zarazem jego potrzebę. Ta bowiem wynika raz z treści warunków (*a, b, c, d*), oraz ztąd, że trzeba ułatwić i pobudzić to, do czego nikt dotąd się nie bierze, pomimo, że się tak dużo niby mówi i pisze o przemyśle domowym. I mam to przekonanie, że bez czynnej pomocy w kierunku handlowym, mniejsza w jaki sposób, ze strony kraju i przedsiębiorstw krajowych, opartych na zysku, a nie na filantropii — nigdy do korzystnego dla kraju rozwoju przemysłu domowego nie dojdziemy, albo też urządzą go obcy kapitaliści, dla korzyści swojej, lecz bez względu na korzyści dla ludu i dla kraju. Przekonanie to przyjmą może za swoje rozważni czytelnicy, jeżeli nie znajdą argumentów na zabicie wszystkiego tego, co dotąd mówiłem.

Wskazany udział kraju nie może być pod żadnym względem porównywany do osławionych warstatów narodowych, ani też z mocy takiego mylnego porównania potępionym. Są to sprawy zupełnie innego znaczenia i toku. Nie idzie tu bowiem o to, żeby kosztem kraju dawać pracę i produkować bez względu na odbyt — ale o to, żeby bez ryzyka i bez niepowrotnych wydatków ułatwić pracę, która *sama przez się* już istnieje, dać jej tylko możność wzrostu, ułatwić odbyt na produktu tej pracy; żeby wziąć w ręce sprawę, która *w ten sposób i przez to* nie wykolei się i może stać się pożyteczną i korzystną dla ludu i kraju. Gdyby zresztą nawet w pewnych wypadkach pożyczka krajowa została straconą, to dotyczyć to może małej, ograniczonej sumy, a nadto zyski w innych wypadkach osiągnięte, mogą stratę wyrównać. Na głębokie wier-

cenia łożą często rządy i kraje znaczne sumy, nie wiedząc, czy się czego dowiercą, a przecież nikt tych nakładów za niepotrzebne, lub szkodliwe uważać nie może. Tutaj rozłogą usiłowań i nakładów drobnych ma być *lud wiejski* — a ta gleba warta zaiste zachodu. Ostatecznie udział kraju, zapewniający mu nadzór i kontrolę, jest w podanym projekcie ograniczony także co do czasu — a po latach, gdy sprawa cała wejdzie na właściwe tory, daną będzie możność zupełnego wycofania się. Gdy sprawa dojrzeje, pójdzie o swoich siłach, a nawet trzeba się starać, aby to dojrzenie przyspieszyć. Udział przeto kraju, oraz przedsiębiorstwa mają dać producentom ludowym to, co sobie producenci miastowi sami zdobywają przez *stowarzyszenia*. Wiejskich przemysłowców trzeba zespolić bez formy stowarzyszeń — a to nie jest ani „*organisation du travail*,” ani „*ataliers nationales*“.

Inaczej przedstawia się rzecz, gdyby oprócz szkół nie było *ze strony kraju* tej drugiej *przedsiębiorczej* opieki. Wówczas przedstawiają się dwie alternatywy: albo z braku przedsiębiorstw, szkoły, nauka, nie będzie mieć żadnych (większego znaczenia) skutków i z nauką przemysłu domowego stanie się *tosamo*, co z nauką czytania, które lud zapomina, gdyż wyszedłszy ze szkoły, całe życie książki nie widzi. Tak i tutaj, gdy lud wyuczony wprawdzie, nie będzie miał jednak: *czem, o czym, na czym, z czego, dla kogo i według ciągle ulepszanych sposobów* nauki wykonywać — zapomnieć i zaniechać jej musi. Albo też jeżeli tylko szkoły stworzą możność zyskowej eksploatacyi, pojawią się obcy eksploatatorowie, i sprawę zwiną, nadzieje w niej pokładane przepadną, owszem lud i kraj poniosą szkody. Wynika to z natury rzeczy, i wtedy pojawi się to wyżej przewidywane niebezpieczeństwo.

I powracam jeszcze do tego przedmiotu, gdyż jest on tu decydującym, stanowczym, sam się pod rozwagę ciągle narzuca i nie można dosyć z każdej strony go badać.

Jest to korzystnem dla krajów zacofanych pod względem rozwoju *wielkiego przemysłu*, jeżeli napływają doń obcy przedsiębiorcy i specjaliści i obce kapitały, które w kraju *pracują, produkują*, płody surowe przerabiają i uprawę ich podnoszą; przynoszą zasoby inteligencji; eksploatując surowe płody i przerabiając je dają pracę nową ludności krajowej; podnoszą war-

tość płodów surowych; szerzą nowe wiadomości; tworząc ogniska wielkie fabryczne, podnoszą konsumpcyą, tem samem pośrednio na rolnictwo korzystnie wpływają; wywołują inne, pokrewne, poboczne zajęcia i ostatecznie cała ta praca *obcych* jako związana ściśle z krajem, *osiadła*, od losów jego zależna, *narodowije* i narodowięją następcy pierwszych przybyśzów. Do tej kategorii należą n. p. koleje żelazne, kanały rzeczne, przedsiębiorstwa, kopalnie i t. p. (Nie należą zaś tutaj n. p. tartaki parowe, które stawiają u nas *obcy*, dla *wycinania lasów*, za bezcen od lekkomyślnych lub zadłużonych właścicieli nabywanych, a po wycięciu, pozostawiając *pustkę*, przenosząc się gdzieindziej).

Inaczej zupełnie ma się rzecz z przemysłem domowym. Tutaj przedmiotem eksploatacyi nie byłyby *odnośnie do obcych*, płody krajowe, *ale praca ludu*, nie obcy kapitał i inteligencya byłyby tu siłą produkującą, ale jedynie obcy kapitał narzucałby *pracy i produkcji ludu* swoje nieubłagane warunki, lud byłby wyzyskiwanym niewolnikiem, byłby partym do porzucania roli, a do wyłącznego oddania się *rękodzielnictwu*, przez co los jego tyłkoby się stawał cięższym, zależność większą, wpływ *dowolny* obcych na lud ułatwionym, obcy bogaciliby się, a lud pomimo przemysłu popadałby w nędzę; zrywałyby się, zamiast zacieśniać, jego stosunki z krajem, z innemi warstwami ludności; niewolnik obcych, socyalnie upośledzony, byłby łatwym w ich ręku narzędziem. kraj szedłby zupełnie inaczej jak zamierza, zupełnie gdzieindziej; przywrócenie harmonii społecznej napotkałoby nowe trudności, gdyż nowe powstałyby socyalne na wsi stosunki, rolnictwo cierpiałoby na tem bezpośrednio — a odrabiać potem, co się znowu zaniedbało, byłoby niezmiernie trudno. Tak więc mylnie pod względem ekonomicznym pokierowanie sprawy, mściłoby się na kraju pod każdym względem, bo taka łączność interesów jest właśnie charakterystyczną cechą w działaniu wszelkich ekonomicznych czynników.

Nie stałoby się to zapewne od razu, owszem z początku mogłyby się zdarzać *pozory* mówiące co innego, ale rozważanie wszystkich przejawów sprawy, względ na całą przyszłość, rozważanie oparte i na naturze rzeczy i na doświadczeniach analogicznych, nie może do innych rezultatów prowadzić.

Wołanie przeto „*caveant consules*“ jest tu na miejscu. Tyle co do opieki kraju.

Pozostaje jeszcze rozważyć stosunek sprawy *do rządu — kwestya podatkowa*.

Jeżeli rząd wziął inicjatywę i łoży kosza na przemysł domowy — toć należy, żeby nie zabierał jedną ręką tego, co drugą dał, żeby nie obalał od razu i nieumożliwiał wzrostu tego, co sam zaczął budować. Obowiązujące dotychczas odnośnie do przemysłu domowego przepisy podatkowe polegają na zasadzie trafnej, zdrowej, zgodnej z naszym zapatrywaniem, orzekają bowiem: że przemysł domowy, jeżeli jest tylko pobocznem, pomocniczem zajęciem *rolnika*, którego utrzymaniem głównem jest rola — *nie podlega podatkowi* — jeżeli zaś jest wykonywany jako *rzemiosło*, wobec którego rola jest ubocznem zajęciem, wtedy musi opłacać podatek zarobkowy. Schodzi się przeto tutaj przepis z naturą rzeczy, potwierdza nasze zapatrywania, nasze wymagania, granice i charakter, jakiśmy dla przemysłu domowego wskazali.

Inna rzecz wszelako zasada, a inna jej zastosowanie, zwłaszcza w Galicyi, gdzie śruba podatkowa stała się już jak gdyby elementarną klęską, zmorą dławiącą wszelkie kiełkowanie przemysłu, więc szkodliwą i dla skarbu państwa, skoro niszczy w zarodzie, lub zamyka już istniejące, źródła dochodów. *Sprawozdanie komisji kultury krajowej w przedmiocie szkół rękodzielniczych* ¹⁾ przygotowane dla sejmu w r. 1877 powiada: „...niemal powszechnej obojętności dla przemysłu rękodzielniczo-domowego nie podzielała i nie podziela stanowczo tylko jedna klasa ludzi w społeczeństwie naszym *to jest inspektorowie podatkowi*. Oni bowiem pilnie śledzili i śledzą ciągle za każdorazowym przemysłem rękodzielniczym, utrzymują ewidencją pojedynczych pracowników i miejscowości, w których wykonywany bywa, a znaczenie i rozwój jego oce-

¹⁾ Byłbym za nazwą „*szkoły zawodowe*“ (*ecoles professionnelles*) jako ogólniejszą, obejmującą i szkoły rękodzielnicze, t. j. dla rękodziel i szkoły dla domowego przemysłu. Przymiotnik *rękodzielnicze*, oznacza szkoły dla *rękodzielników*, więc niestosowny jest dla szkół przeznaczonych dla *rolników*. Chcąc uniknąć dwóch nazw osobnych, trzeba przyjąć termin dla obu właściwy. (Przyp. autora).

niają nakładaniem nań wyższych lub niższych opłat pod formą podatku zarobkowego. Uwolnienie więc przemysłu rękodzielniczo-domowego z pod gniotącego go *fiskalizmu i prześladowań inspektorów podatkowych* uważa komisya za pierwszą podstawę do podźwignięcia i rozwoju przemysłu domowego i w tymto celu... przedstawia wysokiemu sejmowi osobną rezolucyę do uchwały: „Wzywa się c. k. Rząd, ażeby nakazał organom podwładnym, iżby przy nakładaniu podatku zarobkowego ściślej przestrzegali rozporządzenia Ministerstwa skarbu z d. 23 stycznia 1857 l. 6561, tudzież rozporządzenia krajowej Dyrekcyi finansowej z 14 kwietnia 1851 l. 18154, w myśl których *rękodzielnictwo* (powinno być: *zajmowanie się*) przemysłu domowego o ile nie jest stałem zarobkowaniem, wolnem jest od podatku zarobkowego.“

Otóż gdyby się i stało zadość tej rezolucyi, wystarczyłby to nie mogło — niemniej wymiar podatku pozostawiony byłby *dobrej woli i światłemu uznaniu (!) inspektorów podatkowych*. Zdaje mi się, że sprawa wymaga w tej mierze innego ubezpieczenia. Przemysł domowy, (nie rękodzielniczy) — bez przedsiębiorstw, któreby go na wielką skalę organizowały, żadną miarą opodatkowaniu podlegać niepowinien, będąc ostatnim ratunkiem ludu od nędzy. Są zaś dwa kriteria, od których ta wolność od podatku zależeć powinna: nie od ilości, ani od jakości produkcji, ale od jej czasu i warunków, czyli: 1) jeżeli przemysł domowy jest wykonywany niestale, ale tylko w pewnych porach — 2) oraz jeżeli zajmuje *wyłącznie rodzinę* w jej chacie, jeżeli ona niema warstwu *rękodzielniczego*, to jest, jeżeli nie utrzymuje robotników, (chłopców, czeladzi) do tego przemysłu, w takim razie winien on być zupełnie wolnym od podatku zarobkowego. Ocenienie *tych* dwóch okoliczności, nie zostawi już pola dla samowoli inspektorów. Przy organizacyi dopiero przemysłu tego przez przedsiębiorstwa — może racjonalnie nastąpić wymiar podatków, nie na pracowników, ale na *przedsiębiorstwo*, obracające kapitałem, nie dla niezbędnych potrzeb do życia, ale dla zysku. Tym sposobem nie stanie się nikomu krzywda, i nie będzie usunięta z pod opłat państwowych żadna gałąź produkcji. Tak postawiona sprawa nie da się załatwić drogą rezolucyj sejmowych, ani drogą wyjątkowych dla Galicyi przepisów —

lecz jedynie drogą *osobnej*, ad hoc ustawy dla całego państwa — w czem inicjatywa należy do naszej delegacyi. Ta droga jest też wyjątkowo łatwiejszą, prędzej może do celu doprowadzić — obecnie bowiem sprawy przemysłu domowego zajmują wszystkie kraje państwa austriackiego; nie tylko w Galicyi, wszędzie jedno gniecie, poparcie ogólne prawie jest pewnem; podnoszono już w rajchsracie ucisk podatkowy przemysłu domowego w Czechach — niechajże przeto wniesienie i tej naglącej, zaradczej ustawy od nas wyjdzie. Dodać jeszcze wypada, że należałoby i sposób wymiaru podatków dla *przedsiębiorstw* przemysłu domowego dokładnie określić — uwolnienie ich bodaj przez pierwszy rok, byłoby racjonalnem.

Jeżeli by zaś nie *osobną ustawą*, to może przy ogólnej reformie ustaw podatkowych, będzie pora do zabezpieczenia przemysłu domowego na zasadach tutaj nakreślonych.

VI.

Z kolei rzeczy potrzeba nam się rozpatrzeć w rodzajach przemysłu domowego, oraz w dotychczasowym stanie i toku tych spraw w Galicyi.

Najprostszy podział zdaje się tu być według tego, do którego królestwa przyrody należy materiał przez przemysł domowy przerabiany.

Królestwo roślinne następcza:

Drzewo: snycerstwo ozdobne, artystyczne, wyrób ramek, pudełka ozdobne (na cukierki) słomą kolorowaną wykładane, na zapałki, na pakunki z giętych, cienkich deszczulek, na cygara — lalki, zabawki — łyżki, widelce, drobne naczynia kuchenne — (nie bednarskie, które wymagają rękodzielniczej produkcji i urządzeń). Dalej pręty wiklinowe, włókno, korzenie, słoma, trawy na wyrób koszyków i kapeluszy.

Wyrób lasek, cybuchów, fajek, cygarniczek — szczególniej przemysł cybuchowy, któryby pobudził do uprawy drzewa wiśniowego.

Len, konopie, tkactwo płóciennicze, zatem idące blichy, barwienie tkanin, apretura; wkraczające już w dziedzinę fa-

bryczną — hafty, koronki, wyrób bielizny stołowej, obrusów, ręczników itp. wełna, tkactwo sukiennicze.

Królestwo zwierzęce: Kości dla rzeźby ozdobnej, na oprawy do narzędzi stołowych, do szczoteczek;

Włosie na plecionki, sita, szczecinę na szczotki w oprawie drzewnej lub kościanej;

Kiszki, jelita z owiec i kóz na wyrób strun dla instrumentów muzycznych.

Królestwo mineralne: Drut i blacha — druciarstwo, koszyki, łapki, naczynia; marmur, alabaster, granit na drobne ozdobne, rzeźbiarskie wyroby, wymagające istnienia *rękodziela* kamieniarskiego, któreby dostarczało materiału, przy którym mogłyby się krzewić. Oto zdaje mi się wszystko. Niemal we wszelkich tych kierunkach znajdujemy zarody, lub ślady istnienia dawniej przemysłu domowego.

Jako przemysł *rękodzielniczo-fabryczny*, który po części może posługiwać się przemysłem domowym, brać od niego części przysposobione, lub półwyroby i rozwijać po wsiach, wymienić można; kamieniarstwo, wyrób instrumentów muzycznych, zegarów ściennych, i poniekąd garncarstwo, lubo to ostatnie jest już wyraźnem *rękodzielnem*, lub fabryką, z piecami itp. z wyłącznemi swojemi wyrobnikami — i tak samo jak sukiennictwo niepotrzebuje koniecznie wsi — lubo idzie o to, żeby i garncarstwo i sukiennictwo właśnie po wsiach sadować, pozostawiając miasteczkom warsztatowe *rękodziela*, lub nawet pewne rodzaje *domowego* przemysłu, ale wymagające znowu nieodzownie warunków miastowych.

Do tych ostatnich policzyć można: drzeworytnictwo, introligatorstwo papierowe, sztuczne kwiaty, obrazki.

Rękodzieł wymieniać tu nie potrzebuję, lecz wypada wskazać, że niektóre z nich, nie tracąc *swego* charakteru, a nie nabierając charakteru domowego przemysłu, mogą i po wsiach się gnićdzić n. p. wyrób kłódek w Świątnikach, gwoździ w Sułkowicach, butów w wielu okolicach; lubo zawsze niesta są dla nich właściwszemi. Określenie w każdym razie łatwo zrobić według podanych powyżej czterech znamion — tu zaś zajmują nas tylko odmiany domowego przemysłu.

W pojęciach panuje w tych sprawach u nas jeszcze wielki zamęt, rzecz bo jest na nowo od niedawna podjęta —

niema też wcale ani utartego słownictwa, ani żadnej literatury, gdyż frazesowe nawoływania pewnych dzienników nie mogą tu wchodzić w rachubę. Jedna wyszła dotąd broszurka pod tytułem: „O potrzebie rozwoju przemysłu domowego w Galicyi.“ Autor, niejaki p. Gniewosz, mówi w niej o wszystkich możliwych rzeczach, o szatanach, łańcuchach, zdrajcach, lichwie itd. — najmniej zaś o przedmiocie na tytule wymienionym. Nie można mu zresztą dobrej (tylko za krzykliwej) woli odmówić, ale niedostaje mu wszelkich kryteriów, wszelkiego ładu; sam sobie nie zdał sprawy czego chce, wszystko miesza z sobą, tak, że broszurka jego mogłaby raczej nosić tytuł: bigosu z sosem pieprznym, wyłącznego tromtadratycznego patryotyzmu. Dla przykładu przytoczę: że każe on hucułów uczyć ciesielki, aby budowali *wille*, któreby sprzedawali *amatorom*; szewstwo, krawiectwo, białoskórnicstwo, masarstwo, handel pstrągami, wyrób soków, konfitur, pachnideł, pomady, handel ziołami, wędzonemi półgęskami, wyrób mydła, szwarcu, farb, laku, rzeszowskiego złota, galanteryj, ubrań włóczkowych, ry-marstwo, siodlarstwo, wyrób parasoli, wachlarzy, kuferków podróжных, torb, ładownic itd. itd., to wszystko u niego przemysł domowy. Dziwić się trzeba, że autor tak jest skromny i powściągliwy w swoich zapatrywaniach, gdyż mógłby wypisując po prostu szyldy wszystkie choćby tylko we Lwowie potroić swoje dzieło, o rzekomym przemyśle domowym. Każdy wyrób zdolny do handlu, każdy materiał zdolny do wyrobów, bez względu czy na wsi, czy w mieście, czy w domu, czy w fabryce, czy zbiorowo, czy z osobna, każda zręczność, każde amatorstwo; to wszystko według autora należy do przemysłu domowego. Opisuje on nawet nader patetycznie jak huculi polują na niedźwiedzie — więc chyba i polowanie w cudzych lasach zalicza do przemysłu domowego.

Nie mogłem pominąć tej broszury, gdyż (po za pracami biura statystycznego przy Wydziale krajowym), jest to jedyny okaz literacki, z tytułu tutaj należący — a potem ramota ta ogłoszoną została przez pewne dzienniki jako ekstrakt badania i patryotyzmu — a nawet poważne pismo „Rolnik“ przyznało jej wartość pewną — już chyba z racji przysłowia „na bezrybiu i rak ryba.“

Są przeto u nas warunki do rozwoju przemysłu domowego dane przez przyrodę w płodach i zdolnościach ludu. Stopniowi tej danej możliwości nie odpowiadają jeszcze dotąd wcale zachody około tej sprawy, boć dopiero od kilku lat się datują, a krótkość sesji sejmowej r. 1877 przeszkodziła wejściu w wykonanie wielu projektów już przygotowanych. Jest wszelako rzecz na dobrej drodze, a idzie o to, żeby została wprowadzoną na zupełnie dobrą, ku czemu nowy marszałek kraju gorliwą już począł rozwijać czynność.

Lecz trzeba nam wrócić do początku, t. j. do inicjatywy rządu.

Rząd postawił jako zasadę: że dla szkół przemysłu domowego będzie dostarczać i utrzymywać nauczycieli, i zaopatrzy je w pierwsze potrzeby, wszędzie tam, gdzie czy to gmina, czy powiat, czy kraj, czy który obywatel dostarczy dla szkoły lokalu, oświetlenia, przez 5 lat i zaopatrywać ją będzie w dalsze przybory i narzędzia itd.

Na skutek takiego postawienia rzeczy, powstały dotąd dwie szkoły za wspólnym udziałem rządu i kraju: *koszykarstwa* w krakowskiem i *garncarstwa* (ceramiki) w Kołomyi.

Inicjatywa ta pobudziła działania samodzielne:

Pani Łukaszewiczowa utrzymuje w Bobowy szkółkę *koronek* dla dziewcząt wiejskich; hrabina Potocka utrzymuje szkołę snycerstwa we dworze w Rymanowie dla dzieci góralskich; dyrektor zakładu sierot hr. Skarbka w Drohowyżu p. Starkel zaprowadził tamże naukę wyrobu pudełek i pewnego rodzaju koszyków; X. proboszcz Momidłowski w Nienadówce założył szkołę koszykarstwa. Towarzystwo Tatrzańskie założyło szkołę snycerstwa w Zakopanem. Zakład w Rymanowie nie jest tylko szkołą, która też w miasteczku nie mogłaby mieć stałych, wiejskich uczniów, ale jest to *zakład dobroczynny*, dający za darmo to, co za opłatą dają t. z. terminatorom majstrowie, właściciele warstatów, to jest, że góralscy otrzymują, we dworze, w szkole, mieszkanie, lub nocleg, po części ubranie, żywność; właścicielka sama łoży na materiały, narzędzia, wzory, itd. Ceny też wyrobów rymanowskich, lubo wysokie, nie mogą na razie być innemi, jeżeli się zważy, jakie są kosza tej produkcji.

Wszystkie te zakłady okazami swojej nauki i pracy zdobyły sobie już w kraju i uznanie i sympatyą. Byle się utrzymały dłużej, niewątpliwie uprawią grunt pod przemysł domowy. Ażeby jednakże przemysł ten istotnie mógł się krzewić — potrzeba myśleć zawczasu o handlowej jego organizacyi, w znaczeniu przedsiębiorstwa ożywionego niemniej widokami ekonomicznymi, jak i tym duchem obywatelskim i humanitarnym, który przewodniczył zakładaniu szkół. Tylko tym sposobem przyszłość każdego z tych przemysłów może zostać ekonomicznie ubezpieczoną, niezależnie od przemijającej dobrej woli inicjatorów. O ile wiemy tylko produkcyja zakładu drohowyskiego została podjętą od razu na podstawie kupieckiej kalkulacyi i dobrze się rentuje. ¹⁾

Na pytanie: gdzie jaki rodzaj przemysłu domowego u nas istnieje, gdzie i jaką szkołę należałoby założyć, odpowiedź już dzisiaj nie jest zbyt trudną. W tym kierunku najwięcej rozwinęto pracy, badań — bo też od tego musiała się sprawa zacząć. Badania te przeprowadziły izby handlowe, od wielu lat zajmuje się tem gorliwie hr. Włodzimierz Dzieduszycki — poszukiwania te, lubo żmudne, ułatwione są przez to, że pierwotny przemysł domowy każdego rodzaju ma swoje peryodyczne co 2 lub 3 tygodnie, *naturalne, tradycyjne wystawy* na jarmarkach w każdym miasteczku. W skutek wniosku posła Biłousa na sejmie r. 1875 polecił też Wydział krajowy poszukiwania w tym kierunku i zdanie sprawy wszystkim radom powiatowym. Zebrał się z tego wszystkiego obfity materiał, który biuro statystyczne Wydziału krajowego rozpatrzyło, uporządkowało, zyskując tym sposobem podstawę do dalszych usiłowań. Jakoż dla sejmu r. 1877 przygotował Wydział krajowy wnioski, (L. W. kr. 11.732/ 877) Aleg. 4., a o nich wygotowała referat komisya sejmowa kultury krajowej (L. 481/S. Aleg. 80.). Według tych

¹⁾ Z otrzymanego podczas korekty listu od X. Momidłowskiego dowiaduję się, że z towarem w szkółce jego wyprodukowanym nie wie co robić. Obok kłopotów o modele, materiały itp. jest to właściwy ekonomiczny sęk. Tylko określone wyżej przedsiębiorstwa mogą skupować drobną produkcyą z całego kraju dla handlu wyłącznie wywozowego. (Przyp. aut.)

dwóch referatów okazuje się potrzeba, lub możność założenia szkół siedmiorakich:

- 1) *Garncarstwa*, w miejscowościach: Mikołajów, Sasów, Alwernia (?) Mirów, Poremba (?) Brodły, Zalas.
- 2) *Tkactwa płócienniczego*: Komarno, Korczyn.
- 3) *Sukiennictwa*: Leżajsk.
- 4) *Garbarstwa i kuśnierstwa*: Bolechów, Rohatyn, Stary Sącz.
- 5) *Stolarstwa*: Zaleszczyki.
- 6) *Kamieniarstwa*: Krzeszowice.
- 7) *Haftów i koronek*: Maków.

Widzimy z tego wykazu, że są w nim pomieszane dwie sprawy: podniesienie *rękodzieł i przemysłu domowego, wiejskiego*. Nieby to nie szkodziło, gdyby szło w ogóle o dźwiganie produkcji kraju. Nie mam też nic przeciw tak szerokiemu zakresowi i pogładowi. Lecz jeżeli idzie w *pierwszym rzędzie* o lud *wiejski*, o przemysł domowy *wiejski*, wykaz powyższy powinienby uleść zmianom, a *raczej* doznać uzupełnienia na rzecz *wsi*.

Dla *rękodzieł* są miasteczka siedzibą właściwą, gdyż wymagają one pracowników wyłącznie sobie oddanych; dla przemysłu domowego są tylko wsie właściwemi. Wsie zaś są w powyżej projektowanych szkołach za mało uwzględnione, a mogłoby to wpłynąć w wielu razach na małą użyteczność szkół. Nie każdy bowiem, a raczej prawie żaden przemysł domowy, nie przyjmie się w mieście, chyba, że zamieni się w *rękodzieło*, tak jak na odwrót żadne *rękodzieło* nie da się zamienić w przemysł domowy — natura rzeczy na to nie pozwala, nie pozwalają na to zwyczaje, zajęcia, sposób życia ludności; a co najważniejsza: co do przemysłu domowego polega sprawa na rozwoju zdolności ludu wiejskiego, na użytkowaniu płodów przyrody, ręka w rękę z rolnictwem, więc może się to tylko na wsi odbywać. i tam tylko przemysł domowy znajdzie na miejscu materiały dla siebie.

Kwestya zaś *rękodzieł* po miasteczkach, jest sama w sobie tak rozległą, trudną i zupełnie odmienną, swoją istotą i warunkami, że zupełnie też osobno powinna być traktowaną.

Nie mogąc tutaj szczegółowo wszystkiego przechodzić,

przytoczę dla przykładu, że *garncarstwo* w Kołomyi, lub Alwerni, może być tylko miejskiem rękodzięłem — natomiast we wsi *Kwaczała*, obok Alwerni, gdzie są na miejscu materiały, może być na poły przynajmniej przemysłem domowym, ludowym. A gdy tamże istnieją już budynki pod szkołę, z całym urządzeniem: piecami, młynkami itp., założone przez właściciela Kwaczały, usuwa się przeto potrzeba szkoły w Alwerni, lub sąsiedniej Porembie, a nastęcza się łatwość urządzenia szkoły w Kwaczale, o co też do Wydziału krajowego wniesioną została petycja. Dla tkactwa płócienniczego, dla kamieniarstwa drobnego, haftów i koronek, potrzeba szkół po wsiach — czego w projektach sejmowych dotąd niema — natomiast garbarstwo, sukiennictwo, stolarstwo, kamieniarstwo grubsze, są jako rękodzieła właściwie umieszczone po miasteczkach.

W ogóle kierować się można tylko dokładną odpowiedzią na pytanie o co idzie w każdym danym razie: czy o rozwój rękodzieła, o ludność małomiejską — czy o rozwój domowego przemysłu, o ludność wiejską — a tylko to ostatnie zadanie nas obecnie wyłącznie obchodzi — lubo mamy zamiar osobno rozważyć sprawę podźwignięcia miasteczek na podstawie obrad ankiety w Krakowie w tym celu zwołanej.

Trafnie postąpiła komisya kultury krajowej, że decyzyą ostateczną, zależną od specjalnego zbadania stosunków, pozostawiła Wydziałowi krajowemu, czyniąc następujące wnioski:

„Sejm upoważnia Wydział krajowy do pokrycia kosztów na utworzenie i zaopatrzenie w środki naukowe tych tworzących się szkół *rękodzielniczych* (powinnoby stać: szkół zawodowych), dla których c. k. Rząd ustanowi nauczyciela na koszt skarbu państwa, a gmina dotycząca lub powiat, albo też gmina wspólnie z powiatem, lub pojedyncze osoby przyjmą obowiązki zaspokojenia wszystkich innych jej potrzeb, w szczególności dostarczenia bezpłatnego lokalu, opału, usługi i oświetlenia. Niniejsze upoważnienie rozciąga się i na już istniejące szkoły *rękodzielnicze* w kraju.“ (Tutaj nazwa rękodzielnicze już jest wprost *niemożliwą* — gdyż istniejące szkoły koszykarstwa, snycerstwa, koronek — wcale *nie* są rękodzielniczymi).

Na cele te i z niemi połączone, (o których niżej) zaprojektowany został kredyt do wysokości 9000 złr.

Wskutek braku czasu, na ostatniej przerwanej sesji sejm, nie przyszło do uchwał; będzie to zadaniem sesji następnej. Komisya kultury krajowej, lubo pojęć i zadań ściśle nie określiła, lubo referat jej chroma właśnie na niejasność pojęć i mieszanie z sobą rzeczy wprawdzie pokrewnych sobie, niemniej przeto odrębnych — jednak komisya ta (przewodniczący X. Czartoryski — sprawozdawca Abrahamowicz) trafnym wiedzona zmysłem praktycznym, poszła dalej — żąda czegoś więcej; w czym znowu z nią się w zasadzie schodzimy, tylko i tu rzecz bliżej chcemy określić.

Sprawozdanie powiada:

„.... Komisya mniema, iż z treści sprawozdania i wniosków Wydziału krajowego nie można przyjść do wyniku, jakoby działalność w tym kierunku rozwinięta dostateczną była, a wnioski Wydziału krajowego zamienione w uchwałę czyniły zadosyć najistotniejszym potrzebom, ku rozwojowi i podźwignięciu przemysłu domowego.... Jak każda praca, którą podnieść i do umiejętności posunąć zamierzamy, potrzebuje organizacyi na właściwem jej polu pracy, również i nauka rękodzielnictwa (niemniej przemysłu domowego p. a.) ażeby skutecznie rozwiniętą być mogła, odpowiedziała słusznym oczekiwaniom, każdoczesnym potrzebom i postępowi, wymaga ścisłej i opartej na dokładnem zrozumieniu zadania organizacyi. Że organizacya ta nastrocza niezmierne (?) trudności, przechodzi siły chociażby najbardziej wyczerpującego traktowania przedmiotu na drodze urzędowej, wspartą zatem być musi i inicjatywą pojedynczych i wiedzą fachową i doświadczeniem i głęboką znajomością stosunków, — dość wskazać na to, że nauka rękodzielnictwa w dziale przemysłu domowego ma u nas do zwalczenia i empiryzm na wiekowej tradycyi oparty i przesąd i nareszcie bojaźń przed uciskiem fiskalnym. Że w tych stosunkach cele, zamierzone opieką kraju nad przemysłem domowym, samem tworzeniem szkółek rękodzielniczych (zawodowych) urzeczywistnionem nie będą; że tu z zaprowadzeniem szkółek jednocześnie *trzeba* starać się o uczniów dla tych szkół, zachęcać ich do nauki przez utworzenie i umożliwienie dróg zbytu dla tych poprawnych wyrobów, że wreszcie zakładając

szkoły rękodzielnicze *trzeba* dokładnie wiedzieć, gdzie je rozpocząć, a gdzie ukończyć należy i że Wydział krajowy jako władza administracyjno-autonomiczna całego kraju, bez pomocy osobnego ciała przy nim wyłącznie dla spraw rękodzielnictwa (i przemysłu domowego p. aut.) istniejącego, zadania tego dokładnie spełnić nie byłby w stanie — ani obszerniej uzasadniać, ani ściślej dowodzić, wobec W. Izby komisya nie widzi potrzeby“. Z tych przekonań wychodząc komisya, przygotowała następujący wniosek:

„Sejm poleca Wydziałowi krajowemu przeprowadzenie rokowań z c. k. Rządem w celu utworzenia przy Wydziale krajowym stałej kuratoryi dla spraw rękodzielnictwa przemysłu domowego i upoważnia go do ustanowienia tej kuratoryi bez odwołania się do Sejmu“.

Jestto wniosek nader trafny — więc też w myśl ostatniego ustępu, nowy Marszałek kraju zebrał już grono ludzi, do którego zaproszeni zostali między innymi: hr. Włodzimierz Dzieduszycki, dr. Weigel. dr. Baraniecki — w celu narad nad utworzeniem takiej kuratoryi i zakreszenia jej zakresu działania.

Działanie to z natury rzeczy może mieć za cel przyobleczenie w wyraźne kształty opieki kraju, opieki z góry, bez czego przemysł domowy w naszych stosunkach nie mógłby się rozwinąć. Obejmować zatem musi:

- 1) opierając się na cennej pomocy *biura statystycznego krajowego* opiekę pod względem nauki, wskazywanie miejscowości, w których *po kolei* szkoły zawodowe ustanawiać i można i potrzeba *i na jak długo*. Decyzya w tej mierze, jakkolwiek ułatwiona dotychczasowemi już referatami biura statystycznego, oraz zbiorami odnośnych okazów, wymaga wielkiej baczności, uwzględniając, że idzie o to, żeby szkoła osiągnęła bezpośrednio cel, żeby istotnie przemysł domowy zagnieździła, lub rozwinęła. Nieraz liczne i powabne pozory mogą mylnie wskazywać drogi; może się przyjąć nauka, a mimo to przemysł może się nieutrzymać.
- 2) Wytknięcie sposobów opieki drugiego rodzaju, to jest wypracowanie planu udziału kraju w sprawie już nie nauki, ale wprost handlowej eksploatacyi przemysłu domowego,

planu, którego zarysy poprzednio naszkicowałem, a który przyoblec należy w kształty takie, ażeby dojrzał do warunków pozwalających na urzeczywistnienie go drogą ustawy sejmowej.

Jako zaś pomocniczy środek działania, przedstawiają się konferencye ekspertów, interesowanych, mecenasów po całym kraju urządzone, na to, aby zasilać działanie władzy opinią z dołu zaczerpywaną, ażeby wnioski konferencyj stanowiły podstawę pewną dla uchwał kuratoryi, a zarazem naodwrot, ażeby przez te konferencye budzić w kraju rozumienie sprawy, ochotę do zajmowania się nią, przekonanie o jej ważności i o opiece sejmu i władz krajowych i rządowych dla usiłowań podejmowanych przez strony prywatne.

Kuratoria będzie wprowadzie ciałem honorowem — a działanie *honorowych* ciał jest u nas i słusznie zdyskredytowane — lecz inna tu jest sytuacja, gdy ciało to jest tylko doradczem, a zostaje pod przewodnictwem marszałka i wydziału krajowego, którego referent *z urzędu* swego z pomocy kuratoryi korzystać będzie.

I sprawa nauki i sprawa opieki handlowej są niezmiernie trudne. Przedmiot to jest zupełnie nowy, rozdziela się na liczne odnogi. Każda z nich czego innego potrzebuje; ani człowiek jeden, ani ciało jedno całego obszaru przedmiotu tego znać nie może; potrzeba studyów specjalnych — jeżeli mamy iść na pewniaka. Cieszymy się n. p. szkołą garncarstwa — a są tacy, którzy produkcji tej wcale przyszłości nie rokują wobec tego, że naczynia żelazne, z blachy glazurowanej, będące oczywiście stokroć trwalszemi, stają się tak prawie tanie jak wyroby ceramiczne, że więc mogą je wyrugować, używanie ich ograniczyć. Czy obawa słuszna, nie wiem, bo tej produkcji nie badałem specjalnie. Strałem się poznać bliżej inny rodzaj przemysłu domowego, zdający się rokować u nas najprędsze rezultaty: *koszykarstwo*. Otóż przedstawię tu szczegółowo stan rzeczy pod względem koszykarstwa, które wydaje się na pozór nader prostą i łatwą produkcją, a jest przecież bardzo skomplikowaną, tyle mieści w sobie trudności, tyle wymaga zachodów, baczności, przygotowań, tak jest zależną od wielu okoliczności, że bez włożenia palca do rany, niełatwoby temu można uwierzyć. Otóż,

ab uno disce omnes — poznawszy jaka to trudna sprawa z jednym koszykarstwem, zrozumieć będzie łatwo, że z każdym rodzajem przemysłu domowego ma się rzecz tak samo co do *ilości trudności*, które przy każdym rodzaju są oczywiście co do *jakości* zupełnie odmienne — tak, że każdy rodzaj wymaga takiego szczegółowego opracowania; że bez tego na te nieznane drogi puszczać się nie można, że postaranie się o takie zbadanie, dla ogólnej wiadomości, jest jednym z zadań kuratoryi, a wreszcie ostatni wynik, że w sprawach tych, aby iść naprzód i nie być zmuszonym do cofania się i nie żałować zrobionej drogi, należy działać nadzwyczaj świadomie, powoli i ostrożnie, ale skutecznie, nie połowicznie jak dotąd.

VII.

Kiedy rząd, biorąc inicjatywę, postawił znane warunki swojej pomocy, zgłosił się pierwszy dr. M. Machalski właściciel wsi Sciejowice w Krakowskiem nad Wisłą, z gotowością oddania bezpłatnie lokalu, na szkołę *koszykarstwa*. Przemysł ten domowy, uprawiany jest na wielkie rozmiary w Bawaryi, w prowincyach nadreńskich, gdzie jest znakomitem źródłem dobrobytu ludu. Są tam całe, okolice gdzie kilkadziesiąt tysięcy ludności uprawia jeden przemysł, koszyki, zabawki i t. p., a rolnicy wszelkie nieużytki, piaski, wydmy, brzegi, używają pod uprawę wikła, mając ztąd dochody nieraz większe, niż z pól pszenicznych. Popyt handlowy tak za wikliną, jak za koszykami jest tak wielki, że produkcyja nastarczyć mu nie może. W skutek tego kupcy rzucają się do krajów, gdzie wiklina dziko, obficie rośnie, a mało jest spożytkowywaną i dopieroż tam po *niemiecku* tępią, niszczą, wycinają, gdy nikt na wartości towaru tego zdaje się nie znać i nikomu też o *racyonalne* zużytkowanie go nie chodzi.

Takim krajem jest dotychczas Galicya, w której kupcy wrocławscy wiklinę wycinają, gdzie i kiedy im się podoba, za nader małą zapłatą ¹⁾.

¹⁾ O uprawie wikła koszykarskiego referat Tadeusza Langiego w Tow. roln. krak. r. 1877. Za staraniem p. ministra rolnictwa mają zostać rozpowszechnione rozprawy o tej

Okoliczności wskazywały, że podniesienie koszykarstwa w Galicyi nie będzie rzeczą trudną, tembardziej gdy w wielu okolicach Galicyi istnieje przemysł koszykarski *pierwotny*. Ma to miejsce w okolicy Jezierzan, Skotnik, Rączny.... Wiązownica, Jaworów, Milatyn, Rozdół, Kańczuga, Majdan, Głowianka, Rymanów, Wulka i t. d. w ogóle na powiślu, na po-brzeżach główniejszych rzek, gdzie wiklina się rodzi. Wyra-biają tam z pręci wiklinowych, obranych z kory, całych lub przepołowionych: półkoszki do wozów, kosze plecne, ducki na węgle i t. p. wyroby surowe, które znajdują odbyt na targach w okolicznych miasteczkach; gdzieniegdzie i wyroby lepsze, kanapki i t. p. Ludność wsi *Kwaczała* w Krakowskiem, ma specjalność plecionek z korzenia sosnowego do wozów i Kwa-czalanie wędrują nawet po kraju z tym przemysłem.

Jest więc w kraju materyał, są zdolności ludu, słowem *zarody* tego, z czego może się wytworzyć prawdziwy, zysko-wny, szeroki przemysł domowy.

Rząd przyjął ofertę dra Machalskiego i w kwietniu r. 1874 została otwarta pierwsza w Galicyi szkoła koszykarstwa w Ściejowicach. Na nauczyciela został przysłany Józef Jerzy Karg w Bawaryi, którego żona również doskonale cały ten przemysł posiada. Nauczycielowi płaci rząd rocznie zlr. 600 — mało — lecz sprzedaż własnych wyrobów uzupełnia jego do-chody.

W Ściejowicach była szkoła 2 lata, do marca r. 1876, poczem przeniesioną została do sąsiedniego miasteczka *Liszki*, otoczonego ludnością zdolną do tego przemysłu. W Ściejowi-cach było uczniów zrazu 9; z tych wyuczyło się i uzdolniło do samodzielnej pracy czterech.

Powstało pytanie, co dalej robić: czy zakładać filie szkoły po okolicy, czy też starać się tylko, żeby wyuczeni koszyka-rze osiadali w sąsiednich miejscowościach, u siebie w domu przemysł ten uprawiali i innych przyuczali, zatrudniali ich po *ich domach*, a wszystkim żeby szkoła na razie, dopóki w po-bliżu istnieje, ułatwiała pracę i naukę, *żeby nauczyciel dawał im, o ile zdoła robotę, materyały, narzędzia*, żeby ich od-

uprawie. Patrz „*Poradnik przemysłowo-rolniczy* od Nru 6. r. 1878. Przyp. autora.

wiedzał i doglądał. Przeważył za wpływem nauczyciela system drugi, jako łatwiejszy, bo tańszy, zresztą jedynie do celu prowadzący. Tylko tym sposobem może przemysł domowy szerzyć się u ludu przez lud, jeżeli będzie uprawiany po chatach, nie w osobnych warsztatach lub fabrykach (prócz warsztatu szkolnego), jeżeli będzie wprawiana do niego cała rodzina, rozdzielane pojedyncze czynności pomiędzy jej członków, ułatwiona produkcja przez rozdział pracy. Zakładanie zaś filij szkoły nietylko, że byłoby trudnem, wymagając osobnych lokalów, i byłoby kosztownem wymagając umysłnych podmajstrzych, nadto jednak stwarzałoby i przyzwyczajałoby lud do warsztatów *pozadomowych*, co jest przeciwnem charakterowi i celowi przemysłu domowego i przeciwnem, jak wiemy, interesowi kraju.

W ten sposób prowadził nauczyciel swoją szkołę. Była ona w Liszkach przez 10 miesięcy, a właśnie 10 — 12 miesięcy potrzeba do usposobienia zdolniejszych do tej produkcji. Uczniów było tutaj już 50 — z tych wyuczyło się 47. Przez nich daną została *możliwość* rozwoju tej nauki i pracy w okolicznych wsiach: Czernichów, Rusocice, Ściejowice.

Okazy pracy *uczniów szkoły* przedstawiane na *specjalnych* wystawach w Krakowie, w Gartenbaugesellschaft w Wiedniu, zdumiały, po tak krótkim czasie, trwałością, gustem, różnaitością wyrobów, świadcząc o pracy i zdolności, zarówno uczniów, jak i nauczyciela. Moralny wpływ nauki i podanej możliwości zarobkowania przez pracę domową począł się też już objawiać. Już koszykarze z wolna przestawali lubować się w próżniactwie, w zwadach, bijatykach, można ich poznać po przyzwyczajeniu zachowaniu się, pewnej już ogładzie — przyczem wcale nie przestali być parobkami wiejskimi, rolnikami.

Aliści z Liszek, nie wiem z jakiego powodu, przeniesiono szkołę do Krakowa w grudniu r. 1876. Tutaj gmina daje lokal, Wydział krajowy subwencyą i nadzór za pośrednictwem komitetu, którego wydział wykonawczy tworzą pp. dr. Weigel, dr Machalski i kupiec Zapłatałski.

Niezdano sobie snąć sprawy z tego, że tu idzie o lud wiejski i spodziewano się zapewne, że ludność *miejska*, uboższa, zechce skorzystać ze sposobności i zapełni szkołę swojemi dziećmi, że kiedy na wsi uczyli się dotąd wyłącznie chłopcy,

tutaj przeważnie dziewczęta gnać się będą do szkoły. Tymczasem okazało się zupełnie co innego. Stare, miastowe zwyczajem innym idą trybem. Ludność miejska oddawałaby tylko w takim razie dzieci do takiej szkoły, gdyby była urządzona (co wcale nie jest jej zadaniem) nakształt warstata prywatnego majstra, który trzyma (za opłatą!) uczniów na mieszkaniu, życiu i pod rygorem majsterskim. Przez naukę *w szkole*, rozumie ludność miejska: czytać, pisać, rachować i t. d. — ale samej nauki przemysłu praktycznego *w szkole*, tego ludność miejska nie rozumie. Starsza zaś młodzież męzka i żeńska, jeżeli nie kończy zwykłych szkół, lub nie wyuczyła się rękodzieła, potrzebuje zarobku, a nie nauki, niema na nią czasu, ani środków do życia podczas nauki, potrzebuje zarobku *bez nauki*, jaki daje n. p. fabryka cygar. Szkoła taka zresztą, przeniesiona do miasta, choćby nawet i miała uczniów, przestaje być pepinierą przemysłu domowego, staje się szkołą *rękodzielniczą*, nie dając atoli wymaganych od warstata warunków. Zrazu było uczniów w Krakowie i uczennic 30, uczęszczanie ich było nieregularne, przerywane, co naukę utrudniało, porządek i postępy uniemożliwiało. Ostatecznie pozostało uczniów 5!

Szkoła taka przeto w mieście, więc i w Krakowie nie ma racji bytu — wieś jest dla niej jedyną siedzibą i to nie stałą — lecz siedziba ta co roku lub co 2 lata gdzieindziej przenoszona być powinna, jeżeli ma spełniać swoje zadanie. Wspominałem już wyżej, że szkoła rymanowska ma uczniów, góralczyków — bo właśnie nie jest szkołą tylko, ale nadto warszatem, zakładem humanitarnym.

Przynajmniej swój własny pobyt w mieście spożytkował nauczyciel przez wyborny pomysł, na który wpadł, że udziela nauki koszykarstwa więźniom trzymanym w sądzie karnym. Ci bowiem rekrutują się wyłącznie prawie z ludności wsiowej, naukę tę przeto w rozmaite okolice kraju rozniosą. Kilku też dawniejszych uczniów pracuje od czasu do czasu w szkole i zarabiają tu na życie, już nie jako rolnicy, ale jako rękodzielnicy, którzy zapewne zupełnie wieś porzucą — a to jest szkoda, stratą, zwiecznieniem zadania.

Czegóż ma szkoła ta uczyć — co ma przemysł ten pro-

dukować? Dwa są główne rodzaje koszykarstwa: t. z. *galanteryjne* i t. z. *wiedeńskie*.

Wiedeńskie wyrabia z całych prętów wiklinowych towar ulepszony, ale nieozdobny, do użytków pospolitszych, koszyki na drzewo, bieliznę, sprawunkowe, kwiatowe i t. p. Ten rodzaj nauki miała za zadanie druga szkoła, również przez rząd utrzymywana przez kilka miesięcy we wsi Kwaczała, także w Krakowskiem. Odbyło naukę 9 uczniów; lud się nie garnął.

Zadaniem szkoły krakowskiej jest rodzaj drugi, galanteryjny, ozdobny, który wkracza już poniekąd w zakres przemysłu artystycznego — *Kunstindustrie*. Jako taki wymaga on gustu, rysunku, rozmaitości, nawet fantazyi, a materiałów najrozmaitszych i przerabianych. Uczy więc szkoła ta wyrabiać wszelkiego rodzaju koszyki i koszyczki dla kobiet, na roboty, na przybory do szycia, na kwiaty, na skład włóczek i haftów, na sprawunki, koszyki fantazyjne w kształcie roślin, ryb i różnych zwierząt, stojące, wiszące, na postumentach, do noszenia i t. d. i t. d.

Wartość towaru zależeć zatem może od trwałości, mocy, gustu, materiału, kształtu, ozdób, deseni, kombinacyj materiałów i barw, malowania, złocenia, bronzowania, wykładania, (inkrustowania) podkładania i podszywania jedwabiem, safianem i t. d. i t. d. Rozważmy więc jakich i ilu to *materiałów* tacy koszykarze potrzebują — bez tego bowiem istoty tego przemysłu poznać, ani warunków potrzebnych ocenić niepodobna. A zatem: pręcie wiklinowe, obłuszczone, całe, przecinane, karbowane, które trzeba przysposabiać, moczyć i t. p. *Materiału tego w Galicyi niema.*

Może się to wydać paradoxem — a jednak mogę przytoczyć, że Instytut ciemnych we Lwowie, gdzie uczy koszykarstwa uczeń z krakowskiej szkoły, *sprowadza wiklinę z Czech*, płacąc za centnar około 300% drożej, niżby kosztował ten towar w kraju przysposabiany. Otóż mamy dużo wikliny dzikiej, nieszlachetnej, wystarcza ona dla pierwotnego koszykarstwa, a choćby dla tych 50 wyuczonych — ale dla *przemysłu koszykarzkiego*, któryby zatrudniać mógł tysiące rodzin, wikliny nie mamy; trzeba ją uprawiać i obrabiać.

Dalsze materiały: *trzcina hiszpańska*, lakierowana we wszelkich kolorach — *Lackrohr* — którą na towar handlowy

preparują w *Prusach*; *esparto*, trzcina algierska, która w wyrobie wygląda jak cienki drut; *liście palmowe*, myte; siarkowane, suszone, następnie cięte na wąskie wstążki, które się oplata około szkieletu czyli rusztowania z trzciny, co daje koszyki i ładne i mocne. Ten ostatni rodzaj stanowi $\frac{1}{3}$ część produkcyi bawarskiej zatrudniającej 70,000 ludności. Główne targi na te materyały odbywają się w *Hamburgu* i w *Kiel*, dokąd przychodzą jako balast okrętowy.

Dalej potrzebne są jako pomocnicze, ale niemniej niezbędne materyały: nici, jedwab, szpagat, druciki, klamry, haczyki, gwoźdźniki metalowe z główkami płaskimi i okrągłemi, wszelkie farby anilinowe, laki (*Braunbeizfarben*, damarin), włókno brylantowe (*Brillantgarn*) na wyplatanie deseni; włókno t. z. żelazne, dlatego że ma pozór i moc jakby żelazną, a jest to nowy szwajcarski wynalazek, wyrób z włókna lnianego, klejonego, glansowanego i przerabianego na wąziutkie paseczki, które już ogólnie w koszykarstwie są używane. Oto co główniejsze materyały; pomijam wiele, których nie wiele tylko potrzeba. Wszystkiem tem musi koszykarz rozporządzać — liczyć się ciągle z gustem, z modą, wynalazkami, (są np. *patentowane*, specyalne dla koszyków zapinania), produkcją swoją odświeżać, badać gdzie jaki rodzaj może znajdować odbyty — nowe rodzaje w handel wprowadzać.

A zatem koszykarze muszą chyba korespondować ze składami portowemi, żeby mieć materyały z pierwszej ręki, muszą rozporządzać kapitałami, żeby je mogli sprowadzać hurtownie, gdy po sklepach wielu z tych towarów wcale nie dostanie, inne o 100% drożej — a przecież od ceny materyałów zależy i cena towaru, która znowu z konkurencją zagraniczną musi się liczyć. *Szkoła* sprowadza materyały z drugiej ręki, z Wiednia, i płaci prawie 50% drożej. Czyż to przeto jest możliwem, aby nasz lud wiejski takie interesa sam prowadził, czy nawet w najdalszej przyszłości może on dojść do tego? A jak o materyały, tak i o zbyt trzeba z hurtownikami zagranicznymi się znosić; więc czyż może hurtownik prowadzić interesa z każdym koszykarzem z osobna?

Tutaj jeszcze zauważyć trzeba, że jeżeli materyału krajowego, wikliny, przez uprawę starczyć będzie, a przemysł koszykarski równocześnie szerzyć się będzie, to daną będzie mo-

żność, żeby w niektórych okolicach ograniczył się na wyrób z samego krajowego materiału, na pewne tylko rodzaje koszyków; wytworzyćby się mogły pewne w kraju specjalności, które właśnie pomysłność wyrobu mogą zabezpieczać. Mogą też pewne okolice dostarczać wyrobu na poły gotowego, do dokończenia go przez wykształceńszych, którzy już jako *rękodzielnicy* nawet po miastach mogliby być utrzymywani.

Czyż jest to możliwem, żeby się w takich kierunkach lud nasz sam urządzał, organizował, badał, na które specjalności rzucić się można?

Z kolei trzeba przytoczyć *narzędzia i maszyny* potrzebne do koszykarstwa. Są one proste, niezbyt liczne, niemniej dosyć kosztowne, więc stanowią trudność. Najpierw zwykły młotek, obcegi, nóż, piłki. Dalej *stół koszykarski*, zwykle na czterech pracowników. Jest to zwykły stół, mający w środku otwór na naczynie z wodą, ciągle przy robocie potrzebną, schowki na narzędzia podręczne i szuflady na materiały.

Dalej *stołek koszykarski*, kształtu ósemki, z podstawą do opierania hebli, na którym siedzi się okraciem.

Dalej *hebli* cztery rodzaje, za pomocą których pręty już obrobione przecina się na wzdłuż, obcina do miary, do potrzebnej szerokości i karbuje. Heble te trzecha sprowadzać z Bawaryi — u nas dotąd nikt ich nie robi.

Dalej *modele*, robione według rysunków, lub wzorów koszyków zagranicznych. Rozkładają się te modele na części, tak jak kopyta szewskie, aby je łatwo po kawałku można wyjmować, gdy się już model oplecie i koszyk ukończy. Każdy model zaopatrzony jest w drążek żelazny, na końcu gwintowany, z zasówką, który służy do trzymania modelu i do szczelnienia jego części. Czyż może lud trzymać sobie gazety z wzorami kolorowanymi i według nich wykonanie *modeli* polecać?

Dalej *maszyna do łupania prętów i trzciny* — oraz druga *maszyna do heblowania*. Z pręci wiklinowych używa się w koszykarstwie części zewnętrznych, podczas gdy środkowe miękkie jądro odpada. Przeciwnie przy trzcinie, bierze się albo całą, albo tylko część wewnętrzną, miękką, połupaną i poheblowaną na cienkie pręciki, podczas gdy twarde, glazurowane

części zewnętrzne, służą do wyplatania stołków w fabrykach mebli.

Maszyny wykonujące te roboty sprowadza się ze Schwe-rinu, jedyne go dotąd źródła w całej Europie. Konstrukcyja jest prosta, ale zmyślna, obrót korbą lub nogą, jak przy brusach szlifierskich, ruch za pomocą trybów, noże działające ujęte są w ramy, które dowolnie ustawiać można. Pręty obrobione moczy się w wodzie, aby straciły kruchość, a nabrały giętkości.

Czyż może lud sprowadzać sobie te maszyny i płacić za każdą około 90 złr? Jeżeli mają być tanie, przystępne, a są nieodzowne, muszą być w kraju robione hurtownie.

Taka jest nauka i jej tok; zobaczmyż teraz, jak się przy takich warunkach ma rzecz z *uprawianiem* już wyuczonego w szkole koszykarstwa i z obrotem handlowym wypracowanego towaru.

Dotąd nauka i obrót handlowy towaru wyrabianego *nie przez lud, ale w szkole, lub z ramienia szkoły*, połączone były razem ze szkołą. Dopóki szkoła była na wsi, dopóty i wyuczonych mogła zatrudniać *poniekąd* — gdyż szkoła miała w końcu r. 1876 narzędzi na kilkunastu zaledwo uczniów. Dawała więc *szkoła* i wyuczonym wzory, *materyały gotowe*, przysposobione, narzędzia *szkolne*, odbierając od nich wyrob, którego było oczywiście tak mało, że odrazu w kraju znajdował zbyt. Ten sposób wyrobu, oraz *ilość* dostarczanego produktu, którego *jakość* jest znakomitą, *nie daje przeto jeszcze nawet w najmniejszej mierze prawa do mówienia o istnieniu ulepszanego, domowego przemysłu koszykarskiego, pomiędzy ludem w Krakowskiem*, jak się niektórym pismom głosić podobą, lecz wskazuje dopiero, że są potemu warunki.

Nabywcy wyrobów szkoły, szczególnież panie ze wszystkich stron Polski, które słysząc o krakowskich koszykach za przejazdem je kupują i w Muzeum oglądają, rozgłosiły ich sławę. Na wystawie lwowskiej rozebrano towaru tego za złr. 600, a jednak *towaru tego zupełnie niema*. Komitet dał nauczycielowi zaliczkę na produkcję *dla wystawy*, nauczyciel dołożył sam drugie tyle, sprowadził ze wsi 3 koszykarzy, dał im robotę i utrzymanie przez 3 miesiące i wyprodukowali okazy na wystawę. Była to więc wystawa pracy *szkoły*, ale

nie przemysłu ludu. I gdyby ktoś chciał po wystawie nabyć większą partycję tego towaru — wcale niedostanie.

Poprzednie wystawy okazów szkoły we Wiedniu zdobyły towarowi krakowskiemu renomę, zgłaszają się sami kupcy zagraniczni o dostawy hurtowne — lecz towaru wcale niema. Od kąd szkoła przeniesioną została do miasta, wyjątkowo tylko swoich dawnych uczniów zatrudniać może, o ile komitet czasem znajdzie jaki drobny zasiłek na ten cel.

Możnaby mniemać, że to początek, że niepodobna, aby odrazu setki i tysiące zaczęły produkować. Racja — lecz tu nie o to idzie, nie o tysiące, ani setki, ale o to, że ci pięćdziesięciu, ci już wyuczeni, od półtora roku nic nie robią, bo nie mają czem, na czem i z czego, bo są pozostawieni sami sobie, a sami nigdy sobie rady nie dadzą.

Nie pomoże też na to żaden komitet, bo ten jest dla szkoły, i tylko dla szkoły przydać się może — stan też sprawy tej, o ile ona nie szkoły, ale samegoż ludowego przemysłu dotyczy, nie może być zarzutem dla komitetu.

Stan ten nie może jednak oddziaływać korzystnie na lud; na cóż ta nauka? na co czas stracony? na co złudne nadzieje? Okazano koszykarzom drogę do pracy dla poprawienia bytu — ale ta droga dla nich zamknięta. Cała nauka i szkoła zaczyna już wielom wydawać się niby jakaś zabawka, eksperyment, niby łaska pańska, która jak bańka zabłysła i przysła.

Nauczyciel przedstawiał ten stan rzeczy, osobom i zakładowi — ale bez skutku; nikt czynnie do dzieła przystąpić nie chciał — aż znowu i tutaj wdał się rząd — i ma się stać to, co jest najgorszem. Według rozporządzenia ministerstwa handlu ma być od r. 1878 szkoła od produkcyi i handlu zupełnie oddzieloną — handel cały tak towarem przez szkołę wyprodukowanym, jak i przez ukończonych uczniów, którzy się na szkołę oglądają i szkoły trzymają, ma być oddany wyłącznie, jako monopol, niejakiemu p. Zimmermanowi prezesowi towarzystwa eksportowego z Wiednia. Całą produkcją szkoły on tylko będzie miał prawo nabywać, i tylko na rzecz jego wolno będzie nauczycielowi pośredniczyć u wyzwoleńców szkoły, czyli u ludu. Ten przedsiębiorca wiedeński ma dawać zaliczki i odbierać towar. Rząd ze swojego stanowiska, widząc zupełną obojętność, czy też nieudolność kraju do podjęcia przygotowa-

nej sprawy, postąpił należycie, nie innego uczynić nie mógł, jak wynaleść przedsiębiorcę, którego też musiał uprzywilejować. Lecz co to znaczy dla kraju — widzieliśmy wyluszczone w teoretycznej części tych uwag. Tym sposobem i ta nowa gałąź pracy naszej, i to pracy ludu, ma zostać zcentralizowaną w Wiedniu, obcym na zysk, a na wyzyskiwanie ludu — boć przecie p. Zimmermanna nie można posądzać o filantropijne zamiary dla ludu polskiego.

Niebezpieczeństwa i szkody ztąd wynikające nie odrazu dadzą się uczuć, owszem na razie będzie się wydawać, że rzeczy dobrze idą, bo przecież idą, nie stoją — ale przyszłość smutna — i korzyści pracy ludu będą dla kraju i dla ludu stracone — a los przyszłych ustalonych koszykarzy nie w naszych będzie ręku.

Na granicy Czech i Bawaryi istnieje przemysł domowy wyrobu zabawek dla dzieci — ale oto po jednej stronie granicznej rzeczki, po austriackiej, są robotnicy, niewolnicy, ludność rolnicza, której sama ziemia wyżywić nie może — po stronie bawarskiej są przedsiębiorcy, kupcy hurtowni, którzy tamtym dyktują prawa, ceny, od których los tamtych zależy; po stronie austriackiej są gliniane lepianki niewolników — po stronie bawarskiej są trzypiętrowe gmachy przedsiębiorców, a w nich całe piętra napełnione owocem pracy tamtych niewolników.

Oto przykład. Nie daj Boże, żeby nieopatrzność nasza, kołyszająca się powierzchownemi poglądami, miała pozwolić na to, żeby przez rozwój przemysłu domowego taki los dla naszego ludu został zgotowany. A sądzę, że po tych wywodach i faktycznych przykładach, niebezpieczeństwo nie wyda się niomu urojonem. Aby je zażegnać, trzeba dwojakiego charakteru opiekę urządzić.

Gdy zaś warunki, koleje i potrzeby koszykarstwa, *mutatis mutandis*, przy każdym innym rodzaju przemysłu domowego powtórzyć się muszą, przeto dla każdego oprócz szkół trzeba owej drugiej opieki, z własnej inicjatywy społeczeństwa i władzy krajowej.

Dla koszykarstwa potrzebne jest przeto przedsiębiorstwo krajowe, z celami, w duchu poprzednio wskazanym; zadanie jego zaś jest i rozległe i trudne, a mianowicie:

- 1) Zbadanie całego handlu koszykami, który sięga i Ameryki, który wzrasta tem więcej i podnosi cenę materiałów, ile że zakres użyteczności towaru tego się rozszerza. Mianowicie wielce są poszukiwane faszyny, plecionki surowe na opakowanie (emballage) innych towarów do przesyłki dalekiej, n. p. owoców, a nawet maszyn, gdyż takie opakowanie jest dziesięćkroć tańsze od pak i skrzyń, dziesięćkroć mniej waży, a drogę doskonale wytrzymuje.
- 2) Wyrugowanie bądź co bądź kupców zagranicznych, którzy naszą wiklinę wykupują i surową wywożą. Tym sposobem zamknie się jedno ze źródeł wyzyskiwania kraju, a wpłynie *po części* na podrożenie zagranicą tego materiału, co wpłynie na podrożenie cen wyrobów, a zatem będzie korzystne dla naszego ludu.
- 3) Zabezpieczenie materiału dla przyszłych setek i tysięcy koszykarzy, przez uprawę wikla, o co zawczasu z *rolnikami*, posiadaczami większych obszarów ułożyć się trzeba, gdyż plantacje wiklinowe dopiero po 3 latach można zacząć wycinać.
- 4) Urządzenie *obrabiania* wikla. obłuskiwania prętów z kory, dla wywozu tego *półfabrykatu*. Cena tego półfabrykatu jest o 50% prawie wyższą, od surowego materiału — obrabianie zaś, ani 10% nie wynosi. Handel półfabrykatem, na który zawsze jest wielki popyt, zabezpieczać też będzie interesa przedsiębiorstwa, na wypadek, gdyby handel koszykami szwankował. W takich wyjątkowych przesileniach, jeżeli ucierpi lud koszykarski — to przynajmniej rolnicy, producenci wikla, zawsze będą pewni odbytu.
- 5) Urządzenie magazynu materiałów sprowadzanych z pierwszej ręki.
- 6) Urządzenie, przez porozumienie się z krajową fabryką hurtownego wyrobu hebli i maszyn koszykarskich.
- 7) Na ostatku dopiero przychodzi organizacja koszykarzy, ustanowienie podróżujących podmajstrzych, rozdzielających robotę, materiały, wzory, rysunki, modele, narzędzia, maszyny, odbierających robotę i wypłacających.
- 8) Koroną zaś dzieła będzie zabezpieczenie wywozu za granicę przez zawieranie bezpośrednich stosunków z pierwszorzędnymi domami handlowymi *dwóch światów*.

Takie przedsiębiorstwo, to sprawa nie na rok, ani na dwa — obroty jego mogą wzrosnąć na miliony — a przecież nakładu całego potrzeba, o ile wiem, nie więcej jak 5 do 6 tysięcy, bo dalsze wkłady już z zysków będą robione. Lecz tym kilku zaledwo tysiącom pieniędzy musi towarzyszyć pilność, wyłączone oddanie się, znawstwo, praktyczność — a zarazem, obok nadziei zysków odrobina bodaj miłości kraju i miłości ludu, ażeby przedsiębiorstwo było nie tylko ekonomiczną ale i obywatelską pracą. Takie przedsiębiorstwa jedynie mogą zabezpieczyć *korzystny dla kraju* rozwój przemysłu domowego. Pospiech w działaniu jest tu koniecznym. W Niemczech szerzy się na ogromną skalę propaganda uprawy wikla i wyrobu koszyków. Gdy Niemcy na targ *dwóch światów* zaczną ogromne masy towaru tego dostarczać — ceny znacznie spadną; więc jeżeli my na targ znacznie później się stawimy — to nie tylko pierwsze, znaczne zyski będą dla nas bezpowrotnie stracone — ale cała sprawa może już nie będzie przedstawiać *interesu*. Zachód i starania *za późne* mogą się stać *bezużytecznymi*.

Na tem kończę te uwagi, które starałem się i teoretycznie uzasadnić i praktycznie uwidocznić. Rozwahałem przedmiot ten z wieloma kompetentnymi ludźmi i nigdzie nie znalazłem zaprzeczenia, więc tuszę, że uwagi te może się na coś przydadzą. To też jest celem napisania ich, aby się przydały — aby przekonały, aby mogły mieć praktyczny skutek. Sprawa bowiem stoi na porządku dziennym, a jest wielkiej wagi, tak sama przez się, jak więcej jeszcze w odniesieniu do całości stosunków naszych, w odniesieniu do *reformy stosunków wiejskich* — od czego los kraju całego zależy.

Dzisiejszą sytuacją naszą ekonomiczną i społeczną streszcza w zupełności smutne, ale iście *narodowe* przysłowie: „*kiedy bieda to do żyda*“. — Żyd (wzięty nie w etnograficznym znaczeniu) to nasze finanse, to rozum naszego ludu, (i nie tylko ludu), to pan naszego ludu, to ekonom i karbowy naszego ludu, to moralność naszego ludu. Jakże zaś są te finanse, ten rozum, to gospodarstwo, ta moralność i ta władza — to wiemy niestety — i szukamy ratunku. Ratunek ten przedstawia się pod postacią kościoła, szkoły, sprężystego rządu,

podniesienia dobrobytu przez podniesienie gospodarstwa i pracy, i ułatwienie jej, w czym przemysł domowy ważne zajmuje miejsce.

Otóż zdaje mi się, że jest jedno criterium do rozpoznania, czy środki ratunku skutkują, czyśmy się zabrali na seryo do ratunku, czy się zbliżamy do *ideału* stosunków naszych.

Criterium tém będzie, jeżeli przysłowie „kiedy bieda to do żyda“ będzie szło w zapomnienie, aż zaginie i złożone zostanie między archeologiczne pamiątki smutnej przeszłości.

Criterium zaś do rozpoznania ideału stosunków naszych, a nie tylko pod ekonomicznym i społecznym, ale zarazem i pod *narodowym* względem, będzie to, jeżeli w miejsce tamtego przysłowia ustali się w narodzi inne: „*kiedy bieda, to do chłopca.*“ ¹⁾

¹⁾ Podczas druku tej pracy wyczytałem, że Dr *Exner* miał mieć w lutym b. r. wykład w Wiedniu p. t. „*Die Hausindustrie als Ergaenzug der Bodencultur.*“ Niemogłem już skorzystać z tego wykładu, gdyż ani jego brzmienia, ani sprawozdania o nim wyszukać nie mogłem. Zdaje mi się jednak, że *zasadniczą ideę* mojego przeostawienia rzeczy potwierdza już sam tytuł tego wykładu: „*Przemysł domowy, jako uzupełnienie rolnictwa*“, (Przyp. aut.)

Szczepański Alfred.

ZARZĄD ROSYJSKI W BUŁGARYI.

Uwagi i wspomnienia naocznego świadka.

Przez

Eugeniusza Utina ¹⁾.

Zwycięzka protektorka Słowian „uszcęśliwia“ wyswobodzoną z jarzma tureckiego Bułgaryę w sposób, który byłby nad wszelki wyraz dziwnym, gdyby nie był zupełnie zgodnym z tradycjami polityki fałszywej i zaborczej. Zamiast przyobiecanego uroczyscie usamowolnienia Bułgarów, a więc pozostawienia im swobody w wyborze takiej formy samorządu i administracyi, jakąby za najwłaściwszą dla siebie uznali, nieproszone rządy rosyjskie narzucają im język dla nich obcy jako urzędowy, w administracyi, sądownictwie, wychowaniu publicznem, sprowadzają z głębi Rosyi wielkorządców, gubernatorów, sprawników, nawet urzędników podrzędnych, aż do nauczycieli ludowych — dzielą kraj sposobem rosyjskim na gubernie i *ujezdy* (powiaty), obarczają samowolnie ludność podatkami pieniężnymi i powinnością wojsko-

¹⁾ Czytelnicy zrozumieją, dlaczego tym razem odstępujemy od zwyczaju nieumieszczania przekładów (p. Red.).

wą według modły gotowej, przywiezionej z Rosyi, nietroszcząc się bynajmniej, czy ta modła właściwą będzie dla Bułgarów, posiadających przecie własne zwyczaje i tradycye, własne warunki życia społecznego i rozwoju ekonomicznego. Słowem, w kraju, który przysła wyswobadzać, z ludem przyjaznym i sprzymierzonym, co z nią razem walczył przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, Rosya postępuje jak w kraju podbitym, jak z ludem zwyciężonym, który ani o swym losie stanowić, ani w obronie swych swobód i swej odrębności głosu podnieść nie ma prawa. Europa, w której oczach dzieją się te wszystkie potworności, tak nawykła skłaniać głowę przed siłą, że się niemi nie gorszy, ani im się dziwi zgoła, poprzestając na skonstatowaniu faktów, jakgdyby po stronie Rosyi była słuszość zupełna, i nie starając się nawet rozpoznać, w jaki sposób odbywa się ten proces podboju bez walki, gwałtownej asymilacyi, upozorowanej dobrodziejstwem, systematycznego wynarodowiania, za które sprawcy jego kłaniać się jeszcze każą sobie, dziękować jak za łaskę i... płacić, płacić jak najwięcej. Nikt, nawet wszechwiedna prasa europejska, nie udziela światu szczegółów, które przecież same z siebie bardzo ciekawe być muszą: jakim też sercem Bułgarowie przyjmują narzucone sobie dobrodziejstwa rosyjskie, jakim okiem zapatrują się na rządy u siebie swych „przyjaciół“, na gospodarowanie w swej chałupie przybyśzów, którzy z gości, przynoszących dobre nowiny, przemienili się w panów, domagających się posłuszeństwa groźbą i nahajką. Nikogo to nie obchodzi, czy milczenie, z którym Bułgarowie przyjmują taki stan rzeczy i zgadzać się nań zdają, nie jest milczeniem narodu zgnębianego, przywykłego od wieków do przemocy i gwałtów, nad sobą popełnianych, więc w niemej rozpacz y uchylającego czoła przed nową przemocą i gwałtami nowemi... Milczą Bułgarowie, wolno zatem przypuszczać, że są zadowoleni, że rządy rosyjskie poczytują za pomyślność dla siebie, a gwałtowne przekrawywanie siermięgi swej bułgarskiej na armiak i kaftan moskiewski, za coś pożądanego, za rodzaj *douce violence*....

Tak wszakże nie jest. Świadczą o tem dowodnie „wspomnienia naocznego świadka“, z którymi właśnie zamierzamy zaznajomić czytelników naszych. Autorem tych wspomnień,

ogłoszonych w zeszycie lutowym czasopisma rosyjskiego *Wiestnik Europy*, jest Rosyanin, urzędnik i patriota, o nieprzyjazną więc stronnicość w zapatrywaniu się na rządy rosyjskie w Bułgarii posądzonym być nie może. Pisze on przytem tak, aby wyjść całym z pod ostrej krytyki cenzury rosyjskiej, wielu więc rzeczy niedomawiać, o wielu innych zamilczeć zgoła oczywiście musi, wiele gorzkich pigułek osładzać i mnóstwo surowych prawd pobieżnie tylko i lekko wypowiadać, lub nawet zasłoną okrywać. A jednak tyle w tych wspomnieniach mieści faktów oburzających, tyle wskazówek na bezprawia, gwałty, absurda, popełnione przez zgraję improwizowanych reformatorów i administratorów biednej Bułgarii, to znów na słuszną niechęć, pogńębienie i rozpacz, a w najlepszym razie — cichą rezygnacyą jej mieszkańców, zawiedzionych gorzko w najśłodszych swych nadziejach, że gdyby nawet pióro ostrożnego pisarza rosyjskiego, chcącego być drukowanym w Rosyi, wyczerpywało ten przedmiot do dna, nie przemilczając o niczem i nie pozostawiając żadnego już pola, gdzieby czytelnik resztę „w duszy swej dośpiewał,“ czego w żaden sposób przypuścić niepodobna: to dość już tego, o czem mówi wyraźnie autor, dość literalnej jego wspomnień treści, aby stworzyć obraz dokładny a smutny, z jednej strony rządów rosyjskich w Bułgarii, samowolnych, chaotycznych a bezprawnych aż do cynizmu, z drugiej zaś, tego narodu, co zdziwiony, osłupiały, ze spuszczoną pokornie głową, pogląda na swe nowe nieszczęście w milczeniu, jak przez cztery wieki w milczeniu poglądał na krwawe rządy tureckie....

Mniemamy, że obraz taki zajmie czytelników naszych, a to tembardziej, że o jaskrawą przesadę barw posądzonym być nie może, a zawiera prawdę niewątpliwą acz w nieśmiałych zarysach, — nadto zaś — że główną tego obrazu postacią, w dość wyraźnych nakreśloną konturach, jest zmarły niedawno, niegdyś straszliwy burzyciel polskości, a ostatniemi czasy reformator Bułgarii, ks. Czerkaski. Znamy go, niestety, dobrze z nieszczęść, których był sprawcą dla Polski; pomimo to wszakże, a raczej dla tego właśnie, dość ciekawą będzie rzeczą poznać sąd o nim, jako o człowieku i refor-

matorze, wypowiedziany bezstronnie i chłodno przez pisarza rosyjskiego.

Uważaliśmy za potrzebne temi kilku słowy objaśniającemi poprzedzić przekład pracy p. Eugeniusza Utina o rządach rosyjskich w Bułgaryi.

I.

Nasz zarząd cywilny.

Znam pewien paradoks, czy przysłowie, z kategorii tych, które zowią banalnemi; a jednak — doprawdy zasługuje ono na to, by nad myślą w niem zawartą zastanawiali się czasem tak ludzie pojedynczy, jak i całe narody. Przysłowie to brzmi: „kto chce rządzić drugimi, niech się pierwej nauczy rządzić samym sobą.“ Ileż to razy myśl filozoficzna, zamknięta w tych kilku słowach, przypominała mi się w czasie pobytu mojego w Bułgaryi, gdy się spotykał oko w oko z tym zarządem cywilnym, który jednocześnie z wkroczeniem tam wojsk naszych wprowadzaliśmy do kraju, tak hojnie uposażonego od natury a tak unieszczęśliwionego przez ludzi.

Wyjeżdżając do Bułgaryi, jużem żałował, że się tam udaję: umysł mój bowiem gubił się w ciemnościach zupełnych, zastanawiając się nad rządami, któreśmy narzucali krajowi, jeszcze przez nas niezdobytemu i zgoła nieznanemu. Jakie będzie zadanie naszego zarządu cywilnego? Jakie jego cele? W imię jakiej zasady zatknijemy nasz sztandar pośród obcej nam, choć pokrewnej ludności bułgarskiej? Zdawało mi się rzeczą niezrozumiałą jakąś i dziką — w kraju broczącym jeszcze we krwi, dymiącym pożogą, niewyzwolonym z pod nienawistnej mu władzy tureckiej, wprowadzać ni ztąd ni zowąd porządki nasze, rosyjskie, do których myśmy przywykli — przypuszczam, lecz które dla Bułgarów będą obce, a może równie wstrętne jak te, z pod których się wyłamują. Zresztą — nadzieje zwodnicze a słodkie (komuż one nieznane?) nigdy nie opuszczają człowieka; dla tego też wiele zostawało mi pola do pociechy i marzeń, że wszystko to zdaje

się niezrozumiałem tylko dla tych, co nie są wtajemniczeni w arkana głębokie a ciemne naszej polityki słowiańskiej.

Pomimo jednak owej nadziei i pociechy, pewna myśl zawsze niepokoiła mię bardzo, a to tembardziej, że ciągnęła ona za sobą roje dum innych, wcale niewesołych, będących wynikiem zastanowienia, jakie też skutki wywoła rozpoczęta przez nas tak skwapliwie i nieoględnie wojna? Myśl tę — zdaje mi się — mogę wypowiedzieć śmiało, nie obwijając jej zgoła w bawełnę łagodzących i zaciemniających rozumowań. Według tego, cośmy przyrzekli i wypowiedzieli głośno, wobec całego świata, rozpoczęliśmy wojnę za wyswobodzenie Bułgarów (i innych Słowian) za wyswobodzenie ich zupełne, bez żadnych widoków osobistych i samolubnych, bez cienia myśli, abyśmy ich niezależność wyzyskać mieli na rzecz naszą. Wyzwolenie Bułgaryi z pod gnębiącego ją fizycznie i moralnie jarzma tureckiego, zapewnienie jej zupełnej swobody urządzenia się u siebie według woli i wymagań dobra własnego, — taką zdawała się być rola, którąśmy na siebie przyjęli, rola zaprawdę piękna, szlachetna i zarazem nie obca dobrze zrozumianemu rachunkowi politycznemu. Chcąc pozostać w granicach tej roli, niepotrzebnem było — zdaniem mojem — i zbytecznem przenosić na grunt bułgarski obcą mu, bo rosyjską organizacją i administracją kraju. Drażliwość i delikatność — te uczucia, tak właściwe każdemu człowiekowi, mniej więcej cywilizowanemu, nasuwały pytanie smutne: czy wprowadzenie rosyjskiego zarządu cywilnego w Bułgaryi nie mieści w sobie czasem chęci narzucenia temu krajowi, zamiast systematu tureckiego, niemiłego Bułgarom dla tego przeważnie, że jest obcy, ustroju rosyjskiego, właściwego, przypuszczam dla nas, lecz również obcego dla Bułgarów? Czy też nie pragniemy my doprawdy, jak nas o to podejrzują, tamować pierwsze kroki niezależnego bytu Bułgaryi, narzucając się jej za mentorów i czyniąc się gwałtem jej nieproszonymi nauczycielami we wszystkim, co się tyczy jej urządzenia politycznego? Być to może: djabeł nie śpi!... A tymczasem jak tu nie przyznać, że społeczeństwo rosyjskie, bądź co bądź, nie posiada jeszcze sił takich, aby mogło sumiennie podejmować się roli przywódcy i mentora społeczeństwa drugiego, chociażby jaknajbliżej

z niem spokrewnionego?... Dla odegrania takiej roli mniej więcej z powodzeniem, trzeba najprzód przebyć tę szkołę, która naucza rządzić samym sobą.... A pokąd ta szkoła jeszcze przed nami, niestety,— do tego czasu nie powinniśmy ani na chwilę zapominać o wielkiej prawdzie, zawartej w przysłowiu, już przeze mnie przytoczonem.

Ale chociażbyśmy nie wiem jak sumiennie i bezwzględnie stworzyli sobie obraz nieudolności ustroju naszego społecznego, aby mógł służyć za kamień fundamentalny dla organizacji politycznej narodu innego, niemniej wszakże — postanowione już wprowadzenie w Bułgarii zarządu cywilnego rosyjskiego zmuszało do postawienia kwestyi: czy potrafimy w stosunkach z Bułgarami określić sobie te skromne granice, w których pozostać nakazuje nam bardzo wiele względów? A kwestya ta stawiała się żywotną i ważną tembardziej, im uporczywiej głosiła Europa, że bezinteresowność polityki rosyjskiej na Wschodzie nie zasługuje na najmniejszą wiarę, że w rzeczywistości nie powinniśmy się mieszać do spraw narodu, który pragnie niezależnego bytu politycznego, że my nie mamy prawa oburzać się na turecki systemat ujarzmiania ludów, gdy systemat ten, w nieco odmiennej wprawdzie postaci, praktykuje się i u nas, i nareszcie, co najważniejsza — że samo ogłaszanie przez nas zasady wolności politycznej sprzeciwia się wszystkim naszym tradycjom i istnjącemu u nas porządkowi rzeczy....

Jakkolwiek przykre i dotkliwe dla naszej narodowej miłości własnej były wszystkie podobne waryacje na odwieczny temat naszego politycznego obskurantyzmu i zastoju, zawsze przecież głosy powyższe zmuszały mimowolnie do wejścia w siebie, do badania naszych sił i celów, a nade wszystko — środków, które zamierzaliśmy zastosowywać w Bułgarii. Jeżeli tedy jeszcze w oddaleniu od Bułgarii zadanie rządów naszych w tym kraju wydawało się nam jakimś mglistem i dwuznacznem, to tembardziej na miejscu, w Tirnowej, w tym centrum życia bułgarskiego i dotychczasowej stolicy administracyi, zadanie to nie tylko nie przedstawiło się w zarysach jaśniejszych, lecz przeciwnie, zastanawiając się nad niem głębiej i przypatrując się bliżej materyałowi, z którego zarząd nasz miał być utworzony, niepodobna było nie

uczuć, że zwątpienie, które już przedtem wkraǳło się nam do duszy, wzmagą się teraz, wzrasta coraz bardziej i rodzi szereg wątpliwości nowych. Wątpliwości te w jednym skupiają się pytaniu: czyśmy należycie zrozumieli rolę, jaką odegrać nam przychodzi w sprawie wyswobodzenia Słowian południowych?

Sceptycyzm mój w ocenie sprawy naszych rządów w Bułgarii, jakkolwiek niepośledni, niezem był jednak w porównaniu ze sceptycyzmem jednego z moich kolegów, a podobnych jemu pesymistów mieliśmy nie mało.

— Cóż ci się wydaje tak dziwnem, czy niewłaściwem w naszym zarządzie cywilnym? pytał go jeden z obrońców tego zarządu, których imię wszakże wcale się nie zwało „legionem.“

— Jakże ci to powiedzieć? W tem naszym gospodarowaniu w cudzej chacie, ja po prostu nie widzę żadnego sensu, nie rozumiem, dla czego my to robimy, jaki nasz cel? Czy mamy cel jaki? — i jeżeli mamy — to czy jest godziwy? Rozumiem tylko jedno, że jakieś zanadto wielkie przedsięwzięliśmy rzeczy, tak wielkie i mądre, że ich nikt nie rozumie...

— A jednak — rzecze obrońca — sprawa jest nadzwyczaj prosta i jasna.... Zastanów się tylko nad charakterem wyłącznym teraźniejszej wojny, a może wówczas zarząd nasz cywilny nabierze w oczach twoich znaczenia i treści. Wojna obecna ma cechę szczególną i nie jest podobną do wojen zwykłych. Przyszliśmy tu nie podbijać, lecz wyzwalać, wkroczyliśmy do tego kraju nie w charakterze wrogów jego ludności, lecz jako jej przyjaciele, starsi bracia, opiekunowie.... Bardzo tedy jest naturalnem, że pomiędzy opiekunem i jego pupilami zawiązać się musi stosunek niezwykle, szczególny.

Argument ten — niema wątpliwości — mieścił w sobie cząstkę prawdy. Trudno temu zaprzeczyć, że wojna teraźniejsza, którą może przyszli historycy nazwą wojną słowiańską, mieści w sobie zupełnie odrębny charakter. Zazwyczaj nieprzyjaciół, do cudzego wkraczając kraju, nie w nim nie oszczędza, nie interesuje się zgoła jego porządkami wewnętrznymi: widzi on przed sobą nieprzyjaciół wyłącznie, i według tego postępuje. Nasze zaś zadanie inne i wręcz tamtemu przeciwne. Rozpoczynając wojnę w celu wy-

zwolenia Bułgarów z pod władzy tureckiej, wkroczyliśmy do ich ziemi jako nieprzyjaciele i jako przyjaciele zarazem. Jednocześnie trzeba nam było i zasłaniać ludność miejscową od ruiny i strat dotkliwych i narażać ją na nieuniknione próby i przykrości. Z jednej strony staraliśmy się znieść nie-nawistne rządy tureckie, z drugiej — umożliwić wprowadzenie nowej administracji, i to takiej, któraby odpowiadała pragnieniom i interesom narodu bułgarskiego. Lecz „umożliwić“, czyli „ułatwić“, nie znaczy jeszcze „narzucać“ narodowi, przyjętemu przez nas w opiekę, „przepisywać“ mu ten, albo inny porządek, lecz tylko — dać mu możność urządzenia się u siebie według woli i chęci. Ale nie tak rozumiał prawa „opieki“ wspomniony obrońca naszych rządów; rozumowania jego tedy wywołały zgryźliwą odpowiedź:

— Toż bo jest bieda, że opiekunowie skłonni są częstokroć do zapatrywania się na swych pupilów jak na sprzęt jaki, lub na istotę bierną, która tylko posłuszną i wdzięczną być powinna... A jeżeli mam mówić otwarcie, to wyznam, że się obawiam, abyśmy nie stanęli właśnie w szeregu opiekunów tej kategorii.

— Zgódź się jednak na to — odparł obrońca — że wyświadczylibyśmy bardzo złą przysługę cywilizacji, gdybyśmy nie okazali troskliwości o to, co się stanie z tym biednym narodem potem, gdy go już wyswobodzimy z jarzma tureckiego. Wszakże to naród nierozwinięty, niewykształcony, nieprzywykły rządzić samym sobą... Na kimże, jeśli nie na nas leży obowiązek wskazywania mu drogi, którą iść powinien?..

— Ty i twoi adherenci stoicie na gruncie najniebezpieczniejszym, jaki sobie wyobrazić można... i ja ślę modły do nieba, aby nasza polityka rządowa nieprzyswoiła sobie waszych poglądów. Co do mnie — na tą kwestyą zapatruję się zupełnie inaczej. Rosya bez wątpienia pomiędzy państwami słowiańskimi jest najsilniejszym, najbardziej potężnym... I ja oczywiście dumny jestem, że ojczyzna moja może oddać swe siły na usługi słabszych i pogwałconych narodowości słowiańskich. Ale tu już kres i ostatnia granica naszych usług: oprócz naszej siły, — nic innego dawać nie możemy, a nawet nie powinniśmy, aby przez to nie

zmniejszyć doniosłości usług naszych. Przy warunkach innych, oprócz siły fizycznej, moglibyśmy jeszcze braciom naszym przynieść w ofierze siłę moralną... gdyby... Ale co tu obwijać w bawełnę? Wiadomo, że czego kto nie ma, tego dać nie może: z próżnego nie należesz — to darmo!.. Wiesz więc, dla czego powinniśmy wyrzec się otwarcie i wczesnie wszelkich zamiarów obdarzania Bułgarii naszą siłą cywilizacyjną, t. j. tem, czego sami nie mamy, — ponieważ zamiar taki byłby poczytany, i poniekąd słusznie, za dążność do narzucenia Bułgarom porządku, opierającego się na... na czem chcesz, tylko przyznasz, że nie na szerszem pojęciu praw i wolności narodów...

— Uchylasz się od odpowiedzi na zapytanie — mówił dalej obrońca rządów naszych w Bułgarii. Czyliż w samej rzeczy sądzisz, że my możemy, dopełniwszy wzniesłego obowiązku wyswobodzenia Bułgarów, stać się widzami obojętnymi tego nieładu, tej — spodziewać się można — anarchii, która zacznie podkopywać kraj, przygotowując dlań przepaść nie mniej głęboką, jak ta, którą dlań przygotowywały rządy tureckie. Czyż w takim razie nieprzepadną wszystkie ofiary ciężkie, któreśmy ponieśli dla sprawy ich wyzwolenia?

— Czyliż doprawdy — była odpowiedź pesymisty — jeszcze się nie przekonałeś dotychczas, że jeżeli jest co najzgubniejszego dla życia i rozwoju narodu, to gdy zjawiają się na scenie jego żywota zbawcy nieproszeni, broniący go przed jakąś tam fantastyczną anarchią? To nie dość, bo jestem zdania, że nawet nieład chwilowy, gdyby się miał zdarzyć w Bułgarii, byłby nierównie mniej zgubnym dla narodu, niż mieszanie się obcych w jego sprawy... Już nawet pomijam to, że społeczeństwo nasze znane jest ze skłonności nazywania nieładem u innych takiego sposobu rządzenia się, jakiego my sami nie mamy, t. j. gdy jaki naród pragnie stanowić o swoich losach samodzielnie. Przykładów na to mamy dość w naszej historii, równie jak nie miłych dla nas samych skutków niewłaściwego zrozumienia przez nas cudzych interesów i cudzego dobra. Obawy twoje o losy Bułgarów, pozostawionych własnemu rządowi, pochodzą ze źródła nam wszystkim dawno i dobrze

znanego. Jest niem nałóg nasz tradycyjny zapatrywania się na każdy naród, który się rządzi inaczej jak my (czyż nie idealne rządy nasze?) jak na małe, nierozsądne dziecko, któremu potrzeba surowej piastunki... Dość już mieli Bułgarowie opieki tureckiej... pozostawcie ich własnej woli i instynktom własnym, a bądźcie pewni, że staną na nogach mocnych, i bez waszej „ojcowskiej“ opieki pójdą drogą prostą i dla siebie najwłaściwszą. Jeżeli ci trzeba przykładów, spojrzij na Rumunią i Serbią... Wszak one znajdują się w takiej samej zupełnie pozycyi jak Bułgarya, a jednak patrz, jak się urządziły!.. Nie przedstawiają one zapewne widoku mocarstw potężnych, ależ, powiedzmy otwarcie, potęga, chociażby i nie szychowa, jak się to czasem zdarza, nie jest jeszcze podstawą szczęścia ludów. To są powody, dla których sądziłbym, że naszym obowiązkiem jest wyzwolić Bułgarów z pod władzy tureckiej, a potem... pozostawić ich własnym siłom. Zdaniem mojem, już samo wyzwolenie jest rzeczą tak ważną, że wyświadczymy przez nie wielką bardzo usługę ludzkości i sprawie słowiańskiej, chociażbyśmy dali zgół za wygraną zamiarowi wprowadzania do Bułgaryi naszych porządków. Upewniam Cię, że za tę ostatnią przysługę nie podziękuje, lecz wyrzuty gorzkie otrzymamy od naszych pupilów. —

Przytoczyłem tu jeden zaledwie urywek z tych nieskończonych sporów i sprzeczek, które się odbywały w tej sprawie między ludźmi przeciwnych opinij. Ale urywek ten już dostatecznie charakteryzuje zdanie i poglądy dwóch przeciwnych obozów. Nie sądzę też, aby zachodziła jakakolwiek wątpliwość co do słuszności dwóch zdań przytoczonych. Najopłakańszym losem, jaki tylko spotkać może jakikolwiek naród, jest dostać się pod opiekę innego i stracić swą samodzielność. Niech naród ten przebywa epokę wątpliwości, wahania się, niech wyczerpuje wszystkie siły, doświadcza niepowodzeń, nieszczęść nawet, byleby nie tracił niepodległości i niedostawał się pod niczyją opiekę! W tym ostatnim bowiem razie traci on wiarę w siebie, traci zdolności do samorządu i stopniowo staje się narzędziem ślepej chimery swych mniemaanych opiekunów. Walka wewnętrzna, jakkolwiek wielkie sprowadziłaby dla Bułgaryi burze, wykształci

tylko naród i zahartuje go do przyszłego rozwoju; opieka zaś, chociażby idealnie ojcowska, zniedołężni jego organizm polityczny i sam byt jego narazi na niebezpieczeństwo stopniowego rozkładu. Opieka każda nie tylko jest niebezpieczną ale nawet niepotrzebną i niepożyteczną. Jeżeli naród posiada zasoby sił, zdolność do życia i rozwoju, — opieka wówczas zatamuje to życie i rozwój, jeżeli zaś niemasz w nim siły żywotnej, żadna opieka nie zbawi go od śmierci niechybnej. Cała więc kwestya redukuje się do tego, czy nie utracili Bułgarowie swej siły żywotnej, czy nie zabito w nich zdolności do stopniowego rozwoju? Odpowiedź na to pytanie nietrudna. Jeżeli pięciowiekowy, najsurowszy despotyzm, jeżeli jego wpływy rozkładające i wpływ szkodliwy duchowieństwa greckiego zamało miały siły na to, by stłumić wiekowy protest narodu bułgarskiego; jeżeli niehumanitarne ciosy, których był ofiarą w ciągu tych wieków, nie zmusiły go do milczenia i nie zagasiły iskry życia, to niema wątpliwości, że naród ten posiada siły żywotne wielkie, zdolne wyłonić się na zewnątrz w sposób dodatni, skoro tylko dana im będzie właściwa przestrzeń i swoboda. Na cóż więc w takim razie przyda się im jakakolwiek opieka, tamująca objawy ich siły żywotnej? Chyba że będziemy narzucać im opiekę w obawie, aby ich siła nieprzybrała kierunku, innego niż ten, którego byśmy sobie życzyli?

Kwestya stosunków naszych z Bułgarami nie mogła oczywiście nie być podjętą od chwili, gdyśmy podnieśli sztandar ich wyzwolenia, a tem bardziej — gdyśmy na ich ziemi pierwszy krok postawili. Lecz w jakiż sposób rozwiązaliśmy tę kwestyą? Nie pragnę zupełnie dowodzić, aby rozwiązanie to nastąpiło z powziętą *à priori* myślą narzucenia im naszej opieki stale i wiekuiście. Ale sama myśl zaprowadzenia w Bułgarii administracji rosyjskiej mogła wzbudzić i w Bułgarach i na zachodzie Europy podejrzenie, że takie właśnie były nasze zamiary. Ponieważ zaś podejrzliwość rzadko kiedy dodatnie rodzi owoce, lepiej więc będzie, gdy otwarcie i poprostu postawimy pytanie: jakim jest w rzeczywistości nasz stosunek urzędowy do bułgarskiego narodu?

Pierwszem słowem, któreśmy doń przemówili było słowo miłości i pokoju. „Rosya postanowiła“ — głosiliśmy w na-

szej proklamacyi, wydanej przy wkroczeniu armii naszej w granice Bułgarii — „zasłonić narodowość waszą przed gwałtami i nadać wam te prawa święte, bez których żaden naród niemoże myśleć o normalnym rozwoju swego życia społecznego i politycznego. Praw tych nabyliście nie siłą oporu zbrojnego, lecz ceną cierpień odwiecznych i tej krwi męczeńskiej, w której tak długo broczyliście i wy i wasi nieszczęśliwi przodkowie.“ Gdyby minione wypadki historyczne nie zachwiały do pewnego stopnia wiary w naszą siłę i w mocne postanowienie nasze położenia końca życiu męczeńskiemu Bułgarów, jakże swobodnie odetchnąłby ten naród, czytając pełne ludzkości słowa naszej proklamacyi: „Odtąd oręż rosyjski zasłoni każdego chrześcianina od krzywdy; żaden włos z niczyjej głowy niespadnie bezkarnie, żadna okruszyna czyjegokolwiek mienia nie będzie zabraną ani przez Turka, ani przez kogo innego. Każdy występki przykładowie ukaranym będzie. Życie, wolność i mienie każdego chrześcianina będą bezpieczne, bez względu na to, czy do wschodniego, czy do zachodniego należy kościoła. Nie zemsta będzie powodować nami, lecz uczucie sprawiedliwości ścisłej, dążność do utworzenia stopniowo prawa i porządku tam, gdzie dotychczas panowały bezprawie i dziki despotyzm“.

Nieraz mi się zdarzało i w Sistowie i w Tirnowej obserwować Bułgarów, czytających powyższą proklamacyą, przyklejoną na rogu ulicy. Przypatrywałem się im, badając pilnie, jakie też wrażenie wywierają na nich powyższe wielkie słowa, przyrzekające im wolność i odrodzenie do nowego życia politycznego i społecznego? Ale nikt z bezstronnych widzów nie spostrzegłby na ich twarzy, w wyrazie ich oczu, ani też z ich ust usłyszałby pewności, zaufania, że rzeczywiście wybiła już dla nich godzina wyswobodzenia z jarzma muzułmańskiego.

— Dla czego też — pytałem nieraz Bułgarów, bardziej rozwiniętych i niepozbawionych pewnego wykształcenia — dla czego też twoi ziomkowie z taką obojętnością czytają te słowa, że nie drgnie im żaden mięsień twarzy, żadna iskra radości nie zabłyśnie w oczach? Czem da się

wytłómaczyć ten dziwny indferentyzm, nawet dla sprawy własnego odrodzenia?

— To nie indferentyzm! odpowiadano mi, to, niestety, brak wiary. Pan i ja, przypuszczam, zrozumiemy jeszcze, co znaczą te słowa: I wskazał mi miejsce w proklamacyi: „skupiajcie się pod cieniem chorągwi rosyjskiej, która już tyle razy powiewała nad Dunajem. Pomagając nam szczerze wszelkimi siłami i wszelkimi od was zawisłemi środkami, będziecie służyć waszej własnej sprawie, sprawie odrodzenia waszej ojczyzny.“ My rozumiemy — mówił dalej Bułgar — że te słowa zawierają mocne postanowienie wyzwolenia nas, choćby kosztem największym. Ale ogół ludności naszej czyta to z pewnym sceptycyzmem, pochodzącym po części z niezupełnej ku wam ufności, po części zaś z obawy że współczucie dla Rosyan drogo bardzo będą musieli opłacić Turkom. I nie można brać nam za złe tej nieufności. Słusznie powiedziano, że zwycięstwa oręża rosyjskiego nieraz już rozbrzmiewały nad Dunajem i po za Bałkanem. Ale czyż te zwycięstwa przyniosły nam kiedykolwiek coś więcej nad nieszczęście i większe cierpienia? Czyliż Bułgarowie nie pomagali wam we wszystkich poprzednich wojnach z Turkami? Pomoc ich była nie wielką zapewne, ale szczerą, bo pomagali, jak i czem tylko mogli. Ale cóż ztąd wynikło? Turcy kazali nam krwią płacić za każdą pomoc, za każdy objaw współczucia dla was. I płaciliśmy potokami krwi naszej!... My wierzymy w braterskie wasze dla nas uczucia, lecz jesteśmy pewni, że nie będziecie mieli sił dotrzymać co nam obiecujecie. Oto powody, dla których Bułgarowie, choć pragnęliby okazać wam wdzięczność, na pozór chłodno i obojętnie czytają słowa proklamacyi, głoszącej im nową zorzę w ich bycie politycznym.

Jakim być powinien nowy ustrój życia politycznego Bułgarów, o tem oczywiście nie mówiła nie proklamacya, chociaż uważali niektórzy, że w jej zakończeniu wskazywały się nietylko pewne zarysy tego ustroju, ale nawet i stosunek doń Rosyi. Oto są słowa, które na tę myśl naprowadzały: „W miarę posuwania się wojsk rosyjskich w głąb kraju, władze tureckie będą zastępowane przez administracyą inną, zgodną z potrzebami narodu. Do czynnego udziału

w tej administracyi będą wezwani miejscowi mieszkańcy i sprawować swe urzędy będą pod dozorem władz wyższych. Legjony bułgarskie będą pierwszym zarodem siły zbrojnej, przeznaczonej dla obrony powszechnego porządku i bezpieczeństwa kraju. Bądźcie posłuszni władzom rosyjskim, spełniajcie ściśle ich rozporządzenia!... W tem spoczywa wasza siła i zbawienie!...“ Trudno jednakże było ze słów powyższych wnosić, że Rosya przyjmie na siebie nie łatwe zadanie dyktowania Bułgarom zasad, mających posłużyć za fundament nowego ustroju ich życia społecznego. Opiewa wprawdzie proklamacya, że urzędnicy miejscowi sprawować będą swe obowiązki pod dozorem władz wyższych, lecz nie powiedziano w niej nigdzie, że owe władze będą rosyjskimi, że zatem wyzwolona z jarzma tureckiego Bułgarya popadnie znowu pod opiekę Rosyi. A gdyby myśl taka zawierała się rzeczywiście w zakończeniu proklamacyi do Bułgarów, to stanowiłaby ona przeciwieństwo ze słowami wstępniemi, gdzie przytacza się przykład Serbii i Rumunii, wyzwolonych przez wpływy Rosyi i jej oręż. Serbia, wyzwolona z pod władzy tureckiej, pozostawiona była samej sobie, chociaż Serbowie, w chwili swego wyzwolenia, nie odznacжали się bynajmniej wyższym niż Bułgarowie stopniem wykształcenia politycznego. Serbia reprezentowała kraj, że tak powiemy, chłopski, bez klasy cywilizowanej, a jej znakomici przodownicy narodowi, owi Miłosze i Karageorgije, byli to prości chłopci, niezem nie różniący się od hajduków. To wszystko jednak nie przeszkodziło Serbom wybrać „skupeczynę“ (sejm) chłopską, która ujęła w swe ręce ster rządu śmiało, nie oglądając się na niczyją pomoc i mentorstwo. W organizacyi Rumunii Rosya, od 1840 aż do 1856 roku przyjmowała wprawdzie udział czynniejszy, lecz ten nie zmanifestował się przecież dobrodziejstwami opieki bezpośredniej. A i ów skromny udział Rosyi wywołał niezadowolenie ze strony Rumunów, którzy i dotąd nie odznaczają się zbyt wielką ku nam miłością. Bo też rzeczywiście, wówczas dopiero, gdy się zakończył nasz wpływ bezpośredni na sprawy wewnętrzne rumuńskie, kraj ten postąpił znacznie naprzód, przyswoiwszy sobie zasady samorządu, wyrobione na wschodzie Europy, a nam dotychczas obce zupełnie. Przykład Serbii pozosta-

wionej samej sobie, a pomimo to niepochlōniętej przez anarchią, przykład Rumunii, która rozpoczęła erę nowego życia dopiero od chwili gdyśmy ją opuścili, zanadto są wymowne, aby potrzeba było więcej jeszcze dowodów, że i Bułgarya naszej opieki nie potrzebuje, obejdzie się bez niej łatwo, i sama sobie da radę.

Wszystko to są rzeczy jasne i proste na pozór, lecz nie dla wszystkich. Wprowadzanie zarządu cywilnego w Bułgarii, zarysowując jaskrawiej niż proklamacya, bo praktycznie, nasz stosunek do Bułgarów, nasuwa wiele wątpliwości i wywołuje cały szereg kwestyj i myśli najrozmaitszych, a często dość smutnych i drażliwych.

Jeszcze przed wypowiedzeniem wojny stało się wiadomem powszechnie, że skoro tylko wojna wybuchnie, urządzenie organizacyi administracyjnej w Bułgarii będzie zleconem ks. Czerkaskiemu, że on mianowicie a nie kto inny będzie postawiony na czele cywilnego zarządu kraju, wydartego przez nas z rąk tureckich. Wybór ks. Czerkaskiego na stanowisko tak wydatne, chociaż, właściwie mówiąc, naówczas nikomu, a może i jemu samemu, nie było jeszcze wiadomem, czem będzie rząd cywilny Bułgarii, wybór ten przyjęty był, nie wiemy dobrze dlaczego, z sympatją i zadowoleniem powszechnem. Ks. Czerkaski używał w Rosyi dość wielkiej popularności, a przysiętem popularności człowieka liberalnego. Nie pragnę bynajmniej zaprzeczać zalet liberalnemu organizatorowi Polski i Bułgarii, lecz zawsze mię trochę niepokoiło pytanie: jakimi mianowicie zasługami ks. Czerkaski zdobył sobie tak głośną, a nawet w wielu miejscach chlubną opinią. Był on, co prawda, jednym z działaczy w pamiętnej epoce emancypacyi włościan. Ależ byli tam i inni, równie wybitni, równie zdadni, choć nie równie krańcowi mężowie, o których wszakże społeczeństwo nasze zaledwie pamięta i żaden z nich nie cieszy się nawet setną częścią tej popularności, jaka jest udziałem ks. Czerkaskiego.

Mówiąc w ogólności, dziwnym jakimś sposobem, (nie chcę tem dotknąć bynajmniej ks. Czerkaskiego) tworzą się u nas reputacye. Jak nie nie znaczy, nie nie kosztuje rzucić na kogoś cień wcale nie chlubny, albo jeszcze gorzej, bo spotwarzyć kogoś wobec całego społeczeństwa, postawić go

pod pręgierzem i ciskać nań klątwy soborów powszechnych, tak też nie nie kosztuje stworzyć dla kogoś sztucznie reputacyą chlubną i palić mu kadzidła, jak prawdziwemu dobroczyńcy ludzkości. Dobrze i złe postęпки nigdzie tak łącno nie zapominają się jak u nas. Słusznej oceny wartości człowieka, oceny bezstronnej, nieskażonej namiętnością dodatnią lub ujemną, prawie nie masz u nas zgola. Społeczeństwo nasze wydaje wyroki o ludziach nie wedle ich zasług rzeczywistych, lecz według własnego, chwilowego usposobienia. Bez żadnych widocznych powodów zaczynamy wynosić kogoś pod niebiosa, i w tenczas już hamulca żadnego nie znamy. Przypisujemy mu wszystkie najpiękniejsze zalety i cnoty najwznioślejsze: człowiek ten i rozumny, i utalentowany, i wspaniałomyślny, i bezinteresowny, i obdarzony od natury najbogatszymi dary. Niech kto próbuje zaprzeczyć, wnet go zagłuszą sykania i głosy oburzenia.

— Zmiłujcie się — powiadasz krzykaczom — wszak ten człowiek całe życie swoje uważany był za idyotę!... —

— Głupstwo! potwarz!... On był niezrozumianym, zapoznanym... Ale teraz za to nikt niema prawa wątpić, że to jest człowiek znakomity... Dowiódł bowiem i rozumu, i talentu i geniuszu nieledwie, a przedewszystkiem nieskazitelnej uczciwości i katońskiej cnoty...

Cóż czynić. *Nec Hercules contra plures*. Trzeba się poddać krzykom większości. I oto zahukany oponent milczy, bo mu niewolno odezwać się z wątpliwościami, które dlań przecież stanowią pewność niezbitą.

Jak szczęśliwea ni ztąd ni z owąd kanonizują, tak innego biedaka nie wiedzieć za co obrzuca błotem. Trzeba wielkiego męstwa, rzadko między nami spotykanego, aby na przekór bezmyślnym a potwarczym głosom obronić czyjeś zdolności, talent, lub nawet uczciwość, jeśli się na nią uwzięto. Przykładów, jak u nas tworzą się reputacye głośnie a fałszywe, nie trzeba szukać daleko: terażniejsza wojna bardzo wiele ich nastręcza.

Oto dlaczego niechciałbym kreślić tu charakterystyki ks. Czerkaskiego. Robota to dość trudna: mógłbym popaść w przesadę na tę lub na ową stronę, chociaż charakterystyka tego męża byłaby może bardzo zajmującą, wobec roli, jaką

odegrał w Polsce, odgrywa teraz w Bułgarii i odgrywać będzie prawdopodobnie w przyszłości, skoro kraj ten odpadnie od Turcyi ¹⁾.

Chociaż się tedy usuwam od charakterystyki organizatora Bułgarii, pragnąłbym jednak, choć w niewielu słowach, porobić pewne adnotacye, w jego urzędowym „stanie służby“, którego daty, bądź co bądź, nie są wystarczające dla oceny człowieka z wyższego cokolwiek punktu widzenia. I tak, jego zasługą niewątpliwą jest działalność jego w ważnej sprawie emancypacyi włościan, która mu stworzyła opinią człowieka liberalnego, broniącego szczerze sprawy uwłaszczenia. Następuje potem działalność ks. Czerkawskiego w Królestwie Polskiem, w epokę t. z. „pacyfikacyi“ tego kraju, po skończonym ruchu powstańczym. Ale ta działalność najmniej nadaje praw ks. Czerkawskiemu do korzystania z tytułu człowieka liberalnego. Wszyscy mieszkańcy królestwa Polskiego jednym, wielkim głosem *potępiali dzisiejszego gubernatora Bułgarii za jego zbytnią surowość i bezwzględność*. Ale w Polsce jeszcze miał on pewną wymówkę *sui generis* t. j., że trzeba było uspokoić kraj który się burzył przeciw Rosyi, *choć i o tem dałoby się wiele powiedzieć*. Są rozmaite sposoby „uspakajania“; wybór ich zależał wyłącznie od ks. Czerkawskiego, cele zaś rządu bodaj czy nie rychlej i skuteczniej bywają osiągnane środkami takimi, które nie są w sprzeczności ze sprawiedliwością i liściowym poglądem na ludzi. Opuściwszy Polskę, ks. Czerkawski powrócił do Moskwy, gdzie objął urząd prezydenta miasta. Ta nowa jego działalność nie powiększyła wcale sympatyi, jaką posiadał u mieszkańców Moskwy, a nawet zachwiała ją cokolwiek, bo najzarliwsi jego wielbiciele zaczęli na tem słońcu upatrywać plamki i zaznaczać pewne przeciwieństwa, między teorią a praktyką jego liberalizmu. Spostrzeżono naprzykład, że słynny ów liberalizm nie przeszkodził mu jednak, być gorącym zwolennikiem i obrońcą kary cielesnej. Ale czyż można dziwić się temu? Wszakże w naszej Rosyi i dziś jeszcze, w chwili gdy to piszę, jest mnóstwo ludzi, skądinąd bardzo szanownych i szanowanych

¹⁾ Wiadomo, że Czerkaski umarł nagle. P. R.

powszechnie przez klasy najbardziej niby wykształcone, którzy przecież nie wstydzą się stawać głośno w obronie różg i batogów. Trudno nie przyznać się, chociaż niemiło to wcale, że obyczaje nasze noszą jeszcze *dotychczas cechę odwieczną wielkiej dzikości i brutalności*. Hr. Alexy Tołstoj dobrze znał swoje społeczeństwo, kiedy napisał:

„I będzie on wam grzbiety garbować batogiem, —

„A wy będziecie klękać przed nim, jak przed Bogiem!“

Wszystko to jednak były szczegóły, niezdolne jeszcze zachwiać, że tak powiemy w posadach, reputacyi człowieka oddawna i dość mocno ustalonej. Dlatego też wybór ks. Czerkaskiego na posadę organizatora Bułgaryi wzbudził bardzo rozkoszne nadzieje i stał się przedmiotem wielu niezmiernie chlubnych komentarzy. Krzyżowały się szept, i zdania głośne, które dość rychło doszły do Bułgaryi. Wszyscy inteligentniejsi Bułgarowie błogosławili losom, że dają im na wielkorządcę człowieka tak liberalnego, światłego, słowem prawdziwie europejskiego męża stanu. Na nieszczęście jednak tak chlubna o nim opinia utrzymywała się niezbyt długo, bo wkrótce wielu Bułgarów już się uskarżało, że się *w nadziejach swych zawiedli*.

Pamiętam, pierwszego lub drugiego dnia mojego pobytu w Tirnowej spotkałem się z pewnym Bułgarem, należącym do partyi zwanej „młodą Bułgaryą“, który na moje zapytania o nowym zarządzie cywilnym i ks. Czerkaskim, zaczął uskarżać się gorzko na wprowadzone przez nas porządki.

— Cóż jest powodem waszego niezadowolenia? — pytałem zaciekawiony.

— O! bardzo rychło dali nam uczuć wasi urzędnicy, jak się zapatrują na nas! Natychmiast, bez ogródki, dano nam do poznania, że Rosyanie przyszli do Bułgaryi nie po to, aby się obeznąć z naszym położeniem, zbadać bliżej kraj nasz, wejść w nasze potrzeby i starać się je zaspokoić, lecz tylko, aby rozkazywać bezwzględnie, nie zwracając zgoła uwagi na nasze opinie i pragnienia.

Zarzuty te zdawały mi się bezzasaduemi; prosiłem więc, aby mi przytoczył fakta.

— Chcesz Pan faktów? odpowiedział Bułgar — bardzo chętnie. Oto z nich jeden: kiedy wojska rosyjskie jeszcze nieprzeprawiły się przez Dunaj, Bułgarowie wysłali deputacyą do Płojeszti. Deputacya bardzo łaskawie przyjętą została przez Cara; ks. Gorczakow również przyjął ją dosyć względnie, ale inaczej postąpił z nią ks. Czerkaski. W słowach ostrych i gniewnych prawie oświadczył wysłańcom, *że słyszeć i wiedzieć nie chce o żadnych deputacyach, niech więc nie ośmielają się deputowani przypuszczać, że są przedstawicielami narodu.* Bułgaria nie zna i znać nie będzie żadnych samorządów, formę rządu reprezentacyjną niech sobie wybiję z głowy, jak również wszelkie inne mrzonki polityczne. Wyobraź Pan sobie — zapalając się coraz bardziej, opowiadał Bułgar, że kiedy jeden z naszej deputacyi chciał wypowiedzieć swoje zdanie, zaoponować słowem przeciw wyrazom zbyt ostrym, ks. Czerkaski wykrzyknął z gniewem: *„nie potrzeba nam żadnych zdań waszych! możecie sobie niemi... (tu następuje wyrażenie zbyt dosadne). Nam trzeba pokory i posłuszeństwa. Milczeć i słuchać, to wasza rola!...“* Powiedz mi Pan z łaski swojej, — dodał w końcu biedny Bułgar, — czy u was tak zawsze postępują z ludźmi, którzy przecież żadnej niepopelnili zbrodni? *bo myśmy myśleli że tylko w Turcyi coś podobnego zdarzyć się może.* —

Przyznam się, że nie przywiązywałem zbyt wielkiej wagi do tego opowiadania, przypuszczając, iż złe przyjęcie deputacyi bułgarskiej było wynikiem jakiegoś nieporozumienia, albo poprostu skutkiem chwilowego nieusposobienia, wyjątkowo złego humoru pana gubernatora. Ale na nieszczęście nie był to wcale ostatni tego rodzaju wypadek, i nie ostatnia skarga Bułgarów na surowe i brutalne obchodzenie się z nimi.

Powie mi ktoś może, że kryterium działalności rządów naszych w Bułgarii nie trzeba poszukiwać w wypadkach przytoczonych wyżej, ani też we wrażeniu, jakie sprawia na tubylcach osoba, postawiona na czele tych rządów. Zgadzałem się na to po części, jakkolwiek mniemam, że i takie kryterium ma pewne znaczenie tam zwłaszcza, gdzie — jak właśnie rzecz się ma w Bułgarii — przychodzimy do kraju

jako „oswobodziciele i zbawcy“. Działalność zresztą nasza dotychczasowa nie jest jeszcze obfitą w fakta bardziej doniosłe, a zbawienne, chociaż zaczęła się ona jeszcze przed wkroczeniem armii naszej do tego kraju.

Pierwszą czynnością organizatora Bułgaryi było, jak to się zwykle u nas dzieje, mianowanie komisji rozpoznawczej, obowiązanej zbierać materiały w celu obeznania się z warunkami życia miejscowego. Zadanie tej komisji dość było ważne, i, jeżeli ona nie spełniła go zbyt świetnie, to oczywiście dlatego tylko, że kazano jej pospieszać, pospieszać i pospieszać. To też spieszono galopem. Materiały, mające obeznać nowy zarząd z krajem tak obszernym, zebrano w ciągu dni *kilkunastu*. Nie jestże to rzeczą podziwienia godną? Dnia 30 kwietnia mianowaną została komisja i otrzymała z rąk ks. Czerkaskiego instrukcyę i programat przyszłych swych prac. W tymże dniu wyjechała z Kiszeniowa do Bukaresztu, gdzie 3 maja przystąpiła do zajęć; a już 21 maja, t. j. po dniach 18-tu, wyszła na świat księga obejmująca owe materiały, a zawierająca 9 arkuszy druku bardzo ścisłego. Jeżeli uwzględnimy czas, użyty na wydrukowanie owej księgi w małej drukarni bułgarskiej, gdzie jest wszystkiego dwóch zecerów, to wypadnie ztąd, że komisja użyła na wypracowanie tak ogromnej i ważnej treści księgi nie więcej jak dwa lub trzy dni. Gdyby członkowie komisji odznaczałi się nawet nadprzyrodzonymi zdolnościami, to i wówczas niepodobna by było wymagać od nich, żeby przy tak zdumiewającym pośpiechu opracowane przez nich materiały miały jakąś wartość rzeczywistą. To też praca komisji nie jest niczem innem, jak tłómaczeniem rozmaitych wyjątków z dzieł autorów zagranicznych, którzy pisali o Bułgaryi; pomimo to jednak, a raczej właśnie dlatego, — jest ona charakterystycznym obrazem i jakby zwierciadłem czynności powierchownych i pospiesznych całego naszego personelu urzędniczego w Bułgaryi. Nie długo myśląc, ani się zastanawiając, zrobić jakkolwiek, byle prędzej, a jak rzecz będzie zrobiona? — to już kwestya podrzędna.

Ale do czegoż, — może ktoś zapytać — potrzebny był ten pośpiech nadzwyczajny? Tłómaczono mi to dwoma powodami: naprzód, że w improwizowanej hierarchii urzędni-

czej nikt, od najwyższych do najniższych, nie miał najmniejszego pojęcia o kraju, do którego przybył, każda więc książka informacyjna była niezmiernie pożądaną; a powtórę, że panowało powszechne przekonanie, iż za dwa lub trzy miesiące znajdziemy się w murach Konstantynopola; Bułgaria zatem cała będzie w naszych rękach, ale wojska w niej nie będzie, niepodobna tedy pozostawić świeżo wyzwolonego kraju bez organizacyi administracyjnej. A jaką ona będzie — o to nie pytano.

Z dwóch przytoczonych argumentów pomijam drugi, chociaż i o nim dałoby się wiele powiedzieć. Ale za to pierwszego pominąć nie mogę. Boże wielki! *jak dokładnie cechuje on naszą płytką i lekkomyślną naturę, nasze obyczaje, cały nasz systemat tradycyjny!*... Ileż to już wojen prowadziliśmy w Turcyi? ileż to razy mieliśmy sposobność bezpośredniego stykania się z Bułgarami? Od stu lat prawie powtarzamy sobie, że polityka nasza na wschodzie ma cel jedyny, wyswobodzenia, pierwaj mówiliśmy „chrześcijańskich“ teraz zaś wyrażamy się „słowiańskich“, narodów z pod władzy tureckiej. W czasach najbliższych nareszcie, już oto od dwóch lat, t. j., od początku powstania w Hercegowinie, rozprawialiśmy głośno, że z tej iskry wybuchnie pożar, który nas zmusi wkroczyć do Bułgaryi. I cóż ztąd jednak? Ani jednej chwili nie poświęciliśmy na to, aby się obeznać ze stanem narodu, za którego byt wypowiadać mamy wojnę, aby się zaopatrzyć w wiadomości o zwyczajach i obyczajach tego kraju, jak się on rządzi, jakimi rozporządza środkami i jakich posiada ludzi? Słowem zdawałoby się, że Bułgaria leży gdzieś na krańcu świata, za górami i morzami, i że stopa żadnego Rosyanina nigdy tam jeszcze nie powstała. Czyliż można wyobrazić sobie większą już lekkomyślność, cechującą i z tej strony naszą zupełną niegotowość do posłannictwa, któreśmy na siebie przyjęli? Mimowolnie musiałem sobie przypomnieć słowa jednego z petersburskich pesymistów, który twierdził, że nasz zapał dla Bułgarów jest stanem anormalnym, bo jak wczoraj nie myśleliśmy o nich zgoła, tak nagle dziś przejeśliśmy się ogniem niesłychanym, który z kolei jutro może zagasnąć tak łacno, jak się rozplomieniał.

— Czy doprawdy to wszystko tak bardzo ciebie zdziwia? pytał mię inny znów mój znajomy, kiedym z nim rozpoczął dyskusyą w tej materyi. Co do mnie, dziwiłbym się raczej, gdyby inaczej było: gdybyśmy naprzykład, rozpoczynając wojnę, okazali znajomość Bułgaryi i Bułgarów; świadomość warunków ich życia, praw, zwyczajów, słowem wszystkiego, o czem wiedzieć powinniśmy byli, a coby dowodziło poważnego z naszej strony zapatrywania się na sprawę. Myśmy nie Niemcy przecież! Oto gdyby oni zabrali się do wojny podobnej, o parę lat przed jej rozpoczęciem jużby się obeznali niezawodnie nietylko z krajem ogólnie lecz z każdą jego wioską, przysiółkiem, wąwozem, rzeką, wzgórzem, słowem lepiej by ten kraj poznali, niż znają go dziś Turcy, lub sami Bułgarowie. A nam na co to wszystko? My wszystko zrozumiemy, wszystkiego się nauczymy bez pracy, bez namysłu, siłą intuicji samej. Widzisz więc, że sam nie wiesz, czego chcesz od nas!..

Niestety! Ta ironia zupełnie usprawiedliwioną została: nasz zarząd cywilny w Bułgaryi oczywiście uwziął się dowieść, że można doskonale zarządzać krajem, nie mając najmniejszego pojęcia o jego szczegółach topograficznych i etnograficznych, o charakterze i zwyczajach jego ludności. Sądząc po osobach, które przez ks. Czerkawskiego wezwane zostały na urzędników w Bułgaryi, z zupełną pewnością wność można, że i on podzielał powyższy pogląd na rzeczy.

Wybór urzędników pozostawiony był wyłącznie ks. Czerkaskiemu, dlatego też wybór ów charakteryzuje najdokładniej zapatrywanie się wielkorządzczy na swe posłannictwo. W czasie pobytu mojego w Tirnowej, i potem nieraz, zdarzało mi się dość bliski zawrzeć stosunek z tymi, którym przypadła w udziale szlachetna rola — być pośrednikami między Rosyą a Bułgaryą. Mogę o nich mówić zupełnie swobodnie, nieчем się bynajmniej nie kępując, ponieważ, jak to się samo przez się rozumie, pragnę oddzielić ich zalety osobiste od przymiotów, jakich wymagać należy po ludziach publicznych, działających na wybitnej a nowej zgoła arenie.

Większość osób, wezwanych przez ks. Czerkaskiego dla objęcia posad w zarządzie cywilnym w Bułgaryi składała się z oficerów rozmaitych pułków gwardyi. Przeważnie byli to

ludzie bardzo młodzi, a ci których znałem osobiście, nawet dość sympatyczni, dobre mający serca i niezłe chęci. Powiem więcej: niektórzy z nich pozostawili w mej pamięci wspomnienia bardzo przyjemne, bo otaczał ich powiew pewnej serdeczności i gorącości uczuć. Lecz pomiędzy posiadaniem zalet osobistych, składających się na to, by czynić przyjemnym człowieka towarzyskiego, a przymiotami niezbędnymi dla stanowisk tak ważnych, jakie oni zajmowali, olbrzymia zachodzi różnica. Działalność urzędników w kraju nowym i obcym wymaga pewnych wiadomości specjalnych, pewnego wykształcenia, a co najmniej świadomości warunków, pod których wpływem utworzyło się życie społeczne, i takie lub inne obyczaje narodu; słowem działalność owa wymaga pewnego przygotowania do niej, a tego właśnie brakło w zupełności młodzieży, wezwanej przez ks. Czerkaskiego do Bułgarii. Sami rozumieli to dobrze ci wszyscy młodzi oficerowie i rozpoczynali swe prace ze świadomością, że nie wiele dobrego zdziałać potrafią.

— Jestem zupełnie jakby w ciemnym lesie — mówił mi jeden ze świeżo mianowanych naczelników obwodu. Nie mam najmniejszego pojęcia, co mam robić, jak sobie poczynąć? Zdaje mi się, że mam niezmiernie dużo obowiązków, ale jakich, nie wiem zgoła. Jednem się tylko pocieszam, że nie sam jeden jestem w takim położeniu, wszyscy bowiem, ilu nas tu jest, chodzimy omackiem, niewiedząc, pociśmy tu przybyli, co mamy prawo robić, a czego strzedz się i unikać?

Oczywiście interesowała mię bardzo kwestya: wskutek jakich pobudek wszyscy ci oficerowie gwardyi, mający w kraju pewną pozycyą i pewne specjalne powołanie, zdecydowali się opuścić stolicę, by się poświęcić zajęciom zupełnie sobie obcym? Wszystkie odpowiedzi na pytania, które w tym celu zadawałem różnym, podobne były do siebie, jak dwa listki z jednej zerwane gałązki.

— Zechciej bo Pan zważyć, — tłumaczyli się ci, których pytałem — że gwardya zostawała wtedy w Petersburgu, gdy tymczasem wszyscy inni spieszyli za Dunaj. O przeniesienie było dość trudno; wtem proponują nam wyjazd do Bułgarii. Czemuż nie spróbować? myśleliśmy sobie. Podoba się

nam, to dobrze, a nie, nie na tem nie stracimy; służba się liczy, awanse idą swoją koleją, nareszcie, byle raz dostać się na miejsce, łatwiej już będzie pozostać w armii czynnej. A gdyby nawet i to ominięło, nie przecież złego się nie stanie. Pobędę tam czas jakiś, obaczę nieznane strony, i w dodatku otrzymam dobrą pensyą, pieniądze na kosztą podróży itd.

Że mówili w ten sposób ludzie, którzy przybyli do Bułgaryi, wyrwani nagle z właściwego sobie otoczenia, nie mający pojęcia o przyjętych na się obowiązkach, nie w tem niema zbyt dziwnego, bo ani doświadczenie, ani wykształcenie nie mogło ich usposobić do właściwszych na rzecz poglądów. Ale że takich właśnie ludzi naczelny organizator Bułgaryi wzywał do siebie i obsadzał nimi miejsca niezmiernie ważne, tego nie rozumieli ani oni sami, ani też nikt, kto mniej więcej nie był wtajemniczony w wielkie zamiary organizatorskie ks. Czerkaskiego. I pokąd te zamiary nie stały się jawnemi w całej swej głębokości, każdego razić musiał ten przypływ niepomiernej, ta wędrówka gromadna do Bułgaryi oficerów gwardyi, z którymi, notabene, długo po ich przybyciu, nie wiedziano nieraz co robić i dokąd ich skierować. Z Petersburga pędzono ich słowami: „pospieszajcie, jedźcie prędzej na miejsce nowej waszej służby.“ W Tirnowej witano ich inaczej: „Poczekajcie! bądźcie cierpliwi; nie mamy jeszcze dla was miejsca.“

A tymczasem pensya dla nich wszystkich była już wyznaczoną i pobierali ją, a pensya wcale nie mała. O czem innem u nas w Rosyi zapominają łatwo, o co innego nie dbają, ale o etatach pamiętają dobrze i wielką je otaczają troskliwością. O tych etatach warto tu wspomnieć słów parę, ponieważ wszystkie wydatki na utrzymanie osób, wezwanych na posady, pokrywane były z funduszków krajowych t. j. z podatków pobieranych od samych Bułgarów. Wiem, że znajdują się tacy, którzy powiedzą, że ilekolwiekby kosztowało Bułgarów utrzymanie administracyi rosyjskiej, zawsze oni mniej wydadzą, niż wydzielali od nich Turcy... Zapewne! Ależ zdaje mi się, że przyszliśmy do Bułgaryi nie po co innego, jeno aby bronić jej od jarzma i ruiny!.. Jakież tedy były nasze etaty? Oto najpierwej: gubernator, otrzy-

mujący pensyi stałej 7,000 r. i nadto na rozchody nadzwyczajne 8,000 do 10,000 r. rocznie, bez żadnej kontroli. Następuje wicegubernator, z pensją 4500 r. i na rozchody tyleż. Dalej naczelnicy obwodów otrzymujący pensyi 2,500 r. a na rozchody i podróże 3,000 r. Policmajstrowie, z pensją takąż jak naczelnicy obwodów. Jeżeli jeszcze uwzględnimy, że według istniejących rozporządzeń urzędnicy pobierają należne sobie pieniądze nie inaczej jak w złocie, które niezmiernie wiele kosztuje, i że wszyscy otrzymali przedtem na kosztą podróży całoroczną pensją gratis, oprócz podwójnych, według swych rang, *prohonów* ¹⁾ to okaże się, że urzędnicy nasi w Bułgarii są tak samo płatni jak ci, którzy przyjmują posady w Turkestanie. A dodać należy, że wszystkim dają się mieszkania obszerne i wygodne, bezpłatnie, na rachunek miast i wsi. Wszystko to tłómaczy dostatecznie łatwość, z jaką posady w Bułgarii przez wszystkich przyjmowane były, nie bowiem naturalniejszego nadto, iż korzyści materialne zwyciężą wszelkie skrupuły w człowieku młodym i małe mającym wyobrażenie o odpowiedzialności, jaka na nim ciążyć będzie.

Obcą mi jest tedy myśl oskarżania ludzi powołanych na urzędy w Bułgarii, że przyjęli je, nie będąc odpowiednio uzdolnieni. Być może że powodowały nimi nie same materialne względy, że chwilowy zapał dla sprawy nowej i niby chlubnej, wpływał tu także nie mało. Wiele z tych osób znałem osobiście i powtarzam, że byli to ludzie z wielu względów prawi. Może mię jednak ktoś zapytać, dla czego przyjmowali posady, mając przeświadczenie, że im nie podołają, a nie wiele się interesując wysoką płacą?

I ja też zadawałem nieraz podobne pytania, a otrzymując odpowiedzi pełne szczerości, przekonywałem się, że ci ludzie nie popełnili nic nagannego i że 99 innych na 100 postąpiłoby tak samo jak oni.

— Gdy otrzymałem propozycyą wyjazdu do Bułgarii — opowiadał mi jeden z młodych oficerów — w pierwszej chwili chciałem odmówić i w tym celu udałem się do zwierzchności. „Dla czegoż pan nie chcesz przyjąć tej posady?“ za-

¹⁾ Koszta na opłatę koni pocztowych.

pytywano mię. „Czy warunki wydają się panu niedogodnymi?“ Nie, odpowiedziałem; warunki bardzo są dogodne; lecz nie mogę z nich skorzystać, ponieważ nie a nie nie rozumiem i nie znam obowiązków mojego przyszłego urzędowania. „Na miłość Boga! mówiono mi dalej, wszak pan nie potrzebujesz nie rozumieć. Z tego względu możesz pan zupełnie być spokojnym. Dadzą panu szczegółowe instrukcye, do których zastosujesz swoje czynności i nie ci więcej nie potrzeba“... Czułem — opowiadał mi dalej oficer — że ten argument nie wpływa wcale na moje przekonania i ponawiałem prośbę, aby mię uwolniono...

— Czemże się pan dałeś przekonać nareszcie? pytałem zaciekawiony.

— Przekonano mię nie argumentami, lecz imieniem ks. Czerkaskiego. Zawszem słyszał o nim, jako o człowieku znakomitym. Kiedy mi więc powiedziano: „Wierzaj pan, że jeśli książę wzywa oficerów gwardyi na te posady, to już on wie co czyni“ — był to dla mnie argument najbardziej przekonywujący. Po krótkim więc namyśle zdecydowałem się i przyjąłem dla wypróbowania, co z tego wyniknie.

Mogę upewnić, że bardzo wiele osób, przybyłych dla objęcia posad do Bułgaryi, zapatrywało się na swe obowiązki właśnie jako na próbę, i wszyscy prawie przekonali się wkrótce, że próba była niefortunna. Wszyscy uskarżali się, że musieli działać według własnego natchnienia, żadnych bowiem poważnych i systematycznych instrukcyj im nie dawano, a jeżeli otrzymywali je, to tak powierzchowne a nieraz dzikie, że nie było możności stosować się do nich. Bardzo często zdarzało mi się słyszeć skargi, że ci, którzy powinni byli kierować młodszymi na drodze nowej ich działalności, sami nie rozumieli, jak sobie dać rady. Wynikał ztąd chaos szczególny: dawano dziś zlecenia pisemne, które jutro także pisemnie odwoływano. Dziś zalecano postępować tak, jutro zupełnie przeciwnie. Słowem wszyscy przekonali się bardzo rychło, że zamęt który oczywiście panować musiał w kraju w czasie wojny, był jeszcze nieczem w porównaniu z tym zamętem, który panował w umysłach urzędników wyższych i niższych. Ks. Czerkaski chciał stworzyć

coś niezmiernie mądrego, a stworzył tylko coś takiego, czego nikt, a podobno i on sam zrozumieć nie mógł.

Jedności i systematyczności w działaniach nie było żadnej; wszystko się odbywało według pojęć osobistych każdego indywiduum i według jego, często przesadnych i dziwacznych, zapatrywań się na sprawy. Jeden był rzeczywiście zapalonym obrońcą Bułgarów i usiłował wszelkimi sposobami zyskać ich przychylność i miłość dla Rosyi. Inny, ni ztąd ni zowąd, stawał się rzecznikiem Turków i niezmiernie ostro karał Bułgarów za każde przeciw nim wykroczenie.

— Wiem ja dobrze — mówił mi jeden z naczelników obwodu, gdy mu towarzyszył w przejażdżce po jego ziemiach — wiem dobrze, że *bratuszki* (tak Rosyanie zowią ironicznie Bułgarów) znieść mię nie mogą, ale to mi zupełnie wszystko jedno; to taka nikezemna hołota, z którą postępować należy srogo, po wojskowemu. Teraz mię oni się boją, wiedzą bowiem, że im nie daruję. Jak tylko w czem zawini — 25 nahajów, i koniec. Niech gawiedź zna mię i drży!...

— Ależ zmiłuj się pan — mówiłem — nahajka nie jest wcale środkiem dobrym do zdobycia sobie serc bułgarskich.

— A nam na licha ich serca!... Zresztą zrobiłbym pana choć na jeden tydzień naczelnikiem *kazy* (obwód), a obaczyłbyś pan, czy można się z tem bydlętem obejść bez nahajki. Sypałbyś ich codziennie po 200 i 300!... Pan nie wiesz, co to są Bułgarowie. A co się tyczy ich przychylności, Bóg z nimi, wszystko nam jedno!...

— Ależ pan zapominasz ciągle, że przyszlismy do nich przecie nie po to, aby ich chłostać, lecz żeby wyzwolić i nadać prawa mniej więcej ludzkie....

— Et! proszę mi wierzyć, że dla nich najlepszym wyzwoleniem i najświętszym prawem jest nahajka....

Nie nie pomogły wszelkie opozycye. Pan naczelnik tak mocno wierzył w swoją nahajkę i w to, że bez niej niepodobna rządzić Bułgarami, że daremne były wszystkie moje argumenta. Pozostał przy swoim zdaniu co do użyteczności tak oryginalnego narzędzia administracyjnego.

A nie myślcie, że to był jeden z takich, których w Rosyi nazywają „zwierzem“, któryby znajdował rzeczywiście jakąś przyjemność w chłostaniu ludzi nahajkami. Nie. Było

człowiek nadzwyczaj miły, dobry i rozumny. Jego nahajkomaniya nie pochodziła wcale ze zwierzęcych jakichś instynktów, lecz poprostu była wynikiem pewnego, dość zwykłego u nas, systematu wychowania z jednej strony, z drugiej zaś — zupełnego niezrozumienia roli, jaką odgrywać musiał w stosunku do Słowian południowych. Wyobraził sobie, że słusność mu nakazywała bronić biednych Turków, pozostałych w miejscu zajętem przez nasze wojska; prześladował więc surowo lada najmniejszy objaw odwiecznej nieprzyjaźni ludności bułgarskiej dla swych niedawnych gnębieli. Dowiaduje się n. p., że jakiś Bułgar, po zajęciu miasta albo wsi przez nasze wojska, pozwolił sobie przyswoić coś, co było własnością Turka. Natychmiast występuje na scenę nahajka.

— Ale przestań pan!... co też najlepszego robisz?... Czyż podobna tak postępować?...

— A według zdania pańskiego, trzeba pozwolić na grabież? O, ja ich nauczę, tych naszych „bratuszków!“

Daremnie staram się przekonywać, że w chwilach takich niepodobna zbyt surowo postępować z ludźmi, którzy tyle klęsk ponieśli od Turków, że grabież w obecnym razie nie jest może właściwie grabieżą, a raczej dość naturalną, choć zresztą naganną chęcią wywarcia zemsty — nic nie pomoże!... Wszystkie dowodzenia chybiają celu.

— Co mi do ich nieprzyjaźni dawniejszej? Ja powinienem pilnować, aby tak Turkom, jak i Bułgarom zapewniony był spokój!... Patrz pan na Turków, na których tak krzyczycie, jak oni zachowują się wzorowo, jak łagodnie obchodzą się z Bułgarami, żaden ich ani zaczepi. Niechże więc i Bułgarowie wiedzą, że niewolno nikogo krzywdzić. A kto krzywdzi, tego nahajami!...

Trudno było przekonywać, że niepodobna tak prędko zapomnieć rozjątrzenia odwiecznego, że Turcy zachowują się cicho i skromnie dla tego tylko, iż są zwyciężeni, a jeżeli nie rabują ani zabijają Bułgarów, to oczywiście dla tego, że widzą przed sobą żołnierzy rosyjskich. Ale niech tylko ci odejdą, niech choć na kilka godzin wejdą natomiast wojska tureckie, naówczas znowu całe miasto lub wieś będą zbroszone krwią bułgarską. Takich rozumowań ani chciał słuchać pan naczelnik *kazy*, ignorując w zupełności wszelkie

warunki historyczne i względy polityczne, zastosowując zaś bezwzględnie do Bułgarów ten systemat dyscypliny wojskowej, do którego przywykł od lat młodości, a przy którym każdy inny systemat zdawał mu się niedołącznym i niewłaściwym. Nie rozumiał on, że dyscyplina wojskowa wcale nie licuje z zarządem cywilnym, wierzył więc w nahajkę jak w dogmat i garbował nią bez miłosierdzia grzbiety biednych Bułgarów. Wprawdzie grzbiety ich oddawna przywykły do podobnego traktowania; a więc korzystano z tego. Siano dla koni wojskowych na czas niezebrane — nahajka! Most nie-naprawiony — nahajka! Niedostarczono nakazanej ilości podwód dla wojska — nahajka!...

Zachodzi jednak pytanie, czy można obwiniać takiego pana naczelnika za jego tatarski systemat administracji? Zdaje mi się, że nie. Postępował on bowiem według swojego sumiennego przekonania, będąc pewny, że postępuje dobrze, bo powoduje się sprawiedliwością bezwzględną. Obwiniać tedy można tych jedynie, od których zależało rozdawanie posad administracyjnych. A pan naczelnik „nahajkowy“ zbierał owoce swojego systematu. Turcy lubili go bardzo, otaczając oznakami uszanowania, przyjmując gościnnie w własnych domach i zasypując go powodzią rozmaitych skarg, które nigdy nie zostawały bez skutku. Bułgarowie zaś spełniali wprawdzie na pozór bez szemrania wszelkie jego rozkazy, ale na ich twarzach łatwo wyczytać było niechęć i wstręt. I nie dziw: przekonali się biedacy, że jeżeli byli chłostani za lada co przez Turków, to też i Rosyanie umieją także za lada co chłostać.

Jeżeli wspominałem o tem, nieco oryginalnem, zapatrywaniu się jednego z administratorów Bułgaryi na swe obowiązki, to dlatego tylko, że zapatrywania się podobne nie były wcale zjawiskiem pojedynczem, wyjątkowem, i wyróżniającem owego urzędnika od innych jego kolegów. Przeciwnie: jeżeli mię cokolwiek w tym chaosie administracyjnym uderzało najwybitniej, to właśnie rola przeważna, dominująca, jaką wszyscy nadawali nahajce. Przykład bywa zaraźliwym; użycie więc tego narzędzia przechodziło od jednego do drugiego urzędnika i stało się powszechnem, prawie modnem. Nahajka, słowem, otrzymała prawo obywatel-

stwa, rodzaj indygenatu, a kto jej nie używał, wstydził się prawie tego. Bułgarowie oczywiście nie mogli być wielce zadowolnieni z takiego sposobu zarządzania nimi, a to tembardziej, że byli zarazem ofiarami rozmaitych klęsk i ciężarów nad siły, nieuniknionych w czasie wojny. A tymczasem owo, często źle ukryte, niezadowolnienie stawało się dla organizatorów niewyczerpanym przedmiotem narzekań na niewdzięczność i zepsucie ludu bułgarskiego. Zapominali wszyscy, że od mas ludowych, przybitych zgębieniem wiekowem i znajdujących się w pierwotnym stanie oświaty, niepodobna wymagać rozumowań, potrzebujących rozwinięcia filozoficznego, bo uzasadnionych na wniosku: „jeżeli dziś mamy do zniesienia wiele, to cierpienia nasze opłacą się nam hojnie w przyszłości“. Naród bułgarski znużył się już cierpieniami, ma prawo wymagać choćby królestwa niebieskiego na ziemi. Możnaż tedy mieć mu za złe, że nie umie ukryć dobrze goryczy rozczarowania? Kiedy obecność nas dręczy i gnębi, nie wiele nam pociechy przynieść może nadzieja lepszej przyszłości!

Z jednej więc strony niezadowolenie i niechęć tych, których przyszłiśmy uszczęśliwiać, z drugiej zaś — niedokładne pojmowanie, a raczej niepojmowanie zupełne swych obowiązków przez nowych organizatorów, stały się powodem zniechęcenia tych nielicznych urzędników administracyjnych, którzy mogliby pracować z pożytkiem i mieli już wyznaczone pole po temu. Jeżeli tacy uskarżali się gorzko na swoje losy, niemal przeklinając tę chwilę, w której otrzymali wezwanie ks. Czerkaskiego, to cóż już mówić o innych, którzy czuli że są ciężarem prawdziwym, gdyż dla nich tworzone posady, których właściwie nie miano. Mnóstwo osób przybyło do Bułgaryi w celu zarządzania krajem, gdy właściwie nie było czem zarządzać; musieli więc czekać pomyślniejszych czasów. Ale p. naczelny gubernator Bułgaryi nie zwracał na to, jak się zdawało, najmniejszej uwagi i chcąc, bądź co bądź, rozdać posady wezwanym oficerom, mianował ich gubernatorami, wicegubernatorami i naczelnikami okręgów w Ruszczuku, Sylistryi, Filipopolu, Plewnej, o mało nie w Konstantynopolu, bo w takich miejscach, gdzie dotychczas jeszcze nie powstał żaden żołnierz rosyjski. Wszystkō to się działo

w lipcu, t. j. wówczas, kiedyśmy doznawali największych klęsk i niepowodzeń. Powyższe więc mianowania miały za skutek bezpośredni — zdyskredytowanie zupełne administracji rosyjskiej w opinii samych nawet Rosyan. Ileż razy zdarzało się nam słyszeć pytanie ironiczne:

— Cóż to? tyś jeszcze nie mianowany gubernatorem adryanopolskim? Albo:

— Nie wiesz, kto wyznaczony gubernatorem Konstantynopola i Smyrny?

Bo też rzeczywiście nasz zarząd cywilny jeszcze w lecie zdobył był i Ruszczuk i Filipopol i inne miasta tureckie...

Można sobie wyobrazić drażliwe i śmieszne położenie człowieka, który na zapytanie, jaki ma urząd, musiał odpowiadać:

— Jestem gubernatorem filipopolskim.

— Jakto? alboż Filipopol zdobyty?...

— Zachciałeś! niezdobyty jeszcze, ale zdobytym być może!...

A jednak taki gubernator filipopolski, czy ruszczucki i każdy inny *in partibus infidelium*, pobierał 7000 rubli pensyi i drugie tyle dodatków!... Czyż nie mieli Bułgarowie prawa dziwować się tak oryginalnemu rozporządzaniu pieniędzmi, składanymi przez nich w ręce władz rosyjskich?...

Większa część oficerów gwardyi nie mogła się pogodzić z tem położeniem komicznem i nieprzyjemnem; przemysłiwali oni o tem jedynie, jakimby sposobem uwolnić się co prędzej od przyjętych na się zobowiązań.

— Nie! mówił mi jeden z nich — za nic w świecie nie zostanę dłużej w tym przeklętym zarządzie cywilnym, i gdybym był przewidział, jaką tu odgrywać będziemy komedią, nigdybym tu nie był przyjechał. Mówią, że gwardya wkrótce tu nadejdzie: powrócę do niej natychmiast. Nie mogę grać roli lalki!...

Gwardya nadeszła wkrótce, oficer ten uczynił, jak był zamierzył, i wkrótce, biedak, poległ...

Czemże tedy da się usprawiedliwić obsadzanie miejsc cywilnych i ważnych wyłącznie oficerami gwardyi? Mamże wierzyć wyjaśnieniom, które mi w tym względzie dawano, a które, powiem otwarcie, zdawały mi się nieprawdopodo-

bnemi? Powiadano mi — a było to mniemanie dość powszechnione — że niewłaściwy wybór osób na urzędy administracyjne w Bułgarii był bezpośrednim wynikiem niektórych właściwości charakteru ks. wielkorządcy, a mianowicie, że lubił się otaczać ludźmi, przywykłymi do posłuszeństwa bezwzględnego, nieznosząc w nikim z podwładnych cienia niezależności poglądów, lub pretensyi do inicjatywy. Przeciwnicy ks. Czerkaskiego twierdzili stanowczo, że, posiadając właściwość dość często spotykaną w ludziach zbyt ambitnych, — nieznoszenia w nikim, chociażby najłżejszego oporu i poczytywania za wolnomysłność i występek tego wszystkiego, co trąciło własnem zdaniem, dlatego właśnie otoczył się ludźmi wojskowymi. W ich bowiem nawyknięciu do dyscypliny widział rękojmię posłuszeństwa bez żadnej zgola krytyki. Opowiadano mi dalej, że p. naczelny gubernator Bułgarii tego był przekonania, że na kuli ziemskiej istnieje jedna tylko rozumna i świadoma swych czynów wola — t. j. jego własna. Z tej więc przyczyny ci wszyscy, którzy powinni mu byli dopomagać w zarządzaniu Bułgaryą, nie mogli być niczem innem, jak ślepem w jego rękach narzędziem. Nie koniec na tem, bo twierdzono, powołując się nawet na fakta, że takie przekonanie ks. Czerkaskiego było wynikiem jego wiary politycznej, której podstawą i kamieniem węgielnym była zasada, że ludy stworzone są dla tych, którzy nimi rządzą, nie zaś rządzący dla ludów, jak ośmielają się twierdzić wolnomysłne liberały.

— Wszystko, co się odbywa w Bułgarii w sferach zarządu cywilnego — powiadali mi przeciwnicy ks. Czerkaskiego — wszystko to nie jest nowe, bo jest odgłosem i powtórzeniem rzeczy, które działy się w Królestwie Polskiem. I tam, zupełnie jak tu, wszystkie urzędy znajdowały się w rękach osób wojskowych, przywykłych działać stanowczo i bezwzględnie. Nawyknięcie do bezwzględności jest naszą tradycją, z której nie otrząśniemy się tak łatwo. Byliśmy bezwzględni w Królestwie Polskiem, jesteśmy nimi i w Bułgarii. Dla bezwzględności zapominamy nawet o gruncie naszych działań: w Królestwie Polskiem byliśmy srodzy, bośmy mieli, jak mówiono, do czynienia z nieprzyjaciółmi rządu; w Bułgarii, jesteśmy znowu surowi, chociaż spotykamy się

tu z samymi tylko przyjaciółmi rządu i narodu. Tam surowość mogła zwyciężać, tu tylko przeciw nam samym uzbraja tych, którzy powinni byli widzieć w nas braci i wyswobodzicieli. Oto dla czego trudno, abyśmy zdobyli sobie sympatyą i przyjaźń w Bułgarii, posługując się systematem takim, że dziś mianujemy naczelnikiem obwodu, a nawet i gubernatorem, człowieka, upatrującego w batogu najlepsze narzędzie administracyi — jutro dumnie i pogardliwie odzywamy się do Bułgarów, przybyłych do nas dla wyrażenia uczuć przyjaźni; dziś podejrzujemy partycję „młodej Bułgarii“ o złe przeciw nam zamiary i niemal o knowania rewolucyjne, jutro usuwamy od działalności publicznej urzędnika bułgarskiego za to jedynie, że marzy o szczęściu swojego kraju, o jego niezależności politycznej, o swobodnym, niekrępowanym żadną opieką rozwoju. Systemat taki, powtarzamy, nie przysporzy nam przyjaciół, chociaż na przyjaźń zasłużyliśmy ceną krwi naszej i ofiar. A potem będziemy oskarżali nie siebie, lecz samych tylko Bułgarów; będziemy mówili, że jest to naród niewdzięczny, który za wyzwolenie z pod władzy tureckiej płaci nam wstrętem i nieprzychylnością, gdy czyny nasze na wieki stały z ich strony zasługują przyjaźni.

Że wszystko, cośmy powiedzieli wyżej, jest słusznem, nikt o tem ani na chwilę nie będzie wątpił, kto przypatrzy się bliżej charakterowi naszego zarządu cywilnego w Bułgarii, mającemu tę dziwną cechę, że w zarządzie cywilnym nie masz prawie zupełnie żywiołów cywilnych. Zdawałoby się bardzo naturalnem, gdyby w sprawie nowej organizacyi Bułgarii przyjęli udział ludzie, mający choć cokolwiek wprawy do tego rodzaju zajęć przez praktykę nabytą w Rosyi; ludzie, jeżeli nie oznajomieni specjalnie z Bułgaryą i Bułgarami, to przynajmniej posiadający wyższe cokolwiek wykształcenie, a więc bardziej uzdolnieni do przyswojenia sobie historycznych faktów przeszłości, na których i przyszłość Bułgarów budowaćby się powinna. Takich ludzi jednakże, z wyjątkiem dwóch lub trzech, nie mamy tu zgoła. Dla czegoż to? Czy dla tego, żeśmy ich u siebie nie znaleźli? Czy nie było w Rosyi takich, którzyby chętnie temu nowemu polu poświęcili swe uzdolnienie i prace? Przypuszczenie to wydaje się nam niepodobnem w obec powszechnego

współuczucia, z którem cała Rosya przyjęła myśl wyzwolenia Słowian południowych. Nie możemy również przypuścić, aby to współczucie było tem, o czem Hamlet wyraził się: „słowa, słowa i słowa!“ Tak źle nie było, wiemy o tem dokładnie, spotykaliśmy sami ludzi wyższych wykształceniem, pełnych energii i gotowości służenia sprawie słowiańskiej, którzy własnym kosztem przybyli do Bułgaryi, w zamiarze ofiarowania swych usług naczelnikowi kraju. Lecz propozycje ich przyjęte były w sposób taki, że każdy, który ma poczucie godności własnej, byłby zmuszony cofnąć się niezwłocznie, co też oczywiście uczynili i oni.

Wiedząc o tem wszystkim, nie mogłem nigdy zgodzić się na dowody, któremi stronnicy systematu ks. Czerkaskiego usiłowali bronić jak całości systematu, tak też i metody obsadzania urzędów przez osoby, nie mające właściwych po temu kwalifikacyj.

— Cóż pan chcesz?— mówili ci obrońcy— kiedy u nas nie ma ludzi!.. Przecież i w Rosyi na brak ich skarżymy się ustawicznie, i skargi nasze nie są bezzasadne. Wejrzyj pan, co się u nas dzieje w ziemstwach, w instytucyach mirowych, jak się zapełnia skład urzędników śledczych prokuratury, adwokatury... Przypomnij, czy dużo znaleźliśmy ludzi rzeczywiście i poważnie przygotowanych do wprowadzenia w życie najnowszych reform naszych? Uwzględnij pan to wszystko, a przyznasz wówczas, że może i lepiej się stało, iż na urzędy w Bułgaryi wezwano oficerów wojskowych, którzy przynajmniej dopełniać będą śmiało i bez wahania rozkazów naczelnika kraju, nie wchodząc w krytykę, czy te rozkazy dobre są lub złe, i trzymając się literalnie danych sobie instrukcyj.

— A czy nie znajdujesz pan czasem — pytałem stronników istniejącego systematu — że obrona pańska, pomijając już jej niesłuszność, bardziej podobną jest do oskarżenia, niżli do obrony? Powołujesz się pan na brak ludzi; lecz czy brak ten, to szczupłe grono wybranych, nie jest wynikiem właśnie tego, że mało było wezwanych, i że warunki, któremi najeżano powoływanie urzędników, były tego rodzaju, iż wielu z nich nie odważyło się ich przyjąć? A trudność tych warunków spoczywała właśnie w tem, iż od urzędników buł-

garskich wymagano zawsze i nieodwołalnie, aby byli ślepo posłusznymi, nie wdawali się w żadne sądy i pokornie, w milczeniu spełniali rozkazy. Co zaś wyniknie z takiego systematu?, domysleć się łatwo, ponieważ niema systematu roznego, któryby się dał zbudować na nierozumnych zasadach.

Ale przeciw dowodom obrońców systematu ks. Czerkaskiego możnaby, zdaniem mojem, uczynić jeszcze jedną, bardzo przekonującą uwagę. Jeżeli prawdą jest, że Rosya nie posiada ludzi, przygotowanych należycie do działalności takiej, jaka się dla niej otwarła w Bułgarii, to czy nie jest to dowodem najlepszym, żeśmy niepowinni wprowadzać tu naszych porządków, że nie trzeba nam było brać się do trudnego dla nas zadania organizacyi tego kraju, gdy nie mamy sił po temu, a należało tylko wyzwolić naród z pięciowiekowej niewoli i pozostawić jemu samemu urządzenie swego życia politycznego według własnej uwagi i według sił własnych. Któż wie, możeby też Bułgarowie nie okazali się mniej zdolnymi od Serbów, którzy przecie bez żadnej opieki obcej zdołali urządzić u siebie życie polityczne, i nie można powiedzieć, aby ich instytucye nie spoczywały na trwałych i rozumnych podstawach. Raz przyjąwszy za pewnik, że nasze własne życie nie wyrobiło jeszcze dla swojej domowej potrzeby dostatecznej ilości ludzi zdolnych, przychodzi się oczywiście do wniosku moralnego, który znowu zamknąć można w owem przysłowiu, przytoczonem na początku, że kto chce rządzić drugimi, niech pierwej nauczy się rządzić sam u siebie. Przyszedłszy zaś do tego wniosku, nie możemy nie uznać, że nasze zadanie względem Bułgarii daleko lepiej byłoby dopełnionem, gdybyśmy wprowadzili tam na czas wojny chwilowy zarząd wojenny i odrzucili na zawsze wszelkie chętki udarowania Bułgarów, oprócz swobody, bardzo dla nich pożądaney, jeszcze i wcale niepożądanym naszym ustrojem społecznym.

Niepodobna tedy, jak mniemamy, nie zgodzić się na to, że wszystkie względy polityczne stawały przeciw wprowadzeniu do Bułgarii administracyi rosyjskiej i obsadzeniu urzędów administracyjnych w sposób, w jaki tego dopełniliśmy. Ale do względów politycznych przyłączyć jeszcze trzeba

względy czysto-praktyczne, czyli, wyrażając się ściślej, wojenno-praktyczne. Czas wojenny w ogólności najmniej jest odpowiednim wprowadzeniu reform cywilnych w jakimkolwiek kraju. Chociażby nie wiem jak świetne przyniosła owoce wojna, świetność ta nie powinna nigdy dążyć do zaćmienia wzroku ludzi, dla których drogą jest nie pozorna, lecz prawdziwa wielkość swego kraju. Jakkolwiek wojna, dzięki heroizmowi armii, lub demoralizacji nieprzyjaciela, najsławniejsze i piękne może zapełnić karty w historii, zawsze ona w organizmie społecznym pozostawia takie rany, które mogą go przyprawić o rozkład zupełny, jeżeli wcześniej nie będą przedsięwzięte środki ku ich radykalnemu wyleczeniu. Biada krajowi, jeżeli powodzenia wojenne tak bardzo olśnią go i zbałamucą rozsądek powszechny, że zamarzy iż jest doskonałym i zapomni o robactwie, które toczy jego rany! Dla tego też nie prędzej jak po zawarciu pokoju można przystąpić do reform wewnętrznych, politycznych i społecznych, inaczej bowiem reformy te będą przedwczesne i szkodliwe. Jeżeli przyjmiemy tę zasadę za pewnik, a przyjąć ją za taki wszelkie względy nakazują, to tem większe ma ona znaczenie w zastosowaniu do takiego jak Bułgarya kraju, gdzie dotychczas jeszcze spostrzegać się dają symptomata gorączki, wywołanej przez klęski wojenne. Czyż można w tym kraju, co nie przyszedł jeszcze do równowagi po okropnościach wojny, znaleźć chociażby jednego człowieka, posiadającego tyle spokoju ducha, aby mógł bezstronnie, rozumnie i w zupełności ocenić wartość nowych, wprowadzanych doń instytucyj? Oczywiście, że nie. Przytem losy wojny bywają częstokroć zmienne. Dziś wydzieramy z rąk tureckich kilka miast i wsi, gdzie zaprowadzamy naszą organizacyą i wyznaczamy ludzi, obowiązanych ją przeprowadzać; jutro szczęście wojenne może się zwrócić, chociażby chwilowo, ku naszym nieprzyjaciołom, teżsame miejscowości przejść mogą w ich ręce, co gdyby nawet trwało bardzo krótko, dostatecznem już będzie, aby znieść tylko co zaprowadzone porządki i narazić na najsroższe kary tych, którzy do nich przyłożyli rękę. Położenie tak chwiejne musi, bądź co bądź, podkopywać wiarę w nowych organizatorów i ufność, że rozporządzenia ich były rozsądne i odpowiednie celowi. Oprócz

zaś tego wszystkiego, wymagania wojny bardzo są kapryśne: dziś zdaje się potrzebnym środek jeden, jutro ten sam środek nowe okoliczności potępia, zmuszą do jego zniesienia, lub co gorzej, do wprowadzenia środka wprost mu przeciwnego. To wywołuje stan wahania się ustawicznego, wyłączający możliwość ustanowienia czegośkolwiek trwałego i na pewniejszych wspartego podstawach. A tymczasem bez tej trwałości niepodobna marzyć o wszczepieniu w życie narodowe jakichkolwiek pierwiastków nowego ustroju społecznego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ludwik Kozłowski.

O. ANGELO SECCHI.

1. Nauki przyrodzone poniosły stratę niezmierną. Rzymski astronom *Secchi* 26 lutego rozstał się z tym światem. Chociaż miał blisko lat sześćdziesiąt (ur. 29 czerwca 1818), siły jego fizyczne i umysłowe mogły starczyć na długo, ale nieustająca, gorączkowa praca, a w końcu choroba, wyniesiona z trudów meteorologicznych w południowej Italii, przedwcześnie wtrąciły go do grobu. Od dzieciństwa odznaczał się bystrym rozumem, żywym temperamentem, wolą żelazną, miał więc wszystkie geniuszu przymioty. Hr. *Castracane*, słynny mikroskopista i badacz *diatomeów* opowiadał mi, że chodzili razem na retorykę do Jezuitów w *Reggio di Emilia*, rodzinnem mieście Astronoma. Przez wszystkie lata wspólnych studyów młody *Secchi* siedział zawsze przy osobnym stoliczku, na miejscu honorowem, a w klasie miał opinią zarówno pilnego, jak genialnego chłopca. Celował wtedy w języku greckim. Gdy miał lat piętnaście, wszedł do Towarzystwa Jezusowego. Odbywwszy nowicyat w klasztorze Św. Andrzeja przy Kwirynale, przy grobie i pod opieką św. Stanisława Kostki, przez trzy lata słuchał filozofii w kolegium rzymskiem. Wtedy-to namiętnie pokochał fizykę i matematykę, które aż do śmierci uprawiał po mistrzowsku z całą miłością gorącej swej duszy. Wykładał je zrazu przez lat kilka w Lorecie. Tam spotkał się z nim wspomniany *Castracane* i podziwiał jego zmysł mechaniczny. Wszystko, czego się *Secchi* dotknął, poprawiał, i małym kosztem urządzał

sobie wyborny gabinet fizykalny. Ułożył n. p. silny stos termo-elektryczny za pomocą *packfongu*, co na owe czasy, zwłaszcza we Włoszech, było niesłychaną nowością. Ta żyłka do ulepszeń mechanicznych rosła z latami, a rzymskie obserwatorium zawdzięcza jej najcenniejsze swe przyrządy. Jest tam stos galwaniczny, starczący na rok cały, co dzisiaj może wydać się rzeczą powszednią, ale w r. 1860 było prawdziwą osobliwością ¹⁾.

2. Jezuici mają zwyczaj chwalebny, że młodzież swoją bardzo późno posyłają na teologią. *Secchi* miał już lat dwadzieścia sześć, kiedy dla niej powrócił do Rzymu. Nie zaniedbywał jednak ulubionej fizyki; owszem związał się ścisłą przyjaźnią ze sławnym *Piacciani'm* i pomagał mu w eksperymentach. Jemu-to podobno zawdzięczał pierwszy pomysł swej niezrównanej książki: „o jedności sił fizycznych“ a pamięć jego uczył w r. 1862 rozprawą „o życiu jego i pismach“ czytaną w *Tiberina*, jednej z licznych akademij rzymskich. Już trzy lata upłynęły mu wśród studyów duchownych i świeckich, kiedy nagle burza polityczna przerwała jego ciszę klasztorną. Zaledwo w marcu roku 1848 Pius IX zamianował ministerium liberalne, którego duszą był *Minghetti*, a zaraz pierwszą ofiarą „wolności“, jak zwykle, padli Jezuici. Nie żeby ich wypędzono urzędownie, papież na to nie byłby zezwolił, ale rewolucya ma tyle środków nieurzędowych do pozbywania się osób niemiłych. Co noc zbierały się tłumy pod głównym ich domem, *il Gesu*, aby go podpalić, aż w końcu świętobliwy *O. Roothan*, Holandczyk spolszczony, kazał się swoim rozjechać na cztery strony świata, aby Piusowi umniejszyć kłopotów a przyjaciółom niebezpieczeństwa. Rewolucyoniści chcieli zatrzymać *O. de Vico*, a *Mamiani* prosił papieża, aby go zamianował członkiem Rady Stanu. Pius atoli nie zgodził się na tę komedię, a *O. de Vico* pojechał

¹⁾ W r. 1843 wyczytawszy krótką wiadomość o telegrafie literowym, zaraz podobny instrument ułożył. Taksamo w r. 1830 ze wzmianki o przyrządzie nowym *Wheatstone'a* do badania interferencyi fal świetlanych, odgadł cały mechanizm i zrobił go natychmiast.

na wygnanie. W roku 1871 rząd włoski dla podobnych podobudek, zamianowały *Secchiego* senatorem, ale ten ze szlachetnem oburzeniem odrzucił podstępny honor.

3. Zrazu udał się do Anglii, gdzie został kapłanem. Tymczasem wielu z jego towarzyszy, między innymi nauczyciele jego *de Vico* i *Pianciani*, pojechało do Ameryki. Prezydent Stanów Zjednoczonych przyjął ich gościnnie i hojnie zaopatrzył we wszystkie potrzeby. Wkrótce *Secchi* także za nimi podążył na katedrę matematyki w *Georgetown*. Tam położył pierwszy fundament pod przyszłą sławę. Nauczył się dobrze po angielsku a żyjąc w społeczeństwie prawdziwie wolnem, wyrobił sobie niepospolitą szerokość poglądów i niezależność sądu, bez których nie dochodzi się do trwałych rezultatów w badaniach naukowych. Tam także ogłosił pierwszą swoją większą pracę. Dawniejsze „o zegarkach elektro-magnetycznych“ (1846 r.) i „o nowym przyrządzie przesyłania znaków telegraficznych“ (1847 r.) acz cenne i jasne, nie obudziły były większego zajęcia. Za to „badania reometryczne“ (Washington 1850 po angielsku) od razu zjednały mu szacunek największych uczonych. Rozwiązał w nich ze stanowiska matematycznego problem elektrycznych prądów. W *Georgetown* było nie złe obserwatorium, a dopomagając dyrektoriowi *Curleyowi* w rachubach astronomicznych, mimo woli przygotował się do przyszłego zawodu.

4. Pius IX wśród radości wiernych powrócił do Rzymu 12 kwietnia 1850. Zakłady naukowe, przez tryumwirat rewolucyjny zamienione w koszary lub szpitale, napełniały się młodzieżą z wszystkich narodów chrześcijaństwa. Jezuici rozpoczęli na nowo wykłady. Nie mieli jednak astronoma, bo znakomity Franciszek *de Vico* zgaśł przedwcześnie na wygnaniu. Wtedy to nadspodziewanie *Secchiemu* powierzyli osierocone obserwatorium. On w pokorze swojej zdziwił się nominacyi, poddał się, jak zwykle, woli starszych, a niebawem dowiódł trafności ich wyboru. Czekala go praca niezmierna, bo musiał wszystko przemieniać, poprawiać. Stare obserwatorium, w którem *de Vico* ciekawe robił spostrzeżenia nad nebulozami i kilka odkrył komet, nie odpowiadało wymaganiam postępowej nauki. Była to wieża narożna, wystawiona w r. 1786, ciasna, niedogodna; mury jej z trzech stron roz-

palone promieniami słońca, udzielały codziennie swych dilatacyi instrumentom do nich przyczepionym a turkot powozów wstrząsał nieustannie budową. Była zresztą za szczupła do większych prac i przyrzędów. *Secchi*, przypomniawszy sobie dawny plan *Boskowicza*, profesora matematyki i astronomii z przeszłego wieku, wystawił nowe obserwatorium na dachu kościoła św. Ignacego, gdzie wielka przestrzeń dostarczała wiele pokoiów zabezpieczonych od słońca, a cztery luźne pilastry (bo kopuły, dla które były przeznaczone, nigdy nie zaczęto) były wyborań podstawą, bezpieczną i niewzruszoną. Dzięki hojności Piusa IX i energii sobie wrodzonej, ukończył gmach nowy w r. 1852, a z prywatnych ofiar sporządziwszy sobie wielki ekwatoryał *Merza*, zegar sideralny *Denta* i wiele innych instrumentów pierwszorzędných, rozpoczął szereg prac zdumiewających, które jemu zjednały sławę nieśmiertelną, a obserwatorium jego znaczenie więcej niż europejskie, bo prawdziwie światowe.

5. Był *Secchi*, jak każdy wielki uczony, specjalistą, a *podział pracy* ulubioną jego dewizą. Przeszłego roku towarzyszyłem mu, gdy kilku Włochów oprowadzał po swoim państwie niebotycznym. Gdy nam tłumaczył nowy spektroskop słoneczny własnego wynalazku, ¹⁾ jeden z nich wyraził swe zdziwienie, że mając tyle ciał niebieskich ciągle słońcem się zajmuje. *Secchi* z wrodzoną sobie żywością odparł: „Kto chce w nauce zrobić coś porządnego, powinien mieć specjalność swoją; dla tego obrałem sobie słońce a od r. 1852 ja i uczniowie moi ciągle niem jesteśmy zajęci.“ Owocem tych badań była książka „*Le Soleil*“ (r. 1870), która w przeszłym roku ukazała się w znacznie powiększonym wydaniu a równocześnie w niemieckim tłumaczeniu. Zastosowana do szerszego koła czytelników, bez ujemy jednak matematycznej gruntowności, jest ona dla jasnego wykładu,

¹⁾ Nazwał go helioskopem spektroskopicznym. Opis wszystkich ulepszeń, które po kilkakroć zaprowadził we *widmowidzach* mieści się w Bull. meteor. z r. 1863 i w rocznikach Nowych Linceuszów z r. 1864 i 1865. Wynalazł także nowy system mikrometryczny do mierzenia wysokości wypukłości (*protuberanze*) na fotosferze słońca.

bogactwa spostrzeżeń i świetności dodanych ilustracyj, niewątpliwie najlepszą monografią o słońcu. Ona sama dla bardzo ważnych odkryć, zapewnia autorowi niezgasłą pamięć w dziejach astronomii. Odkrył pierwszy, że środek słońca więcej nam ciepła przysyła, aniżeli jego obwód, że równik słoneczny cieplejszy od biegunów, a półkole północne cieplejsze od południowego. Odkrycia te obudziły zazdrość sławnego *Arago* i kilku innych astronomów, bądź przypisujących sobie pierwszeństwo, bądź też powątpiewających o ich dokładności, atoli dowiedzioną jest dzisiaj rzeczą, że w zupełności się potwierdziły i wyłącznie do uczzonego jezuity należą. W r. 1851 pierwszy także dagerotypował słońce podczas wielkiego zaćmienia. O plamach, których naprzód dostrzegł *Galilei*:

*In Sole (quis credat?) retextas
Arte tua, Galilaeae, labes ¹⁾*

a nikt gruntowniej nie zbadał od dyrektora rzymskiego obserwatorium, niepodobna streścić pokrótce genialnej teoryi. Według niej wstrząsają słońcem olbrzymie wiry, których szybsze i szersze prądy są przy równiku, słabsze i powolniejsze przy biegunach. Potworne cyklony, podobne do trąb morskich w stronach podzwrotnikowych, miotają od czasu do czasu jego powierzchnią, a wklęsłości lejkowate, towarzyszące wirom w masach płynnych, są to plamy, niekiedy tak znaczne, że i bez dalekowidza dojrzeć ich można. Mierzono w obserwatorium regularnie ich głębokość, badano nitkowy układ półcieni, otaczających plamy, obserwowano w nich często osobne ruchy wirowe, odkryto układ ziarnkowaty fotosfery, gdy jest w stanie spokojnym, normalnym, a dokoła niej delikatną atmosferę, absorbującą wiele ciepła i światła i t. d. Nie skończyłbym prędko, gdybym wymienił wszystkie prace szczegółowe. Ukazywały się one po większej części w „Pamiętnikach“ i „Biuletynie meteorologicznym“ ²⁾, w „Sprawozdaniach“ paryskiej Akademii nauk, w kilku czasopismach włoskich, w genewskich *Archives*, w rocznikach królewskiego

¹⁾ Oda Urbana VIII: *perniciosa adulatio*.

²⁾ *Memorie dell' Osservatorio del Collegio Romano*, 6 wielkich tomów in 4to z tablicami. Każdy tom zawiera obser-

towarzystwa astronomicznego w Londynie i w „*Astronomische Nachrichten*“ wychodzących w Altonie ¹⁾).

Wspomnę tylko o wielkim rezultacie, do którego doszedł po 18 latach meteorologicznych spostrzeżeń, zgodnie z odkryciami pp. *Lamont i Sabine*, że zmiany na powierzchni słońca, zwłaszcza plamy, zostają w najściślejszym związku z magnetyzmem ziemskim. Ten rezultat, mawiał nieraz, hojnie mi wynagrodził trudy i czas, poświęcone obserwacyom magnetycznym.

6. Jakkolwiek nazywał słońce specjalnością swoją, z równą przecież gorliwością zajmował się fizyką planet i gwiazd stałych. Świadczą o tem prace przez lat 25 ogłaszane we włoskich i zagranicznych czasopismach. Z księżyca często zdejmował fotografie, także z Jowisza, Saturna i Wenerę. Rysunek krateru Kopernika wykonał z taką dokładnością, że król. Tow. Londyńskie własnym nakładem kazało go rozpowszechniać; tego samego zaszczytu doznał wypukły wizerunek, według jego wskazówek zrobiony w Szwajcaryi. Dowiedział, że powierzchnia pierścienia Saturnowego nie jest płaską, oraz że między nim a planetą jest osobny pierścień gazowy. Jowisza często rysował, a z ciągłych zmian jego oblicza domyślił się, że atmosfera jest tam widownią częstych i gwałtownych burz. Za pomocą wyborowego refraktora pierwszy dostrzegł plam na jego księżycach, a z nich przekonał się, że przeciwnie niż księżyc ziemski, osobny mają ruch około swych osi a osobny na około swego planety. Właściwość tę dawniej nieznaną, potwierdził następnie *Dares*. Mapę Marsa sporządził w r. 1859, z nieznówną dokładnością. Przekonał się wtedy, że dwa kanały koloru niebieskiego

wacy jednego lub kilku lat w następującym porządku: 1850—1851, 1852—1856, 1856—1857, 1857—1859, 1860—1863. Dalszym jego ciągiem jest „*Buletino meteorologico*“ którego dotąd ukazało się 16 grubych tomów, z tablicami kurw meteorologicznych.

¹⁾ *O. Secchi* nie umiał po niemiecku Listy, które w tym języku odbierał lub sprawozdania, które w nim ogłaszał, tłómaczyli pomocnicy. Kilka razy zaczął go się uczyć, ale zrażony trudnościami, których nie doświadczył w angielskim i w romańskich językach, znowu niewdzięczną pracę porzucił.

rozgradzają czerwone lądy równikowe, oraz że białe czapeczki na biegunach prawdopodobniej są chmurami, niżeli lodami.

7. Większe jeszcze położył zasługi w badaniu gwiazd stałych. Potężnym dalekowszkiem *Merza* nie tylko sprawdził i uzupełnił katalog gwiazd *Struvego* i odkrył wiele nowych gwiazd podwójnych, ale co ważniejsza, oznaczył ich widma chemiczno-fizyczne.

Kiedy w r. 1852 zabierał się do tego rodzaju prac, były one śmiałą nowością. Fizyka ciał niebieskich, dzisiaj jedna z najpopularniejszych umiejętności, była wtedy w kolebce, a we Włoszech z wyjątkiem florenckiego *Donati'ego*, prawie nieznaną. Astronomowie starej szkoły sarkając na *Secchi*, że gwiazdoustwo zamienia na fizykę, twierdzili, że wcale nie jest astronomem. *Secchi* milczał cierpliwie, przekonany, że analiza spektralna czasami wszystkich podbije wielkością odkryć a nie ustawał w trudach. Dwadzieścia pięć lat później mógł powiedzieć ze słuszną dumą: że jego to inicjatywie Berlin, Oxford, Kalkuta, Paryż i kilka innych miejsc, zawdzięcza swe specjalne zakłady do badań astrofizycznych. Sam określił widma przeszło 4000 gwiazd, a bogaty materiał dozwolił mu odróżnić cztery główne typy czyli formy świetliste:

- 1) typ *biały* n. p. α Liry lub Syryusz.
- 2) typ *żółty*: Koza, Pollux lub nasze słońce;
- 3) typ *oranżowo-czerwony*: α Oryona, α Herkulesa, β Pegaza;
- 4) typ *czerwono-krwisty*: same gwiazdy piątej lub mniejszej wielkości.

W ostatnich czasach przyjął jeszcze typ piąty, bardzo osobliwy i rzadki, ale upadek zdrowia zabronił mu dalszych na tem polu poszukiwań. Z porównania tych typów wnosił, że większość gwiazd widzialnych z tych samych składa się żywiołów i w podobnych zostaje warunkach co nasze słońce. Trzeci typ czyli słonecznego sama ze siebie jest widoczną. Odmienność koloru pierwszego tem tłumaczył, że gwiazdy doń należące mają atmosferę z wodoru gęstszą i cieplejszą, aniżeli słońce. Że zaś wiele

gwiazd przedstawia typ jakiś pośredni, o którym trudno powiedzieć, czy to pierwszy czy drugi, dozwolona jest konkluzja, że składowe substancje w nich są te same, a różnią się jedynie gęstością atmosfery i wysokością temperatury. Tak samo między drugim a trzecim typem istnieją liczne nieznanne przejścia. Niektóre gwiazdy zmienne regularnie z drugiego do trzeciego typu przechodzą, poczem znowu wracają do drugiego, co by dowodziło, że na przemiany raz ta, raz inna substancja na ich powierzchni przeważa. *Aldebaran* i *Artur*, gdy w peryodycznych swych zmianach zbliżają się do trzeciego typu, pokazują widmo, podobne do widma plam słonecznych, co by dowodziło podobnych, jak na słońcu, wybuchów, oraz atmosfery przesyconej metalami w kształcie gazowym, n. p. sodem (natrium), żelazem i wapniem (calcium) oraz innemi substancjami o wielkiej sile absorbującej. Zwiększenie lub zmniejszenie się absorbcyi tłumaczy zmiany w świetle owych gwiazd. Inne ciekawe szczegóły znajdują czytelnicy w ostatniej książce *Secchiego*: „*Gwiazdy*“, wydanej krótko przed jego śmiercią. Będąc tomem jednym „*biblioteki naukowej międzynarodowej*“ zostanie przetłómaczoną na wszystkie języki, w których wielkie to przedsięwzięcie dzieła wydaje ¹⁾. Są tam streszczone wszystkie jego główne odkrycia astronomiczne, wiele nowych poglądów na istotę nebuloz, wiele głębokich uwag filozoficznych o niezmierzości niebieskich przestworów i układzie wszechświata.

8. Prace dotąd wymienione uwieńczyły skroń astronoma

¹⁾ *Le Stelle. Saggio di astronomia siderale del P. A. Secchi.* Milano 1877. Dumolard. Str. VIII i 425 w 8ce. Książka ta przypisana medyolańskiemu astronomowi *Schiaparelli*, twórcy nowej teoryi gwiazd spadających, zaopatrzona jest w dziewięć tablic, z których cztery chromolitografowane i wiele rysunków w tekście. *Biblioteka zaś naukowa międzynarodowa* wychodzi po francuzku, angielsku, niemiecku, rosyjsku i włosku, a ostatniemi czasy także po polsku w Warszawie. Zamiar, godny dzisiejszej cywilizacyi, wymagający szybkiego szerzenia się nowych odkryć i pomysłów, do czego znakomicie posłuży współczesne ich pojawianie się w głównych językach europejskich. Szkoda jednak wielka, że ten zamiar chwalebny i chrześcijański zeszecony został kilku publikacyami niechrześcijańskiemi.

niezwydłą sławą, są jednak jedną tylko stroną jego czynnego żywota. *Meteorologia* niemniej od nauki gwiazd jemu zawdzięcza. Była ona zawsze gorliwie uprawianą w kolegium rzymskiem, od r. 1811, zrazu przez profesorów świeckich, później od r. 1825 przez Jezuitów. Zapisywano kilka razy na dzień skrupulatnie zmiany barometru i termometru, kierunku wiatru i ilość deszczu. W połowie jednak tego wieku ta elementarna *klimatologia* zamieniła się w ogólną fizykę atmosfery, prądów powietrznych i pochodu burz. Opatrzność zrządziła, że *Secchi* przebywał właśnie w Ameryce, kiedy *Maury* robił swoje wielkie odkrycia, które sprawiły prawdziwą rewolucyą w tej nauce. Z ust jego własnych nauczył się nowego systemu i metody a za powrotem do ojczyzny pierwszy je podał do wiadomości ziomków. W r. 1853 *Maury* przyjechał do Brukseli i zachęcał rządy do wspólnych prac na tem polu. Za radą *Secchiego* naprzód rząd papieżki urządził dla meteorologii codzienną komunikacyą telegraficzną między Rzymem, Ankoną, Bolonią i Ferarą. Z panujących pierwszy Pius IX objął całą doniosłość tego projektu i urzęczywił go w r. 1856. Zabory piemonckie niestety w kilka lat później udaremniły go na nowo.

W r. 1857 zachęcony przykładem *Secchiego*, przeprowadził *Leverrier* korespondencyą telegraficzną międzynarodową. Obserwatorium rzymskie pierwsze do niej przystąpiło i dotąd posyła co dzień o 7 rano meteorologiczne nowiny do Florencyi, Paryża i Petersburga; nawzajem odbiera ze stacyi paryskiej wszystkie tam z Europy zebrane wiadomości o stanie atmosfery. Z tych biuletynów układają się *krzywe linie isobaryczne* i *isotermiczne* oraz linie oznaczające dyrekcyą i szybkość burz. Mozolna ta praca dawała uczuć dotkliwie brak instrumentu, kreslącego automatycznie wszystkie te linie krzywe. Genialny *Secchi* zachodził w głowę, jak brakowi zaradzić. Nareszcie w r. 1857 błysła mu myśl szczęśliwa. Zawiesił barometr na jedném z dwóch ramion wagi, a drugi koniec jego zanurzył w naczyniu z rtęcią. Oczywiście rura barometru stając się cięższą przez podnoszenie się w niej merkuryusza a lżejszą przez jego opadanie, naprzemiany podnosiła lub obniżała ciężar zawieszony na drugim ramieniu wagi. Ten pomysł nie był zupełnie

nowy, ale przed *Secchim* nikt go nie zużytkował do praktycznych celów ani do zapisywania różnic barycznych. Słusznie też jemu należy się chwała, jeżeli nie wynalazcy, to odnowiciela *barometru wagowego*. Był to pierwszy początek jego wiekopomnej maszyny. W r. 1859 zwiedził znaczniejsze obserwatoria Europy, ale nigdzie nie znalazł aparatu zapisującego razem wszystkie zmiany powietrza. Idea ta jednak ciągle w nim pracowała. Powróciwszy do domu, odkrył sposób zapisywania *szybkości* i dyrekcyi wiatru, co było bardzo trudnem, udoskonalił termograf *Keila*, obmyślił przyrząd do notowania ilości deszczu, nareszcie — co było najtrudniejszym — zmusił *psychrometr*, kombinacją z dwóch ciepłomierzy, jednego zwilżonego a drugiego suchego, do oznaczania swęj wzajemnej różnicy. I tak stał się *meteorograf*, zdumiewający instrument, który w r. 1867 obudził powszechnę zdziwienie na wystawie paryskiej, i uzyskał jeden z dziewięciu wielkich złotych medali, do których było, nawiasem powiedziawszy, 47,000 konkurentów. Do medalu wartości 1000 fr. dodano jeszcze 5000 fr. gotówką. Napoleon III chcąc ze swej strony uczcić wynalazcę, wręczył mu krzyż *oficerski* legii honorowej, cesarz brazylijski zrobił go *wielkim dygnitarzem złotej róży*, a najznakomitsze akademie przysłały mu dyplom na członka.

9. Któż nie zdziwi się, że wśród tylu zajęć i licznych podróży naukowych do Niemiec, Francyi, Anglii, Hiszpanii, Sycylii, a ciągłych przejażdżek po włoskim półwyspie, kierował jeszcze wielu prywatnemi i publicznemi robotami. W prywatnych nadużywano go nielitościwie. Czy zamierzano gdzie na wieży kościelnej ustawić konduktor, czy wykopać cysternę, czy zbadać jaką ruinę, zawsze zapraszano *Secchiego*, a on nigdy nie odmawiał. Dziwny ten człowiek miał czas na wszystko. Spotkałem go raz na ulicy, przechadzającego się szybkimi krokami. Widocznie się niecierpliwił. — Zapytałem „na kogo czeka?“ — „Mam mieszczanom w *Poli* postawić konduktor na wieży a furmanki nie widać!“ — „Strasznie Ojcu czas zabierają!“ — „Prawda, ale zasmuciliby się, gdybym odmówił!“ — Dziwnie był dobry i uczynny.

10. Z polecenia rządu papieskiego zaprowadził w dawnych latarniach morskich system *Fresnela*, a przewodził

Komisji, która wybudowała trzy nowe. Przez dwa lata z nadzwyczajnym ekspensem zdrowia kierował robotami mierniczemi wzdłuż starej *Via Appia* ¹⁾, odkopanej na rozkaz Piusa IX przez architekta i archeologa *Canina*. Miała ona być podstawą do nowej tryangulacji państwa papieskiego, zaczętej raz za Benedykta XIV, ale nie ukończonej. *Secchi* i do tej nowej pracy zabrał się ze zwykłym zapałem, aczkolwiek wkrótce pomnożoną jeszcze została przez Komisję zebraną we Florencji do oznaczenia południka centralnego Europy. Prosiła ona, żeby papież kazał wymierzyć część łuku, przechodzącą przez jego państwo. Niezmordowany astronom ukończył był wstępne przygotowania do tej pracy podwójnej, kiedy wypadki r. 1870 usunęły go od dalszego w niej udziału. Miał jednak nie małą satysfakcją, że sztab generalny piemoncki, podjąwszy ją na nowo, wszystko co on zrobił, wdzięcznie zużytkował. Od r. 1868 reprezentował rząd papieski w międzynarodowej Komisji metrycznej w Paryżu. Opowiadał, jak zaraz na wstępie zapalony metrysta proponował, aby posiedzenia odbywały się przy temperaturze 0°. Dbał on więcej o instrumenta, niż o nasze zdrowie, dodał śmiejąc się *Secchi*: „To też z całą energią, na jaką zdobyć się mogłem, protestowałem przeciw projektowi.“ — Po zaborze Rzymu Piemont zażądał wykluczenia go z Komisji, ale ta stanowczo temu się oparła, więcej sobie wając pomoc naukową uczonego jezuitę, niż względy króla Emanuela. Pełnomocnik piemoncki odjechał, a *Secchi* pozostał do końca.

11. Miał on, jak większość włoskich naturalistów, tradycyjne zamiłowanie w hydraulice. Stare wodociągi zajmowały nadzwyczajnie i kilka miał znakomitych odczytów o nich w *Tiberina* i w akademii „*Nowych Linceuszów*.“ Z polecenia papieża kilka miasteczek zaopatrzył w wodę, której były pozbawione od wieków. Dla *Alatri* za 120,000 fr. z prywatnej szkatuły Piusa urządził kondukt 15 kilometrów długi, dający 12 litrów na sekundę. Tak samo

¹⁾ Opisał te roboty w dziele: *Misura della base trigonometrica eseguita sulla Via Appia nel 1854 e 1855*. Roma 1858. Str. 200 i 5 tablic.

w *Anagni*, po kilku daremnych usiłowaniach, podniósł wodę na wysokość 300 metrów. Wiele innych miasteczek doznało jego pomocy lub rady, a gdzie wysokość uniemożliwiała sprowadzanie wody źródlanej, proponował staro-rzymskie kombinacye cysternowe. Sam zaś z prac swych hydraulicznych wydobyl niejedno objaśnienie dla innych działów fizyki; n. p. z analogii zjawisk, towarzyszących poruszeniom wody w rurach, wywiódł nową teorią *extraprądu i prądów indukcyjnych* w elektro-magnetyzmie, oraz nowe wytłómaczenie praw *Riessa* o zagrzewaniu się drutów elektrycznych. Odkrył także nowe prawa w *uderzeniach barana (coup de bélier)* w tubach hydraulicznych.

12. Wzmianka moja o wielkim mężu będzie niezupełną, jeśli pominię jego czynność literacką, wielką i wszechstronną. Oprócz trzech książek większych rozmiarów: *L' unità delle forze fisiche, le Soleil, le Stelle* i kilku mniejszych, napisał takie mnóstwo rozpraw, artykułów i sprawozdań, że mało kto mu dorówna pod tym względem. Podobno jest ich przeszło pół tysiąca, a w liczbę tę nie wchodzi zwykłe meteorologiczne i astronomiczne doniesienia, lecz jedynie rozprawy akademickie lub odczyty publiczne, którym zawsze nadawał formę przyjemną, wykończoną. Posiedzenie, na którym przemówił, nabierało znaczenia ważnego wypadku, a każdy odczyt jego zgromadzał tłumy publiczności. Nie miał jednak w sobie nic oratorskiego, unikał nawet dozwolonych ozdób krasomowczych. Może dla tego właśnie robił jeszcze większe wrażenie. Mowa jego była prosta i jasna, tak iż każdy ją rozumiał i od razu obejmował myśli w niej zawarte. Miał niezwykłą zdolność tłómaczenia najzawilszych zagadek. Zdawałem przed kilku laty sprawę w Arkadyi o badaniach edyńburskiego astronoma *Piazza Smyth* nad wielką piramidą, które obok ciekawych problemów, mieszczą w sobie nadzwyczajne trudności, bo autor ciągle miesza matematykę z mistyką. Zaczęła się żywa dyskusya, nareszcie *Secchi* głos zabrawszy, ugodził jak zwykle w sam rdzeń pytania i w półgodzinnym dyskursie tyle rozlał światła na astronomią dawnych Egipcyan i prawdopodobne przeznaczenie piramidy *Cheopsa*, tak jasną pociągnął granicę, między tem, co jest prawdą w badaniach p. *Piazza Smyth* a tem, co jest

owocem bujnej wyobraźni, że wszyscy z największą wdzięcznością dziękowaliśmy mu za gruntowne wyświecenie ciemnej kwestyi.

13. Był wielkim filozofem, choć sam o tem nie wiedział, nie w tem znaczeniu, jakoby specjalnie zajmował się metafizyką, lecz że w badaniach swoich zawsze docierał do ostatnich przyczyn, i niezliczone fakta, nie pozostające na pozór w żadnym ze sobą związku, z wielką łatwością rozkładał na kategorie i szykował pod ogólnemi pojęciami. Książka jego: „*Jedność sił fizycznych*“ wiele na to daje przykładów. Gdy po raz pierwszy ukazała się w r. 1864, zrobiła niezmiernie wrażenie, nie tylko w ojczyźnie, lecz i za granicą. Opinia publiczna przez prace pierwszorzędných fizyków (*Mayer, Clausius, Joule, Thomson, Grove, Hirn, Tyndall, Dumas, Bunsen, Foucault, i t. d.*) dostatecznie oswojoną była z pojęciem korelacji sił i zamianą ciepłika w ruch molekularny; mimo to wielką ma zasługę *Secchi*, że pierwszy możność wytlómaczenia wszystkich sił przyrody przez ruch mechaniczny atomów, jasno wyłożył, nowemi spostrzeżeniami poparł i przez wszystkie dziedziny fizyki, astronomii i chemii przeprowadził. Wyłączył jednak z teorii swojej *powstanie organizmów* na ziemi, a chociaż o roślinach był przekonany, że wegetacya jest wynikiem sił materyalnych, stanowczo zwierzęce życie odnosił do niematerialnego pierwiastku, twierdząc, że między czuciem lub świadomością a ruchem mechanicznym materyi jest przepaść, której materializm przebyć nie potrafi. Są to dwa różne porządki bytu nie mające ze sobą nic wspólnego ¹⁾).

14. Materyaliści gniewali się, że autor zatrzymał się w połowie drogi, twierdząc, że taka połowiczność jest nieznośną dla ludzkiego myślenia, a jedność wszechświata wymaga, aby jedna była siła, tak jak jedna jest materya. Na to autor: „Nie trzeba nigdy posuwać rzeczy do ostateczności, czy to siłom przyrody odmawiając przymiotów, które mają, czy to przypisując im takie, których nie mają. Z daleka widziane niektóre zjawiska zdają się pochodzić od czyn-

¹⁾ L' unità delle forze fisiche. Milano 1874. Ed. 3a. Tom II. str. 363.

nika odrębnego i substancji odmiennej. Starożytni n. p. mówili, że potarty bursztyn lub magnes mają duszę, ale badane w związku z innemi zjawiskami, siły te okazały się być zwykłym ruchem materji. To samo da się powiedzieć o sile wegetalnej, będącej wynikiem pewnego organizmu. Siła ta jednak nie potrafi wytłómaczyć pierwiastku czującego lub rozumnego, który z organizmem jest spojony. Niedokładne i dwuznaczne a nawet powiem mgliste pojęcie siły ukrywa w sobie coś tajemniczego, przydatnego do sofizmów, a zezwala na najsprzeczniesze tłómaczenie faktów. Po dokładnym jednak i szczegółowym rozbiorze przekonawszy się, że siły materji są ruchem, niepodobna twierdzić, że pewne zjawiska w zwierzętach i nas samych wywoływane są przez tego rodzaju siły. Dla nich należy więc przyjąć siłę inną, wielce różną od materyalnej. Bez niej wytłómaczyć nie można pewnych faktów, bez których istnieć nie mogą zwierzęta najdoskonalsze, a wymienię jeden tylko, *miłość macierzyńską*.¹⁾

15. Utrzymywali dalej materyaliści, że teoria, zezwalająca na siły niemateryalne i na istnienie ducha samodzielniego nie jest ściśle naukową, bo nauka zna tylko szeregi koniecznie po sobie następujących zjawisk, wśród których miejsca nie masz ani dla aktów stwórczych Istoty Nieskończonej ani dla ducha jakiegoś niezależnego od zjawisk materyalnych. W odpowiedź przytoczę jeden jeszcze ustęp z dzieła *Secchiego*, aby czytelnicy w kilku wyjątkach z książki u nas nieznanej poznać mogli wielkiego myśliciela: „Im więcej badamy przyrodę, tem lepiej poznajemy ograniczonosć sił materji nieorganicznej. Wiele zjawisk uchodziło dawniej za czysto nieorganicznej natury, a w nowszych czasach okazały się następstwem rozwijających się istot organicznych. Dowiedziono n. p. dzisiaj, że fermentacye i zgnilizny, są skutkiem rozwijania się drobnych roślinek lub zwierzątek, które niedoskonałemi zowiemy, ale których budowa jest dla nas również nieprzystępna, jak budowa istot stojących na najwyższym szczeblu istnienia. Na zrobienie organizmu potrzeba rozumnej pracy *Wiecznego Maszynisty*, któ-

¹⁾ Jedność sił przyrody. Tom II. str. 363.

rego pracę i sztukę dla krótkości konwencyonalnym sposobem nazywamy *przyrodą*. Wdanie się jego tutaj jest tak samo potrzebnem do utworzenia formy, jak okazało się potrzebnem dawniej do nadania materji martwej bytu i pierwszego ruchu. Usunąć Jego działanie pod jakimkolwiek pozorem, jest to samo, co zamknąć sobie drogę do zrozumienia zjawisk najoczywistszych. Nie znaczy to jednak bynajmniej, że *w miejsce nauki stawiamy dowolność, lub że nauka staje się niepodobną. Nauka bowiem zasadza się na wywodzeniu faktu z jego przyczyny, co zawsze jest podobnem, gdzie prawo jest stałe*. Mówiąc o prawach natury, że nie są konieczne w znaczeniu bezwzględnem, bynajmniej nie twierdzimy, że są zmienne i dowolne.“¹⁾

16. Ale Bóg-Stwórca to cud oczywisty, a nauka cudów nie zna ani nie zajmuje się niemi! „Przyjmując Stwórcę i stworzenie, wcale nie przyjmujemy cudu, którym niektórzy lubią straszyć głowy niedołążne, bo cud jest zawieszeniem praw naznaczonych materji, nie zaś aktem, wydobywającym materję z nicości i nadającym jej prawa stałe, w skutku wolnej decyzji. Jeżeliby kto śmiał przeczyć takim prawdom, dla tego, że trudno mu je pojąć, niechaj zastanowi się, czy nie jest podobnym do ludzi, którzy nie rozumiejąc własnej natury, stworzeniu świata za prawo narzucają ciasne swoje widzenie rzeczy. Absurd doprawdy niesłychany, bo jeżeli taka ma być wszech rzeczy miara, powinniśmy zanegować nie tylko działania naszego organizmu, nie wiedząc jakim odbywają się sposobem, lecz nawet własne nasze istnienie.“²⁾

Uwagi głębokie i trafne, które niewątpliwie trafią do przekonania umysłów bezstronnych. Trudno zrozumieć, że po tak jasnych oświadczeniach jeszcze w pewnych kółkach szemrano na *materyalizm Secckiego*, chociaż same zajmowanie się astronomią dostatecznie zasłaniało go od tego zarzutu. Trudno wśród astronomów spotkać niedowiarka, bo nie tak nie podnosi człowieka do Stwórcy, jak przypatrywanie się gwiazdom. „*Niebiosa rozpowiadają chwałę Bożą*“

¹⁾ „*Jedność sił przyrody*.“ Tom II. str. 360.

²⁾ Tamże, str. 361.

(ps. 18). Nie dziw zatem, że stan duchowny zawsze dostarczał tej nauce licznych badaczy. Wśród jej nasławniejszych mistrzów jaśnieje aż pięciu księży: *Kopernik*, *Lacaille*, *Pingre*, *Picard* i anglikanin *Bradley*; z drugorzędnych *Scheiner*, *Hell*, *Clavius*, *Boskowicz*, *Poczobut*, *Piazz*, *Inghirami*, *Oriani*, *de Vico* i wielu innych należy do tegoż stanu. A świeccy astronomowie prawie wszyscy znani są z przekonań chrześcijańskich, poczynawszy od *Galileusza* i *Newtona* aż do *Śniadeckiego*, *Müdlera*, *Leverriera* i żyjących jeszcze rodaków naszych *Baranowskiego* i *Karlińskiego*. Byłby więc fenomen nowy i niezwykły, gdyby w takim obcowaniu *Secchi* został materyalistą. Pisma zresztą i życie jego zadały kłam temu oszczerstwu. Gdy czasem wieczorem zgromadzał swoich słuchaczy w obserwatorium i widział ich zachwyconych dziwami odległych światów, wołał w uniesieniu: „Tam powinniście zawsze mieć oczy wzniesione; dla nas, co niebo podziwiamy, ziemia nie ma żadnego uroku“.

17. Chętnie rozprawiał o nieskończoności czasu i przestrzeni. Pewnego wieczora odprowadzałem go z posiedzenia akademickiego, razem z drugim przyrodnikiem. *Secchi* rozgrzany dyskusją, unosił się nad niezmierzonością przestrzeni. „Proszę sobie wystawić, że wielka średnica obiegu ziemi do koła słońca wynosi 296 milionów kilom., a mimo to są gwiazdy tak odległe, że na nich ta olbrzymia przestrzeń, gdyby była wypełnioną, zdawałaby się drobnym świecącym punkikiem. Jeżeli już odległość słońca jest rzeczą prawie nie objętą, choć światło przebywa ją w 8 minutach; cóż powiemy o oddaleniu gwiazd najbliższych, których światło dochodzi nas dopiero po $3\frac{1}{4}$ latach podróży. A ta nawet bajeczna przestrzeń, która dla nas równa się zupełnej nieskończoności, ginie obok granic, do których *Herschel* dotarł swym teleskopem. Widział on gwiazdy, których światło, według prawdopodobnych danych fotometryj, potrzebuje 10,000 lat, aby doszło do nas. *Dziesięć tysięcy lat!* To już w czasie rzecz niepojęta. Rodzaj ludzki 6000 lat istnieje a czyjaś wyobraźnia potrafi sobie zdać sprawę z tego trwania. A tu 10,000 lat, i to nie w czasie, lecz w przestrzeni. Jeżeli 8 minut w czasie równa się 148 milionom kilometrów w przestrzeni, to zgoła nie sposób 10,000 lat zamienić w odpowie-

dnia odległość. A jednak nie tam koniec przestrzeni. Ani dalekowiedz *Herschla* ani silniejsze jeszcze instrumenta późniejsze nie zdołały przedostać się przez całą głębokość drogi mlecznej, która mimo olbrzymich swych rozmiarów może mieszkańcom innych światów wydawać się małą nebulozą.“

— Czy Ojciec wierzy, że gwiazdy mają mieszkańców?

— „Jestem najmocniej o tem przekonany.“

— Ale każda z nich jest przecież ognistym oceanem!

— „Zapewne, nie jest to jednak żadną przeszkodą.

U nas życie jest tylko możebnem między 0° i 40 lub 45° ciepła ale na innych światach mogą być warunki odmienne. Strzeżmy się sądów zbyt ciasnych. Jeżeli na ziemi, która jest ledwo widzialnym punktem w przestrzeni, tyle jest form życia, tyle odmian bytu, to więcej ich być musi w niezliczonych systemach światów, gdzie często po kilka lub więcej słońc goreje razem na firmamencie i oświeca niepojęte dla nas cuda. Prawdopodobnie życie rozlane jest po wszystkich krańcach wszech-świata, a gdzie życie, tam i czucie, tam pojętność i rozum. Pod nami są niezliczone stopnie i odcienia zwierzęcego umysłu, nad nami mogą być nieskończone szeregi umysłów doskonalszych, które jednorazową intuicyą obejmują prawdy, jakich my mozolnie dochodzimy przez wieki całe. Tak pono obok niezmierzonej przestrzeni czasu bez granic rozciąga się trzecia nieskończoność form materialnych i duchowych, ale to już nie dziedzina astronoma.“

— Świat jednak niewątpliwie jest skończony, a Bóg tylko jest nieskończony.

— „Bóg w innem znaczeniu jest nieskończony, a świat także w innem. Świat ma granice, ale tylko dla Boga, dla nas ich nie ma, bo jest we wszystkich kierunkach niezgłębiony, *unfathomable*, jak mówią Anglicy.“

Po tych słowach pożegnał nas.

Było to przed dwoma laty. W ostatniem dziele jego, *le Stelle*, wydanem przed kilku miesiącami, czytam ustęp, wybornie oddający myśl tę samą:

Nie można o świecie powiedzieć, że jest *nieskończony*, bo żadna rzecz, złożona z jestestw szczegółowych i odrębnych, nie może być nieskończoną. Ale chociaż nie jest bez-

względnie nieskończonym, to dla nas świat jest, jak gdyby nim był. Aby w małych liczbach wyrazić odległość, używamy za jednotę podróż światła przez $3\frac{1}{4}$ lata, jaka przypada dla gwiazdy, mającej paralaksę jednej sekundy. Ale czyż potrafimy pojąć taką odległość? my, co nawet nie możemy sobie jasno zdać sprawę z podróży w $8\frac{1}{2}$ minutach potrzebnych światłu, aby przybyło do nas od słońca. Nie potrafimy nawet objąć wielkości kuli, na której mieszkamy, a którą światło przebiegłoby w tysięcznej części jednej sekundy. Są więc owe środki sztuczne po prostu podporami dla naszej nieudolności, ale w gruncie nie dają nam lepiej pojąć tego, co jest niepojętem; są to sztuczki, za pomocą których robimy drobnutkiem to, co jest wielkiem, aby zmieściło się w naszej małości.“¹⁾

Jest to najtrafniejsza uwaga, jaką kiedykolwiek napisano o nieskończoności przestrzeni.

18. *Angelo Secchi* był nie tylko wielkim uczonym, był także wielkim człowiekiem. Mając niezwykłą energią i otwartość, potrafił utrzymać całą swą niezależność w najtrudniejszych warunkach. Po zaborze Rzymu, nieprzyjaciele Kościoła dokładali wszelkiej pracy, aby przeciągnąć go do swego obozu. Ofiarowali mu godność senatora i wielką pensyą. On z oburzeniem je odrzucił, chociaż na razie był ogołocony ze środków. Ofiarowano mu osobną katedrę astrofizyki w uniwersytecie rzymskim (*Sapienza*), ale za pierwszy warunek postawił, żeby nie tykano Jezuitów. Gdy później wypędzono ich z kolegium rzymskiego, ocalił przynajmniej obserwatorium z potrzebnem mieszkaniem. Wtedy minister oświecenia chciał zakład ten wziąć pod swoją jurysdykcją, na co także nie zgodził się. Po wielkich trudach dokazał tyle, że obserwatorium uznano za własność papieską, należącą do kolegiów narodowych, z pensyą 10,000 fr. wypłacaną z zabranych funduszów klasztornych. Był niezmordowany w trudach, gdzie chodziło o sławę Kościoła lub dobro religii¹⁾. Piusa

¹⁾ Le stelle. Str. 335.

¹⁾ Brano za złe *Secchiemu*, że we wrześniu 1875 pojechał na dwunasty kongres włoskich uczonych w Palermo i razem z *Renanem* był jednym z jego wiceprezydentów. Pre-

IX kochał nadewszystko i przy każdej sposobności powtarzał, że wszystko, co zrobił, zawdzięcza jego wspaniałomyślnej pomocy. Dla religii nie żałował trudów. Gdy rząd włoski zakonnikom-nauczycielkom narzucił twardy warunek ubiegania się o dyplomy przed jego komisją. *Secchi*, choć obciążony pracami a w końcu gnębiony chorobą, przygotowywał je do egzaminów z fizyki i astronomii, aby tylko nauczycielstwo nie wyszło z rąk katolickich. Jako prawdziwy chrześcijanin szukał wszędzie chwały Bożej, wszystko inne było mu obojętnem. Dla niej każdy trud był mu miły, a tem tylko się trapił, że nie dosyć się trudził. Kilka dni przed śmiercią zawołał do odwiedzającego go kapłana: „O szczęśliwi wy drudzy, co przed Bogiem staniecie z pełnemi snopami zasług, ale cóż ja powiem Panu, który zawsze zajęty naukami, mało myślałem o zbawieniu bliźnich?” — Cóż mówisz, mój ojcze, zawołał przyjaciel, wzruszony taką pokorą — czyż to nie ty trzymałeś wysoko pochodnię oświaty i zamknąłeś na zawsze usta złośliwym potwarcom, krzyżującym na ciemnotę duchowieństwa. We wilią śmierci prowincyał Jezuitów zapytał się chorego: O. *Secchi*, czy kontent jesteś, że umierasz na łonie Kościoła katolickiego i w Towarzystwie Jezusowem?

— „Kontent umieram, nie tylko, że w Towarzystwie, lecz bardziej jeszcze, że umieram w kolegium rzymskiem, przy grobie św. Alojzego, który z mej łaski, dodał ze słodkim uśmiechem, został kawalerem.“

Zawiesił był bowiem krzyż oficerski legii honorowej na trumnie Świętego.

19. Przeszłego lata ciężka choroba, wyniesiona z dawniejszych podróży meteorologicznych, zniszczyła do szczętu jego żelazne zdrowie. Chociaż z niej wyszedł, mało jednak

zesem był stary panteista *Terenzio Mamiani*. *Secchi* wiedząc, że tam zapadną ważne uchwały o wspólnych pracach meteorologicznych, a nie chcąc, żeby o jego obserwatorium radzono bez niego, za zgodą papieża wybrał się na ten zjazd, więcej polityczny, niż uczony. Nie był jednak na żadnem publicznie ani prywatnie zebraniu, lecz równocześnie, gdy liberalni obradowali w salach ratuszowych, on zbierał astronomów i meteorologów w obserwatorium. Były to jakoby dwa kongresy oddzielne.

pozostało nadziei, że powróci do sił i do pracy. Pokarm wszelki stał mu się nieznosnym, nawet bulionu nie trawił. Dla energicznej duszy zupełny ubytek sił fizycznych był niesłychaną męczarnią. Nic prawie nie mógł pracować, wszelki ruch większy był mu zabroniony. Zaniechał ulubionych rozpraw i odczytów. Najbardziej żał mu było wykładów w uniwersytecie gregoryańskim, gdzie uczęszcza młodzież kolegów narodowych. W listopadzie z otwarciem nowego roku szkolnego, ukazał się jeszcze na katedrze, ale na to tylko, aby oświadczyć zasmuconym słuchaczom, że nie będzie wykladał w tym roku. W pierwszych dniach stycznia spotkałem go na ulicy. Wracał do siebie pieszo, z wielką trudnością i wyglądał jak istny nieboszczyk. Powinszowałem mu nowego roku.

— Ojciec ma się nie dobrze (*poco bene*), dodałem.

— „Powiedz raczej, że bardzo źle (*molto male*),“ odparł z uśmiechem.

Szliśmy razem parę kroków, bo mieszkanie jego było bardzo blisko.

— Wybieram się do Ojca, aby pomówić o systemie atomistycznym pewnego polskiego chemika. Bardzo mnie ta rzecz obchodzi, a dla Ojca będzie to może nowinka.

— „Z pewnością, że będzie, bo po polsku nie umiem.“

— Autor także po niemiecku system swój ogłosił.

— „Ani po niemiecku nie czytam.“

— Byłem przekonany, że Ojciec umie po niemiecku.

— „Czy chcesz, żebym umiał wszystkie języki, które powstały pod wieżą babelską?“ I zaśmiał się serdecznie.

Rozstaliśmy się po tych słowach.

20. W kilka dni potem położył się do łóżka, z którego nie wstał więcej. Pomoc lekarska zaraz na wstępie okazała się nieskuteczną; liczne modlitwy przyjaciół i uczniów nie zostały wysłuchane. — Podczas choroby wielką miał boleść, że uwielbiony Pius IX przed nim pożegnał doczesność, ale miał i pociechę wielką, że bez żadnych przeszkód Leon XIII zasiadł na papieżkim tronie. — Z jego błogosławieństwem przeniósł się do wieczności 26go lutego wieczorem. Jednego szczegółu nie godzi się tu pominąć, bo małuje wielkość jego duszy i piękność jego serca.

Będąc bardzo żywego temperamentu, często w życiu swoim nałajał się, do czego zresztą miał zawsze najśluszniesze powody. Za to podczas ostatniej, bolesnej i długiej choroby ani jedno słowo skargi lub niecierpliwości nie wymknęło się z jego ust; owszem znajomych, sługi i braci zakonnych codzień przepraszał za wszystkie dawniejsze przykrości, jakie im mógł kiedykolwiek wyrządzić. I czynił to tak słodko i rzekownie, że nabawiał słuchaczy niezmiernej konfuzyi. — Śmierć jego wywołała powszechny smutek w całych Włoszech. Był on chwałą narodową, to też wszystkie stronnictwa zarówno uczuły tę stratę. Dnia 1 marca w kościele św. Ignacego wybór inteligencji wszystkich obozów i niezmierna ilość młodzieży i ludu otoczyła skromny katafalk aby zmarłemu uprosić wieczny odpoczynek. Dawni uczniowie licznie zebrań, w szlachetnem ubieganiu się, wszyscy chcieli razem przenieść trumnę na karawan, co gdy było niepodobnem, przynajmniej dotknąć się jej ponad głowami niosących. Potem długim szeregiem powozów podążyli za nią na cmentarz św. Wawrzyńca, Dzisiejszy liberalizm włoski, namiętnościami zaślepiony, nie zechce Jezuitę uczcić posągiem; roztrwonił zresztą tyle pieniędzy na pomniki dla *ludzi niestawnych*, że mu nie starczy ich dla *stawnych*. Za to przyszłe pokolenie nieśmiertelnym wieńcem otoczy imię *Secchiego* i we florenckim Panteonie Santa Croce pomnik mu wystawi obok wielkiego *Galileusza*. -- Mnie zaś niech wolno będzie pożegnać drogiego i niezrównanego męża słowami, które niegdyś wdzięczna Anglia wyrzyła na grobie największego ze swoich synów: niech powinszują sobie śmiertelni, że istniała taka i tak wielka ludzkiego rodzaju ozdoba. *Sibi congratulentur mortales, tale tantumque exitisse humani generis decus.*

23 marca.

Dr. Stefan Pawlicki.

Przegląd polityczny.

Kraków 30 marca.

Traktat pokoju między Rosją a Turcją podpisanym wreszcie został w ostatniej godzinie, naznaczonej przez rozejm adryanopolski, bo d. 3 marca, w głównej kwaterze rosyjskiej w San Stefano nad morzem Marmora, dokąd ta przeniesioną została pod pozorem łatwiejszego znoszenia się z Konstantynopolem, właściwie zaś, aby pod groźbą wkroczenia do stolicy wojsk rosyjskich u jej wrót stojących i zajmujących jej linie fortyfikacyjne, wymógł podpisanie warunków oddających Turcję spętaną w ręce Rosyi. Przeniesienie głównej kwatery rosyjskiej do San Stefano, było krokiem przygotowawczym do tryumfalnego wjazdu W. ks. Mikołaja na czele wojsk do Konstantynopola, gdzieby go duchowieństwo greckie powitało, jako oswobodziciela chrześcian; ogłoszono nawet, że meczet Sofijski ma być zwrócony i na jego szczycie zatkniętym zostanie na nowo krzyż święty; lubo gwardya rosyjska miała tylko przejść przez ulice Konstantynopola, wsiąść na okręty tureckie po za przykładem Złotego Rogu i odpłynąć do Odessy, skądby już okręty nie wróciły więcej, policzone jako zadatek na rzecz wynagrodzenia kosztów wojennych. W. ks. Mikołaj miał odwiedzić Sultana i jako przyjaciel w jego pałacu zamieszkać.

Jak punkta przedugodne rozejmu długi czas zachowane były w tajemnicy przed innemi rządami, tak również traktat pokoju na nich oparty, dopiero po jego ratyfikacyi i obustronnej wymianie odpisów w Petersburgu, w ciągu dwóch tygodni naznaczonej, nie został wcześniej komuniko-

wany urzędownie mocarstwom podpisanym na traktacie paryskim z r. 1856. Jeżeli zaś ani w punktach przedugodnych rozejmu z d. 31 stycznia ani w traktacie z d. 3 marca, noszącym także tytuł „preliminariów“, to jest „punktów przedugodnych pokoju“ nie ma mowy o wejściu wojsk rosyjskich do Konstantynopola, zapewne nie tyle przedstawienia Porty odwiodły Rosyę od tego kroku przypominającego, jak główna kwatery w San Stefano, główną kwaterę niemiecką w Wersalu, także wejście wojsk niemieckich r. 1871 do Paryża, jako raczej skutkowało tu przedewszystkiem obecność floty angielskiej na morzu Marmora. Jak dalece rządowi angielskiemu zależało na tem, aby okręty tureckie nie przeszły na własność Rosyi, świadczy ta okoliczność, iż rząd ten uczynił Portę odpowiedzialną za pozwolenie wsiadania na okręty gwardyi rosyjskiej w Bujukdere; tak, iż naznaczonem zostało, że wojsko to odpłynie na statkach przewozowych z San Stefano, a tem samem płynąć będzie niejako pod strażą okrętów angielskich, stojących na morzu Marmora naprzeciw cieśniny konstantynopolitańskiej. Gwardya miała wprawdzie odpłynąć, lecz nie wracać do Petersburga, bo zatrzymałaby się pod Kijowem; nie odpłynęła jednak, mając się zatrzymać aż do ukończenia kongresu, któryby sankcyi europejskiej użyzył traktatowi 3go marca.

Kongres ten naznaczony na pierwsze dni marca i mający się za powszechną zgodą mocarstw zebrać w Berlinie, nie przychodzi dotąd do skutku, a nawet nie zostały jeszcze rozesłane formalne zaproszenia do udziału w nim z oznaczeniem dnia i miejsca zebrania, w ogóle zaś zachodzą jeszcze wątpliwości, czy istotnie zbierze się. Zapatrywanie bowiem Anglii i Rosyi co do zadania kongresu, różni się w samej zasadzie: Anglia urażona z góry za trzymanie w tajemnicy punktów przedugodnych rozejmu, który jako mieszczący w sobie podstawy przyszłego pokoju, wyłamywał się w ten sposób z pod jurysdykcyi Europy, mniemała przynajmniej, że zaraz po zawarciu pokoju gabinet rosyjski udzieli takowy obcym państwom, a nadto przedłoży go kongresowi pod sankcye. Udzielenie urzędowe traktatu zaraz po jego zawarciu, dałoby mocarstwom sposobność do rozbioru go i porozumiewania się nad jego warunkami. Jakkolwiek zaś traktat ten w głównych chociaż zarysach swoich doszedł do wiadomości publicznej i już d. 7 marca ukazał się w treści w dziennikach, wszelako jako nieudzielony urzędownie, nie mógł stanowić podstawy do narad między rządami, a nawet nie mógł być rozbiegany w parlamentach. Dopiero po ratyfikacji jego przez Cara i Sułtana, i po wymianie obustronnej ratyfikacji w Petersburgu, został on ogłoszony urzędownie w Petersburgu, a zarazem przesłany w odpisie rzą-

dom mocarstw „do wiadomości“. W korespondencji zaś dyplomatycznej z tego względu prowadzonej, odmówiła Rosya zadosyć uczynienia żądaniu Anglii, aby cały traktat był przedłożony na kongresie, gdzieby go można było artykuł za artykułem rozbiierać dla ocenienia, które z tych artykułów jako nie obchodzące bezpośrednio żadnego z mocarstw kongresowych, mogą być pominięte, a które znów jako dotyczące interesów bądź jednego, bądź wielu państw, mają być wzięte pod rozbiór i tem samem mogą uleść zmianie. Po ratyfikowaniu traktatu wszelkie domniemane zmiany nadwreżyłyby sam traktat i już nie tylko Rosyę ale i drugą stronę kontrahującą musiałyby dotyczyć bezpośrednio. Zmiany te musiałyby, spisane będąc w formie protokołów kongresu, poddane być pod sankcyę obu stron kontrahujących, które mogłyby je znów zmodyfikować. Droga taką przyszedby wprowadzić ostatecznie kongres do porozumienia się, ale nie byłby areopagiem, lecz tylko odegrałby rolę doradczą. Gdy zaś głosy na kongresie nie liczą się, lecz ostateczne uchwały zapadają jednomyślnie, zatem tylko na drodze pewnych ustępstw z jednej i drugiej strony, na drodze kompromisu możnaby przyjąć do zgody. Rosya więc choćby poczyniła pewne ustępstwa, te ograniczyłyby się raczej do formy lub do drobnych szczegółów i okoliczności, nie zmieniając głównych podstaw traktatu pokoju; inaczej bowiem kongres rozszedłby się bez skutku. Natomiast Rosya oświadczyła, iż te tylko punkta traktatu podda ocenieniu kongresu, które dotyczą interesów innych państw i o ile ich dotyczą. Zostawia więc każdemu państwu na kongresie zasiadającemu wniesienie swoich jakoby skarg i żądań co do modyfikacyi, przedewszystkiem zaś zastrzega się przeciw poruszeniu sprawy zwrotu Besarabii w zamian za przyłączenie Dobruczy do Rumunii, gdyż sprawa ta dotyka honoru Rosyi, jakoteż sprawy zaboru Armenii, która jest tylko ekwiwalentem większej części wynagrodzenia kosztów wojennych, skoro Turcyja nie byłaby w stanie zapłacić takowych gotówką.

Różnica ta zapatrywań nie jest jedynie formalną: przedłożenie kongresowi całego traktatu do sankcyi, znaczy bowiem uznanie areopagu mocarstw za arbitralnego sędziego, którego wyrokowi poddają się obie strony niegdyś wojujące; natomiast jednak dozwoleńie czynienia ze strony uczestników kongresu uwag i wnoszenie żałoby na szkodę ich interesom wyrządzić się mogącą, czyniłoby rzeczywiście, jak twierdził w parlamencie sir Stafford Northcote, zwołanie kongresu zbytęcznym; chodziłoby tu bowiem o to jedynie, aby zaspokoić bezpośrednio uszczerbek stron interesowanych, czy to na drodze deklaracyi ze strony rosyjskiej, czy na drodze

zmiany pewnych punktów traktatu, albo wreszcie na drodze materialnego krzywd wynagrodzenia.

Ma za sobą Rosya precedens traktatu pokoju z r. 1871 między Niemcami a Francją, który nie był poddany orzeczeniu kongresu, lubo zmieniał stosunek potęgi Niemiec i Francyi; ma ważniejszy jeszcze za sobą precedens ze względu na zmianę całego ustroju Rzeszy Niemieckiej, gdzie już nie chodziło o jedną prowincję Alzacko-Lotaryńską, ale o przyznanie Prusom panowania w Niemczech i rozciągnięcie zachodnich granic do morza Północnego; jest także precedensem utworzenie królestwa Włoskiego, jest nim zabór państwa kościelnego, co wszystko nastąpiło bez poddania tych ważnych zmian terytoryalnych, dotyczących stosunku potęgi państw orzeczeniu stron trzecich. Wprawdzie radykalniejsza nastaje dziś zmiana na Wschodzie, niż wówczas w Niemczech albo we Włoszech, lecz gdziekolwiek w przeobrażeniach zachodzi wzrost jednych a osłabienie lub upadek innych członków tak zwanej europejskiej rodziny, każdy z członków tego niby organizmu politycznego jest bezpośrednio dotkniętym, choćby nie był sąsiadem jednej ze stron wojujących.

Nie idąc dalej, jak do traktatu wiedeńskiego, który stanowił tegoczesne prawo publiczne, system pentarchii zbudowany na jego podstawie, tworzył niejaką równowagę sił i interesów, lubo bez względu na obrażone najświętsze prawa narodów, bo system ten był tylko mechaniczny, nie zaś organiczny, obliczał siłę państw wedle ich rozciągłości, ludności, uwzględniał ich militarne zdolności tak w armiach jak w jeograficznem położeniu. Nie państwa poszczególne buntowały się też przeciw niemu, ale narody niezadowolone. Mimo jednak wyłomów tu i owdzie powstałych, mimo utworzenia Belgii, zniesienia autonomii Polski — Wschód nie był objęty tym systemem, przeto ani utworzenie Grecyi ani usamowolnienie księstw Naddunajskich, ani zabory rosyjskie, ani wojna krymska nie naruszyły literalnie pentarchii — mimo zmian dynastycznych we Francyi, Hiszpanii i Portugalii, nowoczesny ustrój równowagi europejskiej utrzymał się przez pół wieku, aż położyła mu koniec wojna prusko-austriacka, zakończona wykluczeniem Austrii z Rzeszy Niemieckiej i poddaniem się Niemiec pod supremację Prus. Odtąd już upadła pentarchia, zachwiana już wojną włoską, przygotowująca wprowadzenie nowego państwa do składu pięciu mocarstw. Cesarz Napoleon dał pierwszy popęd do obalenia pentarchii, Prusy posunęły się w tem dziele dużo dalej, a przyczyniła się znacznie do upadku równowagi Anglia, wypisawszy po wojnie wschodniej na sztandarze swoim, jako dogmat polityczny zasadę nieinterwencji.

Zasada ta była niejako wykreśleniem się Anglii z europejskiej rodziny państw, wyrzeczeniem się wszelkiej solidarności z interesami innych państw, odepchnięciem wszystkich słabych i uciśnionych, którzy się do opieki Anglii uciekali. Samolubna ta zasada, w moralnej i socyalnej sferze sformułowana w znanem wyrażeniu: „*chacun chez soi, chacun pour soi*“ przeniesiona na scenę polityczną, wprowadziła nieinterwencję, niewdawanie się w cudze sprawy. Jak gdyby państwa i narody mogły żyć i istnieć, nie tylko rozwijać się i kwitnąć, bez względu na swoich sąsiadów, na stosunki ogólne, na potrzeby i interesa obce. Taki abstrakcyjny byt państwa nie dał się nawet długo utrzymać w starożytnym świecie. Anglia nie chcąc być prowadzoną na pasku przez Napoleona III, ośmieliła się pierwszy raz na zerwanie pamiętnej umowy w Soledad, która może być uważana za datę inauguracyjną przyszłego upadku cesarstwa i Francji. Ale też upadek Francji stał się przyczyną, że dziś na Wschodzie znalazła się Anglia sama jedna nie tylko przeciw zwycięskiej Rosji, ale oraz przeciw rozległemu planowi zmierzającemu do pozbawienia jej podstawy na Wschodzie, a może do obalenia kiedyś panowania jej w Indjach.

Kilka słów o polityce Anglii wypada tu powiedzieć.

Polityka Anglii od czasów ukonsolidowania się stosunków jej wewnętrznych po wielkiej rewolucyi, opiera się na handlu i przemyśle, dla których rozległe kolonie dostarczają targowisk. Historia handlu i przemysłu angielskiego, jest też historią nie tylko kolonij angielskich, ale i polityki angielskiej. Kolonie te jednak stopniowo usamowalniają się, a nowo zajmowane lub zdobywane, nie dość szybko zaludniają się, aby dla towarów angielskich zapewniały znaczny obyt. Ani osady nad rzeką Żółtą w Afryce, ani u przylądka Dobrej Nadziei, ani wyspy Oceanii nie zastąpią utraty Ameryki. Kanada nie dość ludna; australskie osady u brzegów, prawie same sobie wystarczają, a nadto niektóre kolonie płodami swemi rolniczemi robią samejże Anglii konkurencję. Indyc są ostatnią jeszcze ucieczką. Od zniesienia ustawy zbożowej, która na błędnej podstawie protekcyi rolnictwa oparta, w celu poprzestania na własnych siłach produkcji, gniotła przemysł i podrożała życie, dobrobyt podniósł się olbrzymio; ale ze wzrostem ludności a ubytkiem emigracyi, produkcya przemysłowa stała się stosunkowo większa, wywóz natomiast zmniejsza się, skutkiem wzrostu przemysłu w innych krajach, przywóz zaś ciągle się wzmagając, i przewyższa już znacznie wywóz. Naturalnem następstwem tego stanu rzeczy jest stopniowe ubożenie Anglii, mimo ogromu kapitałów i dobrobytu znacznie większego niż w czasach przed Peelem, kiedy nie każdy robotnik mógł jeść chleb co-

dziennie i pić piwo, a obywatel się ziemniakiem i wódką z powodu wysokich celi ciążących na zbożu wprowadzanem.

Przykład Holandyi zubożonej, mimo nagromadzonych bogactw w kasach kantorzystów i armatorów oraz w bankach, jest jakby przestrogą dla Anglii, a możnaby twierdzić, iż również wróżbą.

Interesów handlowych Anglii nie należy odłączać od jej polityki i właśnie rozdział, jaki od dwudziestu przeszło lat pod tym względem nastąpił, nosi w sobie zaród zabójczy. Rządy angielskie czy to whigów, czy torysów, przyjęły były coś ze szkoły materyalistycznej manchesterskiej, której nawet reprezentanci zasiadali już parokrotnie w gabinecie. Pierwszym owocem tego wpływu jest doktryna nieinterwencji. Tylko bezpośrednio dotykający, materyalny interes Anglii stał się drogowskazem jej polityki, a obawa przed wzrostem wszelkiej obcej siły morskiej, bywała jedyną pobudką działania na zewnątrz. Ten ostatni powód przyczynił się do rozchwiania sprzymierzenia na kontynencie, do szukania jedności Włoch, aby te równoważyły wpływ Francyi, do sprzeciwiania się wszelkim zamysłom odbudowania Polski, w obawie, aby ta nie stała się satellitą Francyi. I przyszło do tego, że dziś musi Anglia bronić swego stanowiska na Wschodzie a przyjsć może wkrótce i konieczność obrony granic Indyi.

Oto dokąd doprowadziła Anglię polityka samolubna nieinterwencji.

W całym dotychczasowym zachowaniu się Anglii w kwestyi wschodniej czuć było brak jasno nakreślonego programu. O obronie Turcyi nie myślano i trudno też, aby Anglia wzięła w administracyę państwo Ottomańskie albo przeszkadzała usamowolnieniu się ludów chrześcijańskich. Dwojaka przeto została do wyboru droga: albo wziąć udział w podziale Turcyi i przez to wzmocnić a przynajmniej zabezpieczyć swoje stanowisko na Wschodzie, albo też znaleźć sprzymierzeńca na stałym lądzie, z pomocą którego możnaby stawie czoło Rosyi. Sprzymierzeńcem takim mogła być tylko Austria. Za długo jednak ociągano się w Londynie z wprowadzeniem tej myśli w czyn, bo liczone na dłuższy opór Turcyi i cieszone się z chwilowych jej powodzeń. Dziś, gdy Turcyja złamana, siły jej rozbite i pokój w San Stefano dokonał jej rozkładu i rozbioru, flota angielska na morzu Marmora może tylko strzedz Konstantynopola.

Polityka hr. Andrassego znalazła się w tem samem położeniu co polityka Anglii, może nawet w trudniejszym, bo nie mogąc uratować Turcyi, narażała państwo na wszystkie następstwa nieprzyjaźni pruskiej a może nawet na wojnę, gdyby chciała była zrobić dywersyę na korzyść Turcyi,

choćby położeniem swego *veto* pochodowi wojsk rosyjskich. Spółnikiem chciała mieć Rosya Austryę zarówno jak Anglię; przeciwnikiem mieć jej nie życzy sobie. Wszystkie usiłowania hr. Andrassego zmierzały zaś do tego, aby nie wychodząc z roli neutralnej, nie przyjmując z Rosyą spółnictwa, uzyskać prawo rozciągnięcia nad nią czujności Europy. Ta myśl podyktowała była projekt kongresu, którego zwołaniem zajął się też hr. Andrassy.

Hr. Andrassy byłby panem sytuacji, gdyby nim nie był ks. Bismark. Neutralność Niemiec jest tarczą dla Rosyi i zaskarbieniem sobie na przyszłość jej pomocy czynnej czy biernej; neutralność Austrii jest poświęceniem własnych interesów dla korzyści przez Rosyę osiągniętych i osiągnąć się mających. Traktat w San Stefano zawarty, pozostawił kilka skrawków od zachodu i południa jeszcze w rękach sułtana, przeznaczając jedne z nich dla Austrii, drugie dla Grecyi, ale pod warunkiem, że Austrya stanie się współnikiem rozbioru Turcyi a Grecya przyjmie zwierzchnictwo rosyjskie i wychowywać dla Rosyi będzie pokolenia marynarzy. Jeśli zaś Austrya nie przyjmie Bośni i Hercegowiny, znajdą się tam jak i w Albanii ogniska panslawistycznych knoń dla niepokojenia Austrii. W tej zaś chwili gabinet petersburski pracuje tylko nad odosobnieniem Anglii i uzyskaniem bez jej udziału sankcyi na traktat w San Stefano. Przedewszystkiem więc należy mu ująć sobie Austryę, a w tym celu wysłani do Wiednia niemiecko-rosyjscy książęta Piotr Oldenburski i Aleksander Heski mieli utorować drogę generałowi Ignatiewowi i zapewne przygotowali mu dobre przyjęcie, skoro ten główny motor sprawy wschodniej zjawił się w Wiedniu. Ażeby pozyskać Austro-Węgry, Rosya nie będzie szczędziła w tej chwili ofiar, przekonana, że kiedyś sowicie je sobie odbije, ale ofiary te nie mogą sięgać aż do wyrzeczenia się korzyści osiągniętych, lecz mogą jedynie ograniczyć się do poświęcenia resztek posiadłości tureckich, jak tego rodzaju ofiarami gotową była Rosya ująć Anglię, ofiarując jej Egipt.

Staraniem Rosyi jest w tej chwili, gdy kongres rozchwiał się, wrócić do systemu politycznego, którego podstawą jest przymierze trójeesarskie, aby tą metodą związać Austryą i zamknąć ją w uścisku rosyjsko-pruskim. Ale nie jest to zupełnie bezpieczny sojusz, już przez to samo, że Anglia, która już porzuciła doktrynę nieinterwencji, co ją pozbawiła wpływu na Europę i naraziła na niebezpieczeństwo w jej najżywotniejszych interesach, byłaby zmuszoną poruszyć wszystkie sprężyny dla przeciwstawienia temu sojuszowi choćby koalicji państw średnich i małych. Chwila obecna, dzień dzisiejszy lub jutrzejszy może stać się rozstrzygającym. Gabinet austriacko-węgierski stoi na rozdrożu: może przyjdzie

mu wybrać drogę, z której niema odwrotu, lecz trzeba nią iść aż do ostatecznych krańców.

W położeniu monarchii austro-węgierskiej chwila obecna może być decydującą nie tylko ze względu na politykę zagraniczną, ale i na wewnętrzny ustrój monarchii. Kwestya wschodnia bowiem może się stać probierzem dualizmu. Hr. Andrassy umiał zachować dotąd neutralność nie tylko wobec Rosyi i Anglii, ale także wobec wewnętrznych dążeń i prądów. Reprezentował on tylko dążności i prądy niemieckie i węgierskie.; inne żywioły w monarchii były dlań balastem, który nie dopuszczał, aby interesa monarchii nazbyt przechylały się to ku Prusom, to ku Rosyi. Madiarowie i Polacy bronili monarchii od przechylenia się na jedną albo drugą stronę. Ale jeśli nadejdzie burza, takie przechylanie się połączone z gwałtownymi wstrząśnieniami, mogłoby zerwać statek. Uzyskał hr. Andrassy kredyt 60 milionów nie w celu wystąpienia zbrojno, lecz aby zamanifestować możliwość zrobienia kroku decydującego, aby mógł okazać, iż Austria nie jest bezwzględnie neutralną, że zatem Rosya może liczyć na jej nieruchawość, kredyt to nie mobilizacyjny, ale wskazuje, że może się stać zapowiedzią wyjścia z neutralności.

Traktat w San Stefano, który jest zarysem przeobrażenia Wschodu, nosi w sobie zarody dalszych przemian terytoryalnych i politycznych. Zbyt sztucznie i nienaturalnie pod geograficznym, handlowym, etnograficznym względem pokrajał on kartę Turcyi europejskiej, aby nie można było poznać, że nowo wytknięte granice stać się mogą niebawem spornymi. Główne zarysy tego traktatu są: utworzenie księstwa Bułgaryi od granic serbsko-rumuńskich do morza Egejskiego, pozostawiając część Chersonesu z siedzibą Konstantynopolu, jako odcięty kawałek ziemi od zachodnio-południowej części państwa Tureckiego, obejmującej Albanie, Bośnię, Epir i Tesalie. Serbia otrzymuje znaczny przyrost ziemi na południu; Czarnogóra port Antivari; Rumunia zaś traci Besarabię a dostaje w zamian Dobruczę. Księstwa już istniejące, a dotąd lennicze, mają uzyskać niepodległość, Bułgarya zaś staje się krajem lennym, lecz z oddzielnym księciem. Turcyja nie będąc w stanie wypłacić nałożonych na nią kosztów wojennych, w ilości 1,100 milionów rubli, odda Rosyi Armenię. W ten sposób zniknie prawie ze szczętem w Europie panowanie Sułtana, a uszczuplonem zostanie w Azji. Wojska rosyjskie pozostają przez lat parę w Bułgaryi, gdzie pod dozorem ich i ich pomocą, utworzoną będzie narodowa milicya.

Grecya i Rumunia nie otrzymały żadnego wynagrodzenia, lubo pierwsza posiada prawa historyczne i narodowe,

a druga poniosła wielkie ofiary dla Rosyi, i była jakby wrotami dla wojsk rosyjskich w głąb Turcyi, a wojskiem swoim niosła czynną pomoc Rosyi. Jeżeli już samowola ma być jedynym mierniczym do oznaczania granic państw, to dziwiłoby mogło, że oba te kraje wykluczone były z korzyści podziału Turcyi. A w obu tych krajach panują domy spokrewnione z dworami rosyjskim i niemieckim. Czy przyszłości zostawiono uwzględnienie interesów tych krajów; czy dom Glücksburski panujący w Danii i Grecyi, ma być obdarowany kiedyś Epirosem i Tesalią, za zrzeczenie się na rzecz Niemiec panowania swego na wyspach północnych, straciwszy już półwysep Cymbryjski i czy wzmocnienie Rumunii miano odroczyć do dalekiej przyszłości, i szukać go w sąsiednich narodowo sponowinowaconych krajach?

W ciągu pisania tego przeglądu, na dobę przed jego wyjściem na widok publiczny, zaszły wypadki, z których trzeba zdać sprawę, choćby epizodowo.

Na polu kwestyi, którą na początku tu rozebrano, przedstawiając, że nie jest ona tylko formalną, a mianowicie co do przedłożenia całego traktatu rosyjsko-tureckiego kongresowi, spór między Anglią a Rosyą tak się zaostrzył, że gabinet St. James wydał rozporządzenia militarne, równające się przygotowaniom do wojny. Powołał bowiem tę część rezerwy, którą wolno użyć za granicami państwa, nabył i najął okręty przewozowe, wysłał znaczne zapasy amunicyi i materiałów wojennych do Malty i dla floty na morze Marmora, a natomiast wojska rosyjskie stojące w okolicy Konstantynopola, zaniechały powrotu i usadowiają się po obu wybrzeżach półwyspu stambulskiego, okalając wieniec Stambułu. Nareszcie lord Derby, sekretarz stanu spraw zagranicznych, który w gabinecie reprezentował odcień pojednawczy, poszedł za przykładem lorda Carnarvona, bardzo przeciwnego polityce energicznej, i wziął dymisyę, naznaczwszy za powód jej powołanie rezerw pod broń. Lord Derby bronił niezachwianie zasady, że kongres powinien jeden punkt za drugim traktatu z San Stefano rozbiierać, ale jest przeciwnym wojnie. Taka teoretyczna doktryna nie mogła być programem polityki rządu; można nie chcieć wojny, ale wtedy, jak Gladstone radził, przystąpić z Rosyą do przymierza i podzielić się panowaniem na Wschodzie, trudno zaś obstawać przy zasadzie obrony praw Anglii, a nie chcieć w obronie ich doprowadzić do wojny.

Nie można jednak twierdzić, aby wojna była już niewątpliwą, lecz jest bardzo prawdopodobną. Sama jedna Anglia nie może militarnie pokonać Rosyi, ani też Rosya nie ma sił morskich do stawienia Anglii czoła: byłaby to zatem, jak powiedział książę Bismark, walka szczupaka z wil-

kiem; ale Anglia może trapić Rosyę finansowo i kredyt jej już bardzo słaby, przywieść niemal do upadku. Aby jednak wojna ta mogła mieć następstwa polityczne, musiałaby po stronie Anglii stanąć jaka terytoryalna potęga. I dla tego nasuwa się przypuszczenie, że Anglia liczy na poparcie Austrii, choćby na pogrózkę jej, jeśli już nie na czynną pomoc, żeby Rosyę zniewolić do ustępstw. To sprawia, że o przyjaźń Austrii ubiega się dziś Rosya, i że lada dzień przyjdzie Austrii wybrać między jednym a drugim sprzymierzeńcem. Mogłaby jednak Austrya stanąć po środku ich obu, jako rozjemca; wszelako rozjemstwo takie mogłoby mieć ten tylko skutek, że Rosya poczyniłaby ustępstwa Anglii a nie Austrii.

A cóż na to kanclerz niemiecki? Zajęty wprawdzie w tej chwili przeistoczeniem gabinetu i zreformowaniem rządu Rzeszy niemieckiej, nie daje znaku życia na zewnątrz. Niedawno rzekł on był w Izbie, iż nie chce być arbitrem w sprawach europejskich i poprzestaje chętnie na roli „uczciwego meklera“, gdy idzie o zrobienie interesu. Mekler taki nie potrzebuje czynić nakładów, ponosić wydatków, rzucać się w ryzykowne przedsięwzięcia, lecz poprzestaje na prowizyi, jaką mu obie strony dać muszą. Zawód to niekiedy bardzo korzystny, gdy wielkie interesa są w toku. A czyż mogą być większe od tych, jakie przedstawia sprawa wschodnia? Miałaby więc ks. Bismark ominąć tę sposobność i nie stanąć między Anglią i Rosyą, aby na obu coś zarobić; miałaby pozwolić, aby tę rolę wzięła na siebie Austrya; miałaby dopuścić, aby Austrya, nie mogąc przywieść do skutku pośrednictwa, przeważyła szalę na stronę Anglii, wiążąc się z nią przeciw Rosyi, lub też stanawszy po stronie Rosyi, zbezwładnić Anglię? Powrót do sojuszu trójcesarskiego dozwoliłby ks. Bismarkowi odzyskać poważne stanowisko, ale wtedy siła wypadków obróciłaby się przeciw Austrii, ona bowiem tylko zapłaciłaby zwykłe faktorne, do jakiego ks. Bismark jako „uczciwy mekler“ rości sobie prawo. Z szeregu jego zwierzeń politycznych, mogących służyć na odmalowanie tego meża stanu, jako reprezentanta dzisiejszej moralności publicznej, nie podobna zapomnieć słowa: „*beati possidentes*.“ Pod hasłem tej maksymy Rosya zapuszczała zagony swoje w głąb Turcyi, pod tem hasłem miałyby nastąpić sankcya traktatu z San Stefano, oczywiście bez udziału Anglii?

Wobec groźnego przesilenia obecnej chwili tracą na znaczeniu wszystkie inne sprawy europejskie, które innemi czasy nie tylko zajmowałyby uwagę publiczną, ale rzeczywiście miałyby szeroki wpływ na bieg spraw publicznych. Na czele ich zapisać należy korespondencyę papieża Leona

XIII z cesarzami Rosyjskim i Niemieckim, zmianę gabinetu włoskiego i przeistoczenie gabinetu pruskiego. Zaledwie można o nich dodatkowo dziś nadmienić.

Ojciec Sty idąc za przykładem poprzedników swoich, zawiadomił listownie monarchów europejskich o swoim na stolicę Apostolską wstąpieniu, a między innymi przesłał także notyfikacye do cesarzów innowierczych, to jest, Niemieckiego, Rosyjskiego i Tureckiego, pragnąc użyć tej sposobności, aby zerwane z jego poprzednikiem związki, odnowić i uzyskać pewne ulgi dla katolików, nie zrzekając się żadnego z praw Kościoła i Stolicy Apostolskiej. Z tych listów znany jest dotąd dopiero list do cesarza Aleksandra i odpowiedź na takowy i to tylko w treści. Odpowiedź w słowach uprzejma, w rzeczy Kościoła nie daje żadnej nadziei polepszenia losu kościoła katolickiego i jego wyznawców, albowiem obok sławienia mniemanej tolerancji religijnej, car Aleksander zastrzega się przeciw przyznaniu kościołowi katolickiemu należnych mu praw i swobód, ograniczając takowe względami na istniejące przepisy i na interes państwa, ściśle związany z interesem kościoła urzędowego. W tym samym duchu ma być wygotowaną odpowiedź cesarza Wilhelma, która zastrzega prawomocność ustaw majowych.

Włoski minister spraw wewnętrznych Crispi, następca Nicotery, nadał był gabinetowi Depretisa cechę bardziej jeszcze skrajną, jako wyobraziciel partyi niegdyś garibaldowskiej, głównie przeciw kościołowi działającej, a która musi dziś ukrywać swoje tendencye antimonarchiczne; Crispi był nadto niejako wyobrazicielem przyjaźni Włoch z Niemcami. Zaledwie się jednak rozpatrzył w otoczeniu i pomyślał o sposobach wydobycia się na przewodniego ministra, upadł nie z politycznych, ale z osobistych, moralnych, a właściwie z wszelkiej moralności najgrawujących się pobudek. Dzienniki neapolitańskie wydobyły na jaw dowody, iż nowy minister spraw wewnętrznych dopuścił się dwużenstwa, opuściwszy dawną legalną towarzyszkę życia, z którą długi czas żył w obozie a potem zaślubił na Malcie, którą przedstawiał urzędownie u dworu; jako prawą swoją małżonkę pojął on podstępnie drugą żonę, wprowadzając bez kościelnego błogosławieństwa, ale aktem cywilnym, wystarczającym dla kodeksu i dla społeczeństwa cywilnego, wśród którego żyje. Akt ten jednak był sporządzony nielegalnie i to z koleżeńską pomocą ministra sprawiedliwości Manciniego. Za wiele jednak było w jednym gabinecie minister wiarołomca i minister fałszerz. Crispi upadł i pociągnął za sobą cały gabinet. Objął po Depretisie rząd kraju wyobraziciel partyi republikańskiej Caioli, który odgrywa rolę nawróconego rojalisty. Musiał on złożyć królowi cyrograf, iż nie naruszy ustaw zasadniczych a między

niemi ani monarchicznej formy rządu, ani tak zwanych rękojmij papieżstwa. Obłąskawiony a raczej przyczajony Caioli, daje się karmić z ręki króla Humberta i wygląda tylko stosownej chwili, aby wydobyć pazurki ukryte w rękawiczkach. Dopóki taka chwila nie nadejdzie, panuje cisza we Włoszech.

Długo ciągnąca się kryzys gabinetowa w Berlinie, jeżeli nie do ostatecznego przyszła zamknięcia, to przynajmniej do rozwiązania tymczasowego, które pozwoli kanclerzowi poczynić przygotowania do dalszej reorganizacji, za ostateczny jej cel uważając scentralizowanie rządów Prus i całej Rzeszy Niemieckiej w osobie kanclerza. Rokowania prowadzone przez ks. Bismarka z reprezentantami partii liberalnej były tylko grą obliczoną na uzyskanie ze strony liberałów zupełnej powolności. Mniemali oni, że nadeszła wreszcie chwila dawno wyglądana, objęcia rządu. Kanclerz, jak mniemali, opiera się na nich, a on tylko używał ich w wyzyskiwał, aż wreszcie odepchał, szyderstwem ich zbywając. Partya ta doznała takiej klęski, iż grozi jej rozbitcie lub przerzucenie się do szczupłego obozu postępowców, gdzie jednak nie znajdzie zaufania. Nie z obozu liberałów, ale z szeregów urzędniczych, konserwatywnych, przypominających falangę rządową Manteuffla, powołał ks. Bismark nowych ministrów a oddanych sobie, pozbywszy się tych, którzy długiem urzędowaniem, łaskami u króla i dworu, pewnem przestrzeganiem legalności, zjednali sobie stanowisko poważne. Ustąpili kolejno hr. F. A. Eulenburg minister spraw wewnętrznych, zastępca prezesa gabinetu Camphausen minister skarbu, a wreszcie Achenbach minister handlu i robót, posady zaś innych ministrów są bardzo zachwiane. Powołani zostali na ich miejsce: hr. Stolberg-Wernigerode poseł w Wiedniu, na zastępcę kanclerza; hr. Boto Eulenburg z Hanoweru, na ministra spraw wewnętrznych; burmistrz berliński Hobrecht, na ministra skarbu i Maybach radca ministeryalny, na ministra handlu i robót. Partya liberalna objawiła pierwszy raz niechęć swoją, sprzeciwiwszy się przeniesieniu niektórych gałęzi administracyjnych do innych ministerstw i utworzeniu osobnego ministerstwa kolei żelaznych. Teraz przypadnie ks. Bismarkowi utworzenie ministerstwa skarbu na całą Rzeszę dla finansów na cele wspólne, oraz przywiedzenie reszty ministrów dawniejszych do wzięcia dymisyi, aby otoczyć się ludźmi własnego wyboru. Te sprawy wewnętrzne może zbyt zajęły kanclerza i niedozwołyły mu wystąpić z inicjatywą w kwestyi wschodniej. Dziś może to nastąpić, bo i organizacja dalsza gabinetowa odroczonej a sejm pruski będzie zamknięty i chwila rozstrzygająca w zapasach dwóch głównych przeciwników na Wschodzie wygląda ręki, coby się wdała czynnie.

Aleksander Szukiewicz.

Nowe książki.

Józefa Szujskiego z Ludwikiem Welskim *Polemika w sprawach narodowych*. I. L. Wolskiego: Dyagnoza (wydanie II). II. J. Szujskiego: O fałszywej Historyi jako mistrzyni fałszywej polityki (wyd. II). III. L. Wolskiego: Odpowiedź panu Szujskiemu. *We Lwowie. Nakładem Karola Wilda*. Z drukarni ludowej pod zarządem St. Baylego. 1878 str. 109. Dwie pierwsze publikacye znane są czytelnikom oddawna. Czy prof. Szujski uzna za stosowną i potrzebną odpowiedzieć jeszcze raz p. Wolskiemu, nie przesądzamy, ale zdaje nam się, że artykuł jego, szczęściem w całości wydrukowany w tej broszurze, stanie i za replikę dla bezstronnego i uważnego czytelnika. P. Wolski przyznaje się, że pisząc *Dyagnozę* nie oczekiwał doraźnego nawrócenia p. Szujskiego i towarzyszy; kontent był (jak się wyraził na przedwyboreczem zgromadzeniu we Lwowie) że Stańczycy *zaskowyczeli*, i obiecuje przytulić nawróconych do swego ojcowskiego serca. „Czyż kochany panie Józefie — pisze autor — nie uśmiechała ci się nigdy myśl, *być* tego ognia strażnikiem? Rzeczy nie zaszły dotąd tak daleko, abyś nie mógł bez upokorzenia podjąć się tej roli i potrzebował obawiać się czegoś nakształt *przejścia pod jarzmo kaudyńskie*“.

Ach! kochany panie Ludwiku — Apostole!...

Prawo kościelne katolickie napisał *Dr Edward Ritter*, profesor Uniwersytetu lwowskiego. Tom I. Nakładem autora. W komisie księgarni Gubrynowicza i Schmidta. Z drukarni Wł. Łozińskiego, 1878, str. 358.

Jest-to pierwszy u nas poważny i prawdziwie umiejętny, a przytém do wymagań nauki uniwersyteckiej zastosowany wykład prawa kościelnego. Taka praca mogłaby się okazać w każdym języku i w każdym kraju byłaby pożądana. To cośmy na tem polu mieli dotychczas, były to albo monografie (czasem nawet cenne) np. w Encyklopedyi X. Nowodworskiego, albo słabe i dyletanckie roboty. Książka biskupa wileńskiego X. A. St. Krasińskiego, zaledwo zaradzić mogła „elementarnym“ potrzebom duchowieństwa i uczniów teologii. Mamy nadzieję, że dzieło to, które przynosi zaszczyt pracowitemu i zdolnemu profesorowi, doczeka się gruntownego i sumiennego rozbioru.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor — Dr Ign. Skrochowski.

LISTY BOGUSŁAWA RADZIWIŁŁA.

I.

A Monsieur le lieutenant collonel Drak.

Monsieur! Ich thue mich gegen meinen heren bedanken, das er mein unglück beklaget, ich bin seer auf den kopf mit ejner söbel gehauhen vorden undt dernach gemmerlich mit die eisenen hammer zurschlagen undt aufs letzte von 300 tartaren gefangen vorden, dernach aber durch befel des heren feltheren Gonsiewski fon inen mit gewalt abgenommen worden, wo ich noch bis dato ferbleibe, aber mit dem bedinge, das vo ich in acht tagen hundert tausent reichstaler nicht finden verde, so sol man mich inen viderumb ausliessen, undt die weil zolche summa nicht zu finden ist, so were ich wiederumb in ire henden komen. Vas ich bei diser rencontre getan habe, das machen die andere erzelen, undt mir nachsagen. Der Gen. major Israel ist mit mir gefangen worden, ist och ser ferwundet, Ober: Engel undt der Oberster leutnant Koch sint och gefangen, undt fon den brandenburger wes ich nicht, nur fon den Obersten Brunel undt den jungen Graven fon Waldek. Der her fergesse meiner nicht bei allen erlichen cavaliren undt thue Irer Majesteten zu wissen wie es mit mir beschafen ist, und wer sich wie ferehalten hat. Adieu. Des heren Obersten volaffectionirter freindt Radziwill.

(Z obozu w sierpniu 1656).

T. II. str. 189.

II.

Jaśnie Wielmożna Mciwa pani podskarbino W. X. Lit. a mnie wielce miłościwa pani i siostró.

Nad spodziewanie moje przyszło mi się w drodze do Króla JMei szwedzkiego zabawić, miasto Brandeburku, gdzie go obiecywali, zastałem go w Frauburku, gdzie stanąwszy

o tom się przed wszystkiemi starał rzeczoma, żebym rozkazaniu WMci mej miłościwej paniej wygodził. Obawiając się zatym, żeby tych dni kilku zwłoka okazała mi do powidania się jeszcze z WMcią M. M. panią nie wydarła, albo żebyś ten niepośpiech lenistwu albo raczej niedbałości jakowej mojej nie przypisała, dniem i nocą trębacza króla JMci szwedzkiego i z paszportem do WMci M. M. paniej dyryguję. Życząc jednak sobie tego, abym WMć M. M. panią jeszcze w Królewcu zastał dla siła poważnych konsyderacyj, jeśliby też nieszczęście moje za odjazdem WMci M. M. paniej tego honoru mi nie użyczyło, tedy uniżenie upraszam, abyś tę malusieńką karteczkę JMci panu hetmanowi rekomendować chciała, przytym i moją osobę z interesami memi. Możesz WMć M. M. pani bezpiecznie za mnie ręczyć, dotrzymam słowa i przyjaźni JMci, tylko niech też wzajemnego bez zasadzenia się wszelkiego uznawam afektu teraz na wolności będąc, ponieważ w tymże życzliwości mej zapędzie trwam, może się JMć tym zapewnić, że to co podobno w zatrzymaniu moim zdało się rzeczą wymuszoną, to teraz dobrowolnie i szcyrze dotrzymam i wyświadczyć. Osobę coś mi ja WMć M. M. pani dnia onegdajszego namieniła że nieznam, proszę o opisanie tego dobrego kawalera, żebym wiedział przez kogo listy będę miał do JMci pana hetmana dyrygować. Nizki mój zatym oddając pokłon, ostawiam WM. M. M. paniej bratem cale życzliwym i sługą powolnym. B. Radziwiłł.

Z Holandu 11 *Novembris* (1656).

T. II. str. 635.

III.

Jaśnie Wielmożny Moi panie podskarbi W. X. L. mnie wielce miłościwy panie i brać.

Aby tym dostateczniej *intentio* moja w niektórych sprawach *pateret* WM. M. M. panu i bratu, panu Morykoniemu one *aperui* i ustnie *expressi*, cokolwiek tym listem wyrazić należało. Cokolwiek tedy on *deferet* WM. M. M. panu, abyś *indubitata fide* przyjąwszy, *me meaque negotia* według zaczętego starania *fovere et promovere* raczył, usilnie proszę, którego się łasce cale z powolnemi usługami memi zalecam. WM. M. wielce M. pana uprzejmie życzliwy brat i sługa powolny B. Radziwiłł koniuszy W. X. Lit.

Z Łabian d. 29 *Januarii* 1657.

T. II. str. 651.

IV.

Jaśnie Wielmożny Moi panie podskarbi W. X. Lit. a mnie wielce miłośniwy panie i brać.

Hoc unicum mi deest, że obecnie jeszcze nie mogę służyć WMć M. M. panu. Mankament jednak ten nie we mnie się znajduje, ale w tych, którzy u dworu mi *obsunt sub falsa amicitiae specie*, abym przyobiecanej sobie przez WMć. M. M. pana nieotrzymał amnistiej, zasadzając znać w tym wszystkę swoją grzeczność, mnie ruinować, który przecie za pomocą bożą *inultus non cadam*, bo albo kogo z sobą *in praecipitium* pociągnę, albo *mole mea* przywałę. Nie życzę jednak Bóg widzi sobie tego, i lubo niemal wszyscy *flamas* przeciwko mnie *vomunt*, czynię jednak co mogę *circa patriam pacificandam* i kurfirsta JMci *ad placida* powabiam *media*. To wiem, że JMć pan Pac na zdrowie, honor i fortunę moje następuje, za to znać, że mu w cudzych krajach i u dworu, gdy był *disgracitus, candide* służył. Żem się z nim nie lizał w ten czas, kiedy z nieboszczykiem xięciem panem bratem koty darł, tego mi ani *nexus sanguinis* ani *generositas* nie dopuszczała; nie szkodziłem mu jednak zaocznie nigdy, anim go kiedy słowem uraził. Tenże mi to sprawił, gdy po ordynans aż pod Kraków do JKMci posyłał pytając się, gdzie z czterema tysięcy ludzi swych obrócić się miał, że mi responsu nie dano i milczeniem zbyto. Chowają tu *in archivo* przejęte JMci listy i nowe *nec unquam* w Polsce jeszcze za łaską Bożą *practicata* przeciwko mnie *consilia*. *Suadet* wprawdzie żebym na sejmie rzeczy swych dochodził, jakoby to już zapomniał tego, że *unius malevoli contradictio* więcejby mogła, niż *causae meae aequitas*, zwłaszcza na majątność moją, tyleby się znalazło kontradycentów, ile pretendentów, a dobra że to rada, i czy mogę się na nią spuścić. *Vindictam* jednak *non spiro*, jeśli tyle ma szczyrości ile ja, puszcze wszystko mimo się i *reassumere* dawną gotówem przyjaźń, *alias* trzeba wiedzieć, że *vitalae suae contemptor* jest *dominus alienae*, i że *muscae etiam sua bilis inest*. Lecz nie szerząc się dłuższem pisaniem, a na pana Morykoniego referując się, zostawam WM. M. wielce M. pana życzliwym przyjacielem, bratem i sługą powolnym B. Radziwiłł.

Z Łabian 9 Febr. 1657.

T. II. str. 655.

V.

Jaśnie Wielmożny miłośniwy panie podskarbi W. X. Lit. a mnie wielce miłośniwy panie i bracie.

Nie moja wina, że zawarta między nami, której z mej strony za podawającemi się okazjami wiernie dotrzymawałem korespondencya, miała tak długie dotąd w konferencyej naszej wzajemnej *intervallum*. Nie mogło to być jedno w wielkiem u mnie podziwieniu, żem na pisanie przez pana Morikoniego moje żadnego od WM. M. M. (pana nie odniósł responsu, i musiały mi padać na myśl różne *impedimenta et casus*, które pod taki czas między przyjaciółmi *commercium intercipiunt*; tak iż nie bardzo mi się chciało dalszego powierzać pisania tym okkurencyom, które mi się w pierwszych moich listach nie nadały. Przychodzi mi jednak hazardować to moje pisanie, ozywając się WMci M. M. panu z zwykłą przyjaźni mej statecznością i upewnianiem tego, że się na wzajemnym moim nie zawiedziesz afekcie, i prosząc abyś WMé M. M. pan z tej korespondencyi, do której nas utrapionej ojczyzny *status* z obu stron przyciska, brać przed się takowe chciał *consilia*, za któremi by ten wojenny ogień nie do ścian ojczyzny naszej zkąd inąd przyciągniony (która i tak *pondus gravissimi belli vix sustinet*) ale raczej z ojczyzny gdzie indziej wyprowadzony być mógł. Bo acz przez tak długi czas prace nasze do uspokojenia Rzpltej zmierzające efektu nie brały, mocen jednak pan Bóg prędko i najtwardsze serca zmiękczyć *et ipsa necessitate ad aequiores* kiedyżkolwiek *conditiones* przycisnąć. *Interim* póki do tego nie przyjdzie, aby ojczyzna *in sinum suum et intima praecordia* gości takich *non admittat*, którychby potym zbyć niebyłoby *in ejus potestate, providere incumbit* WMé M. M. panu, któremu jako *belli et defensionis* tak *pacis* i ochrony swojej *curam* ojczyzna powierzyła. Osobliwie ja o to WMé M. M. pana upraszam, abyś WM. M. M. pan *pro ea qua polles* u tego który *socia ardua promittit, gratia, confidentia et autoritate sua* zabiegać temu raczył, aby się *praesidia externa* jako w insze zamki *in meditullio* W. X. Lit. będące, tak osobliwie i w mój Słuck nie intromittowali. Wiemy jako takowe *auxilia* zawsze tym, którzy ich *improvidere* zażywali, kością w gardle stawały, zaczym po zamkach i fortecach takie rozsiewać *praesidia periculosum*. Dziękuję przytym WM. M. M. panu za chęć i ludzkość JMci pani bratowej mojej pokazaną, tudzież i za inhibicyą *oppressionis* tych, którzy w pieczętowaniu zborów i pustoszeniu majątności nieboszczykowskich exorbitowali. Biorę ja to sobie wszystko za

znak przyobiecanej mi WM. M. M. pana łaski, którą daj Boże abym mógł usługami memi powetować; jakoż na ochocie nie zejdzie, widzi Bóg, mojej, byle się otworzyła okazyja. W owej materji, w której pisałem był do JMć pana starosty żmudzkiego i księcia pana podczaszego, odniosłem respons, ale tak *confuse* mi odpisują, że *condoleo vicibus morum*, znać że widzą błąd swój, zda mi się że się im prędko tamten był uprzykrzył, choć go sobie teraz smakują. *Plura occurreret* do pisania, ale czasu i pogody nie masz. Kończę tedy tym, że ostawam WM. M. wielce M. pana bratem cale życzliwym i sługą powolnym B. Radziwiłł.

Kompanii wszystkim przy boku WM. M. M. pana będącej nizko się kłaniam, JMć p. staroście oszmiańskiemu, JMć p. Żyromskiemu, JMć p. stolnikowi trockiemu i innym, a proszę niech bywają łaskawi, wszak i ja się na co JMciom zejść mogę dobrego. Siła mamy nowin, ale że niepewnych, nie będę je pisał.

Z królewca 27 Martii 1657.

T. II. str. 673.

VI.

Jaśnie Wielmożny miłośoiwy panie podskarbi W. X. Lit. a mnie wielce miłośoiwy panie i braoie.

Konferencya z WMć M. M. panem prędką i obecna *quanto* jest mi *obtabilior*, tymbardziej życzyłbym był, abyś mi WM. M. M. pan sam do niej podał był warowne sposoby, gdyż ja ani *statum negotiorum*, ani *mentem* WM. M. M. pana z tak krótkiego pisania wyczerpnąć nie mogąc, trudno mam *praescribere legem* WM. M. M. panu *muneris sui functione* zabawnemu w tych okolicznościach, których takowego aktu czas i miejsce potrzebuje. Wszakże jeśli WM. M. M. pan masz wolą albo potrzebę na Żmudziej dłużej się zabawić, najposobniejsze do tego zjazdu miejsce upatruję Tylże albo Ragnet. Jeśliby też do Brześcia prędką przypadała droga, niewidzę do tego *commodiorem locum* nad Ełk, albo *proximam* jego *viciniam*; w czym wolę i *mentem* WM. M. M. pana jako najprędzej życzę sobie wiedzieć, sam będąc ochotnie gotowy na czas i miejsce naznaczone zbieżeć, jeśli złość ludzka *non impedit*. Kurfirsta JMci ile po pierwszym macaniu pulsów baczyć mogę, trudniejszym do tego znajduję, zwłaszcza aby sam osobą swą zjechał. *Interim* jednak nim się *conclusive* do przywiedzenia do efektu tego przedsięwzięcia wzajem *utrinque* będziemy porozumieć mogli, nieopuszczę starania przyłożyć, aby *casu absentiae* konfident *delegatus vices* jego *suppleat*. Za podjętą *in agendo* z posłem cara JMci strony Słucka i dóbr moich pracę, wielce WM. M. M.

panu dziękuję; akkomodować się Moskwie będę *ex consilio* WM. M. M. pana, wszak i teraz przeciwko nim nie wojuję. Zostawając zatym w ofiarowanej łasce i przyjaźni WM. M. M. pana całę upewniony, oddaję się do niej z usług mych gotowością, WM. M. wielce M. pana życzliwy brat i sługa powolny B. Radziwiłł.

Z Królewca 21 *Aprilis* 1657.

T. II. str. 677.

VII.

Jaśnie Wielmożny miłościwy panie podskarbi W. X. Lit. a mój mciwy panie i braoie.

Nie schodzi nic na całej ochocie mojej i statecznem przedsięwzięciu prędkiej z WM. M. M. panem konferencyi i czas i miejsce proponowane *non displicet*, to tylko strony miejsca przydaję, że partykularnego placu jako i inszych cyrkumstancij naznaczenie ledwie być może, aż się z obu stron zbliżemy. Życzę tedy sobie *anticipative* wiedzieć, kiedy WM. M. M. pan w Jurborku stanąć możesz, żebym i ja pod tenże czas do Ragnety zbieżeć nie omieszkał; a tam z obu stron (obaczywszy z blizka miejsce i inszych okoliczności sposobność) z sobą się wprzód *de specialibus* zniesiemy, a dali Bóg zdrowie *coram* przedsięwziętą konferencyą do skutku przywiedziemy. Kurfirsta JMci do tegoż pociągnąć życzę sobie, lubom go dotąd na pomyślą w tej mierze deklaracyą wyciągnąć nie mógł, zwłaszcza za przyjazdem wczora grafa Slippenbacha. A *multum interest*, żeby się w tym *desiderio* WM. M. M. pana dosyć stało, i żeby ta konferencya bez niego nie była, *satius* by gwoli temu było i terminu co pomknąć, zwłaszcza iż *fertur*, że wojska szwedzkie ku tym krajom znowu się zbliżają, co kurfirsta JMci *distrahere* musi niepomau. Zatym się łasce WM. M. M. pana z usługami memi pilno zalecam i ostawam oraz WM. M. wielce mciwego pana bratem uprzejmie życzliwym i sługą powolnym B. Radziwiłł, koniuszy W. X. Lit.

Z Królewca 6 *Maii* 1657.

Explicabo parabolam przez przyszlą posztę, bo teraz Bóg widzi czasu niemam.

T. II. str. 681.

VIII.

Jaśnie Wielmożny moiwy panie hetmanie a mnie wieloe moiwy panie
i braoie.

Starając się o to *omnimode* abym do powidania i ustnej z WM. M. M. panem przyść mógł jako najprędzej konferencyej, przywiodłem już był kurfirsta JMci do tego, że z konsyliarzów swych *praecipuum* barona Schwerina do WM. M. M. pana dyrygować miał, z którym tę drogę odprawić było u mnie *constitutum*. Ale *eodem* prawie *momento*, kiedyśmy już *in procinctu* byli, zaszło coś z Elbiąga kurfirsta JMci, gwoli czemu pana Schwerina zatrzymać musiał, zleciwszy p. Owerbekowi, aby on *rationes* tej retardaty WM. M. M. panu wypisał. Życzyłem aby to *negotium* samemu p. Owerbekowi było *commissum*, ale dokazać tego niepodobna było, nawet i do mnie posłano z perswazyą, abym *tantisper* od tej drogi supersedował, czemu dlatego *potissimum acquiescere* przyszło, aby *intenta* wszystkim podobieństwu *malevolentia* jakiej ztąd knowania *suspicii arripere* nie mogła. Żeby jednak ta *intercedens* zniesienia się z sobą *mora* WM. M. M. panu niebyła *molesta*, postanowiłem jednego z poufałych niemieszkanie wyprawić, tak dla komunikacyi tego co mi świeżo ode dworu przyniesiono, jako i *ad excipienda consilia* WM. M. M. pana, jeślibym *praesens* z usługą moją nie mógł *comparere*. JMé pan kanclerz W. X. Lit. niech niewierzy temu, żebym miał być *nervis alienis mobile lignum*, dotrzymam mu pewnie przyjaźni, ponieważ sama królowa Jmci pani moja miłościwą życzliwością onego mnie upewnia. *Doleo* że taka szkoda i afront od kolegi WM. M. M. pana potyka, ale nie wątpię że *mediatores viam invenient* do ukontentowania WM. M. M. pana, którego się łasce nieodmiennej z usługami memi pilno zalecam, WM. M. wielce M. pana uprzejmie życzliwy brat i sługa powolny B. Radziwiłł.

Z Królewca 26 Maii 1657.

T. II. str. 685.

IX.

Jaśnie Wielmożny mciwy panie hetmanie W. X. Lit. a mnie wieloe
miłościwy panie i braoie.

Po napisaniu ostatniego listu mego do WM. M. M. pana *tandem* dał mi kurfirst JMé tę deklaracyą, że pana Schwerina nieomylnie do WM. M. M. pana zesze, skoro WM. M. M. pan panu Owerbekowi dasz rezolucyą *de tem-*

pore et loco. To żem do tego *colloquium* kurfirsta JMci so-
licytował, rozumieli niektórzy, że to *meo* tylko *motu* czynię.
Upewniam WM. M. M. paña, że i mnie nikt od tego z WM.
M. M. panem powidania nie odwiedzie, i pewnie z panem
Schwerinem tam stanę, gdzie WM. M. M. pan *ordonabis*,
pstryknąwszy na Merkuryusza, który mnie nie udziery, ani
vicissitudines nec mutationes rerum. Tym tedy upewniwszy
WM. M. M. pana, łasce się onego pilno zalecam, oraz osta-
wam WM. M. wielce M. pana bratem i sługą uprzejmie i
szczerze powolnym cale B. Radziwiłł.

Z Królewca 2 *Junii* 1657.

T. II. str. 691.

X.

Jaśnie Wielmożny moiwy panie podskarbi W. X. Lit. a mnie wielce
moiwy panie i bracie.

Nie moja wina jeśli dotąd w namowie i postanowieniu
wzajemnego powidania naszego za odmianą propositów ludz-
kich zachodziła waryacya, bom je sobie nie życzył, i *non*
expediebat bez kurfirsta JMci albo delegatów onego ruszać
się w tę drogę, wielkie w tym mając konsyderacye. Teraz
quod felix faustumque sit, tak ojczyźnie *publice* jako i nam
privatim, przywiódłem *tandem* kurfirsta IMci do tego, że
praecipuum ze wszystkich konfidentów swoich IMci pana
barona Schwerina oraz kanclerza ze mną posyła, *in cuius*
sinum cokolwiek WM. M. M. pan będziesz chciał *deponere*,
jakobyś też samemu kurfirstowi IMci powierzył. Będziemy
tedy za pomocą bożą *pro die 14 Junii proxima* w Ragnecie
na noc, zkąd się zbliżka o innych zjazdu naszego okoliczno-
ściach zniesiemy. Asystencyami wielkimi osadzać się potrzeby
nie widzę, bo to tylko zwykło czynić konfuzyą; my z swej
strony nad 160 rajtarów mieć nie będziemy, prócz kilku
sług i młodzi mojej koni 20. Tóż sobie wzajem po WM. N. M.
panie obiecujemy. Oczym abyś WM. M. M. pan informowany
będąc do tegoż się dysponować chciał, wielce proszę, a dla
prędszej wiadomości posyłam pokojowego mego, tego listu
oddawcę, życząc aby ten *conatus* nasz z obu stron obrócił
się ku dobremu wspólnej ojczyzny, której *miserrimus status*
tak mnie *affligit*, że się bynajmniej z tych nie cieszę suk-
cesów, które dalszą jej a prawie *totalem ruinam* za sobą
pociągają. Zatym się łasce WM. M. M. pana zalecam, WM.
M. M. panu cale życzliwy brat i sługa B. Radziwiłł.

Z Królewca 7 *Junii* 1657.

T. II. str. 689.

XI.

Jaśnie Wielmożny moi panie podskarbi wielki W. X. Lit. mnie wielce
mciwy panie i bracie.

Nie imaginowałem sobie tego, aby tak daleka miała być dystancya z Królewca do miejsca naznaczonego, ale i tego nie wiedziałem, aby w Ragnecie miasto spalone i okolica spustoszona była, tak żebyśmy tam i z tymi, którzy z nami jadą, sposobnej mieć nie mogli subsystencyej. Zbliżywszy się tedy podług umowy naszej ku temu pograniczu, niemogliśmy jedno do Tylże się obrócić, gdzie i z wielu miar inszych *commoditas* lepsza, przeprawa przez rzekę gotowa, a w Ragnecie promu nie masz, i granica xięstwa żmudzkiego bliższa; między Tylżą tedy i Taurogami zda się być miejsce zjechania naszego najspodobniejsze. Lecz iż nam przyszło nierówno dalszy przeciąg tej drogi przemierzyć do pomienionego miejsca, niżeli WM. M. M. panu, prosi JMci pan Schwerin poseł kurfirsta JMci i ja z nim, aby się WM. M. M. pan jako najbliżej ku Tylży przymknąć raczył, choćby się co granice pruskiej zająć miało. Jest wieś pusta dwie mile ztąd a półtory od Tauróg, Piktopejny zowie się, tamże zda najzręczniej. Wszak *securitati* z obu stron *caveri potest*, *missis utrinque idoneis hominibus*, którzyby *fida et pacata omnia circumcirca explorarent*, aby nad naznaczoną liczbę więcej się ludzi *ab utraque parte* nie wieszało. My nad 160 rajtarów a przy nich ze 30 osób inszych mieć nie będziemy. *Tantundem par est*, aby się z strony WM. M. M. pana najdowało, bo inaczej gdybyśmy się większemi obsadzać mieli asystencyami, tak konfidencyalna konferencya ani sekretnie ani bezpiecznie odprawić by się mogła. A jako kurfirst JMci dostateczną asekuracyą z swej strony bezpiecznego przyjazdu i odjazdu WM. M. M. panu daje, której się teraz dla podwójnego niebezpieczeństwa przez trębacza tylko kopia WM. M. M. panu posyła, tak *vicissim* potrzebuję tego, abyś WM. MM. pan tak dla mnie jako *propter subdelegatum* kurfirsta JMci *mutuam securitatem* posłał, której jako baczę tym *certior* będzie, im bliżej tego miejsca zjedziemy się z WM. M. M. panem. Ostatek do dalszego zniesienia i szczęśliwego ujrzenia zostawiwszy, oddaję się natenczas z usługami memi braterskiej łasce WM. M. M. pana jako najpilniej. WM. M. wielce M. pana uprzejmie życzliwy brat i sługa powolny B. Radziwiłł.

XII.

Jaśnie Wielmożny panie podskarbi wielki W. X. Lit. panie
i dobrodzieju mój miłośniwy.

Evicit to xiążę JMć dobrodziej mój na JMci panie Schwerinie, że do Wilkiszek naznaczonych od WM. M. M. pana miejsca, a *in pari distantia* tak ztąd jako i z Tauróg leżącego zjechać chce *munitus assecuratione* WM. M. M. pana, że *nihil adverse sperare* może. *Restat* tedy żebyś WM. pan jak najprędzej dziś tam stanął, gdzie też i xiążę JMć zaraz z JMcią panem Schwerinem *aeque* tak daleką drogę przyjmującym wyjeżdża. Atoli że się dał namówić, *multum gratulamur*. Co oznajmiwszy WM. M. M. panu, onegoż się łasce z uniżonemi usługami memi jako najpilniej zalecam. WM. pana i dobrodzieja mego miłościwego uniżony sługa Bene. Olszewski.

W Tylży 20 *Junii* 1657.

Xiążę JMć pewnie tam na południe będzie, prosi i WM. M. M. pana żebyś z łaski swej pospieszył.

T. II. str. 699.

XIII.

Jaśnie Wielmożny miłośniwy panie podskarbi W. X. Lit. a mój
miłośniwy panie i braoie.

Z serca tego żałuję, że powidanie nasze i ta konferecya na tak krótkim była toporzysku, wszakże mam nadzieję w Bogu, że i to ziarno zgody nie cale na skaliste i zatwardziałe padnie serca. Pan Schwerin *operam suam offert* zda się szczerze, *non surdis auribus* przyjął konferowaną obietnicę, wyrozumieć się jednak nie dał, ale podobno i te by się drzwi otworzyły, kiedy do nich często kłatać będą; lecz sam kurfirst *petendus*, który upór ma *pro ratione*. *Cum utroque agam pro virili*, a teraz JMci pana Przypkowskiego do WM. M. M. pana posyłam, przytym proszę, żebyś mu łaskawą użyczył audiencyą, przytym bądź o mnie tego rozumienia, że *sine omni dissimulatione* do pana i ojczyzny chcę *regredi*, tylko takie wynaleźć trzeba *medium*, żebym i tu wszystko wywindował, i tam jako Słucka nie stracił, bo od WMciów datku nie mogę się spodziewać, a ja Bóg widzi nie mam o czym. Zatym się łasce WM. M. M. pana oddaję, WM. M. wielce M. pana życzliwy brat i sługa powolny B. Radziwiłł.

Datum z Tylży d. 20 *Junii* 1657.

JMci panu kanclerzowi W. X. Lit. pokłon mój przesyłam, *praeterita in oblivionem* puszczam, tylko w przyszły czas niech reasumuje dawną przyjaźń, i niech pamięta na to, że odemnie nigdy nie był *laesus*.

T. II. str. 703.

XIV.

Jaśnie Wielmożny miłośniwy panie podskarbi W. X. Lit. a mnie wielce moiwy panie i braoie.

Cieszę się, że plenipotencya wcześniej i z kolegą obmyślona, zda się, że Bóg chce *secundare* nasze *vota*; ja widzi Bóg czynię w tym co mogę i niezasypiam żadnej okazyi, lubo przeszkód siła się mnoży. Wczora przyjechali posłowie francuzcy, po nich zaraz i graf Waldek, z czym, wiedzieć nie mogę; zdałoby mi się, żeby i tego czym *tentare*, bo rad bierze, ale ja nie śmiem, chyba że mi WMć M. M. pan co *committes*; wielka to *ne noceat*, bo *alias* będzie bardzo w rzeczach brodził, a przecie jeszcze nie jest całę *exautorisatus*, i część milicyi całę mu *adhaeret*. *Festinandum* dla Boga *et* nie *procrastinandum*, bo za najmniejszą odmianą mogłaby nastąpić waryacya. Wzięcie Warszawy *et* rebelia ludzi holenderskich we Gdańsku *erigit spes Suecorum*, i odjazd królewski do Prus straszną samolówką pachnie. Za podufałą z panem Przypkowskim konferencyą wielce WM. M. M. panu dziękuję, niemniej i za to, żeś mi stacyą w Poszerwientach wybrać pozwolił. Posła kurlandskiego i cesarskiego jutro się spodziewają, z czym przyjedzie, nie zaniecham dać znać WM. M. M. panu, a teraz ostawam WM. M. wielce M. pana bratem i sługą powolnym B. Radziwiłł.

Z Tylży 30 *Junii* 1657.

Proszę skrzeci mi WMć to, coby temu, co zemną jeździł, obiecywać.

T. II. str. 707.

XV.

Jaśnie Wielmożny miłośniwy panie podskarbi W. X. Lit. mój wielce moiwy panie i braoie.

Donoszę to do wiadomości WM. M. M. pana, że IM. pan Schwerin niechcąc *egredi praescriptum mandatorum* pana swego, dalej się pociągnąć nie da nad tę mianowaną wioskę między Tylżą i Taurogami, która acz od Tauróg jest we dwóch dobrych milach, ale od granice, krzywo w tych miej-

scach idącej, w równej mili tylko albo w pół milce. Ukazuje to, że dosyć wielka w tym będzie *inaequalitas* i strony jego desadwantażę, iż *solo praefinito comitatus numero succinctus* zajędzie za rzekę, która nas a *praesidiis nostris separabit*, i rozumie, żeby to *infra dignitatem* pana swego, aby się miał dalej *intra aliena praesidia* pomykać, ile w tak małej, jaka się namówiła liczbie. Dziwuję się i temu, że WM. M. M. pan wszystko wojsko swoje naprzód do Jurborku, a potem jako z ostatniego pisania widzimy i do Tauróg przymykać raczysz. *Nec satisfacit causa* względem nadzieje przyjazdu xiężnej Imci kurlandzkiej, która i prosto na Memel niżeli krzywo na Taurogi jechać może. A iż WM. M. M. pan asekuracją jego tylko osobie służącą wspominać raczysz, potrzebuje tego *propter plenam* tej konferencyej *securitatem*, abyś ją i na moją dać raczył osobę, gdyż *expressse* od kurfirsta to ma w informacyej. Ale *ante omnia* prosi, abyś WM. M. M. pan ludzi tak wielu do miejsca wspólnej umowie naznaczonego zbliżać nie raczył, a jeśli się już przymknęli, aby się im nazad odemknąć rozkazał; gdyż i z tej strony *praeter definitum numerum* więcej nie będzie, i dosyć złego, że pospolite ruszenie ziemie żmudzkiej *in armis* jest niedaleko, dla którego mu się też głęboko ku Żmudzi przymykać niebezpieczno i zakazano, i od którego aby był *status, expressam* z tej miary *assecuracionem* WM. M. M. pana potrzebuje. Oddaje się zatym łasce WM. M. M. pana. W. M. M. wielce M. pana uprzejmie życzliwy brat i sługa powolny B. Radziwiłł.

Dat. z Tyłży 30 *Junii* 1657.

T. II. str. 713.

XVI.

Jaśnie Wielmożny moiwy panie hetmanie a mnie wielce moiwy panie i bracie.

Niebawię WM. M. M. pana przeciąglą ramotą, bo sekretarz JMć pana Holego spieszy się do WM. M. M. pana; nietylko teraz żeby go miał bawić, ale *addo* mu *calcar*, żeby się spieszył; otwarta tedy będzie zostawała WM. M. M. panu z posłem cesarza IMci korespondencya. Tenże listu tego oddawca opowie WM. M. M. panu jako *coeptum promoveo negotium, nec desistam*, żeby przcz to WM. M. M. pana aprobacją a państwa i rzeczypospolitej łaskę *maereri* mógł *non despero*, tylko WMć ze swej strony nie opuszczajcie złotego czasu i nie cieszcie się nader z odjazdu króla szwedzkiego, któremu w tamtych krajach tyle dla swawoli samej przybędzie wojska, ile tu ubyło, jakoż *certissimum* to, że co żywo się do niego garnie. Ulfelt zięć nieboszczyka króla duńskiego

a teraz *exul* pożyczył mu 120.000 talarów. Francuzowie dwa razy tyle przez wexel do Hamburku przeprawili, od Krommela też *speratur* posiłek, zgoła jeszcze będzie miał czym świat dręczyć. Zaczynam dla Boga uczynimy ubogiej ojczyźnie jakiegokolwiek *respirium*. Ja *vereor*, bym nie popadł u dworu w niełaskę, że się tu tak długo bawię, ale dadzą mi *testimonium* JMć pan Hola i xiaźdz biskup warmiński, że *me absente* nie tak rażno rzeczy idą. Proszę żebyś WMć mój miłościwy pan królowę JMć informował i pana, że mnie tu J. K. Mci *detinet* usługa, i że *nec otior, nec inutilis* panu jestem. W ostatku *unum sentio* z WM. M. M. panem, żeby jeszcze grafa Waldeka nie *tentare*, ponieważ sam jeszcze go zrozumieć nie mogę, do czego *inclineat*. Trębach że *me inscio* do Rygi jeździł, jeśli to *pro certo constat*, nietylko się za nim nie przyczyniam, ale owszem proszę, żeby się dobrze przesiedział, aż się sprawi, bo ja dla niego w suspicyej być nie chcę, ale droga do Mitawy nie ma być przecie *suspecta*, bo xiażę JMć kurlandzki nie nieprzyjaciół, lubo i tam jeździć nie miał odemnie zlecenia i w Kiejdanach rzeczy odzyskawszy miał powrócić. Za tą też okazją o trzy paszporty WM. M. M. pana upraszam, jeden na kapitana Karola Karlinka, którego do Słucka posyłam, a drugi na pana majora Grossa, żeby mógł z Słucka do mnie przyjechać, trzeci do Poszerwient, żeby mi po 12 fl. z włóki stacyą dano. *Interim* my tu *ovantes* zostajemy znowu narodzonego xięcia pruskiego. O Szwedach nic nie słyszeć, lecz Turcy zapewne w Ukrainę wpadli, co dziwów narobi, ale izali Bóg uspokoi wszystkie te burze, o co go serdecznie prosząc, łasce się WM. M. M. pana oddaję. WM. M. M. pana życzliwy brat i sługa powolny B. Radziwiłł.

le 13 *Julliet* z Królewca 1657.

JMć pan Schwerin kłania się WM. M. M. panu a nie pogardza chęcią, byle i pana jego interesy były awantazowane.

Ludzie kurfirsta JMci *hostilitatem* czynić nie będą, toż po WM. *affectatur*.

T. II. str. 719.

XVII.

Jaśnie Wielmożny moiwy panie podskarbi W. X. Lit. a mnie wielce moiwy panie i bracie.

In caepto opere czynię to co możność i miłość ku ojczyźnie *dictat*; że dotąd z tej strony jeszcze za idą, *non mirandum*, mają bowiem nad czym pomyśleć i pro-

pozycye pana *Davocura*, który tu wczora z Gdańska powrócił, niemają do dalszej deliberacyi są przyczyną. Spalenie też pewnych wsi przez ludzie WM. M. M. pana tu w Prusiech *stimulavit* do tego wodzów kurfirsta JMci, że się dalej niż chcieli w Podlasie pomknęli. Przytym nowiny różne a wszystko niepewne *suspensos animos tenent*. Przyznawam to, że ojczyzny naszej strona miałaby z czego sobie *gratulari*, kiedyby się jej tak powodziło, jako u WMciów głoszą, ale tu *contraria* ludzie sieją, szemrząc o klęsce jakiejś JMé pana marszałka koronnego w Węgrzech i porażeniu JMé pana Połubińskiego przez tychże nad Wisłą, zgoła *somniant placentia*, choć im to z głowy wybijam. O Turku że wszedł w Ukrainę wątpić nie trzeba, lecz komu pomoże, to jeszcze *incertum*, lepiej tedy abyście WMci z obu stron *serio* uchyliwszy wszelkie na stronę suspicye przystępowali do rzeczy, boć widzi Bóg i ta strona jeszcze ma ratowania się sposoby. W tym tu horyzoncie dosyć dobra do uspokojenia rzeczy dyspozycya, którą *pro posse promoveo*, choć częste się trafiają przeszkody. Za wyzwolenie trębacza wielce WM. M. M. panu dziękuję, a proszę abyś mnie w łasce swej chował, a ten list do JMi pana Sandomirskiego odesłać rozkazał, odsłuszę tę WM. M. M. panu uczynność, którego się łasce pilno zalecam. WM. M. wielce M. pana uprzejmie życzliwy brat i sługa powolny B. Radziwiłł.

Z Królewca 20 *Julii* 1657.

T. II, str. 720.

XVIII.

Jaśnie Wielmożny moiwy panie podskarbi wielki W. X. Lit. mnie wielce moiwy panie i braoie.

Jako za paszporta na wolny przejazd z Słucka majorowi Grossowi, tak niemniej i za przysłanie uniwersału na chleba z starostwa mego poszerwińskiego wybranie dziękuję pilno WM. M. M. panu. A lubo tu, co się *publica* dotyczy, Francuzowie *prolixis promissis* i pozornemi nader sposobami *circa promovendum negotium proprium*, rzeźwo się bardzo krzątają, jednak i ja jakom to już po sobie WM. M. M. panu obiecał, należytą czułością *conatus* i starania wszystkie na to *impendo*, aby zaczęte *negotium* dalszy *successum* mieć i pożądany *sortiri* mogło *exitum*. W tym tylko zejdzie mi się *fidenter* ostrzedz WM. M. M. pana, że terażniejszą tak dobrą *suis aestimando momentis* pogodą onej upuszczać, lub *duriorum conditionum* tej tu stronie podawaniem zatrudniać nie trzeba, bo słusznie obawiać się tego przychodzi, aby za dojsciem wiadomości o progressach szwedzkich przeciwko Duńczykowi, lub zawziętości tych traktatami (o czym tu pas-

sim głosy *invallescere* i roznosić się poczynają) skończeniem, w dalszą to wszystko nie szło protrakcyę. Tu pewnymi to *confirmatur* ponowami, że Rakoczy coś ludzi p. marszałka koronnego z Węgier powracających utracić miał. O tym też WM. M. M. panu *defero*, iż kilkanaście dragonów moich nazad do mnie powracających w trakcie dobrzyńskim rozgromiono. Prosząc zatem, abyś WM. M. M. pan jednostajnej przyjaźni *insistendo tramiti* ufnych i dalej ze mną *instituere* nie zaniechywał komunikacyj. Oddaję się na ten czas z całą usług mych uprzejmością jak napilniej łasce WM. pana. WM. M. wielce M. pana życzliwy brat i sługa powolny B. Radziwiłł koniuszy W. X. Lit.

W Królewcu 26 *Julii* 1657.

T. II, str. 727.

XIX.

Jaśnie Wielmożny moiwy panie podskarbi wielki W. X. Lit. mnie wieloe moiwy panie i bracie.

Przyjechawszy tu do Królewca JMć pan podczaszy upitski taką mi uczynił relacyą, że na prośbę swą instancyej X. JMci kurlandskiego *suffragio* wspartą, uznał WM. M. M. pana ku sobie *duriozem*, zkađ mojej nie mogłem mu *deesse* interpozycyą prośby, to tym bezpiecziej czyniąc, im to dowodniej wiem, że *objecta*, którymi innocencyą jego aggrawować usiłują, nie są *probabilia* i dostatecznymi z tym którym *manes* zesłęgo brata *laborant odio*, *refelli* snadno mogą dokumentami. Ponieważ tedy *in beneficio* danej mi od J. K. Mci pana M. M. amnistiej i on *comprehenditur*, pilno proszę, abyś WM. M. M. pan *fructu* jej nie chciał go mieć *exclusum*, owszem łaską i benewolencyą swą *complectendo* samym pokazał to skutkiem, na restytucyą dóbr jego własnych wieczystych Rypejki i Torczyliszki w powiecie upitskim będących, list swój do JMć pana Eydziatowicza wydawszy, żeby pustek restauracyą i odłogiem leżących gruntów zasiew przedsięwziąć bezpiecziej i w poniesionych jakokolwiek *solari* mógł *incommodis*. Uczynisz WM. M. M. pan rzecz *juri* i widocznej *congruam aequitati*, czym przy ustawicznej jego ku sobie dewocyej i moje ochotne tym bardziej obowiążesz zasługowanie. Z którego powolnością i na ten czas łasce WM. M. M. pana pilno się oddaję. WM. M. wielce mciwego pana życzliwy brat i sługa powolny B. Radziwiłł.

Dat. w Królewcu *d.* 28 *Julii* 1657.

Proszę i powtóre WM. M. M. pana żeby to moje *petitum* nie odniosło *repulsam*, gdyż i ja i z memi tę łaskę WM. M. M. panu odsłużę.

T. II, str. 731.

XX.

Jaśnie Wielmożny moiwy panie podskarbi wielki W. X. Lit. mnie wielce
moiwy panie i bracie.

Nic pewniejszego, że jako szczerze i życzliwie zaczęte *negotium pacis promoveo*, tak *eodem zelo* postrzegam *integritatem nominis et reputationis* WM. M. M. pana, aby *malevolorum invidia* dobrym WM. M. M. pana do przysługi ojczyzny *conatibus* nie szkodziła, i jakom dotąd nic takowego nie postrzegł, tak i dalej *praecantus* od WM. M. M. pana tym pilniej *invigilabo*, *ne quid adversi intentioni* WM. M. M. pana *eveniat*, którego łasce usługi moje powolne jako napilniej oddaję. WM. M. wielce M. pana życzliwy brat i sługa powolny B. Radziwiłł, koniuszy W. X. L.

Dat. z Królewca d. 10 Augusti 1657.

T. II, str. 735.

XXI.

Jaśnie Wielmożny moiwy panie podskarbi wielki W. X. Lit. mnie wielce
moiwy panie i bracie.

Od warszawskiej jeszcze expugnacyej w tych tu krajach zabawiwszy się, a danemu strony nieobligowania się przeciwną służbą dosyć czyniąc słowu, pan Bogucki porucznik teraz do wojska tamecznego wziął przed się drogę. W którą *comittor* go usilnej mej wniesieniem do WM. M. M. pana instancyej, abyś tejsze benewolencyej i przychylności, której ludzie rycerscy doznawają, *compotem* go *reddere* chciał, na co kawalerskimi zarabiać akcyami jemu *incumbet*, WMé zaś M. M. pan łaski swej w podawających się okazjach skutecznem oświadczeniem do tego mu *admovere* będziesz raczył *stimulos*. Oddaję się zatym z usług mych powolnością pilno łasce WM. M. M. pana. WM. M. wielce M. pana życzliwy brat i sługa powolny B. Radziwiłł, koniuszy W. X. Lit.

Dat w Królewcu die 11 Augusti 1657.

T. II, str. 743.

XXII.

Jaśnie Wielmożny moiwy panie podskarbi wielki W. X. Lit. mnie wielce
moiwy panie i bracie.

Życząc sobie przed powrotem mym na usługę pańską i ojczyzny cokolwiek ludzi zebrać, zleciłem JMci panu Alexandrowi Mierzeńskiemu zaciągnąć chorągiew kozacką. Je-

dnak iż to bez osobiłej łaski WM. M. M. pana *succedere* nie może, proszę pilno abyś mi i w tym razie ofiarowanej chęci i braterskiego afektu skutek pokazał, naznaczywszy chorągwi tej na Żmudzi przystawstwo jakie może być najlepsze, przytym żebyś WM. M. M. pan *ad rationem* zasług w skarbie winnych, kwotą jaką pieniężną wesprzeć go raczył, ponieważ terażniejsze *rerum nearum angustiae subsidium* gotowizny wystawić nie pozwalają. Będzie on to umiał w podawającej się wszelakiej WM. M. M. panu zasługować okazyjej, i sam *praestitum* w tym sobie wygodę wszelką z każdej miary *rependere* winien zostaje powolnością. Z onąż i na ten czas łasce WM. M. M. pana pilno się oddaję. WM. M. M. pana życzliwy brat i sługa powolny B. Radziwiłł.

Dat. w Królewcu die 14 Augusti 1657.

T. II, str. 751.

XXIII a).

Jaśnie Wielmożna moiwa pani podskarbino W. X. Lit. a mnie wielce moiwa pani i siostró.

Stosując usługi moje do woli WMci mej miłościwej paniej, czyniłem pilną koło tego inkwizycyą, aby ci śmiałkowicie co grozić WMci mej M. paniej ważyli się i podwody rabowali, słuszne za swój występki odnieśli karanie; ale śnać nie dufając swej sprawiedliwości skoczyli chyżego, tak że i dopytać się o nich rzecz była niepodobna. Mając z państw i z wojska xięcia JMci pruskiego WM. M. M. pani zasłonegą dobrą, nie trzeba się na te oglądać przechwałki, ani gniewać się o to, że takich z dragonii WM. M. M. paniej sobie podobnych przybrali hultajów, którzyby podobno co gorszego przez zdradę swoją zrobić mogli. Jeśli który z oficyrów pod władzą moją będących, takiego się dopuścił *erroru*, nie tylko mu zganić ale i wydać go WM. M. M. paniej obiecuję, a Szwedów do WM. M. M. paniej nie przepuścimy, chyba żebyśmy na głowę polegli. Że na WM. M. M. panią czyhają i apetyt mają, co za dziw, znalazłby się i u nas tak głodny. Zatem się łasce WM. M. M. paniej oddaję. WM. M. M. wielce M. paniej życzliwy brat i sługa powolny B. Radziwiłł.

Z Królewca 9 Decembr. 1657.

T. II, str. 755.

XXIII b).

Jaśnie Wielmożny moiwy panie poskarbi wielki W. X. Lit. mnie wielce moiwy panie i bracie.

Radbym i potrzebie terażniejszej Rzpltej wygodził, tudzież i affektacyi WM. M. M. pana konformował się pozwo-

leniem w Prusiech tutecznych werbunków JMei panu Okiellemu, komendantowi kirchołmskiemu, ale iż kurfirst JMé po różnych sollicytacyach na to tylko dał się wyciągnąć, iż samemu panu oberszterowi Korfowi dwie kompanie zaciągnąć pozwoilił, nadto żadnych zgola więcej zaciągów *expresso vetito admittere* zakazawszy, tedy pewniem, iż słuszną moją danemu i w tej mierze *praescripto insistentis excusatus boni consulere* WM. M. M. pan zechcesz, o całej w inszych wszelakich okkurencyach niewątpliwie *persuasus* zostając mej do usłużenia ochocie, z którą i na ten czas łasce WM. M. M. pana pilno się oddaje. WM. M. wielce M. pana życzliwy brat i sługa B. Radziwiłł.

Dat. w Królewen d. 30 *Aprils* A. 1658.

T. II, str. 771.

XXIV.

Jaśnie wielmożni, wielmożni, mnie wielce miłościwi panowie i bracia.

Dałby to był Pan Bóg, aby ta zgoda i dufność, która niekiedy kwitnęła w ojczyźnie, i która ją z małych początków do tak wielkiej, jaką świat niedawno widział, przywiodła potęgi, i dalej pod te ostatnie nieszczęśliwe lata w dawnej swojej całości trwać była doma między nami mogła. Niecieszyłby się był za granicą żaden z postronnych nieprzyjaciół nadzieją wprzód, a potem na wszystek świat *patente spectaculo* terażniejszych żalów i upadków naszych, tymiż bowiem środkami *et usdem artibus conservantur, quibus crescunt imperia*, a jako zgoda małe rzeczy urość snadnie mogą, tak niezgodą by największe były, drobnieć i upadać muszą. Póki narody nasze pod udzielnymi w Polsce i Litwie, na Rusi i w Prusiech pany rozróżnione wadziły się wzajem, taka była właśnie w tych krajach *facies rerum*, jaką na nas teraz Pan Bóg za grzechy nasze dopuścił. Czymże inszym rozumna i zdrowa rada przodków naszych spoila to z różnych narodów zebrane *imperii corpus*, które się niedawno tak wielu postronnych państw i samej ottomańskiej potencji otrząsać mogło, jedno miłością i zgodą, matką wszelakiej wolności i pokoju? *Malus est custos diuturnitatis metus* i trudno za-trzymać samą bronią i żelazem przymuszone i za okazją tylko rebeliej pilnujące prowincye, jeśli ich łagodny węzeł porównania jednegoż prawa i wolności nie zwiąże. Jako skoro tedy różne krzywdy, opressye, supplantacye i za nimi idące niezgody i diffidencye rwać poczęły te *vincula*, i wzajemne od przodków tak mocno ukrzepione związki, cóż inszego nastąpić mogło, jedno z jednej strony domowa exulceracya i mieszanina, i wnet krwią z obu stron oblana rebelia, a przez nie *in viscera regni* wciagniony nieprzyjaciół, a z drugiej

za granicą dodanie serca i sił inszym postronnym sąsiadom na nas, nietylko własną niesfornością ale i odpadnieniem Ukrainy i jakoby prawej ręki odjęciem już zdeblitowanych. Zkąd wszystkim interesatom okazya prezentowana przeciwko nam, za widomem dla grzechów naszych dopuszczeniem z nieba, wylała tę straszliwą i gwałtowną gniewu bożego powódź, która *inundantibus* ze wszystkich stron *hostibus* i *fatali consternatione discedentibus in partes civibus*, wszystkie prawie ojczyzny kąty i *penetralia* zabrała i zatopiła była. Wejrzał Pan Bóg na upadły stan Rzptej naszej i przez dotkliwą cudownej władzy swojej interpozycyę onej rękę wprzód do podżwignienia podawszy, dał tę *mentem* J. K. Mei panu naszemu miłościwemu i radom przy boku jego będącym, że *competentissimo remedio* rany ojczyzny lecząc, *oblivionem injuriarum* i amnistyę, jedyną do wewnętrznej zgody i domowego uspokojenia drogę, nie bez chwalebnej i pamiętnej na potomny wiek klemencyej swej wprowadzić raczył. Za którym środkiem wszystkie wzajemnych niechęci i urazów zadatki i okazye i cokolwiek *per hominum ac temporum injuriam* wzajemne niechęci podżęgać mogło, miało być ugaszono, abyśmy te domowe *odiorum* i *diffidentiae semina et pestes* uprzatnąwszy, tym więcej sił przeciw nieprzyjaciołom mieć mogli. Między inszemi i tę niecznośną krzywdę, która niewinne *manes* xięcia JMci ś. p. pana wojewody wileńskiego brata mego zachodzi, w uproszeniu *post inauditum et indemnatum ad male narrata et importunam instantiam* niektórych osób wojska W. X. Lit. donacyej dóbr jego przeciwko wszelkiemu prawu, *ad fatalem* tylko *temporum inclinationem*, *vividis odiorum fomitibus concurrentibus* otrzymanej, *per expressam illegitimi privileyji cassationem abolendo*, dobra te *patrimonio* domu mego należące, do ręki mych *restituere* i tę restytucyę nietylko *privatis rescriptis*, ale i *publicis* z kurfirstem JMcią *pactis* utwierdzić raczył. Którą restytucyą, iż niektórzy z pomienionego wojska W. X. Lit. częścią *in dubium vocare*, częścią *remorari* wazą się, śmiem prosić WMciów M. M. panów i braci, którzyście na tamtym placu dla obrady o ojczyźnie zasiedli, abyście tak domowe od swoich, jako i postronne od nieprzyjaciół odniesione rany leczyć, i oboim *mature* zabiegać raczyli, postrzegając *ante omnia* tego, co do domowej zgody i uspokojenia należy, i zleciwszy to JM. M. M. PP. posłom swoim, żeby się tej restytucyej, na której i *publicorum foedorum fides*, i amnistyey tak *sancte* utwierdzonej całość, i prawa pospolitego ochrona zawisła, seryo na przyszłym sejmie upomnieć nie zaniechali. Jeśli *pacta cum sociis* targać się będą, co za *securitas* od granic? Jeśli amnistya jednemu dotrzymana nie będzie, *quotus quisque* w ojczyźnie bezpieczen zostanie? Je-

śli bez procesu exekucya utwierdzona będzie, w co pójdą prawa wszystkich narodów? Jeśli *indemnatos et non citatos* karać będzie wolno *criminaliter*, tać i *captivare jure non victos*, a zatym w co się obróćą ojczyste prawa nasze? Jeśli niewinnym potomkom i successorom *patrimonia* na nich spadające, a żadnym wprzód procesem nie onerowane, *sine juris strepitu armata manu* zajeżdżać i wydzierać będą, gdzie się ostoja wolności i swobody nasze? Jeśli nas wojska bez mandatów *patrimoniis spoliabunt*, byle się jedno po kim *in casu necessitatis* czego naprzec śmiały, a na tak niesłuszne okupacye *connivebit Respublica*, cóż będzie za *securitas* wszystkich? co za zgoda i pokój i *consens* w obronie ojczyzny? i co za różnica między żołnierzem swoim i nieprzyjacielskim? Jeśli się żołnierz zwaśniony na wodze w upraszanie kaduków po hetmanach nieosądzonych zaprawi, kto się do buławy porwie? kogo nie ustraszysz tak znaczną sekwełę za sobą pociągające i *latissimum transitum quaerens exemplum*? Niechcę ja WMciów M. M. PP. w tak jasnej sprawie niezliczonych niesłuszności wyliczaniem bawić; nie chcę i *refricare memoriam meritorum* osoby tej, która *tot victoriis et triumphis capitolium* ojczyzny swojej ozdobiła, abym się nie zdał komu, że za ludzkie udania i kryminacye od dawniejszych jego zasług *precariam defensionem et patrocinium peto*. Dzieła i *merita* jego *praesentis aevi invidia obscurabit, restituta* da Pan Bóg *Reipbae* wywiedzie na jawią, i *multo cum foenore* sławy *rependet posteritas*. Mnie dosyć *intra terminos innocentiae* jego stanawszy, imieniem *defuncti* nie nie affektować. W ostatku rzecz sama od siebie i od żywych mówi. *Poscit* naprzód *auctoritas* majestatu pańskiego za mną *interposita* uszanowania i ochrony swojej; proszą *socii* i przyjaciele Rptej o dotrzymanie pakt; prosimy i my *cives* o dotrzymanie amnistyej; proszą ukrzywdzone sieroty (których też ta krzywda boleśnie dolega) o miseracyą i intercessyą, aby się Bóg za ich krzywdy nie ujmował. W tym wszystkim *more majorum*: rata! na bracią wołamy, i do W. Mciów naszych M. PP. gorącą prośbę wnosimy, pewni będąc tego, że WMć nasi M. PP. dla samej ojczyzny (która *deprecatum* aby jej do końca tymiż środkami niegubiono, którymi się do zguby tak blisko przymknęła) i dla całości praw i swobód spólnych, i na usilną prośbę naszą, *negotium* to JM. M. M. PP. posłom swoim *de meliori nota* zalecić raczycie. A Pan Bóg niechaj *consilia* i namowy WMciów M. M. PP. ku dobru spólnej ojczyźnie obróci i pofortuni. Czego uprzejmie życząc, braterskie służby moje w łaskę WMciów M. M. PP. jako napilniej oddaję. WM. M. wielce M. Panów życzliwy brat i sługa powolny, B. Radziwiłł, koniuszy W. X. Lit.

XXV.

Jaśnie Wielmożny moiwy panie podskarbi wielki W. X. Lit. mnie wieloe
moiwy panie i braoie.

Dziękuję pilno WM. M. M. panu za wiadomości tamecznych komunikacyą, wzajemnie ztąd oznajmuję, iż mi Pan Bóg w tych dniach poszczęścił trzech okrętów szwedzkich, dwóch pod Piławą, z których w jednym ośmdziesiąt icznych z kompaniej króla szwedzkiego było, a trzeciego pod Memlem wzięciem. Przytym donoszę WM. M. M. Panu kwerymonią o różne szkody, które się w tutecznym kurfirsta JMci xięstwie od pogranicza tamecznego, mianowicie od Oleska i zkądinąd dzieją się przez zabiegi i wpadania pacholików, nawet samego Towarzystwa i dragoniej tamecznej. Jeśli tedy JchMć M. PP. obywatela Zmujdziej, którzy mienili się być od tutecznych kurfirsta JMci ludzi *damnificatos*, przez wyprawionych o to z pośrodka siebie przedemną *conquesti*, tedy przyjdzie i mnie z rejestrem *damnorum* i krzywd w tutecznem xięstwie poczynionych na sejmik przyszły relacyjny wyprawić. A *interea* proszę pilno WM. M. M. Pana abyś insolencye takowe *authoritate sua coercere* i temu zabiegać raczył, żeby ztąd jakie nie urosło *inconveniens*. Oddaję się ztym z służbami memi łasce WM. M. M. Pana pilno. WM. M. wielce M. Pana życzliwy brat i sługa powolny B. Rądziwiłł.

Dat. w Królewcu 2 *Augusti* A. 1658.

T. II, str. 803.

XXVI.

Jaśnie Wielmożny moiwy panie podskarbi W. X. Lit. a mój moiwy
panie i braoie.

Serdecznie tego pożałowawszy, żem WM. M. M. Pana w Warszawie niezastał, powracając do Królewca a w drodze potkawszy pana Strumberka ozywam się WM. M. M. Panu z pokłonem moim, to przytym donosząc, że sprawy moje za łaską bożą a poważną instancją królestwa państwa M. M. nienajgorzej padły, *superest* abym WM. M. M. Pana jeszcze uspokoił, co *fiet facillime*, gdy WM. M. M. Pan *fraterne* ze mną traktować zechcesz. Pana marszałka wiłkomirskiego pisanie pana Morykoniego nie zastało, bo ze mną był w Królewcu, którego przecie w tych dniach do WM. M. M. Pana wyprawie, aby nas dłużej prywaty nie mieszały. Co *ad publica* o tych wiem, że WM. M. M. Pan masz doskonałą informacyę. Od JMci pana kancelerza W. X. Lit. król JMć

omnino posiłkować WM. M. M. Pana chce, ale widzę w koledze WM. M. M. Pana *summam tarditatem* i mało co do tego ochoty. Ja *non deesso* WM. M. M. Panu, byleśmy zawzięli pewną wiadomość, gdzie okręty szwedzkie do lądu przystapia. *Utinam sin falsus vates*, ale zda mi się, że nasi *colligati* barzo nam *circulos turbant*, a dopieroż *turbabunt*, jeśli z Moskwą *hostilitas* pewna; proszę w tej materyi o pewną i prędką wiadomość, więc i o to, abyś nie powątpiewał, że *de toto corde et pectore* chcę być WM. M. wielce M. Pana bratem cale życzliwym i sługą powolnym,

B. Radziwiłł.

Z Ortelsturku 29 Augusti 1658.

T. II, str. 807.

XXVII.

Jaśnie Wielmożna miłościwa pani podskarbino wielka W. X. Lit. mnie wielce moiwa pani i siostró.

Żałuję ja tego nie pomału, że WMci M. M. paniej przed następującą burzą nieprzyjacielską ustępować i za granicą szukać przychodzi przytuliszczą, które iż WM. M. M. pani z woli samego kurfirsta JMei masz sobie w Ragnecie pokazane, ja temu sprzecznym być niechcę, tylko tego i sam i ze mną IchMei M. M. pp. Regenci życzą, abyś WM. M. M. pani uważywszy, z jakim zostawać tam będziesz bezpieczeństwa, na samym prawie przy granicy wstąpić, dalej gdzie pomknąć i przenieść się raczyła, zwłaszcza iż kurfirst IMé niemając nic z Moskwą nieprzyjacielskiego, nieradby aby najmniejszą z czegokolwiek uchwycić mieli przyczynę. A co wiedzieć, jeśli by i ta okazała tu ich nie zwabiła. Zaczynam rozumiałbym, abyś WM. M. M. pani upatrzywszy sobie inne warowniejsze miejsce, osobliwie do Pisi przeprowadzić się chciała; w czym zdanie moje otworzywszy WMci M. M. paniej, onejże łasce z służbami memi pilno się oddaję. WM. M. wielce M. paniej życzliwy brat i sługa powolny B. Radziwiłł.

Dat. w Królewcu d. 7 Septembris 1654.

T. II, str. 141.

XXVIII.

Jaśnie Wielmożny moiwy panie podskarbi wielki W. X. Lit. mnie wielce moiwy panie i brać.

Wnosiłem ja po te czasy instancye moje do WM. M. M. pana za chorągwią moją poruczeństwa IMp. Mierzeńskiego pod regimentem WMci M. M. pana zostawającą; teraz że

sama wyświadczona ochota, czyniona odwaga, straty i szwanki prawie w oczach samego WMci M. M. pana poniesione, a tym samym na dobrą sławę wodza swego zarobienie, za nim *loquitur* i dostatecznie się do WM. M. M. pana interponuje; zatym rozwódzić się nie będę, tylko to przypominając, iż ta sama jedna chorągiew i w akomodowaniu od innych upośledzona, i żołdu sobie należącego nie wzięwszy w obozie stanęła, i w służbę się zaprzęła, przychodzi mi pilno prosić, abyś WM. M. M. pan i żołd przychodzący oddać jej *in instanti* rozkazać, i na potym osobliwszym swym onę *prosequi* raczył respektem, żeby *subsidium* jakie mając, w dalszej pociągać o czym mieli służbie, zwłaszcza iż ja *tot dispendia passus* i świeże podjawszy spezy, lubobym narbarziej chciał, posiłkować ich zgoła teraz nie mogę. Ponawiam przytym pierwszych próśb mych za zciemieżonym i do szczętu zrujnowanym starostwem mym poczerwintskim, pilno prosząc WM. M. M. pana, aby przynamniej teraz od dalszych ciężarów *respirium* i *exempcyą* mieć mogło. Doznawają tego faworu insi pp. starostowie, których dzierżawy osobiwą folgę mają, a ja sam jeden miałbym tak upośledzony i do WMci M. M. pana być nieszczęśliwy, aby *aequa petenti concedi* to nie miało, co przecie za wielką przyjałbym wygodę, ile pod taki czas, którego żadnego zgoła nikt nie mieć nie mogę wsparcia. Czekając zatym na pomyślną *in utroque* rezolucyą WMci M. M. pana, onegoż łasce natenczas z służbami memi pilno się oddaję. WM. M. wielce M. pana życzliwy brat i sługa powolny B. Radziwiłł.

Dat. w Królewcu d. 28 Septembris A. 1658. T. II, str. 825.

XXIX.

Jaśnie Wielmożny moiwy panie podskarbi wielki W. X. Lit. a mnie wielce moiwy panie i bracie.

Cieszę się z tego uprzejmie, że WMci M. M. pana starania *non frustrata optato eventu*, i że dla prędkiego zawarcia pokoju sameś się do Wilna zapuścił, tegoż *spe* od moskiewskiej strony *facta* zachęcony; i jako uprzejmie życzę *desideratum successum*, tak prędkiej o tym wiadomości spodziewam się od WM. M. M. pana i proszę, abyś jej *tardare* nie raczył, a za powrotem WM. M. M. pana gotowem znieść się z WM. M. M. panem przez p. marszałka wilkomirskiego tak *de securitate mutua*, jako i o skończeniu zaczętej między nami sprawy, którego tym barziej pewien zostawam, kiedy WM. M. M. pan widząc też moją do tego propenzyą, wzajemnie swoją deklarować raczysz, i nie nie wątpię, że ją skutecznie oświadczyć zechcesz, jakoż nieodwłocznie wypra-

wuję go, życząc aby *quantum* dla terażniejszych powodzi będzie mógł, pospieszał, i jeśli na Żmudzi nie zastanie, w Wilnie znajdował WM. M. M. pana. Do materji wspólnej wracając się obrony, tak rozumiem, że nam tym pilniej teraz o sobie czuć trzeba, im większe nieprzyjacielskie pokazują się za morzem sukcesy, bo mając w ręku wrota do morza, a jeszcze jako poczynają latać rumory, *consummatam victoriam* nad Duńczykiem, *quis sponsor*, że odebrane fortece opatrzywszy i asekurowawszy, mając okrętów tyle, ile mu trzeba, nie wpadnie na tutejsze brzegi, i do tego wojska, które przyprowadzi przyłączywszy Duglasa i te, które ma na garnizonach ludzie, i z nie korpus uformowawszy, nim się Prusom i Żmudzi barzo naprzykrzy. Gotówem tedy o tym *inire consilia* z WM. M. M. panem, *junctisque animis et viribus* stawać, tylko życzę, abyś WMé o to się starał, abyś nietylko te, które *speras*, z IMp. podstolim W. X. Lit. ale i insze posiłki miał suppeditowane, gdyż tak mi się zda, że za sukcesem w Danii większa Żmudzi i Prusom xiążącym *imminet tempestas*, niż *regali*. W przeszłą środę wyprawilem generała majora Görtzkę z wojskiem konnem pod Elbiąg a obersztera Hylla na dwóch okrętach i trzech szalupach *alias* dubasach aby szanc pod Elbiągiem nazwany bulwerk, który kanał do Haffu defenduje, ubiegł. Jakoż pobłogosławił pan Bóg, bo choć wiatr był przeciwny, podpadszy szalupami pod szanc, szturmem go wziął, komendanta żywcem wzięto, dwóch leitnantów i dwóch chorążych zabito, z żołdatów mało co żywcem wzięto, prócz trzydziestu wszysecy polegli; parę dział w nim zastaliśmy. Wyrządziwszy im ten figiel, a dzień tylko jeden kazawszy potrzymać tę posztę, bo długo ją trzymać rzecz była niepodobna, gdyż tylko morzem może być sukkursowana, znowum kazał ludzie zwieść, rozkopawszy bulwarki. Ale w tej retyradzie wielkie się trafiło nieszczęście, bo gdy nieprzyjaciel na płynących już w szalupach strzelać począł, nasi chcąc im z muszkietów odpowiedzieć, a gęsto ognia dając, nieostrożnie prochy zapalili, któremi pod trzydzieści człeka strasznie opaliło, a jeden kapitan leitenant wysadzony, nie wiedzieć gdzie się podział na powietrzu. Zatym się łasce WM. M. M. pana oddaje, WM. M. wielce M. pana życzliwy brat i sługa powolny, B. Radziwiłł.

XXX.

Jaśnie Wielmożny moiwy panie podskarbi wielki W. X. Lit. mnie
wielce moiwy panie i bracie.

Że WM. M. M. pan według danej obietnicy *incessanter* korespondencyej czynisz ze mną *continuationem*, potrzebnymi poufale obsyłając mnie wiadomościami, wielce dziękuję i *ad reciproca* tak konferencyej częstej jako i braterskiej przyjaźni *explenda officia* tym barziej *obligatus* zostaje WMci M. M. pana. A jako cieszę się, że utrapiona ojczyzna *ad paccatum* przychodzi *statum*, tak życzyłbym tego, aby *quam optimis et aequissimis conditionibus de pace transigeret*; gdyż owe nietylko nadzwyczaj przycięższe, ale i *bellum atrocius* barziej *provocantes* niż terażniejsze *sopientes videntur*. W samym tylko panu Bogu nadzieja, że i ze złych rzeczy wywiedzie dobre, i jako *concussum Reipublicae statum* Boską szczególnie wspierał dotąd Opatrznością, tak do reparacyej i zatrzymania onego wszechmocną poda rękę. *Non dissimilem* podobno *de inclinantibus* jako rozumiem *favoribus* spodziewać się i transakcyej wileńskiej *eventum*, lubo za uprzedzeniem tamtej, ta iż lepiej padnie, wszystkich zdanie i expektacya jest jednostajna; o czym też *specialiora* czekam od WM. M. M. pana. Ztąd nie wiele do oznajmienia *occurrit* pociesznego, ponieważ sukcesy szwedzkie *augentur*; wprawdzie o przyjściu pod Zund okrętów holenderskich świeża przyszła wiadomość, ale niewielka nadzieja, żeby i te co przyniosły ratunku, jeśli *eo ardore agent negotium, qua celeritate* przychodziły. Z Kurlandją też co się stało, bez pochyby *innotuit* WM. M. M. panu. Mnie z wielu miar ta żaloszna *percutit* wiadomość. *Miseret* mię bowiem *afflicti status* xięstwa IchMó, i osób przy nim będących, ale nie mniej w konsyderacyą brać przychodzi *majora pericula* od tamtej ściany Żmujdzi i Prusom *imminentia*, które *longiora* były *hoste* za Dźwiną *manente*, i dla tego *de securitate mutua* życzę sobie często *conferre* z WM. M. M. panem, i byle trochę wody opadły, jako i dla prywatnej konferencyej *expediatur* odemnie do WM. M. M. pana IMpan marszałek wilkomirski, gdyż tego jestem niechybnego rozumienia, że z tej strony największa będzie *hostilitas* szwedzka, *cui resistendae*, abyś WM. M. M. pan *vires* od IM. pana hetmana wielkiego jako nasporszych zasiągnął, cale życzę. O niechętnym IchM. pp. komisarzów jako i starszyny większej i mniejszej w sprawie mojej procederze dostało mi się i zkąd inąd wiedzieć, który iż nietylko mnie, ale *fidem et auctoritatem publicam*

afficit, niewiem żeby u kogo z dobrych miał należeć komplacencją i takowe postęпки słuszną pan Bóg każdemu odmierzyc mocen miarką. Oddaję się zatym łasce WM. M. M. pana z służbami memi jako napilniej. WM. M. wielce M. pana życzliwy brat i sługa powolny B. Radziwiłł.

Dat. w Królewcu 19 Oktobra A. 1658.

T. II, str. 841

XXXI.

Mości panie Michałowski.

Dochodzi mię wiedzieć że Jejmość pani podskarbina i Wmć sam przegróźki jakieś za pokojowego mego Hołownię czynicie. Jejmość paniej podskarbinej jako białejgłowie się nie dziwuję, bo jakąś Wmć Jejmości uczynił relacją, tak też rzeczy pojmuje; ale Wmć sam niewiem jako z tego wybrniesz, kiedyby namniejszy kontempt sługę mego potkać miał. Wszystek świat wie, że to moja własna majątność, nawet terazniejszy sejm restytucją dóbr mych konstytucją aprobował; naostatek i sam IMpan podskarbi do satysfakcey odemnie tylko tę majątność trzymać chciał; kto mi tedy za-
bronić może, abym załogę mego tam miał i aby służy moi niemieli przebywać? Posyłam Wmci list od Imci pana podskarbiego do mnie pisany, znasz wszak rękę i obaczysz, że niezmysłony, z którego listu *colligere* możesz, że Imć nie tak mię sobie waży, jako się drugim śni. Ze mnie nie będzie dana do niechęci przyczyna, ale to Wmć przecie wiedz, że kontemptu mego mimo się nigdy nie puszczyć, majątności też tej od szarpaniny wszelakiej bronić będę, bo nie tak daleko mieszkam, żebym exorbitantów ztąd z Prus dosiadać nie miał. Będę miał czym odwetować, kto mię zagabnie. Chciej tedy Wmć mieć na zadnie koła wzgląd i tak moderować swoją gorącość, żebyś mię z IMpanem podskarbin nie różnił ani wadził; ale wieczności w Kiejdanach żaden niech sobie zażywać nie obiecuje i lepiej to sobie zawczasu z głowy wybić. Przeczytaj Wmć nawet terazniejszą konstytucją, a obaczysz, co za *mens* Rzptej. Zatym się chęci Wmci oddaję. WM. M. pana życzliwy brat i rad służyć, B. Radziwiłł koniuszy W. X. Lit.

W Królewcu d. 12 Junii A. 1659.

T. II, str. 145.

XXXII.

Jaśnie Oświecona xiężno, mnie wielce moiwa pani i siostró.

Dla wielkich zabaw moich nie przychodzi mi własną pisać do W. X. Mci M. M. paniej ręką, w czym o wyba-

czenie prosząc, przy oświadczeniu listownie braterskiej powolności mojej posyłam W. X. Mei M. M. paniej kopie zawartego względem pretensyj IMei pana Kierty marszałka starodubowskiego postanowienia. W którym jeśliby co było szkodliwego sprawom WX. Mei M. M. paniej, racz mi donieść. A natenczas z powolnością usług moich łasce W. X. Mei M. M. paniej się oddaje. W X. Mei M. M. paniej uprzejmie życzliwy brat i sługa powolny B. Radziwiłł.

Z Słucka d. 11 *Februarii* 1662.

T. II, str. 149.

XXXIII.

Jaśnie Wielmożny M. panie podskarbi W. X. Lit. a mnie wielce
M. panie i braacie.

Za wzięciem wiadomości o szczęśliwym WM. M. M. pana powrocie, nietylko z wizytą i gratulacją braterską posłałem *obviam* WM. M. M. panu, alem też uprzejmie życzył powidania i poufałej z WM. M. M. panem konferencyi za przyjazdem WM. M. M. pana do dworu J. K. M., który iż się przewlókł a *negotia* kurfirsta IMei *revocarunt* mnie do Prus, użyłem IMei pana marszałka wiłkomirskiego, aby *meo defungatus officio* i moję braterską prezentował WM. M. M. panu uprzejmość, i do tego wszystkiego całą ochotę co *spectat ad culturam* przyjaźni i konfidencyi braterskiej z WM. M. M. panem deklarował. Trzymając to o dawnym WM. M. M. pana afekcie, że tę moją *promptitudinem reciproca* przyjmiesz *benevolentia*, i jeśli jakie przeciwne *status rerum* w Ojczyźnie *injecit impedimenta*, braterską uwagą i dyskretyą onę *facillitare* raczysz. Co ja z mej strony zupełnie uczynić gotowem i umyślnie gwoli temu IMei pana marszałka wiłkomirskiego posyłam, na którego referując się we wszystkim, oddaję się z służbami memi łasce WM. M. wielce M. pana życzliwy brat i sługa powolny B. Radziwiłł koniuszy W. X. Lit.

Z Prznazysza 9 *Maii* 1662.

T. II, str. 845.

XXXIV.

Jaśnie Wielmożny M. panie podskarbi wielki W. X. Litew. mnie
wielce M. panie i bracie.

Mając tę wiadomość, że W. M. M. pan dotąd w Warszawie zastawać raczysz, chętnieby rad jako dla usługi królestwa Jchmców, tak i dla powidania i obecnej z powrotu W. M. M. M. pana do Ojczyzny kongratulacyej zbiegł tamże, gdyby mnie *caepa valetudinis cura* na tym nie zatrzymała miej-

scu. Tym jednak pisaniem nawiedzam W. M. M. pana i przy kontestacyej braterskiego afektu z tegoż w przeszłych trosk i *calamitatum* nagrodę jako najobfitszą *solatiorum et felicitatum accessiones apprecor* WM. M. M. panu. A jak uprzejmie życzę sobie braterską z W. M. M. M. panem *redintegrare et colere* przyjaźń, tak cokolwiek do tego należy *ex parte mea pro omni possibili explere* gotów zostawam, uprosiwszy J. M. pana kanclerza W. X. Lit. M. M. pana i brata i J. M. pana Owerbeka aby *eo nomine conferant* z W. M. M. M. panem. Gotów będę i na komisją wileńską zesłać dla całego *inter-venientium per adversitatem fatorum et rerum negotiorum* i inszych spraw moich uspokojenia w których za czasu o chętne i życzliwe *suffragium et auxilium* upraszam WM. M. M. pana, onegoż z służbami memi oddając się łasce jako napilniej. WM. M. wielce M. pana życzliwy brat i sługa powolny B. Radziwiłł, koniuszy W. X. Lit.

Z Królewca 30 *Junii* 1662.

T. II. str. 857.

XXXV.

Jaśnie Oświecona xiężno mnie mściwa pani i siostró.

Jakom szczerze życzył usłużyć W. X. Mei M. M. paniej w tych zleceniach, które miał pan Ładziński, oraz do pomyslnego wykonania onych co za trudności zachodziły z nieuczynności tutejszych ludzi cale pochodzące, nie szerząc się z pisaniem pewienem, że tenże pan Ładziński opowie doskonale W. X. M. M. M. paniej. Azatym przy powinszowaniu wszelakich szczęśliwości wielce proszę W. X. M. M. M. paniej, abyś mi przebaczyć raczyła, że swoją do W. X. Mei nie piszę ręką dla ustawicznych zabaw moich i dla mnogich fasołów, których coraz to więcej przybywa, ale izali raz temu będzie koniec, abym się z miłej W. X. Mei a ustawicznej mógł ucieszyć prezencyi, czego jedno gorąco życzę, tak też ostawam nigdy nieodmiennym W. X. M. M. M. paniej bratem i sługą powolnym. B. Radziwiłł.

Dat. z Królewca d. 5 *Februarii* 1663.

T. II str. 155.

XXXVI.

Jaśnie Oświecona moiwa xiężno mnie wielce mściwa pani i siostró.

Pan łowczy mściśławski zastał mię prawie na wyjeźnym ztąd do Litwy; w tym jednak coś mu W. X. M. dla donie-

sienia mnie zlecić raczyła, wysłuchawszy dałem deklaracyą moją, jaka na ten czas być mogła, tę oraz pewną nadzieję mając, że mi samemu wkrótce przyjdzie do pożądanego powidania z W. X. Mością, gdzie będę mógł o wszystkim doskonalej ustnie się znieść i żądaniom W. X. Mci M. M. paniej skuteczniej dosyć uczynić. Oddaję zatym powolne służby moje w łaskę W. X. Mci M. M. paniej i siostry, z powinszowaniem i zdrowia dobrego i jako napomyślniejszego powodzenia, w którym abym jako naprędzej W. X. Mc oglądał, życzę sobie tego jedynie, życzliwy brat i cale powolny sługa B. Radziwiłł koniuszy W. X. Lit.

Dat. z Królewca d. 11 Septembris 1664.

T. II str. 159.

XXXVII.

Jasnie Wielmożna mciwa pani starościno żmudzka moja wielce miłościwa pani i siostro.

Wielce proszę waszej xiążęcej Mości M. M. paniej i siostry o przebaczenie, że ręką własną nie piszę, bo po terazniejszej chorobie mojej gdy piszę albo czytam, zaraz mi oczy czerwienieją i boleją. Dziwuję się przytym wielkiej niełascie W. X. M. żeś w Tylży będąc, jakom się dowiedział o tem od sługi mego p. Przystawowskiego, nietylkoś mnie słabego jeszcze i sierotki nie nawidziła, ale też i najmniejszym o powodzeniu swoim nie obeszła pisanie. Wprawdzie choćbyś W. X. M. była chciała tę fatygę podjąć i do mnie zbieżać, zażyłbym był pewnie tej niepolityki, żebym z domu przed W. X. Mcią uciekł, bo ponieważ cały dwór mój gorączką był zarażony przyrzutliwą, trudno bym miał W. X. M. w takie wdać niebezpieczeństwo, ale przynajmniej gdybym był wiedział o bytności W. X. M. w Prusiech, mógłbym się był W. X. M. ozwać i w czas jakikolwiek obstałować. Pretensye W. X. M. u mnie są w pamięci, zażyję w nich przyjaciół i sług swoich do W. X. M., tylko proszę o trochę czasu dla rozgarnienia się, bo i publiczne i prywatne trudności moje z wojskiem i choroba moja przeszła barzo mi moje powarjowały dyspozycye, i słabość moja która jeszcze wielka niepozwała mi głową robić, bo lubom z łaski Bożej czerstwy, niemogę jeszcze do sił przyjść, jako i ci wszyscy, którzy chorowali, do tego czasu kawęczą. Oznajmuję też W. X. M. że wyjednał prezent u kurfirsta JMci na wesele J. M. pana Sapięhy sześćset talarów, które rozumiem lepiej się W. X. Mci zgodzą same, niż Jej Mci paniej podskarbinnej nadwornej, która męża ma we wszystko bogatego, ale

odebrać tych pieniędzy W. X. Mć nie będziesz mogła aż koło Wielkiejnocy. Co do miejskiej akeyzy królewieckiej, asygnacya, proszę abyś i tę usługę moją wdzięcznie przyjąwszy, wiodła JM. pana starostę, M. M. pana do tego, aby innym sprawom moim chciał być protektorem, a sama W. X. Mć żebyś kiedykolwiek lepiej o mojej ku sobie miłości i życzliwości rozumiała. Zatym się nieodmiennej łasce W. X. M. pilno zalecam, W. X. M. M. wielce M. paniej życzliwy brat i sługa powolny B. Radziwiłł.

Dat w Królewcu 24 Octobris 1667.

J. M. panu staroście żmudzkiemu a mnie wielce miowemu panu i bratu nizko biję czołem.

T. II str. 171.

XXXVIII.

Do wojewodziny Hlebowiozowej.

.....¹⁾ brał odemnie, więc Bóg widzi jeszcze choćby mnie pieczono wiedzieć nie mogę, kogobyśmy sobie mieli obrać za pana, jakoż tedy miałem o tym pisać, o czym nie wiedziałem. Teraz dwaj kandydaci tylko są w konsyderacyi, jeden Moskał, o którym powiadają, bo się o to ani na się, ani na syna swego nie stara, a drugi Neuburczyk, któremu wszystkie duchowieństwo i naznaczniejsi senatorowie w Koronie królestwa życzą, temuż sprzyja i kurfirst, ale jeśli dla tego królem będzie, kto to może zgadnąć. Proszę tedy W. X. M. cheiej JM. panu wojewodzie tę dyffidencją z głowy wybić i animować go, żeby z nami trzymał Radziwiłłami, wiedząc pewnie o tym, że my się do leda kogo albo lekko-myślnie nie przywiążemy i że nas Radziwiłłow hetman wielki koronny, JM. M. M. pp. Potoccy, Lubomirsey i pieczętarze koronni nie odstąpią. Że natrętem być nie umiem, ludzie rozumieją, że się nikomu na nic nie zejść, ale przecie mogę się tym pochwalić, że interes domu mego i krewnych mych traktuję, jako się dobremu godzi. Barzo mnie to korci, że buława polna nas z panem Połubińskim poróżniła, aleć Bóg wie, że JM. pan Połubiński niema się o co gniewać, bo gdyby ją xiażę JM. nie wziął, pewnieby mi się była dostała albo panu obożnemu litewskiemu. Teraz wrzekomo go ci *promowent*, którzy mu niedawno starostwa żmudzkiego nie życzyli, nie z przyjaźni, ale z zazdrości szczerzej ku nam; a że się obawiam, że będzie twardo przeciwko nam stawał, życzę

¹⁾ Początku brakuje.

aby go zmiekczyć przez JM. pana krajczego litewskiego, bo nam nikt buławy nie wydrze, chyba wprzód trupem nas położywszy. Jeśli JM. pan Połubiński do xięcia JM. konfidencyi nie ma, niech ze mną się znosi przez JM. pana krajczego, a co wiedzieć, czy nie byłby JMé, z usługi mej kon-
tent. O to nabarziej W. X. M. upraszam, żebyś animowała i J. M. pana wojewodę i JM. M. M. pp. zięciów swoich, żeby nas Radziwiłłów nie odstępowali, wszak i to starożytne domy, z domem naszym dawno zligowane, inaczej jednego po drugim zdepcą nowe familie. A że JMé Pogiński (?) terazniejszy pisarz polny siła może i w wojsku i u JM. pana krajczego, proszę chciej go W. X. M. do tego dysponować, żeby ze mną korespondował, a ja wszystkich tych interes jako mój własny zawsze traktować będę, tylko o tem niech nikt nie myśli, żeby buławy polnej brat mój komu ustąpić miał, bo to niemoże być żadną miarą. Nic nie wątpię, że W. X. M. z miłości swej przyłożysz starania, jakoby dom nasz jako nawęcej miał przyjacioł, których my wzajemnie nie odstąpimy. Zatem się łasce W. X. M. pilno zalecam W. X. M. M. wielce M. paniej życzliwy brat i sługa powolny B. Radziwiłł.

Z Królewca 4 Febr. 1669.

T. II. str. 197.

XXXIX.

Jaśnie Wielmożna miłościwa pani podskarbino W. X. Lit. a mnie wielce mściwa panie i siostró.

Nieuważne Xięcia JMci pana hetmana brata mego postępki nietylko W. M. M. M. paniej tak słusznego żalu, ale też i mnie samego niemało wstydu i kłopotu nabawiły, i jeśli J. M. pan podskarbi mój miłościwy pan i luby brat cierpi więzienie, ja z tej okazji chociaż o niczym niewiedział, nad wszelkie więzienie cięższe ponoszę od wszystkich urągowiska i plugawe przymówki, zaczym jako na to serdecznie boleję, tak na WM. M. M. paniej afektacją list do xięcia JMci piszę, prosząc, aby pomniac na prawo i na to, czym mu się Bóg w ojczyźnie dał urodzić, z brzegów niewylewał i tak wysokiego w ojczyźnie naszej urzędnika dłuższym nie karmił dysgustem. Co wskóram, zgadnąć trudno, bo nie wiem co wiąże JM. o mnie samym myśli. Gdybym mógł bez suspicyj u ludzi zbieżeć na Żmudź, obiecuję WM. M. M. paniej że albo JM. małżonek WMci musiałby być na woli, albo ja z nim oraz ostawałbym w tejże niewoli, lecz że mi się teraz tego czynić nie godzi dla siłu respektów rozumiem że WM. M. M. pani upewniona będąc moim do usług wszelakich JM. pana podskarbiego afektem, be-

dziesz mnie zawsze miała w liczbie WM. M. M. paniej życzliwych braci i sług powolnych, Bogusław Radziwiłł.

Z Jędrzejowa 16 *Octobra* (1655).

T. II, str. 207.

XL.

Jaśnie Wielmożny miłościwy panie podskarbi W. X. Lit. a mnie wielce miłościwy panie i bracie.

Nie mogę tego wyrazić piórem, jak mnie obchodzi WM. M. M. pana *calamitas*. Dotąd pókim od pana Putkamera o wszystkim nie był informowany, nie mogłem sobie figurować, żeby zazdrosna *sors* tak nad WM. M. M. panem *saevire* miała. Ale kiedy słyszę, że rzecz sama i *famam superat*, tym więcej żal moje trapi serce, że moja *mediatio non suum sortita effectum*. Wprawdzie nierozumiem, żeby to coś *praemeditatum* być miało, bo Bóg mi świadkiem, że i apparenicy nawet do takiego postępku nie widział, ale *ut ut est*, przyjaźni WM. M. M. panu dotrzymam i starać się będę, abym choć na krótki czas jaki *praesenter* z WMcią mógł *conferre*, tylko nie wiem jeśli moja prośba będzie miała miejsce, bo i mnie *committatur invidia* i różne *suspiciones*. *Plura* listu tego oddawcy *commisi*, teraz tym kończę, że ostawam W. M. M. wielce M. pana bratem życzliwym i sługą powolnym, B. Radziwiłł koniuszy W. X. Lit.

Z Tykocina 9 *Novembris* (1655).

T. II str. 633.

OBJAŚNIENIE.

Listy te pochodzą z cennych zbiorów rękopiśmiennych JW. Wandelina hr. Pusławskiego, który łaskawie udzielił ich raczył autorowi, za co pozwalam sobie wyrazić serdeczne podziękowanie. Dwa listy, umieszczone przy końcu zbioru, odnoszą się widocznie do sprawy uwięzienia Gąsiewskiego przez Janusza Radziwiłła w początkach najazdu Litwy przez Szwedów. Mylne daty odpisów, mianowicie przy Numerach XXXIX roku 1686, a przy XL 1656 sprostowano na rok 1855 i z tego powodu data roku podaną jest w nawiasie. Dla nieprzerwywania porządku chronologicznego umieszczony został pod N. XII list dworzanina Radziwiłłowskiego, B. Olszewskiego.

B. Kalicki.



Mapa Turcyi na podstawie traktatu pokoju w San Stefano.

Qui per virtutem peritat non interit.
Plautus.

KIEJSTUT

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH.

przez

Adama Asnyka.

KIEJSTUT.

BIRUTA jego żona.

WITOŁD syn.

JAGIEŁŁO.

MARYA jego siostra.

WOJDYŁŁO mąż Maryi, zauszniak Jagiełły.

PRORA BILGEN dowódzca straży zamkowej Jagiełły.

BUTRYM przyjaciel Kiejstuta.

ALDONA.

KUNO

KONRAD

HALBAN

WAJDELOTA.

GIERMEK.

RYCERZE, WAJDELOCI, Zbrojni dworzanie, Najemnicy.

AKT PIERWSZY.

Teatr przedstawia salę w zamku wileńskim. Główne drzwi wchodowe w głębi, z prawej i lewej strony drzwi wiodące do dalszych sal zamkowych. Za podniesieniem zasłony po lewej stronie sceny ku przodowi siedzi Jagiełło na podwyższonem tronowem krześle. Obok niego z jednej strony stoi Marya z drugiej Wojdyłło.

SCENA I.

JAGIEŁŁO, WOJDYŁŁO, MARYA.

WOJDYŁŁO.

Kres, wielki, kniaziu położyć należy
Tej bezczynności co nie daje sławy;
Gdyś do krzyżowych wysłał mnie rycerzy,
Miałeś niechybnie Kiejstuta dzierżawy
Napaść i związek kazałeś mi ścisły
Zawrzeć z zakonem. Zakon już gotowy,
Ale Jagiełło zmienia swe zamysły
I nie dopełnia zawartej umowy.

JAGIEŁŁO (podnosząc się z tronu).

Ostro się stawiasz!

WOJDYŁŁO.

Bom ci wiernym sługą
I twoję wielkość stawiam nad swe życie.
JAGIEŁŁO (zstępując z tronu i podchodząc na środek sceny).
Jeślim się ważył w moich myślach długo,
To w mojem sercu tkwi przyczyna skrycie;

Bo gdy do czynu chcę wyciągnąć ręce,
Jakieś wspomnienia łamią mnie dziecięce,
I twarz szlachetna książęcego stryja
Wzrokiem mnie mierzy i wzgardą zabija. (zamyśla się)
Mamże na niego iść z niemcami w znowie,
Na niego, co mi ojcowską koronę
Z błogosławieństwem osadził na głowie?
(po małej pauzie) A jednak ze snu budzą mnie natchnione
Głosy, co czynów żądają odemnie.

WOJDYŁŁO.

Nie czas rozważać, pośpiech dziś niezbędny;
Krzyżacy zbrojno czekają przy Niemnie.

JAGIEŁŁO.

Co Witold powie?

MARYA.

Jesteś zbyt oględny.

Straszą cię bracie Witolda pazury?

JAGIEŁŁO.

On był mi bratem.

MARYA.

Ale wrogiem będzie,

A wrogów zamiar trza uprzedzać z góry.

JAGIEŁŁO.

Wojować zdradą?

MARYA.

Więc jako narzędzie

Kiejstuta woli, siedź tutaj z pokorą,

Póki ci tronu twego nie odbiorą.

WOJDYŁŁO.

Nie jesteś panie bezpiecznym. Zamiary

Wydać się mogą gdy się sprawa zwlecze,

A nie przebaczy wówczas Kiejstut stary,

Nawet i zakon gotów swoje miecze

Na ciebie zwrócić, gdy nie wyjdiesz z siłą

Poprzec go wedle umowy...

JAGIEŁŁO (surowo).

Wojdyłło!

Wiesz, żeś przekroczył moich zleceń miarę

W układach z mistrzem.

WOJDYŁŁO.

Zatem wymierz karę
 Gdym źle zrozumiał myśl spowitą w słowa,
 Sam Kiejstutowi wyznaj wszystko szczerze,
 Wydaj winnego — niechaj moja głowa
 Okupi łaskę stryja i przymierze.
 Ten jeden środek został ci o panie
 Gdy zmieniasz zamysł..

JAGIEŁŁO.

Chęć co wzrosła we mnie
 Jak przeznaczenie nie ulega zmianie.
 Napróżno wydrzeć ją chciałbym... Daremnie
 Sercem się wstrząsam na czynu ohydę —
 Zawsze na przekór memu sercu idę...
 Bo mną kieruje jakaś tajna władza
 W przyszłości świetną wskazując koronę,
 I Litwę jak się z wrogów wyswobadza,
 I losy ludów w rękę mem złożone.

MARYA.

Więc cóż się wahasz?

JAGIEŁŁO.

Dziwna pragnień sprzeczność!
 Chciałbym by jaka żelazna konieczność
 Pchnęła mnie naprzód..

MARYA (z ironią).

Byś mógł sam bez winy
 Omijać ciernie a zbierać warzyny.
 (zapalając się) Gdybym nie była niewiastą lecz mężem,
 Każdy mój zamiar choćby najczarniejszy
 W czyn bym natychmiast zmieniła orężem.
 Jaby nie dbała czy się wina zmniejszy
 Przez pozór zręcznie rzucon w oczy świadkom,
 Ale bym czoło stawiała wypadkom.
 A ty mój bracie...

(wchodzi Prora Bilgen przez drzwi w głębi).

PRORA BILGEN.

Krzyżaccy posłowie
 Kuno i Konrad przybywają tutaj
 Chcąc posłuchania.

WOJDYŁŁO (po cichu do Maryi).

Stawili się w słowie.

JAGIEŁŁO (do Bilgena).

Wprowadź ich zaraz.

(Bilgen odchodzi. Jagiełło siada na tronie).

MARYA (pocichu do Wojdyłły).

Radość swoją utaj,

Bo ci zanadto przez oczy wygląda.

(Kuno i Konrad wchodzą przez drzwi w głębi).

SCENA II.

JAGIEŁŁO, WOJDYŁŁO, MARYA, KUNO, KONRAD.

KUNO (do Jagiełły się zwracając).

Mistrz nasz potężny śle wam pozdrowienia.

JAGIEŁŁO.

Wdzięcznym mu za nie.

KUNO.

Mistrz nasz wiedzieć żąda,

Gdzie się podziały wasze przyrzeczenia,

Któryś mu składał przez Wojdyłły usta,

Sam z własnej woli prosząc o przymierze?

JAGIEŁŁO.

Mistrz zbyt ciekawy.

KUNO.

Nie ciekawość pusta,

Ale zwątpienie o twej dobrej wierze

Skłania go wysłać nas, księżę, na zwiady

Czy się spodziewać pomocy lub zdrady?

JAGIEŁŁO (z uniesieniem powstając).

Wamże to mówić o zdradzie przystaje?

Wam, co się chlebem tuczycie obłudy,

Co w sieć podstępów obce garnąc kraje

Fałszem i zdradą ujarzmiacie ludy,

Coście na ziemi naszych ojców wzrosli

Jako na dębie pasożyt sromotny

I odbieracie soki latorośli

I jadę rdzeń mu niszczyć żywotny.

KONRAD.

Książę, rzecz próżna wojować językiem
I wszystkie winy zwałać na karb wrogów,
Nikt jeszcze szkody nie naprawił krzykiem,
Jeśli zaniedbał bronić swoich progów.
Szaleństwo tylko bezsilnie się miota
Zwycięża rozum, wytrwałość i cnota.

JAGIEŁŁO (do Maryi).

Drwi z nas ten krzyżak.

MARYA (uspakajająco).

Bracie!

JAGIEŁŁO.

Bądź spokojna

Ulżyłem sercu, teraz słuchać mogę.

KUNO.

Więc mości książę między nami wojna.
Zrzuciłeś maskę — my ruszamy w drogę,
Ale ci zakon sownie odpłaci
Za przemieszanie i zniewagę braci.

WOJDYŁŁO (błagalnie do Jagiełły).

Panie!

MARYA (tak samo).

Co robisz?

JAGIEŁŁO.

Niechaj się wygada

Nasz sprzymierzeniec.

KUNO (uroczyście).

W imieniu zakonu,
Co nad pogaństwem znakiem krzyża włada,
Tę rękawicę rzucam ci do tronu,
(zdejmuje rycerską rękawicę i rzuca).

Jako zapowiedź, że jesteś wyjęty
Z pod praw pokoju wraz z dzierzawy swemi,
Że ci przyniesiem w zamian bój zacięty
A spustoszenie i pożogę ziemi.

JAGIEŁŁO.

Grozisz napaścią?

KUNO.

Ty ją sam na siebie
Ściągnąłeś łamiąc układy wzajemne.

JAGIEŁŁO.

A więc ja teraz wszystkie bóstwa w niebie
I wszystkie piekiel potęgi podziemne
Wzywam na świadki: jako mnie zmuszacie
Do rzeczy strasznej. Ulegam przemocy
By ujść zniszczenia.

MARYA.

Słusznie czynisz bracie.

JAGIEŁŁO (do stojącego we drzwiach Prora Bilgen).
Wyprawę zaraz otrąbić tej nocy,
Niechaj we Wilnie zbiorą się rycerze,
Bo na Kiejstuta bezzwłocznie uderzę (Bilgen odchodzi)
(zwracając się do Krzyżaków).
Czy zgoda teraz? Jestem wam uległy.

KUNO.

Jeżeli mamy ufać twojej szczerości,
To zgoda księżę (cicho do Konrada) A to lis przebiegły!

KONRAD (tak samo do Kunona).

Pragnął przymusu.

JAGIEŁŁO.

Teraz jako gości
Chcę was na moim podejmować dworze;
Cofnijmy wzajem słowa nazbyt żwawe
A ja wam zamek i serce otworzę
(zwracając się do Wojdyły).

Chodźmy Wojdyłło gotować wyprawę.

(wychodzi przez drzwi w głębi, za nim Wojdyłło i Marya).

SCENA III.

KUNO i KONRAD.

KUNO (patrzając za odchodzącymi).

Chytry to Litwin, chętkę ma zdradziecką,
Ale nie dórósł głową zakonowi,

Zastawia sieci, bawi się jak dziecko,
Aż w własne sidła sam się wkońcu złowi;
Radby zagarnąć stryjowskie dziedziny
Z naszą pomocą, a potem u ludzi
Na nasze barki zwalić ciężar winy,
Mały okrawek oddając nam Żmudzi.
Lecz zakon lepiej cele swe rozumie
Niżby miał służyć młodzieniaszka dumie.

KONRAD.

O zakon mądry! Skoro na łup czycha
Umie napędzić w matnię dzikie zwierzę:
Gdy jedną ręką Jagiełłę popycha
Przeciw stryjowi — to drugą ostrzeże
Zaraz Kiejstuta, chcąc ich tak na zawsze
Zwaśnić i w walki wprowadzić najkrwawsze;
By potem z gruzów bratobójczej bitwy
Bez trudu zgarnąć wszystkie ziemie Litwy.

KUNO.

Jasno pojmujesz chociaż jesteś młody
Jakiemi drogi łatwiej biedz do celu,
Wiesz jako zwalczać pogańskie narody
Bez jawnych gwałtów i bez ofiar wielu,
Dlatego właśnie ciebie tu wysłali
Byś Litwą zręcznie pokierował dalej.

KONRAD.

Gra dosyć łatwa — chodzi tylko o to,
By żadnej stronie nie dać wziąć przewagi,
I gdy jednego złe losy przygniotą,
W jego obronie miecz wydobyć nagi,
I kłuc wciάζ pychę Jagiełły młodzieńczą,
I jątrzyć tajne Kiejstuta boleści,
I czekać — póki sił swych nie wycieńczą.

(wchodzi Wojdyłło i Marya).

SCENA IV.

KUNO, KONRAD, WOJDYŁŁO, MARYA.

WOJDYŁŁO.

Rycerze! dobre przynoszę wam wieści:
 Jagiełło teraz jako lew się ciska
 I z rozkazami śle po kraju gońce;
 Więc rozpalimy wojenne ogniska
 Za nim trzy razy obróci się słońce.

KUNO.

Pośpiech konieczny.

MARYA.

Choć raz ujrzeć muszę
 Tę butę starca co pomiata nami,
 Pod naszą nogą.

KUNO.

Książęcą ma duszę
 Książęcą siostra.

MARYA.

Wstyd mi czoło plami
 Żeśmy znosili wzgardę przez czas długi.

KUNO.

Najsłodszy tryumf ten który się wiąże
 Z długiem pragnieniem...

(wchodzi przez drzwi w głębi Prora Bilgen).

PRORA BILGEN.

Na wasze usługi,
 Szlachetni goście, śle mnie wielki książę,
 Aby wam wskazać gościnne komnaty.
 Raczcie pójść za mną.

(Kuno i Konrad wychodzą za Bilgenem przez drzwi na prawo).

SCENA V.

WOJDYŁŁO i MARYA.

MARYA (rzucając się na szyję Wojdyły z radością).

Wojdyłło! nareszcie
 Poślemy krwawe Kiejstutowi swaty,

I wyprawimy gody w jego mieście.
 Nie chciał on do nas przybyć na wesele
 Mówiąc, że nasze małżeństwo bezcześci
 Ich ród książęcy — i przed światem śmieje
 Znieważał ciebie i mój wstyd niewieści,
 Niechże więc teraz z własną szkodą zazna
 Żem poślubiła rycerza nie błazna.

WOJDYŁŁO.

Gdybym sam tylko zniewag był przedmiotem,
 Ja prosty człowiek zapomniałbym o tem;
 Lecz tyś mnie swoją miłością podniosła,
 Więc gdy na dwoje spada cios potwarczy,
 Za ciebie w piersiach duma mi urosła
 I mścić się będę póki sił mi starczy,
 Bo jestem twoim.

MARYA.

Wojdyłło! ja nie wiem,
 Ja sama nie wiem, czyś ty rzucił czary
 Na moje serce? że pali zarzewiem
 Takiej szalonej miłości bez miary;
 Bo mówią wszyscy, żeś ty niski rodem,
 A ty mi świecisz jako gwiazda przodem
 Nad ziemią jaśniej od wszystkich mocarzy,
 Mówią żeś brzydki a tyś mi piękniejszy
 Od jutrzni która na niebie się żarzy,
 Mówią że jesteś z ludzi najchytrzejszy
 I jadowity złością jakby żmija,
 A moje serce chętniej z ust twych spija
 Ten jad palący niż słodycze wszelkie.

WOJDYŁŁO.

Kochasz mnie Maryo?

MARYA.

Kocham wszystko w tobie
 Czy złe, czy dobre, czy niskie, czy wielkie!
 I to co szpetne jeszcze pięknem robię,
 I kocham wszystko co ci tylko drogiem
 A nienawidzę to co ty jedynie. —
 Kto cię obraża ten jest moim wrogiem,
 A kto się targnie na ciebie — ten zginie. —

Jabym ci wszystko poświęciła inne,
 Ludzkie uczucia i związki rodzinne
 I kraj i prawo i wolność i brata
 I całą jasność słonecznego świata.

WOJDYŁŁO.

Nie mów tak głośno, mój ty skarbie drogi,
 Zgubić nas możesz...

MARYA.

Nie znam wcale trwogi —
 I jedną tylko wielką żądzą płonę
 Żeby ci zwalić cały świat pod nogi
 I z gruzów jego zdobyć ci koronę,
 Pod znakiem bogów, czy pod znakiem krzyża,
 Wszystko mi jedno! Chwila już się zbliża.

WOJDYŁŁO.

Stój! stój porywcza! niechaj nie wie ucho
 O myśli, która w sercu się ukaże...
 Niech usta milczą...

(we drzwiach z lewej strony ukazuje się Jagiełło).

SCENA VI.

WOJDYŁŁO, MARYA, JAGIEŁŁO.

JAGIEŁŁO.

Teraz w zamku głucho —
 Po ziemiach moich rozesłałem strażę;
 Potrzeba czekać jakiś czas cierpliwie...
 Oczekiwanie męczy zaś i nuży,
 Bo gdy się myślą stanowczą ożywię,
 To chciałbym z całą gwałtownością burzy
 Spełnić mój zamiar.

WOJDYŁŁO.

Często pomysł dzieli
 Od wykonania całą przepaść zwłoki,
 A trzeba tłumić pragnienia, jeżeli
 Chcemy dojść wreszcie. — Każdy cel wysoki
 Z trudem przychodzi osiągnąć.
 (Przez drzwi w głębi wpada z pośpiechem Prora Bilgen).

SCENA VII.

PRORA BILGEN (do Jagielly).

O Panie!

Obmyśl ratunek, bo sprawa jest pilną.

MARYA.

Co mówisz Prora?

PRORA BILGEN.

Jak grom niespodzianie

Kiejstut z zbrojnymi zajął całe Wilno.

MARYA.

Ty kłamiesz chyba?

PRORA BILGEN.

Na bogi! nie kłamię.

Nie miał oporu kto mu stawić w mieście,

Więc zdąża prosto ku zamkowej bramie.

JAGIEŁŁO.

Co począć teraz?

MARYA (do Jagielly i Wojdyły).

Czemże wy jesteście?

Szkolnemi żaki? bezrozumną dziatwą?

Żeście mu dali tak się podejść łatwo.

Gdzie wasza czujność? gdzie wasza rozwaga?

Tak długo działać wzdragaleś się bracie

I pora przeszła. — Kiejstut się nie wzdraga,

Zwietrzył coś pewnie, więc uderza na cię,

Broń się mu teraz!

JAGIEŁŁO.

Bronić się daremnie,

Zbrojnych wysłałem z rozkazami w pole

I zamek pusty...

MARYA.

Zatem tak nikiemnie

Mamy się zdawać na Kiejstuta wolę

I żebrać łaski od niego...

WOJDYŁŁO.

Ja sędzę,

Żeby gwałt przyjąć uśmiechem przyjaźni;

Na oścież zamku otworzyć wrzeczadze
 A zaniechawszy oporu co drażni,
 Powitać stryja i jego drużynę
 Jakby tu do nas przybyli w gościnę.

JAGIEŁŁO (do Prora Bilgen)

Spełń co powiedział, każ odemknąć bramy,
 Ze czcią powitaj i w zamek ich wprowadź.

(Prora odchodzi przez drzwi w głębi).

(do Maryi). Ty zaś się rozchmurz, wszakże gości mamy.

MARYA.

Jeżeli umiesz, możesz się radować
 Ale mnie hańba dolega zbyt silnie,
 Bym mogła z wami płaszczyć się przed stryjem,
 Pod jego stopy gnąc się tutaj w Wilnie.

JAGIEŁŁO.

Hamuj się siostro!

MARYA.

Wstydem się okryjem,
 A on nas zdepcze jak robactwo w gniewie,
 Każe mi męża uwiezić.

WOJDYŁŁO (do Maryi).

On nie wie

Pewnie o wszystkim. Książę mnie nie zdradzi;
 Bądź więc spokojną...

(słysząc głos rogu za sceną).

JAGIEŁŁO.

Bądźmy gościom radzi.

Słysząc już brzmiący głos Kiejstuta rogu

Trzeba z uśmiechem witać go na progu.

(pochodzi ku drzwiom w głębi, a przez nie wchodzi na scenę
 Kiejstut, za nim Butrym, Wajdelota i część zbrojnego orszaku).

SCENA VIII.

WOJDYŁŁO, MARYA, JAGIEŁŁO, KIEJSTUT, BUTRYM
 WAJDELOTA, RYCERZE.

KIEJSTUT

Cóż mój synowcze? spadłem niespodzianie
 Jakoby piorun przy pogodnym niebie;

Czciłeś mi złożyć w Trokach powitanie
Z niemcami społem — Jam uprzedził ciebie.
Bo jako ojciec tej ziemi, dłoń czujną
Podnieść musiałem na zdradę podwójną
Rodu i kraju.

JAGIEŁŁO.

Stryju!...

KIEJSTUT.

Ust daremnie

Kłamiwem słowem nie plam... Wiem zbyt wiele,
I serce stare zatrzęsło się we mnie
Z bólu i zgrozy. — Ty na wrogów czele!
Ty! co mi byłeś jako własne dziecko,
Ty z krzyżakami chciałeś mnie zdradziecko
Podejść i smutnym podzielić się łupem,
Na zgłiszczach Żmudzi, nad stryjowskim trupem.
Gdybyś sam godził na moje dzierżawy,
I chciał mnie wyzuć i z tronu i z sławy,
Gdybyś był nasłał najemne siepacze
Splamić krwią starca wiekowe siwizny,
Byłbym przebaczył — ale nie przebaczę
Zmowy z wrogami a zdrady ojczyzny.

WOJDYŁŁO.

Książę, zbyt często mylą nas pozory
Gdy namiętności prawdę nam zakryją.
Niech więc wasz umysł do posądzeń skory
Zechce rozważyć...

KIEJSTUT (porywczo).

Milcz ty zradna żmijo

Przez którą został dom książęcy splamion,
I tron, i łożę, i cześć rodu święta.
Tyż to śmiesz jeszcze skakać mi do ramion?
Kryj się z podłością, którą pierś twa wzdęta
I pchaj Jagiełłę aż do zbrodni ciemnej,
Ale się nie waż szczekać psie nikczemny!

MARYA, (przystępując do Kiejstuta).

Stryju, ty męża nie hańb mi przed światem,
Bo jak drapieżny ptak do oczu stanę.

Masz nas w swem ręku — możesz być nam katem,
Lecz nie znieważaj!

KIEJSTUT.

Twe serce pijane
Szaleństwem zmysłów, żądzą szpetną, niską,
Wstyd swój zawlekło na brudne śmiećisko,
I czystą miłość stargało rodzinną,
Aby pragnienia ugasić nieskromne.
Znoś więc dziś hańbę, której jesteś winną.

MARYA, (z pogrózką).

Stryju, te słowa kiedyś ci przypomnę!

KIEJSTUT.

Dość próżnych sporów. (zwracając się do Butryma)

Butrymie weź strażę!

(wskazując na Wojdyłę, Jagiełłę i Maryą).

Odprowadź więźniów, niech ich strzegą pilnie.

Pewnie niedługo Witold się ukaże

I wszyscy moi zbiorą się we Wilnie,

Więc gdy książęca przybędzie rodzina

Będziem cię sądzić Jagiełło... (ciszej) jak syna.

(Butrym wychodzi z zbrojnym orszakiem zabierając Wojdyłę,
Jagiełłę i Maryą i oddalając się przez drzwi w głębi).

SCENA IX.

KIEJSTUT i WAJDELOTA.

KIEJSTUT.

Smutny los starca, co już czas swój przeżył
I pokolenia które go wydały,
Gdy tracąc z oczu to co czczył, w co wierzył,
Wśród nowych ludzi stoi skamieniały,
I niepoznaje jaka myśl im świeci,
I nie rozumie nawet własnych dzieci.
Mój Wajdeloto, mnie się ściska serce
Patrzeć, jak dawny obyczaj i wiara,
Prawość i cnota, dziś są w poniewierce,
Jak się rozpada nasza Litwa stara,
I jak się nowe pokolenia kształcą,
Co wszystkie prawa bóstw i ludzi gwałcą.

Lepiej mi było pójść w nadziemskie bory
 Z duchami przodków na rycerskie łowy,
 A pozostawić świat ten sercem chory
 Nowym przywódcom i nauce nowej;
 Lecz z wolą bogów muszę trwać do końca
 Jako ostatni przeszłości obrońca.

WAJDELOTA.

Za to cię oni nagrodzą tą chwałą,
 Która udziałem ludzi rzadko bywa:
 Imię twe w Litwie będzie wiecznie brzmiało
 Wplecione w czynów szlachetnych ogniwa.
 Bo ty nie zginiesz tak jak zwykły człowiek,
 Choćbyś ofiarą padł smutnego losu,
 Ale otrząśniesz sen śmiertelny z powiek
 I w niebo wzlecisz z żałobnego stosu,
 Na rączym koniu, w złocistej odzieży,
 Z bawolim rogiem będziesz mknął przez knieje,
 I nawoływał do boju rycerzy,
 Budząc w zwątpionych mężstwo i nadzieję,
 I tak przez wieki, aż pod twoją wodzą
 W krwi i cierpieniu duchy się odrodzą.

(Przez wejście z prawej strony wchodzi Butrym z kilku zbrojnymi, prowadząc za sobą Kunona i Konrada).

SCENA X.

KIEJSTUT, WAJDELOTA, BUTRYM, KUNO, KONRAD
 i ZBROJNI.

BUTRYM (wchodząc).

Panie, w zamkowych zastałem komnatach
 Tych oto Niemców, dwa krzyżackie gady,
 Pewnie tu w Wilnie zostali na czatach,
 Prowadzą tajne z Jagiełłą układy;
 Więc gdy ich teraz dostałeś do ręki,
 Możesz z nich prawdę wydobyć przez męki.

KIEJSTUT.

Stój! stój Butrymie! Kiejstut się nie splami
 Podobnym czynem niegodnym rycerza;

W otwartem polu ściera się z wrogami,
Lecz na bezbronnych nigdy nie uderza.
Nie chcę nie wiedzieć co tutaj robili,
Dość mi, że zaszli pod litewską strzechę...

(zwracając się do Kunona i Konrada).

Rycerze! wolni jesteście tej chwili —
Gdy jednak chcecie zrobić mi uciechę,
To u mnie teraz zostańcie w gościnie.

KUNO.

Książę, szlachetność twoja w świecie słynie,
I jesteś kwiatem rycerskiego koła,
Choć chrzest pogaństwa nie obmył ci z czoła,
Więc by dać dowód jak cię zakon ceni,
Chętnie gościnność przyjmą zaproszeni
Kuno i Konrad.

KIEJSTUT (do Butryma).

Chodźmy druhu stary,
Zarządzić ucztę dla dostojnych mężów;
Możemy jeszcze potraćić w puhary
Zanim w żelazo potraćim orężów.

(Wychodzi przez główne wejście w głębi, za nim wychodzą Butrym, Wajdelota i zbrojni, na ich miejsce po małej chwili wsuwa się Halban i stoi przy drzwiach nie widziany).

SCENA XI.

KUNO, KONRAD i HALBAN.

KUNO.

Zawcześnie Kiejstut otrzymał przestrożę;
Nam nie na rękę jest Wilna zajęcie.
Halban pobłądził.

HALBAN (występując na środek).

Zgodzić się nie mogę

Na wyrok...

KUNO.

Halban!

HALBAN.

Wypełniłem święcie
Co mi kazano — a że Kiejstut prędko,

Nie moja wina. — Zdam z wszystkiego sprawę...
 Lecz poszukajmy miejsca do gawędki,
 Bo mury czasem bywają ciekawe.

KUNO.

Masz słuszość, chodźmy.

(Kuno, Konrad i Halban wychodzą przez drzwi na prawo, na ich miejsce powraca przez drzwi w głębi Kiejstut prowadząc Birutę, za nim wchodzi Aldona i Witold).

SCENA XII.

KIEJSTUT, BIRUTA, ALDONA, WITOLD przy końcu BUTRYM.

KIEJSTUT (we drzwiach)

W sam czas przybywacie

Po ukończonym turnieju na gody —
 Chcę się rozchmurzyć w wileńskiej komnacie,
 Przypomnieć czasy kiedyś to był młody,
 I do Biruty wówczas pełnej krasy
 Wdzięczył się świeżą zabrawszy znajomość.
 Siwa gołąbko pamiętasz te czasy
 Zaprawne miodem . . .

BIRUTA.

E wstydz się jegomość

Wspominać o tem przy dzieciach.

KIEJSTUT.

Cóż szkodzi?

Wszakże to prawdą, że byliśmy młodzi,
 I że ta młodość swój odblask różowy
 Na pochylone rzucała nam głowy;
 Wszakżeśmy byli miłością słoneczni,
 Pełni tej barwy co jest w świeżych kwiatach . . .
 I dziś się jeszcze człowiek rozserdeczni,
 Gdy wspomni sobie o minionych latach.

(zwracając się do Biruty)

Wszak dobrze z sobą było nam pieszczotko?

BIRUTA.

Trzpiotasz się stary!

KIEJSTUT.

Dobrze gdy my starzy
Możem odgrzebać jaką chwilę słodką;
Taki dzień drugi nie prędko się zdarzy.
(zwraca się do Witolda)
Lecz ty Witoldzie masz coś chmurną postać.

WITOLD.

Ojcze . . . Jagiełło . . .

KIEJSTUT.

Nie ma nic strasznego,
Że musi chwilę pod kluczem pozostać.
Ale ty więcej troszczysz się o niego
Niżeli o mnie. . . .

WITOLD.

On dziś pokrzywdzony.

KIEJSTUT.

Skrzywdzony? proszę. . . . Więc gdy on zdradziecko
Gotów nas nawet Niemcom wydać w szpony,
To niema krzywdy; lecz gdy krnąbrne dziecko
Ja z obowiązku po ojcowsku skarcę,
Własny syn na mnie. O biedni my starce!

WITOLD.

Ojcze jam nie chciał dotknąć cię — lecz uważ,
Czy za daleko gniewu nie posuwasz,
Jeśli na własnym chcesz go więzić dworze.
Jagiełło dużo zawinił, rzecz pewna;
Lecz upokorzeń nikt znosić nie może
Z pogodnem sercem jakby kawał drewna.
Obraza więcej niż skrzywdzenie działa
I budzi mściwość — czuję to po sobie;
Gdyby mnie taka przygoda spotkała,
Tobym sam potem nie wiedział co robię.

KIEJSTUT.

W was młodych dziwną teraz butę widno;
Nadzory starszych kłują was i ranią,
I z rąk ojcowskich karę przyjąć wstydno,
Ale wam nie wstyd zasługiwać na nią. (łagodniej)
Zresztą Witoldzie chociaż jestem krewki,
Nie jestem przecież ni zły, ni uparty;

Chciałem by poznał, że to nie przelewki
Ze mną, lecz całe więzienie — to żarty! . . .
Chcesz, bym go puścił zaraz?

WITOŁD.

Jak za bratem

Wstawiam się za nim.

KIEJSTUT (zwracając się do Biruty).

Cóż ty, stara matka?

Pewno z Witołdem trzymasz?

BIRUTA.

Jestem za tem,

By go uwolnić.

KIEJSTUT.

Sąd wam idzie gładko.

(zwracając się do Aldony — żartobliwie)

Chyba Aldona poprze to, co robię

I dalszą nawet surowość zaleci.

ALDONA.

W tym razie ojciec i ja przeciw tobie.

KIEJSTUT (z żartobliwem oburzeniem).

Więc wszyscy na mnie — i żona i dzieci!

Może i Maryę puścić mam z uwięzi,

Nawet Wojdyłłę?

ALDONA (składając ręce).

Zrób to ojciec złoty.

KIEJSTUT (poważnie).

Wojdyłło winien wisieć na gałęzi.

Lecz co mam robić z wami? Mnie kłopoty,

A wam szafunek łask przypada w dziale.

(wchodzi Butrym przez drzwi w głębi).

ALDONA (do Kiejstuta).

Tys najłaskawszy, choć nie przyznasz wcale.

KIEJSTUT (spostrzegając Butryma).

Jesteś Butrymie? — a więc więźniów sprowadź

I zapros także tu krzyżackich gości.

Będziemy wszyscy wesoło ucztować

W imię braterskiej zgody i miłości.

(Butrym odchodzi na prawo — Kiejstut zwracając się do
Witołda poważnie).

Witołdzie! jednak muszę mieć rękojmię.
 Jagiełło teraz wszedł na drogę mylną;
 Sądzę, że każdy łatwo krok mój pojmie,
 Jeśli zatrzymam dla pewności Wilno.
 (z prawej strony wchodzi: Kuno, Konrad, Halban).

SCENA XIII.

KIEJSTUT, BIRUTA WITOŁD, ALDONA, KUNO, KONRAD,
 HALBAN.

ALDONA (spostrzegając Konrada).

To on!

KIEJSTUT.

Co mówisz?

ALDONA.

Nic.

KIEJSTUT.

Takeś pobladła.

HALBAN (cicho do Konrada).

Pilnuj się teraz!

KIEJSTUT (wskazując Krzyżakom na swoich).

To moja rodzina.

Zacni rycerze. (Krzyżacy oddają pozdrowienie).

ALDONA (na stronie).

Ach nakształt widziadła!

Taki zmieniony.

KIEJSTUT (wskazując na Witołda).

Jednego mam syna,

Co mi pozostał. — A litośne bogi

W mojego domu wprowadziły progi

(wskazuje na Aldonę)

Córkę, co lepsza dla mnie niż rodzona,

Lecz nieszczęśliwa.

WITOŁD.

Bo to zdrajcy żona.

ALDONA.

Ojczy!

KIEJSTUT (surowo).

Witoldzie, twój język za ostry;

Nie powinienes ranić swojej siostry.

(zwraca się o Aldony)

Ty się zaś dziecko uspokój.

(przez drzwi w głębi wchodzi Butrym, Jagiełło, Marya, Wojdyłło
i kilku rycerzy).

SCENA XIV.

Ci sami. BUTRYN, JAGIEŁŁO, MARYA, WOJDYŁŁO, rycerze.
(W ciągu całej tej sceny Aldona ściga oczami Konrada).

KIEJSTUT (do Jagiełły z powagą).

Jagiełło!

Postępki twoje dotknęły mnie żywo,

I gniew mnie uniósł; — to już przeminęło.

Mam dłoń porywczą, jednakże nie mściwą.

Dużoś zawinił; lecz błądzisz jak młody,

Więc pierwszy rękę podaję do zgody.

(wyciąga rękę do Jagiełły, którą tenże bierze i całuje Kiejstuta
w ramię).

JAGIEŁŁO.

Stryju. . . .

KIEJSTUT (do Jagiełły).

Uściskaj Witolda; ten chłopiec

Za ciebie umiał nawet ojcu dopieć.

JAGIEŁŁO (ściskając się z Witoldem).

Drogi mój bracie!

KIEJSTUT.

O tej całej sprawie

Zapomnę, wszystkim przebacząc winy,

Lecz jeden tylko warunek postawię.

JAGIEŁŁO.

Zgoda na wszystko.

KIEJSTUT.

Tej całej krainy

Ja jestem stróżem i na mnie spoczywa

Obrona granic; więc gdy dziś ogniwa

Dawniejszej spójni obce wpływy kruszą,
To moje ręce więcej skupić muszą
Sił do obrony. W zakład zgody wiecznej
Zostaw mi Wilno.

JAGIEŁŁO (z niezadowolaniem).

Wilno?

KIEJSTUT.

Tę ofiarę

Ponieś dla starca, by się czuł bezpieczny.

(Jagiełło szepcze z Wojdyłą)

Cóż, czy się zgadzasz?

JAGIEŁŁO (po chwili wahania).

Wymierzyłeś karę,

Ponieść ją muszę.

KIEJSTUT.

A więc do świątyni

Chodźmy! tam niechaj Jagiełło ludowi

Wiadomem swoje zrzeczenie uczyni.

Cóż, dobrze?

JAGIEŁŁO.

Spełnię, co stryj postanowi.

KIEJSTUT.

Proszę was z sobą.

(Kiejstut idzie ku drzwiom w głębi; za nim powoli wychodzą inni.
Konrad chce wyjść za drugimi, lecz Aldona zbliża się do niego
i zatrzymuje — tymczasem wszyscy wychodzą prócz Konrada
i Aldony).

SCENA XV.

ALDONA i KONRAD.

ALDONA.

Rycerzu! stój chwilę.

KONRAD.

Co chcesz odemnie?

ALDONA.

Nie patrz tak surowo!

Bo pod tym wzrokiem ja się próżno siłę

Wydobyć z ust mych zalęknione słowo.

KONRAD.

Więc puść mnie!

ALDONA.

Puścić! nie! na wszystkie bogi!

Raczej ci padnę kamieniem pod nogi
I piersią własną postawię zaporę,
Byś zdeptał idąc serce moje chore.
Puścić cię teraz! gdy po długiej nocy,
Po tylu latach spędzonych w żałobie,
Po wszystkich bólach mej doli sierocej,
Znowu jak niegdyś widzę cię przy sobie.

KONRAD.

Ciemne to słowa. Twój umysł, jak mniemam,
Dotknięty jakąś boleścią tajemną.
Biedna! Dla ciebie ja pociechy nie mam.

ALDONA.

O nie mów tego! . . . nie kryj się przedemną!
Jam cię poznała; choć tak jesteś innym,
Że nikt cię w kraju nie pozna rodzinnym,
Że nawet patrząc się ojcowie starzy,
Niczego w twojej nie dopatrzą twarzy.
Lecz choć tak jesteś dla wszystkich zmieniony,
Przeczuło ciebie serce twojej żony.

KONRAD.

Jaki szal dziwny? Senne przywidzenia
Za rzeczywistość bierzesz.

ALDONA.

Czyś z kamienia?

Że nie chcesz serca pokazać na chwilę
Dla mnie, com męczarń przecierpiała tyle.
Ja ci nie wyjdę z najmniejszym wyrzutem,
Ja cię nie wydam nawet przed Kiejstutem
I na wieczysty ja się zgodzę przedział,
Byleś mi słowem miłości powiedział,
Że jesteś moim. . . .

KONRAD.

Mylisz się niebogo;

Ja tu na Litwie nie znałem nikogo,
Pierwszy raz jestem. . . .

ALDONA.

Ach! nie bądź tak twardy,
Gdy się zraniona do twych piersi tulę.
Czyliż ty dla mnie nie masz nic . . . prócz wzgardy?
Wszakżeś mnie kochał dawniej? . . . kochał czule. . .
A ja cię dotąd wielbię jakby bożka,
Choć moja dola tak smutna i gorzka.

(po chwili)

Możesz zapomniał ty o życiu swoim?
Może ci jakim zadany napojem
Zatruli pamięć przeszłości? . . . To pewnie!
Lecz pozwól! . . . ja ci to wszystko przypomnę
A wspomnieniami zmiękczyć i rozrzewnię.

(po małej pauzie z rozmarzeniem)

Czy przypominasz jezioro ogromne?
Nad niem sterczący stromej skały odłam?
Gdzie cię w noc cichą miesięczną zawiodłam.
Ty stojąc na tle błękitnego nieba
Mówiłeś wtedy o Litwie i wrogach,
O tych ofiarach, które ponieść trzeba,
O bohaterów niezwykłych drogach.
Mówiłeś dalej o wieczystej sławie
I o rozpacz — jakby o dwóch siostrach!
A ja choć ze czią słuchałam ciekawie,
Na serce padał mimowolny postrach;
A więc ci usta zamykałam drżącą
Pocałunkami jak wieczność długimi. . .
Senne pieszczoty . . . srebrny blask miesiąca . . .
Dziwne marzenia . . . szczęście nie z tej ziemi . . .
Sława i miłość i trwoga i żalność,
Wszystko to w jedną zmieszało się całość,
Której moc żadna z serca mi nie zatrze —
I wszystko widzę gdy na ciebie patrzę!
A ty pamiętasz?

KONRAD.

Nad tobą boleję;
Bo wnoszę z mowy wpół błędnej a smutnej,
Że cię mąż rzucił. . . zwykłe to koleje!

ALDONA.

Nie chcesz nic sobie przypomnieć okrutny?
 Chcesz we mnie wmówić, że z wielkiej boleści
 Straciłam zmysły, tak jak sądzą drudzy.
 Bo wiesz, gdyś zniknął, rozeszły się wieści,
 Żeś przyjął wiarę i obyczaj cudzy,
 Żeś został zdrajcą ojczyzny i domu.
 Jam jedna wierzyć nie chciała nikomu,
 Pewna, że w sobie wielkie myśli kryjesz.
 Potem mówiono, że ty już nie żyjesz;
 Jam również wierzyć nie chciała, i skrycie
 Czekałam zawsze na twoje przybycie.
 Więc za to ludzie mówią do tej pory,
 Że ja mam umysł zbłąkany i chory.
 Mniejsza o ludzi! lecz ty jeden w świecie
 Nie powinienes mówić to kobiecie,
 Co w tobie wiarę niezłomną pokłada,
 I nawet cierpieć jest dla ciebie rada.
 Miej litość nad nią i jako wędrowiec,
 Chociaż w przelocie tych słów parę powiedz:
 „Ja ciebie kocham Aldono!”

(pada przed Konradem na kolana).

KONRAD (w najwyższym wzruszeniu).

Aldono!

(we drzwiach ukazuje się Halban).

ALDONA

(zrywając się z ziemi i rzucając się w objęcia Konrada)
 Mężu!

SCENA XVI i ostatnia.

ALDONA, KONRAD, HALBAN później KIEJSTUT, WITOŁD,
 BIRUTA, BUTRYM, JAGIEŁŁO, MARYA, WOJDYŁŁO, WAJ-
 DELOTA, ALDONA, BILGEN i orszak rycerzy.

HALBAN (podbiegając do Konrada).

Co robisz? wszyscy we drzwiach stoją.

KONRAD

(sposstrzegając wchodzących i odpychając Aldonę).
Precz ztąd odemnie! weźcie tę szaloną!

(Aldona cofa się z przerażeniem i rozpaczą).

KIEJSTUT (do Konrada).

Rycerzu! córką nie pomiataj moją.
Cóż ona winna, że świat widząc błędnie
Wciąż cień zmarłego i widzi i słyszy?
Trzeba mieć litość nad kwiatem, co więdnie.

(do Aldony)

Chodź córko moja, ojciec cię uciszy!
(Aldona rzuca się w jego objęcia).

Zasłona spada.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

Scena przedstawia salę w zamku trockim skromnie i z prostotą urządzoną, a ozdobioną głównie trofeami myśliwskimi i porozwieszaną bronią. Drzwi w głębi wchodowe. Na prawo i na lewo drzwi boczne. Za podniesieniem zasłony Biruta i Aldona siedzą na dębowych stołkach. Biruta z wrzecionem w rękę

SCENA I.

BIRUTA, ALDONA.

BIRUTA.

Jak tylko nie ma dłuższy czas Kiejstuta,
To już się nie dasz niczem rozweselać —
Nie cię nie bawi: ani piosnki nuta,
Ani powieści, które gwarzy czeladź;
Nikt nie jest w stanie utulić pieszczocha;
A przecież ciebie i Biruta kocha
(grozi Aldonie)

Ty niewdzięcznico!

ALDONA (całując Birutę w rękę).

Wobec dobrej matki

Nieraz przewinię; lecz mnie niepokoją
Tych walk i wypraw nieznane wypadki.
Chciałabym za nim wybiedz duszą swoją.

BIRUTA.

Ha trudno; widzisz, takie losy nasze.
I ja, bywało dawniej, wciąż się straszę
I wypłakuję oczy precz za mężem,
Widząc go ciągle na Niemcach z orężem
A nigdy w domu. — Od chwili godowej
Ciągle zamieszki i walki i łowy.
Trzeba nareszcie przywyknąć kobiecie,
Że mąż nie dla niej. Daremnie wyrzekać,
Gdy niebezpieczeństw szuka wciąż po świecie.
Trzeba kryć troskę, modlić się i czekać.
(Kiejstut ukazuje się we drzwiach wchodowych).

SCENA II.

KIEJSTUT, BIRUTA, ALDONA w końcu KONRAD.

KIEJSTUT (wchodząc).

Witajcie!

ALDONA (rzucając się ku Kiejstutowi).

Ojciec! . . .

(Kiejstut wita uściskami Aldonę i Birutę).

BIRUTA.

Późno mój staruszk

Powracasz do nas. Już cię nie puścimy,
Lecz przykujemy w kacie na łańcuszku.
Musisz doczekać przynajmniej do zimy,
Aż na niedźwiedzia pójdziesz.

KIEJSTUT.

Chętnie dłużej

Zostałbym z wami. Człowiek już się nuży
W tych ciągłych sporach. Wiecznie bunt za buntem!
Trzeba się z całą ucierać rodziną:
Tutaj z Jagiełłą, a tam z Narymunt,em,
Albo z Skirgiełłą . . . i tak dni me płyną . . .

A zdrajny Niemiec siedzi nam na karku
I zawsze korzyść odnosi z poswarku.

BIRUTA.

Długość się bawił. Aldona już w smutku
Myślała, żeś tam poległ w Nowogródku.

KIEJSTUT.

Twardą mam skórę; wyszedłem bez sińca
I jeszcze dla was przywiozłem gościńca.
Teraz, jak sądzę, czas jakiś w spokoju
Przeżyję z wami — krnąbrnych poskromiwszy,
Nie będzie prędko pobudki do boju.
Może swą starość przepędzę szczęśliwszy,
Wolny od troski w domowej zagrodzie,
Przy mej Birucie, Aldonie i miodzie.

(w drzwiach wchodowych ukazuje się Konrad. Aldona spostrzegłszy go, stara się opanować wzruszenie).

KONRAD (wchodząc).

Książę! goniłem za tobą; więc wchodzę
Bez zapytania.

(ogląda się znacząco na Birutę i Aldonę dając znać, że chciałby sam na sam mówić).

KIEJSTUT (do Biruty i Aldony).

Odejdźcie!

(Biruta i Aldona odchodzą przez boczne drzwi na lewo).

SCENA III.

KIEJSTUT i KONRAD.

KIEJSTUT (mierząc wzrokiem Konrada).

Czem takim

Służyc wam mogę?

KONRAD.

Zawierz mej przestrodze,

Z którą za tobą chciałem lecieć ptakiem,
Lecz cię zbyt późno spotykam.

KIEJSTUT (pogardliwie).

Przestroge

Ty mi przynosisz?

KONRAD.

Pilnuj Wilna ściśle.

KIEJSTUT (j. w.).

Zkąd ta troskliwość?

KONRAD.

Więcej rzec nie mogę;

Lecz pomyśl, co masz uczynić.

KIEJSTUT (zimno).

Pomyślę.

(Konrad skłania się i wychodzi przez drzwi w głębi. Kiejstut patrzy za nim przenikliwym wzrokiem i pozostaje przez chwilę pogrążony w zadumaniu. Po małej chwili wpada z gorączkowym pośpiechem Butrym w uszkodzonej zbroi).

SCENA IV.

KIEJSTUT i BUTRYM.

BUTRYM (w wielkiem wzburzeniu).

Książę!

KIEJSTUT.

Butrymie! coś mi złego wróży
Twój niespodziany powrót i twarz twoja,
Na której widno ślad wewnętrznej burzy.

BUTRYM (rozpaczliwie).

Panie! źle świadczy ta pęknięta zbroja,
Przez którą można wstyd rycerza czytać.
Panie ty lepiej nie zechciej mnie pytać,
Ale odrazu zdejm głowę bułatem
I hańbę moję zasłoń krwią przed światem,
Boś ty mi Wilna powierzył obronę,
A ja mam mówić: że Wilno stracone!

(Kłęk przed Kiejstutem ukrywając twarz w dłonie. Kiejstut zostaje chwilę pod bolesnem wrażeniem).

KIEJSTUT (podnosząc Butryma łagodnie).

Wstań stary druhu! wypłacz się swobodnie
Na moich piersiach; płacz ulży żalowi.
Namiętna rozpacz niech we łzach ochłodnie;
Kiejstut jej nigdy wyrzutem nie wznowi,

Bo wie, że winy niema w wiernym słudze,
Choć Wilno w ręce dostało się cudze.

BUTRYM.

Panie! wolałbym, iżbyś w gniewnej woli
Obszedł się ze mną jak z stworzeniem podłem;
Bo twoja dobroć ta mnie więcej boli,
Kiedy nieszczęściem ufność twą zawiodłem;
I chociaż na mnie żadna z win nie ciąży,
To czuję w piersiach jakby kłębek węży,
Widząc jak wielką dziś ponosi stratę
Twe serce dumne, choć w litość bogate.

KIEJSTUT.

Cios to straszliwy, prawda, co rozprasza
Ufność, że będę dla tej ziemi tarczą;
Lecz chociaż gwiazda przyćmiła się nasza,
Będę się bronił póki siły starczą;
Com stracił zdradą, to odbiorę siłą,
Boś pewnie zdradzie uległ?

BUTRYM.

Tak! Wojdyłło

Mieszczan wileńskich chytremi radami
Skłonił do spisku — i ci w porze nocnej
Wrzeczadze miasta otworzyli sami
Hufcom Jagiełły. W walce bezowocnej
Szczupła garść naszych nie mogła dać rady
Wobec tak strasznej przemocy i zdrady.
Więc trzeba było ustąpić im pola
Przez tłumy mieczem otwierając drogę.
Wilno stracone!

KIEJSTUT.

Taka bogów wola!

Dobrze, żeś jeszcze ocalił załogę
Spełniwszy zanie powinność. . . .

BUTRYM.

O panie!

Więcej nie zrobić nie byliśmy w stanie;
Lecz choć na naszą wszystko poszło szkodę,
Ja, zwyciężony, jeszcze jeńców wiodę,
A między niemi dostał się nam w ręce

Zdrajca Wojdyłło — pojmany wśród bitwy,
I czeka w więzach na sądy książęce.
Wymierz nań karę!

KIEJSTUT (porywczo).

Więc ten zły duch Litwy,
Który knuł ciągle zamysły zbrodnicze,
Został i teraz na zradzieckim czynie
Schwytyany przez was?

BUTRYM.

Przed twoje oblicze
Przywiodę zdrajcę.

KIEJSTUT.

Trudno! — niechaj ginie!
I wraz z nim niechaj na zawsze przepada
Sprzedajna cheiwość i kłamstwo i zdrada!
Wprowadź go tutaj.

(Butrym wychodzi drzwiami w głębi).

SCENA V.

KIEJSTUT sam.

KIEJSTUT.

Trudno! trzeba kary,
Gdy z przebaczenia wstaje zbrodnia nowa
I truje serca ludu... Kiejstut stary
Myślał, że wolną od krwi dłoń zachowa,
A teraz musi...
(Butrym przez drzwi wchodowe wprowadza Wojdyłłę pod strażą,
dając znak zbrojnym, żeby za drzwiami czekali).

SCENA VI.

KIEJSTUT, BUTRYM, WOJDYŁŁO.

BUTRYM (wskazując na Wojdyłłę).

Oto jest ten zbrodzień.

KIEJSTUT (do Wojdyłły).

Wojdyłło, takeś łaski mojej użył?
Myślisz, że mogę przebaczać ci codzień?

WOJDYŁŁO (ponuro).

Ja nie nie myślę.

KIEJSTUT.

Wiesz, żeś znów zasłużył

Na śmierć, od której nie cię nie ocali.

Masz co na swoją obronę?

WOJDYŁŁO.

Obrona

Próżną jest rzeczą, gdyście mnie skazali

Bez sądu z góry.

KIEJSTUT.

Miara dopełniona

Twych przestępstw wzbrania mieć litość dla ciebie.

WOJDYŁŁO (hardo).

Ja też żyć nie chcę na łaskawym chlebie!

Ja żądam sądu — lecz mnie sądzić może

Tylko Jagiełło sam na swoim dworze.

BUTRYM (z gniewem).

Bezczelny! wiemy, że ten, co korzysta

Z twych niecných sprawek, karać ich nie będzie.

WOJDYŁŁO.

Gdy on nie skarze, sprawa moja czysta,

Bo on mym panem, co zawsze i wszędzie

Ma do mnie prawo. Jam był wiernym sługą,

Co dbał o dobro jego. Z łaski stryja

Stracił stolicę — jam nie czekał długo

I gród stracony znów odzyskał.

BUTRYM.

Żmija!

WOJDYŁŁO.

Co dla Jagiełły zyskiem, to wam stratą,

Więc na mnie zemstę chcecie wyrzucić za to.

KIEJSTUT (z powagą).

Mylisz się. Mściwość sercem mem nie władnie

I osobistą przebaczam obrazę;

Lecz muszę karać, jeżeli kto zradnie

Po naszej Litwie roznosi zarazę,

(unosząc się stopniowo).

Jeśli kto knuje bratobójcze spiski,
 Waśni rodzinę i Niemców sprowadza,
 Z wewnętrznych sporów ciągnąc sobie zyski,
 I kraj do zguby przywodzi i zdradza.

(Z uniesieniem).

Mnie nie o siebie, lecz o Litwę idzie,
 O dobro ludu, o ojczystą cnotę,
 Więc nie dam takiej krzawić się ohydzie,
 I myśl zbrodniczą w jej zarodku zgniotę.
 Umrzesz nie za to — żeś wciąż na mnie godził,
 Lecz, żeś był mistrzem w sztuce intryg ciemnej,
 Żeś psuł Jagiełłę, fałszem lud uwodził,
 Żeś był sprzedajny i zły i nikezemny!

WOJDYŁŁO.

Książę, ty zrodzon na ojcowskim tronie,
 Odziedziczyłeś imię przodków świetne,
 Żywot ci tkąły miękkie szczęścia dłonie,
 I wszystko piękne, dobre i szlachetne
 Wciąż otaczało ciebie od powicia;
 Cóż więc dziwnego?, że wyrosłeś dumnie,
 Nie znając nawet brudnych mętów życia,
 Ni tego jadu, który widzisz u mnie.
 Lecz ja, com dzieckiem zaznał dołę twardą,
 Tak niski rodem i tak szpetny ciałem,
 Com walczył z nędzą i ludzką pogardą,
 A nic dobrego w życiu nie poznałem,
 Jam musiał pełzać tą jedyną drogą,
 Na której wola wytrwała i zręczność
 Pomimo przeszkód wznieść człowieka mogą —
 A jeśli dziś mi wyrzucasz niewdzięczność
 I o rozliczne oskarżasz mnie winy —
 To w sobie także poszukaj przyczyny.

BUTRYM.

Coś rzekł, zuchwały? czyś utracił zmysły?

KIEJSTUT (hamując Butryma).

Pozwól, niech powie, co myśli, swobodnie.
 Choć nie rozumiem...

WOJDYŁŁO (podchwytyjąc i kończąc myśl).

Jaki związek ścisły

Łączy twą wielkość i me jak zwiesz zbrodnie;
To ci nie łatwo zrozumieć, o książę,
Boś nie pomyślał, że tu różnych ludzi,
I złych i dobrych jeden łańcuch wiąże,
I że myśl każda w drugich myśli budzi.
Ty byłeś pełen potęgi i chwały,
Wielki z swych czynów, zacności i rodu;
Co ci szkodziło, że ja nędzny, mały,
Chciałem się na wierzch wydobyć ze spodu?
Co ci szkodziło, żem za szczęściem swoim
Gonił i wszystko zdobywał przebojem?...
Mogłeś mnie kupić jednym słowem wtedy,
Gdybyś współczucie miał dla ludzkiej biedy;
Lecz tyś miał dla mnie tylko wzgardę krwawą,
(z większem uniesieniem)

Ty szczęściu memu stawiałeś na drodze —
Tyś mnie okrywał wstydem i niesławą —
I serce moje wciąż deptałeś srodze —
A więc się nie dziw, że w związku tajemnym
Duch mój się stawał przez ciebie nikczemnym.

(Wybuchając nienawiścią).

Jam znienawidzić musiał razem z tobą
Wszystko, co było szlachetnem i wzniosłem,
Wszystko, co serca blaskiem i ozdoba,
I nienawiścią jako gad wyrosłem...
A w każdej myśli, w każdym moim czynie,
Mścić się na tobie pragnąłem jedynie,
I dziś ta moich rąk podstępna praca
Przeciwko tobie wyrzuteń się zwraca!

(Kiejstut się zamyśla. Wajdelota wchodzi głośnie wejściem).

SCENA VII.

KIEJSTUT, BUTRYM, WOJDYŁŁO, WAJDELOTA.

WAJDELOTA.

Książę, przybywam bronić cię tym razem
Przed twą dobrocią, bo zbrodnie należy

Sprawiedliwości poskromić żelazem,
Gdy jej bezkarność daje pokarm świeży.

KIEJSTUT.

Sam tak sądziłem...

WAJDELOTA.

Lecz serce nie skore
Do surowości — wypełnić się zżyma
Powinność władcy. Przyszedłem więc w porę.

KIEJSTUT (w zamyśleniu).

Spojrzałem teraz nowemi oczyma
W otchłanie serca ludzkiego. Ten nędzarz
Wśród fałszów prawdę odsłonił mi nową.

WAJDELOTA.

Pomnij, że jeśli winnego oszczędzasz,
To miecz zawieszasz nad niewinnych głową;
A litość bywa właśnie bezlitosną,
Gdy z niej dla kraju zgubne skutki rosną.

KIEJSTUT.

To nie jest litość, która mnie wprowadza
W taką zadumę... Myślę, gdzie się wszczyna
A gdzie się kończy tajemnicza władza,
Którą ma naród karać swego syna,
I gdzie granica prawa, co oddziela
Wyrok sędziego, od ciosu mściciela.

(Po chwili wyrывая się z zamyślenia).

(Z energią). Lecz nie czas myśleć nad rzeczy istotą.
Butrymie, zabierz więźnia! Wajdeloto!
Zwołaj kapłanów i radę starszyzny;
Niech go osądzą wedle praw przykładnie
W imieniu mojem i całej ojczyzny —
A jaki wyrok na niego zapadnie,
Butrym bezzwłocznie wykonać go każe.

BUTRYM.

Będzie spełnionym.

WAJDELOTA.

Sąd natychmiast zbiorę. (Odechodzi).

WOJDYLŁO (do Kiejstuta).

Książę, śmierć moja...

BUTRYM (do zbrojnych).

Hola! prędzej strażę,

Oddalcie więźnia.

(Zbrojni wyprowadzają wraz z Butrymem Wojdyłę).

SCENA VIII.

KIEJSTUT (sam).

KIEJSTUT (w myślach powoli).

Tak na serca chore

Ludzie żadnego nie znaleźli leku,

Więc leczą śmiercią... choć poznać niezdolni,

Co było właśnie chorobą w człowieku.

(Stoi przez chwilę pogrążony w myślach).

(Drzwiami z lewej strony wpada Marya a za nią Aldona).

SCENA IX.

KIEJSTUT, MARYA, ALDONA,

MARYA.

Stryju!

KIEJSTUT.

Ty tutaj!

MARYA (porywczo).

Niech mi stryj uwolni

Mojego męża — niech chwili nie zwleka,

Bo taka wściekłość wzrasta w mojem łonie,

Że mogę wzrokiem zabijać zdaleka.

(Zatrzymuje się, a widząc, że Kiejstut nie odpowiada i nie zwraca na nią uwagi, z większą zawziętością głos podnosi).

Stryju, ty milczysz... milczysz, gdy ja bronię

Swojego męża...

KIEJSTUT (surowo).

Nazbyt śmiało do mnie

Przychodzisz z groźbą.

MARYA.

Czyż w podobnej chwili

Mogę z spokojem mówić i przytomnie?

Każ, by natychmiast Wojdyłłę puścili,
 Bo krzyczeć będę tak, że aż usłyszą
 Gromy, co w chmurach nad twą głową wiszą.
 Ja nie ustąpię bez niego — ja żona —
 Wydrę go gwałtem z rąk waszych...

KIEJSTUT (z gniewem).

Szalona!

ALDONA.

Ojcze Kiejstucie, na słowa co ranią
 Nie zważaj!... rozpacz przez jej usta krzyczy,
 Bądź litościwy!

KIEJSTUT (z wymówką).

Ty się wstawiasz za nią?

ALDONA.

Ojcze, w tem życiu tak pełnem goryczy,
 Nadziei szczęścia już się wyrzec muszę;
 Więc tylko odbłask lepszej innych doli
 Jaśniejszem światłem pada na mą duszę,
 Dając zapomnieć mi o tem, co boli.
 Ja, której wszystko odebrały losy,
 Mogę żyć tylko innych sere nadzieją,
 Cudzym boleściom wtórzę moje głosy,
 Cudzem weselem myśli mi jaśnieją;
 Więc gdybym mogła otrzeć łzę, co spływa,
 Lub zrozpaczonym prośbom czynić zadość,
 To z pod żałoby, która mnie pokrywa,
 Jeszcze jedyna wykwitłaby radość,
 A to jest radość ostatnia, co w darze
 Dla smutnych zawsze zostawiają nieba.

KIEJSTUT.

Nie wtedy, córko! gdy inaczej każe
 Powinność, którą wypełnić potrzeba. —
 Wojdyłło za swe czyny odpowiada
 Przed sądem ludu, a mnie się nie godzi
 Mięszać do jego wyroków.

MARYA (z rozpaczą).

O biada!

(Po chwili gwałtownie).

Lecz co mnie lud ten? co mnie sąd obchodzi?

Co mnie obchodzi teraz ziemia cała?
 Jam go jednego na ziemi kochała,
 I nie dbam o to, co powiedzą inni;
 Był dobrym dla mnie — czegoż trzeba więcej?
 Niech dadzą wyrok, co go uniewinni!
 Bo ja już prosić nie umiem goręcej,
 Stryju, czy słyszysz?

KIEJSTUT.

Myślisz? że tak można
 Swe zaślepienie narzucać krajowi.
 Myślisz? że cała sieć zdrady bezbożna,
 Co o nieszczęściach narodu stanowi,
 Niczem jest wobec miłosnej rozpaczy.

MARYA.

Stryju, nie umiem przemawiać inaczej.

KIEJSTUT.

Myślisz? że dość jest namiętności głosu,
 Aby powstrzymać wszystkie ludzkie prawa
 I winowajcę uchronić od ciosu,
 Co nad nim zawisł...

MARYA.

Mowa twoja krwawa!
 Jeśli winnego na ofiarę szukasz?
 Ja jestem winną — zatem weź mnie, ukarz!
 Lecz puść Wojdyłłę! — Ja byłam powodem
 Wszystkich win jego — jam siała niepokój,
 A więc mnie oskarż jawnie przed narodem,
 Odbierz mi życie, albo w więzy okuj,
 Lecz ocal jego!

KIEJSTUT.

Serc skryte głębiny
 Dla sądów ludzkich są już niedostępne —
 Musimy karać nie myśli, lecz czyny.
 Ty jeśliś żądze natchnęła występne,
 Jeśli w twej pysze, uporze i złości,
 Wszystkich zrad czarnych stałaś się podnieta,
 To własne serce skarże cię kobieto!
 Zgubą Wojdyłły...

MARYA (złamana mięknięc stopniowo).

Litości! litości!

Ma pycha — widzisz, teraz przełamana,
Jestem pokorną i miękką jak dziecko...
Stryju, przed tobą padam na kolana.

(Kłęk przed Kiejstutem).

Prawda — złą byłam — złą — mściwą — zdradziecką —
Lecz ty mnie możesz na zawsze poprawić
I zrobić dobrą, słodką i łagodną,
Jak nikt... Ja ciebie będę błogosławić,
Lecz wróć mi męża! — O nie patrz tak chłodno!
Ty mi nie wierzysz może? a ja biedna
Nie znajdę słowa, co mi ciebie zjedna.

(W najwyższej rozpacz błagalnie).

Stryju, wróć męża!

KIEJSTUT

Jak trudno uczucie

Z sprawiedliwości wyrokiem pogodzić,
Miałębym uledez?

ALDONA (błagalnie).

Ojcie mój Kiejstucie,

Ty miłosierdziem możesz ich odrodzić,
I wlać w nich tchnienie, które ich upiększy,
Więc się nie wahaj! Wszak to tryumf większy
Stworzyć człowieka — niżeli go zabić.
Przebacz im, przebacz.

KIEJSTUT.

I ty dziecko moje

Chcesz serce starca do reszty osłabić?

Ha! to porzucę koronę i zbroję,

A kądziel wezmę do swej drżącej ręki —

Bom na rycerza i władcę za miętki.

(Idzie ku drzwiom wchodowym i uchyla je wołając).

Jest tam kto?

(Wchodzi Giermek).

GIERMEK.

Słucham.

KIEJSTUT.

Odszukaj Butryma

I każ odemnie: niechaj nad Wojdyłłą
Przerwie sąd wszelki i wyrok powstrzyma...
Niech tu z nim przyjdzie...

(Giermek wychodzi).

MARYA.

Serce me odżyło.

ALDONA.

Dzięki ci, ojcze!

MARYA.

Dasz mu wolność, stryju?

KIEJSTUT.

Dam — a sam pójde o żebraczym kiju,
Bo mi wstyd ludziom w oczy spojrzeć będzie,
Którzy mnie mieli za pana i sędzie.

(Giermek powraca).

Cóż to, powracasz?

GIERMEK.

Napotkałem w drodze

Butryma, a on...

(Wchodzi Butrym. Kiejstut daje znak Giermkowi, by odszedł.
Giermek wychodzi).

SCENA X.

KIEJSTUT, MARYA, ALDONA, BUTRYM.

BUTRYM.

Księżę ja przychodzę...

MARYA (przerywając).

Gdzie jest Wojdyłło?

BUTRYM (na ucho Kiejstutowi).

Ostatnie rozkazy

Przyszły zapóźno — wyrok już spełniony.

MARYA (z przerażeniem).

Czemuż wy wszyscy stoicie jak głazy?

Czyliż litości nie macie dla żony?

(zwracając się do Butryma).

Czemu mąż z tobą nie wrócił? Milczycie?

BUTRYM (do Maryi).

Maż twój, o księżno, już zakończył życie.

MARYA (w najwyższej pasyi).

Ha! nędzne zdrajcy, ha! obmierzłe żmije,

Jam to odrazu wam z oczu odgadła.

Takie to łaski wasza dobroć kryje. (wskazuje na Kiejstutę).

Temu starcowi jam do nóg upadła

Jakby żebraczka prosząca jałmużny,

Korząc się przed nim — a on nakształt węża

Rzucił mi w oczy łaski pozór próżny,

Oddawszy pierwej katom w ręce męża.

ALDONA (biorąc Maryą za rękę).

Maryo posłuchaj!

MARYA (odpychając Aldonę całą siłą).

Precz odemnie zdala!

Precz z twą słodyczą, cichą a obłudną;

Wszystkim wam ręce krew ofiary kala

I mnie już więcej oszukiwać trudno. —

Ja już nie jestem czem byłam niedawno,

Nie jestem biedną, złamaną kobietą,

Lecz jestem mordem, jestem złością jawną,

Jestem zarazą — straszidłem — kometą.

I nic ludzkiego nie mam teraz w sobie

Odkąd jak wdowa stanęłam w żałobie,

I tylko rzeczy śnić będę okropne,

Jak upiór ciągle wracając na cmentarz,

Dopóki zemsty zupełnej nie dopnę (grozi)

Nad wami zdrajcy.

(Biegnie szybko ku drzwiom wchodowym, zatrzymuje przez chwilę i grożąc podniesionym głosem zwraca się do Kiejstuty).

Stryju popamiętasz!

(wypada gwałtownie ze sceny).

SCENA XI i ostatnia.

KIEJSTUT, ALDONA, BUTRYM.

KIEJSTUT (po chwili do Butryma).

Butrymie, zwołaj rycerstwo bezzwłocznie!

Potrzeba Wilno odebrać stracone

Zanim Jagiełło sam działać rozpocznie.

Trzeba zwyciężyć — lub złożyć koronę.

Zasłona spada.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

TRAGICY GRECCY.

Na cóż się przyda poezya? Na co się teatr przyda? Oto pytania które słyhać w dziewiętnastym wieku. Dzięki Bogu nie wszyscy o to się pytają, ale wielu tak myśli i tylko się zapytać o to nieśmie. Jeszcze teatr da się obronić łatwiej; można na nim uśmieć się albo zabawić widokiem scen miłych dlatego, że w nich Francuz jakiś dowodzi, że ci co tak grzeszą jak my wszyscy grzeszymy, i może gorzej od wielu z nas, są naprawdę szlachetni, a że podłymi i nieczestnymi są ludzie podobni do owych ideałów, któremi poeci niegdyś ludzkość poili. To jeszcze pół biedy, gdy można wmówić w siebie że jest się bohaterem, gdy się idzie oślep za głosem namiętności. Ale na cóż na świecie stworzono tragedya? Na cóż to poezya ta roztacza się na scenie wieczornemi godzinami, i męczy naszą uwagę wtedy gdyśmy radzi wypocząć zanim uśniemy?

Tak się pyta dziś niejeden. Jeśli ani razu choćby za młodu nie uczuł czaru, jeżeli nigdy nie był pod zaklęciem grozy i litości, jeśli mu dusza nigdy nie rozgorzała choćby na kilka godzin miłością ideału, nie odpowie mu nikt. Nam się czasem wbrew przeciwne nasunie pytanie: Na co ta troska o chleb, ta walka codzienna na targowisku próżności? Na co te drobne namiętności? te zabawy na których się nudzimy? te drobiazgi i marnostki, te wynalazki i ten postęp ekonomiczny co zbyt często tylko nędzę mnoży? Na co to

życie milionów, co zdają się nieznac nic innego prócz codziennej troski? Na co to mrowisko całe? W niem tylko marna przykrość piętrzy się na przykrości, a rozkosz i życie prawdziwe to tylko chwile uniesienia i miłości, chwile w których się dusza wzmaga widokiem ideału, w której się z ideałem zrasta, czy to w czynach, czy w poezyi. I wierzymy, że poezya się znajdzie wszędzie, gdzie spełniony obowiązek, gdzie miłość świta, i że dla niej chyba warto żyć, jeśli poezyą nazywamy piękno.

Ale gdy tak czynimy, używamy podobno niewłaściwego słowa; piękno jest w poezyi, i piękno ją tłumaczy i usprawiedliwia, ale poezya to tylko środek, którym się piękno tworzy. Poeta to twórca piękności w słowie. Gdy to powiemy, usprawiedliwiamy poezyą dla siebie. Objawicielka to święta tego co jest boskiem. Zgodzi się na to i poeta prawdziwy, i skromny poezyi miłośnik, zgodziłby się był na to stary Grek, i winien się zgodzić Polak dzisiejszy. A w tragedyi króluje ona namacalnie, potężnie, tragedia przeto służbą bożą.

Tak ją rozumiały na początku wszystkie ludy świata; i to dosłownie, i to tak, że tragedia stała się u ludów dawnych i u ludów pierwotnych częścią istotną nabożeństwa. Rzecz ta powinna być powszechnie znaną, tak jawne są fakta które ją stwierdzają a jednak nie wszyscy o tem wiedzą, a często nauka o tem zapomina i nie wypowiada tego nigdy tak stanowczo jak to powinna czynić chcąc zrozumieć rzeczywistą istotę tragedyi i teatru takiego, jakim być powinien. Najdawniejsza tragedia którą znamy, to egipskie objawienie światła czyli tak zwana przez Niemców księga umarłych, liturgia żałobna której bohaterem dusza zmarłego. Przechodzi przez tysiączne trwogi i tysiączne katusze, usprawiedliwia się przed trybunałem bóstwa, walczy z poczwarami piekielnymi, i nareszcie dochodzi do zbawienia. W tej pośmiertnej podróży przemawia często bohater przepięknie i wzniosłe — tak jak psalmista albo Job; i w głosach bogów i demonów często jaśnieje groza najwyższa. Gdy dziś czytamy owe wyznania, owe spowiedzi i modły, groźby i objawienia, czujemy jeszcze świętą trwogę, i modlitewną ciszę i na końcu radość zbawienia, i niedziw nam, że naród egip-

ski mógł przez długie wieki słuchać ze skrucą swego rytuału, gdy go odśpiewywali kapłani nad ciałem obwiniętem w pachnące powijacze mumii — tem bardziej, że naród ów wierzył w bogi owe i trwogi. Rzadko kiedy tragedia głęśniej i uroczyśniej zapłakała — ale tego co dziś dramatem nazwiemy, niema tu jeszcze w pełni, bo bohater cierpi, a nie działa.

Po Egipcyanach idą Żydzi. Co dzień powtarza świat chrześcijański cały, urywki z ich łzawych albo pijanych roskoszających tragedij, niewiedząc o tem. W świątyni Jerozolimskiej stawali choryści już za dni Salomona i luzowali się w pieśni. Każdy inną wyrażał skrucę, inną trwogę, inną miłość dla Boga. Nie działali, nie ruszali się jeszcze, i co więcej nie przedstawiali tego lub owego człowieka, nie byli nawet naprawdę aktorami. Wnet jednak stali się nimi. W wielkiej pieśni Salomona widzimy oblubienicę i orszak jej i oblubieńca króla. Są już aktorowie obok lirycznych uniesień i jest ruch jakiś. Podlata wysoko do góry pieśń miłosna, jaśnieją w niej ogniste żary i świecą przecudne obrazy. Jednak, niema często w tych uniesieniach ciągu, niemożna zrozumieć opowieści, niemożna wiedzieć dokąd ruch dąży. Odśpiewywano niegdyś pieśń nad pieśniami, tak jak rytuał egipski, muzyka rzucała na duszę swoje zakłęcie i nastrajała ją czule, i słuchacz przetrwał całą tę długą liryczną tragedią czując w sobie wzruszenia różne, choć ciekawość go naprzód nie wiodła, choć myśl nie była sytą. Dramatu nie było, ale były cudowne światy poezyi. I tak było jeszcze w owych płaczach Jeremiego, tak było może i w „Jobie.“ Rzecz tu już ujęta rozumem, w całość związana, ale poeta pieści się w nieskończoność jednym uczuciem i jedną myślą. Akcją opowiedział prolog, a potem idzie długi, ciągły liryczny dyalog, głęboka, wyniosła, wspaniała, tragiczna poezya, podobna do tej którą znajdziemy u Eschyla, a głębsza myślą, pokorniejsza uczuciem; ale ruchu niema, jest tylko płacz. Tylko największe zuchwalstwo hebrajskie przerywa te rozmowy, i każe myśleć, że gdyby nie niewola babilońska, byłaby tragedia powstała w doskonałości swej na parę wieków przed Sofoklesem. Bóg wprowadzony na scenę i szatan. Wezwanie przez Szatana rzucone Bogu na początku, i zja-

wienie się Boga na końcu, to już początki nie tragedyi tylko, ale tragedyi któraby była zarazem dramatem.

Nieznamy dobrze początku tragedyi indyjskiej i witamy ją już za Kalidazę i Dżurdżajewę w doskonałym rozwoju, i w dramatycznej pełni. Ale i wtedy wielki wpływ cudowności przestrzega nas że i tu pewno litania i rytuał były tragedyi początkiem; a kto wie czy precudne uniesienia Krysny w krótkim przechowanym nam poemacie Dżurdżajewy nie przypominają jeszcze owej pierwotnej litanii. Bóg Kriszna sam tu bohaterem i jako bóg miłosny unosi się miłością tylko, i czytając przypominamy sobie pieśń nad pieśniami, tylko że tu obrazowanie jaśniejsze, i ruchu więcej.

A nie opuszczając Arejczyków Wschodu możemy i dziś powitać urodziny tragedyi u Persów. Dzieje smutne Alego i synów jego Hassana i Hussejna, największych świętych perskiego narodu, bywają odgrywane w największe narodu tego święta. Lud garnie się na widowisko, aby się napłakać, i poeci dziś już wzięli rzecz w swoje ręce. Lud chce już w Ispahanie co roku widzieć co innego, i coraz to inną chwilę z życia *Imanów* i rodziny ich odtwarzają pisarze tragiczni. A że i to da się wreszcie wyczerpać, więc już i inne sceny i inne dzieje wyprowadzają przed widzów. Za nim się zacznie tragedia właściwa, odgrywają aktorowie prolog, w którym występują inne historyczne osoby ze świata Mahomedańskiego. Z razu, gdy prolog nastał, był nadzwyczaj krótki, i był tylko rozmową o tem co miało być treścią tragedyi, słowem był prologiem na prawdę i ekspozycją tylko. Ale podróżni mówią, że to się już dziś zupełnie zmieniło, że prolog jest i dłuższym i ważniejszym od samej sztuki, i mówią że już nie tylko w święta doroczne imanów bywa sztuka odgrywaną, i że tragedia stała się już dramatem i przybrała na pół świecki strój.

Wiedzą o tem wszyscy, że co się dzieje w Persyi, to się stało przed wiekami w chrześcijaństwie, i wiedzą wszyscy, że wydoskonalili się dramat nowożytny najpierwej w krajach nad Atlantykiem. Czy przestał być tragedją i służbą bożą? Nie zawsze i nie wszędzie i nie w ręku wielkich poetów. I gdy tę dajemy odpowiedź, nie myślimy tylko o szczerze religijnych tragediach Francyi i Hiszpanii, o Poliewckie,

Athalii, Esterze, nabożeństwie krzyża i uczcie Baltazara. I świeckie na wskrós sztuki były po swojemu służbą bożą, były wzniesieniem ideału. U Szekspira władza wszechmocnie sprawiedliwość poetyczna, Schiller sam mówił że tworzy „z nabożeństwa,“ a czemu ów Faust Göthego, jeśli nie wielkiem misteryum, i tajemnem nabożeństwem, panteistycznym z razu a przy końcu rzecz dziwna, jakoby katolickiem.

Mówią że w Polsce nie powstał dotąd dramat doskonały. Być może, ale wiem że tragedia powstała i że jest polską służbą bożą. Irydion, Lilla Weneda i Dziady, to napewne tragedye poświęcone Bogu i ojczyźnie, i tak musiało być w Polsce, gdzie kto o Bogu myśli, za ojczyznę się modli, i gdzie, jeśli nie dla wszystkich, to prawie dla wszystkich sprawa ojczysta, sprawą bożą. Może, pewnie nawet, aktor dzisiejszy tym tragedjom nierad, a woli francuskie sztuki, co nie służą ideałowi, ale Eschil stary byłby przyznał, że to poemata są i tragedye; nie wiem co by powiedział o francuskiej sztuce napisanej dla zabicia czasu, popisu komedyantów i pochwały występku.

Kto chce wiedzieć co jaki naród myśli, i jak czuje, niech się pyta o to jak się bawi? A że nieraz w dziejach bywało że zabawą narodu główną był teatr, więc teatr powie nam najwięcej ze wszystkich rzeczy o duszach minionych pokoleń. Farsa nam powie jak się ubogi lud bawił; komedia jak oświecony naród czas tracił, a używamy w raz komedia po francusku nazywając tak wszystko co tragedya nie jest. Komedia uczy bardzo wielu rzeczy, bo bywa zwierciadłem czasu i obyczaju; ale ciekawsze jeszcze są nauki tragedyi. Z komedyi dowiemy się jak wyglądał naród, z tragedyi jak czuł? Powie ona nam, co było jego ideałem? Co go wzruszało? Co mógł zrozumieć? Powie nam czy do ideału przystępował jeszcze z bojaźnią bożą, czy już krytykując i pragnąc zabawy? Powie, czy serce u niego przeważało czy rozum? czy sceptycyzm czy wiara?

Przystępując tedy do tragedyi greckiej, poznamy jakby trzy chwile w życiu duchownem narodu co nawspół z Hebrajczykami przygotował nasze życie; przeczytamy kartkę

dziejów ciekawszą od tych, co prawią o powstawaniu i upadku państw, bo karta ta nam opowie o rozwoju duszy ludzkości.

Nie będziemy się wdawać w techniczne rozbiory, i archeologiczne badania, nie będziemy skrzętnie odkopywać zaginionych sztuk, nie będziemy się rozwódzić nad zaletami i wadami poetów których nie możemy czytać i utworów które zaginęły, nie będziemy rozbierać form gramatycznych i nie będziemy prawić o tem jak wyglądały przedstawienia które rycheśmy nie widzieli. Wiemy na pewne, że posiadamy tragedye, te które świat współczesny ze wszystkich najwyżej cenił, i to nam wystarczy. Zapytamy je tylko o to, co nam powiedzą o duszy starożytnych Ateńczyków?

II.

U progu tragedyi stoi dla nas Eschil (Aischylos) choć Frynych i Pindar zbierali przed nim oklaski. Ale Frynych dla nas imieniem tylko, Pindar lirykiem. Eschila tedy najpierw wołamy na świadka, niech nam co powie o pokoleniu swoim.

I niech mi nikt nie zarzuci, że to świadek niedobry, że to wyjątek co nam tylko swoją wyjątkową duszę odsłonił. Pewnie niewielu innych było do niego podobnych w Atenach, ale to co pisał znalazło poklask i znalazło uznanie. Niechby kto dziś w Paryżu bez imienia nabytego i nie tłómacząc starego arcydzieła pisał tak jak pisał Eschil, niechby wyprowadził na scenę bohatera przykutego do opoki, aby przez tysiąc trzysta wierszy narzekał tylko, albo niechby publiczność chciał bawić sądem umarłej duszy, o którą się spierają szatan i archanioł Michał, a tak by wypadło na chrześcijańskie przetłómaczyć Eumenidy; albo wreszeie niech w całej prawie tragedyi opisuje tylko przez usta poety, jak wyglądali rycerze krzyża pod murami Jerozolimy! Być może, znawcy i krytycy pochwaliliby i wiersz i dykeją, ale sztuka przepadłaby i musiałaby przepaść. Chyba piękna muzyka stworzyłaby oratorium lubiane przez rzadkich znawców; chybaby jaskrawe dekoracye zrobiły widowisko na któreby się

tłumy garnęły — i to niedługo, bo mówiłyby, że to widowisko wreszcie i ciężkie i nudne.

Inaczej przyjęła Eschila publiczność ateńska, a więc i inną być musiała od dzisiejszej paryskiej, i Eschil musiał być z nią w zgodzie.

Poeta się nie podoba nigdy, gdy się różni od narodu który go otacza. Literatura może wspomni o uczonym egzotycznym wierszopisie, co z innego czasu i z innego narodu gościem niby zawitał między ludzi; krytyk powita prawdziwe natchnienie i prawdziwą sztukę w misternych odach Platona i w jaskrawych obrazach Lecomtea de Lisle, ale ogół w Niemczech i we Francyi ich nie czyta. A jeśli się zdaje, że poeta jakiś ulubiony ma samotną duszę, której naród nie rozumie, zdaje się to tylko, skoro ten poeta ulubiony. Bajron niby sam wśród ludzi, sam nawet wobec Boga, bo nie z Bogiem, któremu bluźni, choć wie, że to bluźnierstwo grzeszne — ale to pozór tylko i udanie. W melancholii i dumie towarzyszyło mu milion dusz, a on tylko przodował między niemi i wyrażał myśl milionów, co kłamały sobie, że są samotni i niezrozumiani i lepsi od Boga. I gorycz Słowackiego nie jego tylko była goryczą, bo nikt nie byłby słuchał niezrozumiałych płaczów.

Więc choć Eschil nam się wydaje szarym tytanem, miotającym się przeciw przeznaczeniu na niedostępnej skale, musiało być za dni jego wielu i bardzo wielu, co tak czuło jak on, to cześciło co on i ukochało jego ideał. Na grobowcu swoim mówi nam:

Syn Euforiona Eschil z Aten tu spoczywa
 Martwy pod tym pomnikiem, pośród pszennej Geli.
 A czy był dzielnym, niechaj Maratonu niwa
 Powie, i Medowie, co z nim walczyć nie śmieli.

Jak każdy inny Ateńczyk, chwalił się przedewszystkiem tem, że walczył pod Maratonem, i pewno myślał podobnie, choć wyraźniej i dzielniej niż każdy:

„Żołnierz pancerny i twardy, co wrogom się stawał przestraczem. Za owych dni Milcyadesa“. Gdy tedy przy-

stąpimy do jego tragedyi, przystąpimy jakoby do ducha dni owych chrobrych, którym dowodziło prawo, a śpiewał Pindar.

Na pewne nie wiemy, co pisał pierwaj a co potem, ale wszystko każe się domyślać, że z siedmiu tragedyj, które mamy, Danaidy — czyli właściwie Hiketydy i Siedmiu przed Tebami wyszły najpierw z pod Eschilowego pióra. Widny jeszcze w nich przechód z Pindara i z liryki do tragedyi późniejszej, dramatycznej i dojrzałej, jaka się najpierw u Greków zrodziła. Tragedye te dziś mało znane i mało czytane, bardzo dla nas obce i bardzo pierwotne, a że nie piszemy ani recenzyi, ani krytycznych rozbiórów, ani nawet poetyk *à posteriori*, więc dla nas wystarczy, gdy się przypatrzymy jednej. Starożytność stawiała wyżej Siedmiu pod Tebami i ich tylko kazała się uczyć w szkołach młodzieży. Charakterystyczniejsza to rzecz, bardziej Eschilowska, że tak powiem. Słychać w niej chrzęst zbroi z pod Maratonu i jej się tylko zapytamy o jej tajemnicę.

Tragedya to zapewne, ale nie dramat jeszcze, i gdy czytamy rzecz, przypomina się nam rytuał egipski i pieśń nad pieśniami. Widzowie nie żądali jeszcze gry, nie chcieli widzieć dziejów, dość im było gdy o nich słyszeli. A że znali dzieje owe wszysej prawie, więc nie chodziło im o to, by usłyszeli ciekawą tych dziejów opowieść, podaną przez któregoś z epickich dawnych poetów; chcieli słyszeć pieśni o dawnem oblężeniu i dawnem bratobójstwie, chcieli mieć rytuał trwogi wojennej.

Dwóch braci królowało w Tebach: Eteokles i Polinices. Eteokles wygnał brata swego a Polinices otrzymał pomoc siedmiu wodzów Peloponeskich, siedmiu rycerzy strasznych, i na wspólnie z nimi obległ brata w stolicy. Otóż poeta wywiódł przed widzów chór dziewięciu Tebańskich, Eteoklesa i posła co z murów przybywa i prawi o tem co widział. To Eteokles zagrzewa do wytrwałości i odwagi, to chór płacze, to poseł powraca z murów i opisuje wrogich rycerzy. Ten u tego stanął muru, u tamtego znów inny. To same olbrzymy zuchwałe i chępliwe i straszne, a pewno ideały ateńskiego męża. I włócznią ciskają i trzęsą kitami i straszne napisy, straszne znaki mają na tarczy. To wszystko byli

półbogowie co w drugim i trzeciem pokoleniu od Zewsa pochodzili; i im wszystkim płonęły po Helladzie ołtarze, i wszystkich imię ze czcią wymawiano. Więc i poeta nie śmie o nich zwyczajną mówić mową. Poseł gdy postać ich opisuje i groźby, dobiera słów niebywałych i zwrotów trudnych, niezrozumiałych prawie; tak nikt nie mówił o ludziach zwyczajnych. To ma być jakaś mowa przedwieczna, zamarła, z poza której wychylają się olbrzymie cienie bohaterów trzęsące włóczniami, połyskujące tarczami, wznoszące bogom straszliwe ofiary.

Z krzykiem staje

Hipomedonta postać i kształt jego wielki
 Wielkie ma narzędzie, koło wielkiej tarczy
 Co brzmi gdy w nią uderzy. Niesprosta jemu inny.
 I nie był to przyjaciel, mąż, robotnik spiżu
 Co kował dzieło owe co na tarczy stoi.
 Tam Tyfon zieleje przez swe usta ognionosze
 Powietrzem czarnem, głośnem, wietrzną siostrą ognia
 A węże tam się wiją szybko i splatają
 W około kolistego brzucha tego strachu.
 A sam donośnie wrzeszcze w Aresowem szale,
 I szuka za zabójstwem; pośród mordów płasza!

Tak straszne to, jak opowiadanie chłopca co nie wie jak ułożyć usta, by przerazić towarzyszy; nieludzkie, wyszukane, niezrozumiałe prawie. Poeta tak pewny, że półbogiem był Hipomedont, że nie umie słów dobrać, gdy o nim mówi. Czuć w tych słowach, że silnym był Eschil, ale czuć, że się wyteęza, że tchu mu nie staje, by rzecz opisać. I siedmiokrotnie prawi poseł o ludziach takich i opowiadanie to treścią tragedyi uchwytłą. Eteokles także z bogów rodu. On tedy nie przełęknie się olbrzymów owych i półbogów, a o bracie słyszeć nie chce. I on żelaznym mężem i ma pod ręką rycerza, którego każdemu rycerzowi przeciwstawi. W dyalogu tym słychać wśród szumu słów brzęk oreży, i straszne to nabożeństwo Aresowe. Tylko chór przejęty trwogą woła:

„Serce nie chce spać od trwogi!
 Łamιά ducha bliskie troski,

Cięży Tebom wyrok boski!
Tak to czasem gad złowrogi
Gniazdo ptasie swemi sploty
Tak obsaczy i otoczy
Że gołębiom zamrą loty;
Widzą tylko gadu oczy!

Ale wnet i chórowi z trwogi słów niestarczy; wykrzyknik idzie po wykrzykniku, zmieszane, niejasne, dzikie od trwogi. Słowa trudno zrozumieć, zdania trudno rozwiązać i w ład ułożyć, i tylko rytm muzykalny wierszy kutych miśternie podług Pindarowej modły i nam przypomina dawną muzykę chóru. Przez setki wierszy ciągnęły się wykrzykniki, psalmy przestachu i nie nużyły widza.

Dopiero pod sam koniec, jakby w księdze Job, rwie się litania i połyskuje jakby pierwsze iskry dramatu. Eteokles słyszy, że i Polinices stanął pod jedną bramą, wybucham namiętnością nienawiści i bieży walczyć z bratem. Teraz siostry jego Antigona i Ismena wychodzą na scenę rytmiczne wykrzykniki mieszając z wykrzyknikami chóru; poseł wraca i opowiada o tem, jak obaj bracia walcząc z sobą zginęli — a wnet keryks czyli woźny głosi ludowi i miastu, że ktoby Polinika wroga chciał grzebać, ulegnie karze śmierci. Mimo to Antigona idzie spełnić przy bracie ostatni obowiązek.

Tu zarysowuje się niby dramat po długiej, groźnej litanii, ale zarysowany tylko lekko i niewyraźnie prawie. Litania owa bojowa treścią i istotą tragedyi. Dzika ta pieśń narodu wojowników twardego, którego ideałem serce bez litości, i siła fizyczna chełpliwa, i wzgarda śmierci, i moc niezlomnej nienawiści. Kto słuchał tej pieśni, ten czuł bitwy wspomnienie, ten pamiętał szaleństwo zwycięztwa. Widzieli Ateńczycy w duchu, słów tych słuchając, boje owe, co były treścią ich życia, jakby we mgle, ogromne. Rozum się cieszył, gdy poznawał niewiast trwogę i mężów hart znajomy — radowało się serce grozą. Tam jakby w chmurach przeszłości, były się gdzieś dziko olbrzymy i obcowały z duszą mężów, co niegdyś zwyciężali pod Maratonem. Litości im nie

trzeba było jeszcze, zabawy nie trzeba było, pokory nie znali. Oneby były tu grzechem, gdzie enotą był bój. Ze skupionym duchem słuchał Ateńczyk pieśni wojennej i zdawało mu się, że słyszy o boskim ideale wojny. Nie o tych mu chodziło ludzi i nie o tamtych; chodziło mu o śmiertelny tan, o boski obraz powołania mężów.

Szorstki to jeszcze lud czcił Eschila i zwał go poetą wielkim, nie ów naród grecki, co wydał z siebie barwny kwiat wszelkiej sztuki, lecz lud wojowników, co i w rzeźbiarstwie kuł kończaste grupy Eginetów i nieforemne prawie, zaledwo nakreślone płaskorzeźby świątyni olimpijskiej Zewsa. Dorycki wpływ wtedy królował w Helladzie i ludzie twardsi byli niż za Homera i nabożniejsi. Nie śmieli się nadto zbliżyć do bogów, nie śmieli o nich mówić wyraźnie i zda się noc chmurną ukochali, by się kiedyś nie ustrząsnąć grobu, w którym nie widać światła dziennego. Ideałem ich była obrona ojczyzny i ojczystego prawa; bohaterami ich byli ci, co niegdyś najlepiej ideałowi temu służyli, a i sami wielbili ideał ten z całego serca i całą siłą niezachwianej dotąd wiary. Nic się w ich piersi nie dwoiło; każdy z nich cały żołnierzem był tylko i obywatelem.

I niedziw tedy, że naród ten zdołał się oprzeć połowie świata, gdy połowę tę nań spędzono biczem tylko i postrachem przed despota. Nie potrzebujemy powtarzać owych dziejów, co wiecznym ideałem wszystkich wojen sprawiedliwych i wszystkich walk o wolność. Ludzkość ich się nigdy nie naczyta do syta, ale ma gdzie o nich czytać i u Herodota, i u Diodora, i u Plutarcha, i tu u Eschila. A choć Herodota opowiadanie najpełniejsze, najpiękniejszą, najżywszą opowieść Eschila, której przyklasnęło trzydzieści tysięcy Ateńczyków, co słyszeli, jak aktor prawił o własnych ich czynach.

Co było ideałem tylko, to się w oczach żyjącego pokolenia spełniło. O czem śmiano dotąd tylko śpiewać niewyraźnemi, umyślnie niejasnemi zwrotkami, to zrobiono samemu. Ludzie zrównali się z bogami i pychę pana świata powaliła karność i wolność garstki. Była tam zrazu chwila ludzkiego przestרחu, gdy Xerxes, do Zewsa podobny, wszystkie narody gnał przez most na Helesponcie przez morze,

i gdy strwożeni widzowie pytali: „Dlaczego to wszystkie narody pędzisz na Hellenów, panie niebios, gdy i bez ludów tych mógłbyś ich wniwecz obrócić jednym wszechmocnem słowem, jedną myślą tylko?“ Chciały strwożone ludy Hellady poddać się na łaskę albo niełaskę pana, albo uchodzić gdzieś za morze do Sardynii, kędy ludzie konają śmiejąc się, albo do zachodniej srebra ojczyzny — Hiszpanii. Ale choć i wyrocznia w Delfach zwątpiła, rychło minęła ta trwoga: jeden mąż Temistokles dodał Hellenom odwagi — i stały się cuda.

Gdy dziś o tej wojnie w Herodocie czytamy, wiemy, że nie szalonym był Temistokles, gdy się chciał bronić, i że nie było tam cudu; jedno, że oszalał Xerxes, król królów, gdy pędził miliony niebitnego ludu na śmierć głodową, gdy tysiące statków wciskał w morskie cieśniny, gdzie się same podusić musiały, gdzie nie mogły się ruszyć bez zguby i gdy myślał, że helleńskie narody poskromi samym trzaskiem biczów.

Ale boskiem musiało się wydać dzieło owe ludom, co nań patrzyły i godnem tragedyi. I nikt się nie zdziwił, gdy w Dionizye, wśród gruzów miasta, nie jakieś przedwieczne bogi opiewał Eschil, jedno własne czyny Hellenów i Temistoklesa.

Później, gdy się już dramat rozwinał, za dni Sofoklesa albo Eurypidesa, byliby Ateńczycy oglądali swoje czyny na scenie. Byliby słyszeli jako Temistokles spartyacie Euribadesowi i innym dowódcom statków dowodził, że nie trzeba uciekać, że walczyć trzeba; byliby słyszeli namiętną wodzów rozmowę i widzieli upór wzrastający i namiętność daremną Temistoklesa. Narada byłaby się rozeszła na scenie z uchwałą zgubną dla ludu i Hellady i wolności, że trzeba uchodzić z Salamińskiej cieśniny. Potem poeta byłby wyprowadził na scenę niewolnika, którego Temistokles wysyła do Xerxesa z wieścią o zapadłej uchwale, chcąc, aby sam Xerxes na własną zgubę ucieczce Hellenów przeszkodził, a wnet wygnaniec attycki Aristides, mąż sprawiedliwy, byłby przybył zwiastować zdziwionym wodzom, że już im Persowie odwrót odcieśli. Wtedy byłaby się może zmieniła scena i bylibyśmy widzieli tron Xerxesowy i bylibyśmy słyszeli, jak się król

królów chwali potęgą swoją Demaratowi, spartańskiemu prezydentowi i Artemizyi z Halikarnassu. Bylibyśmy słyszeli daremne przestrogi spartyaty i królowej poddanki, i tu dopiero byłby poseł opowiedział przebieg klęski i lud z widzów byłby się cieszył trwogą Xerxesa i jego ucieczką.

Byłby to dramat, a wówczas jeszcze nie napisał dramatu Eschil. Było to zawcześnie. My mamy tragedję tylko.

Rzecz sama układem swoim podobna do Siedmiu przed Tebami, dzieje się w Persepolis. Chór starców najpierw występuje na scenę i opowiada jako Xerxes całą Azyą pogonił i mosty na morzu stawiał. Wylicza mnóstwo imion wódzów i narodów, a imiona te obce i wielozgłoskowe wywoływały przed oczy widzów obraz mglisty niezliczonych, nieznanych ludów. Dalej mówi:

I od złotego Babilonu droga
Pełna narodów, nieznanych, przeróżnych;
Pełne odwagi ciągną ztamtąd roje,
I ztamtąd statki przewożą podróżnych,
Co płyną podbić ojczyzny nieswoje.
Cały lud zbrojny Azji idzie razem
Za wolą króla. Poselstwy groźnemi
Lud ten zwołany. Kwiat to perskiej ziemi.
Łąd sam się ruszył za króla rozkazem,
A Azya tęskni. Matki i żony
Czekają długo na powrót spragniony.

A potem powłoczystym czternastozgłoskowym wierszem wyraża złe przeczucie. Wnet Atossa, matka Xerxesowa, wychodzi do chórów z pałaców swoich pytać się o to, kędy te Ateny i jaka ich siła, a chór odpowiadając opisuje minione już dzieje Maratonu. Wtem poseł nadchodzi i opowiada o klęsce pod Salaminą. Strwożona matka najpierw pyta się o los syna, a gdy się dowiaduje, że żyw i zdrów, woła w uniesieniu radości zapominając o klęsce:

Tem słowem w domu moim światło krzesisz wielkie,
I noc zimową, czarną, w biały dzień przemieniasz!

Ale potem obszernie, precudnie opisuje posel bitwe. i to opowiadanie sercem i żywotnem tętnem tragedyi. Oto ustęp zeń wyrwany:

Nareszcie dzień wygonił swoje białe żrebce,
I cały świat zajaśniał i stał się wyraźnym.
Od Greków tedy strony usłyszano śpiewy
I głośnie i spokojne. Przeciw nim zagrzmiało,
To samo pienie nucąc, echo od wysp stromych.
A wtedy nasze wojsko całe wziął strach wielki
Dla rzeczy niespodzianój; bo nie jak w ucieczce.
Zapiali wtedy Grecy święty śpiew wojenny.
Śpiewali jak ci, co w bój płyną z dobrą myślą;
I wszystko tam zabrzmiało od surm i wołania!
Tłum mnogi wiosel wraz bił o zwierciadło morza
I piana zaszumiała na mąconej fali.
— Po krótkiej chwili było widać wszystkie statki.
Z przodu przewodziło z ładem prawe skrzydło,
I pięknie szło do bitwy. Za niem cały zastęp
Szedł żwawo, i wraz można było głos usłyszeć
Co szedł po morzu: „Idźcież naprzód dzieci Greków!
„Ojczyznę oswobodźcie! Oswobodźcie dzieci
„I żony wasze, bogów waszych stare chramy,
„I przodków groby! Teraz bój o wszystko wstanie!“

Przepraszamy za tak długi ustęp tłómaczenia i czytelników i przedewszystkiem Eschila. Ale może i z poza tej maski wyjdzie choć część owej jasności, co płonie w każdym wierszu w tekście. Nie lękał się już mówić poprostu jak mu natchnienie kazało; nie potrzebował już naśrubowaną mową robić z perskiego posła towarzysza półbogów; nie chciał już trwogi w chórach wyrażać okrzykami krótkimi zmięszanemi, i mowa jemu płynęła i złotem i miodem.

I Atossa przestała być boginią, co nie miała ludzkiego serca. Nie z kamienia jest posągiem, lecz matką i królową, i widzowie nie szli korzyć ducha przed szumem na pół zrozumiałych słów, lecz chcieli się cieszyć najpiękniejszym w dziejach zwycięstwem i trwogą wrogów, panów Azji.

Stopniował uciechę widzów Eschil; coraz wyżej nastrajał pieśń zwycięstwa. Chór chcąc znaleźć radę, inkantacją z grobu wywołuje cień Dariusza, i lud widzi dziwo — zmar-twychwstałego nieboszczyka, i powstaje już efekt sceniczny, pierwszy może od początku świata. Ale i duch tylko o kłeskach dalszych Persów prawi. Przepowiada Plateę i zapada się nazad w cienie grobu. A teraz наконец przybywa strwożony Xerxes i zaczynają się płacze — ale z wykrzykników samych złożone, niezrozumiałe, przerywane, chaotyczne jak w dawniejszych utworach Eschila.

O prawdziwej wadze dziejowej zdarzeń i wypadków nie polityczne stanowią skutki, ale zmiany duchowne, które z nich wynikają. Nieraz największe, najgłośniejsze wstrząśnienia zostawiają niezmienioną prawie mapę świata i nie obalają ani jednego tronu, a jednak nadadzą nowy kierunek dziejom. Za naszych czasów minęło wielkie wstrząśnienie 1848 roku prawie bez skutku widomego, a jednak wstrząśnienie owo dzieli stulecie na dwie różne zupełnie połowy. Podobnie i reformacya, i krucjaty, i spór o inwestyturę mało w czem zmieniły bezpośrednio porządek świata, i państwo rzymskie ani granic ani formy rządu nie zmieniło po zapasach chrześcijaństwa z pogaństwem za dni Dyoklecjana i Konstantego; a jednak któż zaprzeczy, że zdarzenia te nakreśliły nowe koleje dziejom? Podobną do nich jest i owa „wielka wojna“ między Xerxesem a Grekami. Napozór nie się prawie po niej nie zmieniło i granice państwa perskiego się nie cofnęły; a jednak narodził się w Atenach duch nowy, niebywały dotąd w dziejach, śmielszy, bardziej badawczy i świadomie twórczy. Dzięki Salaminie stała się Grecya matką oświaty wieków. Wszystkiemu w oczy śmiała zajrzeć, śmiała czynić rzeczy świadomie nowe i odróżniła się pierwsza wśród ludów od masy wielkiej drzemających extatycznie narodów Wschodu. Ład dorycki skuł był Helladę w świątynię wspaniałą ale nieruchomą. Być może, że byłaby świątynia owa przetrwała wieków kilkanaście, kilkadziesiąt nawet, bez dziejów i zmiany, podobna do starożytnego Egiptu, ale Hellada nie byłaby świata pchnęła naprzód. Wskutek Salaminy i Platei żyła krótko, ale miała dzieje naprawdę i uczyniła początek dziejom ludzkości; wskutek wielkiej wojny

obudził się duch, co nie dał sztuce, nauce, prawu i poezyi Greków zamienić się w hieratyczne martwe głazy, i co kazał im żyć. Głazy trwają wprawdzie dłużej, lecz nie rodzą dzieci, a Hellada zmarła wcześniej, lecz mnogie zostawiła po sobie nasienie. Śpiesznie odtąd dążyła do rozkwitu; prawda że po rozkwicie miała śmierć nastąpić, ale czy przeto lepiej było, aby nie kwitła?

Najpierw zaczęto zmieniać prawa, choć Solon był je ustanowił na wieczne trwanie, a z porządku przyszła kolej zmiany i na święty areopag, ustanowiony przed wiekami przez bogów. Areopag składał się z dożywotnich członków, a mianowicie z tych mężów, którzy choć raz w życiu byli archontami, sędził sprawy o mężobójstwo, miał prawo zawieszając bezprawne uchwały ludu i strofować za złe obyczaje. Hieratyczna to była jeszcze władza, na pół kapłańska, z przeznaczeniem przestrzegania, by żadnej zmiany nie było w Attyce nigdy. Mimo niej jednak zmieniał się wszystko i musiało się zmieniać; siła areopagu nie starczyła, by powstrzymać wzrost i życie, i stało się, że gdy dotąd archontami bywali mężowie wybrani z pośrodku bogatych, odtąd wylosowywano tych urzędników z pośród całego ludu. Nie mógł przeto przestrzegać areopag, aby ład nie został zachwianym; nie umiał rozróżnić kogo strofować trzeba, bo ci, co wypadkowi zawdzięczali swój urząd, zbyt często nie mieli dość rozumu, a nie chciał zawsze sprawiedliwym być, bo hołdował namiętnościom ubogich, z pośrodku których wyszedł. Młodziejsi tedy i światlejsi, arystokraci, jak ich w Grecyi nazywano, postanowili kres położyć złemu urzędowaniu areopagu i odebrać wylosowanym mężom prawo zawieszania uchwał narodu i roztrząsania praw, i ustanowić w tym celu nowe ciało nomofylaków wybranych. Na czele tego ruchu stanął Efor, i po jego stronie był Eschil. Sprzeciwiali się reformie demokraci i głośno narzekali na bezbożny zamach na areopag ustanowiony przez bogów. Na ten zarzut mieli arystokraci odpowiedź gotową; oto mówili, że przez bogów został ustanowiony areopag jako sąd, a nie jako ciało polityczne, i Eschil odpowiedź tę wygłosił najwyraźniej w Orestei.

Orestea, o której wielu sędziów mówi, że jest najwspanialszą tragedją, jaką kiedykolwiek napisano, jest właściwie

trylogią, to jest składa się z trzech odrębnych tragedyj stanowiących jedną całość. I poeta, który śmiał stanąć po stronie tych, co się targnęli na prawa dawne Aten, śmiał także pierwszy z ludzi pisać dramata naprawdę, a nie tylko liturgie, nie tylko rytuały. A trzeba było na to niemało odwagi, trzeba było na to zbliżyć się do bogów nieśmiertelnych i bohaterów pół boskich, jak tego nikt nie uczynił od czasów pradawnego ślepego Homera, co sam jeszcze do połowy był bogiem. Trzeba było ich pokazać oczom widzów nie w enocie tylko i mądrości, ale w występku i błędzie, w nieszczęściu i w trwodze nawet; trzeba było wreszcie zajrzeć do ich serca, do ich duszy, a nie można to było uczynić inaczej, jak tylko przypuszczając, że mieli dusze do ludzkich podobne, tak jak i podobne czyny. I Eschil to zrobił, i stworzył jakby epopeję, co się działo przed oczami widzów i dał tem samem dowód niezwykłego zuchwalstwa i potężnego geniuszu.

Przyznajmy ludowi ateńskiemu przynależną jemu część zasługi; stwierdźmy, że gdyby lud ów nieśmiał na dramat patrzeć i nieśmiał bohaterów sądzić, i Eschil nie byłby dokazał tego, co uczynił. Ale i tak stworzenie nowej formy sztuki niecodziennem i niezwykajnem dziełem, a to tem bardziej wtedy, gdy tą formą doskonała już prawie tragedia. A Eschil jej twórcą i ojcem, bo dawniejsze tragedye nie były jeszcze niczem innem, jak tylko liturgiami i zawilszemi poematami lirycznymi; a jeśli późniejsi jeszcze misterniejsze ciosali posagi, z rąk Eschila wyszedł już posąg — przecie. Stary już poeta wszystkiemu zajrzał w oczy, i poznał istotę zadania swego. Wiedział już, że dramat tem podobny do epopei, że okazuje cały tok wypadków, i że powinien zająć losem bohatera, że powinien rozeikawić widza; a zrozumiał, że znów w tem dramat od epopei różny, że wszystko musi być opowiedziane w krótkim czasie, że tylko główne postacie i główne czyny winny występować, że epizody i opisy przyrody nie znajdują w nim miejsca dla siebie, i że wreszcie ludzi poznawać trzeba po czynach i słowach ich własnych, że wszystko jakby w posagu trzeba wykuć, że nic nie można króciej ominąć, ani niewyraźnie określić. Pojął wreszcie, że

nietylko ucho ale i oko trzeba zająć, że nie ze słuchaczami tylko ma się do czynienia, ale i z widzami.

Otwiera trylogią Agamemnon, a w pierwszej scenie Agamemnona widzimy stroskanego stróża, co przez dziesięć lat czuwa po nocach bacząc, czy ognie na wyspach nie zwiastują powrotu bohaterów z pod Troi. Potem i chór starców opowiada w bardzo długiej pieśni, jakoto Parys porwał Helenę i jak wiatru nie było na morzu, gdy Atrydzi dla domowego sporu całą Helladę, grzesząc pychą, w bój wiedli. Aby wiatr u bogów uprosić, ofiarował wreszcie Agamemnon własną córkę, wyrывая ją z rąk matki, i tak zbrodnie spełnił i zabójstwa, chcąc ukarać zgwałcenie gościnnego domu i sromotne złamanie wiary małżeńskiej. Teraz śnać dość krwi płynęło pod Troją i dobra jakaś wieść przyszła, bo :

Płomień okraślił już wszystkie ołtarze
 Bogów niebieskich, i płoną cmentarze
 Bogów piekielnych; bogowie, co w górach
 Wysokich siedli, przyjmą obiaty.
 I wszędzie łuna górna łonie w chmurach;
 Kadzidła wonne, królewskie komnaty
 Rzuciły, aby okraścić ofiary.

Aż dotąd zawsze to jeszcze pieśń tylko i rytuał ale odtąd już wszystko widać było. Najpierw Klitemnestra sama głosiła, że znaki umówione zwiastują jej powrót zwycięski męża, a potem Keryks Taltybiesz potwierdza znaków świadectwo. Dom gościnny pomszczony i Troja padła. Słychać w mowie Klitemnestry jakąś tajemnicę, i starą nienawiść i ukrytą zemstę za zgon córki, i o tajemnicy szepcą coś ludzie, a jednak Klitemnestra każe się miastu radować i kobierce ściele pod stopy powracającemu Agamemnonowi.

Bohater zwycięski powraca. Ale jakimże kosztem uczynił sprawiedliwość! Niedosć, że córka jego zginęła na krwawym ołtarzu, niedosć było bitew tyłu, niedosć krwawej rzezi w Troi, ale jeszcze dla pomsty Atrydów zatoneło morskie wojsko powracając z Troi. Ze zwycięstwem nie niesie do Hellady radości Agamemnon, jedno żalobę samą. I czyż przy-

najmniej czystym i bez zakały jak być winien ten, co śmiał tak krwawą spełnić pomstę? Prawda, że kobierców pod stopami nie chce; prawda, że nie chce, by mu się po-chlebiająca żona, jak bogu kłaniała, ale Klitemnestra patrzy gniewnie na brankę, co siadła u stóp Agamemnona na ry-dwanie. Ona świadczy, że i przez surowego sędziego zła-mana małżeńska wiara.

Oby tylko tyle było winy, oby tyle tylko było zbrodni na sumieniu tego, co śmiał być takim sprawiedliwym, że dla sądu i córkę zabił i tysiące ludzi! Ale w tej brance pogwał-cone bogi. Gdy Agamemnon odszedł do biesiady, kazała jej Klitemnestra iść między sługi, i ona milczała nie rozumie-jąc; lecz skoro sama z chórem została, rozwiązał się jej język; usłyszeli widzowie, że to Kasandra córka Priamowa, kapłanka Apolina i wieszczbiarka, i że Agamemnon, zabójca rodziców, śmiał porwać sierotę i nie lękał się boga, co był jej opiekunem. Śmierć sobie wziął, biorąc boga oblubienicę. Już, już spełni się zbrodnia, już Klitemnestra zabije ofiarę za córkę i Troję i Greków. Prorokuje Kasandra i nie rozu-mieją jej — jako zawsze jej nie rozumiano. Męczy się, chcąc znaleźć słowa zrozumiałe i nie może, aż wieszczba spełniona tłómaczy jęj mowę. Słychać za sceną krzyk Agamemnona, którego Klitemnestra z Kasandrą zabić każe, słychać że z dumą mówi ludowi królowa, że co uczyniła, dobrze uczy-niła, a lud się korzy.

Ale czyż miała ręce dość czyste do owej ofiary? Czy Troję tylko pomściła, i córkę i Helladę, gdy ręce we krwi mężowskiej maczała? I pocóż wróżbiarkę zabiła i kapłan-kę? I czegoż przed lud wywodzi i przed bogów oblicze, tego co ją głośno oskarża, choć milczy, że jako mąż nie-sprawiedliwym był, lecz pysznym i Nielitośnym i samolu-bnym; tak ona nie sprawiedliwa tylko w pomście swój, jedno występna. Kochanka swego Egista przed lud wywodzi i z nim dzieli berło ziemi. Dawno już nie była wierną mężowi — ona mścicielka małżeńskiej wiary i dzieci wygna dla dobra gacha — ona, co mściła śmierć córki ofiarowanej. Syn jej Orestes na wygnaniu będzie; córka Elektra służebnicą będzie, byle Egistos panował; wszak i Egist także na uściech ma sprawiedliwość, i on zabijał Agamemnona, tylko by strzedz

prawa. Ojciec Agamemnona jego ojca skrzywdził niegdyś — okropnie — a on przeto Agamemnona zabił i wziął jego żonę i dzieci pozbawił berła. Kłamie sobie Egist i ludowi, że czynił dobrze. A Apollo słucha i pomstę chowa w zanadrzu. Pomsta na Klitemnestrę i Egista wstanie w drugiej tragedyi w „Ofiarnicach.“

A pomsta to straszna. Widzimy wśród dziedzińca zamkowego grób Agamemnona, a przy nim Oresta i Pilada. Syn to Klitemnestry na wygnaniu wychowany, otrzymał od Apollina rozkaz straszliwy zabicia matki i jej gacha, a towarzyszy mu przyjaciel. Niebawem z ukrycia oglądają Elektrę i żałobny orszak dziewic wysłanych przez Klitemnestrę, by ofiarami ubłagać cienie zamordowanego. I tu zaczynają się przedługie płacze, które przerywa zjawienie się Oresta i poznanie z siostrą, poczem znów płacze idą i przepotężne przemowy do umarłego, któregooby rade dzieci z grobu wywołać — a wreszcie wyznania i opowiadania. Elektra świadczy o swojej poniewierce i o tem, jako od śmierci ledwo wybawiła Oresta — a brat mówi, jako przybył matkę zabić.

Pieśni te i płacze zajmują większą część tragedyi. Eschil zawsze jeszcze mówił do ludzi, co przybyli dosłownie na nabożeństwo, i straszne pisał nabożeństwo żałobne, rytuał podobny do tych, co pierwiej wychodziły z pod jego pióra. Zawsze ze zgrozą dobierał grzmiących wyrazów, a nie lękał się, że zbyt długim płaczem znuży słuchaczy. Wiedział, że im trzeba było grozy nielada jakiej, i słowami w grozę bił jak taranem. To dziecko, co matkę przyszło sądzić, to już rzecz najstraszniejsza, i gdy mówi o tem, już przeraża — a gdy zabójstwo ułożone i rodzeństwo odchodzi, woła chór:

Wiele jest strachów chowanych na ziemi,
 Wiele poczwar chowa morze
 W głębinach swoich pod nurty szumnemi;
 Piorun zgubny w chmurach gorze,
 Leci na ziemię i płonie i niszczy,
 Wyszedł z Zewsa wielkiej tarczy
 Gruzy zostawi i popiół wśród zgłiszczy
 Tam, gdzie na wichrach zawarczy.

Ale straszniejsze są czyny ludzi i zbrodnie niewiast uwodzicielek.

Przenosi się teraz rzecz przed dom Egista i po przedłużej groźnej litanii zaczyna się wreszcie dramat. Orestes puka do drzwi i odźwiernemu każe panów wołać. Pod niebytność męża wychodzi Klitemnestra i nie poznaje syna, co jej kłamie, że obcym jest i że przynosi wieść o własnym zgonie. Żle ukrywa radość matka wyrodna, której się w nocy śniło, że wąż wyszły z jej łona ukąsił ją, i wysłała piastunkę dzieci Kilisę, by przywołała Egista. Gdy Kilissa po drodze z chórem rozmawia, snąć, że jej żal Orestesa, choć nie żal matce.

A skoro przywołany Egist nadchodzi, spełnia się katastrofa nagle jak grom. Orestes najpierw zabija Egistę, wywlokłszy go za scenę, a potem matkę, która go przed śmiercią poznaje — ale także nie w oczach widza. Oto koniec dialogu ostatniego Klitemnestry:

KLITEMNESTRA.

A zda się dziecko, żeś ty gotów matkę zabić!

ORESTES.

Toś ty zabiła siebie sama! Nie jam winien.

KLITEMNESTRA.

Uważaj! Ze krwi matki wyjdą psy sumienia!

ORESTES.

A czemu krew ojcowska, że jej nie mam uczyć?

KLITEMNESTRA.

Więc darmom przy tym grobie oczy wypłakała!

ORESTES.

Wślad za ojcowską zgubą twoja śmierć przychodzi.

KLITEMNESTRA.

To jam zrodziła węża! Jam go wychowała!

ORESTES.

Strach, co ze snów powstaje, jest wróżbiarzem dobrym.

KLITEMNESTRA.

I czyż wypada tobie być twej matki katem?

ORESTES.

Zabiłaś niegodziwie! Niegodziwie zginiesz!

Ale po czynie znowu potrzeba pomsty. Wstają z krwi psy sumienia, jak matka przepowiedziała. Wężowłose a straszliwe Eumenidy, piekielne boginie sumienia ścigają matkobójcę, i musi uchodzić precz z ziemi ojczystej. Tak straszne one, że późna i dość niedorzeczna bajka prawiała, że na ich widok Atenki roniły. Gdyby to prawdą było, byłby ten zbytek grozy zresztą zasługą czy winą choregi, jak z grecka zwano *impresaria*, a nie poety — bo to tak syku gadzin i widoku poczwara miały się przestraszyć Greczynki.

Boginie owe dały tytuł tragedji trzeciej: Eumenid. Tu dramatyczny żywioł ustępuje całkiem w głąb, a tendencya polityczna Eschila występuje wyraźnie na jaw w lirycznym całkiem utworze. Orestes chroni się do ołtarza Apollina, by ująć przed cieniem matki i Eumenidami, i niby prolog dramatu zupełnie nabożny i kościelny odbywa się w Delfickiej świątyni. Apollo broni Oresta, Eumenidy i cień krwawy Klitemnestry chcą jego zguby — a wreszcie staje zgoda, że w sprawie tej Areopag wyda wyrok. Poeta przenosi nas tedy do Aten, przed Areopag, i tu wypadł wyrok „niewinien,” skoro równą była ilość czarnych i białych gałek. Eumenidy zrazu gniewne chciały jałowością razić ziemię attycką, ale wreszcie ubłagano je świątynią i poświęconym gajem — a rzecznicą niewidomego areopagu przez całą tragedję bogini Atena.

Oto tedy na co Areopag ustanowili bogowie nieśmiertelni; oto w czem ma być nienaruszonym, oto jak ma trwać wiecznie! Sądzić ma krew i stawić kres zemście. Kogo on uniewinni, będzie uniewinniony, kogo potępi, ten potępiony będzie. Przed jego trybunałem jakby przed sądem bogów upadnie każdy, co chciał karać, a karał nie przez sprawiedliwość tylko, każdy co miecz podnosił z nieczystym sercem. A w politycznej nie ukryta, ale objęta myśl druga, ogólniejsza, co się z nią zrosła i żyła. W niej nie ma miłosierdzia, ani litości nawet, ale jest cześć prawa i sprawiedliwości ubóstwienie. Poeta woła: „Winienesz karać! winienesz się mścić, bez miłosierdzia, choćby nad matką, jeśli kto ład święty świata zakłóci. Ale bacz, byś mszcząc się sam nie zawinił; bo nie sędzią będziesz wtedy, jedno nowym zbrodniarzem. Ład święty bogów ojczyznę ustanowił, i rodzinę i gościnność. Kto

jedną z tych trzech rzeczy znieważy, ten bogów wrogiem, i tego zabić winien, kto był stróżem zgwałconego domu i kraju. Ale niech, niosąc pomstę, nie gubi narodów dla swojej tylko sprawy, niech nie porywa uświęconych kapłanek, niech nie kała małżeńskiego łoża — niech sierót nie krzywdzi dla grzesznej chuci. Jeśli i on prawo święte zgwałci mszcząc prawo, biada mu! trzykroć biada!“ Na Areopagu nie objawiono ewangelii miłosierdzia, jedno tu stanęła ewangelia straszna sprawiedliwości, żelazna cała jak dusza tych, co żyli za dni Eschila.

Ale i ludzie kamienni mieli na owem Eschilowem nabożeństwie uczucia, których dotąd nie znali. Zaglądali w duszy bohaterów i sądzili ich i potępiali, a wielkość groźna, co ich otaczała, nie odrazu stanęła przed ich oczyma. Zbrodnie były takie, że i ich serca musiały się wstrząść, a po każdej zbrodni wstawało oburzenie, i zbliżało ich do owych ideałów tragicznych, i wymagało kary, i czekało na nią, Ignąc do ust poety, by usłyszeć co się stanie. Ciekawość, wielka pomocnica poezyi, przykuwała widza do siedzenia na schodach kamiennych teatru, a oburzenie chodziło mu po sercu; nie budziła jeszcze litości, ale budziła już żal. Żal miał niebawem przyprowadzić innych gości — słodką litość i łzę i wreszcie miłosierdzie samo, — ale dziś o nich nie było jeszcze mowy. Prawa żalowali tylko mężowie, gdy widzieli, jak prawo gwałcono, a co najwięcej, żal im było piękności bohaterów i potęgi. Nie drżeli na myśl o tem, jak się serca rozedrą, gdy żona zabija męża, a syn matkę — bo nie oto serca się darły. Elektra nad grobem nietyle ojca opłakuje, co zgrozę, która powstała w domu, i zgwałcenie boskiego prawa i rodzin ładu, i rozkazów Zewsowych; i nikt się i chwilę nie waha, a Klitemnestra i Egist kłamią sobie nie na to, by litość zagłuszyć, lecz na to, by bogów łudzić, że i oni służą ich ładowi. Serce Orestesa nie zadrga żalem dla matki, której mleko pił. Obojętnie prawie, jak posąg sędziego, zabija, skoro tego chcieli bogowie, a jeśli potem wstaje przerażenie, to tylko dlatego, bo rzeczą niesłychaną w światów ładzie, by syn zabijał tę, którą czcić winien — matkę. Choć rozkazali bogowie, sami się oburzyli na własnego rozkazu spełnienie.

Greczyn ówczesny rozumiał poetę i tak czuł, jak chciał. Trzeba mu było takich ideałów, trzeba było, by bohaterowie nie mieli innego uczucia, prócz czci dla nieśmiertelnych. Za to właśnie potępiał Agamemnona i Klitemnestrę, że usłuchali głosu ludzkiego w sobie, i bodaj czy nie myślał, że głos ów ludzki zawsze zbrodnię zrodzi. Faryzeuszowsko ważył, po której stronie prawo, i dlatego tylko i Orestes nie ulegał zgubie, bo uczył ojca zabijając matkę, a „z ojca jest nasienie, matka rolą tylko,“ i chylił głowę przed bogami, gdy oni sami — rzecz niesłychana! — jawili się przed jego oczyma w ostatecznym sądzie.

Nam inną wydaje się Oresteja owa straszliwa. Choć modły długie i pieśnie bez końca nas czasem nużą, choć często nie możemy zrozumieć hardej poety mowy, wyda nam się, że to wszystko tu tak być powinno, bo wszystko obce jakieś, i nocne i groźne; bo zbrodnia niesłychana zbrodnię ściga Nielitośnie, bo ludzie stanęli z rozumem i wolą, ale bez uczucia przed nami, bo obcy bogowie wszystko napełnili przerażeniem. Nie masz tu intrygi takiej, jakiej dziś chcemy, i zbrodnia leży na zbrodni, przygniatając ją tylko martwym ciężarem, jakby w greckiem budowaniu; ale to u nas nie budzi nudy, nie gasi ciekawości, bo lęk i strach i zadziwienie porwą nas w ręce swoje. Gdyby kto dziś napisał rzecz taką bez serca, odrzucilibyśmy ją może od siebie, oburzeni na poetę; ale gdy Oresteja z poza mgły wieków patrzy na nas krwawem okiem, czujemy, że nas ręka olbrzyma chwyta. To ręka Eschila, ale w niej potężnym jest duch dni owych zapadłych.

I zkądże u nabożnego Eschila, co ubóstwiał ład święty, wziął się Prometeusz? Jakżeż poeta pradawny, nabożny, mógł napisać to, co ukochali Bajron i późne jego pokolenie? Czy to zagadka, której nikt nie rozwiąże? Czy to też Eschil na starość stanął w niezgodzie z sobą i z wiekiem swoim?

Otóż najpierw to pewna, że Eschil sam bluźnić nie chciał. Znalazł podanie i obrobił je z niesłychaną potęgą tworząc arcydzieło, co wiecznie dziwić i wzruszać i przerażać będzie. Ale to było podanie święte, przechowywane przez kapłanów i żyjące w wierze narodu.

Prometeusz, jeden z tytanów, który sam jeden stał przy Zewsie, gdy Zews musiał przeciw olbrzymom bronić panowania, potem wraz z bratem Epimeteuszem ukuł ród ludzki, podobnie jak i wszystkie inne żyjące rody, a wreszcie skradł ogień święty Hefajstowy, nauczył ludzi wszelkiej sztuki i nie tylko ogień im dał, ale nauczył ich jeszcze prócz tego oszukiwać bogów przy ofercie. Powołał bogów i pokazał Zewsowi na stosie dwa kawały ubitego wołu, każąc mu wybierać. Zews wybrał nakryty lśniąca tłustością i oszukał się, bo przemyślny przyjaciel ludzi nakrył był kwiatem suche kości, mięso grzebiąc w popiele. I odtąd ludzie przy ofiarach mięso pożerali, zbywając bogów tłustością tylko i kośćmi.

Prometeusz jednak musiał to odpokutować. Choć Hefajstowi straszno, i choć jemu żal współboga, przykuwa go do stromej opoki na Kaukazie, jakby do krzyża jakiego, pracuje pod nadzorem nieubłaganych towarzyszy, Przemocy i Siły. I tak wykonaną zostaje wola Zewsowa. Prometeusz zostaje sam wśród otchłani i choć bogiem jest, otwierają mu się usta do skargi. Tak wielką karą przygniótł go Zews wszechmocny, że i on tytan płakać musi. Woła :

Wzywam boskie powietrze i wiatr szybkoloty,
Rzek wszystkich źródła szumne, i fal szybkie roty,
Co po morzu śmiech budzą długi nieskończenie;
I wzywam matki ziemi wszechrodne przestrzenie,
I koło wielkie słońca, które wszystko widzi;
Patrzcie, jak z boga przemoc innych bogów szydzi!
O patrzcie, pośród jakiej srogiej męki
Muszę tysiące wieków przetrwać w bólu!
Patrzcie, jak cisną mnie żelazne szczęki!
To tyś to wymyślił nowy bogów królu.

Skarga wnet zmienia się w bluźnierstwo, w wyzwanie, i gdy skrzydlate nimfy Oceanidy przylatują przez otchłanie mówić Prometeuszowi, że ludzkość cała za nim płacze, że narzekają narody o dziwnych imionach, chwali się czynami swojemi; gdy sam Ocean wychodzi z głębi radzić i błagać, by uchylił czoło przed wszechmocą Zewsową, i pokorą uprosił

przebaczenie, grozi jeszcze tytan i mówi, że wie, jako sam Zews upadnie i wie, czemu się okupił, ale ust nie otworzy. Zna przyszłość całą i wie, że nie on Zewsa będzie prosił o przebaczenie, jedno Zews jego. Jako Kronosa syn strącił ze stolicy, tak i Zewsa strąci kiedyś bóg nowy. Ocean nie chce słuchać bluźnierstw i wraca do toni, a rogata krowa Jo, ofiara Zewsowej miłości, niegdyś niewinna królowna, a dziś przez dopust króla bogów, kochanka swego, krowa gnana przez osy, wlatuje z płaczem na Kaukaz. Przepowiada jej Prometeusz podróż przez fantastyczne kraje, o których nikt nie słyszał nigdy; mówi, że spotka w długim trudzie cuda i dziwa i Foreydy trzy siostry o jednym oku i jednym zębem, i równie niesłychane rzeczy, dla śmiertelnej wyobraźni nieujęte, i że spocznie wreszcie w Egipcie, gdzie się stanie matką rodu, z którego wyjdzie oswobodziciel Prometeusza. Jo znika, a Hermes, poseł bogów, przylatuje i żąda w imię Zewsa, by mu Prometeusz powiedział zgubną dla Zewsa tajemnicę. Prometeusz nie da się przez groźby wzruszyć, przymówi wtedy dopiero, gdy Zews prosić będzie, a Hermes nakazuje, by go opoki pożarły i by sępy jelita jego jadły. Ziemia się otwiera, drży morze, wszelki żywioł szaleje i Prometeusz przepada. I oto koniec tragedyi, którą mamy.

I nie bluźnierstwoż to rzucone w twarz Zewsowi, co był obrazem nieubłaganego Helleńskiego ładu? Nie bunt-że to przeciw bogom i przepowiednia Chrześcijaństwa? jak myśłano w średnich wiekach. Albo czy to może poeta na chwilę myślał myślą dzisiejszych ludzi, i chciał wszystkich bogów oskarżyć, że niesprawiedliwi, i chciał los przekląć i rozkochać się w nieskończonem nieszczęściu? Czy może Shelley dopowiedział myśli Eschila, gdy opiewał w „uwolnionym Prometeuszu“ zwycięstwo zimnego rozumu nad wszelką wiarę? Wątpimy.

I lud Attycki, co pewno dawno już nienawidził arystokratę, potępił bluźnierstwa, które słyszał w Prometeuszu i chciał Eschila skazać na śmierć, i ledwo zdołały go wybawić prośby Periklesa, co wpływem swoim wyrobił, że śmierć zamieniono na wygnanie. A jednak, jeśli lud ujrzał w tym poemacie bluźnierstwo, dowiódł tylko, że własnej nie znał wiary. Kapłański Eschil zawsze stał na jej straży i mó-

wił o niej tak, że w głosie jego pioruny były. Teraz opiewał bogów święte spory, i ziemię do nich wmieszał i morze, i zdziwił ludzkość obrazem wstrząśnionej przyrody i niebieskich zapasów, tak że odtąd zawsze patrzała w ten utwor piorunny, i że każdy wiek chciał wmówić w siebie, że Eschil w Prometeuszu głosił jego wiarę albo jego niepokoje, aż myśmy nareszcie uwierzyli, że on pierwszym prorokiem zwątpienia i zniechęcenia, praojcem przedwiecznym romantycznej rozpacz.

Gdybyśmy znali tragedią dalszą, w której Eschil rzecz o Prometeuszu kończył, jaśniejsząby była zagadka. Ale zaginęła gdzieś w czasów powodzi, czy to dlatego, że była napisana mniej potężnie, czy dla innej przyczyny. Wiemy jednak z Lucjana, jaka jej treść była.

Oto gdy Zews, jak zawsze żądny miłości, szedł do Tetydy, Hery niepomny, powstrzymał Prometeusz jego pochód i powiedział, że zguba dlań bliską. Niech Zews go uwolni, a Prometeusz zjawi niebezpieczeństwo. A że tytan przytem wykrył tajne Zewsa zamiary, więc Zews nakazał synowi Heraklesowi Prometeusza uwolnić, spełniając tak przypowiednię daną bogini Jo; Herakles bowiem jej był potomkiem.

Inna jednak przypowiednia, inny wyrok niezmienny przeznaczenia stawał na przeszkodzie. Nie wolno było Prometeuszowi odzyskać wolność pierwiej, zanim inny bóg nie zechce zań umrzeć. Szukał tedy Zews śmierci ochotnika, by samemu ująć zagładzie. Szukał długo, a nadaremnie, aż wreszcie, wreszcie zjawił się Chyron centaur, nękany ranami zadanymi przez jadowite strzały Heraklesa. Wolał umrzeć jak cierpieć wieczne bole z ran niezagojonych; przestał na światło patrzeć i poszedł do cieni, gdzie głodu nie masz, ani bólu, ani pragnienia, i Prometeusz wrócił do biesiady bogów na Olimpie, i wyjawiał tajemnicę: oto syn Zewsa i Tetydy miał ojca stracić ze stolicy do Tartaru. Usłyszał Zews, powstrzymał żądzę, nie ukochał Tetydy i odtąd na wieki miał Prometeusza doradcą.

Czy to bezpieczna chcieć odczytać ten hieroglif starodawniej ludów wiary? Daleko sięgać nie chcemy, i będziemy stronić od zbyt zuchwałych domysłów, nie chcąc błędzić jak

inni błędzili, i swoje myśli wmawiać w tytana poezyi, co opiewał innego tytana okutego na skale, wśród otchłani i jęczącego przez wieki, które jak chwile przemijały przed okiem widza.

Ład świata powstawał powoli w wierze Greków, co nie znała ani prawdziwego Stwórcy, ani Boga takiego, jak Bóg Chrześcijański. Nieosobista, nieubłagana, nieuchwytna konieczność dawała światu powstawać i rozprzęgać się w wielkich okresach, w erach, co obejmowały многие eony. Wieki wychylały się jedne po drugich w niezmiennej kolei, i ludzie powstawali i bogowie, i narody i świat cały, i ginęły potem, by powstawać na nowo. Było już Achillesów synów Pelejowych nieskończenie wiele i będzie ich nieskończenie wiele, i wszyscy zginęli i zginą pod Troją, i wszystko co jest, było i będzie, a konieczność, matka bogów i ludzi, toczyła się zawsze jednym kołem. Gdy tedy świat powstał jaki, zrazu niedoskonałe były bogi i chaos rządził wszechmocny czyli bezład — przy nim istniały otchłan pusta i ciemność. A i potem niewieczne jeszcze były bogów rządy. Bóg boga strącał ze stolicy, marli bogowie i marły pod nimi ludzkości, aż Zews zapanował, bóg ostatni i nie nad najlepszą ludzkością. Po śmierci Uranosa szedł Kronosa świat, a po nim bodaj czy nie dwa światy Zewsowe. Trzeci świat zginął od powodzi, i Zews władał pustce, i nowi ludzie powstać musieli. Powstali, lecz nie odrazu byli w zgodzie z bogami i nie odrazu na Olimpie zawładnęła zgoda. Między Zewsem, co był mocą, a Prometeuszem, co był rozumem, zawrzała walka, a Herakles dopiero walkę załagodził; ład zaprowadził na ziemi Herakles, a Zews pogodził się z Prometeuszem i ład powstał na niebie. Odtąd nie już nie obali Zewsa, i choć ludzkość ostatnia i żelazna najśłabsza, trwać będzie długo, bo posiadała skarby dwa: ład Zewsów i myśl Prometeusza.

Otóż tę to walkę bogów opiewał Eschil w sposób godny bogów, ale nie bogów promiennych, jasnych już i szczęśliwych na wieki, jedno bogów walczących pod ręką konieczności, zanim ład powstał święty. Nie chodziło o bluźnierstwo, nie chodziło o skargę przeciw jednemu bogu, bo jego nie było na bogów widnokregu. Zews był królem tylko, ale

bogowie z rodu byli mu równi, i jeśli on dawcą ładu, Prometeusz, co z nim walczył, był dawcą myśli. I któryż z nich był więcej wart w przeznaczeń szali? W tem zapytaniu nie było bluźnierstwa dla Eschila i Aspazyi, dla Anaxagorasa i Periklesa. Lud Attycki mógł się gniewać, bo teraz Eschil nie do niego mówił, ale do wtajemniczonych, do myślicieli i do wieków potomnych. Lud prosty przywykł Zewsa czcić jako króla i nie zrozumiał bogów walki, więc krzyczał, że to bluźnierstwo, ale wieki tragedją słuchają — usłuchali i współczeszni. A że zuchwałą była, któż zaprzeczy? I może lud trochę miał i słuszość, gdy się gniewał, bo chcąc wychwalać ład, zatrząsł Eschil ładem tym potężnie. Nie chciał on naszym obyczajem skarżyć się na świat, bo mówił, że świat dobry, jak to mówił Grek każdy i klasyk każdy; ale opisując bogów boje, nie bohaterów już, ale Olimpijczyków samych nie przemijających ściągnął z błękitnego szczytu, i co więcej, okazał ich w trwodze i w gniewie i w bólu. Straszniejsza to groza, niż ta, co powstała w Orestei; gdy widziano mękę bogów i śmierć, i żal był większy, lecz tu żal przemieniał się w litość. Nie bogów prawo gruchotano, bo prawo dopiero powstać miało; samych bogów nęcano! Ateńczyk na widok tego zakrywał sobie oczy i litował się i drżał o to, co się stanie z Tytanem dawcą życia, z Zewsem królem ładu, z Chyronem radcą i nauczycielem. Pękał ład Dorycki nieubłagany, gdy litość wstawiała i serce odzyskiwało prawo. Prometeusz, to wielki jęk, co wyszedł z kamiennego łona pogaństwa, i zatrząsł nim, choć tego czynić nie chciał, i wzbudził litość i żalność. On rodzicem wszystkich przyszłych bohaterów, co cierpieli. I przeto nie mylimy się, gdy widzimy w Prometeuszu pierwszą zorzę przyszłej wieszczów tęsknoty; tylko że tęsknoty tej w Eschilu nie było.

I niedość na tem. Eschil chcąc ład święty chwalić, jeszcze w czem innem mimowoli zbożną ręką wstrząsł ładem. On w Prometeuszu strasząc, już bawił. Prawda, że nieruchomy jeszcze i ukuty stoi tytan; prawda, że Eschil prawi o tajemniczych krajach i ludach ze zgrozą. Ale tu słowa czynami, i czyn taki po czynie goni prędko, i z czynu wyrasta żywy, i myśl wpłątana w tragedją, i serce raduje się tą walką bogów, co się waży wśród grozy, raduje

się współczuciem z ową potęgą; ciekawe, zadychane doznało zabawy. I cóż się z ładem Zewsów stanie, gdy litość i zabawa wstaną wśród Aten? Ludzkość się odmieni, żal jej będzie niższych i nękaných, nie wojna już jej będzie ideałem, zapagnie miłości, której nie znała, i wreszcie wstanie bóg nowy — nie syn Zewsów i Temidy — ale Syn Człowieczy, Dawca miłosierdzia. I runie Zewsów tron wieczny i wieczny ład. I dziś jeszcze walczymy pod hasłem owej litości, co wstała za dni Eschila, i dziś jeszcze owa zabawa wiedzie nas na różne świata koleje. Niedziw tedy, że miłośnik dawnego ładu, Platon, cisnął kamieniem na tragedya i że chciał wykluczyć z rzeczypospolitej twardych i cnotliwych mężów, matkę łez i żalu.

Prometeusz, to ostatni już kapłański poemat Hellady. Widać już w nim jakby kolosalny zarys przyszłej tragedyi patetycznej i ludzkiej. Już i forma Eschila się zmienia, i choć czas na szybkim skrzydle wieki przeleci między pierwszym a ostatniem słowem Prometeusza, już chóry krótsze, dyalog dłuższy i żywszy, już znika ślad dawnej liturgii i wstaje coraz wyraźniej zwarty dramat. Ożyje już, cały i doskonały, jak nigdy potem, w Sofoklesie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wojciech Dzieduszycki.

ZARZĄD ROSYJSKI W BUŁGARYI.

Uwagi i wspomnienia naocznego świadka.

Przez

Eugeniusza Utina.

II.

Z Tirnowy do Kazanłyka.

Wprowadzenie zarządu cywilnego w Bułgaryi w czasie największej gorączki wojennej powinno było stwierdzić w sposób dotykający wszystko, co o tym przedmiocie powiedziałem wyżej. Jakoż, tak sam sposób wprowadzania przez nas nowych w tym kraju porządków, jak i skutki, któreśmy osiągnęli, zasługują na uwagę szczególną. Zdarzyła mi się sposobność być świadkiem naocznym tego wszystkiego i przekonać się osobiście o trwałości naszej nowej organizacji. Z tej sposobności skorzystałem najchętniej, a to tembardziej, że ułatwiała mi możliwość bliższego przypatrzenia się Bułgarom, tudzież — utworzenia sobie pojęcia o ich rzeczywistym do nas stosunku.

Wojska nasze były już za Bałkanem. Oddział generała Gurki, wielkie przewyciężywszy trudności, znajdował się

już w Kazanłyku. Byli pomiędzy nami tacy, którzy w początku lipca marzyli, że za miesiąc skończy się cała kampania. Wszystko zdawało się uśmiechać, wszelkie przeszkody usuwały się przed nami. W zajętych przez nas miejscowościach, z których wojska tureckie ustąpiły, zabraliśmy się do wprowadzenia zarządu cywilnego. Dla bliższego tychże poznania celem zaprowadzenia w nich nowej organizacji, wysłano tam kilkunastu oficerów, przeznaczonych na posady cywilne, lecz jeszcze niewtajemniczonych zgoła w arkana przyszłego swojego zawodu. Z oficerami tymi miał wyjeżdżać razem jeden z najwykształceńszych ludzi z otoczenia księcia Czerkaskiego. Był to jedyny prawie z tego grona człowiek z jasnym pojęciem rzeczy i rozsądnem a trafnem zapatrywaniem się na stosunek Rosyi do Słowian południowych. On jeden podobno znał dobrze obyczaje i charakter Bułgarów, tudzież tradycye ich i warunki historyczne, które wpłynęły na rozwój takich a nie innych obyczajów ich i charakteru. Połączywszy się z tem gronem ludzi, w ogóle bardzo sympatycznych, wyjechałem wraz z nimi z Tirnowy 11 lub 12 lipca.

Towarzysze moi, razem wzięci, stanowili tak zwaną „komisyą do spraw zarządu cywilnego Bułgaryi.“ Z nimi odbyłem całą podróż z Tirnowy do Kazanłyka. Zatrzymywaliśmy się w miastach, wsiach i przysiółkach po drodze — podróż więc nasza stała się równie zajmującą tak z powodu łatwości zaznajomienia się z wprowadzanemi porządkami, jako też sposobności przypatrzenia się obyczajom i charakterowi mieszkańców. To też w czasie tej włóczęgi poznałem Bułgarów dostatecznie i zbadałem ich stosunek do nas. Mamże wspominać, że często spotykaliśmy po drodze smutne ślady klęsk wojennych, ruinę, pożogę, nędzę i spustoszenie? Widzieliśmy to wszystko, chociaż może nie w tak dramatycznych obrazach, jakie sobie tworzyła rozogniona imaginacya niektórych. Bogata przyroda, przechodząca nasze pojęcia, siła roślinności, widok pięknych zbóż na polach i piękniejszych od nich, wspaniałych winnic, neutralizowały po części wrażenia smutne i zacierały w pamięci obrazy ruin i zgliszcz, spotykanych dość często po drodze. Zasiewy i winnice mało ucierpiały od wojny; nie ule-

gły one zniszczeniu z tych samych powodów, dla których zachowały się mosty, linie telegraficzne i niektóre miasta i wsie, przez Turków opuszczone. Władze tureckie wydały były wprawdzie rozkaz niszczenia zasiewów i winnic, lecz rozkaz spóźnił się i nie zdołano go spełnić; szybki ruch wojsk rosyjskich w kierunku Kazanłyka ochronił Bułgarię od zniszczenia. Zgliszcza, któreśmy spotykali po drodze — były rumowiskami osad tureckich, które popalili Bułgarowie powodowani zemstą. Większość innych, ocalałych wsi tureckich, stała pustkami. W miarę zbliżania się wojsk rosyjskich Turcy uciekali ze swoich siedzib; ale ucieczka ich nie była podobną do pierzchania Bułgarów przed Turkami: Turcy bowiem, opuszczając swoje osady, mieli czas zabrać z sobą całe swoje mienie ruchome, a dla przedszego jego przewozu zabierali Bułgarom konie i woły.

Zdarzało się nam spotykać i osady mieszane, turecko-bułgarskie. Z takich osad czasem Turcy uchodzili, lecz częściej w nich pozostawali; i trzeba oddać sprawiedliwość Bułgarom, że ani życie, ani majątek takich Turków, pozostałych w jednych z nimi wioskach, nie były narażone na żadne niebezpieczeństwo. Nie twierdzę bezwzględnie, że ani jeden Turek nie był tam zabity, lub że nie zgola z jego własności mu nie wydarto. Być może że zdarzały się wypadki zabójstwa lub grabieży; lecz w każdym razie były to wypadki sporadyczne, które trafiały się tak rzadko i wyjątkowo, że o nich nie mówiono wcale, a przynajmniej do moich uszu nie doszła żadna tej treści skarga ze strony Turków. Ktoś mi powie może, że obawa powstrzymywała Bułgarów od popełniania gwałtów i rabunków na Turkach, zamieszkających w jednych z nimi osadach. Wątpię wszakże, aby to przypuszczenie było słusznem, gdyż zazwyczaj Turków było w tych osadach nierównie mniej niż Bułgarów, pierwsi więc byli stosunkowo bezsilni i łatwo mogli stać się ofiarami zemsty ostatnich. Powiedzą mi jeszcze: obawa zemsty tureckiej, w razie powrotu armii ich do kraju, mogła powstrzymywać Bułgarów... I to przypuszczenie niesłuszne: Bułgarowie bowiem, wiedzieli aż nadto dobrze, niestety, że skoro tylko Turcy zwyciężą, nie ich nie powstrzyma od znęcania się nad ludnością bułgarską, nawet najbardziej wzglę-

dne i ludzkie obchodzenie się ich z Turkami, pozostałymi w osadach na ich łasce.

Bądź co bądź, oczy nasze przywykały łatwo do widoku opuszczonych przez ludność, lub stojących w rumowiskach, wsi i miasteczek, i posuwaliśmy się naprzód, coraz mniej zwracając na nie uwagi. Ku wieczorowi przybyliśmy do Dranowa. Tak się nazywała wieś bardzo duża, mająca prawo zwać się miastem, i to niepośledniem wcale. Gdybyśmy nie wiedzieli z opowiadań, że przed niedawnym czasem Turcy trzymali całą tę wsi ludność w popłochu i trwodze, nigdybyśmy się domyśleć nie mogli, sądząc z powierzchowności, że komukolwiek z mieszkańców tej wsi tak niedawno źle było, że ktokolwiek tu mógł się czuć pogiębionym i nieszczęśliwym. Wszystko tu wyglądało tak schludnie, wdzięcznie, wesoło, wytwornie prawie: ulice czyste, wymiecione, domy ładne, ozdobione mnóstwem zieleni, ocienione pnącym się bluszczem, gubiące się w gęstwinie drzew, sprawiały wrażenie bardzo przyjemne, które podtrzymywał i podnosił jeszcze wesoły i zadowolmiony wyraz twarzy ludzi, tłumnie nas spotykających. Był dzień świąteczny. Mężczyźni, kobiety, dzieci, bardzo schludnie i malowniczo ubrani w odzież odświętną, przypatrywali się wojskowemu uniformowi naszego orszaku z jakąś naiwną, na pół wesołą, na pół zdumioną ciekawością. Mężczyźni kłaniali się nam uprzejmie i przyjaźnie, uchylając czapki, na których błyszczały krzyże mosiężne. Patrząc na to, mogliśmy sobie powiedzieć: jesteście tu gośćmi pożądanymi!.. Upoważniały nas do tego pozory, a po części i usposobienie własne, bo człowiek tak łatwo i chętnie widzi zawsze to, co widzieć sobie życzy. Z pozoru była to rzeczywiście idylla, w której odgrywaliśmy bardzo piękną i chlubną rolę. Lecz czy tak było w rzeczywistości? Czy w duszach tych ludzi, tak uprzejmie nas witających, nie kryły się myśli inne? Niewola przyzwyczajają człowieka do obłudy i kłamstwa, tworząc z nich drugą jego naturę. Skoro pewnego rodzaju ustrój społeczny, znany, niestety, nie samym tylko Bułgarom, doprowadzi naród do takiego poniżenia i zbydlęcenia, że staje się zdolnym całować z pokorą rękę, która go chłосzcze, i pozbawia się godności człowieka, trudno naówczas dobadać się

w tym narodzie gruntu szlachetniejszego, a zwłaszcza szczerości uczuć. Przychylność i wstręt, miłość i nienawiść w jednakiej u tych ludzi wyrażają się formie, a tą jest pokora i chęć przypodobania się silniejszym. Oto dla czego i tu pozory przychylności dla nas mogły niczego jeszcze nie dowodzić, na pewno zaś, nie dowodziły ufności do nas i spokojnego zapatrywania się na własną przyszłość dla tego, że myśmy ją objęli w opiekę. Po za uśmiechem uprzejmości i pokory kryją ci ludzie niezawodnie niepokój i nieufność... Ale przypatrzmy się im bliżej, a może wzrok nasz wykryje stopniowo, co się też dzieje w tajnikach ich duszy.

W samym już początku wątpliwości moje stwierdzać się zaczęły. Udaliśmy się wszyscy do *konaku*, t. j. zarządu policyjnego, gdzie, według wydanego rozkazu, zgromadzić się mieli członkowie rady gminnej, która zastępowała chwilowo władze tureckie. Członków tych było dziesięciu, oprócz prezesa rady. Ale do konaku zeszli się nie tylko owi członkowie w zupełnym komplecie, lecz wiele mieszkańców prywatnych, tak, że pokój, korytarz, sień, podworec nawet, wszystko to zapełniło się tłumami ludu.

Na twarzach zgromadzonych tak licznie Bułgarów nie można było nie wyczytać oprócz pokory, i cichej uległości, tych tak dobrze i zbliżka znanych nam zkądinąd cech przygnębienia duchowego... Bułgarowie stali w postaci uniżonej, z pochylonemi głowami, i na wszystko, cośmy do nich mówili, odpowiadali ukłonami i podziękowaniami, podziękowaniami i ukłonami...

— Czy znana wam proklamacja Cara rosyjskiego do Bułgarów? pytamy ich przez młodego tłumacza, syna znanego poety bułgarskiego, Sołowejka.

— Nieznana... Ale wdzięczni jesteśmy, odpowiadali z niskim ukłonem Bułgarowie.

— A wiecie o tem, że od dziś na zawsze uwolnieni jesteście od płacenia bedelu?..

— Nie wiemy, ale dziękujemy pokornie!..

I znowu ukłony niskie, ukłony i ukłony bez końca...

Bedel, było podatek, pobierany przez Turków od wszystkich włościan pochodzenia słowiańskiego za zupełne uwolnienie od służby wojskowej. Podatek ten, wypada przyznać

nie był zbyt uciążliwy dla Bułgarów, zwłaszcza, że uwalał ich od powinności najcięższej, chociaż pod względem moralnym największe mającej znaczenie. Lecz aby nauczyć się cenić tę powinność według jej wartości rzeczywistej, trzeba wyrobić w sobie pojęcie, że bronić ziemi rodzinnej jest zaszczytnym każdego obywatela obowiązkiem; trzeba nadto mieć przeświadczenie, że się broni swej niezależności, swobody, trzeba słowem czuć, że człowiek staje w obronie najdroższych swych interesów, które zasługują na to, by za nie krew przelewać i życie dawać w ofierze. Jednym z najbardziej smutnych i opłakanych wyników ustroju państwowego, polegającego nie na swobodnej woli narodu, lecz na ohydnych deptaniu jego praw najświętszych, jest właśnie to, że w ludzie, pozbawionym wolności, znika uczucie obywatelskie, poczucie potrzeby służenia krajowi, i że człowiek, zgniebiony despotyzmem, zaczyna nie tylko zapatrywać się obojętnie, lecz nawet z pewnym rodzajem słusznego wstrętu na swoją zwierchność, na rząd swój, który jednak w krytycznych chwilach potrzebuje od niego ofiar i wzywa wszystkich pod sztandar obrony kraju. Drugą zaś prawdą niezaprzeczoną jest to, że nie masz wyraźniejszego symptomatu choroby niewyleczalnej, grożącej całemu krajowi rozkładem i śmiercią, jak gdy w czasie wojny obywatele tego kraju, gorąco kochający ojczyznę, zmuszeni są obawiać się powodzeń wojennych swojego rządu, czując że te powodzenia utrwalą tylko istniejący systemat bezprawia i gwałtu. Zupełnie więc zrozumiałem się staje, że Bułgarowie nie mogli pragnąć służby wojskowej i woleli natomiast płacić pewien podatek pieniężny. Zkądżeby się w nich rozwinać miało poczucie chluby z obowiązku obrony swej ojczyzny, swego rządu, gdy Turcyja była dla nich zawsze złą i występłą macochą? Nie mieli obowiązku zasłaniać swego ustroju państwowego, bo ten ustrój był dla nich źródłem nieszczęść, ucisku potwornego i klęsk wszelakich. Naturalnem też jest i to, że Bułgarowie, będąc poddanymi Turcyi, zawsze, skoro rząd ich znalazł się w konieczności prowadzenia z kimkolwiek wojny, mieli prawo życzyć sobie z całej duszy, aby potężne tureckiej zadany został cios stanowczy i śmiertelny.

A jednak uwolnienie od obowiązku służby wojskowej działa w sposób zgubny na siłę moralną ludu. Lud taki przywyka do myśli, że jest bezsilny, że bronić go muszą inni, i oswaja się z tem pojęciem, stopniowo tracąc mężstwo, niezbędne każdemu narodowi... I kończy nareszcie na tem, że w uwolnieniu od służby wojskowej nie upatruje hańby, dowodu że go pozbawiają praw obywatelskich, lecz widzi nawet pewnego rodzaju przywilej. To też to wszystko, działając ujemnie na Bułgarów w ciągu kilku stuleci, musiało oczywiście wywołać skutki nieuniknione. Nie można tedy dziwić się, że Bułgarowie nie przyjęli z wielką radością wieści, że *bedel* został zniesiony i że natomiast służyć będą w wojsku. Trzeba było raczej dziwić się temu, że pomimo odwiecznych wpływów, działających rozkładowo na mężstwo tego narodu, znalazła się w nim przecież dość znaczna część obywateli, którzy chętnie pochwycili za oręż, stanęli w szeregach wojennych i dowiedli wobec całego świata, że nie ćwiczenia wojskowe uczą ludzi umierać śmiercią bohaterską, lecz miłość wolności osobistej i chęć wywalczenia swobody krajowi.

Ale jeżeli ogłoszenie, „że wszyscy w ogóle mieszkańcy, bez różnicy wyznania, uwolnieni są na zawsze od opłacania *bedelu*“ — nie wywołało zbyt wielkiej radości wśród Bułgarów, — nie było też między nimi słyhać szemrania i narzekania. Bułgarowie przyjęli nowinę obojętnie, a raczej milcząco. Jeden wyraz w tekście urzędowej proklamacyi mógł być przecież zrobić pewne wrażenie, wywołać nawet radość powszechną, a tym wyrazem było słowo: „na zawsze...“ lecz i on przebrzmiał bez odgłosu. Bułgarowie oddawna i nie bez słuszności przejęci byli jadem zwątpienia. Owo „na zawsze“ zawierało w sobie, że tak powiemy, zobowiązanie uroczyste ze strony Rosyi, że wojna rozpoczęta nie będzie skończoną, pokąd Bułgarya nie zostanie wydartą z rąk tureckich... To zobowiązanie Bułgarowie bez wątpienia zanotowali w pamięci i zestawili je potem z wypadkami, które po części kłam mu zadawały, a dla nas stały się nauką, że w czasie wojny daleko bezpieczniej unikać zgołą tak znaczących wyrazów, jak „na zawsze“ i „na wieki“, bo zmienne koleje wojny mogą je łącno zdyskredytować. A ostrożność

ta powinna była być zachowaną szczególnie w Bułgaryi, która we wszystkich wojnach poprzednich nie doświadczyła wcale, abyśmy byli zbyt wytrwali w polityce naszej, lub szczególnie mocni w dotrzymywaniu naszych zobowiązań. W skutek też tego zapewne Bułgarowie słuchali z pewnym skeptycyzmem szumnych oświadczeń naszego zarządu administracyjnego. Z wielu zaiste względów mieli oni słusność, a jednak ten ich skeptycyzm poczytywano im często za winę, wymagając od nich rzeczy niepodobnej, t. j., aby „słowo“ przyjmowali odrazu i bez namysłu za fakt spełniony.

— Jakże my możemy radować się — słyszałem nieraz z ust Bułgarów, — kiedy nie mamy pewności, ni wiary, że wszystko co nam obiecują, rzeczywiście się spełni i że słowa nadziei, któremi nas karmią, nie zmieniają się wkrótce w słowo ironii gorzkiej nad naszą oplakaną dolą!...

Jednocześnie z ogłoszeniem o zniesieniu „na zawsze“ bedelu, przedstawiciele zarządu cywilnego oświadczyli Bułgarom, że również zniesionym został inny, rzeczywiście bardzo dla nich uciążliwy podatek. Był to tak zwany „oszur“, co znaczy, dziesięcina od wszelkich ziemiopłodów. Zamiast owej dziesięciny, zniesionej także „na zawsze“, miał być pobierany podatek gruntowy, rozłożony na właścicieli ziemi, jak przyrzekano, „na zasadzie przepisów najslusznieszych“, I tę innowacją spotkały losy niepomysłne; stało się z nią to, co powinno było jeszcze raz nam dowieść, że w czasie wojennym, w kraju będącym widownią wszystkich zmiennych kolei wojny, niepodobna myśleć o wprowadzeniu porządków stałych i niezmiennych. I tak: w czerwcu r. 1877 postanowiono pobierać dziesięcinę w naturze w tych miejscowościach, gdzie produkta ziemne potrzebne będą na prowiant i furaz dla wojska, i o tem uwiadomiono Bułgarów. Po upływie miesiąca inne zapadło postanowienie: nie pobierać dziesięciny w naturze, lecz redukować ją na pieniądze. A w parę tygodni potem znów zaszła zmiana, bo znowu kazano składać dziesięcinę w naturze. Oczywiście, że te wszystkie zmiany były wynikiem konieczności, pochodziły z tych potrzeb chwilowych a zmiennych, w jakich się znajdowało wojsko wobec rozporządzeń intendantury, wobec punktualności lub niezretelności dostawców, Kohana, Horwitza, Warszawskiego

i innych... Wiele bardzo mogło być powodów, wywołujących konieczność pobierania dziesięciny w naturze lub w pieniądzach na przemian. Skoro raz takie zmiany uznane zostały za niezbędne, były już słusznemi i oczywiście należało je zastosowywać, nie zważając na nic, nawet na to, że dla Bułgarów, w tym roku zwłaszcza, nierównie wygodniej było płacić dziesięcinę w naturze, ponieważ, dzięki wojnie, nie było żadnego zbytu produktów, oprócz intendanturze, lub dostawcom; ale dla panów dostawców nie byłoby przyjemnem, gdyby armia przyjmowała dziesięcinę w naturze, utworzyłyby się bowiem zapasy produktów i cena ich zniżyłaby się znacznie. Nie chodzi tu jednak o to, co byłoby lepszem dla Bułgarów a gorszem dla dostawców i odwrotnie, bo nie mamy na to dowodów, aby przy zmianach, kolejno po sobie następujących, powodowano się koniecznie takimi względami, a radziłyśmy przeciwnie mniemać, że jedynie pożytek armii miano na względzie. Jeżeli zmiana korzystną się okazała dla dostawców, sądzimy, że to był wypadek, traf ślepy... Fortuna im sprzyjała i nic więcej!... My zaś wspominamy tu o owych częstych zmianach dlatego jedynie, że one, pochodząc od zarządu cywilnego, dyskredytowały ten zarząd w obec Bułgarów, a ich samych wprowadzały w obłąd i odmęt jakiś. Przyjeżdża do nich urzędnik i powiada: „Dziesięcinę pobierać się będzie od was w naturze!...” Oni kłaniają się nisko, dziękują pokornie. Za tydzień przyjeżdża inny urzędnik, i mówi: „Dziesięcinę będziecie płacili w pieniądzach!...” Znowu się kłaniają i znowu dziękują... Lecz kiedy ten obrządek powtórzy się raz i drugi, Bułgarowie wprawdzie swoim zwyczajem kłaniają się i dziękują, lecz zarazem zapytują trwożliwie:

— Czy nie zaszła tu wypadkiem jaka pomyłka? Wasza miłość raczy mówić, że dziesięcina będzie od nas pobieraną w pieniądzach, a przed tygodniem oświadczano nam, że będziemy ją składali w naturze!...

— Zwierzchność nigdy się nie myli!... odpowiadają im — Co kazano — to spełniać — i kwita!... Słyszycie!...

I Bułgarowie, pokłoniwszy się znowu, oddalają się w zwątpieniu, łamiąc sobie głowę, komu tu wierzyć, a komu nie wierzyć, bo i to, i to — władza, *naczalstwo*!...

I w żaden sposób nie mogą sobie wytłómaczyć, co za zmiana nastąpiła w ciągu dni kilku: dziś tak, jutro inaczej; dziś rozporządzenie jedno, jutro drugie, wręcz sprzeciwiające się tamtemu... I stopniowo znajduje do nich przystęp myśl, że Rosyanie sami nie wiedzą czego chcą, że niema u nich nietylko dojrzałego i zdrowo obmyślanego, lecz nawet żadnego planu, jak mają sobie poczynać i jakimi działać sposoby. A taka myśl jest szkodliwą, czyni bowiem ujemę powadze władzy rosyjskiej.

Przytoczony tu przykład nie był oczywiście jedynym w swoim rodzaju.

Zarząd nasz ogłasza n. p. Bułgarom przez swoich urzędników, a czyni to ze wszelką możebną uroczystością, że za każdą podwodę, daną na potrzebę wojska, rząd będzie płacił, przypuśćmy, po 3 franki. Podwoły przybywają punktualnie w dzień naznaczony i przewożą rannych. Przewiozły dokąd należy. Trzeba płacić. Ale kto ma płacić? Czy zarząd wojenno-medyczny? Czy zarząd cywilny? Rozpoczyna się korespondencya, jak wszystkie u nas, obszerna i jałowa. Lecz Bułgarowie nic o tem nie wiedzą, a nawet wiedzieć nie potrzebują, wiedzą zaś o tem tylko, że nie otrzymują należnych pieniędzy. Czekają jednak cierpliwie miesiąc i drugi, ale gdy czekają na próżno, bo spór między zarządami medycznym i cywilnym tak prędko się nie kończy, zaczynają szemrać i narzekać na nierzetelność urzędników którzy ich oszukują i krzywdzą.

Przytaczam ten wypadek nie dlatego, abym chciał dowieść, że urzędnicy nasi rzeczywiście i świadomie krzywdzili Bułgarów. Wcale nie. Bardzo być może, że nawet byłoby zupełnie słuszném, aby Bułgarowie dostarczali podwód bezpłatnie, bo przecież wojna się toczy dla ich dobra, dla ich wyzwolenia, na nich tedy powinna spadać część ciężaru téj wojny. Chcę tu tylko dowieść, że pewien brak taktu ze strony naszych urzędników stawał się częstokroć przyczyną, iż ludność miejscowa, poniekąd słusznie, nie mogła wzbudzić w sobie zupełnego do nich zaufania.

Wszędzie, gdzie mi się zdarzyło być świadkiem ogłaszania Bułgarom o podatkach, mających się pobierać w roku 1877 i 1878, nie spostrzegłem niezadowolenia, ani też nie

słyszałem szemrania. W stosunku do najbardziej uciążliwego podatku, t. j. dziesięciny, uczyniliśmy im nawet pewnego rodzaju ulgę, a mianowicie tę, że podatek ten nie był egzekwowany razem, lecz częściowo: we wrześniu miała być zapłacona jedna połowa, w październiku jedna czwarta, i następnie co kwartał po jednej czwartej. A jednak, mówiąc ściśle, Bułgarowie mieli prawo narzekać na egzekucyą podatków w czasie wojennym. Działalność ekonomiczna, ruch przemysłowy i handlowy, były w zastoju; ludność w wielu miejscach zrujnowaną była zupełnie, a przedewszystkiem, nie przestawała prześladować ich myśl, rzeczywiście ciężka i rozpaczliwa bardzo, że Turcy mogą powrócić i zmuszą ich do opłacenia po raz drugi podatków, może większych w dwójnasób od opłaconych już Rosyanom. Wobec takich okoliczności mniemam, że wielką już było zasługą, iż bez szemrania opłacali, co im władze nasze nakazywały.

W Dranowie razu jednego zdarzyło mi się być świadkiem obioru urzędników gminy, ponieważ po opuszczeniu kraju przez Turków Bułgarowie urządzali u siebie natychmiast rodzaj rady starszych, która tymczasowo objęła zarząd interesów gminnych. Z tej prowizorycznej rady starszych w wielu miejscach nie bardzo byli zadowoleni Bułgarowie, ale nie ośmielali się jej zmieniać, ponieważ ta instytucya uzyskala była sankcyą, a nawet łaskę naszego zarządu cywilnego. Powód niezadowolenia był ten, że wspomniana rada składała się wszędzie, i prawie wyłącznie, z tego żywiołu miejscowego, który się zowie „Czorbadzi.“ Są to Bułgarowie, którzy od dawna pogodzili się z rządami Turków i trzymali się z nimi za ręce, sturczywszy się po większej części sami. Dzięki temu, Czorbadzi rośli szybko w znaczenie i bogactwo; rząd turecki oddawał im warendę podatki, a oni też nie omieszkali rabować niemiłosiernie lud wiejski. Skoro tylko ktokolwiek, należący do klasy innej, n. p. do partyi, która się zowie „młodą Bułgaryą“, zapragnął wziąć warendę podatki pod warunkami mniej uciążliwymi dla ludu, Czorbadzi natychmiast udawali się do baszów — nie z próżnemi oczywiście rękami — i arenda w ich rękach pozostawała nadal. Zostawszy panami sytuacyi, zaczynali znowu gnębić niemiłosiernie Bułgarów. Przypuśmy n. p., że Buł-

gar powinien opłacić podatek, lecz w tej chwili niema pieniędzy. Czorbadzi wnet ofiaruje mu swą pomoc, t. j. pożyczka potrzebną kwotę na 5 albo 6% miesięcznie. Za miesiąc trzeba dług oddać, pieniędzy znowu niema; przepisuje się więc oblig z dodatkiem procentów do długu i t. d. i t. d., aż nareszcie Bułgar płacze się ostatecznie w sieć lichwiar-ską. Dzięki takiemu postępowaniu, częstokroć całe wsie znajdowały się w kompletnej u Czorbadzów niewoli. Naturalnie, że jednocześnie z zupełnem wyzwoleniem Bułgarów z pod władzy tureckiej nastąpić powinno i oswobodzenie od Czorbadzów, którzy, pojmując to dobrze, są bardzo niezadowoleni z toczącój się wojny. Jestto zresztą klasa stanowiąca dość nieznaczny procent całej ludności bułgarskiej, ale reprezentuje pewnego rodzaju arystokracją miejscową. Czorbadzi, którzy dziś tak słusznie są znienawidzeni, w czasie kampanii krymskiej inną zupełnie odgrywali rolę, byli bowiem dobrymi patryotami, a jako oświeceńsi od ludu, mogli świadczyć wiele dobrego i posiadali powszechne zaufanie, na które zasługiwali tem bardziej, że w rozmaitych starciach z urzędnikami tureckimi bronili interesów ludu. Ale po kampanii krymskiej stracili w zupełności swój dawny charakter; wykształcenie zaczęło z pośród nich znikać wraz z patryotyzmem i sumieniem, i z rzeczników narodowych stali się oni brutalnymi lichwiarzami i prześladowcami ludu, będąc zarazem podporą najpewniejszą tureckiego systematu rządowego.

Tacy to ludzie pod przykrywką swego pochodzenia bułgarskiego, po opuszczeniu kraju przez Turków, starali się zagarnąć rządy w swoje ręce, co w niektórych miejscowościach, jak n. p. w Dranowie i innych, udawało się im zupełnie, uzyskiwali bowiem urzęda gminne i silną protekcyę władz rosyjskich. Ludność bułgarska prawdziwa i niezepsuta, umie cenić Czorbadzów jak na to zasługują, i niema wątpliwości, że skoro nastąpią czasy spokojniejsze, a przedewszystkiem, skoro my nie będziemy przeszkadzali Bułgarom urządzić się u siebie wedle ich woli, odstępcy ci i prześladowcy zostaną wszędzie usunięci z posad. Dotychczas jednak my ich protegujemy, chociaż, gdybyśmy zechcieli gruntowniej rzecz zbadać, spostrzeżlibyśmy łatwo, że ten żywioł

stureczony jest dla nas samych bardzo nieprzychylnym. Ale cóż z tego? Niektórzy urzędnicy nasi spostrzegli to wprawdzie, lecz nieomieszkali przypisać fałszywości Czorbadzów całemu narodowi bułgarskiemu, i z tych próbek przewrotnych wydawać sąd o charakterze i usposobieniach ogółu.

Nie wszędy jeszcze została wprowadzoną prowizoryczną „rada starszych“, nie wszędzie wyznaczono jej członków i urzędników; w niektórych miejscach panowało bezkrólewie. Tak właśnie było w miasteczku Trawnej, do któregośmy przyjechali z Dranowa. Na podwórzu konaku czyli zarządu policyjnego zgromadzili się wszyscy mieszkańcy miasteczka, i w naszych oczach odbywały się wybory urzędników na rozmaite posady gminne. Nie można było dość się wydziwić spokojowi i godności zachowywania się Bułgarów podczas tych wyborów. Gromadki naradzały się pomiędzy sobą, rozmawiały przez chwilę cicho, gestykulując wyraziście, a potem oświadczały jednogłośnie, że tego a tego obrali na taką a taką posadę. Obrani urzędnicy na wszystkie zadawane im pytania odpowiadali jasno i rozsądnie, wiedzieli o wszystkim, co się u nich w gminie dzieje; jeżeli zaś przypadkiem który o czemś nie wiedział, inni mu przypominali natychmiast podpowiadając parę słów; zaraz więc oryentował się i udzielał następnie objaśnień żądanych. Na zapytania odpowiadali nam nowoobrani urzędnicy, ile mianowicie liczy ich gmina domów tureckich a ile bułgarskich? ile rodzin tureckich uciekło z gminy a ile pozostało? ile mają szkółek a w nich uczniów, uczennic i nauczycieli? I rzecz dziwna: *ani razu* nigdzie przy podobnych badaniach *nie zdarzyło mi się usłyszeć odpowiedzi: u nas szkoły niema*; przeciwnie, w każdej gminie, chociażby najmniejszej, *zawsze się szkoła znalazła*; w większych było ich dwie, trzy, czasem nawet więcej, a we wszystkich tych szkołach było dużo uczniów, uczennic i dostateczna ilość nauczycieli i nauczycielek. Przyznaję się otwarcie, że fakt ten dawał mi nieraz wiele do myślenia. Wszakże to u nas, którzy się zowiemy cywilizatorami Bułgarii, *mnóstwo jest wsi dużych, nie mających żadnej szkoły*, a jeszcze więcej takich, gdzie istnieją tylko nominalnie, bo bez uczniów a często i bez nauczyciela. Nie Turcy wprawdzie zaprowadzili szkoły wiejskie w Bułgarii, ale Turcy

(bo i nieprzyjaciołom sprawiedliwość oddać należy) nietylko nie przeszkadzali założeniu licznych szkół gminnych, lecz nawet popierali je do pewnego stopnia i zachęcali gminy do fundowania szkół. Turcy, pomimo przypisywanego im barbarzyństwa i zacofania, w ostatnich czasach nie obawiali się wcale rozpowszechniania jakiej takiej oświaty; upewniano mię, że nie usiłowali nigdy, na wzór inkwizytorów średnio-wiecznych, wdzierać się w najskrytsze tajniki duszy każdego biednego nauczyciela wiejskiego, czy nie kryją się w nim czasem zarody buntu, żarzewia konspiracyi, mającej obalić tron i społeczeństwo? *Turcy pozostawiali Bułgarom najszerszą i najzupełniejszą swobodę uczenia swoich dzieci*, czego się im tylko podoba. W stosunku do najwyższych tylko zakładów naukowych, t. j. do uniwersytetów, mniejszą okazywali tolerancją, t. j. po prostu nie pozwalali ich zakładać. Ale cóż? Turcy działali w tym względzie z zupełną otwartością przynajmniej; mogli byli bowiem, jak to się dzieje gdzieindziej, fundować z rozgłosem wielkim coraz to nowe uniwersytety i akademie, a potem ogrodzić wstęp do nich tak kołącemi tami, że, koniec końców, dostawałoby się do tych świątyń nauki nieliczni bardzo i to wyłącznie odznaczający się tępym umysłem uczniowie. Lepiej więc w takim razie nie grać komedyi dla świata i uniwersytetom dać za wygraną, rozpowszechniając natomiast oświatę elementarną. Bułgarowie tedy powinni być wdzięczni Turkom za chętnie rozpowszechnianie tej oświaty.

Ale wracam do rzeczy.

Spokój, prostota i rozsądek, towarzyszący wyborom gminnym, jasne pojmowanie swych obowiązków przez urzędników, tudzież praw i obowiązków gminy, świadomość tego, co dla Bułgaryi zbawiennem jest i potrzebnem, słowem, wszystkie przymioty, które w nich spostrzegałem, utwierdzały mię jeszcze bardziej w przekonaniu, że największym błędem, jaki mogliśmy tu popełnić jest właśnie to, żeśmy ogłosili Bułgarów niepełnoletnimi, wyobraziwszy sobie zarazem, iż powinniśmy być ich opiekunami i nauczycielami. Bułgarowie sami najrozsądniej w świecie rozumują o swej przyszłości.

— Dajcie nam tylko — powiadają oni — swobodę i

przestrzeń, a sprawy nasze, z pomocą Bożą, poprowadzimy niezgorzej. Obierzemy sobie reprezentantów, którzy dla nas opracują takie ustawy polityczne i administracyjne, jakich najbardziej wymagają miejscowe nasze warunki.

I nie były to przechwałki: wszystko bowiem, com tu widział i słyszał przekonywa mię, że mieli słuszość zupełną.

Nie masz twierdzenia bardziej błędnego nad to, że rząd reprezentacyjny właściwy jest tylko dla narodów, stojących na najwyższym szczeblu rozwoju umysłowego i politycznego. Jeżeli naród jest zdolny znosić rząd zły i godzić się z nim jako tako, to już z pewnością potrafi znieść rząd dobry, z którym pogodzić się łatwiej. Gdyby trzeba było przytoczyć dowody stwierdzające pewnik powyższy, to dość spojrzeć, co się dziś dzieje w Turcyi. Jeżeli jakkolwiek naród może być poczytywany za najniezdolniejszy do przyswojenia sobie dobrodziejstw samorządu, to oczywiście — Turcy. Dla tego też ogłoszenie konstytucyi tureckiej przyjęte było w wielu krajach ze śmiechem szyderskim. Śmiali się ci, którzy śmiać się mieli prawo: pomijamy to i darujemy im. Lecz śmiali się jeszcze głośniej, i rzecz główna, śmiali się śmiechem złym, bo fałszywym, ci, którzy do śmiechu *żadnego zgoła prawa nie mieli*. Tym darować nie mogę i odpowiadam im chociażby przysłowiem *rira bien, qui rira le dernier*. Cóż jednak wynikło? turecki rząd reprezentacyjny, pomimo swój młodości i pomimo śmiechu, którym go powitano, wstępuje w walkę otwartą i wcale nie bezskuteczną z odwiecznym absolutyzmem tureckim. Już dziś spostrzedz łatwo, kto w tej walce pozostanie zwycięzcą. Jeśli więc Turcy okazali zdolność do samorządu, to niema i być nie może żadnej podstawy do mniemania, że Bułgarowie będą mniej zdolnymi od nich. Ci, którzy są przeciwnikami rządu reprezentacyjnego w Bułgaryi, dowodzą tylko, że osobistym ich widokom najwięcej odpowiada porządek, będący antytezą samorządu. Ależ w takim razie należałoby lepiej postąpić otwarcie i jasno powiedzieć:

— Jestem nieprzyjacielem formy rządu konstytucyjnej, dlatego, że w takim rządzie nie znajduję dla siebie żadnych zgoła korzyści osobistych.

To byłoby szlachetniej nierównie, niż maskować rzeczywiste powody swej nieprzyjaźni dla samorządu szumnemi słowy o korzyściach i dobrem Bułgarów. Zresztą w Bułgarii niespotykaliśmy zbyt wiele osób, nie uznających możliwości wprowadzenia rządu reprezentacyjnego. Przeciwnicy jego należą niestety do obozu przybyszów i rzeczników opieki rosyjskiej i rosyjskiej administracji.

— Zmiłuj się Pan — powiadają oni — jak można nawet marzyć o rządzie reprezentacyjnym dla Bułgarii, kiedy tu nie znajdujemy nawet ludzi, zdolnych zająć miejsca wicegubernatorów, lub naczelników obwodowych. Znaleźliśmy zaledwie kilku a i ci nie okazali się zbyt zdolnymi.

— A czy nie przypuszczasz pan czasem — oponował przy mnie jeden z Bułgarów — że nie znajdujecie u nas zdolnych ludzi nie dla tego wcale, aby ich nie było, lecz dla innych zupełnie powodów, z których najpierwszy jest ten, że nie umiecie, a może nie chcecie ich szukać, drugi zaś, daleko poważniejszy, że zapatrujecie się na nas z pewnem uprzedzeniem, zwłaszcza na tych z nas, którzy pozwalają sobie manifestować chociażby najłżejszą dążność do samodzielności, i że odżegnywacie się, jak od djabła, od każdego Bułgara, należącego do „partyi młodych.“ Na wszystkich ludzi z tej partyi wyście nałożyli już piętno przekleństwa, bojąc się ich jak ognia, a to dla tego, że z przyczyn zupełnie mi niewiadomych marzy się wam wszędy i przywидуje widmo rewolucyjne; czujecie wszędzie powiew buntu przeciw władzy prawowitej, chociaż go zupełnie niema i cisza absolutna panuje w powietrzu. Gdybyście się mogli otrząsnąć z tej nieco komicznej trwogi przed upiorem czerwonym, ziejącym ogień i łaknącym krwi, to przekonalibyście się, że łatwo znaleźlibyście ludzi w Bułgarii, jeżeli nie stojących na wysokości wykształcenia europejskiego, to zawsze przecież zdolnych do sumiennej i uczciwej służby krajowej. Tacy ludzie są u nas i jeżeli tylko dacie nam prawo rozporządzania naszym losem według naszej woli i potrzeby kraju, przeświadcycie się naonczas, że nie będziemy sobie wyszukiwać gubernatorów, naczelników obwodowych i innych urzędników w obcym nam kraju, chociażby nawet i u was.

W najwyższym stopniu interesującą przedstawiała mi się zawsze kwestya, jak Bułgarowie zapatrują się na naszą politykę i jakie są ich pragnienia co do przyszłości kraju własnego. Oczywiście więc że rozmowy z Bułgarami, zwłaszcza należącymi do klasy inteligentniejszej, rozpoczynałem bardzo często, starając się je sprowadzić na przedmioty tak bardzo mię zajmujące. Ale trudno mi było nie dostrzedz, że Bułgarowie zachowywali się w pewnych względach niezmiernie ostrożnie, snąc nie życząc sobie, lub po prostu obawiając się mówić otwarcie z Rosyaninem. Trzeba było pewnej wytrwałości i umiejętności, by ich poniekąd zmusić do szczerego wyznania swych opinij, bez krępowania się względami ostrożności.

Wypada mi w tem miejscu odstąpić cokolwiek od rzeczy. Czy istnieje rzeczywiście spójnia ścisła między Rosyą a Słowianami południowymi, czy też spójnia ta jest sztuczną, naciągniętą lub umyślnie utworzoną? Czy też nie przychylają się wszystkie pragnienia i dążności Słowian południowych ku temu jedynie celowi, aby się wyswobodzić z pod ciężkiego jarzma tureckiego? Czy nareszcie obojętną dla nich jest kwestya, do kogo po wyzwoleniu z pod władzy tureckiej należyć będzie prawo zwierzchności nad nimi: do Rosyi, Austrii, lub też do innego jakiegobądź państwa? Stawiając sobie te pytania, przypominam mimowolnie słowa jednego z przywódców powstania hercegowińskiego, mianowicie *Lubobraticza*, z którym zdarzyło mi się spotkać i obcować dni kilka w Bukareszcie. Rozmawiając o roli Austrii i Rosyi w stosunku do Słowian bałkańskich, *Lubobraticz* dość gorąco zaczął mi dowodzić, że sama jedna tylko Rosya ma prawo do ich sympatyj.

— Co będzie z nami? ja nie wiem — mówił *Lubobraticz* — wiem tylko jedno, że wolałbym się sturczyć, pozostać na zawsze pod jarzmem muzułmańskim, niż dać się zniemczyć przez Austryą. Stawiam pytanie bardzo proste: czy istnieje słowiaństwo czy nie? Jeżeli istnieje, to ani jedna jego częśćka nie powinna stać się ofiarą obcego rządu. Serbia, Czarnogóra, Bośnia, Hercegowina, Bułgarya, wszystko to są jednostki należące do wielkiej rodziny słowiańskiej, lecz niemniej dążące do bytu samodzielnego. W jakim kształcie ten

był się objawić? czy zasiądą na naszych tronach dynastye nowe lub stare? wszystko to jedno, byle nie obce. Rosya posiada najwięcej naszych sympatyj. Ale w polityce rosyjskiej widzimy zawsze chwiejność, wątpliwość i pewien zastój tradycyjny, nie licujący z jej teraźniejszą potęgą. Wojna teraźniejsza może wydać wyniki inne, i od tego, jak Rosya z nami postąpi, czy nie zechce tamować naszego rozwoju wewnętrznego? zależyć będzie spójnia nasza z nią i trwałość lub nietrwałość tej spójni.

Przytoczyłem powyższy urywek rozmowy dla tego jedynie, że charakteryzuje on dobrze stosunek, który powinienby istnieć między nami a Słowianami. To co mówił Lubobratycz, dosyć często i z innych ust słyszałem w Bułgaryi. Bułgarowie w gruncie rzeczy większy mają pociąg ku Rosyi, niż ku innym państwom, nie mają do niej wstrętu, pomimo smutnych kart przeszłości, lecz rodzaj ich sympatyj — na cóż bowiem mamy się łudzić — niema wcale charakteru zbyt sentymentalnego. Nie zaślepia ich nasza świetność, nasza potęga. Ten „*biedny naród*“ jak go nazwał jeden z Jowiszów politycznych, widzi doskonale wszystkie nasze, tak silne jak i słabe strony, wszystkie zalety i wady nasze i poddaje surowej ocenie krytycznej nietylko zewnętrzną lecz i wewnętrzną politykę naszą. Pomimo że stopień ich wykształcenia politycznego nie jest zbyt wysokim, wiedzą oni przecież, co w polityce jest złem, a co dobrem, co w ustroju społecznym czarne jest a co białe, i w rozumowaniach swych o stosunku Rosyi do Słowian powodują się dowodami z historyi i oceną postępowania naszego z temi plemionami słowiańskimi, które już w jedno ciało polityczne połączone z nami zostały.

— Powiedzcie mi, zapytywałem nieraz Bułgarów, czego wasz naród pragnie i do czego dąży właściwie?

— Pragnie on — odpowiadano mi — nabyć przede wszystkim prawa do życia, ponieważ dotychczas myśmy nie żyli, tylko umierali powolnie. Błagamy więc was o wyzwolenie z rąk wiekuiście nas gnębiących. Oto nasze pragnienie i dążność na teraz.

— Bardzo dobrze. Przypuśćmy jednak, że temu pragnieniu waszemu, najślusznieszemu w świecie, stanie się

nareszcie zadość. Cóż potem? Jakież natenczas będą wasze nadzieje i na czem je oprzeć zamysłacie?

— Wszystko, cokolwiek z nami się stanie, będzie lepszem od tego, co dziś jest. Czy będziemy należeli do innego jakiegokolwiek państwa, czy utworzą z nas księstwo oddzielne, będziemy zadowoleni ze wszystkiego.

Czułem, że od odpowiedzi szczerzej uchylają się Bułgarowie. Chcąc ją przecież otrzymać, pytałem dalej:

— Jednakowoż czegobyście pragnęli sami? Przecież mieć musicie swoje osobiste życzenia w tej mierze?

Milczenie.

— Czy życzylibyście sobie n. p. być przyłączonymi do Rosyi?

Po chwili milczenia wymownego nastąpiła odpowiedź:

— Jeżeli inaczej być nie może, zgadzamy się na wszystko.

— A jeżeli może być inaczej?

— Wtedy zapewne, że pożądanym byłby byt samodzielny. No... chociażby pod opieką Rosyi.

— Dla czegoż pożądanym? badałem dalej.

— Zechciej to pan zważyć — tłumaczyli się nieśmiało Bułgarowie — że my jesteśmy bardzo przywiązani do Rosyi, ale jednak przyłączenie do niej zdawałoby się nam trochę... niedogodnem. Myśmy naród mało rozwinięty, nam trzeba stopniowo, powoli, wyrobić swój własny porządek, swoją własną organizacją, prostą, nie skomplikowaną. Gdybyśmy dostali się pod władzę Rosyi, zechcianoby natychmiast zastosowywać do nas porządku wasze, nie przeczymy, że dobre i dojrzałe, lecz dla nas obce i takie, do których my nie jesteśmy przygotowani. Mogłoby tedy wyniknąć nieporozumienie; wybyście zaczęli uważać nas za niezdolnych, nierozwiniętych, do waszego rządu i... przypuszczać można, że byłoby nam z tem nie dobrze.

Doskonale rozumiałem, że w tych słowach mieści się wiele rzeczy niedopowiedzianych, że inne zupełnie myśli, śmielsze, a nie dość dla nas przyjemne, gościły w ich głowach, lecz nie mogły wyłonić się na zewnątrz dla braku szczerości.

— Dlaczegoż jednak myślicie koniecznie, że Rosyanie traktować was będą z wysoka i wzgardliwie? pytałem ich.

— Jeśli pan już chcesz koniecznie odpowiedzi otwarciej, to wyznamy, że i teraz już, gdy los nasz nie jest zdecydowanym, obchodziecie się z nami nazbyt surowo.

— W czymże się zawiera owa surowość nasza?

— A chociażby w stosunkach z nami waszego zarządu cywilnego. Jeżeli już teraz zapatruje się on na nas, jako na swych podwładnych, prawie niewolników, to cóżby było, gdybyśmy przeszli pod waszą władzę ostatecznie. Wasi urzędnicy obchodzą się z nami brutalnie, nie chcą wysłuchać zdania żadnego Bułgara... Kto tylko z nas uda się do waszego urzędu, usłyszy zawsze jedno i jedno: „wyście naród nierozwinięty, głupi, głupie wasze rozumowania, nie powinniście wdawać się w nie i kwita... A jeżeli my wam co mówimy lub rozkazujemy, powinniście słuchać, milczeć i być wdzięczni!...” My też jesteśmy wdzięczni, ani słowa, ale my sami lepiej wiedzieć możemy o swoich własnych potrzebach, a odzywać się nam nie pozwalają. I to nietylko sam pan gubernator tak z nami postępuje. Na wzór jego kształcą się i inni, niżsi panowie urzędnicy zarządu cywilnego. Skoro kto do nich przyjdzie, usłyszy, że jest głupi, dziki, że powinien milczeć; a nigdy wysłuchany nie jest. Oto, dlaczego życzylibyśmy sobie własną mieć administracyą. Jaka ona będzie, to będzie, — niedoskonała, przypuśćmy nawet, głupia — zawsze będzie nasza, własna, a my o swoich potrzebach wiemy sami najlepiej. Ale, jeżeliby inaczej być nie mogło, to zadowolnilibyśmy się księciem panującym z waszej dynastyi, gdyby tylko można było mieć pod nim samorząd nasz własny, jaki n. p. mają Rumunia i Serbia.

Uderzało mnie mimowolnie, jak rychło pośród Bułgarów stał się niepopularnym zarząd cywilny rosyjski i z jaką szybkością rozpowszechniały się pomiędzy nimi rozmaite opowiadania i anekdoty wcale nie dodatniej natury o naszym organizatorze Bułgaryi.

Jako próbkę tego i jako wskazówkę, co mianowicie wywoływało największe niezadowolenie Bułgarów, przytoczę tu opowiadanie następujące:

Bułgarowie nie życzyli sobie, aby ich duchowieństwo odgrywało zbyt wybitną i wpływową rolę w sprawach wewnętrznych kraju. Powody swej niechęci dla duchowieństwa skromnie i oględnie wyjaśnili zarządowi cywilnemu; lecz otrzymali surową i groźną odpowiedź, „żeby się nie ośmielali odzywać z podobnemi rzeczami; że duchowieństwo powinno mieć wpływ poważny i przeważny w kraju; że naród bułgarski jest ciemny a przytem niewdzięczny, zapomina bowiem, że duchowieństwo broniło narodowości bułgarskiej, zachowywało język i tradycye, za co należy mu się wdzięczność i szacunek, bo religia jest owym kamieniem węgielnym, który...“ itd. itd., bo nie będziemy powtarzali morałów banalnych, wiadomych dzieciom z katechizmu.

— A my nie myśleliśmy, — dodawali opowiadający — mówić cokolwiek przeciw religii. Broń Boże! Myśmy chcieli tylko powiedzieć parę słów o duchowieństwie, które znamy przecież dobrze.

A trzeba tu wyjaśnić, że duchowieństwo bułgarskie stoi rzeczywiście na bardzo niskim poziomie moralnym i umysłowym i że nadto większość wcale nie szczególnej używa reputacyi, bo wielu z duchownych miało bezpośredni stosunek z urzędnikami tureckimi wcale nie na korzyść Bułgarów. Z tąd też pochodzi, że Bułgarowie nie mają żadnego szacunku dla swych pasterzy, którzy nań wogóle nie zasługują.

Trudno oczywiście powiedzieć, o ile jest słusznem to wszystko co mówiono mi o naszym zarządzie cywilnym. To jedno jest pewne, że sądzono go w większości wypadków nie wedle czynów, bośmy mało co robili, lecz wedle słów, bośmy mówili dużo. Inaczej też być nie mogło, gdyż pola do rzeczywistej działalności nie mieliśmy jeszcze prawie. Były pojedyncze fakta, żeśmy się rwali do jakiejś pracy, lecz fakta te właśnie po większej części nie zasługiwały na pochwałę. Niepopularność naszej administracyi tem daje się objaśnić przeważnie, że Bułgarowie obawiali się, aby ona z prowizorycznej nie stała się stałą. Obawiali się dlatego, że pragnęli w duchu mieć własny swój samorząd, a pragnąc, mieli nadzieję osiągnięcia swych życzeń. Pragnienie to wszakże nie trzeba koniecznie poczytywać za dowód nie-

chęci Bułgarów do Rosyi. Nieraz w mojej podróży z Tironowy do Kazanłyka miałem sposobność przekonania się, że rzeczywistej niechęci do nas w sercach bułgarskich nie było, była zaś tylko sztuczna, wywołana przez nas samych, a raczej przez nasz niefortunny zarząd cywilny.

Opuściwszy Trawnę, po dość długiej i nużącej przeprawie przez Bałkany, którą nam zresztą wynagrodziła obficie malowniczość widoków górskich, zatrzymaliśmy się dla odpoczynku w niewielkiej czysto bułgarskiej wiosce Stancze-Chan. W tym zakątku nie widziano jeszcze dotąd nigdy rosyjskiego oficera, ani żołnierza, dlatego też mieszkańcy przypatrywali się nam ze szczególną ciekawością. Zgromadzeni licznie w ulicy, kłaniali się nam, uśmiechali i tłumnie nas przeprowadzili do niewielkiego domku, mieszczącego szkołę miejską, a oddanego nam na chwilowe mieszkanie. Przez tłumacza rozpoczynawszy z nami gawędę, wypytывali, skąd przybywamy, dokąd jedziemy, gdzie są wojska rosyjskie, czy dużo ich? i t. d. i nawzajem zawiadomili nas, że niedaleko bo o 7 lub 8 wiorst znajdują się baszybuzuki, lecz, że do nich jeszcze nie przychodzili i nie krzywdzili ich w niczem.

— Oto teraz — mówił jakiś staruszek — kiedy się dowiedzą, że Moskale przyszli do nas, to kto wie, mogą jeszcze w nocy napaść na wioskę.

Wyszedł też na nasze spotkanie miejscowy paroch, staruszek ośmdziesięcioletni, z długą i białą jak mleko brodą i oczami oddawna przygasłemi. Z powierzchowności niczem się on nie odznaczał wśród innych Bułgarów, chyba tylko chudą swą postacią i ubogim ubiorem. Ubóstwo to dowodziło wymownie opłakanego stanu duchowieństwa w tych stronach, a przynajmniej tych, którzy nie trzymali się za ręce z Turkami. Z tym starcem mogliśmy się cokolwiek rozmówić po rosyjsku, ale nie wiele można się było nauczyć z jego rozmowy. Poziomem umysłowym ani trochę nie stał on wyżej od innych mieszkańców wioski, o niczem też nie mógł nam dać informacji mniej więcej zadawalniających. Zaprosił nas staruszek na nabożeństwo dziękczynne do cerkwi, która znajdowała się tuż obok szkoły, jak nam wskazało. A trzeba było ją wskazać, bo inaczej nie domyślili-

byśmy się nigdy, że to jest cerkiew, ponieważ żadnych oznak zewnętrznych nie miała i trudno ją było odróżnić od innych domków włościańskich. Szczupła dosyć szopa drewniana z płaskim dachem, bez krzyża, nie mówiąc już o dzwonicy, oto był widok zewnętrzny tej biednej cerkiewki. Dzwonice były zabronione powszechnie i głosu dzwonów nie słyszało ucho nasze, od czasu gdyśmy przybyli do tego pięknego lecz nieszczęśliwego kraju. Nawet w tak wielkiem stosunkowo mieście jak Tirnowa, gdzie ludność składa się prawie wyłącznie z Bułgarów i gdzie jest kilkanaście cerkwi, głos dzwonów po raz pierwszy od niepamiętnych czasów dał się słyszeć dopiero po wstąpieniu wojsk naszych do miasta. W małych zaś wioskach, jak ta, w której znajdowaliśmy się teraz, rząd turecki niepozwalał nawet ozdobić krzyżem lichej szopy, służącej za dom modlitwy dla niewiernych giaurów, chociaż ani jednego Turka w całej wiosce nie było. Wewnętrzne przyozdobienie cerkiewki odpowiadało w zupełności jej widokowi zewnętrznemu. Było to ubóstwo smutne, graniczące z nędzą. Małutki ikonostas (ołtarz), wyrobiony siekierą z sosnowego, wcale niepomalowanego drzewa, z dwoma potwornymi obrazami Świętych... Na carskich wrotach, równie małych i ubogich, śnać była kiedyś pozłótka i jakaś barwa zielonawa, lecz wszystko to opadło teraz, pozostawiając tylko gdzie ślady i czyniąc ogólny widok jeszcze smutniejszym. W żadnej, najuboższej rosyjskiej wioszczynie nie zdarzało mi się widzieć nigdy takiej biednej, opuszczonej i zaniedbanej cerkiewki. Dwie żółte woskowe świeczki niewielkie, krzywe i cienkie, zapalone przed obrazami, oświecały bladym światłem ten nędzny, zapomniany przybytek chrześcijański. Weszło z nami do cerkiewki kilku miejscowych mieszkańców, Bułgarów; stanęliśmy szeregiem przed carskimi drzwiami i paroch słabym głosem, który zaledwie słyszeć było można, zaczął śpiewać *mołieben*. Ryza (kapa), którą przywdział do służby bożej, była znoszona, wytarta, świecąca nawet dziurami i od dawna niemająca już żadnego koloru... zaledwie trzymała się na plecach chudego staruszka. Nie było w cerkwi śpiewaków, ani nawet diaka żadnego i słaby głos zgrzybiałego parocha obijał się o nagie ściany smutnej tej świątyni jakos

dziwnie głucho i niby zagrobowo. Trudno opisać wrażenie, któregośmy doznali w tej cerkiewce, tak nędznej, że wyrazić tego niepodobna. Widać, że imię Chrystusa z drżeniem strachu wymawia się w tych miejscach. Serce nam się ścisnęło boleśnie i mamże wyznać? — nie uczucia pobożności, lecz pragnienia zemsty doznawaliśmy w obec tej ukrytej od ludzkich oczu modlitwy... zemsty i nienawiści przeciw gnębielom wolności wyznania całego narodu, przeciw tym, którzy zabraniają swobodnie wyznawać swoje przekonania a nawet głośniej modlić się Bogu swojemu.

Jakoś ponuro brzmiała tu modlitwa za wojowników rosyjskich i daleko żywszym i bardziej dolegliwym stawał się ból na wspomnienie tych licznych ofiar, które już poległy i ledz będą musiały jeszcze, i jeszcze zanim się zmieni na lepsze stan tego kraju nieszczęśliwego. I czy się zmieni? pytanie...

Drżący głos starca nie przestawał jeszcze brzmieć w pustych ścianach świątyni... Zgrzybiały paroch modlił się za zdrowie żywych, nawet za zdrowie tych, którzy oddawna przenieśli się do wieczności. Łatwo było spostrzedz, iż życie tu stanęło, zastygło — że tak powiemy, nie zasilone przypływem z zewnątrz... Widać było, że wieści ze świata nie otrzymywano tu oddawna żadnych, że nawet spóźniony dziennik nie zabłąkał się tu oddawna... Od nas po raz pierwszy dowiedział się po nabożeństwie paroch o śmierci nieboszczyka następcy tronu, za którego zdrowie właśnie modlił się pomiędzy innymi... A gdy mu o tem powiedziano, spojrzał swojemi przygasłemi oczami, jak gdyby zdziwiony niezmiernie, nie odpowiedział ani słowa — tylko natychmiast wykreślił ostrożnie imię zmarłego ze swojej książki cerkiewnej.

W niewesołym wcale usposobieniu opuściliśmy cerkiew. Los Bułgarów stał się w naszych oczach jeszcze bardziej współczucia i litości godnym.

Kiedyśmy powrócili do naszego mieszkania, gromadka Bułgarów, złożona z kilkunastu ludzi, krzątała się u przygotowanego stołu, zastawiając dla nas wieczerzę. Mięsiwa było podstatkiem. Co najmniej całego barana zarznął biedacy dla nas. Czego dowodził ten tłusty poległy baran? Czy

szczerej przychylności dla nas tych ludzi, czy też może tylko strachu, który się stał drugą ich naturą?

— Bądź co bądź a baszybuzuki mogą zajrzeć do nas przez ciekawość — odezwał się ktoś w gromadce.

Choć mało było powodów do powyższej obawy, koledzy moi jednak, jako ludzie doświadczeni już w rzemiośle wojennem, postanowili przedsięwziąć środki ostrożności. Rozstawili tedy w rozmaitych punktach wioski improwizowaną wartę, złożoną z kilku Bułgarów, którym dano w rękę karabiny. Oprócz tego, kozacy nasi mieli odbywać czaty, zmieniając się co dwie godziny na placówkach.

— Odwołajcie panowie te warty, pozwólcie Bułgarom iść spać! — przemówił jeden z nas, gdyśmy wszyscy rozłożyli się na noc na zasłanej sianem podłodze niewielkiej izdebki szkolnej.

— A któż nam zaręczy — odezwał się drugi — śnać najostrożniejszy wojownik z naszego kółka — kto zaręczy, że w tej wiosce nie ma ani jednego Bułgara chytrego, który pójdzie sobie na przechadzkę w nocy, wstąpi w gościnę do baszybuzuków i uwiadomi ich o naszym przybyciu. Ja wam powiadam, panowie, bądźcie ostrożni; śpijcie jednym okiem i połóżcie tuż pod ręką swoje rewolwery. W czasie wojny czujność nie zawadzi „à la guerre comme à la guerre.“

I zaczęły się opowiadania o rozmaitych niespodziewanych a krwawych napadach.

— Et! dajcie pokój opowiadaniom o strachach; spać nie będziemy spokojnie. Nie mieliby roboty baszybuzuki po-fatygować się do nas wśród tak ciemnej nocy.

Lecz opowiadania ciągnęły się jeszcze.

Nareszcie odezwałem się:

— Panowie! przypomniałście sobie widocznie te czasy, kiedy stara piastunka opowiadała wam na noc, dla przedśpienia, bajki o strachach i widmach. Nie bądźmyż piastunkami i dziećmi....

Zaśmiali się wszyscy, umilkli i wkrótce usnęli. Szyldwachy daremniuteńko stały całą noc na warcie, baszybuzuki bowiem okazali się tym razem podobnymi właśnie do owych bajecznych rozbójników, którzy przecież nigdy dzieciom miłego snu nie przerywają.

Nazajutrz, skoro świt, ruszyliśmy w drogę. Podróż była dość ciężką; trzeba było bowiem przeprowiać się przez dość wysokie w tem miejscu szczyty gór bałkańskich.

Postanowiliśmy spuścić się do „doliny Róż“ nie przez Szybkę i nie przez Chankioi, lecz przez przeprawy trawniańską i sielczańską, kędy jeszcze wojska rosyjskie nie przechodziły wcale.

Ten tylko, kto widział Bałkany, wyobrazić sobie może, jak nadnaturalnych wysiłków, jakich cierpień, mąk nadludzkich musiały doznawać wojska rosyjskie, przeprowiając się przez Bałkany w zimie, gdy na szczytach gór panują straszne mrozy, niesłychane zamiecie śnieżne i burze. Trzeba było siły olbrzymiej i prawdziwego bohaterstwa, by przebyć i znieść to wszystko, co przebyć i znieść musiał nasz żołnierz. Jeżeli latem, w czasie najpiękniejszej pogody, kiedy promienie słońca ogrzewały nas, a wietrzyk górski orzeźwiał, przeprawa przez Bałkany zdała się nam trudną i nieznośną prawie, to cóż się tam dziać musiało w zimie, w czasie mrozów, ślizgawicy i uraganów? Dreszcz przechodzi po skórze na samą myśl, jakich męczarni doznali tam biedni ludzie, nie zaopatrzeni nawet w dobre obuwie i odzież cieplejszą, a zmuszeni walczyć z przyrodą.

Większą część drogi odbyliśmy, wpół idąc wpół pełzając. Biedne nasze konie zaledwie wlokły się za nami, potykając się na każdym kroku, padając, wybijając się z sił ostatecznie. Droga niesłychanie stroma, grunt najeżony skałami, przepaście, kamienie, urwiska, a miejscami taka ślizgota, spowodowana obfitością zwiru krągłego, usypanego na kamieniach, że człowiek stanie i patrzy i sam nie wie, czy iść dalej czy się cofać. Nieraz nam się zdawało, że już dla nas ostatnia wybiła godzina; że tuż tuż noga się poślizgnie, ciało straci równowagę i człowiek zleci gdzieś w głębie przepaściste, aby już nigdy więcej nie ujrzeć światła słonecznego.

Sześć godzin ciągnęła się ta ciężka przeprawa, zanim spuściliśmy się po spadzistości straszliwej i ujrzeli się nareszcie w prześlicznej dolinie, umajonej zielenią, wśród której rozrzucona była w malowniczym nieładzie dość duża wioska bułgarska — Sielce.

Może dlatego, że w tej wsi odludnej nie widziano jeszcze nigdy Rosyan, nie miano więc sposobności ani czasu do rozczarowań, dość że nigdy nigdzie potem nie zdarzyło mi się widzieć tak szczerzej, zupełnej radości, jaką natchnął mieszkańców Sielec widok naszego niewielkiego oddziału, złożonego z kilkunastu jeźdźców marsowej po większej części postaci. Widząc radość nieudaną uprzejmego ludu, mimowolnie uprzytomniłem sobie wyrzuty, słyszane nieraz z ust naszych urzędników, głoszących, że Bułgarowie nieludscy są i niewdzięczni, i że dla nich nie warto było rozpoczynać wojny, skoro samej tylko nieprzychylności dają nam dowody.

Cała ludność wsi, złożonej z 60 z górą chałup czyli *kiszt*, wyszła na nasze spotkanie. Mnóstwo rąk wznosiło się ku nam, wielu Bułgarów zbliżało się do naszych koni, chwyciło nas za suknie, całowało w ręce. Jak gdyby pod eskortą honorową całej ludności miejscowej skierowaliśmy się ku chałupie, którą nam ofiarowano na mieszkanie. W jednej chwili zniesiono mnóstwo kilimów, poduszek, stołków i pod cieniem drzew owocowych, (bośmy do chaty zaglądać nie mieli ochoty) urządzono nam spoczynek przewyborny. Nigdy nikomu, jak sądzę, nie wyprawili oni takiego bankietu, jaki przygotowali dla nas. Stu ludzi, wycieńczonych kilkudniowym głodem, mogłoby się było posilić do syta. W nadmiarze radości przynieśli barana, upieczonego sposobem oryginalnym, bo w całej postaci i z głową ozdobioną w przepyszne rogi. Kur, kurcząt pieczonych i gotowanych było co niemiara; była też jakaś, dosyć niesmaczna bułgarska kasza z miodem, i wino, i wódka, słowem, niósł każdy, co tylko miał w chałupie, aż każdy z nas mimowolnie musiał stać się żarłokiem, aby zrobić przyjemność tym pocziwym ludziom. Otoczyli nas wszyscy gęstą gromadą i szeptali coś wesoło pomiędzy sobą, wskazując na nas. Kobiety i dziewczęta przyniosły nam kwiaty. Nie wiedzieli biedacy, coby wymyślić jeszcze, aby nam dowieść szczerzej swej radości...

Bardzo się oburzyli po uczcie, kiedy chcieliśmy im zapłacić za tak hojny częstunek.

— Wy przyszliście wybawić nas od Turka, a mybyśmy mieli brać pieniądze za ofiarowany wam posiłek?

A jakieżto było pożegnanie rozrzewniające, gdyśmy znów dosiedli koni, aby się udać w dalszą podróż. Błogosławieństwom i życzeniom szczęśliwej podróży nie było końca. Proszono nas usilnie, abyśmy zostali na noc, bo wyjeżdżać wieczorem niezupełnie bezpiecznie: mogą się nawinąć baszybozuki; rankiem lepiej i pewniej. A gdyśmy się nie zgodzili na to, czterech ludzi sieleckich ofiarowało się nam na przewodników; ci dwaj bowiem, którzy nam towarzyszyli do Sielec, nie chcieli jechać dalej, czy w obawie spotkania się z Turkami, czy może, jakto spostrzegłem, mieli już dość widoku i towarzystwa naszego.

Na drodze z Sielec do Kazanłyka było kilka wsi turckich. Przewodnicy nasi starali się nas przekonać, że lepiej nałożyć wiorst kilka i okrążyć owe wioski, niż spotkać się z ich mieszkańcami — Turkami. Rada ich jednak nie została uwzględnioną, ponieważ wszyscyśmy byli przekonani i nie bezzasadnie, że jeśli już Turcy zdecydowali się pozostać w swych wioskach, to nie po to wcale, aby napadać na Rosyan.

— Czy tych Turków tak dużo, że się ich boicie? — pytaliśmy Bułgarów.

— Dużo nie dużo, a zawsze więcej niż nas — była odpowiedź...

— Przecież im broń odebrano... to są ludzie, którzy się poddali, a więc szkodliwymi być nie mogą, jako spokojni mieszkańcy.

— Oni spokojni? mówili na to bojaźliwi Bułgarowie. — Prawda! ale tylko do czasu, pokąd się boją. Co zaś do broni, nie myśl pan, że jej nie mają. Oddają do rąk władzy tylko broń starą i do niczego niezdatną, nową zaś i dobrą tak przechowują, że nikt jej nie znajdzie.

Bułgarowie mieli słuszość. Ile razy tylko nakazywano odbierać od nich broń, sami natychmiast przynosili ją i składali.

— A niema u was czasem więcej broni i lepszej?

— Nie mamy, nie mamy, — nawet na zabawkę nie zostawiliśmy sobie.

A po kilku dniach, lada inny wiatr powonie, zjawiają się karabiny, rewolwery, jatagany, a wszystko to tak potra-

fili przechować do sposobnego czasu, że żadne rewizye nigdy nic u nich nie odkrywały.

Bułgarowie mieli zresztą pewne zasady niepokazywania się na oczy Turkom, ponieważ ci śledzili bardzo gorliwie każdego kroku tych Bułgarów, którzy sprawowali obowiązki przewodników Rosyan lub świadczyli im inne usługi, i przy każdym zwrocie szczęścia na stronę Turków, mścili się na nich w sposób okrutny.

Bardzo powolnie posuwaliśmy się naprzód. Z wyżyn górskich już od dawna spostrzegaliśmy dwie wioski, jak nam mówiono, tureckie. Lecz zbliżywszy się cokolwiek ujrzelismy, że wioski te były spalone. Chałupy stały w zgłiszczach i pośród rumowisk jeszcze dymiących w niektórych miejscach, ledwie gdzieś tam kilka ocalało budynków.

— Kto spalił te wioski? pytaliśmy Bułgarów.

— Sami Turcy, jak zawsze — odpowiadano nam.

Zresztą czasami zdarzały się warianty w odpowiedziach; powiadano n. p., że wieś spalili Moskale. Bywało w rzeczywistości różnie: palili Turcy, palili Rosyanie, ale po większej części wsi tureckie palili sami Bułgarowie, nigdy jednak nie chcąc się do tego przyznać, jakgdyby obawiając się odpowiedzialności. Wspomniałem już wyżej, że tych pożarów niepodobna wyrzucać Bułgarom. Człowiek człowiekiem — i nie zawsze zasługuje na karę czyn zemsty, zwłaszcza gdy się objawia w warunkach takich, jak w tym kraju i czasie.

— Patrząc na te wioski zniszczone, możnaby mniemać, że nikt ich nie zamieszkuje, bo też — jak mieszkać w tych rumowiskach? Tymczasem rzecz się miała inaczej, bo skorośmy tam wjechali, ujrzelismy natychmiast dość liczną gromadę Turków. Nad wioską powiewała biała chorągiew na znak, że mieszkańcy jej poddali się i że samych tylko spokojnych ludzi jest przytułkiem. Byli to Turcy, którzy pierwotnie, gdy się zbliżały wojska rosyjskie, opuścili byli swe siedziby, lecz potem, po zajęciu Kazanłyka, Eski-Zagry i Jeni-Zagry, powrócili do swych domów i wyjednawszy u komendanta Kazanłyka karty wolnego pobytu, pozostali tu dotychczas. Trzeba wyznać, że władze nasze cywilne dość łatwo udzielały pozwolenia Turkom na pobyt

w zajętych przez wojska rosyjskie terytoryach i nie tylko nie złego im nie wyrządzały, ale od mściwych napadów bułgarskich osłaniały ich z pewną predylekcyą, co Bułgarom bardzo się nie podobało.

— Po co zatrzymują Turków wasze władze? pytali mię nieraz Bułgarowie. Niechby sobie uchodzili ztąd, bo przy lada sposobności będą się mścić nad nami.

Ale władze rosyjskie chciały się okazać litościwemi względem Turków i zrobić wrażenie swą wspaniałomyślnością i humanitarnemi poglądami. Tymczasem niepodobna nie wyznać, że owa ostentacyjna wspaniałomyślność, choć niby zasługująca na uznanie, za daleko czasem posuwaną była, stając się źródłem niejednej strasznej dla Bułgarów klęski. Rzecz bowiem miała się tak, że Turcy nie myśleli nigdy odpłacać litością za litość i wspaniałomyślnością za wspaniałomyślność. Z pozoru cisi i spokojni, usiłujący wszelkimi sposobami okazać pokorę, łagodność i brak wszelkich uczuć nieprzyjaznych, skoro tylko wojska nasze opuszczały jakąkolwiek miejscowość, natychmiast stawali się innymi i wywierali na Bułgarach złość swą tem dotkliwiej, im dłużej była tajoną. Dość było lada pogłoski, że wojska rosyjskie poniosły gdziekolwiek porażkę i że armia turecka zbliża się do nich, aby ich ton i sposób postępowania uległ rażącej zmianie i z pokornego stał się wyzywającym.

— Gdybyście Turkom nie pozwalali pozostawać w zajętych przez wasze wojska *kazach* — mówili Bułgarowie — to nas zginęłoby mniej nierównie, a nasze żony i dzieci nie broczyłyby we krwi.

Wojna jest sprawą już ze swej natury wcale niehumanitarną, niepodobna więc pragnąć w nią mieszać pierwiastków zbytnej litości, zwłaszcza w wojnie ze sfanatyzowanymi Turkami, niecofającymi się przed żadnemi środkami okrucieństwa. A przedewszystkiem trzeba umieć zachować środek między surowością a umiarkowaniem. Że zaś my tego środka nie umieliśmy zachować nigdy, to rywalizując w surowości z samymi Turkami, to znów robiąc paradę z naszych uczuć litości chrześcijańskiej, historia teraźniejszej wojny niemało na to przytoczy dowodów. Nie jestem zwolennikiem srogości zbytnej nigdzie i nigdy, mniemam wszakże,

że środki ostrożności i zabezpieczenia Bułgarów od zemsty tureckiej powinny były być zachowane.

Powie mi ktoś może, że jeżeli już błądzić lub grzeszyć, to lepiej zbytkiem litości niżli jej brakiem. Nie przeczę. Powiem tylko, że litość okazywana Turkom, przez samo prawo loiki, obowiązuje nas niejako, abyśmy te same zasady przyswoili sobie stale i wszechstronnie i zastosowywali je do naszych własnych stosunków wewnętrznych z ludami nam podległymi. Inaczej bowiem ktoś może, i słusznie, ukłuć nas dotkliwie słowami własnego naszego przysłowia:

W gościach — anioł z mojej żony,
W domu — szatan z niej wcielony.

Zbliżywszy się do jednej z wymienionych wiosek tureckich, ujrzelśmy Turka stojącego potulnie na stronie. Zawołaliśmy nań, żeby się zbliżył, ale Turek rzucił się jak szalony i nie oglądając się, zaczął co sił uciekać. Po chwili jednak kilku innych Turków, zwabionych naszym widokiem, zebrało się w gromadkę i stanęło obok nieśmiało. Zanim zdołaliśmy im zadać jakiekolwiek pytanie, zaczęli wyciągać skwapliwie z kieszeni jakieś białe papierki i pokazywać je nam zdaleka. Były to karty wolnego pobytu, wydane im przez komendanta kazanłyckiego. Wszyscy ci Turcy wyglądali bardzo ponuro i nieżyczliwie, nie chcąc widocznie wdawać się z nami w rozmowę.

- Czy w Kazanłyku są wojska rosyjskie?
- Nie wiemy.
- A w sąsiedztwie czy są gdziekolwiek Turcy?
- Nie wiemy.
- Baszy-buzuki są tu gdzie w pobliżu?
- Nie wiemy, nie nie wiemy. . . .

Na wszystkie nasze pytania otrzymywaliśmy ciągle też samą stereotypową odpowiedź: „Nie wiemy.“ Nic więcej wydobyć z nich nie można było; daliśmy więc pokój badaniom.

Jak oni tu żyli pośród rumowisk i w miejscowości spustoszonej zupełnie, jednemu Bogu tylko wiadomo. Ale że powrócili tu w nadziei, iż „Moskwy“ wkrótce zmuszeni będą opuścić te miejsca, więc nastaną dla nich lepsze czasy, nie było najmniejszej wątpliwości. W ich zachowaniu się z nami

pod pozorami pokory kryła się widocznie jakaś buta i zu-chwalstwo, a w oczach ich spostrzegaliśmy często błyski bardzo złowróźbnej natury. Być może, że było już im wiadomem, o czem i my w drodze dowiedzieliśmy się właśnie, że Sulejman basza dość szczęśliwie rozpoczął zaczepną przeciw nam wyprawę z dużemi stosunkowo siłami przeciw niewielkiemu oddziałowi generała Górki, który bądźco bądź bardzo świetnie dopełnił pierwszej naszej przeprawy przez góry bałkańskie. A że ta przeprawa nie przyniosła na razie owoców pożądaných, nie było w tem winy wodza, lecz tych którzy mu nie dostarczyli w właściwym czasie potrzebnych zażytków. Ale czy jedno złe stało się w skutek braku planu jednolitego? Czy jedno usiłowanie zdolniejszych generałów sparaliżowane zostało nieudolnością innych?

Przewodnicy nasi radzili nam, abyśmy coprędzej wy-dalali się z tej wioski, niezbyt dowierzając jej mieszkańcom. Któż nie wie, że strach ma wielkie oczy? Bułgarowie więc, których tchórzliwość dość usprawiedliwioną była, obawiali się, że Turcy posłą nam z tyłu na pożegnanie i na pamiątkę parę tuzinów kul karabinowych. Obawy ich jednak były na ten raz płonnemi, bo nie spiesząc się i nie okazując żadnej trwogi, przebyliśmy owe wioski szczęśliwie.

Zmrok zupełny zapadł, kiedyśmy przez „dolinę Róż“ docierali nareszcie do Kazanłyka. Nie sama wszakże ciemność była powodem, żeśmy nie mogli zrozumieć sławnej piękności tej doliny i dlatego ona tak poetyczną otrzymała nazwę? Przekonaliśmy się bowiem potem i przy świetle dziennem, że ani jednego krzaku róży w tej porze roku już tu nie było, a raczej sterczały nagie i suche łodygi, bo upały letnie pozbawiły je nie tylko kwiatów, lecz nawet zieloności.

W Kazanłyku spodziewaliśmy się dopędzić oddział generała Górki, ale zawiodła nas ta nadzieja. Przyjechaliśmy do Kazanłyka późnym wieczorem, a rano tego samego dnia gen. Górko opuścił był to miasto.

Trudno utrzymywać oczywiście, aby Kazanłyk był podobny do miasta europejskiego; jednakże obok wydatnych cech wschodnich odznaczał się on od innych miast bułgarskich tym szczegółem korzystnym, że był niezwykle schludny i czysty. Dzielnice miasta chrześcijańskie z oknami

otwartemi, wychodzącemi na ulicę, stanowiły kontrast raziący z dzielnicami muzułmańskimi, których domy, ogrodzone wysokimi murami, nie miały okien na zewnątrz i kryły się gdzieś w głębi dziedzińców, zdradzając się tylko kominami, jeżeli i tych nie osłaniały konary drzew rozłożystych.

Zamożny Bułgar, w którego domu zakwaterowaliśmy się, przyjął nas z grzecznością nieco powściągliwą, jak gdyby się obawiał okazać zbytnej serdeczności. Przybyliśmy do Kazanłyka z nadziejami bardzo różowemi; dość tedy nieprzyjemnego doznaliśmy wrażenia, słuchając rozmów naszego gospodarza o operacjach wojennych armii rosyjskiej.

— Tak! tak! zapewne... wojska wasze zaszły dość daleko i szybko... szybko, niema co powiedzieć.... Jednakże obawiam się — dodawał, chociaż w głosie jego ani obawy o nasz los ani sympatii dla nas słyszeć nie było — obawiam się bardzo, co będzie dalej? czy nie przyjdzie wam czasem cofać się napowrót. A byłoby to źle! bardzo źle!

Czegoś nie domawiał, widocznie połykając wyrazy. Nie rozumiejąc go, badaliśmy dalej, ale chytry Bułgar — a był to jeden z Czorbadzów — wykręcał się jak mógł i umiał, zbywając nas komunałami, z których nic nie można było zrozumieć.

Był to jeden z tych Bułgarów, którzy żyli w ścisłych stosunkach z Turkami i ciągnąc ztąd dość znaczne korzyści osobiste, nie troszczyli się bynajmniej o biednych swych ziomków, ani ubolewali nad nieszczęsem, poniżajacem i pełnem cierpień położeniem całego narodu. W naszych oczach nawet miał ustawiczne stosunki z rozmaitego rodzaju Turkami, którzy do niego przychodzili to tłumnie, to pojedynczo; a były to przeważnie figury urzędowe, jak: kady, mufty i inni stanowczo zdeklarowani przyjaciele sprawy tureckiej.

Dopiero nazajutrz mieliśmy sposobność wytłómaczyć sobie poczęści zagadkową rozmowę wieczorną. W Kazanłyku wojsk naszych prawie zupełnie nie było po wystąpieniu gen. Górki. Pozostała tylko niepełna sotnia Kozaków. Tymczasem w nocy, zaraz po naszym przybyciu do miasta, zaczęła obiegać pogłoska, że Górko poniósł porażkę i że kilka tysięcy baszybuzuków z dość znacznym oddziałem wojska re-

gularnego tureckiego kieruje się od Karłowej ku Kazanłykowi. Wczesnym bardzo rankiem przebudzono nas, zwiastując tę nowinę niepomyślną. Po raz pierwszy w życiu wypadło mi być świadkiem naocznym tego, co się zowie paniką, czyli popłochem i przykry ten obraz nigdy nie zatrze się w mej pamięci. Popłoch objął całą ludność nieturecką miasta; nie było ani jednego Bułgara, któryby mu nie uległ w sposób mniej więcej widoczny. Znikły uśmiechy, ucichły swobodne rozmowy, ukryły się gdzieś czapki z krzyżami, a ci sami, co je wczoraj z pewną ostentacją nosili, i starzy, i dojrzały, i młodzież, i mali nawet chłopcy, pokazywali się dziś na ulicach nie inaczej, jak w fezach tureckich, a u wszystkich w wyrazie twarzy jedno tylko wyczytać można było — trwogę. Bułgarowie nie kłaniali się już nam tak uprzejmie i wesoło jak wczoraj; niektórzy udawali nawet, że nas nie widzą i nikt się ani odzywał z powitaniem, któreśmy przedtem na każdym słyszeć mogli kroku „*pomagaj Boże, bratuszka*“. Wszystko to ucichło, cofnęło się w głąb piersi. W wielu oczach łatwo było wyczytać pewien wyrzut skierowany do nas: „do czegożście nas doprowadzili? co z nami teraz będzie?“ Turcy pozamykali się w swych domach, nie pokazując się zupełnie na ulicy, ale każdy z nas czuł dobrze, że tam, wewnątrz murów domów, prowadzą rozmowy ożywione i radośne i oczekują niecierpliwie w każdej chwili zbliżenia się tych, którzy ich uwolnią od władzy nienawistnego wroga i znowu poniżą podniesionego chwilowo ducha wiekuiстых niewolników, Bułgarów. Wiele sklepów pozamykano, okiennice domów szczelnie przymknięto, ludność przemykała się zmięszana, smutna, przybita. Mężczyźni, kobiety, dzieci, słowem wszyscy pochyłili się pod ciężarem straszliwej trwogi. Rzekłbyś, że ciężka płyta ołowiana przygniotła wszystkich i tamowała im oddech.

— Cóż mamy czynić? co przedsięwziąć? Oto pytanie, które zadawała sobie wzajemnie garstka Rosyan znajdujących się w Kazanłyku. Położenie komendanta miasta było wcale nie do pozazdroszczenia; to też widocznie upadł on na duchu, chociaż starał się nie okazywać tego po sobie, zachęcając i Rosyan i Bułgarów do wytrwałości i mężstwa.

— Poślijmy na Szybkę; trzeba uwiadomić dowódcę drużyny bułgarskiej. Może też uda się mu pospieszyć do nas z kilką działami! . . . radzili komendantowi nasi towarzysze podróży.

Posłano tedy do Szybki. Ale kiedy ztamtąd nadejdzie odpowiedź i czy nadejdzie? gdy tymczasem w mieście wzburzenie i trwoga rosły z każdą chwilą. Cóż tedy czynić? I rzecz dziwna; w czasie gdy popłoch opanował miasto, nikomu nie przyszło na myśl zadać sobie pytanie: skąd nadeszła pogłoska, jakie jej źródło i czy jest prawdziwą? A może też w rzeczywistości nie nie zaszło takiego, co by usprawiedliwiało trwogę powszechną? Niemasz w czasie wojny większej klęski nad zjawienie się jakiejś pogłoski mglistej, która szybko się rozchodzi między ludnością, przybierając co chwila większe i groźniejsze rozmiary, jak lawina tocząca się z gór szczytu. Doświadczyliśmy tego nieraz w czasie wojny teraźniejszej, a nigdy nie można było wykryć źródła plotki. Tak było i w razie obecnym. Kto przyniósł wiadomość, że baszy-buzuki zbliżają się z Karłowej do Kazanłyka? Kto pierwszy puścił w obieg pogłoskę, że oddział rosyjski poniósł porażkę? Nikt o tem nie wiedział, nikt nie mógł wskazać [ptaka złej wróżby, wszyscy jednak wierzyli bezwarunkowo, że nowina jest prawdziwą i nikt ani na chwilę o tem nie powątpiewał, bo wszyscy dotknięci byli trwogą bezwiedną.

Komendant wysłał na zwiady kilku ochotników kozaków, którzy mieli dotrzeć do oddziału rosyjskiego i zasięgnąć języka w okolicy. Lecz kozacy nie powracali — jak gdyby w wodę wpadli. A tymczasem należało ludność uspokoić, należało coś przedsięwziąć, zdecydować się na jakieś środki obrony w razie rzeczywistego zbliżenia się Turków. Muszę wyznać, że wielu z pomiędzy nas ulegało silnej pokusie opuszczenia miasta i połączenia się z oddziałem wojska pod Szybką. Lecz względy rozsądku przemogły te chętki, bo z drugiej strony jasnem było dla każdego, że ucieczka z miasta chociażby jednego Rosyanina w tak stanowczej i krytycznej chwili wzmogłaby popłoch i naprowadziła Bułgarów na myśl, że i oni w ucieczce tylko ratunku szukać powinni, w ucieczce złączonej z niesłychanemi ofiarami.

Zebraliśmy się na radę wojenną, której improwizowani członkowie znowu zadawali sobie wzajemnie pytania: co począć i co postanowić?

Stało na tem, że trzeba się bronić, przedsięwziąć środki bezpieczeństwa i coś takiego obmyśleć, aby powstrzymać zbliżających się Turków przez kilka chociażby godzin, aż nam nadeślą posiłki z Szybki lub pokąd nie nadejdzie do Kazanłyka ów rozbity przez Turków i cofający się oddział rosyjski.

Ale jak to wszystko urządzić, gdy cała nasza siła zbrojna składała się z niecałej sotni kozaków? Jakim sposobem przedsiębrać z nimi wycieczkę a miasto zostawić bez obrony?

Ale brakło czasu na deliberacye. Postanowienie obrony uchwalonem zostało i przystąpiliśmy zaraz do jej organizacyi.

Zgromadziliśmy Bułgarów i wiele nas kosztowało pracy, zanim zdołaliśmy ich skłonić do przyjęcia udziału w obrobie miasta: większość ich bowiem albo nie ufała nam, albo była za zupełnem opuszczeniem Kazanłyka. Rozmaitemi jednak sposoby udało się nam złamać ich upor. U kogo więc nie było broni, dostał ją i poprowadziliśmy niesforą gromadę Bułgarów na płaszczyznę poza miasto, gdzie natychmiast zawrzała robota. Zaczęto sypać szanice i robić okopy; wszyscy z gorączkowym zapalem jeli się pracy. Oficerowie gwardyi z urzędników cywilnych znów weszli w sferę dla siebie właściwszą: dawali rozkazy, wskazywali miejsca gdzie należy kopać fosy i czynili to tak gorliwie, że w ciągu kilku godzin otwarta i naga płaszczyzna bądź co bądź stała się rodzajem miejsca obronnego. Bułgarowie, zajęci fortyfikowaniem swojego miasta, odzyskali cokolwiek ducha. Praca fizyczna i raz powzięta decyzja obrony podziałały na nich zbawiennie. Znikły z ich twarzy oznaki trwogi i kiedy ku wieczorowi praca ukończoną została i uzbrojeni jakotako Bułgarowie zajęli stanowiska obronne, całe miasto przestało mieć postać przestraszoną, popłoch osłabł, a natomiast zapanowała energia. Zyskano przynajmniej pewność, że w razie zbliżenia się Turków Kazanłyk nie podda się bez walki.

Noc minęła spokojnie. Jakież było nasze zdziwienie, gdy nazajutrz rano otrzymaliśmy wieść radośną, że nie tylko oddział

rosyjski nie poniósł porażki, lecz przeciwnie gen. Górko zadał znaczną klęskę Turkom. Jednocześnie dowiedzieliśmy się, że pogłoska wczorajsza o zbliżaniu się kilku tysięcy baszybuzuków była zupełnie fałszywą, puszczoną w obieg, jak przypuszczaliśmy teraz, przez przyjaciół tureckich w Kazanłyku, że zatem miastu temu żadne nie groziło i nie grozi niebezpieczeństwo. Oczywiście, że miasto przybrało natychmiast inną zupełnie postać. Bułgarowie stali się weselszymi i uprzejmiejnymi dla nas, znikły z ich głów fezy, ustępując znów miejsca czapkom z krzyżami, znów ludność bułgarska podniosła głowy, lecz za to mieszkańcy tureccy stracili miny, pokazując się na ulicach w postaci skromnej i pokornej. Ołowiana atmosfera wczorajsza ustąpiła i niebo zajaśniało weselszymi blaski. W tym dniu pamiętnym widok Kazanłyka wywierał na nas jak najprzyjemniejsze wrażenie. I nie dziw; wczoraj wojna i śmierć zaglądały nam w oczy, dziś zdawały się pierzchać od nas gdzieś daleko poza góry i lasy! . . .

Jeden dzień, spędzony w Kazanłyku pośród popłochu i trwogi powszechnej, dowodzi, jak mniemamy, jasno niestósowności wprowadzania zarządu cywilnego, z którym łączyć się powinna myśl trwałości, do kraju, gdzie tocząca się wojna coraz nowe wywołuje wrażenia i wypadki. Ale nikt o tem nie myślał. Pan gubernator rozkazał, aby zarząd był wprowadzony, dał urzędnikom wszechmocne instrukcje, do instrukcyi więc musieli się oni zastosowywać nieodwołalnie pod groźbą niełaski pana gubernatora.

Nowe zgromadzenie w konaku Kazanłyckim, nawet liczniejsze jak przedtem, nowe narady, i nowa metamorfoza wczorajszych oficerów, rozporządzających robotami fortyfikacyjnymi, w urzędników cywilnych.

Zaraz po zajęciu Kazanłyka zostało nakazaniem przeprowadzenie wyborów rady miejskiej, która się miała składać z przedstawicieli wszystkich stanów, bez względu na wyznanie. Dużą izbę, otoczoną w około sofami tureckimi, napełnili Turcy i Bułgarowie. Jedni i drudzy siedzieli obok siebie bez widocznych oznak nieprzyjaźni; czasami tylko w błysku oczów, w giescie lub mimowolnym okrzyku dosadnym, spostrzedz można było, że zgoda i harmonia były tylko

pozornemi. I niemogło też być inaczej. A trzeba oddać sprawiedliwość Turkom, że lepiej umieli panować nad sobą i rzadziej się wydawali z nienawiścią do Bułgarów. Pozostanie mi jednak w pamięci na długo wyraz twarzy jednego z tureckich przedstawicieli efemerycznej rady miejskiej w Kazanłyku. Przez cały czas obrad milczał on uparcie, ani razu z żadnem nieodezwał się słowem, tylko siedział ponuro, ze spuszczonemi w dół oczami. Ale gdy wzrok podnosił chwilowo, to w nim tyle było powstrzymywanej nienawiści i wściekłości prawie, że dziwić się należało, jakim sposobem zdobył się on na decyzją znajdowania się osobiście na obradach i wysłuchiwania rozkazów z ust Rosyan, których tak chętnie zgładziłby ze świata w każdej chwili? Natomiast inni Turcy wyglądali spokojnie i dobroduszenie, zachowując się jednak z pewną godnością i powagą.

Na tych obradach odbywało się to wszystko, co działo się zwykle na podobnego rodzaju zgromadzeniach. Ogłoszono mieszkańcom Kazanłyka, że „na zawsze“ znosi się bedel, „na zawsze“ uwalnia się ludność od dziesięciny i wiele innych pięknych rzeczy zapewnia się „na zawsze.“ Nareszcie miano przemowę, aby Bułgarowie i Turcy żyli pomyślnie, przyjaźnie, nieczyniąc sobie żadnych krzywd wzajemnych, bo „na zawsze“ powinna zniknąć wzajemna nienawiść, od czasu gdy nasz zarząd uszczęśliwia i Bułgarów i Turków jednakiemi prawami i wiekuistym spokojem.

Nisko kłaniali się Bułgarowie, mocno przykładali ręce do serca Turcy, na znak wdzięczności i pokory *e semper bene*. Tylko ów Turek ponury siedział, jak pierwej, nieruchomie, nie dając żadnych oznak zadowolenia i błyskając złowrogo oczami. Oświadczyliśmy jeszcze, *pour la bonne bouche*, że odtąd ustala się zupełna swoboda sumienia i wyznań, że religia mahometańska będzie szanowaną na równi z chrześcijańską i że meczet, jak i cerkiew prawosławna, będą korzystały z jednakej osłony i opieki prawa. Bułgarowie starali się okazać, że radują się niezmiernie ze wszystkiego, co słyszą. W każdym razie zapomnieli widocznie o wczorajszym popłochu, a nie przeczuwali biedacy, że uroczyste słowo „na zawsze“ będzie miało tym razem zakres bardzo szczupły, bo mieszczący w sobie nie więcej, jak 24 godziny. Nikt

z nich nie przeczuwał, że okazywać radość z rozporządzeń rosyjskich wobec Turków, jest w ich oczach zbrodnią, za którą rychło odpokutować będą musieli strumieniami krwi swojej i swoich blizkich. Jak to mądrze, że Opatrzność nawet dzień jutrzejszy zakrywa przed nami osłoną! Gdyby nie to, nie moglibyśmy byli patrzeć w oczy Bułgarom, przyrzekając im szczęście i pokój „na zawsze,” a co gorzej, nie zdobylibyśmy się może na odwagę cywilną spełnienia w Kazanłyku nieodwołalnych rozkazów ks. Czerkaskiego!

Skończyły się obrady. Gwarna gromada Bułgarów jeszcze nas otaczała, oddając nam pożegnalne ukłony, kiedyśmy spostrzegli dwóch Bułgarów, przeciskających się przez tłumy, wymieniających nazwisko komendanta.

— Czego potrzebujecie? zapytał ich komendant przez tłómacza.

— Przyszliśmy prosić o broń — rzekli Bułgarowie widocznie bardzo wzruszeni. Będziemy bronić się od Turków, którzy zagrażają naszej wiosce.

Ci dwaj Bułgarowie byli mieszkańcami wioski, leżącej w pobliżu Kazanłyka, przybyli zaś tu w imieniu wszystkich swych współmieszkańców, pragnących stawić zbrojny opór przemagającej sile tureckiej.

Zdarzyło mi się nieraz słyszeć zarzuty i skargi, że Bułgarowie są małoduszni, że są poprostu tchórze, niezdolni i niechęcy bronić swej niezależności, swobody i praw do życia społecznego. Wspomnieni dwaj Bułgarowie stanowili żywą odpowiedź na powyższe zarzuty, zadając im kłam. Jak bronić się bez broni, której właśnie wszędzie im brakło, a której posiadać nie mogli nigdy, ponieważ wykrycie u nich broni sprowadzało na nich najsurowsze ze strony Turków prześladowania?

Opuściwszy kanak udaliśmy się w odwiedziny do wziętego przez Rosyan w niewolę byłego kajmakana tutejszego, to jest naczelnika powiatu który sprawował był swój urząd, jako prawdziwy bicz dla ludności bułgarskiej i odznaczył się okrucieństwem podczas rzezi w Bataku. Bułgarowie oczywiście nienawidzili go z duszy i gorliwie pilnowali jeńca, który tymczasem, na wszelki wypadek, udawał pomieszanie umysłu, Nienawidziliśmy także kilku Turków bardziej uprzejmych niż

inni. Prośli oni nas o to i zresztą ciekawiśmy byli popatrzyć na ich życie rodzinne i ład domowy. Byliśmy też przez nich przyjęci z gościnnością właściwą ludom wschodnim. Dla Turka gość jest osobą świętą, chociażby był najzawziętym wrogiem.

— Cóż? pytaliśmy ich — czy Bułgarowie nie rabowali waszych domów po wstąpieniu wojsk rosyjskich do Kazanłyka?

— Były! były wypadki!... ale niewiele: nie możemy narzekać.

I w słowach ich zdawała się brzmieć szczerokość sama, jakgdyby nienawiść odwieczna zapomniana na zawsze została.

A przecież, zanim minęły dwie doby, ciż sami Turcy dowiedli, że nienawiści swej nie zapomnieli; że im i Bułgarom za ciasno żyć na jednej ziemi.

Lecz o tem, co działo się w Kazanłyku po upływie dwóch dni niespełna, będzie mowa w następnym rozdziale. Teraz zaś wszystko tu zdawało się tchnąć takim spokojem, jakgdyby już nigdy to miasto nie miało przeżyć strasznych dni próby.

Pod takim wrażeniem opuściliśmy Kazanłyk. Towarzysze moi udali się napowrót do Tirnowy przez Szybkę i Gabrowę; ja zaś powziąłem postanowienie połączenia się z tymi kilkoma oficerami, którzy jechali do Eski Zagry, mając nadzieję spotkać tam oddział generała Górki.

Sprawy nasze zdawały się z pozoru tak pomyślny przybierać kierunek, że za dni 10 lub za 2 tygodnie, jak mniemaaliśmy naonczas, mogliśmy stanąć w Adrianopolu, ale..... minęło 6 miesięcy, i jakich jeszcze bolesnych i strasznych miesięcy, zanim wojska rosyjskie stanęły w tych miejscach! Bądź co bądź, spodziewając się być wkrótce świadkiem naszego tryumfu, skazany zostałem na oglądanie naoczne cofania się wojsk naszych i tych klęsk straszliwych, których ofiarami, wskutek rejterady naszej, stała się kilkunasto-tysięczna ludność bułgarska. Zamiast Adrianopola, przyszło mi jeszcze raz ujrzeć Kazanłyk, ale, niestety, już zboczony krwią nieszczęśliwych Bułgarów....

Dokończenie nastąpi).

Ludwik Kozłowski.

TREŚCIWY DYARYUSZ

głównych wydarzeń zaszłych w Rzymie,

od dnia 7 do dnia 20 lutego 1878 r.

Dnia 7 lutego. Jego Świątobliwość Papież Pius IX położył się wczoraj do łóżka z lekką gorączką. W nocy sen miał przerywany. O 5 rano dreszcze i krótki oddech. Stan stopniowo coraz gorszy. O 8½ Papież z rąk ks. arcybiskupa Marinello, *Sakrysty* dworu swego, przyjmuje Przenajświętszy Wiatyk. O 9 z rąk tegoż ostatnie olejem św. namaszczenie. Doktorzy oświadczają, że płuca sparaliżowane i że nadziei życia nie ma. O 10 w kościołach parafialnych Rzymu wystawiają Przenajświętszy Sakrament. O 11 Watykan napęłnia się osobami pragnącemi z blizka modlitwą i współczuciem towarzyszyć ostatnim chwilom Ojca Świętego. W mieście już widoczny niepokój na wszystkich twarzach. O 12 Pius IX bierze z pod poduszki Krucyfix i błogosławi nim ciskających się na około łóżka kardynałów, prałatów, sługi, członków ciała dyplomatycznego uwierzytelnionego, przy stolicy św., i arystokracji rzymskiej. Przy boku Papieża stoją: kardynał Bilio wielki penitencjarz i kardynał Marinnelli; w pokoju naokoło łóżka wszyscy inni kardynałowie obecni w Rzymie i domownicy; inni w dalszych pokojach i przedpokojach. Rozpoczynają się modlitwy za konających. Ojciec Święty przy słowach: *Proficiscere anima christiana: Idź*

duszo chrześcijańska, podnosi głowę i głosem wyraźnym mówi: *Si, proficiscere: Tak, idź duszo...* Na prośbę kardynała Bilio błogosławi po raz ostatni całe święte Kollegium. O godzinie 3 min. 40 rozpoczyna się bolesne konanie. Oczy zamglone, widoczna boleść wielka... Kard. Bilio odmawia Różaniec św. O 5½ zaczyna tajemnice bolesne. Dochodzi do czwartej (dźwiganie krzyża przez P. Jezusa), gdy nagle czkawka śmiertelna ustaje. Kard. Bilio wymawia głośno po raz ostatni słowa rozgrzeszenia. Zegar bije 5¾; ostatnie technienie Piusa IX łączy się z uderzeniem dzwonu na wieczorny *Anioł Pański*. Kardynał wielki Penitencjarz uroczystym głosem wymawia: *Requiem aeternam dona ei Domine*: przytomni z głośnym już płaczem odpowiadają: *Et lux perpetua luceat ei....*

Doktorzy i chirurdgowie urzędownie sprawdzają śmierć Papieża i dają o niej wiadomość kardynałowi Pecci, kamerlingowi św. Rzymskiego Kościoła. Ten notyfikuje ją urzędownie kardynałowi Monacho la Valletta, Wikaryuszowi Rzymu i jego dyecezyi. Kardynał Wikaryusz wieczorem ogłasza notyfikacyą do duchowieństwa i ludu rzymskiego, w której przepisuje nabożeństwa za zmarłego Papieża i modlitwy o jak najrychlejszy wybór jego następcy.

Dnia 8 lutego. Miasto spokojne i smutne. Znaczna liczba sklepów zamkniętych na znak żałoby. Od godziny 3 do 4 po południu dzwony wszystkich kościołów Rzymu dzwonią żałobnie, wzywając do modlitwy za duszę Piusa IX.

Ciało zmarłego spoczywa na łóżku żelaznem, wyłożnem czerwonym ałasem, pokryte białemi kołdrami. Twarz pogodna i uśmiechnięta. O 8 rano kardynał kamerling Pecci, w obecności wielu dygnitarzy i prałatów dworu i książąt Altieri i Barberini, dowódców gwardyi szlacheckiej (guardia nobile) odebrał z rąk ks. prałata Macchi, *maestro di camera*, pierścień rybacki, *annulus piscatoris* i protonotaryuszom polecił spisać uroczysty akt zejścia zmarłego Papieża, który zaraz przez niego i innych podpisany i pieczęciami opatrzony został. Poczem tenże kardynał kamerling, który z chwilą śmierci Papieża z prawa obejmuje najwyższą władzę zarządu Kościoła, z asystencyą trzech kardynałów, po jednym najstarszym z porządku kardynałów-biskupów, kardynałów,

presbiterów i kardynałów-dyakonów, wydał stosowne nominacje i rozporządzenia.

Przez cały dzień osoby z jakiegobądź tytułu należące do dworu papieżkiego, odwiedzały zwłoki zmarłego. O godzinie 8 wieczorem doktor Ceccarelli przystąpił do zabalsamowania zwłok.

Gazety katolickie i niektóre z liberalnych ukazały się w żałobie. Muncypalność żadnego znaku żałoby nie dała.

Dnia 9 lutego. Balsamowanie zwłok Piusa IX trwało przez całą noc i zostało pomyślnie dokonane dziś rano o 4¹/₂. Serce i wnętrzności zostały umieszczone w osobnej metalowej urnie. Następnie o godzinie 10 ubrano zwłoki w suknie białe, kaftan papieżki (zwany mazzetta) czerwony wykładany gronostajami, czapkę papieżką (camauro) pokrywającą głowę i uszy. Ręce złożone na piersiach trzymały krucyfix. Tak spoczywając na łóżku, zwłoki odbierały odwiedziny wszystkich osób, które z jakiegobądź tytułu do Watykanu przypuszczone być mogły. A było ich niemało. O 4 po południu wzbroniono dalszego wstępu i ubrano zwłoki w szaty pontyfikalne, ornat czerwony i mitrę biskupią na głowie. O 6¹/₂ rozpoczęło się przeniesienie zwłok do kościoła świętego Piotra. Po strażach i duchowieństwie niesiono zwłoki otoczone penitencyarzami bazyliki watykańskiej i gwardyą szlachecką. Potem postępowali prałaci dworu, dworzanie świeccy, książęta Castelocechio, Altieri, Orsini, Ruspoli, marszałek dziedziecny świętego Rzymskiego Kościoła ks. Maryusz Chigi, senator Rzymu margrabia Caralletti, i wielu innych książąt i panów szlachty rzymskiej. Orszak postępował przez sale watykańskie, krużganki (*loggie*) Rafaela, schody i przysionki. O 7 złożono zwłoki w kaplicy Przenajświętszego Sakramentu bazyliki św. Piotra, gdzie na nie oczekiwała cała tejsza bazyliki kapituła z zapalonemi świecami, oraz wszyscy kardynałowie.

Dnia 10 lutego, niedziela. Od północy u drzwi bazyliki watykańskiej zaczęli się gromadzić pobożni pragnący ucałować nogi zmarłego Ojca św. O 6 rano już ich jest tłum znaczny. O 7 otwierają się drzwi kościoła. Straże i wojsko ustawione w kościele po dwie osoby dopuszczają do kraty kaplicy, po za którą to kratę wystają nogi zmarłego, tak iż

każdy je ucałować może. Na twarzy uśmiech pełen wdzięku; cera białosc swą straciła. O 10 tłumy wzrastają do ogromnych rozmiarów, i tak już przez dzień cały, aż do 4 po południu, gdzie główne wejście zamknięto; tak iż tylko pojedynczo ten i ów przez zakrystyą do kościoła się dostał. O 10¹/₂ przed południem odśpiewano uroczystą Mszę św. żałobną w kaplicy chóru, wprost naprzeciwko tej, gdzie ciało nieboszczyka.

Z całego świata dochodzą wiadomości o głębokim, niezmiernym żalu po ukochanym Ojcu Świętym.

Kongregacye (posiedzenia) św. Kolegium kardynałów odbywają się codziennie i trwają po kilka godzin. Co się na nich dzieje, to pokrywa tajemnica, przysięgą wszystkich kardynałów poręczona. Ze znanych usposobień i prywatnych rozmów wielu z książąt kościoła, wnosić można, że pewna część kardynałów, z kardynałem Mannिंगiem, arcybiskupem Westminster'skim na czele, była zdania by *conclave* odbyć po za Rzymem i Włochami, na Malcie czy gdzieindziej. To się jednak nie utrzymało, *conclave* odbędzie się w Rzymie. Adjutant króla Humberta był u kardynała-kamerlinga, ofiarując mu w imię rządu włoskiego wszelką pomoc zewnętrzną jakiejby św. kolegium potrzebowało. Kardynał Pecci odprawił go z niezem, grzecznie ale stanowczo. Mimo to, rząd uważa za zgodne ze swoim interesem nie przeciw wolności *conclave* nie przedsiębrać. Gazety liberalne ostentacyjnie o tem piszą.

Dnia 11 Intego. Dzisiaj od godziny 4 do 7¹/₂ rano kilka tysięcy osób prywatną drogą, przez zakrystyą, dostało się do kościoła i ucałowało nogi Piusa IX ocierając o nie koronki, krzyże, obrazki i t. p. O god. 7¹/₂ otwarto wejście główne. Tłum był tak wielki, że już nie pozwolono nóg całować, lecz tylko popatrzeć przez chwilę i ustępować. Niezliczone masy ludu napływały w ten sposób aż do 5 po południu. Po czem znówu kolej aż do 7 na tych szczęśliwych co się zdołali dostać przez zakrystyą. Powozy przez cały dzień przybywały przez most św. Anioła, odjeżdżały przez Lungarę i *Ponte di ferro*.

Mnóstwo robotników pracuje nad przygotowaniem lokalu dla *conclave*. Lokal ten obejmuje wszystkie skrzydła pałacu

watykańskiego, które otaczają dziedziniec św. Damazego oraz kaplicę Sykstyńską i sąsiednie mieszkania. Kardynał kamerling jest bardzo czynny.

Dnia 12 lutego. Dzisiaj był zupełnie taki napływ ludu i powozów jak wczoraj. Pielgrzymów przybywa coraz więcej tak z Włoch całych jak i z innych krajów, a najwięcej z Francyi. Nabożeństwo żałobne z egzekwiami odbyło się w kaplicy chórowej, jak onegdaj i wczoraj tak i dzisiaj po raz trzeci.

Kardynałowie zagraniczni zaczynają przybywać.

Dnia 13 lutego, środa. Złożenie zwłok Piusa IX do tymczasowego grobu, które miało się odbyć wczoraj, zostało odłożone do dzisiaj wieczór, by przybywające nieustannie masy pobożnych mogły oddać cześć zwłokom zmarłego. Jak też niemniej dzisiaj jak wczoraj plac i kościół napełnione są ludem. O 5 po południu zamknięto kościół św. Piotra. O 7 w obecności wszelkich dygnitarzy duchownych i świeckich, oraz kilku tysięcy osób wszystkich narodowości zaproszonych na żałobną uroczystość, przy nocnem oświetleniu olbrzymiej bazyliki, procesya kardynałów poprzedza zwłoki Piusa IX, niesione na barkach kapelanów domu papieżkiego, oraz gwardzystów szlacheckich, z kaplicy Przenajświętszego Sakramentu na prawo po przed posągiem św. Piotra, grobem tegoż apostoła, przez wielką nawę, do kaplicy chórowej, gdzie zwłoki spoczywają na wzniesieniu średniej wysokości. Po odśpiewaniu modlitw, twarz przykrywają białą zasłoną, ciało wznoszą w górę, składają do trumny z drzewa cyprysowego, tę zaś w inną trumnę ołowianą; przykrywają ciało sztuką czerwonego atłasu, składają do trumny cyprysowej 31 medałów złotych, tyleż srebrnych i brązowych, wybijanych corocznie w dniu 17 czerwca na pamiątkę lat panowania Piusa IX, dalej życie Papieża (*Vita Papae*) spisane treściwie po łacinie na pergaminie i zamknięte w metalowej urnie; zamykają starannie trumnę cyprysową, przepasują na krzyż wstęgą fioletową, pieczętują pieczęciami kardynała Kamerlinga, *pralata maior domo*, kardynała-archipresbytera bazyliki św. Piotra i kapituły tejże bazyliki. Nakoniec zamykają trumnę ołowianą, składają do trzeciej trumny z drzewa

kasztanowego, i po przypieczętowaniu i tej ostatniej, wznoszą zwolna w górę...

Trumna znika w otworze muru nad drzwiami kościoła będącemi po lewej stronie wejścia do kaplicy chórowej. Robotnicy biorą się żwawo do roboty, i wkrótce otwór zamurowany, a na nim te tylko słowa: Pius IX P. O. M.

Dnia 14 lutego. Dzisiaj były po raz ostatni uroczyste exekwie w kościele św. Piotra. Po skończonem nabożeństwie cała publiczność, jakby jednym natchnieniem wiedziona, udała się po pod świeży grobowiec Piusa IX i tam padłszy na kolana gorąco się modliła. Był to widok wspaniały i wzruszający. Kardynał kamerling w obecności rodziny Piusa IX otworzył jego testament. Skromnym swoim osobistym majątkiem rozporządził zmarły na rzecz familii i ubogich. Nakazał, by ciało jego było pochowane w kościele św. Wawrzyńca za murami pod kratą, na której był pieczony ten święty męczennik. Nagrobek niema kosztować więcej nad 400 skudów (2000 franków). Napis łaciński będzie taki:

„Kości i popioły Piusa pap. IX, najwyższego biskupa. Żył lat 85 miesięcy 8 dni 25. W pontyfikacie zaś lat 31 miesięcy 7 dni 22.

Módlcie się za niego.“

Zamiast familijnego herbu ma być trupia głowa i kości.

Dnia 15 lutego. Dzisiaj miało miejsce w kaplicy Sykstynskiej pierwsze z trzech uroczystych nabożeństw za duszę zmarłego Papieża. Celebrował kard. di Pietro, poddziekani św. Kollegium (bo dziekan kard. Amat jest cierpiący). Asystowali wszyscy kardynałowie w sukniach fioletowych z gro-nostajami i kapach czarnych. Śpiewacy odśpiewali Mszę *De requiem* Palestriny i *Dies irae* Mustafy. Cztery absolucye dali kardynałowie Sacconi, Guidi, Bilio i Schwarzenberg. Było kilkaset zaproszonych osób.

Król Humbert objawił życzenie przybycia na trzydniowe nabożeństwo. Odpowiedziano mu, że będzie miał miejsce przygotowane w trybunie książąt panujących zagranicznych. Naturalnie nie przybył.

Dnia 16 lutego. Dzisiejsze nabożeństwo w Sykstynie odbyło się tak samo jak wczorajsze. Celebrował kard. Sac-

coni. Absolucyi udzielili kardynałowie Donnet (arcybiskup z Bordeaux), Pecci, Panebianco i De Luca.

Jednocześnie w Panteonie odprawiano urzędowe nabożeństwo żałobne za króla Wiktora Emanuela. Katafalk był ogromnej wysokości. Kaplice otaczające rotundę były zasłonięte trybunami dla dworu, senatu, parlamentu i t. d. Śpiewali muzykę Cherubiniego śpiewacy dwóch akademij królewskich: filharmonicznej i św. Cecylii, prócz których istnieją zawsze dawne akademie muzyczne pontyfikalne. Na małym placu przed Panteonem i w sąsiednich ulicach było kilka tysięcy osób.

Dnia 17 lutego. Dzisiaj skończyło się trzydniowe żałobne nabożeństwo w kaplicy Sykstyńskiej. Celebrował kard. Schwarzenberg.

Kardynałowie przyjmują codziennie jużto posłów zagranicznych, jużto deputacye stowarzyszeń katolickich różnych krajów europejskich.

Dnia 18 lutego, poniedziałek. Dzisiaj po południu wszystkie przygotowania do *conclave* były ukończone. O godzinie 3½ zaczął do Watykanu zajeżdżać długi szereg powozów, w których przyjeżdżali kardynałowie ze swymi konklawistami, to jest każdy z jednym sekretarzem i jednym służącym. O godzinie 4½ kardynałowie udali się procesjonalnie, śpiewając *Veni Creator*, do kaplicy Sykstyńskiej. Tam, pod przewodnictwem kardynała-kamerlinga Pecci, odbierali przy sięgę od wszystkich urzędników *conclave*, zaczynając od gubernatora (guvernatore) *conclave* ks. prałata Ricci, marszałka księcia Chigi i sekretarza ks. prałata Lasagni — aż do oficyalistów i służących. Następnie zwykłym porządkiem rozdawano kardynałom cele, zamykano, pieczętowano wejścia. Nakoniec kardynał-kamerling Pecci wraz z marszałkiem Chigi po dwakroć odbyli najściślejszą rewizyą całego lokalu, rozstawili strażę, ostatnie drzwi zamknęli o godzinie 9½ dwoma kluczami, z których jeden wewnętrzny znajduje się w ręku kamerlinga, drugi, zewnętrzny, w ręku marszałka. Kardynałów zamkniętych dzisiaj jest 60ciu.

Dzisiaj odbyło się uroczyste nabożeństwo w archikatedrze Św. Jana na Lateranie na intencyą szczęśliwego i rychłego wyboru następcy Piusa IX. Przenajświętszy Sakra-

ment wystawiony na tęż intencją w Lateranie, jutro ma być u św. Piotra, pojutrze u Naj. Maryi Większej. Stowarzyszenie pobożnych, wczoraj utworzone, odprawia także nieustające modły o tęż samą łaskę u grobu św. Piotra Apostoła.

Dnia 19 lutego. Dzisiaj po południu ze zwykłemi ceremoniami wpuszczono do *conclave* kard. Moraes Cardoso, patriarchę Lizbony, który świeżo przyjechał. O godz. 1 $\frac{3}{4}$ i o 6 $\frac{3}{4}$ po południu kilka tysięcy ludzi zgromadzonych na placu św. Piotra widziało *la sfumata*, t. j. tradycyjny dym pochodzący ze spalenia kartek, które służyły do pierwszych dwóch głosowań. Głosowania odbywają się w kaplicy Sykstyńskiej. Dym wychodził świeżo tamże żelazną rurą.

Komitety utworzone w celu wzniesienia pomnika na cześć ś. p. Piusa IX, łącznie uchwałyły, by tym pomnikiem był kościół postawiony w części Rzymu nowo zabudowanej, południowo-wschodniej, pod wezwaniem Naj. Serca Jezusowego i Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny Maryi.

Dnia 20 lutego, środa. O 12 $\frac{1}{2}$ ujrzano *la sfumata*. Sądzone więc, że i dzisiejsze pierwsze głosowanie spełzło bez ostatecznego rezultatu. Tymczasem o godz. 1 $\frac{1}{4}$ ukazał się na ganku kardynał-dyakon Caterini i ogłosił wybór kardynała Pecci (Joachima), który przybrał imię Leona XIII. Ponieważ głos kardynała Caterini był za słaby i większa część ludu go nie słyszała, powtórzył jego słowa X. Mészeryński, konklawista kardynała Ledóchowskiego. O godz. 4 $\frac{1}{2}$ nowy papież dał uroczyste błogosławieństwo z ganku św. Piotra od strony wewnętrznej kościoła. Było kilkanaście tysięcy ludzi. Olbrzymi okrzyk: Niech żyje papież Leon XIII! Niech żyje Ojciec św.! przywitał i pożegnał Ojca św. Na placu było kilkanaście tysięcy osób, które sądziły, lecz mylnie, że i na zewnątrz papież się pokaże. Kardynał Pecci, podług prawdopodobnych informacji, na pierwszym wczorajszym głosowaniu otrzymał głosów 18; kar. Bilio 6; kar. Franchi 5. Na drugim kar. Pecci 26; Bilio 7; Monaco 4; Franchi 3; Ledóchowski 1 i t. d. Na ostatniem dzisiejszem kar. Pecci 44; Bilio 5 i t. d. Brakowało kar. Cullen, arcyb. z Dublina, dla choroby; Brossais Saint-Marc z Rennes, dla choroby. Mac-Chloscey z New-Yorku, bo nie zdążył przybyć na czas.

Przegląd Literacki.

Psalterz Dawidowy, przetłóżony wierszem polskim przez *Kazimierza Bujnickiego*. Toruń, 1878. Nakładem własnym. W komisie księgarń Nowej (W. Małecki) str. XXIV i 303.

Starzec 90-letni, który w młodych swych latach znał jeszcze Karpińskiego i Książnina, ofiaruje prawnuczce swojej, pani Eugenii z Benisławskich Donimirskiej, wraz z swem błogosławieństwem przedślubnem, pracę, dokonaną jeszcze w sile męskiego wieku: *nowy przekład rymowany Psalmów*. Poprzedza go obszerna, pouczająca i jasno, potoczyscie napisana *przedmowa*, w której tłómacz wypowiada swe zapatrywania na stanowisko literatury hebrajskiej, tudzież na poetyczne i religijne znaczenie psalterza; dalej podaje wiadomość o autorach pojedynczych psalmów (II) i ich podziale według treści i stylu (III), o stylu poetycznym oryginału i trudnościach językowych przekładu (IV), a w końcu o polskich przekładach psalterza (V) i o powodach, które go do podjęcia się nowego przekładu pobudziły.

Do dzieła tak sędziwego pióra przystępuje i krytyka z mimowolnem uszanowaniem. Jednakże nietylko sędziwy wiek tłómacza przejmuję nas uczuciem szacunku, ale i *praca* jego godną jest ze wszech miar uznania publicznego. Wolelibyśmy wprowadzić, żeby szanowny tłómacz w przedmowie był podał więcej wyczerpującą wiadomość o polskich przekładach psalterza; mianowicie spostrzegamy, że pominął przekłady prozaiczne n. p. „*Zołtarz Dawidów*“ X. Walentego Wróbla i że nie napomknął ani słówkiem o poetycznym przekładzie *Macieja Rybińskiego*, ministra kalwińskiego z XVI na XVII wieku, który dla pięknego języka zasługuje na wzmiankę, choć nie dorównywa Kochanowskiemu. Prawda, że za młodych dni p. Bujnickiego literatura Zygmunowska

nie była jeszcze tak wszechstronnie przestudyowaną jak dzisiaj, i że starcowi trudno było w podeszłych latach śledzić toku badań literackich, co też tłumaczy niektóre cokolwiek przestarzałe sady, wypowiedziane w przedmowie.

W samym przekładzie był tłumacz wierny zasadom, które go pobudziły do wstąpienia w ślady Kochanowskiego i Karpińskiego. Nie łatwe to dla nowszego przekładu zadanie, zastąpić czytającej publiczności polskiej „Psałterz“ Kochanowskiego co do jego poetycznej wartości, gdyż dzieło Jana z Czarnolasu zrosło się z całym naszym życiem dziejowym, wywarło wielki wpływ na rozwój języka i wiersza poetycznego i zapewniło sobie miejsce, z którego nawet zupełnie równorzędny utwór nie zdoła go zepchnąć. Język zaś nasz, który się właśnie pod piórem Kochanowskiego ukształcił, od XVI wieku tak mało się zmienił, że zrozumiałość pism Kochanowskiego prawie nic jeszcze nie ucierpiała. — Naszym tłumaczem kierowały głównie *pobudki religijne*. Uważał on bowiem, że „tak Kochanowski jako i Karpiński nierzadko przeistaczają myśl zawartą w tekście łacińskim, albo ją oddają niezgodnie z komentarzami, których nie mieli albo mieć nie mogli pod ręką.“ (str. XXIII). Pogodzić wierność dla oryginału z polotem poetycznym języka — to w przekładzie poetycznym psalmów zaiste trudne przedsięwzięcie. Jakże n. p. pięknym jest zwrot Kochanowskiego w ps. 138, w którym poeta pyta się, gdzieby się mógł ukryć przed obliczem Pańskim, i widząc, że ani w niebie ani w piekle przed Bogiem się nie schroni, myśli sobie w końcu pożyczyć „skrzydeł u jutrzeńki i zamieszkać na końcu morza.“ Zwrot ten naśladował i Rybiński w swoim przekładzie:

Choćbym też wziął rannej zorze
Skrzydła, i leciał za morze:
I tam mię wymacasz snadnie,
I tam ręka Twa dopadnie.

Te „*skrzydła jutrzeńki*“ są niewątpliwie wymysłem klasycznej fantazyi Kochanowskiego; nie zna ich tekst oryginalny, który w tem miejscu tak brzmi według przekładu X. Jakóba Wujka: „Jeśli wezmę skrzydła *moje* rano, a będę mieszkał na końcu morza: i tam mię doprowadzi ręka twoja.“ Ustęp ten tak przełożył nasz tłumacz:

Ziemia, powietrze i morskie otchłanie —
Wszędzie cię spotkam, kędykolwiek zajdę.
Żadna mię od ciebie nie dzieli granica:
Dokądby poszedł, wszędzie mną kieruje
I trzyma twoja wszechwładna prawica;
Wszędzie ma dusza Twą obecność czuje.

Prawda, że fantazyja jego mniej się oddala od textu, ale za to przekład traci na sile i polocie, a jedrność Zygmuntowskich tłumaczy rozplywa się i w tem i w wielu innych miejscach w szerokich parafrazach, któremi tłumacz stara się oddać ciemne miejsca oryentalnej dykcyi poetycznej tak, aby i myśl ich stała się zrozumiałą i aby związek logiczny był ściśle zgodny z komentarzami teologów. Rozumie się, że tłumacz nasz nie mógł dopuścić do swego przekładu miejsc takich, jak n. p. ów znany wiersz w Iym psalmie przekładu Kochanowskiego:

„Dzieńli po niebie wiedzie, noeli swoje konie“,

w którym Czarnolasowskiemu poecie wpłatał się pod pióro z reminiscencyj klasycznych obraz Heliosa lub Feba, jadącego ognistemi rumakami po stropie niebieskim. Naturalnie, że na tem skorzystała wierność przekładu, ale ze szkodą poetyckiego ognia i polotu. W tej mierze odznacza się nasz przekład pewną jednostajnością dykcyi, utrzymującą się przez całe dzieło w jednej mierze i uderzającą w przekładzie 150 utworów lirycznych o nader różnym nastroju. Tych parę uwag musieliśmy przytoczyć, zestawiając przekład p. Kazimierza Bujnickiego z dziełem jego wielkiego poprzednika. Z drugiej strony jednakże musimy przyznać niniejszemu przekładowi niepowszednie zalety, a przede wszystkim niezwykłą czystość, jasność — rzekłbym, przezroczystość języka i potoczystość stylu. Pod tym względem możnaby niniejszą książkę wprost zalecić jako wzór czystości języka młodszym generacyom, skłonnym do nowostek. Są nawet miejsca, w których tłumacz wznosi się do nastroju pokrewnego polotowi Jana z Czarnolasu. Takim jest n. p. w naszym przekładzie sławny psalm 103 (u Kochanowskiego liczącego według kanonu żydowskiego, 104), (*Benedic, anima mea, Domino*), w którym i Kochanowski wznosi do najwyższego stopnia natchnienia. Trudno go tu doścignąć, jak tego dowodzi n. p. owo sławne miejsce, które *Karpiński zepsuł, poprawiając* przekład Kochanowskiego: „Który chodzisz na skrzydłach wiatrowych, który czynisz Anioły (= posły) twoje duchy, i sługi twoje ogień pałacy.“ Tak brzmi ten ustęp według Wujka. Kochanowski wyraził to z nieprześcignioną jedrnością i siłą:

Chmury — twój wóz; tve konie — wiatry nieścignione;
Duchy — posłańcy; słudzy — gromy zapalone.

Nasz tłumacz ma tu:

Wiatry za powóz służyć są gotowe.
 Duchów niebieskich na twe zawołanie
 Przy twoim boku stawa szereg długi;
 Burze są twymi posłańcami, Panie,
 A gromy, ogień ziejące, twe sługi.

Popadł tu nasz tłumacz w ten sam błąd co i Karpiński, t. j., że zmieniając konstrukcją i kładąc raz pierwszy, raz szósty przypadek, osłabił paralelizm zdań, nie wspominając już o wolniejszym i szerszym toku. W dalszym jednakże ciągu pieśni utrzymał się wszędzie na wysokości właściwego nastroju, który u niego tylko tam słabnie, gdzie psalmista wzlatuje na skrzydłach dytyrambicznej ekstazy. W tych bowiem razach krępuje dykcją naszego tłumacza właściwe mu zbyt skrupulatne dążenie do jasności i zrozumiałości.

W końcu nasuwa mi się jedna uwaga: dziwi mię, że się dotychczas nikt nie znalazł, coby próbował przełożyć psalterz Dawidowy prozą poetycką. „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego,” utwory Krasińskiego i „Anelli” Słowackiego, wytworzyły już w literaturze naszej oryginalny styl prozy poetyckiej z mniej lub więcej biblijnym kolorytem, który szczególnieby się nadawał do przekładania poetów biblijnych, a mianowicie Psalmów, Proroków i Joba. Wiadomo, że poezya starohebrajska nie znała ani rymu ani rytmu właściwego (w greckim pojęciu), i różniła się od prozy głównie tylko śmiałą dykcją i pewnym paralelizmem zdań, powtarzających tę samą myśl w innych wyrazach lub z pewną wewnętrzną modyfikacją. Dla oddania takiej poezyi nasza proza poetycka byłaby szczególnie stosowną. Najłatwiej też na tej drodze można osiągnąć ideał, który p. Bujnicki miał na oku, t. j. połączyć ścisłą wierność dogmatyczną treści z poetycznym tokiem języka. Ciekawą jest rzeczą, że już w XVI w. X. Walenty Wróbel w swym „Żołtarzu Dawidowym” dał próbę wolniejszego cokolwiek przekładu psalterza, rozwijając wstawkami text oryginalny w miejscach, w których dykcya hebrajskiego poety była zbyt ciemna lub poprzerywana. Nie robimy naszemu tłumaczowi zarzutu z tego, że drogą powyżej wskazaną nie poszedł: wychowaniec klasycznej szkoły nie znał jeszcze w swych młodych latach poezyi bez wiersza i rymu. Zresztą wiersz w naszym przekładzie udatny i poprawny; układ strof, podobnie jak i u Kochanowskiego nader rozmaity; nie mogę tylko powiedzieć, czy wszędzie wybór strofy do treści równie trafnie zastosowany, jak u Kochanowskiego.

Wydać poetyczny przekład psalterza w języku polskim po Kochanowskim jest odwagą, którą nawet Karpiński

przyplacił zapomnieniem. Niniejszemu przekładowi można rokować lepszą przyszłość. Tłómacz starał się zabezpieczyć przed tym losem ścisłem zastosowaniem się do tekstu, aprobowanem przez biskupie ordynaryaty chełmińskiej i warszawskiej dyccezyi, co mu zapewnia wstęp do użytku kościelnego. Po każdym psalmie następują objaśnienia, oparte na komentarzach *Menochiusa* i *Thalhofera*, a przy końcu są indexy, wykazujące kościelny porządek co do używania psalmów. Nareszcie nie godzi się i o tem zapomnieć, że edycja niniejsza odznacza się niezwykłą u nas starannością co do zewnętrznej formy, czytelności i poprawności druku. Z tego względu książką tą wystawiła sobie szanowna wydawczyni chlubne świadectwo, okazawszy starannością wydania, że umiała godnie uczcić owoc pracy swego pradiadka. Ileż to manuskryptów zalega bezużytecznie w zapomnieniu wśród okrytych pyłem papierów i pamiątek familijnych — manuskryptów, w których się nieraz mieszczą cenne owoce długoletnich badań! Oby wszystkim takim pracom przyjazna dłoń zapewniła zmartwychwstanie na papierze drukarskim! Oby ta *pietas*, której przykład dała pani Eugenia Donimirska, była wzorem dla licznych naśladowców!

We Lwowie, 21 lutego 1878.

Bolesław Baranowski.

SEWERYN GAŁĘZOWSKI.

Mamy do zapisania na cmentarzu narodowym imię człowieka, który wprzód na drugiej półkuli dorobił się sławy znakomitego lekarza i operatora, zanim na tej, wśród polskiej emigracyi, zajaśniał jako niepospolity obywatel i patriota. Seweryn Gałęzowski należy do tego pięknego grona słynnych lekarzy polskich, którzy jak Marcinkowski, Dietl, że o żyjących zamilczym, zdobywszy pracą, talentem i nauką wysokie w świecie stanowisko a z niem wpływy i majątek, później przenieśli to wszystko do sprawy publicznej, w zakresie, jaki im przypadł w udziale. Jak imię Marcinkowskiego związane jest z dźwignieniem handlu i przemysłu krajowego w Poznaniu, a zwłaszcza z Towarzystwem naukowej pomocy w Wielkopolsce, jak imię Dietla pozostanie na zawsze w historii zdrojowisk polskich i w historii Krakowa, tak i Gałęzowski związał swe imię i drugą połowę swego życia z wychowaniem dzieci emigracyi polskiej, to jest ze szkołą Batignolską w Paryżu.

Emigracya polska, oprócz innych cech, które z niej czyniły przez czas jakiś prawdziwą reprezentacją narodu, tem jeszcze wyróżniała się od innych emigracyj, jakoto włoskiej, hiszpańskiej i węgierskiej, które spólcześnie przebywały we Francyi, że nie przestając, jak tamte, zajmować się właściwą polityką, umiała zawiązać u siebie i utrzymywać instytucye publiczne, których tamte nie miały. Tworzyła ona osobną we Francyi społeczność z mnóstwem za-

kładów, mających na celu bądź jej własne potrzeby, bądź służbę krajową. Było tam kilka szkół obojej płci, były zakony i męskie i żeńskie, były towarzystwa literackie i historyczne z odnogami w różnych stolicach Europy, były biblioteki, księgarnie, drukarnie i nie tylko pisma peryodyczne, ale poważne wydawnictwa naukowe; były rozliczne stowarzyszenia miłosierne, bądź na czysto religijnej oparte podstawie, bądź tworzące nader piękne związanie miłosierdzia chrześcijańskiego z uznaniem zasług krajowych. Każda z tych instytucyj, trudem i prawdziwie wdowim groszem wychodźców założona, miała swój budżet, swój zarząd osobny i cichych pracowników, którzy z niej zadanie życia dla siebie zrobili; wszystkie zaś razem przyczyniły się potężnie do utrzymania ducha publicznego na wychodźstwie, do zaszczepienia w niem ofiarności, jaką niełatwo było gdziekolwiek spotkać, do lepszego zrozumienia potrzeb krajowych i w ogólności do oczyszczenia i podniesienia serc i umysłów. Byłoby nader pożądaną rzeczą, by ktoś opowiedział dzieje tych instytucyj. Dziś weszło dosyć w zwyczaj lekceważyć emigracyą. Lekceważą ją ci, którzy jej historii nie znają, którzy z jej różnorodnego i pracowitego życia wiedzą tylko o kilku próbach konspiracyjskich i rewolucyjnych i o jej wpływie szkodliwym na kraj, przypisując to ogółowi emigracyi, co jednej jej części było właściwem. Daleko ciekawsze, daleko więcej nauczające byłyby dzieje wewnętrzne emigracyi; była ona wysoką szkołą obywatelskiego życia, a choć z niej ludzie krajowi za mało korzystali, na każdym jednak, co do niej należał lub do niej się zbliżył, wycisnęła ona osobne, jakby zakonne a nader podniosłe piętno. Gdyby odjąć krajowi to wszystko piękne i zacne, co się z niej przelało, o ileż dzisiaj byłibyśmy ubożsi!...

Chwilowe rozproszenie emigracyi, jakie nastąpiło z rokiem 1848, wstrząsnęło jej instytucjami. Żyły one z ofiar peryodycznych swych członków; gdy więc członków choćby na czas krótki zabrakło, instytucjom zagroziła ruina. Kiedy z końcem roku 1849 emigracya wróciła znowu do swej tułaczkiej siedziby, powstała naraz, niemal we wszystkich instytucjach, myśl takiego ich ubezpieczenia, by w razie podobnej, jak dopieroco przebyta, katastrofy, mogły wytrzymać

tę próbę. Niemal każda z tych instytucyj poczęła przemyslać o zebraniu funduszków, aby mieć swój dom własny i jakiś dochód upewniony na zawsze. Znalazł się dla każdej jakiś człowiek, co jej los wziął szczególnie do serca. Wtedy to przyszły do posiadania własnych w Paryżu domów: Zakład Śgo Kazimierza polskich Sióstr Miłosierdzia, Towarzystwo historyczne wraz z swą cenną biblioteką, Pensyon żeński hotelu Lambert, Szkoła wyższa przygotowawcza; wtedy także przyszedł czas utrwalenia i znacznego rozszerzenia Szkoły polskiej na Batignolles, a to ostatnie, z pewnych względów najznacześniejsze dzieło, jest zasługą Dr. Gałęzowskiego.

Szkoła ta istniała już wówczas od lat kilku dla dzieci zrodzonych na wychodźstwie. Ale tradycje jej nie były najlepsze, fundusze niedostateczne, zarząd nieszczególny. Tymczasem potrzeba jej okazywała się coraz większą, bo mnóstwo emigrantów, pracujących na kawałek chleba, ożenionych z ubogimi Francuzkami, nie miało za co oddawać swych synów do francuskich liceów, które, jak wiadomo, przeważnie są internatami, z dosyć wysoką opłatą. Gałęzowski powziął myśl kupienia domu dla tej Szkoły na akcye, każda po 10,000 fr., i dzięki swej niezmordowanej czynności oraz praktyczności, którą przywiózł z Ameryki, potrafił on między Polakami znaleźć dość znaczną liczbę takich akcyonaryuszów-dobrodziejów, by zakupić okazały na Batignolles dom za 200,000 przeszło franków. We własnym gmachu urządzono się zaraz lepiej, co rok przybywało sal i dorsarów, stawały osobne budynki, liczba uczniów z 30 lub 40 podniosła się do dwustu kilkudziesięciu. Wprowadzono do Szkoły program liceów francuskich, z nim porządek i ścisłość właściwe tym zakładom. Wszystko się ulepszało: i nauka i nauczyciele, dozór i karność, strona materyalna i duch moralny i religijny zakładu. Uczniowie klas niższych kształceni w szkole, z wyższych chodzili do sąsiedniego Lycéum Bonaparte, a coroczne egzamina i rozdania nagród tego Kolegium świadczyły o pożądanym postępie wychowanców batignolskich.

Duszą tego wszystkiego przez lat dwadzieścia z górą był Gałęzowski. Jako prezes Rady szkolnej o wszystkim

wiedział, do wszystkiego należał, za wszystko był odpowiedzialny; ale specjalnością jego najtrudniejszą i w której złożył dowody niepospolitej dzielności i patryotyzmu, było wynajdowanie funduszków. Większą część dzieci Zakład utrzymywał za darmo, zaspakajając oprócz nauki wszystkie potrzeby ich życia. Budżet roczny, jeśli się nie mylimy (bo tę notatkę piszemy z pamięci), wynosił od 160 do 200,000 rocznie i taką to sumę wypadało znaleźć — każdego roku! Znaczną część, bo przeszło 70,000 fr., potrafił Gałęzowski wyjednać tytułem wsparcia od rządu francuskiego, ale po tę ogromną, jaka pozostawała, resztę, potrzeba było pukać do szkatuły prywatnych. Zadanie było tem trudniejsze, że i inne instytucje emigracyjne, jeżeli nie zupełnie ze składek żyły publicznych, to przynajmniej swój budżet uzupełniać niemi musiały. Któż wypowie, ile tu potrzeba było przemysłnego starania, zabiegliwości, obszernych stosunków i nieustraszonej gorliwości! Ztąd owa nieustająca Gałęzowskiego czynność, coroczne wycieczki do miejsc kąpielnych, gdzie była nadzieja spotkania Polaków; ztąd i podróże do niektórych prowincyj polskich i korespondencya liczna i mozolna. Na wszystko znajdował czas ten człowiek zaprawdę wyjątkowy i zawsze rzeźki, ochoczy, zawsze do pracy i posługi gotowy, przytem szczery, prosty i otwarty, swem złotem sercem i szlachetnością zniewalał i podbijał wszystkich.

O innych zasługach Gałęzowskiego gdzieindziej już napisano lub jeszcze napiszą; my tylko nad tą główną się zatrzymujemy. Zasługą Gałęzowskiego było, że dopomógł emigracyi do wychowania swych dzieci. Zapewne, kraj z tych wychowawców mniej, niżby się spodziewać należało, dotąd skorzystał; ale to nie wina ani Szkoły ani Gałęzowskiego. W trudnem dziele wytrwał on do końca. Z czasem, gdy prostem rzeczą następstwem coraz mniej do Szkoły zgłaszało się uczniów, gdy po wojnie pruskiej można było mniemać, że emigracya ma się ku schyłkowi, należało pomyśleć o takim ograniczeniu Zakładu, któreby umniejszonym potrzebom odpowiadało. Sprzedano Radzie municypalnej Paryża dom szkolny na Batignolles, a fundusz ztąd powstały obrócono na utrzymanie takiej liczby uczniów, jaka jeszcze, czy

wskutek nowych zgłoszeń czy dla uzupełnienia dawniej rozpoczętych studyów, pozostała.

Nie pospolitszego między nami, jak skargi na brak fundusów w sprawach publicznych, i prawdą jest, że ubóstwo nasze niejedną dobrą myśl tamuje, niejedną chęć pocziwą trzyma na uwięzi. Ale przykład Gałęzowskiego może za dowód posłużyć, że gdzie jest myśl pocziwa i prawdziwie pożyteczna, a obok niej znajdzie się człowiek z poświęceniem, z energią, rozumem praktycznym i wytrwałością, tam fundusów nigdy nie braknie. Prawdą to jest, tak w religijnych jak w patryotycznych przedsięwzięciach. Wogólności, nie dlatego brakuje u nas środków, że nie ma ludzi ofiarnych, tylko dlatego, że mało jest ludzi, którzyby budzili zaufanie, iż z ofiar otrzymanych skorzystać potrafią.

Życie Gałęzowskiego jeszcze jedną pocieszającą zostawia nam naukę. Człowiek prawy, szlachetny, gorący patryota, skutkiem wychowania i jednostronnego w naukach kierunku, Gałęzowski był chłodnym i obojętnym w rzeczach wiary, o wypełnianie przykazań Kościoła nie troszczył się. Ale Bóg nie zostawił bez nagrody tylu pięknych czynów jego miłosierdzia i obywatelskiej gorliwości. Dopóki człowiek w pełni życia i nie mu nie grozi, dopóty sprawy tego świata wszystkie władze jego duszy zajmują. Ale gdy ziemia zaczyna z pod nóg jego usuwać się i śmierć puka coraz wyraźniej to chorobami to upadkiem sił, wtedy to coraz częściej przychodzi na myśl, że to życie nie jest wszystkim, że po za niem musi być drugie. A że rozum i nauka nie o tamtem życiu powiedzieć nie umieją, więc w kim serce czyste i umysł nieskrzywiony, ten coraz chętniej nadstawia uszu temu, co Kościół podaje, aż wkońcu uwierzy, że tylko to, co Kościół mówi, jest prawdą. Tak też i z Gałęzowskim się stało. Gdy spostrzegł, że życie się kończy, przywołał kapłana, odbył spowiedź, przyjął N. Sakrament i odtąd spokojnie i pogodnie wyglądał ostatniej chwili. Ta piękna śmierć, która tak pięknie zamknęła życie, była prawdziwą pociechą dla wszystkich, co znali i cenili tego męża prawego, i potwierdziło się co mówi Pismo: że miłosierdzie zbawia dusze,

że człowiek miłosierny nie zginie na wieki. Pokój jego zacnej duszy! ¹⁾).

K.

-
- ¹⁾ Ś. p. *Gałęzowski* urodził się 25 stycznia 1801 r. we wsi *Kniaża Krynica* w Lipowieckim powiecie. Uczył się u OO. Bazylianów w Humanu. W r. 1819 zapisał się na Wydział medyczny Uniwersytetu wileńskiego. 1824 r. otrzymał stopień doktora. 1828 r. wysłany przez Uniwersytet za granicę, wrócił do kraju na wieść o powstaniu, w którym się odznaczył. Następnie zaczyna się tułaczka w Europie i w Ameryce. Od r. 1848 zamieszkał w Paryżu. Umarł tamże 31 marca r. b.

LEOPOLD KRONENBERG.

Żaden prawie miesiąc nie przejdzie bez ciężkiej straty. W tym zapisać musimy śmierć Leopolda Kronenberga. W każdym narodzie, najbogatszym nawet, najbardziej przedsiębiorczym, czynnym i zabiegliwym, ubytek człowieka, który stał nietylko na czele ogromnego majątku i obracał milionami, ale na czele wielu przedsiębiorstw przemysłowych i komunikacyjnych, w których się skupia ekonomiczne życie kraju, byłby szkodą wielką, a każdemu narodowi, najzdrowszemu nawet i najszczęśliwyszemu, nietylko pożytkiem ale wielkim zaszczytem byłby człowiek, który z małego zaczawszy, własną głową i pracą doszedł do tego, że zajął w świecie europejskim bardzo znane i znaczące stanowisko, że był w nim rzeczywistą i ważną siłą finansową.

Ale w naszym narodzie tak biednym, tak ze wszystkiego odartym, tak z natury miękkim, nieczynnym i rozmiłowanym w słodkim wczasie, człowiek, który zbiera kolosalną fortunę, który radą, kierunkiem i pieniędzmi jest we wszystkich przedsiębiorstwach i pracach, ratujących i podnoszących materialny byt tego kraju, który w wielkiej części stwarza dla niego życie przemysłowe i ekonomiczne, a w każdym razie podtrzymuje i rozwija je silnie, który tysiącom Polaków bez chleba daje życie, spokój, pewność jutra i szanowne a pożyteczne zajęcie, taki człowiek w takim narodzie jest tak dobroczynnym, że trzebaby być bardzo niewdzięcznym, żeby za niego Bogu nie dziękować.

Mówią o nas, że jedną z przyczyn słabości politycznej jest nasza słabość ekonomiczna. Nie my sami jesteśmy za nią odpowiedzialni, to sumiennie odpowiedzieć mamy prawo. Ale nie możemy zaprzeczyć słuszności téj uwagi, i dlatego każde przedsiębiorstwo, które się udaje, każdą rozumnie założoną i prowadzoną fabrykę, każdy większy biegle sprawowany interes handlowy, cóż dopiero rzeczy takiej wagi, jak nowe linie kolei żelaznych, uważamy za wielki nabytek i wielkie szczęście. Nadużycia, spekulacye bez podstawy a czasem i bez dobrej wiary, są zgubne a bywają i sromotne, ale zdrowy ruch ekonomiczny, rozwijający się silnie na naszym gruncie i z naszych zasobów, jest i dowodem siły, i jej warunkiem, i jej zabezpieczeniem. A w czasach, kiedy inne sposoby nabycia i ćwiczenia swoich sił są zamknięte, kiedy, jak w Królestwie od r. 1863 inne objawy życia i środki jego utrzymania są stłumione, ten nabiera oczywiście tem większej wagi.

Byli u nas od XVIII wieku jeszcze ludzie, którzy rozumieć dobrze tę stronę narodowego życia i pracowali w tym kierunku dzielnie, ze znajomością rzeczy, z poświęceniem i ze skutkiem. Ale od Ogińskiego i Chreptowicza aż do tak wielce u nas zasłużonego księcia Leona Sapiehy, wszyscy byli naprzód ludźmi znacznych odziedziczonych majątków, powtóre, wszyscy mieli jakąś inną, najczęściej polityczną sferę działania, a ten kierunek ekonomiczny i finansowy był w niej tylko jedną stroną i środkiem.

Kronenberg jest pierwszym, ile wiemy, w Polsce przykładem człowieka, którego główna czynność zamyka się w sprawach handlowych i przemysłowych i który przez nie dochodzi do wielkiego w kraju, a bardzo niezwykłego za granicą, stanowiska i znaczenia. Nie śmiemy sobie pochlebiać, żeby jeden taki żywot i przykład był już dowodem, że ustał u nas ten brak, o którym wyżej, ale w każdym razie jest dowodem, że brak ten ustać może, że Polak w Polsce i własnymi środkami może zostać finansową potęgą. I dlatego, gdyby nawet Kronenberg nie był miał żadnej innej zasługi, gdyby nie był zrobił nic z tej wielkiej masy dobrego, jakie zrobił krajowi czy ludziom, to już przez to samo tylko jego życie byłoby ważnym symptomem, ozna-

czaloby postęp, zwrot, może i epokę w historii naszego ekonomicznego rozwoju.

Ale wielkie bogactwo nawet własną głową i pracą zdobyte, może jeszcze nie być zasługą żadną. Jego wartość moralna mierzy się dwiema miarami, któremi są sposoby jego nabycia i sposoby używania. Miliony gromadzą się i piętrzą nierzadko w naszym wieku w rękach zręcznego człowieka, ale nierzadko też plamią jego a gorszą i psują społeczeństwo. Mówić o zmarłym Kronenbergu, że jego majątek nie był takim, to może ubliżać mu? Jakżeż człowieka chwalić za to, że był uczciwym? Ale jakżeż znowu, widząc na tem polu właśnie nieuczciwych tylu, wiedząc, jakie bywają sofistyczne ugody z honorem i sumieniem, jaka straszna łatwość postępków wątpliwej moralności w niewątpliwej legalności, jakże znowu nie pochwalić, nie mówię jego, ale nie pochwalić się człowiekiem, o którym nawet nieprzyjaciele mówili zawsze, nie że uczciwy, ale że na wskrós człowiek honoru. To pięknie — i taka wielka egzystencja przemysłowa i finansowa, która ma niezaprzeczenie swoją stronę poetyczną przez śmiałość i energią, przez przedsiębiorczość i niebezpieczeństwo i przez tworzenie tego, czego nie było, staje się dopiero naprawdę piękną, kiedy się da określić zmienioną cokolwiek rycerską formułą: *„tout est gagné, et tout avec honneur.“*

A jest w niej nadto coś, nie piękniejszego ale cnotliwszego i większego, niż honor, to jej charakter obywatelski i patriotyczny. Poświęcić majątek odziedziczony dla dobra ogółu, dla idei, dla sprawy, to już rzecz bardzo rzadka i piękna; ale narażać majątek zarobiony, którego każdy grosz oznacza jakiś trud, o którym się wie i pamięta, ile pracy kosztował, to jest psychologicznie nierównie trudniejsze, a przeto piękniejsze. Używać zaś tego majątku tak, iżby każde jego powiększenie było zarazem korzyścią dla kraju a zajęciem i utrzymaniem dla osób i rodzin, używać go tak przez całe życie, nigdy na włos od tego pravidła nie zboczyć, na to trzeba czegoś więcej niż wielkiej zdolności finansowej, trzeba wielkiego obywatelskiego serca. Ile zawdzięcza Królestwo Polskie przedsiębiorstwom i interesom Kronenberga, ile tysięcy ludzi, oddalonych przez rząd urzędników, podupadłych obywateli, internowanych Litwinów, wracających

z Sybiru wygnańców, znalazło u niego pomieszczenie, pracę, spokój, zarobek, ilu może uratowało przez to swój charakter i cześć, nie tu czas i miejsce wyliczać. Dość powiedzieć, że tak było, nie trzeba tłumaczyć, jakie w tém było dobrodziejstwo i jaka zasługa.

A dopieroż to, co w naszych oczach jest najpiękniejszą stroną tego życia. Ze krwi Polakiem nie był, mógł więc, miał wszelkie prawo nie być nim z uczucia i przekonania. A jednak był całą pracą, całą dążnością i wszystkimi rezultatami swego życia, całą wytrwałością swojej woli, całą energią swego charakteru, całą śmiałością swoich pomysłów i przedsięwzięć. Czasem można na to słyszeć odpowiedź, że nie miał wielkiej zasługi, bo zarabiał i zyskiwał! Śmieszna rzecz. A cóż wart finansista, który nie zarabia? Musi być złym finansistą, i zasług na tem polu, choćby najbardziej chciał położyć, nie potrafi. A potem, co ważniejsza, czyż się godzi zapominać, kto przy nim i przez niego zarabiał, gdzie zarabiał, jak zysków swoich używał... i jak je narażał?

Żadna może z rzeczy ludzkich nie lgnie tak łatwo do sukcesu i siły, nie staje tak skwapliwie po stronie mocniejszego, jak pieniądź. Otóż pieniądź, a zwłaszcza pieniądź zarobiony w pocie czoła, który dobrowolnie i zawsze staje po stronie słabszego, to rzecz jedna z najrzadszych na tym świecie, ale z najszanowniejszych. Głowa, która go mnoży, ręka, która go zbiera i wydaje, muszą być kierowane sercem bardzo szlachetnem, wielką miłością czegoś wyższego, czemu ten pieniądź służyć ma jako środek.

Dlatego żegnając ze czcią i wdzięcznością ś. p. Leopolda Kronenberga, jako prawdziwie wielkiego a w tym rodzaju pierwszego w ojczyźnie naszej obywatela, pragniemy gorąco, żeby nie był ostatnim, żeby on dał tylko początek i przykład zbogacenia kraju przez bogacenie się ludzi, i żeby ci, którzy na tem polu po nim działać będą, jak on umieli działać a jak on służyć chcieli, i żeby podobni jemu zdolnością i skutkiem swoich działań, podobni mu byli równie ich środkami i celem.

St. Tarnowski.

BERLICZ SAS

(JULIUSZ HR. STRUTYŃSKI)

Przy zamknięciu Zeszytu doszła nas wiadomość o zgonie autora, który dopiero od dziesięciu lat pracować zaczął, a już sympatyą sobie był zjednał i spory poczet zajmujących powieści i obrazów zostawił. Oto ich tytuły: *Miscellanea, Ukraina, Wołyń i Podole, Mozajka, Sceny Myśliwskie, Kalejdoskop, Dwaj Biskupi, Pan Jeremiasz, Starościna Horodelska, Pani Kasztelanowa Trocka, Moskwa, Gawędy, Dwie Babki, Kaukaz*. Syn Feliksa i Karoliny z ks. Lubomirskich, przechodził najzmienniejsze i najburzliwsze koleje losu. Po chwilach największego dostatku i zbytków następowały czasy takiego ubóstwa, że piórem na chleb pracować musiał, i znów przy końcu życia uśmiechnęła mu się kapryśna Fortuna. Do roku 1863 służył w wojsku rosyjskiem; potem poszedł na długą tułaczkę. Wdzięczne miałby zadanie, ktoby na podstawie dokładnej znajomości opowiedzieć zechciał dzieje burzliwego żywota tego pisarza i ocenił jego prace.

Spokój jego duszy!

Przegląd polityczny.

Kraków 30 kwietnia.

Cały miesiąc kwiecień zeszedł na dyalektyce dyplomatycznej wszystkich rządów europejskich, aby znaleźć środek niepodobny, bo zaspokoić dwóch przeciwników a właściwie współzawodników, których interesa na Wschodzie krzyżują się. Jeśli tylko Rosya ma być zadowoloną, nie może zadowoloną być Anglia, i na odwrót; mocarstwa zaś europejskie nie są związane tak ściśle ze sobą i zupełnie wolne od ubocznych widoków a nawet interesów, aby postawiły z swojej strony ultimatum pod zagrożeniem nieposłusznym siłą. Zresztą, odkąd Europa pozwoliła Rosyi działać na Wschodzie na własną rękę i poprzestała na przyrzeczeniach danych w Reichstadzie, żadnej nie wymagając rękojmi dotrzymania ich, już tem samem rzekła się wszelkiego prawa do rozstrzygania kwestyi wschodniej. Zostawiwszy zaś Rosyi wolne ręce, należało przewidywać, że skoro szczęście posłuży jej orężowi, a tajnym zabiegom jej agentów powiedzie się pozyskać takich Sulejmanów, dyktować będzie prawa Porcie. Podyktowała je też w San Stefano, a ogrom przyznanych Rosyi w tym traktacie praw i korzyści zatrwożył jednych, przeraził drugich, jak gdyby nie powinni byli tego przewidywać, odkąd pozwolili Rosyi poprzeć siłą żądania memoriału berlińskiego, a nawet choćby pierwszego projektu hr. Andrassego.

W samej nawet Anglii, która bezpośrednio uczuła się zagrożoną rozpostarciem panowania Rosyi na Wschodzie, nie miano początkowo odwagi wystąpić po za teoretyczne *veto*. Doktryna nieinterwencji, która przez lat kilkanaście pozwoliła Anglii zniżyć niektóre podatki, ulżyć w małej czę-

steczce ciężarowi długu publicznego, która usunięciem się od umowy w Soledad, naraziła Francję na wyprawę do Meksyku, okupiła się Ameryce pieniędzmi za „Alabamę“, byle nie naruszyć miłego pokoju, która pozwoliła Niemcom usadowić się na półwyspie Cymbryjskim, pokonać z kolei Austrię i Francję, — doktryna ta była niemal silniejszą od najdrażliwszych interesów Anglii na Wschodzie. Miała ona potężnych wyznawców i obrońców, nawet w łonie gabinetu, urządziła meetingi, wywoływała adresy Izb handlowych, poruszała giełdą londyńską, założyła w city główne biuro swoje a główny jej organ *Times* stał się jakby filią petersburskiej *Agence universelle russe*. Spostrzegł się wreszcie naród angielski, a przynajmniej ta część jego, która nie karmi się kurscetem, spostrzegła się większość ministrów angielskich, a przede wszystkim naczelnik gabinetu lord Beaconsfield, że interesa Anglii nie polegają na bezwzględnej zasadzie nieinterwencji, a skutkiem tej różnicy zdań w łonie gabinetu musiał z niego ustąpić lord Carnarvon, a potem i lord Derby, minister spraw zagranicznych, wystraszony uchwałą powołania rezerwy wojska. Margr. Salisbury odziedziczył po nim tekę.

Zaraz też wyszło orędzie królowej do parlamentu o zwołaniu rezerwy. Tem bezpośredniem przemówieniem korony do parlamentu utrwalony został gabinet torysów i przecięta droga do wszelkich po za plecami gabinetu knowań dworskich, jakie w pierwszych latach panowania królowej Wiktorji groziły podkopaniem rządów ministrów. Wprawdzie już po owym mesażu była jakaś korespondencya prywatna między carem Aleksandrem i cesarzem Wilhelmem a królową Angielską, ale lord Beaconsfield, używający wielkiego wzięcia u królowej i zasiadający także w prywatnej radzie królewskiej, czytał te listy i odpowiedzi na nie przez jego przechodziły ręce.

Zaraz też d. 1 kwietnia wystosował margr. Salisbury notę okólną do posłów angielskich za granicą, w której z jednej strony uważa traktat w San Stefano zawarty, za wychodzący po za ramy życzeń Anglii; z drugiej odmawia wzięcia udziału w kongresie, mającym w myśl wniosku hr. Andrassego kongres ten polecającego, zatwierdzić ten traktat i aby ten kongres pod warunkami się zebrał, które postawiła Rosya, to jest, aby każde mocarstwo mogło przedstawiać żądoby swoje, jeśliby który z punktów traktatu narażał jego interesa. Nota angielska żąda przede wszystkim przedłożenia całego traktatu w San Stefano pod rozbiór kongresu, któremu przyznaje prawo rozbioru każdego poszczególnego punktu, jak i całości traktatu w ogóle. Na pomieniony okólnik angielski odpowiedział ks. Gorczakow również notą okólną

z d. 7 kwietnia, bardzo krótką, ale dołączył do niej obszerny memoriał w obronie traktatu San Stefano.

Te dwa dokumenta są obrazem dwóch sprzecznych zapatrywań się, są dwoma przeciwnymi biegunami; na pozór różnią się one tylko formą rozbioru traktatu na przyszłym kongresie, ale w rzeczy samej wychodzą z wprost przeciwnego punktu widzenia. Poddać cały traktat pod rozbiór kongresu, jak chce Anglia, jest to poddać postanowienia Rosyi i wymuszone przez nią na Turcyi korzyści pod wolę Europy; gdy natomiast Rosya chce tylko, aby państwa mogły mieć prawo bronięcia swych poszczególnych interesów wobec traktatu. Wtedy bowiem mogłaby Rosya albo daniem ze swej strony przyrzeczeń osłabić doniosłość domniemyanych następstw tego lub owego punktu traktatu, albo wyjaśnieniami swemi usunąć obawy tych następstw, albo wreszcie poczynić niektóre ustępstwa dla złagodzenia warunków, jednak nie przez wzgląd na Turcyę, lecz tylko ze względu na interesa stron trzecich. Wogóle zaś nie miałby kongres prawa zmienienia lub obalenia traktatu, nie miałby prawa pozbawienia Rosyi korzyści traktatu czy terytoryalnych, czy politycznych, nie miałby prawa wrócenia do umowy konstantynopolitańskiej, z której wyszły pierwsze żądania mocarstw do Porty. Słowem, kongres traktowałby o sprawach ludów półwyspu Bałkańskiego i w sprawach odnoszących się do własnych interesów państw uczestniczących kongresowi nie z Portą ale z Rosyą i uznałby Rosyę za jedyną władczynię na Wschodzie, której praw zwierzchniczych naruszyć nikt nie może, lecz która dałaby się prosić o uwzględnienie pewnych interesów państw trzecich zbyt zagrożonych lub narażonych.

Gdy oba te akta, okólnik Salisburego i memoriał Gorczakowa, stanowiące podstawę dla obu państw w traktowaniu kwestyi wschodniej, nie mogły być zachwiane bez zrzeczenia się strony ustępującej, postawy przez nią zajętej, ks. Bismark wynalazł *mezzo termine*, środek mający ułatwić zbliżenie się, a przede wszystkim pozwalający obu mocarstwom stanąć na kongresie bez ścisłego obstawania przy warunkach przez siebie postawionych pod względem zachowania się na kongresie wobec traktatu z San Stefano. Środek ten na tem polegał, że kongres będzie poprzedzony konferencyą wstępną, na której byłby ułożonym program kongresu i jego porządek dzienny, a nadto między mocarstwami nastąpiłaby wymiana not objaśniających zapatrywanie się każdego państwa oddzielnie. Taka wstępna konferencya przedstawiałaby swobodne pole dla dyskusyi, nie wiążąc nikogo, gdyż miała służyć jedynie do poufnych narad. Tą drogą starał się rząd niemiecki zbliżyć Rosyę i Anglię do siebie, dać

możność dyskusji nad traktatem z San Stefano i nad różnicami zachodzącymi między nim a traktatem z r. 1856 i protokółem londyńskim z r. 1871, który w owym traktacie wprowadził zmianę ze względu na morze Czarne. Wszelako rząd angielski przed zgodzeniem się tak na kongres jak na konferencyę wstępną, nie przestał domagać się albo formalnego przedłożenia traktatu w San Stefano kongresowi, albo przynajmniej uznania, że udzielenie go poszczególnym mocarstwom uważanem ma być za poddanie tego traktatu pod orzeczenie Europy.

Z tego stanowiska nie zeszła Anglia ani na krok jeden i zejść nie mogła; inaczej bowiem uznałaby samem przystąpieniem do kongresu fakta zaszłe za legalne, a tylko mogłaby żądać pewnych dla siebie korzyści lub też złagodzenia pewnych warunków, któreby poczytała za szkodliwe dla siebie. Nie w imieniu więc Europy i powszechnego prawa publicznego mogłaby głos zabierać na kongresie, ale jedynie w imieniu własnem i w obronie własnych interesów. Różnica więc angielskiego i rosyjskiego zapatrywania się nie jest czczą formą, ale stanowi podstawę stanowiska Europy wobec kwestyi wschodniej, czy ta kwestya jest europejską, lub tylko rosyjsko-turecką.

Obecność floty angielskiej na morzu Marmora stanęła na przeszkodzie wejściu wojsk rosyjskich do Konstantynopola, w takim bowiem przypadku flota angielska wpłynęłaby w zatokę Złotego rogu czyli w obręb murów stolicy i stałaby się panią jej od strony morza. Niemniej dowódzca floty angielskiej nie chciał pozwolić, aby wojsko rosyjskie, przeznaczone do powrotu do kraju, mogło wsiadać w Bujukdere na okręty, lecz aby było zmuszone wsiadać w San Stefano. Zastrzeżenie to stawiało odpływające wojsko rosyjskie pod kontrolę floty angielskiej, gdy Bujukdere, jako leżące w Bosforze, mogłoby zdala od floty angielskiej zostać zamienione na obóz ufortyfikowany, a okręty przewozowe, zastąpione wojennymi, zamknęłyby Bosfor w połowie drogi. Podejrzliwość i nieufność obustronna Rosyi i Anglii nastreczyła myśl odsunięcia obustronnych sił na pewną odległość od Konstantynopola, coby mogło przeszkodzić ich przypadkowemu starciu się. Jeszcze do tej chwili nie przyszło do zgodzenia się na ten wniosek, tak dalece obawa jakiego podstępu przejmującego rząd angielski. Ale odsunięcie obustronne sił zbrojnych ze względem na odległość ich od stolicy tureckiej, choćby dało się obliczyć najściślej co do możliwości czasu potrzebnego do ich powrotu, przedstawia różnicę zasadniczą na niekorzyść Anglii. Choćby wojsko rosyjskie cofnęło się do Adryanopola, zawsze pozostałoby w obrębie granic Turcyi, gdy natomiast wyjście floty angielskiej za Dardanele, choćby do

pobliskiej zatoki Besika, byłoby już opuszczeniem posiadłości tureckich. Wojsko rosyjskie pozostałoby w Turcyi; flota angielska stałaby za granicami Turcyi. Dlatego ze strony angielskiej postawiono, lubo nie oficjalne żądanie, cofnięcia się Rosyi za Bałkan.

Ponieważ traktat z San Stefano mieści w sobie warunek, na który Porta się zgodziła, że bez względu na postanowienia Europy, Porta obowiązuje się wykonać wszystkie zobowiązania z tego traktatu płynące, czyli innemi słowy, że uchwały kongresu przyszłego nie mogą w niczem złagodzić zobowiązań tureckich, choćby nawet Rosya była zniewoloną do pewnych zmian traktatu; przeto Rosya, nie czekając zebrania się kongresu, wprowadza w wykonanie traktat z San Stefano, a mianowicie co do ewakuacyi twierdz tureckich tak nad Dunajem jak nad morzem Czarnem i w Armenii, co do ewakuacyi Bułgaryi, wreszcie organizacyi administracyjnej i politycznej tego ostatniego kraju. Ale wykonanie tych postanowień napotyka na pewne trudności ze strony samychże mieszkańców, którzy podnieśli broń, a uczynili to zarówno muzułmanie jak chrześcijanie. Ruch ten powstańczy jest, jak dotąd, tylko epizodem, ale może się stać związkiem nowej zmiany organizacyi ziem tureckich, nie tej, jaką Rosya próbuje zaprowadzić. Nie można jednak zapuszczać się ani w kombinacye przyszłości ani w domysły, wypada tylko rejestrować fakta i takowe oceniać.

Rząd grecki sposobił się od początku wojny rosyjsko-tureckiej do korzystania z klęsk tureckich, aby zagarnąć prowincye greckie Turcyi. Ze strony Rosyi nie znajdował jednak żadnej zachęty, a gdy traktat w San Stefano wykazał, iż Rosya wcale nie myśli o obdarowaniu Grecyi, owszem rozposcierając granice Bułgaryi aż po morze Egejskie, chce niejako odciąć Konstantynopol i przerwać bezpośredni stosunek między ziemiami greckimi, Grecya zaczęła szukać pomocy u głównego nieprzyjaciela Rosyi — u Anglii. Za wpływem to Anglii wróciły wysłane za granicę grecką oddziały zbrojne, gdyż Anglia potrzebując Grecyi dla przeciwważenia panslawizmu na półwyspie Trackim i dla postawienia współzawodnika interesowanego przy podziale Turcyi, obrała sobie za podstawę przyszłych domniemanych działań wojennych Grecyą. Przedtem jednała rząd grecki z Portą, teraz jedna powstańców greckich Tesalii z powstańcami tureckimi Rumelii — słowem jak przeciw Francuzom w Hiszpanii stawiała Anglia niegdyś krajowców wbrew woli rządu hiszpańskiego, tak tu przeciw Rosyanom stawia Greków i muzułmanów bez względu na rząd sułtański. Podobneż ruchy powstańcze w Armenii przypisują także wpływom i pieniądzom Anglii. Zanim więc przyszło do otwartej wojny mię-

dzy Rosyą a Anglią, już pośrednio wojnę tę rozpoczęła Anglia przez krajowców.

Zdawało się, że Anglia znajdzie się odosobnioną w Europie wobec zachowania się wszystkich innych państw. Ale gabinet St. James z taką stanowczością rozpoczął zbrojenie wojsk krajowych i indyjskich, oraz przygotowanie floty, iż powziąć można przekonanie, że nie są to czeze pogroźki, lecz stały zamiar wystąpienia zbrojnego przeciw Rosyi. Ta postawa Anglii pozwoliła Austrii obstawać przy swej neutralności i nie dać się wciągnąć w plany rosyjskie, mimo pewnych w tym celu kroków robionych z Berlina; ta postawa Anglii zaczęła budzić we Francyi otuchę, iż wrócić się mogą czasy przymierza zachodniego i zniweczyła na mylnych przypuszczeniach oparte nadzieje, że Rosya stanie po stronie Francyi przeciw Niemcom; wreszcie we Włoszech wpływ pruski został zachwiany, a budowane na nim plany przyszłej wielkości upadły. Słowem, Anglia stanowczością swoją rozbiła gotującą się koalicję gotującą się do odbycia uznania traktatu w San Stefano i osłonięcia powagą swoją kongresu bez niej, jego egzekucyi.

Rosya opierając się na traktacie tym, którym zastrzegła sobie u Porty wykonanie jego warunków bez względu na jego sankcyę przez Europę, przystąpiła do organizacyi Bułgaryi w granicach traktatem oznaczonych, zamierza zabrać Besarabię rumuńską, wzywa Turcyę do opuszczenia twierdz bułgarskich i armeńskich i ewakuacyi posiadłości utraconych. Wśród tych czynności jednak napotyka na opór. Rumunia nie chce się poddać warunkowi bez niej postawionemu, aby odstąpiła Besarabię za Dobrucę, która ma być jej przydzielona; ludność mahometańska w górach Rodope chwyciła za broń, nie chcąc być częstką nowego państwa Bułgarskiego; ludność grecka, tak w paszalikach macedońskich jak tesalskich, łączy się z powstańcami przeciw wojskom rosyjskim; podobnież Lazowie w Armenii, których uważają za przodków rodu lechickiego, wzbraniają się oddać Batum w ręce Rosyan. Powstania te są wprawdzie tylko protestacyą przeciw traktatowi San Stefano, ale jeśliby wybuchła wojna między Rosyą a Anglią, staną się dywersyą bardzo ważną. Nie wiadomo, jak dalece Porta sprzyja skrycie powstańcom, ale jest rzeczą udowodnioną, że zwleka oddanie twierdz i że wielka liczba żołnierzy tureckich wzmacnia szeregi powstańców. Organa rządu rosyjskiego oskarżają głośno rząd angielski, iż jego ajenci i jego pieniądze mają udział w powstaniu.

Cały półwysep Bałkański przedstawia najzupełniejszy obraz chaosu, wśród którego armia rosyjska gospodaruje, jakby jeszcze wojna trwała bez przerwy. W przewidywaniu

wojny z Anglią, nie może Rosya ani sił swych ściągać częściowo do kraju, ani też zostawić brzegów swoich, tak północnych jak południowych, огоłoconych. Koszta utrzymania pod bronią tych licznych wojsk są tak olbrzymie, iż skarb nawet bogatszy niż rosyjski, musiałby się wyczerpać. Kredyt też Rosyi znacznie ucierpiał, pieniądź papierowy stoi nisko, a tem samem wydatki rosną o różnicę monety i trudność dostawy potrzeb wojskowych. Jest to także jeden z rodzajów wojny, jaki Anglia prowadzi bez zdobycia oręża i jaki prowadzić jest w stanie długo jeszcze bez żadnej dla siebie szkody.

Powodzenia Rosyi, a wreszcie pokój w San Stefano zachwiały sojuszem trójcesarskim, wykazując niebezpieczeństwa, jakie zagrażają Austrii z rozpostarcia się przewagi Rosyi i z nowo utworzonego księstwa Bułgarskiego, które ma się stać kolonią militarną i politycznym taranem Rosyi dla uderzania w sąsiadów. Mimo tego, nie dała się Austria wciągnąć w przymierze z Anglią, lecz zachowuje się wobec obu przeciwników, tak, iż mogłaby każdego dnia przerzucić się wyraźnie na stronę jednego albo drugiego. Takie balansowanie w powietrzu byłoby arcydziełem gimnastyki politycznej, gdyby zadaniem państwa było pozostać w powietrzu zawieszonem, jak według legendy trunna Mahometa między magnesami równej siły. Ale praktyka pokazała szkodliwość tej niebezpiecznej pozycyi napowietrznej. Podczas poprzedniej wojny krymskiej wydała Austria krocie milionów, aby zrobić dywersję między dwiema walczącemi stronami i wprowadzić przez zajęcie wojskiem swoim księstw Naddunajskich zmusiła państwa zachodnie do opuszczenia okolic Dunaju, ale nie uzyskała wdzięczności Rosyi, choć ją zbawiła, natomiast zaś wiadomo, jak się Francya za to odplaciła Austrii we Włoszech. Dziś nie może Austria bez podpisania własnego upadku związać się z Rosyą w widokach jakich tam nabytków terytoryalnych, któreby jak kula więźnia ciążyła jej u nóg, natomiast nie chce przystąpić do przymierza z Anglią, lękając się, że w nią mogą być wymierzone pierwsze ciosy Niemiec, te bowiem może wystąpiłyby czynnie po stronie Rosyi. Mniemać jednak wolno, że wcześniej czy później przyjdzie Austrii zdecydować się, co z tego dwojga wybierać, bo tylko ci będą miotani burzą, którzy zawisną w powietrzu. Zamierzone wejście wojsk austriackich do Bośni dla eskortowania wychodźców, których Austria nie chce trzymać u siebie, a niby Porcie powierzyć ich nie chce, staje się podobnem wkroczeniu niegdyś wojsk austriackich pod pozorem utrzymania neutralności, do księstw Naddunajskich. Okupacya ta uczyni Austrię współniczką Rosyi w Turcyi, lubo z drugiej strony może posłużyć do wprowadzenia w głąb Turcyi zna-

cznych sił wojennych, któreby stały na straży u granic nowego państwa Bułgarskiego. Dawniej przedstawiano okupację Bośni przez Austryę, jako usługę oddać się mającą Turcy; dziś zaś okupacya ma być środkiem zabezpieczenia chrześcijańskich wychodźców od prześladowania.

Zapał, jaki ogarniał Rosyę w chwili rozpoczęcia wojny wschodniej, ostygł niżej zera, gdy klęski towarzyszyły szeregom rosyjskim. Zaczęły się nawet skargi i żale głośno odzywać a nie śmiano nakazać im milczenia. Niezadowolenie zwiększało poczet malkontentów, nie chwilowych, ale w ogóle niechętnych bądź całemu porządkowi społecznemu, bądź też systemowi rządowemu w Rosyi. Istnieją tam bowiem więcej, niż w którymkolwiek innym kraju, tajne zawiązki a nawet spiski, a liczba tych przeciwników rządu lub społeczności zwiększała się tymi, którzy widząc ciężkie przejścia wojny, przypisywali je to rządowi, to carowi, to wreszcie obcym państwom. Tłómaczy to, dlaczego obok skarg na złe prowadzenie wojny, na przekupstwo i przeniewierstwo urzędników, na nieudolność generałów lub na różne usterki administracyi wojskowej, jedni powstawali naprzemian to na Austryę, to na Anglię, inni zaś upatrywali przyczynę wszystkiego złego w samym caracie.

Znaczna część tych głosów znikła po zwycięstwach, owszem, duma narodowa ogarnęła umysły, gotowa wywołać całą Europę w szranki. Ale pośród tego ogólnego uniesienia socjaliści sami jedni nie dali się zadowolnić. Dla nich wielkość polityczna Rosyi była owszem tamą i przeszkodą do pomyślnego bytu społeczeństwa. Dalej jeszcze idąca od nich sekta nihilistów, którzy ideę Jana Jakóba Rousseau o powrocie człowieka do stanu natury pragnęli wprowadzić w wykonanie przez zagładę wszelkiej ponad poziom wystającej wyższości, apostołowie niszczenia i zagłady, fanatycy bezwzględnej równości, tak ogromne dla swojej doktryny znaleźli pole wśród narodu rosyjskiego na złe uprawionym gruncie religii, moralności rodziny i organizacyi społecznej, iż z sektą tą jeśli nie dziś, to niedługo rząd będzie musiał liczyć się. Już dziś nihilisci mają współników w wysokich sferach rządowych, a podobno i w pobliżu dworu.

Zaszedł też wypadek, który rzucił nieco światła na społeczność rosyjską podnurtowaną spiskami, zatrutą przewrotnemi doktrynami i rozstrojoną moralnie. Jedna z adeptek nihilizmu, bo stosunki jej z tą sektą sięgają czasów Neczajewa, zrobiła zamach na życie policmajstra petersburskiego Trepowa, niby druga Karolina Corday, i chciała zgładzić mniemanego Marata rosyjskiego. Stawiona przed sąd przysięgłych, została uniewinnioną, mimo własnego przyznania się do zbrodni. Podczas wypuszczenia jej przyszło

do zaburzeń ulicznych. Sprawa Wiery Zasuliczownej, sprawczyńi pomienionego zamachu, podnieciła czynność policyi. Po wielu miastach, zwłaszcza uniwersyteckich, były aresztowania młodzieży, a gdy gromadkę takich więźniów z Kijowa przywieziono do Moskwy i tam usiłowano ich odbić, już nie wojsko, ale pospólstwo z rzeźnikami uzbrojonymi na czele, rzuciło się na młodzież i obywateli i sprawiło prawdziwą rzeź. Czy to lud protestował przeciw spiskowym, czy był to odwet za uwolnienie Zasuliczownej, dość, że zajścia tego rodzaju wskazują, iż Rosyę czekają wielkie katastrofy społeczne, których charakteru nie można przewidzieć: może zarówno nihilisci, jak motłoch krwi żądny, będą tam gospodarzą, każdy na swój sposób prowadzić, a to w chwili, gdy państwo zajęte sprawą wschodnią, wszystkie siły militarne, finansowe i polityczne wyężeć musi.

Po za kwestyą wschodnią nie ma prawie innych spraw, zasługujących na uwagę, a jeżeli są, to dopiero w samym związku, ale i one nabiorą znaczenia lub znikną, w miarę tego, o ile zwiążą się z interesami, które sprawa wschodnia porusza. Książę Bismark podjął się w sprawie wschodniej roli, jak sam ją nazwał, „uczciwego meklera“, chcąc zarobić lub skorzystać, gdy inni kłóć się i zabierają się do zapasów.

Zarobek dlań nastęrczyć się może, czy że Rosya usługi przezeń oddane zapłaci, czy że Anglia zajęta na Wschodzie, nie będzie mogła z równą czujnością wszystkich innostronnych interesów swoich bronić, czy wreszcie Austria musi pozostać niemy widzem tak zwanych „moralnych zwycięstw“ Niemiec, lub materyalnych nabytków. Do owych moralnych zwycięstw zaliczyć należy przedewszystkiem rozciągnięcie władzy rządu cesarskiego na kraje niemieckie; do materyalnych nabytków rozpostarcie panowania Prus. Dążność w pierwszym kierunku objawiła się naprzód przez taką zmianę gabinetu, któraby pozwoliła skupić władzę w rękach kanclerza, uczynić ministrów prostymi naczelnikami wydziałów, rozciągnąć ministerstwo skarbu na wszystkie części Rzeszy niemieckiej, i jak zjednoczonym zostało w rękach cesarza Niemieckiego naczelne dowództwo wszystkich wojsk niemieckich, tak w rękach kanclerza miałyby skupiać się dochody cesarstwa, podatki ogólne, cła, monopole i t. d., a w tym celu jedności chcieliby także system wolnego handlu zwolna zmienić w duchu cel opiekuńczych. Na tej ostatniej drodze dałyby się nawet pozyskać pewne nabytki materyalne przez wciągnięcie do unii handlowej i militarnej małych państw ościennych, mianowicie Holandyi i Danii. Holandya przedstawia pod tym względem wielkie zalety. Zbyt mała, aby utrzymywać marynarkę odpowiednią rozległemu handlowi swemu i ważności swoich kolonij, zbyt uboga pomimo bo-

gactwa swych mieszkańców, aby uzbroić się na lądzie i morzu według nowoczesnych postępów; potrzebuje ona opiekuna w czasach, gdy tylko wielkie i rozległe państwa mogą istnieć, rozwijać się swobodnie i w obronie interesów swoich wewnętrznych odgrywać rolę poważną na zewnątrz. Jeśliby Anglia wdała się w wojnę długą i ciężką, byłaby to pora dla kanclerza niemieckiego, aby skłonić Holandję do unii z Niemcami, o co już przed trzydziestoma laty robione były w Hadze starania. Zaręczyny młodej księżniczki pruskiej z dość już podeszłym księciem Henrykiem Holenderskim, namiestnikiem Luxemburga, zdają się torować drogę do tego planu.

Rok temu niespełna, gromady pielgrzymów wszech narodów spieszyły do Rzymu, aby złożyć hołd czei i przywiązania głowie Kościoła Piusowi IX. Była tam i gromada polskich pielgrzymów, do których Ojciec Sty przemówił słowami pociechy i nadziei. W kwietniu zaś pospieszyła z naszego kraju deputacja, aby nowemu Papieżowi złożyć świądectwo wierności Kościołowi i przywiązania do Stolicy Apostolskiej. Leon XIII przemówił do niej serdecznie i z głębi serca, i błogosławił jej i całemu narodowi polskiemu. Upatrywano różnic między obu papieżami, zmarłym niedawno i nowym. Różnice muszą być między nimi, jako ludźmi wybitnej indywidualności; mogą także zachodzić różnice pod względem stosunków ich osobistych do rządów i panujących, ale nie ma i nie może być różnicy w tem wszystkim, co jest urzędu ich papieskiego, ich obowiązków jako naczelników kościoła, ich charakteru najwyższych pasterzy, ich nieomylności jako tłumaczy ustaw kościoła, ani też niewzruszoności ich w obronie praw kościoła. W pierwszej swej alokucyi na konsystorzu ani na jotę nie odstąpił Leon XIII z praw swoich, z praw pontyfikatu i praw kościoła, nie pominął protestacyi przeciw spoliacyi, a w encyklice wielkanocnej, będącej wielką odezwą do wiernych całego świata katolickiego, nazначył jakoby manifest i program swój. Wprawdzie zawiadomił on wszystkich panujących o swoim na tron papieski wstąpieniu a nie pominął tych, którzy wielkie krzywdy wyrządzili kościołowi i jego wiernym; wprawdzie wyraził życzenie zawiązania na nowo stosunków między nimi a Stolicą Apostolską, ale nie uczynił i uczynić nie mógł żadnych ustępstw pod względem praw kościoła i hierarchii jego. Jeśli życzenia jego nie spełnią się, nie na niego spadnie odpowiedzialność; ale krok ten Ojca Sgo był potrzebny, był konieczny, aby nie mniemano, że pominieciem go zamknął sobie drogę. Był to krok uprzedzający, ale nie był ofiarowaniem kompromisu, bo żadnych ustępstw być tu nie może.

Aleksander Szukiewicz.

Nowe książki.

Zestawienie przedmiotów i autorów w 32 tomach „Tygodnika Ilustrowanego“ z lat 1859—1875 przez K. Estreichera. Warszawa 1877. Nakładem i drukiem J. Ungra, str. 276. Nowy ten owoc benedyktyńskiej pracy i cierpliwości szanownego Dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej, jest nabytkiem niezmiernie ważnym i cennym dla każdego uczonego. Wiadomo, że czasopisma pochłaniają obecnie prawie całą produkcją literacką. Jakże odnaleźć w takim ogromie materiału to, czego każdy z nas potrzebuje, jeśli się nie ma takiego treściwego wykazu, jak powyższy. Zamiast wertować trzydzieści kilka tomów „Tygodnika Ilustrowanego“, choćby się je nawet miało pod ręką, dość popatrzeć do tego ekonomicznego i jasnego „Zestawienia“, ażeby odrazu znaleźć to, czego się szuka — a znaleźć można w „Tygodniku“ niemało. Samych żywotów i nekrologów około 600. Autor podzielił spis na 28 działów. W §. 26 podał niesłychanie pracowity spis miejscowości, a w §. 27 spis abecedowy autorów, tłumaczy, artystów, o których pisał „Tygodnik“ — i to nie prosty spis imion, ale wykaz każdej stronnicy w każdym tomie, gdzie się tylko najmniejsza znalazła wzmianka. Osobno podany spis poezyj, dramatów, powieści, rycin itd. *Dodatek* zawiera spis przedmiotów „Tygodnika“ do czerwca 1877 r.

Taka książka to nie dzieło, to dobrodziejstwo.

Jubileusz Józefa Ignacego Kraszewskiego przez K. Estreichera. (Odbitka z „Gazety Lwowskiej“). We Lwowie. Z drukarni Wł. Łozińskiego. 1878. str. 24. Autor zwraca na wstępie uwagę, że należały się już dawno obchody jubileuszowe Bohdanowi Zaleskiemu, A. E. Odyńcowi i innym; dowodzi następnie, że pierwsza drukowana praca Kraszewskiego okazała się dopiero w r. 1830 w „Noworoczniku Litewskim“ na r. 1831, a pierwszym osobno wydaniem dziełem była powieść *Pan Walery*, która wyszła 1831 r.; zestawia liczby corocznej produkcji pisarskiej, ciągle wzrastającej (w r. 1831 jedno dzieło, w r. 1873 dziewięć) tak, że do r. 1873 napisał 250 dzieł o 450 tomach. Tłumaczeń dzieł jego jest 54 na 7 języków. Autor ocenia następnie bezinteresowność, siłę twórczą i zasługi Kraszewskiego i zastanawia się wreszcie nad rozmaitemi projektami uczczenia 50-letniej pracy i zasługi Kraszewskiego.

Misoellanea z prawa handlowego i wekslowego. Zeszyt II. O istotnych znamionach czynności kredytowych i ich nieważności według ustawy lipcowej z r. 1877 napisał *Dr Leonard Pięta*k, profesor uniwersytetu

lwowskiego. We Lwowie. Nakładem »Przeglądu sądowego i administracyjnego«. 1878. str. 141 do 216. Zeszyt pierwszy traktował o giełdzie i czynnościach giełdowych. Recenzją podamy.

Księgarnia polska, jedna z najczynniejszych i najruchliwszych we Lwowie. wydała świeżo następujące trzy dzieła:

J. I. Kraszewski. *Krwawe Znamię*. Powieść. Lwów 1878. str. 224. Recenzją tej powieści umieścimy później.

Diphteritis, Angina, tyhoże rozpoznanie i sposób leczenia. Popularnie skreślił dla użytku rodziców, opiekunów, zakładów i t. p. *Dr Ant. Stan. Berger*. Lwów 1878. str. 60. Wobec okoliczności, że difteritis stała się postrachem wszystkim, książeczka ta, jasno i przystępnie napisana, nie potrzebuje polecenia.

Józef Laskownicki. *Rusini*. Powieść w trzech częściach. Lwów 1878. str. 235. Wydanie »wznowione«.

Piektło. Czyr jest? Czem jest? Co czynić, aby się do niego nie dostać? Napisał *JW. X. biskup de Ségur*. Poznań. Nakładem Tytusa Daszkiewicza. 1878. str. 126. Książeczkę tę przełożył z francuskiego upoważniony przez autora X. W. M.* Przekład byłby nie zły, gdyby nie takie wyrazy, jak: »na myśl mi nie przyszło o moim przyjacielu (str. 30), otworzyła oczy jak sęrokie (str. 32), zostaj z Bogiem (str. 71), zamkli dom (str. 36) i t. d.

Sprawozdanie z czynności Rady państwa podczas sesji z roku 1876—7. *Wyborcom swoim przedkłada hr. Stanisław Mieroszewski, poseł i t. d.* Kraków. Druk. W. Korneckiego. Nakład autora. 1877. str. 20.

Listy polskie. Pod tym tytułem wychodzi w Paryżu dwa razy na miesiąc nowe pismo. Redaktorem jest J. T. Hodi. Dyrektorem odpowiedzialnym *M. A. Wack*. Prenumerata roczna 12 fr. (Boulevard du Montparnasse 136). Nr. 4 zawiera następujące artykuły: 1) Z Genewy przez *Z. Miłkowskiego*. 2) Trzy polityki nasze z przed roku 1863, rozważył *Edward Siwiński*. 3) Pierwsze chwile niewoli. 4) Z kraju i z wygnania. 5) Z paryskiego ustronia. 6) Projekta i notatki emigracyjne. Jak widzimy, program bardzo urozmaicony.

Sprawozdanie Zarządu Towarzystwa muzycznego w Krakowie za czas od 1 czerwca 1876 do 31 grudnia 1877. Kraków. Druk Korneckiego. 1878. str. 22. Towarzystwo miało w r. 1877 członków: protektorów 3, honorowych 13, czynnych 65, wspierających 283, nauczycieli 12, uczniów 143, dochodu 7111, wydatków 7060 złr.

Le Traité de San Stefano et l'avenir par A. . . . c. Vienne. Imprimerie et edition de A. Keiss et P. Horn. Polecamy czytelnikom tę broszurę zajmującą i zawierającą zdrowe na stosunki terażniejsze poglądy.

Litwa do unii Lubelskiej przez autora „Poglądu na literaturę polską“. Poznań. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego. 1878. str. 57. Recenzją podamy.

Obecna chwila, przez byłego posła na sejm krajowy. Kraków. 1878. str. 27. Pod powyższym tytułem wyszła właśnie w drukarni »Czasu« broszura polityczna, która zawiera dzielnie rzucony pogląd na niedaleką przeszłość, oraz na wielkie zadania chwili obecnej i niebezpieczeń-

stwa grożące Europie i wszystkim jej ludom ze strony sojuszu dwóch aglomeratów — Rosyi i Prus. Konkluzye są śmiałe ale logiczne. Broszura ta zasługuje na uwagę i obszerniejszy rozbiór.

Towarzystwo kredytowe miejskie w Królestwie Polskim przez Zyg. Skar. Malczewskiego. Czcionkami St. Romana w Pielinie (arkusz in folio).

Przewodnik prawdziwej pobożności czyli nowe praktyczne rozmyślania na każdy dzień roku o życiu Pana naszego Jezusa Chrystusa przez O. Brunona Verernysse T. J. z 3go wyd. franc. przetłóm. Na dzieło p. t. t. w 2 tomach ogłasza prenumeratę (3 złr. z przesyłką) ks. Bronisław Chołoniewski, prefekt Sem. kleryków obrz. łac.

Niewolnictwo wewnętrzne i wojna za oswobodzenie przez M. Dragomanowa, (przekład z rosyjskiego) Kraków W druk. „Czasu“ str. 54. Jestto osobne odbicie z „Caasu.“

Aleksandra hr. Przezdzieckiego *Pełne wydanie Dzieł Długosza* obejmować miało tomów XIV. Z tych wyszło dotąd tomów XIII, a mianowicie: V tomów *Dziejów* (II, III, IV, V, VI wedle liczenia porządkowego całej edycji) *polskiego przekładu*, dokonanego przez Dra Karola Mecherzyńskiego, profesora Uniw. Jagiełł., tomy III *Liber beneficiorum dioecesis Cracoviensis* (po łacinie, VII, VIII, IX), oraz tomów V *tekstu łacińskiego Dziejów* (Historia polonica X, XI, XII, XIII, XIV), poprawnego wedle rękopisów współczesnych przez Ignacego Żegotę Paulego, urzędnika Bibl. Uniw. Jag.

Obecnie pozostaje do wydania jeszcze 1 tom (I) rozpoczynający edycyę, w którym się pomieszczą: *Żywoty ŚŚ., Biskupów, Clenodia, Banderia, listy, mowy, i żywot Długosza.*

Index do tekstu łacińskiego *Dziejów* (zrobiony przez Dra Żebrowskiego Członka Akademii Umiejętności), który miał być dołączony do tomu V (ogólnego zbioru XIV), z powodu swojej obszerności, wyjdzie jako tom XV dodatkowy, programem Wydawnictwa nie objęty. Prenumeratorowie, którzy przedpłatę uiszcili całkowicie, płacąc ją z góry, odbiorą ten tom bezpłatnie — inni mogą go nabywać po cenie na kupno pojedynczych tomów naznaczonej (5 złr.).

Wydanie całości (XV tomów) ukończonem zostanie przed zamierzonym obchodem 400-letniego jubileuszu Długoszowego.

Adres Wydawnictwa: w Krakowie Dr. J. Łepkowski, Prof. Uniw. Jagiełł., w Warszawie Konstanty i Gustaw hr. Przezdzieccy.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.

BAR. BRÜGGENA

„ROZKŁAD POLSKI.“

*Freih. Ernst von der Brüggen, Polens Auflösung. Kultur-
geschichtliche Skizzen aus den letzten Jahrzehnten der pol-
nischen Selbständigkeit. 8vo IV i 417 str. Lipsk. Veit et
Comp. 1877.*

Baron Ernest v. d. Brüggen, niezawodnie Niemiec Kur-
landzkiego pochodzenia, ogłosił przed paru laty w berliń-
lińskim czasopiśmie „Preussische Jahrbücher,“ wychodzącem
pod redakcją znanego prof. berlińskiego Henryka Treitsch-
kego, szereg rozpraw, dotyczących historyi polskiej z cza-
sów Stanisława Augusta. Rozprawy te później powiększył
i pomnożył, a ująwszy je pod tytułem „Auflösung Polens“
w jedną całość, utworzył z tego książkę, o której tutaj nieco
obszerniej pomówić zamierzamy.

Jestto niezawodnie książka wielce zajmująca, napisana
z talentem, tonem poważnym, bez *wygórowanej* namiętności
i nienawiści ku nam; sposób przedstawienia rzeczy bardzo
ożywiony i barwny, miejscami nawet świetny, liczne trafne
spostrzeżenia rozrzucone po całym dziele, zwłaszcza chara-
kterystryki wybitnych osobistości z czasów Stanisława Augu-
sta przeprowadzone z wielką trafnością i nieraz bijącym
w oczy podobieństwem; dar spostrzegawczy, jako i dążność
autora do przedstawienia wypadków dziejowych według ich

wewnętrznego związku i głębszych powodów zasługują na zupełne uznanie. Jednem słowem, bar. Brügggen jestto autor niepoślednich zdolności, z którym się w każdym razie liczyć trzeba.

Tym sposobem wypowiedzieliśmy zwięźle i krótko wszystko to, co wyrzec można na pochwałę dzieła autora. Zalety te są tak donośne i wybitne, że strony ujemne pracy tej — a są one, jak to zobaczymy, niemałe i liczne — muszą wprawdzie koniecznie bardzo znacznie zniżyć jej wartość, lecz nie do tego stopnia, żebyśmy książki tej, jako pochodzącej od Niemca piszącego o naszych stosunkach, nie mieli uważać za jedno z wybitniejszych zjawisk w szeregu publikacyj niemieckich, traktujących o dziejach Rzeczypospolitej polskiej w ostatnich latach jej istnienia.

Zbiorem szkiców, dotyczących kultury z ostatnich dziesiętna lat samodzielności polskiej, nazwał autor swoją książkę i tem ona też jest, ale niczem więcej. Wyczerpującego przedstawienia stosunków narodu polskiego w ostatnich latach panowania Stanisława Augusta, wszechstronnie rozważonej, systematycznie przeprowadzonej i w niezbędnie potrzebne źródłowe dowody zaopatrzonej charakterystyki nie szukajmy u p. Brügggena, bobyśmy jej nie znaleźli; a jednak mielibyśmy prawo żądać jej od autora, który na podstawie dzieła swego feruje wyrok taki: „W Polsce odbył się rozkład zupełny tak pod względem państwowym, jak i społecznym; Polska, jako państwo i społeczeństwo, rozprzegła się zupełnie, przeprowadziła na sobie samej proces rozkładu, który ją wykreślił z szeregu państw europejskich.“ Pisarz, występujący jako sędzia całej przeszłości narodu, pisarz, wypowiadający taki okropny wyrok, który nawet jako tytuł, świecący czytelnikowi w oczy, wypisał na czele swojej książki, nie powinien, jeżeli się liczy z sumieniem, czynić tego na podstawie „szkiców do dziejów kultury,“ lecz jedynie tylko na podstawie gruntownego, wszechstronnego, wyczerpującego i sprawiedliwego śledztwa — badania. Jak zaś pod wielu względami co do metody, gruntowności i wyczerpania materiału, książka ta nie domaga — a wszystko to przecież znaleźć powinniśmy w pracy prawdziwie badawczej — będę się starał poniżej wykazać.

Choć jednak książka p. Brüggena jest tylko zbiorem szkiców, to mimo to może autor jej odznacza się taką intuicyą, że nie przeprowadziwszy z nami ścisłego i dokładnego procesu, potrafił jednak wypowiedzieć wyrok słuszny i sprawiedliwy? Przypatrzmy mu się zatem bliżej.

Wiadomo, że istnieją u nas jeszcze historycy, którym się zdaje, że służą najlepiej nauce i sprawie narodowej, zakrywając każdą ciemną plamę, każdy niedostatek, każde haniebne zajście w dziejach przeszłości naszej. W całej swej naiwności sądzą oni, że zagranica chwalić nas będzie, skoro się sami chwalimy. Nie liczymy się wcale do tej szkoły, owszem, przeciwnie mieliśmy już nieraz sposobność stanowczego wystąpienia przeciw takim prawdziwie strusim teoryom, obalamującym nas samych, podkopującym wszelkie dążności prawdziwie naukowe i wystawiającym nas poprostu na pośmiewisko rzeczywiście uczonego zagranicznego świata. Mimo to więc, że bynajmniej nie dążymy do ukrywania wad i przewinień naszych, musimy jednak oświadczyć, że na wyrok p. Brüggena w całości pisać się nie możemy.

Jeśli p. baron twierdzi: Polska jako państwo zgoła się rozprzegła, żadne z owych licznych kółek maszyneryi państwowej nie wypełniało ostatecznie tego, co wypełniać było powinno, to my z naszej strony przyznać musimy koniecznie, że naród polski skutkiem okropnego swego, jakby wśród napadów obłędu stworzonego ustroju politycznego, doprowadził się ostatecznie do takiego stanu. Lecz — i tego nie uwzględnia autor wcale — Rzeczpospolita polska doszła do takiego rozkładu i ubezwładnienia nietylko z własnej winy, lecz w znacznej części skutkiem systematycznej opozycji mocarstw sąsiednich, które jednomyślnym oporem umiały zawsze zapobiedz każdej reformie, jaką w Polsce tylokrotnie podnieść zamierzano. W Rzeczypospolitej zaś samej obudziła się, wzrosła i spotężniała myśl, że stanowi takiemu trzeba ostatecznie koniec położyć. Choć zaś przeciwko czteroletniemu sejmowi i konstytucyi z 3 maja sumienny i jasno rzeczy widzący historyk podnieść musi niejeden ciężki zarzut, to jednak dzieło z 3 maja uważać musimy koniecznie za takie, które z czasem rozwinąć się i dalej postąpić mogło, które Rzeczypospolitej polskiej nadać mogło podstawy potrzebne

do tego, aby ją zamienić w żywotne, organiczne państwo. Wszystko to byłoby się w przyszłości niezawodnie spełniło, gdyby właśnie w chwili, kiedy się Polska zerwała do donośnej i obfitsze owoce obiecującej czynności, nie byli jej dwaj sąsiedzi, złączywszy się razem, zadali ciosu śmiertelnego. Prawdziwej historii sejmu czteroletniego i konstytucyi 3 maja dotąd nie posiadamy, a to, co o tem pisze p. Brüggem w XVI rozdziale swej książki, jest, zdanie mojem, może najslabszą częścią całej jego pracy. Widać tutaj wyraźnie, że nie miał się na kim oprzeć, że nie zastał drogi utorowanej i ubitej, oparł się więc na oklepanych komunałach.

Jak najenergiczniej atoli wystąpić musimy przeciw twierdzeniu autora, jakoby ówczesne społeczeństwo polskie pod moralnym względem znajdowało się rzeczywiście w takim rozkładzie i rozprężeniu, jakoby było do tego stopnia zgangrenowane, że już wszystkie jego żywotne siły niszczały do szczytu, jak to przedstawić stara się autor. Najwyższe warstwy arystokracji europejskiej w drugiej połowie wieku XVIII dotknięte były moralną zarazą, która podkopywała ich podstawy, pozbawiała je wszelkich żywotnych soków, najwyraźniej widzieć to możemy we Francyi a niemniej także i w Szwecyi. Ta zaraza rozpostarła się także na wysoką arystokracją polską, a mimo to i w jej szeregach spotykamy przecież wówczas osobistości, „młodą Polską“ nazywa je autor, którym nawet p. Brüggem odmówić nie umie swego szacunku i poważania. Że jednak były to tylko wyjątki, przyznajemy w zupełności. Że zaś charakterystyka moralnych stosunków ówczesnej szlachty polskiej wogóle wypadła w dziele p. Brüggena tak na wskrós niekorzystnie, przypisać to musimy przedewszystkiem dwom okolicznościom albo raczej niedostatkom dzieła niemieckiego autora.

Pan Brüggem ułożył sobie szablonik trzyklasowego podziału szlachty i wtłoczył do niego przemocą wogóle całą szlachecką ludność ówczesnej Polski. Jest to postępowanie niepoprawne i niekrytyczne. Owych trzech klas szlacheckich pana Brüggena bowiem nie napotykamy bynajmniej *we wszystkich* prowincjach polskich, szkodliwy wpływ tego troistego podziału nie mógł zatem też występować w *całej* ówczesnej Polsce, a znajdujemy w niej bardzo znaczne obsza-

ry, do których zgoła zastosować się nie da obraz jaskrawemi barwami naszkicowany przez autora. Ów troisty podział wyrobił się w biegu dziejów polskich tylko na Litwie, Wołyniu, Podolu, Ukrainie i po części także na Rusi. Tutaj, na Litwie jako zabytek po dawnych kniaziach, w innych co dopiero wymienionych prowincyach jako skutek kolonizacyjnej działalności, powstały owe ogromne latyfundiye, a około dzierżycieli tychże, jakoby około małych królików, grupowała się w zupełnej zależności drobna szlachta, przyczem szlachta średnia, dość majątna, aby nie zależeć od wielkich panów, zredukowała się do liczby tak drobnej, że niemal w obrachunek nie wchodziła. Zgoła inaczej atoli stały w drugiej połowie wieku XVIII rzeczy te we właściwej Polsce: w Wielkopolsce, Małopolsce, na Mazowszu. Tutaj nie było latyfundi, nie było na pół udzielnych królików-magnatów; tutaj przeważna większość szlachty składała się właśnie z takich posesyonatów, dość zamożnych, aby się nie potrzebować trzymać koniecznie klamki pańskiej. Potężnej magnaterii wschodnich prowincyj zatem tutaj wcale nie widzimy; trzecia klasa szlachecka występuje tutaj nielicznie, a przeważna większość należy do tej klasy, którą autor drugą mianuje. Taka szablonowa charakterystyka stosunków szlacheckich, jaką nam p. Brügggen daje, takie nieuwzględnienie tak wybitnych prowincjonalnych różnic, daje oczywiście w wyniku swoim obraz zgoła niezgodny z rzeczywistością. Winić o to zbyt ciężko nie chcemy p. Brügggena, bo niedokładność ta powstała przedewszystkiem stąd, że pamiętniki, które autor jako materiał do charakterystyki tej używał, zajmują się właśnie temi obwodami Rzeczypospolitej polskiej, na których się ów troisty podział i jego szkodliwe skutki szeroko rozpostarły. Autor zatem głównie w tem zblądził, że przejęty z pamiętników tych obraz, ze stosunkami wschodnich prowincyj może zgodny, zgeneralizował, na całą Rzeczpospolitą przeniósł, nie widząc i nie czując wcale różnic panujących w ustroju wschodnich i zachodnich dzielnic Rzeczypospolitej. Że zaś autorowie pamiętników we wschodnich częściach powstałych zajmują się przeważnie na pół udzielnymi królikami-magnatami i ich dworami, że dalej nawet zwiedzający Polskę i opisujący jej sta-

sunki cudzoziemcy, taki Coxe, Schultz przedewszystkiem albo raczej wyłącznie zajmują się Warszawą, dworem i najwyższą arystokracją, to z tego jeszcze nie wynika, żeby dzisiejszy historyk, stojący na wysokości umiejętności wymagań, miał prawo generalizować ich opisy, zamieniać je w jeden obraz całego ówczesnego polskiego społeczeństwa.

Zbývá dalej autorowi zupełnie — i toby był ów drugi ważny niedostatek — na zrozumieniu stosunków i sposobu życia średniej szlachty, t. j. owej klasy ludności polskiej, która wówczas w szeregach swych zawierała najżywoźniejsze siły i stosunkowo moralnie najzdrowsze indywidualności, a ta średnia szlachta była, jak to już widzieliśmy, w prowincjach właściwej Polski do tego stopnia rozgałęziona i rozmnożona, że wobec niej dwie drugie prawie zupełnie znikają. Z wadami i enotami tej średniej szlachty za mało zapoznał się autor, a to, co o niej mówi, świadczy przeważnie o tem, że stosunków tych z gruntu nie rozumie. Głęboka religijność tej klasy, niewątpliwie tu i owdzie pomieszana także z zabobonem, była w każdym razie lepszą od niereligijności, która wtedy pod wpływem francuskiej pseudofilozofii bujnie się rozpostarła w całej ówczesnej Europie. Prawdziwie imponująca czystość stosunków rodzinnych, bezwzględne posłuszeństwo dzieci wobec rodziców, które w klasie tej powszechnie napotykanymy, wszystko to świadczy o moralnem zdrowiu, które tutaj panowało. Jeśli autor wzdrygając ramionami z ironicznym uśmiechem, opisuje (str. 115) ową znaną scenę pomiędzy młodym Karpińskim a ojcem jego, to widać z tego, że p. Brüggén nie jest w stanie zrozumieć, jak wysokiego znaczenia zażywała w takiej rodzinie ojcowska powaga, o jak surowych stosunkach rodzinnych przykład ten świadczy, i że już z tego opisu wynika, iż takie proste, szczere, na wskrós zdrowe, choć rubaszne natury nie mogłyby były żadną miarą powstać w społeczeństwie na wskrós zgangrenowanem, według autora.

Takie natury i takie stosunki mogą się tylko wyrobić w zdrowej a nie w zgniłej atmosferze. Taka karność rodzinna nie zgadza się wprawdzie z naszymi dzisiejszemi pojęciami i dążnościami, lecz czy nie przynosiła ona większego szczęścia i większych korzyści od dzisiejszej rozlazłości i nie-

subordynacyi, o toby może posprzeczać się można. W każdym razie jednak, osądzając i przedstawiając stosunki minionych wieków, nie należy wychodzić z *dzisiejszego* punktu widzenia, jak to autor czyni bezustannie. Jeśli się bowiem postępuje drogą autora, to nigdy nie nauczymy się rozumieć i oceniać stosunków przeszłości, to wiele rzeczy wyda nam się śmiesznymi, dziwaczными, anormalnymi, które w rzeczywistości inne wrażenie na nas robić powinny. W szeregach tej średniej szlachty wreszcie znaleźć było można wówczas jeszcze niejednokrotnie prawdziwy, czysty patriotyzm, skory do złożenia majątku i zdrowia na ołtarzu dobra publicznego. Nie możemy tutaj podawać dokładniejszej charakterystyki tej średniej szlachty, to atoli zdaniem naszym nie ulega wątpliwości, że była to najzdrowsza część ówczesnego polskiego organizmu i że ówczesne polskie społeczeństwo nie było bynajmniej tak zdegenerowane i strupieszale, jakby to w czytelników swoich chciał wmówić p. Brügggen. Wysoki świat arystokratyczny warszawski, życie na dworach Radziwiłłów, Branickich, Potockich jeszcze wcale nie odzwierciadlały stosunków i życia polskiego społeczeństwa wogóle.

Gdyby zresztą społeczeństwo polskie z końca wieku XVIII było faktycznie tak strupieszale i zgniłe, jak to wmówić w nas chce autor, toby dzisiaj po stuletniej niewoli i tak licznych i ciężkich kataklizmach nie było już śladu narodu polskiego; już sama nasza egzystencja zadaje kłam twierdzeniu p. Brügggena.

Co do metodycznego traktowania i użytkowania źródeł, co do znajomości literatury i odczytania autora, to pozostawia on aż nadto do życzenia.

Używanie pamiętników i politycznych broszur jako źródeł historycznych, nastrocza w każdym razie trudności nie małe. Krytyka dat i zapastrykań zawartych w takich źródłach, nigdy nie jest łatwą, bo indywidualizm autora, cel jego literackiego płodu aż zanadto wpływają na cały jego sposób przedstawienia rzeczy, a nawet na sam szereg faktycznych dat, które nam taki pamiętnikarz lub broszurzysta podaje. Z pamiętników i politycznych broszur wypisać ile możności najczarniejsze ustępy i z nich ułożyć obraz

jak najbardziej ponury, na tem przecież nie polega jeszcze napisanie prawdziwych i trafnych dziejów kultury którejkolwiek epoki historycznej. Z takiego materiału i taką metodą możnaby o dziejach Szwecyi, Niemiec, Francyi, wogóle każdego kraju europejskiego z tej samej epoki nakreślić obraz równie czarny, a może czarniejszy od tego, który nam p. Brüggén narysował.

Ażeby przedstawić stan kraju jakiego pod względem kultury, do tego potrzeba przecież jeszcze czegoś więcej niż kilku pamiętników i broszur. Ani jednego zbioru korespondencyj i aktów z czasu tego, ani jednego literackiego utworu, prócz paru pamiętników i broszur nie używał i nie znał p. Brüggén, a przytem nie zapoznał się nawet ze *wszystkimi* pamiętnikami, nawet nie ze wszystkimi polskimi. Zaraz, kiedyśmy po pierwszy raz przerzucali jego książkę, uderzyło nas, że autor prócz opisu Infanczyka Schultza nie zna ani jednego pamiętnika lub opisu podróży, pochodzącego od współczesnego Niemca; Bernoulli, Biester, Kausch, Ham-mard, Zöllner i t. d. dla niego zgoła nie istnieją, a jednak ci Niemcy, jako najbliżsi nasi sąsiedzi, mogą stosunki polskie znać lepiej i osądzać trafniej, aniżeli uprzywilejowany przez autora Anglik Coxe. Angielskiemu podróżnemu ówczesne stosunki polskie muszą się koniecznie wydać pod wielu względami dziwnymi, bo pomiędzy nimi a stosunkami ówczesnej Anglii zbyt wielkie istniały różnice; zbywało więc takiemu Anglikowi na trafnem *tertium comparationis*, a zresztą znał Coxe jedynie tylko drogę z Krakowa do Warszawy i wysokie arystokratyczne warstwy społeczeństwa polskiego. Z owych niemieckich pamiętników zaś byłby się p. Brüggén mógł także zapoznać z stosunkami nad drogą z Poznania do Warszawy i z Warszawy do Torunia.

Najgorzej atoli obchodzi się autor z politycznemi broszurami. Wiadomo, że sejm czteroletni wywołał całą powódź takich broszur. Szkoda, że p. Brüggén nie zapoznał się z pocuczającą pracą prof. Pilata o tej literaturze ¹⁾, z którejby się był dowiedział o niejednej dla niego ważnej rzeczy. Ten, kto chce broszur tych używać jako źródłowego materiału

¹⁾ Drukowaną w *Przeglądzie Polskim*.

do historycznego przedstawienia stosunków w ówczesnej Polsce istniejących, musi przedewszystkiem znać i uwzględnić stanowisko i dążność autora takiej broszury; nie wszystko bowiem, co w takiej broszurze, choć współczesnej, czytamy, musi być koniecznie prawdą, a każdy w nich zawarty szczegół brać za fakt niewątpliwy, jak to czyni p. Brügggen, nie jest bynajmniej zwyczajem krytycznego historyka. Tylko ten, kto *całą* tę broszurową literaturę z gruntu zna, tylko ten, kto przedstawienia reprezentantów różnych wówczas panujących prądów ze sobą porównał, potrafi taką drogą dojść do cennych rezultatów, to jest do trafnego obrazu ówczesnych stosunków. Jak zaś postępuje p. Brügggen?

*Oto nie widział on nigdy na oczy swoje ani jednej ze wszystkich tych broszur, nie widział nawet tych, na które wyraźnie się powołuje, lecz odpisał po prostu z dzieła Kraszewskiego: „Polska w czasie rozbiorów“ wszystkie te miejsca, które cytuje. Jestto ciężki zarzut, który robię autorowi, zarzut, jeśli prawdziwy, świadczący nieosobliwie o sumienności i gruntowności naszego sędziego. Zarzut ten polega na starannem porównaniu książki p. Brügggena z trzytomowym dziełem Kraszewskiego, a rezultat porównania tego jest taki: Pan Brügggen ani nie widział ani nie używał nigdy ani Vautrina, ani broszur *Les paradoxes, L' horoscope politique, Myśli patrzącego przez okno, Polak w Czuji, Dzwon staropolskiej fabryki*, ani też prawdopodobnie dzieła Francuza Mehée, lecz odpisał cytaty z tych wszystkich książek jedynie i wygodnie z Kraszewskiego. Wszystkie te cytaty bowiem, które przytacza, znajdują się dosłownie tak samo u Kraszewskiego i to zawsze z temi samemi opuszczeniami i lukami. W książce p. Brügggena zaś nie ma ani słówka niby to wyjętego z wymienionych książek, któregooby także nie było w dziele Kraszewskiego. (Porównaj Brügggen str. 54, Krasz. I, 149. — Brüg. 55, Krasz. I, 227 i 228. — Br. 62, Kr. I, 149. — Br. 62, Kr. I, 228. — Br. 65, Kr. III, 62. — Br. 83, Kr. III, 54. — Br. 83, Kr. III, 55. — Br. 90, Kr. I, 364. — Br. 90, Kr. III, 46. — Br. 110, Kr. I, 148 i 149 i t. d.).*

Jestto zatem wynik niewątpliwy; a więc p. Brügggen na potępienie nas nie potrzebował się nawet zapoznać z od-

nośną literaturą, lecz wystarczyło mu na to kilka miejsc na chybił trafił wyrwanych z dzieła Kraszewskiego. Tak się więc piszą dzieje kultury, tak odsądza się od życia i zdrowia cały naród!

Jeden tylko z przytoczonych powyżej cytat, który mi dużo narobił kłopotu, zdaje się w pierwszej chwili zaprzeczać twierdzeniu mojemu. Na str. 90 przywodzi p. Brügggen, ażeby odmalować nieład panujący w polskich sądach, dwa ustępy, mające pochodzić z broszury: *Dzwon staropolskiej fabryki*. Drugi z tych dwu ustępów od: *Zkądże to patron do to rozum wielki* znajduje się też dosłownie u Kraszewskiego III, 46, lecz pierwszego ustępu, który ma także pochodzić z tej samej broszury, niema tam u Kraszewskiego. Zacząłem się więc wahać. Czyby rzeczywiście p. Brügggen miał używać i znać tę broszurę? Wziąłem zatem samą broszurę do ręki i przekonałem się, że zacytowanego przez p. Brügggena z niej pierwszego ustępu wcale w niej niema. Po długim dopiero szukaniu znalazłem ten pierwszy ustęp od: *Nasze wszystkie archiwa do drugie płodzą* rzeczywiście także u Kraszewskiego I, 364, ale ustęp ten nie pochodzi z broszury *Dzwon staropolskiej fabryki*, lecz z jednego z pism Staszica, którego zatem p. Brügggen także nigdy nie widział. Głównem więc źródłem dla pana autora, źródłem, z którego o wiele częściej korzystał, aniżeli się do tego przyznaje, było trzypomowe dzieło Kraszewskiego. Jeżeli zaś dzieło to pod metodycznym względem żadnego znawcy zadowolić nie może, to cóż dopiero powiedzieć o książce p. Brügggena, któremu co do metodycznego traktowania źródeł daleko do Kraszewskiego.

Przeważna większość używanych przez p. Br. pamiętników i przekopiowane z dzieła Kraszewskiego ustępy są pisane w języku polskim. Autor tłómaczył je na niemieckie. Porównywać wszystkie te tak liczne miejsca z oryginałami, aby się przekonać, o ile autor panuje nad językiem polskim, na to zbywało mi na czasie i cierpliwości. Lecz już porównanie kilku miejsc obudza we mnie ugruntowane podejrzenie, jakoby autor nie władał do tego stopnia językiem naszym, żeby mógł dokładnie i wiernie tłómaczyć z niego na niemieckie. Jeżeli bowiem (str. 84) wyrazy *od obywatela*

tlómaczy vom Bauer, (str. 90) *pieniactwo Bettelei*, *szczypać strony* (co należało oddać przez: *den Parteien anzügliche Redensarten sagen*) przez *in die Seiten kneifen*, jeśli str. 160 powiada: *Radziwili ist nach Wraclaw gereist*, a więc zdaje się nie wiedzieć, że polski Wrocław zwie się po niemiecku *Breslau*; jeśli str. 238 i 249 pisze *die Handlung des Hampla*, a więc nie wie, że *Hampla* jest drugi przypadek od *Hampel* i że tak się nazywa znany za Stanisława Augusta w Warszawie handlarz mebli, to, przyzna mi każdy, nie możemy mieć zaufania do jego znajomości języka polskiego. Jeśli zaś w polskim tekście spotka wyraz niezwykły, trudniejszy, wtenczas radzi sobie znowu bardzo wygodnie: opuszcza go bez ceremonii, tak str. 65 wyraz: *grodeturowa*, str. 90: *subselia*.

W szczegółach wreszcie, co do faktów przytaczanych przez szan. autora, napotykam tak liczne i ciężkie baki — *sit venia verbo* — że i z tego widzieć musimy, iż p. Brügggen nie panuje jeszcze z niezbędnie potrzebną gruntownością nad polem nowszych dziejów Rzeczypospolitej polskiej, o których tak arbitralnie wyrokuje. Pozwolę sobie przytoczyć tylko grubsze uchybienia.

Na str. 80 czytamy: *An der Spitze (des Heeres) stand der Hetman, in der Krone der Kron-Grosshetman, in Lithauen der Feldhetman*. I to pisze specjalista na polu dziejów polskich, który zatem o tak elementarnej rzeczy nie ma trafnego pojęcia; przecież nawet u powierzchownego Hüppego mógł p. Brügggen znaleźć co do tego punktu odpowiednią informację.

Str. 87 robi autor Rzeczypospolitej polskiej zarzut, że *dopiero* r. 1776 zniesiono tutaj formalnie tortury. Autor zatem nie wie, że w niektórych z państw niemieckich używano ich jeszcze w pierwszych dziesiątkach lat *naszego* wieku. Tego rodzaju kwestye należałoby zawsze traktować ze stanowiska porównawczego, bo o wewnętrznych stosunkach państwa któregokolwiek wydać możemy jedynie wyrok sprawiedliwy wtedy, kiedy nam dokładnie znane są stosunki panujące w tym samym czasie w innych państwach Europy, tylko porównanie doprowadzić nas może do spra-

wiedliwego ocenienia. Tak n. p. Ulryk Werdum przebywając w Polsce w latach 1670—1672 spotkał raz jeden ślad palenia czarownic. Pod ręką nienawistnego nam pisarza szczególnie ten może się zamienić w surowy i ostry zarzut wymierzony na ówczesny stan kultury u nas. Lecz zobaczmy, na co ten sam Werdum patrzył, przejeżdżając w tych samych latach przez niemiecką prowincję Meklemburgią. W dniu 28 lipca 1672 jechał o cztery mile od Rostoku przez miejscowość Nyenbükow zwaną. O niej tak mówi: *Dies ist auch ein artiger Flecken mit einer langen gepflasterten Gassen, wiewoll schlechten Häusern. Das Gericht steht im Süden auf der Höhe dabei, um welches jetzt mehr als dreissig versengte Pfähle standen, daran erst vor wenig Wochen eben so viel Zauberer und Hexen verbrannt waren, wie denn auf dem ganzen Wege von Pommern heraus durch Mecklemburg nicht ein Gericht gefunden ward, dabei nicht etliche dergleichen Pfähle stunden, an welchen jüngst auch solche Executionen geschehen.*“ Jeśli więc co do tego szczegółu porównamy stosunki nasze z niemieckimi, porównanie niewątpliwie nie wypadnie na naszą niekorzyść.

Na str. 97 każe autor komisją edukacyjną zakładać roku 1768; tymczasem, jak wiadomo, założono ją dopiero 1775 roku.

Nie rektorem uniwersytetu krakowskiego był każdorazowy biskup krakowski (jak chce autor str. 98), lecz kanclerzem tego uniwersytetu. Zapomina przytem albo też nie wie autor, że wszystkie uniwersytety w Europie pierwotnie były związane ze stanem duchownym, że więc Władysław Jagiełło nie wprowadził nic wyjątkowego.

Na str. 109 powiada autor, że hr. Brühl nabył wieś polską *Brüchl* zwaną i że odtąd imię swoje w Polsce zastosował do polskiego ucha, pisząc się polskiem brzmieniem: *Brüchl*. I z tego znów widać, że autor nie ma ucha dla polskiego brzmienia, *Brüchl* bowiem brzmieć może po niemiecku, ale nigdy po polsku. Brylewo nazywała się owa wieś, a hr. Brühl pisał się odtąd w Polsce *Bryl*.

Na str. 151 nazywa autor ks. Karola Radziwiłła panie kochanku *bojarem*; obraziłby się niewątpliwie o to ks. Ka-

rol, boć był co najmniej kniaziem, a nie bojarem. Ks. Karol Radziwiłł zresztą nie pozostawił syna, jak się wydaje autorowi str. 160, a ks. Dominik, spadkobierca jego, był jego synowcem a nie synem.

Zjazd kaniowski kładzie autor (str. 179 i 278) na rok 1786, jestto znowu fatalny błąd popełniony przez znawcę epoki stanisławowskiej. Że ten tak ważny zjazd kaniowski odbył się r. 1787, któżby tego nie wiedział?

Przy podanym na str. 238 tak niekorzystnym opisie Warszawy mógłby był autor porównać to, co o tem mieście piszą Bernoulli i Biester.

Rodzina Potockich (str. 299) nie używała nigdy tytułu książęcego, który jej autor nadaje.

Księżna de Nassau-Siegen (str. 300) nie była w Polsce obcą, była to rodowita Polka, z domu Gozdzka.

Na str. 336 twierdzi autor, że Coxe znajdował się w Polsce podczas zamachu na króla Stanisława Augusta (t. j. 3 listopada 1771 r.). Z jaką to uwagą czytał autor pamiętniki Coxa, kiedy nawet nie wie, że Coxe dopiero w kilka lat potem, w lipcu i sierpniu 1778, przebywał w Polsce. Lecz choćby nawet Coxe podczas zamachu bawił w Warszawie, co jednak nie miało miejsca, toby jeszcze sumienny historyk wiadomość przez niego podaną, jakoby nuncyusz apostolski błogosławił w Częstochowie broń sprzysiężonych na króla, przyjmował z największą ostrożnością i niedowierzaniem, kiedy jej z innej strony nikt nie potwierdza.

Na str. 341 znajdujemy dziwną wiadomość, że Austria w r. 1771 przed pierwszym podziałem „obsadziła militarnie część polskiego terytorium, pomiędzy innemi spiskie miasta i kopalnie soli w Wieliczce i Bochni.“ Zajęcie Spiżu jest faktem ogólnie znanym, ale Wieliczki i Bochni?!

Lecz dosyć tych szczegółowych zarzutów.

Na śliskie pole ostatniego rozdziału książki p. Brüggena, prowadzącego nas w sam środek bieżącej polityki, już za nim nie pójdziemy, bo musielibyśmy pisać broszurę polityczną zamiast naukowego rozbioru.

W każdym razie, powtarzam to jeszcze raz: jestto książka z talentem i sprytem napisana, lecz zbywa autorowi

na metodzie, gruntowności i zapanowaniu nad materyałem; ostatnia okoliczność wywołała te tak liczne i dotkliwe braki w szczegółach. Strony dodatnie i ujemne książki p. Brüggena mają wielkie podobieństwo do znanego dzieła p. Hüppego o konstytucyi polskiej, forma jednak, sposób przedstawienia rzeczy są niewątpliwie wykwintniejsze i udatniejsze u p. Brüggena.

Xawery Liske.

TRAGICY GRECCY.

(Dokończenie).

II.

Nieraz już, odkąd się ludzie powszechną literaturą zajmują, stawiano pytanie, czy można czynić porównanie między pierwszorzędnymi poetami? Czy można mówić, że jeden stoi wyżej a drugi niżej? I pytanie to nie jest tem samem, co teorya, że nie ma absolutnego piękna, że nie ma przedmiotowego o pięknie sądu. I owszem, często ci, którzy najkategoryczniej i najbardziej stanowczo twierdzą, że są więksi i mniejsi poeci; ci, którzy chcieliby przepaść wykopać między geniuszem a talentem, nie chcą sądu pomiędzy geniuszami. Geniusz to dla nich coś boskiego, coś niedostępnego, coś, przed czem wolno tylko w milezeniu pochylić czoło. Kto tu sądzi, ten wedle nich bluźni.

Tak postępują krytycy szkoły zwanój we Francyi romantyczną — choć to słowo tak niejasne, że wolałbym go nie użyć. Lepiej może zamiast słowa, użyć określenia i powiedzieć, że ci, którzy ze świata nieradzi, szukają uciechy w burzliwym niejasnem uczuciu, tak czynią. Dla wszystkich winna być poezya pociechą i modlitwą piękna, dla nich poezya ta znajduje się tylko w rzeczach nadzwyczaj rzadkich, dziwnych, mglistych. Gdy czemu w oczy spojrzą, gdy coś rozumieją i określają, gdy się coś ciałem stanie a nie polem dla bujnej i nieujętej wyobraźni, dla tęsknych a niezrozumiałych uczuć, przestają tam widzieć poezyą. Co tylko namacalne i rzeczywiste, to dla nich już poziome.

Wielcy poeci, wielkie utwory, to rzecz rzadka a piękna dla nich zawsze, bo zawsze w utworze takim wielkim prócz bajki i myśli, co na wierzchu siadła, jest jeszcze myśli tysiąc. A jeśli w tych myślach mogą się nurzać bez końca, nie znajdując nigdy stałego ostrowia; jeśli bezmierne pojęcia poety ómia ich oko tak, że nigdy wszystkiego jasno widzieć nie może, chrzczą poetę geniuszem. Ezechiel i Daniel, Dante i Eschil wtedy dla nich największymi z poetów, a czasem, gdy się ich melancholia chrobliwą stanie, powiedzą, że jedynym we Francyi geniuszem był Rabelais, a że w Szekspirze najcudowniejszymi dziwactwa. Kogo raz między geniuszów policzą, tego im sądzić nie wolno, bo kogo się sądzi, tego się zrozumiało, a kogo się zrozumiało, tego już geniuszem nazywać nie wolno. Tak wyrokuja u nas często najpiękniejsze umysły. Ogół chce rozumieć i tak wyrokować nie może.

Ale z innego jeszcze stanowiska trudny sąd, trudniejszy wyrok. Otóż epoka każda powie ci, kto jej największym poetą — każde pokolenie będzie miało swojego oblubieńca, i jak długo sąd tyczy się tego, kto największym w swoim pokoleniu, rzadką w nim omyłką. Największym poetą ten, co najlepiej potrafi owładnąć serca ludzkie, co je cieszyć potrafi i wzruszać, rozweselać i budować wedle potrzeby wieku. Tego to ukocha pokolenie, tego wyświęci na „księcia poetów,“ a jeśli pokolenie ma książąt takich kilku, to już z pewnością prawie niemożliwem będzie porównanie między nimi, bo każdy z nich odpowie innej narodu potrzebie. Euripides wzruszał a Aristofanes śmieszył; Schiller mówił do uczucia Niemiec, a Goethe przemawiał do ich rozumu.

Ale gdy się spytasz jakie pokolenie o to, który z wielkich poetów największym, odpowie prawie zawsze, że ostatni, co we własnem powstał narodzie. A choć czasem przez przyzwyczajenie i przez cześć podaniową, powie, że najlepszym jakiś inny, dawny poeta, doda napewne: „Ale wolimy ostatniego.“ Heinego będzie czytać student niemiecki a chwalić Goethego.

Każdy wielki poeta jest tedy takim, jakiego potrzebowało pokolenie jego. Najzdolniejszym był ten, co najlepiej myśl narodu wyraził, co najpotężniej językiem władał, ale

o tej zdolności wyrokować z daleka niepodobna. I któż naprzykład odpowie na takie pytanie: Czy Szekspir lepiej władał angielskim językiem z czasów królowej Elżbiety, czy Mickiewicz lepiej pisał po polsku?

Kto tedy chce porównywać do siebie wielkich poetów, ten będzie porównywać ideały różnych czasów. A jakżeż tu być sędzią?

Mogłoby to się wydać rzeczą łatwą. Każdy z nas przywykł do pewnych form sztuki, podobnie jak do pewnego szat kroju, i w nich się lubuje i stronniczo ocenia formy inne, inne miary i wyrazy, inną technikę dramatu i inne poetyczne konwenanse. Prócz tego każdy z nas ma swój społeczny i metafizyczny ideał i swój ideał człowieka, co by się najlepiej poruszał w wymarzonem społeczeństwie. Więc dalej! niech każdy sędzi podług pojęć własnych, i niech nazwie wśród przeszłych poetów tego największym, co najlepiej przypadnie do własnego ucha, albo do ucha tych, którzy żyją wraz znami. Zapadnie tak sąd pewny siebie i słuszny, jeśli sędzia powie tylko: „Ten a ten mi się najlepiej podoba.“ Niesłuszny, jeśli sędzia powie, jak to uczyni najczęściej: „Ten a ten największym poetą.“

Chyba ten ci największym będzie, co się podoba wszystkim ludziom. Chybaby trzeba zsumować ilość przyjemności, którąby każdy poeta uczynił całej przeszłej, terażniejszej i przyszłej ludzkości, i powiedzieć, że największym ten, któryby się pochwalił największą sumą. A któż taki rachunek przeprowadzi?

Sąd tedy nieomylny i nieodwołalny jest w tym względzie niemożliwym. Wolno jednak, mojem zdaniem, i pod tym względem mieć własne upodobanie i wypowiedzieć je i uzasadnić. Kto jest w stanie zdać sobie i innym sprawę z tego, dlaczego co mu się podoba, ten czyniąc tak, może się przyczynić do rozwoju nauki, bo przytacza fakta, które jemu tylko mogą być znane, a które są ciekawe dla umiejętnego badacza zjawisk estetycznych. Ale taka spowiedź to osobne dzieło, które ogół czytelników może znużyć ciągłą wzmianką o sobie. Nie dla niej przeto tu miejsce i nie moglibyśmy tu powiedzieć więcej jak to, cośmy gdzieindziej powiedzieli. Sofokles dla mnie może największym poetą ze wszystkich,

Eschil zadziwia, Euripides i wzrusza i bawi, ale ani jeden ani drugi nie zadowolniają mnie tak zupełnie, jak Sofokles. A teraz o sobie powiedziałem dość, i to co powiedziałem, niechaj wystarczy na to, by czytelnik czytając, co dalej o tragicznych greckich napiszę, wiedział, z kim ma do czynienia i mógł dostrzedz osobistą barwę mojego upodobania, ilekroć mimo mej woli i wiedzy wmiesza się do obrazu. Nie powinno jej tam być, bo przypatrujemy się tu poetom jako zwierciadlikom swego pokolenia; lecz trudno, żeby jej tam nie było i sumienność nakazywała mi przestrzedz czytelnika.

A jednak, zanim odejdziemy od Eschila a przejdziemy do Sofoklesa, spytamy się raz jeszcze, czy niepodobna tu dobrać wspólnej miary i powiedzieć, który z nich nie już do pokolenia swego, ale do ludzkości całej lepiej przemawia? Obaj nie zamilkli nigdy, nie zostali nigdy zapomnianymi, i choć, niestety, nie da się zaprzeczyć, że zajmowano się nimi zbyt często z gramatykalnego tylko stanowiska, obaj nie przestali nigdy poruszać czyto wyobraźnię, czyto serce ludzkie. Z ludzi znakomitych w starożytności, a późniejszych już nieco, Aristofanes wołał Eschila a Aristoteles Sofoklesa, a kto zna Aristofanesa i Aristotelesa, ten łatwo zrozumie ich upodobania. Za czasów odrodzenia i w siedemnastym wieku obaj mniej byli czytani niż dziś, a dopiero w ośmnastym i dziewiętnastym wieku zwrócono na nich przedewszystkiem uwagę. Goethe i Krasiński kochali się w Sofoklesie, a Shelley i Wiktor Hugo stoją po stronie Eschila. Jeśliby takie upodobanie wolno było ważyć, bodaj czyby szala nie padła na stronę Sofoklesa.

Ale tu inna jeszcze okoliczność zachodzi. Eschila kochają ci, którzy znają starożytność, którzy mogą się wżyć w jego świat, ci, którzy mają potężną jeszcze wyobraźnię i burzliwe uczucie, i mogą niemi załudnić otchłanie rozwarłe przez Eschila; innych nuży i gdyby nie Prometeusz, zostałby dla wielu martwą literą — Sofokles, w czytaniu przy najmniej każdemu się podoba. Eschil dla wybranych i wtajemniczonych, dla wszystkich Sofokles; oto podobność fakt. Nie chcemy rozstrzygać, czy w tym fakcie już i sąd objęty.

A innej miary wspólnej nad owo upodobanie wieków trudno znaleźć dla starych poetów. Bo choć Eschil był tylko o dwa dziesiątki lat starszym od Sofoklesa, należał do zupełnie innego pokolenia i jakby do innego świata, i zdaje się czasem, że łatwiej o różnicę jak o podobieństwo między nimi.

Forma ich tylko niby jednakowa, ale i to podobieństwo powierzchowne tylko. U jednego i drugiego chór towarzyszy akcyi, a akcyja sama toczy się między chórami za pomocą dyalogu, w którym prócz bohaterów biorą udział i posłowie. U jednego i drugiego miewają chóry bardzo sztuczną budowę, a jambem pisane dyalogi bywają czasem nadzwyczaj żywe, tak że każda osoba tylko po jednym wierszu mówi. Ale na tem się kończy podobieństwo.

U Eschila chór główną rzeczą prawie i obejmuje połowę tragedyi, luzując się często tylko z opowiadaniem posła, rozmawia ciągle prawie z bohaterem i nadaje wszystkiemu kapłańską cechę i piętno rytuału; akcyja obejmuje wielką ilość dni, albo lat, albo nawet w Prometeuszu wieki całe, i dzieli się prawie zawsze na trzy główne działy czyli akta oddzielone od siebie chwilami, w których nie ma na scenie nikogo prócz chóru.

U Sofoklesa chór stał się tylko ozdobą i najświetniejszym poetycznym klejnotem. Chóry u niego to tylko jakby ramy złociste akcyi, co muzyką i lirycznym polotem przerywały tok wypadków. I dziś dajemy myśli widza spoczywać, gdy kortyna między aktami spada. Ale myśl ta nudzi się w chwili odpoczynku. Grecki chór rozrywał myśl, dając jej inny nowy pokarm i czynił tę przysługę nietylko dla widza, ale choć w mniejszym stopniu dla czytelnika tragedyi; — u Sofoklesa sama akcyja rozwija się zawsze w jednem miejscu, choć nie zawsze na jednym miejscu, i choć i u Sofoklesa zmiany dekoracyi nie były nieznane i nie każda tragedia kończyła się w jednym dniu, Sofokles chciał, by przedstawienie tragedyi nie trwało o wiele dłużej od zdarzenia, które tragedia opiewa. Gdy chór miesza się do dyalogu, staje się jedną tylko osobą i pojedynczym czynnikiem w akcyi, niezbędnym, żywym przedstawicielem czyto ludu, czyto rady starszych, czyto dziewic; przestaje wtedy być chórem i wraca do

swojej roli tylko w przerwach między aktami i czasem w chwilach największego roznamiętnienia akcji, kiedy liryzm wydaje się naturalnym i pożądanym. Wreszcie u Sofoklesa jest już niezmiennie pięć aktów i w pierwszym widzimy zawsze ekspozycją, w której dyalog wyłuszcza położenie bohaterów, w trzecim perypecją, w której akcja się przesila, w piątym wreszcie katastrofę, wśród której sprawiedliwość zwycięska jawi się na scenie, łagodzi namiętności, karze występki i albo nagradza cnotę, albo mści się za jej krzywdy. W pojedynczej tragedyi Sofoklesa już wszystko dokończone i ziszczone, już wszystko to dokonane, na co Eschil potrzebował całej trylogii, zostawiając u końca każdego utworu straszliwą i zgrzytającą otchłań zbrodni i zwątpienia. Prometeusz dla nas wielkim znakiem zapytania i wydaje się dziełem rozpacz i zwątpienia dlatego, że nie mamy dokończenia trylogii, do której należał, a Agamemnon i Ofiar-nice wyglądałyby tak samo rozpaczliwie, gdybyśmy nie mieli Eumenid. Przeciwnie, każda tragedia Sofoklesa zamknięta w sobie, spokojna i doskonała, jaśniej jakimś słonecznym blaskiem południa. To jednak rzeczą formy tylko, bo dusza Eschila była z pewnością twardszą, a może i spokojniejszą od duszy Sofoklesa.

I nie tylko organiczniejsza, kompletniejsza forma u Sofoklesa świadczy o tem, że dbał więcej o przyjemne wrażenia dla słuchaczy. Widać, że ze wszystkim miał przed oczyma inny cel od Eschila. Starszy poeta opiewał tylko ład bogów i grozę wojny; jak kapłan przypominał święte prawa gościnności i uświęconej rodziny, i ani nie chciał bawić widza, ani go nie chciał łudzić. Ani mu przez myśl nie przeszło, aby kto na jego sztuki patrząc, myślał naprawdę, że widzi przed sobą Prometeusza, i że stulecia upływają z każdą chwilą. Chciał tylko tworzyć symbol potężny i odsłonić zakon bogów. A zgorszeniemby mu było, gdyby kto chciał w tragedyi bawić widzów. Hymny długie i hyeratyczne dialogi nie ku zabawie służyły, jedno ku zbudowaniu, a poeta nie myślał o tem, jakby stopniować i odmieniać wrażenie. Jakżeż innym był Sofokles i jakżeż musiał Eschila gorszyć! Prawda, że myśl jakaś święta i w jego tragediach zawsze aśniej, ale myśl ta przystrojona w najnadobniejszą szatę.

Sofokles nie myśli o tem, jakby mówić w sposób godny bogów, jedno o tem, jakby zawładnąć duszami widza, jakby w duszy widza wzbudzić bezpośrednie uczucia piękne i górne.

Najpierw przenosił w świat mityczny, w świat bohaterów żywcem. Wyprowadził przedwiecznych i potężnych poprzed widza, kazał im działać tak, jak niegdyś działać musieli i to w sposób prawdopodobny, logiczny, i poufalił z nimi lud Ateński. Nie byli to już mężowie z kamienia, co się nie wahali nigdy, co pół drogi zaledwo zeszli do ludzi, zawsze nieprzystępni, nieubłagani, w występku nawet nadludzy. Bohaterowie Sofoklesa boleli i wahali się i mieli uczucia te, które ludzie mają, tak że z nimi można było współczuć. Serce Ateńczyka widza biło wraz z sercem Edypa albo Ajaxa i cieszył się tem Ateńczyk i coraz bardziej zrastał się z nimi, bo czuł dla nich litość i radował się, gdy zwyciężali, a groza powstawała potężniejsza, bo ze współczuciem złączona.

A groza tu jest. Bo choć te postacie wszystkie zbliżone jeszcze do nas i niby dostępne, większe one od ludzkości i jakieś idealnie piękne. Zda się, że z Olimpu zstąpiły jakby posągi Fidyasza. Spytać się tylko godzi, czem to Sofokles nadał postaciom owym piętno owe boskie i idealne? I pytanie zrazu zda się nierozwiązanem, skoro przecie postacie owe mają wszystkie namiętności ludzkie i nawet wszystkie ludzkie błędy. Tylko kto się już dobrze z Sofoklesem spoufali, potrafi powiedzieć, że wielkość i piękność jego ludzi leży w sile i w prostocie, która się w nich wszędzie jawi. Jeżeli jaką namiętność mają, nie jest to pewno namiętnostka drobna i ich charakter bywa zawsze całym charakterem. Poświęcenie u nich bez granic, gniew nieugięty, zaślepienie iście nadludzkie. Nie działają jako posągi — sługi ładu — ale jako ludzie owi, co pierś mają nie na miarę krawca, lecz na miarę Fidyasza. A gdy nieszczęście na nich spadnie, tak wielkie ono i tak straszne, że człowiek powinien paść pod niem zgruchotany. Oni schylą tylko kark i zaraz znowu dumnie podniosą głowę, jęknąwszy tylko na znak, że to boli. Tego, co śmiesznościami zwiemy, nie mają wcale; nie mają nawet owych drobnych nałogów i przyzwyczajęń, które tworzą powszednią brzydotę. Sofokles nie mówi nam

o tem, jak się stroją i jak ruszają, czy otyli, czy chudzi, jaką mają wymowę i jakie przyzwyczajenia. Że żywi, że z ciała i krwi są, o tem wiemy bez tego napewne, a gdy nie ma ani jednej kreski narysowanej malowniczym penzlem realizmu, coby szpeciła ich potężne postacie, wyobraźnia nasza widzi przed sobą ludzi żywych, którzy piękni jak posagi, jak one nadzy albo w spływające fałdy przyodziani i jak one się ruszają. A gdy usta otworzy który z tych półbogów, mówi poprostu, bez szumnych słów i mglistych zwrotów, ale pewny słów swych, które powie tak, że lepiej powiedzieć niepodobna. Więc rozum nasz się cieszy, gdy widzimy tę prawidłowość i piękność i moc, gdy widzimy te ideały żywych ludzi; a serce się cieszy, że może współczuć z ideałem i wzniesić się połączone z nim.

I niedość na tem, i nie na tem się kończy kunszt Sofoklesowy. Jeszcze inne biesiady i dla rozumu gotuje i dla uczucia. Choć człowiek wie, jak się tragedia skończy, choć zna opowieść, na której tle usnuta, jednak musi być ciekawy, gdy czyta, jak ona się rozwija. Są tajemne związki między słowem a czynem, jest dziwna zagadka jakaś, albo jest ciąg żywych wypadków, które wyrastają jedno z drugich, zapierając dech czytelnika czy widza. I coraz to ciekawsze wszystko aż do końca prawie. Gdy się raz już rzecz rozwiąże, nastąpi już tylko krótki wybuch lirycznej poezyi, znów podobny do ram obrazu, co uspokoi widza i świątecznie nastroi, broniąc, by uwaga naprężona nie spadła zbyt nagle na poziom codziennego życia. I jako uwaga naprężona, tak natężeniem bywa i uczucie. Obok grozy, którą budzi widok potęgi i bezmiernego nieszczęścia, wstają obawa i nadzieja. Do końca nie wiesz, jak się rzecz skończy, pragniesz sprawiedliwości, pragniesz końca walki, bolejesz czasem gwałtownie, radujesz się czasem możnie, zrastając się coraz bardziej z pięknem półbogów, i choć cię litość aż do łez porusza, uczujesz na końcu zawsze, że zwyciężyło dobro, a chór cię uspokoi, zanim odejdiesz z teatru albo zanim zamkniesz książkę.

I Sofokles łąd światów święci, ale inaczej. Nie mówi o nim, ale pokazuje go. Widzisz harmonią w dziwnej dusz ludzkich budowie, widzisz łąd w odwiecznym wypadków

związku, widzisz, jako sprawiedliwość nad światem czuwa. Uczą cię wypadki, uczą przykłady.

A teraz, żeśmy powiedzieli to, co powiedzieć było trzeba, aby opisać różnicę między dwoma poetami, uczynimy pono najlepiej, gdy sami także do przykładów przyjdziemy, gdy rozbierzemy myśl kilku tragedyj Sofoklesa. Niepodobna nam będzie wszystko o nich powiedzieć, bo w każdym słowie myśl ukryta, bo każdy wiersz wymaga stronnicy komentarza. I co więcej, niepodobna nam będzie ożywić opowiadania przykładami, któreby dały prawdziwe pojęcie o Sofoklesie. W każdym urywku Eschila jest Eschil cały nabożny i groźny i mglisty, a scena jedna, chór jeden z Sofoklesa gaśnie i więdnie, jak gaśnie ogień oderwany od pochodni, jak więdnie kwiat urwany z łodygi. I ten, co Sofoklesa nie czytał ani w oryginale, ani w przekładzie, wie o tem, że posiadamy siedm jego tragedyj i zna ich tytuły. Każdy prawie słyszał o Ajaxie, Elektrze, Edypie królu, Edypie w Kolonie, o Antygonie, Filoktecie i Trachinkach. Przytoczyliśmy tedy te nazwy tylko na to, by mieć czyste pod tym względem sumienie, a dodamy tu jeszcze, że starożytność cała późniejsza tylko o tych siedmiu tragedjach Sofoklesa mówi; można przeto z pewnością prawie twierdzić, że posiadamy najznakomitsze jego arcydzieła. Mimo to i mimo małej ich liczby, nie o wszystkich będziemy mówić i wybierzemy te tylko, z których najwybitniej da się wyczytać myśl Sofoklesa i pokolenia jego.

A najpierw spojrzjmy w „zwierciadło honoru“ w Ajsa Telamonowego syna, a przekonamy się snadno, że u starożytnych już istniały wyobrażenia, o których przywykliśmy wyrokować, że powstały dopiero w średnich wiekach. Ajax, bohater tej tragedyi, to już rycerz cały. Gdy Achilles umarł, miano oddać zbroję po poległym bohaterze najlepszemu z Greków pozostałych pod Troją, a Atrydzi osądzili, że najzasłużeńszym lis Odyssej, a nie Ajax tur. Gniewny Ajax zapłonął żądzą zemsty i chciał zabić Odysseja i Atrydów, ale Atene bogini zesłała nań szał i Ajax rznął trzody myśląc, że ludzi zabija, a gdy się przebudził w namiocie wśród byków i wołów, baranów i owiec zabitych, zrozumiał, że stał się śmiesznym, i nie mogąc śmieszności przeżyć, poszedł

w ustronie i tam sobie zadał śmierć. Oto treść tragedyi kończącej się pogrzebem Ajaxa. Budowa jej może nie ze wszystkim szczęśliwa, ale nie technice będziemy się tu przypatrywać, a tylko ludziom, którzy wystąpili w Ajaxie.

Trzy tu postacie godne uwagi, trzy typy, które nam powiedzą wiele o pojęciach Ateńczyków za dni Sofoklesa, to Ajax, Odyszej i Atena. A najpierw z Ajaxem sprawa.

Mówiliśmy już, że ów syn Telamonowy dziwnie podobny do szlachcica o średniowiecznym kroju, jest przeto bliższym nas, a gdy w nim wystąpi coś obcego, przedwiecznego, pogańskiego, uderzy nas tem żywiej, że odbija od swojskiego prawie tła.

Feodalny to panek na Salaminie, który rozkazuje wiernej drużynie, który ją dla rycerskiej sprawy powiodł aż gdzieś daleko za morze, i który ją już dziesiąty rok trzyma nad brzegami obcego morza, służąc niby Atrydom zwierzchnikom swoim lennym, jeśli wolno użyć tego wyrazu, i królowi Hellady w średniowiecznem znaczeniu. Ale jeśli jest naprawdę panem wśród drużyny, która pyszna z niego i która go dziwnie jakoś ukochała — służy jak najgorszym. Nie znosi tego, że Atrydzi mu nad głową wyrosli, niecierpliwi go ich królewska polityka, którą nazywa podstępem i chytrością i uważa się za równego im we wszystkim. Od dzieciństwa do konia i włócznie przywykły, marzy o tem, że i syn jego wyrośnie podobnie jak i on, do rycerskich spraw, mówi:

Wśród stad mojego ojca będzie kiedyś chłopak
Ujeżdżał zrebce ręce, łamiąc je do siodła.
O, chłopcze, bądź szczęśliwszym od twojego ojca,
A zresztą bądź podobnym! Nie bądźże mi tchórzem!
A teraz, dziecko, bardzo tego ci zazdroszczę,
Że niedbasz o nieszczęścia, co się w świecie roją.
Bo kto ma rozum, ten nie słodkie wie dzie życie;
Z rozumem człek się uczy smucić i radować.
Gdy raz do tego przyjdzie, trzeba byś pokazał
Twym wrogom, od jakiegoto pochodzisz ojca.
A pierwszej, długo goń za wiatrem pustym, młodą
Pieść duszę zabawkami i pocieszaj matkę.

Dobrym jest dość dla młodszego brata, który w nim czei głowę rodu, dla żony Tekmessy i dla poddanych, ale jest porywczym przytem, rady żadnej nie słucho, nikomu się nie zwierzy ani z zamiarów, ani z boleści i niewysokie ma wyobrażenie o niewieścim rozumie. Wszystko to tak, jak ów szlachcie starej daty, o którym zdaje się nam wszystkim, że go pamiętamy i który stał się nieśmiertelnym typem i wśród naszego narodu. A gdy czytamy Ajaxa, zdaje nam się, że ów szlachcie mógłby powitać śmiało jako „pana brata“ starożytnego Euryzacydę albo Eacydę, który żył za dni Sofoklesa i służył mu za model do skreślenia niezrównanej postaci Ajaxa. I tak jest pewnie. Szlachcie o średniowiecznym zakroju byłby się bawił zrazu serdecznie ze starogreckim Anaktem i byłby zgodnie z nim pociągnął na łowy albo na wojnę, rozkazywał szorstko służbie, o którą dbał serdecznie, ofuknął się na magnifikę, którą kochał tak, jak kochać powinien, i wygadywał na króla Jegomości, od którego nieby nie ścierpiał, i na takich przeklętych statystów jak ów Odyssej, który się wysługuje Atrydom i za to otrzymuje fawory Aganemnonowe. Ale gdyby obaj byli się zbliżyli do siebie, byłby rycerz chrześcijański wkrótce poznał z postrachem, że to z pohanćem zawiązał braterstwo. Boć to wszystko, co Ajax wyrabia, niezewszystkiem zgodne z kodeksem chrześcijańskiego rycerstwa. Dba o honor, ale pono w tym honorze rzecz najpierwsza, by się jego bano, by się z niego śmiać nie śmiano; bo chciał zrobić to, czego szlachcie średniowieczny nigdyby nie uczynił; chciał napaść w nocy na towarzyszy wojny i na króla zwierzchnika i chciał ich wymordować pokryjomu. Można było zresztą, i to nawet wcale niegodziwie, wyzwać Odysseja na pojedynek i zawiązać rokosz przeciw królowi. Ale tak mordować w nocy, jak złodziej! to niepięknie!

I niepięknie przyszedł ów pohaniec do żony Tekmessy, którą gdzieś porwał jako brankę, chowając dzieci z kradzionej żony. A to już najgorsza, że rozpacza, że nie znosi nieśczęścia, na które już nie ma rady, że się zabija własnoręcznie, co ostatnią bywa swawolą, i że umierając żegna się ze światem, jakby nie na tamten świat szedł, jedno do ciemnego grobu.

Gdy się bliżej rzeczy całej przypatrzymy, dostrzeżemy, że i Sofokles nie wszystkie owe uczynki Ajaxowe pochwalał. A jednak mimo nich mógł ukochać Ajaxa i czynić go bohaterem swoim, czegoby przecie nigdy nie był uczynił Kalderon, poeta chrześcijańskiego rycerstwa. Toć przecie inne były jeszcze za Sofoklesowych dni pojęcia i innem od chrześcijańskiego było owo pogańskie rycerstwo.

Podobno początkiem pojęć rycerskich cześć siły lwiej w mężczyźnie. Jak lew, tak rycerz powinien być pewnym swojej siły, i nie powinien nadużywać jej. Bać się go powinni wszyscy, nawet żona i dzieci, ale dla słabszych winien być wspaniałomyślnym, dla poddanych potężnym obrońcą. Najlepiej mu do twarzy z żoną branką, którą porwał wśród zgłiszczy ojczystych, a co potem ukochała jego męstwo — choć on był jej ojca wrogiem; a jeśli się raz rycerz na kogo pogniewa, nie powinien przebaczyć, a jeśli raz z niego się zaśmieją, nie powinien żyć. Choć, gdy skona, siła jego zniknie — choćby miała zgasnąć chwała, nie powinien się lękać niczego. Więc i grób ciemny dlań nie straszny, choć w nim nie masz pociechy.

Oto typ czysty rycerza, klasyczny, że tak powiem, idealny; i taki to typ pokazuje nam Sofokles. Rycerz chrześcijański, to już nie pierwotny ideał wojownika. To może wznioślejsza jeszcze postać — ów „książę niezłomny“ — co srom znosi, i wzgardę i brzydotę i najohydniejszą boleść, w więzieniach Fezu, ale to już nie rycerz tylko, nie lew-człowiek, jest w nim i przymieszka mnicha, co poślubia żonę wedle sakramentu, i myśli o wiecznej męczeńskiej chwale na tamtym świecie.

Lew-człowiek żył jeszcze za Sofoklesa i podziwiano go. Był nim może Cymon, Milcyadesów syn, ale nie tak pierwotnym i nie tak nieugiętym jak ów Ajax. Mnicha w nim nie było, ale lew ów usłuchał prawa, ilekroć nań zawołało, a Ajax tem właśnie zawinił, że chciał głowę wynieść ponad ład, że nie uznał sądu, i dla tej winy musiał zginąć. W tem działał źle, wedle pojęć Sofoklesowych, że się targnął na wodzów obranych przez Helladę. niesprawiedliwymi, pysznymi byli obaj Atrydzi, a jednak trzeba ich było słuchać i trzeba było słuchać Helleńskiej rady, i zbrodnią prze-

ciw bogom był zamach nocny na życie wodzów. To też bogowie nieśmierteli odwrócili oblicze swoje od Ajaxa, i Atena, córa Zewsowa, co staje na straży praw, stała się sprawczynią Ajaxowej zguby. Na nic mu się nie przydało męstwo; skoro powstał przeciw prawu, stracił rozum, i musiał go stracić, bo czyż rozumnym ten człowiek śmiertelny, co się targa na ład bogów niezmienny?

Atena tedy, to tu potęga wyższa i mścicielka sprawiedliwa. Bogini to, co władnie losem ludzi i nie cierpi. Taką jest jeszcze, jakaby pojął Eschil, choć mówi bardziej po prostu od Eschilowego Apollina, nawskróś pogańska, zimno sprawiedliwa, nieubłagana. U bogów tych greckich i śladu nie masz litości; wszak litość by rodziła cierpienie, a cierpienie obce nieśmiertelnym i niestarzejącym się. Głos jej jak dzwon nawołuje Odysseja na łowy, na wroga i budzi w nim zemstę, jak niegdyś u Eschila Apollo miecz mściwy dawał w ręce Orestesa każąc, by miecz ten przeciw własnej zwrócił macierzy; i co więcej, raduje się Atena szaleńcem Ajaksa i naigrawa się z niego, śmieje się, każąc mu myśleć, że nie woły lecz Atrydów oddała mu w ręce.

Niepodobni wcale ci twardzi mieszkańcy Olimpu do tych, którzy królują dziś w chrześcijańskim niebie i smucą się grzechami ludzkimi i radzi niosą miłosierdzie. Nieprawość nie smuci Ateny, a zgniata ją tylko spokojnie dłonią wszechmocną, skoro ład bogów zamąci, a litości imienia nawet nie zna i cieszy się nawet wtedy, gdy gubi takiego lwa-męża jak Ajax.

Pomocnik jej to Odyssej; inny wcale od owego Odysseja Homerowego, co przebiegłym był wprawdzie, ale jakoś po chłopsku. To mąż stanu, i ma na myśli tylko rozum stanu. To drugi ideał Sofoklesowy, różny od Ajaxa, ale w swoim rodzaju równie doskonały. Jeśli Cymon tamtego przypominał, Perikles był może podobnym do Odysseja, bo to bohater przebiegły, ale nie dla siebie, i niemilościwny jak bogowie pogańscy, ale myślący tylko o wspólnej Greków sprawie. Niegdyś sprzeciwiał się Trojańskiej wyprawie, ale skoro ją podjęto, stał się duszą jej, choć nie był dzielnym na ciele jak Achilles i Ajax. Czuwał, by wojsko nie zginęło, i wiedział, że zwyciężyć może tylko wtedy, gdy wo-

dzów usłucha; stał tedy przy wodzach obranych i służył ich władzy. Kto chciał być większym od nich, ten narażał dobro, wojsko i ten był Odysseja wrogiem, więc tego zgniatał za poradą Ateny bez miłosierdzia. Stał się tedy przeciwnikiem Ajaxa i postarał się o to, by jemu, wiernemu królów słudze, przysądzono zbroję Achillesa nie chcąc, by zbyt nie zaszczyty głowę zawróciły i tak zbyt butnemu pankowi z Salaminy. Gdy brał sobie owę zbroję, nie o pustej myślał chwale, jedno o dobru wojska. A gdy Ajax potem chciał się mordami mścić, cieszył się z jego szaleństwa, bo upadek tego lwa musiał utwierdzić władzę królewską. Ale gdy Ajax zginął, nasyconą była pomsta męża stanu. Zapora, co stała na drodze zwycięstwa, padła, i można i trzeba uczcić cnotę bohatera — dla przykładu.

„Królowi nie tak łatwo bogom służyć wiernie“

Powiada sam Agamemnon w tejże tragedyi, a Atrydzi obaj prędzej sobie służą niż bogom. Dowiedli tego już wiódąc lud ten cały dla prywaty na zgubę pod mury Troi. Dowiodą tego i teraz po śmierci Ajaxa, gdy go Tekmessa z synkiem i drużyna wierna i brat Teukros odz szukali; nie zechcą pozwolić na pogrzeb czesny Ajaxa, którego się Teukros domaga namiętnie i chcą, by psy i sępy pożarły ciało bohatera, choć bogowie kazali ludziom czcić umarłych. Zniewagą ciała byliby pewno sprowadzili klęskę na wojsko, gdyby nie Odyssej, ten sam, co poskramiał wassalów. Służył wiernie królom i ich sprawie, wolno mu tedy mówić, wolno przypomnąć obowiązek. Pierwej upokorzył poddanego, teraz opamięta króla a i tu i tam wybawi wojsko. On nie broni panowania despoty, jedno prawa, a gdy trzeba tego, i despotę potrafi powstrzymać słowem poważnem. Bez serca jest, prawda, ale czyż powinien mieć serce mąż stanu? Czyż nie nielitośni tylko mogą ludziom władać?

Możeby wątpliwość i chwili nie była powstała u doryckich ze wszystkiem poetów jak Stezychor, Pindar, Eschil. Sofokles odpowiedział wyraźnie, że czasem litość i prawda robią to, czego sroga przebiegłość nie dokaże. Ktoś powiedział, że poezya Eschila podobna jest do doryckiej świątyni i że Sofokles już jońskie układa kolumny. Nie piszę się na

to porównanie, bo styl joński wdziękiem tylko znaczny i pozbawiony grozy, a u Sofoklesa groza włada potężnie. Ale sam inne uczynię porównanie wzięte z budownictwa greckiego. Oto w samymże stylu doryckim widziano dwie odmiany. Sztywniejsza i starsza przechowana w wielu świątyniach tak w Grecyi jak we Włoszech i Sycylii; nowszej i swobodniejszej mamy jeden tylko wzór: Partenon ateński. Otóż Sofokles do owego Partenonu podobny. Potężny jeszcze i uroczysty z dorycka, ale zna już serce ludzkie, umie niem władać i umie je pokochać. A że wie ile ono warte, dowiemy się z Filokteta. Pomiedzy bohaterami, którzy się wyprawili pod Troję, był Filoktet jednym z najsławniejszych, bo odziedziczył po Heraklesie łuki i strzały zaprawione jadem lernejskiej gadziny, bo i sam jeden umiał władać tym łukiem. Ale dzielność i łuk na nic mu się przydać nie mogły, bo sam się ranił w stopę zatrutą strzałą, i jękami i płaczem i widokiem choroby odbierał towarzyszom wojenną ochotę, kaził ofiary i przeszkadzał radom. Starczyło to Odyssejowi na to, by wydał nań wyrok jako mąż stanu nieubлагany. Naradził się z Atrydami i chorego zostawił na pustej i bezludnej wyspie Lemnos. Tu cierpiąc straszne męki, przetrwał dziesięć lat w samotności żywiąc się tylko ptactwem, które sobie ubijał. A tymczasem Grecy daremnie kusili się o Troję. Moc bohaterów zginęła, a między nimi najdzielniejsi: Achilles i Ajax, a Troja jak pierwaj tak i dziś stała niedobyta.

Wtedy to uradzili Atrydzi i Odyssej, że trzeba się wyroczni zapytać o radę, a wyrocznia odpowiedziała, że Troja padnie wtedy dopiero, gdy pod murami jej staną Neoptolem, syn Achillesa, i Filoktet wraz z łukiem Heraklesowym. Neoptolema sprowadzono bez trudu, ale jakżeż to było sprowadzić Filokteta? Wiedziano o nim tyle tylko, że żył jeszcze w Lemnos i że odgrażał się na Atrydów i Odysseja ilekroć zdybał jakiego rozbitka albo piratę, co wypadkiem do Lemnos zabłądził. Chcący nie pojedzie pod Troję, trzeba tedy było na niego użyć podstępu, a do podstępu przydał się właśnie Neoptolem, którego Filoktet nie znał. Zabrał go tedy z sobą na pustą wyspę Odyssej i uczył jako ma kłamać, jako ma się skarżyć na Atrydów, jako ma się zakradać do

serca Filokteta i porwać go wreszcie rozbroiwszy wpierw. Nie odrazu podobała się rada ta Neoptolemowi, ale

Słuchać przełożonych
I prawo nakazało i użytek własny.

Więc Neoptolem nauczył się podstępu i nie trudno mu przyszło złowić Filokteta, bo mimo nieszczęścia, mąż to łatwo-wierny zawsze i dobroduszny i nie zdziaczał. Tylko Atrydom, tylko Odyssejowi nie przebaczył, bo trudno przecie, by mąż piękny i dobry tak łatwo przebaczał, bo trudno przebaczyć tak straszną krzywdę i tak okropne wiarołomstwo, bo trudno zapomnieć o tak długim cierpieniu.

Toć on cierpi ból nieznośny
Gdy zwierzynę łowi w jarach
A jęk jego budzi głośny
Oddźwięk żalu po pieczarach.

Gdy nań patrzą żeglarze, mówią:

Słyszałem o nim, — alem nie widział Iksyona,
Co niegdyś darł się w łożę, gdzie śpi Zewsów żona.
W koło wplótł go Kronosa syn niezwyciężony.
Prócz niego nikt z śmiertelnych nie jest tak dręczony
Przez bogów jak Filoktet. Złego nic nie zrobił,
Nie ukradł ani zabił; cnotą życie zdołał,
A tak sromotnie ginie! I mnie bierze dziwo,
Jak, prócz szumu fal, nic nie słysząc, jako żywo
Mógł żyć tak długo! Sam był. Nie miał przyjaciela
Przy sobie; nikt nie słyszał jęków. Krew wydziela
Z nogi; a nikt liściem nie goił tej rany,
Kiedy padał na ziemię bolem pokonany
Włókł nogę, sam, po wyspie, jak jaki sierota.
Kąsa go przeznaczenie! Jak matki pieścizna
Dziecku potrzebna, ludziom tak niezbędni ludzie.
Pszennego ciasta nie jadł, żyjąc w dzikim trudzie,
Ni kaszy ciepłej nie jadł, ni owoców roli.
Ptaki strzelając tylko, morzył głód w złej doli.
Twarda to dusza! Wszak już dziesięć lat dziś mija
Jak wina nie pił; źródeł szuka leśnych.

Jak dziecko ucieszył się widokiem ludzi i to Greków, ze wszystkim zwierzył się synowi Achilla i odrazu popadł w jego ręce. Aż litość i wstyd zmusiły Neoptolema do tego, by mu się przyznał, że ma go oddać w ręce Odysseja i powieść pod Troję; ale na nic ta litość się nie przydała, bo choć się Filoktet teraz rwie jak szalony, nie puszcza go już sam Odyssej. Mąż stanu zwyciężył; ale nie wiedzieć, czy dowiezie do Troi żywego Filokteta; bohater woli zginąć na wyspie z głodu, pozbawiony łuku, i cała mądrość Odysseja nie przyda się na nic. Przynajmniej łuk niesie na okrętą, boć i sam dobrze z łuku strzelać umie. Ale przez to Troja nie padnie, bo wyrocznia chciała czego innego. Wreszcie i temu przeszkodzi Neoptolem. Zawiazuje się między nim a Odyssejem najpiękniejszy może dyalog w całym Sofoklesie, zbyt długi, abyśmy go tu przytoczyli, i młodzieńiec odnosi Filoktetowi łuk na przekór mężowi stanu. I wtedy dopiero litość i prawdomówność dopełnią tego, czego sztuka zimna Odysseja dokazać nie mogła, i wzruszony Filoktet płynie pod Troję wraz z Neoptolem i łukiem swoim, spełniając rozkaz wniebowziętego Heraklesa, który mu przyrzeka, że lekarze pod Troją zgoją mu ranę.

I czy to wszystko potrzebuje komentarza? Czy to rozumnem było, czy okrutnem tylko i Nielitośnem, gdy Odyssej rannego towarzysza na pustej wyspie zostawił zdradnie? Inaczej pomyślały bogi nieśmiertelne, i nie chciały, by Troja padła póty, póki krzywdy tej nie naprawią Grecy. Same bogi litości nie znają, lecz chcą litości u ludzi. Gdy u staro polityka serce ze wszystkim zeschnie, pobłądzi ze zbytku rozumu. Pobłądzi wobec bogów, co nie dadzą rachubie dojść do skutku i wobec ludzi, którzy nie dadzą się wiecznie okłamywać. Niech polityk pamięta, że jest wiele dobrego w sercu ludzkim, że są młodzieńcze popędy, co nie pozwolą wiecznie kłamać, i co sprawiają, że jakaś niespodzianka zdradzi najmisterniej uknuty spisek; że są u uciskanych uczucia skryte, że jest w nich tłumiona od dawna potrzeba miłości, co może ich odrazu z wrogów w przyjaciół zmienić, jeśli kto nieszczęśliwym szczerze poda rękę. O tem zapomniiał przemądry Odyssej, a przypomniały bogi krzyżując jego zamiary; przypomniiał Neoptolem, młodzie-

niec, dowodząc przez zapal i litosć odrazu tego, czego przez dziesięć lat nie mogły dokazać przemądre Odysseja rachuby. Możeby i dziś niejeden polityk dobrze zrobił, gdyby rozmyślał nad Filoktetem, i nie szukając dalej za cynicznymi paradoksami w Szekspirze, jak to zwykł czynić pewny sławny kanclerz, pomyślał o tej starej prawdzie Sofoklesowej.

Obok Odysseja posiadamy w Kreoncie drugi typ męża stanu, lepiej jeszcze opracowany. Boć Sofokles i więcej miał czasu do wykonania tej postaci, co nas zajmuje przez trzy tragedye całe, z których dwie wydają mi się najwspanialszemi dramatycznemi arcydziełami, jakie świat wydał. Mam na myśli trzy tragedye Edypowe, jeśli je tak nazwać można, Edypa króla, Edypa w Kolonie i Antygone, co choć osobnemi są zupełnie utworami nie tworzącemi trylogii, dadzą się ułożyć w jedną powieść, której treść w kilku słowach przypomnimy czytelnikowi.

Król Lajusz miał żonę Jokastę i żył z nią długo bezdzietnie; wreszcie mógł się spodziewać dziecka i dowiedział się od wyroczni, że tem dzieckiem będzie syn, który ojca zabije i matkę poślubi. Chcąc uniknąć tych nieszczęść, kazał nowonarodzone dziecko z przekłutemi stopami wystawić na nagie szczyty Cyteronu, gdzie się pastuchy zlitowały niemowlęcia i z kądem się dostało w ręce bezdzietnego Polibiusza, króla Koryntu, który nie znając rodu dziecka, przyjął je za swoje i nazwał Edypem. Młodzieniec dorosły dowiedział się przypadkiem z rozmowy, że nie jest synem Polibiuszowym, i chcąc się dowiedzieć o swoim rodzie, poszedł do Delfi, gdzie mu wyrocznia tyle tylko odpowiedziała, że on ma ojca zabić i poślubić matkę. Przerażony postanowił nigdy do Koryntu nie wrócić, i puszczając się na wędrowkę bez celu, niedaleko Delfi spotkał Lajusa jadącego na rydwanie; zaczął spór z nieznanym starcem i zabił go. Oto jak sam Edyp rzecz opowiada:

Była

Rozstajna droga na tem miejscu, gdzie ich spotkał.

Szedł naprzód woźny jakiś. Za nim na barwionym

Rydwanie stawał człowiek taki, jak ty mówisz.

Spotkałem ich; a z drogi ów przewodnik, woźny

I starzec na rydwanie gwałtem mnie pędzili.
 Uderzam w gniewie tego, co od przodu idzie,
 A starzec na rydwanie gdy mój czyn dostrzeże,
 Pośrodku osi swojej silniej się sadowi
 A biczem podwojonym po mnie wnet pociągnie.
 Nie równo mu oddałem, alem oddał więcej;
 Tą ręką kij podniosłem i w łeb uderzyłem,
 Że zleciał wraz na głowę z osi między koła.
 Zabiłem potem służbę.

Idzie potem Edyp do Teb, gdzie Sfinga, „pieśniarz
 pstropióry“, siadła pod bramą pożerając podróżnych; zabija
 Sfingę, w nagrodę za ten czyn poślubia Jokastę i staje się
 królem w Tebach. Ale po latach wielu szczęśliwego pano-
 wania wybucha zaraza w Tebach. Lud znękaný woła:

Przeciwko śmierci niemasz już obrony!
 Jak włócznia bije w szyk mężów skrwawiony!
 Już się ród sławnej tej ziemi nie mnoży!
 Matkom w żywocie płód traci grot boży.
 Jak ptak, co ma skrzydła krwią jaskrawe,
 Tak duch mknie w wieczoru kraje łzawe,
 W kraj pośmiertny, w kraj zapadły;
 Za nim drugi mknie duch zbłądły
 I umarłych mknie lud mnogi,
 Niezliczony w kraje trwogi.
 Niegrzebane leżą ciała;
 Jedną trumną ziemia cała!
 Siwe matki, młode żony
 Przy ołtarzu kołem klęczą;
 Już modlitwy głos zduszony;
 Płaczą tylko już i jęczą.

Posyła tedy Edyp znów do Delfi po radę, a wyrocznia
 odpowiada zagadką, każąc wygnać z kraju zakałą ziemi.
 Król i naród pragną zagadkę rozwiązać, a ona widnieje po-
 woli i arcy misternie w ciągu Edypa króla, czyniąc z tra-
 gedyi tej prawdziwe cudo misternej budowy. Wreszcie dla
 nikogo nie jest już zagadką, że zakałą ziemi jest Edyp, co

zabił ojca i poślubił matkę. Oczy sobie wydziera własnoręcznie, a matka jego i żona dusi się na małżeńskim łożu. Edyp wygnany zostawia berło owym dwom synom swoim: Eteoklesowi i Polinikowi, których boje opiewał niegdyś Eschil, i błędząc przychodzi wreszcie, prowadzony przez córę Antigone, do gaju Eumenid w Kolonie koło Aten, gdzie go ziemia pożera.

Niedługo potem zabijają się Eteokles i Polinices pod murami Teb, i Kreont wydaje ów nakaz, by nikt się nie ważył grzebać Polinika, nakaz, którego nie słucha Antigona, za co ją stary wuj każe żywcem pogrzebać. Sprawiedliwość ta nielitościwa Kreonta dużo kosztuje, bo Hemon, syn jego jedyny, zabija się przy narzeczonej w owym grobie, a żona Euridice nie umie przeżyć śmierci syna.

Oto krwawe tło, na którem występuje postać Kreonta. Misterna ona, i tą razą niech nam Sofokles daruje, że powiemy o niej, że jest na prawdę Szekspirowską, bo podobniejsza do Szekspirowskich niż do Sofoklesowych bohaterów.

Nikt bardziej od Kreonta niema ciągle w ustach mąksym doryckiego prawa i nieugiętej cnoty. Ktoby słyszał tylko słowa jego, temuby się wydało, że ma do czynienia z najnotliwszym mężem. Oto co mówi, gdy po śmierci Eteokla berło obejmuje:

A kto nad całym miastem sąd najwyższy ima,
A nienajlepszej rady zawsze się pilnuje,
Obawie dając rządzić głosem swojej mowy,
Ten jest ci, jako sądzę, wielkim nikezemnikiem.
A kto nad kraj przekłada przyjaciela swego,
Ten takim, że nie warto nawet o nim mówić.
A może Zews poświadczyć, co na wszystko patrzy,
Żeby nie milczał nigdy, widząc złe nieszczęście
Grożące miastu temu w miejsce wybawienia
I nigdy przyjacielem bym nie nazwał wroga
Ojczyzny mojej; wiem-bo o tem bardzo dobrze,
Że onać jest piastunką moją i zbawczynią
I onać statkiem, co nas do przystani niesie.

I któżby nie przyklasnął takim słowom nowego króla?

A nietylko słowa tak wynoszą dobro ojczyzny; Kreont potrafi nam wytłómaczyć, że i każdy jego czyn spełniony w służbie ojczyzny i prawa. A jednak, od początku do końca, trudno jakoś wierzyć temu Kreontowi i jakoś każdy czyn jego wydaje się podejrzanym. Już na samym początku całej sprawy, gdy Edyp po raz pierwszy słyszy z ust wróżbiarza, że on sam zakałał Teb, podejrzywa Kreonta, że to on wróżbiarza do tych słów namówił. I choć Sofokles na początku zasłoną grubą zakrywa zamiary i tajne czynności Kreonta, żaden czytelnik nie oprze się przekonaniu, że Kreont już kiedyś dał Edypowi powód do tego podejrzenia, że dawno pragnął władzy i że dawno podkopywał tron tego, co wybawił Teby od Sfingi, że może domyślał się tajemnicy dawno — bardzo dawno — wtedy, gdy można było jeszcze zapobiedz kazirodztwu, a nie powiedział tego, co myślał, i nie przestrzegł siostry wiedząc, że tajemnica ta może mu się kiedyś bardzo przydać, jeśli zbrodnia zostanie spełnioną. Choć Kreont na wszystko się zaklina przed ludem, przed siostrą Jokastą i przed Edypem, że wiernym króla przyjacielem, jakoś czytelnik podejrzywa go, że „przyjaciela“ naprawdę nietylko ponad kraj ale i ponad własną ambicją przekładać nie będzie. Jest coś niedobrego w tym Kreoncie, co tak głośno o cnocie mówi.

I to podejrzenie wzrośnie, gdy zobaczymy jak działa i mówi; gdy nieszczęście już jak grom spadło na głowę Edypa i Jokasty. Nic w tem niby nie masz zdrożnego i wszystko tak zrobione jak być powinno. Wygania Edypa z miasta, bo ślepiec sam tego żąda, bo tak tylko zostanie wydaloną z Teb zakała, zarazę z sobą niosąca. I nawet Kreont okazał się wobec ludu litośny; — wszak litość może się podobać ludowi. Gdy Edyp tego zażądał, przyprowadził do niego dwie córki jego Izmenę i Antigone, młode jeszcze milczące, zapłakane dziewczątka i dał się Edypowi z niemi pożegnać. Ale dlaczegoż to Kreont tak mało cierpi, gdy tak straszne nieszczęście padło na jego rodzinę? Mówi wprawdzie, że go to boli, ale taki przytomny, taki wygadany, zda się, że prędzej rad niż smutny. Nie jestto przecie cnota dorycka, bo taby w milczeniu topiła boleść, a Kreont chce raczej retoryką zakryć uciechę, której się wstydzi.

I pocóż to Kreont wygania Edypa w noc wieczną tak ogłoszonego z wszelkiej pomocy? Trzeba go było wydalić z Teb, ale czyż nie godziło się pomyśleć o tem, by ten człowiek, nieszczęśliwy raczej niż występny, miał gdzie głowę złożyć? I czyż to dobry początek panowania synów, że ojca ślą na tak straszne wygnanie? I dlaczegóż to mu się wyrwało na końcu pożegnanie, tak dziwne, tak podobne do tryumfalnego śmiechu?

A im dalej idziemy, tem gorszym staje się ów Kreont, tem wyraźniej widzimy, jak instynktowo pracuje nad własnym wywyższeniem, udając przed drugimi i przed sobą samym, że myśli tylko o cnocie i ojczyźnie. O córki Edypowe nie dba zrazu wcale, i daje im się po świecie włóczyć skoro lud przestał o nich myśleć a synów upatrzył sobie na ofiary. Nie ciała im truje ale serca. Jak się do tego wziął, nie wiemy dokładnie, ale wziął się dobrze i osiągnął skutek. Eteokles za namową stryja nie dotrzymał słowa wobec brata i skazał go na wygnanie, sprowadzając wojnę na Teby.

Oto chwalebny owoc bezinteresownej polityki mądrego stryja i opiekuna! Oto wychowanie godne przyszłych królów! Nie dość, że patrzyli obojętnie na to, jak ojciec i siostry do ostatniej doszli nędzy, ale teraz zniecierliwili się serdecznie i sprowadzają na kraj wojnę domową. Kreont wie już, że z tego korzyść wyciągnie i tłómaczy się przed sobą, że źle jest, kiedy dwóch w mieście władą; lepiej tedy zapewne, by jeden obcego wroga na ojczyznę sprowadzał.

Ale tak to już na świecie bywa, że zawsze coś pokrzyżuje rachubę i najmędrszego polityka i tego nawet, co tak umie przedziwnie działać, że co zrobi, dobrze zrobi dla siebie, i przy tem prawnie. Otóż pokazało się wkrótce, że ów Edyp skalany, ślepy i niepotrzebny szkodził sprawie Kreontowej na wygnaniu. Patrzyły nań przerażone ludy, i choć on im był zgrozą, gorszą zgrozą był ów syn, co panował w Tebach a ojca skazał na żebry. I ludy szły przeciw Tebom na widok tego upiora. Postarał się tedy teraz Kreont o nową wyrocznię nakazującą, by Edypa do Teb sprowadzono, bo bez tego Teby przed wrogiem padną.

Czy naprawdę Kreont sprowadził tę wyrocznię, czy dały ją same bogi, co się domagały u ludzi miłosierdzia? Mniejsza o to, bo choćby się usta Pitonissy były otworzyły na prośbę jego, bogi swój rozkaz wypowiedziały mową czynów, skoro musiał szukać aż wyroczni, by prawnie odrobić to, co prawnie zrobił, by sprowadzić nazad do Teb tego, którego z Teb wygnał. Ale jeśli bogi litości chciały, nie doczekały się jej u Kreonta.

Zastał Edypa w Kolonie, w gaju świętym Eumenid, pod opieką najstraszliwszych bogiń, a co gorsza pod opieką Tezeusza, którego się musiał wstydzić, wiedząc jaki to rycerz prawy, i nie mógł go namówić, by chcący gaj ten opuścił. Bał się litery prawa i nie śmiał porywać Edypa, co siadł błagając przed ołtarzem bogiń, ale myślał, żeby opuścił gaj opiekuńczy. Porwał tedy córki, co ślepea prowadziły — wreszcie zawsze gwałcąc zakon bogów. Jakoś trudno ten uczynek wytłómaczyć, a co gorsza, nie udał się, bo Tezeusz dziewczęta odbił i nie byłby się przydał na nic, gdyby się był udał, bo Edyp nie dał się użyć i przeciwnej stronie za chorągiew i niebawem zapadł się pod ziemię.

Ale potem wszystko sprzyja Kreontowi: Eteokles, jak się zdaje, zaręcza siostrę swą Antigone z Hemonem, i oboje się kochają; a gdy synowie Edypa giną „wzajemną ręką“ zabici, panuje Kreont i odrazu wydaje z patriotyzmu niby niesłychany w Helladzie zakaz, by Polinika nie chowano. A że wszyscy wiedzą, że Kreont nieugięty, więc nikt nie śmie sprzeciwić się zakazowi. I tu znowu żaden monolog, żadne słówko go nie zdradza; ale kto wszystkie jego uczynki śledził, ten odgadnie łatwo przyczynę zakazu świętokradzkiego. Bezpieczniej mu będzie panować, gdy i córki Edypa pomrą, a znając te dziewczęta i wiedząc jak się dla ojca ślepego poświęcały, spodziewa się na pewno, że nie usłuchają zakazu i że pogrzebią ciało brata, jak to czynić winny podług bogów zakonu; i tylko do połowy myli go rachuba, bo tylko Izmena zostaje posłuszną, a strażę chwytają Antigone na gorącym uczynku. Miasto całe przerażone gdy Antigone uwięziono, a Kreont nie umie ukryć radości; naciąga świadectwo, by wraz z siostrą i Izmenę zgubić; ale gdy rzeczą nadto jawną, że niewinna, każe ją tylko strzedz;

a nim Antigone zgubi, prawi jej wiele i długo o znaczeniu władzy wśród ludzi. Zdawałoby się, że to jakiś stary biurokrata strofuje więźnia za to, że ojczyznę ukochał, i chcąc go przekonać o winie, ustępy z pisma przytacza. Po nudnem kazaniu, którem dręczy swoją ofiarę, udaje miłosierdzie — okropne jakieś naprawdę. Słyszeliśmy i my o miłosierdziu takim, i możemy poświadczyć Sofoklesowi, że prawdę powiedział i że takie miłosierdzie się trafia u ludzi; słyszeliśmy i my o tem, że u szubienicy ułaskawiono skazując na dożywotnią ciemnicę. I takim jest miłosierdzie Kreontowe. Zabijać dziewczyny nie chce, ale każe ją zamurować w pieczarze, by tam żyła „jak długo może.“ Aż dreszcz przechodzi gdy się wyrok usłyszysz, ale Kreont z niego pyszny, i już za nic w świecie wyroku nie odwoła i syna Hemona zestrofuje, gdy tylko przyjdzie upomnieć się o narzeczoną. Do napomnień, w których ojcowską przypomni władzę, doda ów świętoszek pogański brutalną uwagę, że Hemon i inne „piękne ciała“ znajdzie na świecie; a w tej chwili śmiertelnego poświęcenia Antigony trudno podobno o cynizm jaskrawszy.

Ale teraz dopiero z uczynku kara powstaje. Zwiastuje ją znachor ślepy, prorok bogów, Tyrezyasz prowadzony przez chłopca, który jest mu okiem. Mówi:

Już nie wiele razy

Obrotne słońce zboczy z swojej dziennej drogi,
A krew z krwi twojej, i kość z twojej, królu, kości,
Za umarłego w zamian umarłego odda.
Ty ład żywota święty wywróciłeś cały,
I w grób włożyłeś grzesznie duszę eo nie zmarła;
I tego, co pod ziemią winien legnąć, trzymasz
Na świecie górnym, mimo bogów straszną zmore.
Więc jest ich dwoje: trup i żywy; a niewiedzą
Przez twoje gwałty kędy dla nich miejsce w świecie,
Na ciebie wstają późne już mściciele piekła,
Powstają wojska mroku, pomsta wstaje boska,
I wpadniesz w owe klęski które drugim niesiesz!

Tyrezyasz przepowiada Kreontowi śmierć syna, ale

ale Kreont niedaje się wzruszyć, choć przez bogów do pokuty wezwany. Słuchał ich głosu, gdy mu był na rękę, a teraz gdy ich przestroga krzyżuje jego zamiary, oskarża proroka o to, że przekupiony, i tem dopiero doreszty odsłania swoją duszę, i drogi po których chodził, i w tem utwierdza podejrzenia, które Sofokles tak misternie w nas budził od samego początku. Ale gdy Tyrezyasz odszedł, zabobonna trwoga bierze Kreonta, i biegnie zobaczyć czy się wypadkiem nie ziszcza proroctwa. Ale zapóźno. Ujrzał w pieczarze:

Królownę płaszczem uduszoną.

Trzymała igła złota jej śmiertelne więzy.
A na niej leżał Hemon i wił się z rozpaczey,
I opłakiwał zgubę obiecanych ślubów,
I opłakiwał dzieła ojca i nieszczęsne łoża.
Gdy król zobaczył syna, straszne wydał jęki.

.

Dzikimi oczy spojrzął syn na ojca swego,
I w twarz mu pluwał. Nic nie mówiąc dwa oręża
Wyciągnął zaostrzone. Ojciec ledwo uszedł
Z pieczary uciekając. Potem nieszczęśliwy
Na siebie gniew obrócił i na miejscu wepchnął
Do piersi swjej oręż.

Tak zginął syn Hemon do rozpaczey doprowadzony choć był dawniej młodzieniec roztropny i pełen czci dla ojca. A niedługo potem i Euridice żona Kreontowa podobnie umarła. Kreont dopiął swego, postawił na swoim, a nikt z bliskich, ani żona ani syn, nieśmiały już dłużej żyć z mężem sprawiedliwym owym. Woleli pomrzeć jak znosić jego cnotę, i znalazł się na starość sam na świecie, bez przyjaciół, bez dziedzica. Przekonał się przecie, że coś warte serce ludzkie, a może nastraszył się gdy pomyślał że po śmierci nie będzie komu za niego wznosić modły. Popanuje może lat kilka, ale nadarmo. Przecież nie dla siebie pracował, jeno dla syna swego. Tacy ludzie kochają dzieci, bo widzą w nich pośmiertne przedłużenie własnej osoby, bo widzą w ich potędze urzeczywistnienie własnych marzeń, bo zdaje im się że w młodym królu synu swoim będą używać tego,

czego na starość już użyć nie mogą. Ale kochają syna tak jak siebie, chcą aby miał takie serce z kamienia jak oni sami, i depcą po jego sercu ludzkim, aż pęknie; a wtedy zdaje im się, że sami nędznie zginęli. Życie ich celu nie ma, i trudy ich daremne, bo na starość już niczego nie użyją, i nielitośni, nieugięci, bywają jednym nieszczęściem do gruntu złamani. Kreont woła nareszcie w rozpaczy:

Wolę być niczem, niż sobą pozostać!

Oto typ nieśmiertelny intryganta i zbrodniarza, co sam przed sobą starannie własną złość ukrywa. Przeciwnieństwem jego Edyp i córka Edypa Antigona.

Edyp to człowiek na którym ciąży wyrok przeznaczenia, i przeznaczenie tu czynnikiem areyważnym, pierworzędnym. I czemuż ono jest? I zkądże ta jego moc? I czy moc ta niesprawiedliwą bywa? Czy koniecznie zmusza do spełnienia zbrodni?

Lajus unikał nieszczęścia, Edyp chciał niezabijać ojca a jednak stało się co było przeznaczonem; i mogłoby się wydać że chyba to jedno winą przeklętej rodziny, że chciała uniknąć boskiego przeznaczenia. A jednak tak nie jest. Nie bez winy są przekłeci, i bodaj czy niezasłużyli na spełnienie wyroku, i czy nie ściągnęli na własną głowę samo chcący straszego proroctwa Apolinowego. Mamy tu przed sobą wieczne pytanie które od początku ludzkość nęka, i na które ponoś nikt nieznajdzie ostatecznej odpowiedzi. Pytanie tak brzmi po chrześcijańsku: Jakżeż to być może, aby Bóg był wszechwiednym i wszechmocnym, a ludzie mimo to mogli się sprzeciwiać Jego woli? Jakżeż może Bóg sprawiedliwy karać za przewiny, które się nie mogły stać bez Jego dopustu? Jakżeż pogodzić wszechmoc boską z wolną wolą ludzką? A po uczoneму brzmi to pytanie: Czy może człowiek być odpowiedzialnym za czyny swoje, skoro muszą się stosować do niezmiennych praw natury? Czy prawidłowość wszechświata nie jest złudzeniem, skoro wolna wola człowieka jej przeczy? A po starogrecku brzmiało pytanie tak: Jest fatum i przepowiada nieszczęścia których ludzie uniknąć nie mogą, a jednak bogowie nękają winnych tylko, niewinnych nie karzą. Jakżeż to jedno z drugim pogodzić?

Pogaństwu mniej trudno jak nam było odpowiedzieć na pytanie. Pindar powiedział, że trzeba odwagi nadludzkiej i bajecznej aby niegrzeszyć, i tak oprzeć się woli przeznaczenia i zdaje się że tem wyraził przekonanie narodu. Kto żył zupełnie bez winy, tego niemogły zgubić boskie wyroki, ale każda wina ściągała przeznaczone nieszczęście na głowę poświęconą. Gdyby Lajus był czynił jako czynić winien, i gdyby syna wychował przy sobie w bojaźni bożej, nie byłby się nigdy Edyp dopuścił strasznej zbrodni. By uniknąć wróżby spełnił Lajus sam brzydką zbrodnię, bodaj czy nie za namową Jokasty, dziwnej, suchej, zarozumiałej kobiety, i chciał syna zabić. Synowi zginąć bogowie nie dali, ale Lajus za dzieciobójstwo zapłacił głową.

Jokastę zdaje mi się, że wszyscy znamy. Kobieta ta o pospolitych uczuciach, co zna miłość i szczęście to które miłość daje, ale co wie że to szczęście może być okupionem tylko kosztem walki ze światem: Mężów obydwóch kochała, i chciała z niemi żyć w pokoju i używać życia, ale gdy pierwszy umarł, rada była dostać drugiego młodszego od siebie. Żadnemu zresztą się nie zwierzała, nie lubiła na to patrzeć jak się o co turbowali, i wiedząc że jako kobieta jest od mężczyzn przenikliwsza, myślała że i rozumniejsza. I w wszechmoc bogów niebardzo chciało jej się wierzyć, więc zabijając dziecko swoje, chciała sobie zapewnić pokój domowy, a potem śmiała się już z bogów, myśląc że jej się zbrodnia, tak ohydna u matki, udała. Nie lubiła o niej wspominać, ale dufała, że ta zbrodnia od wszelkiego nieszczęścia ją obroni. Z niepojętą tedy lekkomyślnością, zapomniawszy o proroctwie poślubiła człowieka, co mógłby być jej synem, i siebie i jego chciała utwierdzić w niedowiarstwie, ofiarując bogom już tylko ze zwyczaju i lenistwa. Niebardzo ona niepodobna do brata swego Kreonta, ale bluźni głośno, podczas gdy on się bogom kłania. Mówi: „Nie dbam ja o wróżby,“ a dba o oko ludzkie, o przyzwoitość, i gdy spór między mężem jej i bratem powstaje, nie tyle nierada sporowi, ile temu że się toczy „przy ludziach.“

Jako kobieta poznaje jednak pierwej od Edypa nieszczęście w które popadła, i wtenczas widzi odrazu, że sama przewiniła, że nie masz już dla niej miejsca na świecie, i że

ten, co jej i mężem i synem, goni w otchłań nieszczęścia. Budzi się w niej tedy gwałtownie uczucie matki, i błaga Edypa by się o nie więcej nie dowiadywał. „Mniejsza o to, że będzie zakałą dla miasta, niech żyje spokojnie!“ oto zdaje się myśl co nią powoduje, i tak myślała całe życie, tak całe życie kochała siebie i swoich. I teraz nie waha się ani na chwilę, i idzie się zabić, bo pocóż ma żyć, gdy już nie może być szczęśliwą? Kara jej okropna, ale i winy jej tak ciężkie, że na nią zasłużyła, i że bogowie nie mają co się nad nią litować.

A Edyp sam? On mniej winien, ale i on nie bez winy. Najwięcej znaną postacią w tragedii chrześcijańskiej jest pono Hamlet, a Edypa najlepiej może znała starożytność ze wszystkich bohaterów tragedii greckiej. Być może, że ci dwaj ludzie uprzytomniają najlepiej różnicę jaka leży w charakterach dwu połów europejskiej ludzkości. Hamlet syn mglistej północy ciągle myśli, ciągle decyduje się, aż minie pora do czynu stosowna; Edyp działa bez namysłu idąc za pierwszym popędem, i choć bystry z natury, przez pośpiech i porywczosć ciągle błądzi, słuchając głosu uczucia i myśląc że to rozum. I jeden i drugi daje się kierować każdym popędem, ale popędy te u Hamleta słabe, popchną go w jakimś kierunku, ale nadadzą mu tak powolny pęd, że innemu popędowi ulegnie dawno, nim do upragnionego celu dojdzie; i ztąd to pochodzi że ów młodzieniec pełen nadziei, na którego cały naród patrzy, że ów człowiek pełen wiedzy, myśli i projektów, bezczynnie obraca się w kółku nic nieznaczających uczynków, gdy wszystko dokoła niego pędzi z szybkością dramatu. A jeśli już działa, to dlatego tylko, że ma pod ręką możność działania w chwili w której jest świeżo podrażniony, i zabija bez celu Polonyusza, bez przyczyny rozpoczyna bój z Laertesem. U Edypa popędy tak silne, że zawsze czyn sprowadzą, a czyn ten zawsze prawie tak lekkomyślny i nierozsądny jak tych kilka nedorzecznych podrywów których się Hamlet dopuścił. Choć myśmy synami północy, podobniejsiśmy pono do Edypa niż do Hamleta i działamy zawsze pierwszej nim pomyślimy.

I chwili nie może Edyp znieść żadnej wątpliwości, i skoro nie jest pewnym swego rodu, bieży do Delfi. Tam mu

wyrocznia wypowiada wyrok przeznaczenia i przestrzega go że ojca zabije. Wnet już Edyp zapomniał o tem po co do Delfi przybył i myśląc już znowu że Polibiusz jego ojcem, obiera sobie wędrowne życie, aby się z Polibiuszem nie spotkać, i użyć niejednego wzruszenia. Takim ludziom nie-trudno rzucić pewną ojcowiznę i szukać niepewnego losu, i lada co ich przekona że to ich obowiązkiem. Więc Edyp idzie w świat, i na samym początku nowego życia dopuszcza się lekkomyślnie zabójstwa, i wnet zapomina o niem. A przecież on ze wszystkich ludzi winien być najostrożniejszym, bo nieznał napewne ojca, a wiedział że ma zabić ojca swego. Starzec ten mógł być bezpiecznie jego rodzicem, a był uświęconym jako pielgrzym. Zabicie takiego pielgrzyma samo przez się było okropną winą i Edyp stał się na każdy sposób zbrodniarzem. Mimo to idzie lekkomyślnie dalej i zabiwszy Sfingę, a poślubiwszy starszą żonę żyje szczęśliwy i zarozumiały w nowym królestwie, mówi wiele, chwali się ciągle, różowo w świat patrzy, a milczy o tem tylko coby mogło być dwuznacznem w jego przeszłości, i milczy o tem nawet przed żoną.

Gdy zaraza spadła na Teby, Edyp mówi, że sam więcej cierpi od całego narodu, i choć przesadza, pewno cierpi na prawdę, a chwali się tem, że o wszystkich myśleć musi. Gdy mu Tyrezyasz powiada że on zakałą przeklętą Teb, ani chwili niechce dopuścić smutnej myśli, zaczyna spór głośny z Kreontem którego obwinia o to, że Tyrezyasza do tych słów namówił; gdy wszystko już wskazuje że to on zabił Lajusa, chwytą się kilku słówek i odrazu, dla najsłabszych powodów, dla tego że zbiegły sługa mówił że kilku było zbójów by własne pokryć tchórzostwo, wierzy że nie jest winnym, i wierzy szczerze, choć Jokasta może tylko udaje, że dzieli jego przekonanie. Gdy mu donoszą że Polibiusz umarł, woła:

O patrzaj! i któż będzie jeszcze, żono, baczył
 Na wieszczby Pityjskiego boga i na górne,
 Wrzeszczące, lotne ptaki, których wróżbą strwożon
 Lękałem się bym ojca niezabijał mego.
 A on już skończył, i legł w ziemi. Ja tu bawię

Niepokalany winą. Gdyby chęci moje
Do grobu miały zsyłać, żyłby jeszcze ojciec.
I tak, Polibiusz niedbał o głoszone wieszczby
I poszedł w kraj umarłych bez nieczyjej winy.

Gdy się już dowiedział, że nie był synem Polibiusza
i że go pasterze tebańscy korynekim pasterzom na Cyteronie
oddali, gdy powinien już straszliwie rozpaczać, gdy Jokasta
zrozumiawszy całą zgrozę, błaga go, by więcej niebadał
zagadki, na gwałt chce znać ród swój, i cieszy się szaleniec.
Nie chce żony zrozumieć i mówi o niej:

Niech robi co jej wola! Chcę dziś poznać wreszcie
Mój ród i dom mój. Może ród to będzie niski
A ona, jak kobieta, w dumie zwykła chodzić,
I z nieszlachectwa mego wielce jest nierada,
A ja się nazwę synem szczęścia przyjaznego;
Z podarków jego pyszny, chępię się tym rodem.
Rodzicem jest mi szczęście a miesiące owe
Co mnie nad tłum wyniosły, o to bracia moi!
Jam takim się narodził. Innym się niestanę
Gdy się o moim rodzie niewydowiem pilnie.

Nieszczęście jak grom spada na nieprzygotowanego, a
on w nieszczęściu wzrasta i olbrzymieje. Prawda że w pierw-
szej boleści oczy sobie wrywa niebacznie, los pogorszając
samowolnie, zły że mając oczy nie widział drogi przed sobą
w życiu, ale w łachmanach, na wygnaniu, z krwawymi źre-
nicami prowadzony przez ofarną Antigone, w upiora prze-
mieniony za życia wzbudza podziw tylko. Wielkim się wy-
daje wobec przebiegłego Kreonta, wobec Polinika, tej nę-
dziej istoty co wraca do ojca gdy go potrzebuje, i jakby
ojca karykatura płaczliwie przed nim wywodzi projekta co
się nigdy nie ziszcza, wobec tłumów co się z nielitością tłu-
mów ciekawością o jego przeszłość wypytują, i nawet wobec
szlachetnej i wyniosłej postaci Tezeusza. Prawda że jak
dawniej uparty i popędliwy, prawda że samochcący odmawia
wszelkiej pociechy i wszelkiego spokoju, i że okropnie prze-
klina ród swój własny i własnych synów, ale kto taką okropną

miał przeszłość dla tego pociecha każda urągowskiem tylko, a kto takich ma synów, ten na prawdę synów nie ma. I bądź co bądź kara jego większa od winy, i bogowie dobrze czynią, gdy mu dają wreszcie pokój, pokój jakiś głuchy i straszliwy, ale pokój i zapomnienie:

Nie porwał jego żaden piorun ognionośny
Przez bogów w świat wystany; ani zawierucha
Potężna go niezdepta, pędząc po przestworze;
Być może że go poseł bogów zabrał z sobą,
Być może że się ziemi dobroczynne łono
Rozwarło pod nim. Jęków tam nie było w chwili
Ostatniej, ani płaczu. Tylko dla śmiertelnych
Wstał podziw.

I nie sam tylko Edyp musiał zniknąć z powierzchni ziemi, ale i ród jego był dla świata zakałą. Synowie zginęli jako winni, i zgon ich wybawił Teby, ale zostały córki: Antigona Hemonowa narzeczona i gołębia Ismena, dziewice ofiarne, co i w nieszczęściu ostatniem ojca nie opuściły, zapominając wciąż o sobie. I czyż miały żyć i dzieci mieć by uwiecznić ród w zarodzie przeklęty? Serce ludzkie nie chce by trwał ród kazirodców, i dziewczęta wiedzą że i im wczesny zgon przeznaczony, a jednak lgną do życia bo młode, i serce ich tęskni za radością macierzyństwa.

Ismeny los nie wchodzi w ramy Sofoklesowych tragedj. Znamy jednak tę dziewczynę wstydliwą i niewieścią nawskrós, co chciałaby cierpieć wraz z tymi których kocha, co rada gdy im ulgę przynieść może, ale której wstyd i rozsądek nie pozwalają próbować czynów którym nie podoła. Ojcu przynosi z trudem wieści z Teb gdy ojcu będą potrzebne, przyjmuje na siebie winę gdy Kreont Antigonę sądzi, ale nie chce wraz z siostrą grzebać zwłok Polinikowych mimo zakazu królewskiego, bo wie, że trud na nic się nie zda, i że odgrzebią wnet ciało strażę Kreontowe. I Antigona w której żyje hardy duch ojcowski gardzi za to Ismeną, niesłusznie pewno, i grzebie ciało raz i raz drugi, aż się dostanie w ręce jakiejś śmiesznej i zdrożnej istoty, pierwszego typu policyanta i uniżonego sługi despotyzmu, człowieka co chce

się popisywać niedoszłą wiedzą, co plecie przez piąte i dziesiąte, co się ciągle chwali i co z egoizmu uczynił zasadę.

I Antigona ta podobna do nas tak jak jej ojciec, ale ona podobna do szlachetniejszej połowy narodu, co się oburza na złość, i podłość i niesprawiedliwość i nieobliczywszy swoich sił goni wprost w paszczę śmierci ofiarnej, byle mogła świadczyć prawdzie. A i przy polskiej Antygonie staje zwykle siostra Ismena, wzgardzona gdy doradza rozagę. Ale siostra ta stanęła przy ofiarnej bohaterce, skoro ta już spełniła czyn swój, i Ismena chce konać przy Antygonie, gdy się Antigona hardo naigrawa z hipokryzyi tyрана. W tych siostrach wcielony duch zdeptanej ludzkości co się upomina o wieczne prawa, i co gardzi katem i do śmierci wytrwa przy tem co dla niej święte, i zda się że Polak powinien był je opiewać a nie Ateńczyk.

Samochcący na śmierć idzie Antigona, a jednak ludzkie serce w niej się odżywa. Miłość czuwa nad tą mogiłą. Przy Kreoncie jeszcze wspomina narzeczonego, a gdy idzie do grobowej celi, którą zgutowała litość bezczelna Kreontowa, wybucha płaczem:

Żegnać mi przyszło już słońca promienie,
Droga ostatnia mnie wiedzie do trumny!
Rodacy! Witam już piekielne cienie,
Kraj kędy Hades ściele swoje łoże;
Z żywego łupu stanie Hades dumny!
Już oblubienie pocztu nie pomnożę,
Już nie usłyszę ja pieśni weselnej:
Zgon moim mężom o mocy piekielnej:

A jednak miłość czuwa nad nią, i miłość ją pomści.
Pieśń miłosną mogą nucić gdy ją wiodą do grobu.

Miłość niezwyczęzona
Można nad wszystkich bojarzy
W nocy młoda narzeczona
Wciąż o tobie tylko marzy;
Przez morze płyniesz, i sypiasz w stodole,
Nikt z wielkich bogów nie ujdzie przed tobą,

I nikt z tych mężów co bojów ozdoba
Nie trwa bez ciebie w swych przyjaciół kole.
Ty w cnotliwym złą myśl rodzisz,
I zazdrości i ból duszy;
I gdy w serce braci godzisz,
Kłótnia pokój domu kruszy.
Wstydlivej dziewce powieki roztwierasz,
Że pośród łoża spogląda na męża;
Ty w prawo wieczne z przemocą się wdzierasz,
Bo piękność boska wsze rzeczy zwycięża.

Wieniec kwiatów miłosnych spoczywa na grobie klasycznej Antigony, podobnie jak i na mogile romantycznej Julii i wonią swoją okrasza pamięć tej, co cnotą i poświęceniem starła z oblicza ziemi zakalę Edypowego rodu. Cześć dziewicy, a nam niewolno już więcej mówić o ludziach których stworzył Sofokles. A jeśli to kogo gorszy, albo dziwi, że ci ludzie mają dusze tak podobne do dusz ludzi nowożytnych i średniowiecznych, niech mnie za to nie wini, jedno Sofoklesa przedwiecznego.

Wojciech Dzierduszycki.

Qui per virtutem peritat non interit.
Plautus.

KIEJSTUT

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH

przez

Adama Asnyka.

AKT TRZECI.

Teatr przedstawia okolicę między Wilnem a Trokami, będącą placem boju. Z prawej strony skrawek puszczy, w głębi rozległe błonia. Z lewej strony w oddaleniu na wzgórzu widać obóz krzyżacki. Za podniesieniem zastony Konrad z Halbanem stoją po lewej stronie w kierunku widzialnych namiotów.

SCENA I.

KONRAD i HALBAN.

KONRAD.

Do koła walka zacięta się toczy —
Litwin z Żmudzinem biorą się za bary —
Wszędzie krew bratnia dłoń braterską broczy —
Tutaj Jagiełło — tam mój ojciec stary —
A ja i całe zdradzieckie Krzyżactwo
Patrzymy z góry jak drapieżne ptactwo,
Co wietrzy trupa.

HALBAN.

Przestań raz Konradzie
 Płynąć swą myślą na przelotnej fali,
 Która już znika w grzmiącym wodospadzie
 Wypadków.

KONRAD (*z ironią*).

I cóż?

HALBAN.

Sięgnij wzrokiem dalej!
 Wznies się nad poziom chwili, co jest niczem
 Wobec przyszłości, w której ty u celu
 Staniesz zwycięzki z pogodnem obliczem,
 Pomściwszy Litwę na nieprzyjacielu. —
 Po stromych szczytach kogo wiodą drogi,
 Powinien patrzeć w górę, nie pod nogi.

KONRAD.

Patrzałem w górę i szedłem wciąż śmiało;
 Lecz człowiek nigdy wyzuć się nie zdoła
 Z tej sieci, w którą życie go wplątało,
 Ani też skrzydeł nie znajdzie anioła,
 By się wzbić w przyszłość i nie widzieć dłużej
 Nad swoim domem szalejącej burzy.
 Pomnę, gdy pierwszy raz po wielu latach
 Z Krzyżactwem zbrojno swą ziemię napadłem,
 Gdym rzeź i pożar w cichych ujrzał chatach,
 Sam strasznie stając dla Litwy widziadłem,
 Zdawało mi się, że ta ziemia cała
 Pod kopytami mego konia drżąca,
 Krwią zrumieniona, klątwami ciskała;
 Zdawało mi się, że z jęków tysiąca
 Głos się podnosi nad pobojowiskiem,
 Co mnie w twarz zdrajcy uderza nazwiskiem.
 O straszna chwila!

HALBAN.

Każda chwila taka
 Jak zasiew krwawy zbliża cię do plonu,
 Co zbierzesz w płaszczu mistrzowskim Krzyżaka,
 Gdy będziesz panem wszechwładnym zakonu,

I cios śmiertelny na pewno mu zadasz
Ratując Litwę, którą teraz dławisz
Chytrąś niemiecką.

KONRAD.

Wciąż mi zapowiadasz
Tę przyszłość, co mnie oczyści i zbawi;
Lecz dotąd czuję tylko przekleństw brzemię,
Ja syn niewdzięczny, małżonek nieczuły,
Odstępca własną nachodzący ziemię.
Chciałem struć zakon . . . ale mnie wprzód struły
Te jadowite moich myśli gady,
I jestem pierwszą ofiarą swej zdrady.

HALBAN.

Przeciw chytrąś i kłamstwu i zdradzie
Nie można walczyć — tylko równą bronią.
Gdyś raz swą duszę poświęcił Konradzie
Podobnym czynom, to już nie dbaj o nią!
Znajdziesz ją potem w piersiach innych ludzi,
W piersiach narodu, co się ze snu zbudzi.
Tylko idź naprzód.

KONRAD.

Ja też stąkam twardo,
Depecząc po drodze co spotkam ponury,
I tych co cierpią — dobijam pogardą —
I tych co kocham — biorę na tortury —
I serce żony bez litości łamię —
Milczę i zdradzam — zabijam i kłamię.
Czego chcesz więcej?

HALBAN.

Ciszej! ktoś nadchodzi.

(z lewej strony wchodzi Kuno).

SCENA II.

KONRAD, HALBAN, KUNO.

KUNO.

Kiejstut pobity.

HALBAN.

Jakto? wszak zwycięstwo
Miał prawie w ręku.

KUNO.

Zwykle głupcom szkodzi
Ich szlachetnością zwane niedołęztwo.
Kiejstut rozbitych żywcem puścił z matni,
Pragnąc oszczędzić rozlewu krwi bratniej;
Ci zaś z nowemi posiłki wrócili
I wzięli górę. — Dobrze tak ciemiedze,
Co mieczem dobrej nie wyzyskał chwili,
(z szyderstwem)
Przez wzgląd na ludu cierpienia i nędzę.

KONRAD.

Więc poniósł klęskę zupełną?

KUNO.

Do szczętu.
Znaczna część szyków pierzchnęła z nieładem.
Próżno do końca walczył wśród zamętu,
Jak lew się ciskał przed strwożonem stadem,
Nie nie pomogło; z sił swoich ostatkiem
Cofa się ku nam.

HALBAN.

Ha! to jest wypadkiem,
Który na teraz plan zakonu zmienia.

KUNO.

Nie zmienia w gruncie, bo zawsze w ten sposób
Dąży do wszystkich ziem tych ujarzmienia, —
Tylko się role odmieniają dwóch osób;
Teraz Kiejstuta weźmiemy w obronę.

KONRAD.

Czy się nam odda?

KUNO.

Dziś chwile najlepsze,
Gdy świeżo czuje klęski poniesione.
Dość mu powiedzieć, że zakon podeprze
Swojem rycerstwem jego dalsze kroki,
Jeżeli nam się powierzy bez zwłoki.

Konrad niech całe pośrednictwo przejmie.
Łatwo mu przyjdzie wyświecić starcowi,
Że zginął, jeśli z Jagiełłą w rozejmie
Chce szukać wyjścia.

KONRAD.

Może walkę wznowi?

KUNO.

Sam do nowego nie zdolny zapasu.

KONRAD.

A w naszym ręku?

KUNO.

Będzie mógł do czasu
Igrać z synowcem — a synowiec z stryjem,
Dopóki wszystkich ziem tych nie podbijem.

HALBAN.

Nie tak to łatwo jak się może zdawać . . .
Trudno ludzi cały wytępić . . .

KUNO.

Tej dziczy
Nie mogę prawa do bytu przyznawać.
Któż się z plemieniem barbarzyńskim liczy?
Wszakże mu niesiem w darze światło nowe,
Porządek, władzę, obyczaj i mowę;
Niechże więc kornie nam, swym panom, służy,
Co mamy rozum, pieniądze i siłę;
Inaczej zakon cały kraj ten zburzy
I jedną nad nim usypie mogiłę.
Lecz dziś Kiejstuta trzeba złowić w sieci.
Konrad niech spieszy na jego spotkanie
I w oczy złotem obietnic zaświeci,
Byle go ująć.

(kładąc rękę na ramieniu Halbana)

Chodź ze mną Halbanie.

(odchodzi z Halbanem na lewo).

SCENA III.

KONRAD (*sam*).KONRAD (*oglądając się za Kunonem*).

Ten Niemiec umie do żywego dojeść.

Słuchając często przychodzi mi chętka

Temu psu w gardło wbić miecz po rękojęść.

Chęć słuszna, dobra — lecz jeszcze za prędka.

(*Z prawej strony z poza grupy drzew wybiega Aldona*).

SCENA IV.

KONRAD i ALDONA.

ALDONA (*wbiegając*).

Rycerzu!

KONRAD (*na stronie*).

Cóż to? znów z przeszłości łona

Głos ten serdeczny wraca? — Tak, to ona!

ALDONA.

Nie odchodź! Już się nie sprzeciwię tobie.

Nie będę badać: kto jesteś? kim byłeś?

Nie wzbudzę wspomnień, co spoczęły w grobie;

Nie powiem więcej, że ty przedtem żyłeś

W innej postaci — a więc prosby mojej

Słuchaj jak obcy, co na drodze stoi

Wobec nieszczęścia. O panie! ty wspomóż

Tych, którzy giną.

KONRAD.

Mam pomódz? i komuż?

ALDONA.

Kiejstuta ratuj! Wynajdź środek jaki,

Gdy się tak wszystko na niego sprzysięga —

I los i ludzie. Wszakże wy Krzyżaki

Macie dłoń silną, co daleko sięga,

Macie na wszystko środki i sposoby,

A więc ratujcie.

KONRAD.

Często od choroby

Gorsze lekarstwo.

ALDONA.

Słowami rozsądku

Nie mów ty do mnie, bo nic nie pojmuję,
Podobna będąc małemu dzieciątku,
Które nie umie myśleć — tylko czuje.
Ty nie wiesz chyba, zem jest nakształt lutni,
Na której struny rwała losu ręka,
Więc coraz słabiej skarży się i smutniej.
Dzisiaj ostatnia struna we mnie pęka;
I gdy ta pęknie, umilknie narzędzie —
Bo już i głosu i lutni nie będzie.

KONRAD.

A owa struna ostatnia, jedyna?

ALDONA.

To jeszcze miłość choć w różnej postaci,
Którą na ojca przeniosłam ze syna.
Kto z oczu słońce miłości utraci,
To do bladego zwraca się księżycy,
Co chociaż żarem nie zrumieni lica,
Jednak litośnie w srebrne stroi wianki
Skoń opuszczonej żony i kochanki.
Ale ty nie wiesz, że ja opuszczona
Straciwszy męża i sen szczęścia krótki,
Znalazłam ojca, który mnie do łona
Swego przytulił. Nie wiesz, że dwa smutki
Złączone dziwną stworzyły zażyłość,
Co jest jak duchów zaświatowa miłość,
I że w tym starcu sercem mojem żyję
I tą jasnością, która z niego bije.

KONRAD (*z zajęciem*).

Więc ty go bardzo kochasz?

ALDONA.

Pytasz o to?

Ha! tyś go nie znał; a gdy znał — zapomniał
O tym rycerzu z gołębią prostotą;
I nie wiesz jak on w nieszczęściu zогromniał

I jakie skarby w sercu swoim mieści,
W sercu, co wszystkie ukryte boleści
Na perły zmienia nakształt cennej muszli . . .

(z rozpaczą)

I on ma nie ujść zguby!

KONRAD.

Ach! zazdrośnie

Los czyha, nie chcąc, by rozbicia uszli
Ci, których ducha wysokość przerośnie
Zwyczajny poziom. Im kto dąży wyżej,
Więcej z nieszczęściem pozna się i zbliży,
I kres odnajdzie wszystkich dumnych dążeń,
Gdy na pierś ziemi usypią na szańcu.

ALDONA *(rozpaczliwie z wyrzutem)*.

Nie chcesz nic zrobić dla mnie — nic dla niego?

KONRAD *(w zapomnieniu z żywością)*.

Wszystko, co w mocy mojej.

ALDONA.

Dzięki, dzięki!

KONRAD *(chłodno i z goryczą)*.

Ty mi nie dziękuj; wszakże nic dobrego
Nie może dla was z naszej spłynąć ręki.
Bez skrytych celów nigdy nie nie czynim.
Lecz gdzie jest Kiejstut?

ALDONA.

Byłam ciągle przy nim,

Dopóki w bitwy przegranej zamęcie
Nie znikł mi z oczu — a ja pełna grozy
Na wpół szalone czyniąc przedsięwzięcie,
Wprost na krzyżackie chciałam biedz obozy
Wzywać ratunku.

(Słuchać za sceną daleki głos rogu. Aldona z radością do Konrada)

Czy słyszysz?

KONRAD.

Tak, słyszę.

ALDONA.

To odgłos rogu, który przerwał ciszę.

(słuchać wyraźniejsze brzmienie)

Znów się powtarza i dźwięczy donośniej;

To on się zbliża! Bogowie litośni

Wy nas wspierajcie!

(Aldona pospiesza na prawą stronę sceny ku głębi, z kąda wychodzi Kiejstut, za nim Butrym i orszak rycerzy).

SCENA V.

KONRAD, ALDONA, KIEJSTUT, BUTRYM, rycerze.

(W ciągu tej sceny i następnych rycerze rozmaicie się grupują, częścią zajmują miejsce na scenie za drzewami, częścią usuwają się za kulisy. Butrym wydaje rozporządzenia i rozmawia z nimi pocichu).

ALDONA *(rzucając się w objęcia Kiejstuta).*

Ojcie!

KIEJSTUT *(ponuro).*

Dziecko moje!

O innym teraz pomyśl opiekunie,

Bom ja — jak trzcina złamana we dwoje.

Kto się chce oprzeć na niej — w przepaść runie.

Wróg nas otoczył... ująć nie mogę zguby;

Trzeba z honorem zginąć...

ALDONA.

Ojcie luby!

O nie mów tego.

KIEJSTUT.

Dziś wyboru niema.

(Konrad, który się dotąd na uboczu trzymał, przystępuje do Kiejstuta).

KONRAD.

Jest wybór, książę. Zakon miecz ci poda,

Za któryś winien rękami obiema

Uchwycić teraz. Gdy z nami ugoda

Przyjdzie do skutku, smutną ostateczność

Zmienisz w zwycięstwo.

KIEJSTUT.

Zakon zbyt usłużny;

Lecz biedny starzec... ja za jego grzeczność

Nie mam czem płacić — a nie chcę jałmużny.

KONRAD.

Nie żartuj książę! po temu nie pora . . .
Wypadki naglą. . . .

KIEJSTUT.

Ja też nie żartuję.

Do wesołości myśl moja nie skora.
Lecz jak mi śmiecie wy zdradzieccy zbóje
Przynosić sojusz na urągowisko
I pokazywać swe życzliwe chęci?
Jeszcze tak duchem nie upadłem nisko,
Abym się z wami miał łączyć przekłęci!
Ja wam nie oddam Litwy na pożarcie.
Wolę jak rycerz paść trupem w pogromie,
Niż od was zgubne zakupywać wsparcie.
Wyście sprawili mą klęskę kryjomie,
Stanąwszy zbrojno tuż przy moim boku,
Swoją postawą zmuszając mnie w walce
Rozdawać siły, by was mieć na oku.
I wy mi pomoc chcecie nieść padalce —
Gdym już pobity?

ALDONA (*na stronie*).

O ja nieszczęśliwa!

(*do Kiejstuta*)

Ach! nie odrzucaj całkiem ich odsieczy,
Wszakże na tobie los kraju spoczywa.

KIEJSTUT (*surowo*).

Dziecko! do takich nie mieszaj się rzeczy.
Im kto zacniejsze dźwiga obowiązki,
Mniej mu się godzi dla swego ratunku
Aż do kałuży zatoczyć się grzązkiej.

ALDONA (*z boleścią*).

Więc niema rady!

KONRAD.

Nie bądź dumnym zbyt; nie;
Póki czas jeszcze, bierz pomoc, co dajem;
Tu was Jagiełło co do nogi wytnie.
Namyśl się!

KIEJSTUT.

Mysleć nie jest mym zwyczajem,
Gdy mi powinność wskaże drogę jedną.

KONRAD.

Szkoda krwi tylu walecznych; — daremnie
Na rzeź ich wydasz.

KIEJSTUT.

Przed śmiercią nie zbledną
Ci, co dotrwali; wezmą przykład ze mnie.

(przystępując do orszaku rycerzy)

Rycerze! kto z was chce ocalić życie,
Niechaj się dłużej z mym losem nie wiąże,
Niech mnie opuści coprędzej. — Milczycie?
Nikt z was do domu nie chce wracać?

RUTRYM.

Księżę!

Podłych nie znajdziesz.

KIEJSTUT *(dalej do rycerzy)*.

Tu jesteście bliscy
Niechybnej śmierci. Cóż, czy zginąć chcecie?

GŁOSY Z ORSZAKU RYCERZY.

I

Zginiemy z tobą.

II

Zginiem wszyscy.

III

Wszyscy.

KIEJSTUT *(do Konrada)*.

Ostatnią naszą odpowiedź na światcie
Słyszałeś Niemcze! nie masz tu co bawić —
Wracaj do swoich!
(Konrad skłoniwszy się w milczeniu, odchodzi na lewo).

SCENA VI.

KIEJSTUT, ALDONA, BUTRYM, RYCERZE.

KIEJSTUT *(do Butryma)*.

Gdzie Witold?

BUTRYM.

On — panie —

Miał tylne straże wzmocnić i rozstawić.

KIEJSTUT.

Butrymie! Witołd z nami nie zostanie.

On nas powinien przeżyć... Na nim cały
Ród się mój kończy. On jeszcze tak młody,
Ma dalszą przyszłość i zasług i chwały.

BUTRYM.

Tak książę, chłopiec musi wyjść bez szkody;
Trzeba go wysłać.

KIEJSTUT.

Każę, niech przez puszcę
Do Trok Aldonę bezpiecznie odstawi.

ALDONA.

Ja ciebie nigdy, nigdy nie opuszczę!

KIEJSTUT.

Musisz mnie słuchać.

ALDONA.

Mnie się serce krwawi
Na myśl rozdziału.

KIEJSTUT.

Taka moja wola,
Więc ani słowa.

BUTRYM (*patrząc za scenę*).

Właśnie wraca z pola
Sam Witołd.

SCENA VII.

KIEJSTUT, ALDONA, BUTRYM, WITOŁD, RYCERZE.

WITOŁD (*wchodząc*).

Ojczy, ważne zasłły zmiany —
Jagiello przybył do nas. Dobrowolnie
Chce się pojednać z nami.

KIEJSTUT.

Ha, lis szczwany
Raz się nam łasi, to znów zębem kolnie.

WITOLD.

On ofiaruje zgodę i przymierze.

KIEJSTUT.

Ty jeszcze wierzysz w jego szczerłość?...

WITOLD.

Wierzę.

Wszakże nas teraz ma w swej mocy prawie;
Mógłby do szczętu zniszczyć, a tymczasem
On sam przychodzi w pokornej postawie
Prosić o zgodę.

KIEJSTUT.

Pewnie ma za pasem
Ukryty podstęp — gdy korny i miły.

WITOLD.

Pocóż mu podstęp? gdy ma dosyć siły,
Aby się z nami rozprawić inaczej.

KIEJSTUT.

Może się lęka, choć nas ujął w kleszcze,
Byśmy w wysiłkach męstwa i rozpaczy
Ze szpon się jego nie wydarli jeszcze.

WITOLD.

Zkądże myśl taka?... wszak on równo z nami
Musi rodzinne oplakiwać klótnie.
Smuci go myśleć, że się niszcym sami
W oczach Krzyżaków, co się patrzą butnie.
Wolałby na nich obrócić oręż,
A więc ci ojczyznie sojusz zaprzysięże,
By ich tłuc z nami. Sam to mówił do mnie.

KIEJSTUT.

I ty precz wierzysz jego mowie gładkiej?
O stokroć lepiej w boju nam niezłomnie
Wytrwać i zdać się na los i wypadki,
Niżli na jego czułość...

WITOLD.

On nie zdoła
Haniebnie zdradzić...

KIEJSTUT.

Chcesz więc zgody synu?

Dobrze — bo żal mi rycerskiego koła.
Nie chcę krwi tyle dla listka wawrzynu.

WITOŁD.

Chodźmy do niego; on w pobliżu czeka
Niepewny, jakie znalazłby przyjęcie.

KIEJSTUT.

Więc idźmy.

ALDONA.

Nie chodź! widziałam zdaleka
Strasznego widmo na drogi zakręcie,
Co nam groziło.

KIEJSTUT.

Zbierz przytomność swoją;
Tobie się wiecznie jakieś widma roją.

(Odchodzi z Witoldem na prawo).

(Aldona stoi chwilę nieporuszona, potem wybiega za odchodzącymi, z głębi z prawej strony wychodzi Wajdelota z orszakiem innych wajdelotów).

SCENA VIII.

WAJDELOTA, BUTRYM, RYCERZE, WAJDELOCI.

WAJDELOTA *(do wajdelotów zwracając się po za scenę).*

Tam! pod tym dębem rozdartym przez gromy,
Stos mi ułóżcie na wzgórzu wysoki.

Niech z niego świat ten pozdrowię znikomy,

Nim w złotym ogniu ulecę w obłoki.

Niech pożegnalnie zaszumią mi drzewa,

Niech puszcza z wami chór żałobny śpiewa!

(Część wajdelotów odchodzi spełnić polecenia)

(występując naprzód i spostrzegając Butryma).

Cóż mój Butrymie? dzień nasz już przeminął;

Nie mamy za czem oglądać się dłużej,

Łamie się cnota, którą lud nasz słynał,

Dłoń świętokradców dawny ołtarz burzy...

Trzeba, padając na świątyni progu

Gromowładnemu oddać zemstę Bogu!

BUTRYM.

O lepiej było nie dożyć tej doli! —
 Lecz kiedy Kiejstut żyje — mnie żyć trzeba
 I czuwać nad nim, póki los pozwoli.

WAJDELOTA.

Pełń swą powinność. — Mnie kazały nieba,
 By wziąć na siebie tego ludu grzechy
 I rzucić w płomień.

BUTRYM.

A dla nas, twych braci,
 Czy ty już żadnej nie znajdziesz pociechy?
 Czy nie dasz wróżby, co trud życia spłaci
 Nową nadzieją?

WAJDELOTA.

Nadzieja w odwiecznej
 Sprawiedliwości, co rządząc światami,
 Dla cnoty tryumf zgotuje konieczny.
 Widzę ja dzienną jasność po za mgłami,
 Widzę ja przyszłość pogodną i szczęsną
 I widzę życie inne i bogatsze...
 Lecz wpierw się nasze mogiły zakłęsna
 I burza po nas wszelkie ślady zatrze.
*(Z prawej strony wchodzi Kiejstut, a za nim Witold, Jagiełło,
 Aldona).*

SCENA IX.

KIEJSTUT, WITOLD, JAGIEŁŁO, ALDONA, BUTRYM,
 WAJDELOTA, RYCERZE.

KIEJSTUT *(do Witolda wskazując na rycerzy)*.

Witoldzie! później tym ludziom odpłacisz
 Za wierność, której dali mi dowody.

(Do rycerzy).

Rycerze! do swych powracajcie zaciśz
 Unosząc wdzięczność moję. — Dłoń do zgody
 Dałem Jagiełło. Bój się już nie wznowi.
 Ja wam dziękuję... żegnám... bądźcie zdrowi.

(Ściska się za ręce z niektórymi z rycerzy).

Ja sam do Wilna z Jagiełłą pojadę,

Niewielki orszak biorąc towarzyszy...

Butrym na czele...

(Butrym całuje rękę Kiejstuta).

ALDONA.

A ja?

KIEJSTUT.

Dam ci radę:

Do Trok powracaj, tam ci będzie ciszej.

ALDONA.

Nie chcesz mnie?

KIEJSTUT.

Nie chcę.

JAGIEŁŁO.

Możem się zabierać.

ALDONA *(wieszając się na szyi Kiejstuta).*

Zabierz mnie z sobą! nie każ mi umierać!

(Kiejstut usuwa lekko Aldonę, poczem zabiera się ku wyjściu a Wajdelota zachodzi mu drogę).

WAJDELOTA.

Żegnaj mi książę, żegnaj na czas długi,
Bo już się na tej nie zobaczym ziemi,
Chyba w tych puszczach, gdzie Perkun swe sługi
Przyzywa wieńczyć ogniami złotemi,
I bólów życia spędza sen niemiły,
Sącząc im napój młodości i siły.
Żegnaj mi książę, wybierasz się w drogę,
Co łamie serce wodza i człowieka.
Ja sam na gruzach pozostać nie mogę...
Nadziei przeżyć nie chcę... stos mnie czeka!

KIEJSTUT.

Co chcesz uczynić?

WAJDELOTA.

Odwiecznym zwyczajem

Bywało u nas — kiedy los się sroży,
Gdy ciężkie chmury zawisną nad krajem,
Że jaki rycerz, jaki sługa boży,
Starszy z kapłanów albo wajdelotów,
Aby odwrócić słuszną niebios karę,

Własne swe życie składał na ofiarę,
Dziś na mnie przyszła kolej. — Stos już gotów.

KIEJSTUT.

Starcze! dlaczego żegnasz mnie tą wieścią,
Odchodzącego z wstydem i boleścią?
Dlaczego za mną chcesz na wszystkie strony
Twego pogrzebu płomień słać czerwony?
Czyżes tak zwątpił po przegranej bitwie
O przyszłych losach, o mnie i o Litwie!
Że memu sercu, co ciężkie jak ołów,
Chciałbyś dorzucić ciężar swych popiołów?

WAJDELOTA.

O nie! — ja wierzę, że nie zginie marnie
Szlachetny posiew na ojczystej glebie,
Że wszystkie nasze walki i męczarnie
Będą tej ziemi policzone w niebie.
Więc krew swą jeszcze dorzucam do szali,
Którą trzymają duchowie ogniści...
Niech ona wrogów zaleje i spali!
I świat błyskawic oddechem oczyści!
Żegnaj mi książę.

JAGIEŁŁO (*do Kiejstuta*).

Spieszmy, czas uchodzi.

ALDONA.

Ojcie!

KIEJSTUT.

Birutę idź pocieszyć córo!

(*Kiejstut odchodzi z Jagiełłą i Witoldem, za nim Butrym i kilku pozostałych rycerzy, udając się na prawo przodem sceny*).

SCENA X i ostatnia.

WAJDELOTA, ALDONA, WAJDELOCI.

WAJDELOTA (*do wajdelotów*).

Hej! weźcie ogień towarzysze młodzi
I mnie płomienia nakryjcie purpurą.

(*Odchodzi z wajdelotami w głąb na prawo*).

ALDONA.

Tam w Wilnie Marya...

(Z rozpaczą).

Ach czemuż nie runie

Lepiej świat cały!

WAJDELOTA *(za sceną).*

O wielki Perkunie!

Zasłona spada.

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT CZWARTY.

Scena przedstawia salę w zamku Wileńskim tę samą, co w pierwszym akcie. Za podniesieniem zasłony Marya stoi na środku.

Prora Bilgen ukazuje się w drzwiach głównych w głębi.

SCENA I.

MARYA i PRORA BILGEN.

PRORA BILGEN *wchodząc.*

Księżna mnie przyzywać kazałaś?

MARYA *(niecierpliwie).*

Bilgenie!

Powiedz mi prawdę, co wiesz z placu boju?

PRORA BILGEN.

Nic jeszcze nie wiem.

MARYA.

Przekłête milczenie,

Co mnie w gorączce trzyma niepokoju.

Niepewność straszną jest dla serca męka,

Gdy się za szczęściem ugania jutrzeńką;

Lecz stokroć ciężiej czekać, czy się ziści

Marzenie zemsty albo nienawiści.

(Zwracając się do Bilgena gwałtownie).

Może co taisz umyślnie przedemną?
 Kiejstut zwyciężył? Niech się raz już dowiem!
 Najgorsze wieści wolę, niż tę ciemną
 Niepewność, która cięży mi ołowiem,
 Sprzeczne przed oczy stawiając widziadła
 Klęsk lub tryumfu. Co — czylim odgadła?
 Wszystko stracone?

PRORA BILGEN.

Ależ nie, o księżno.

MARYA.

Nie nie ukrywaj, wyznaj, będę mężną,
 Chcę tylko prawdy.

PRORA BILGEN.

Prawdę powiedziałem.

Nie nie ukrywam. Dotąd żadnej wieści
 Nie ma z obozu.

MARYA.

Czyś ty w życiu całem
 Na nic nie czekał w trwodze i boleści?
 Że w chwili, gdy się nasze losy ważą,
 Mówisz tak do mnie z obojętną twarzą,
 I tak cię skutki nie obchodzą wojny,
 Że nic niewiedząc jesteś wciąż spokojny.

PRORA BILGEN.

Brak wiadomości zwykle dobrym znakiem,
 Gdyż wieść złowroga przylatuje ptakiem.

MARYA (*z gniewem*).

Nędzna pociecha — schowaj ją dla siebie —
 Nie lubię mądrych zdań, które w potrzebie
 Nigdy się ludziom nie przydadzą na nic.

(*Rozkazując*).

Rozesłać konnych posłańców do granic!
 Niechaj języka zachwycą po drodze
 I z odpowiedzią pospieszą.

PRORA BILGEN.

Odchodzę

Wydać rozkazy.

MARYA.

Spiesz i pospiech zaleć!

(Prora Bilgen odchodzi przez drzwi w głębi).

SCENA II.

MARYA sama.

MARYA.

O! brat Jagiełło zbyt mnie lekko zbywa,

Nie dba, że ja tu gotowa oszaleć

W tej niepewności żyjąc niecierpliwa.

(Konrad wchodzi drzwiami głównymi).

SCENA III.

MARYA, KONRAD.

KONRAD.

Przebacz o księżno, że wchodzę tak śmiało,

Lecz chciałem ważne oznajmić ci sprawy.

MARYA *(z żywością)*.

Mów! mów rycerzu! Moją duszą całą

Na twoich ustach zawisłam.

KONRAD.

Bój krwawy

Już rozstrzygnięty; Kiejstut wskutek klęski

Oddał się w ręce Jagiełły.

MARYA.

Twoje słowa

Czy dobrze słyszę? Jagiełło zwyciężki!

Kiejstut schwytyany! Ach radość gotowa

Pierś mi rozsadzić...

(Zwracając się znowu do Konrada).

Czy to wieść nie mylna?

KONRAD.

Sam byłem świadkiem, więc za pewnoś ręczę.

Wszak wprost z obozu pędziłem do Wilna,

By cię uprzedzić.

MARYA.

Czemże ci odwdzięczę?

Za tę przysługę i za dobre wieści,
Które balsamem są na serca rany,
Na wszystkie moje smutki i boleści.

(Z wybuchem dzikiej radości).

Ha! w naszym ręku Kiejstut pokonany —
Mogę więc zrzucić moje szaty wdowie,
Pierwszym uśmiechem twarz okrasić bladą
Oparłszy nogę na zabójcy głowie,
Co mi niebiosą same do stóp kładą.
Ciesz się Wojdyłło w grobowej otchłani;
Będziesz pomszczony.

KONRAD.

Miłościwa pani,

Jeżeliś zemsty żywiła pragnienia,
To już im teraz zadosyć się stało;
Śmierć mniej bolesną od upokorzenia,
Bo więcej cierpi dusza — niżli ciało.
Dość widzieć, jak ten starzec niegdyś dumny
Teraz się nagle złamał niby dziecię,
Jak wstyd go przygniótł gorzej, niżli trumny
Zabite wieko...

MARYA.

Cierpi, cierpi przecie,

Niech więc poczuje, co to boleść znaczy!

KONRAD.

Smutny to widok, gdy wódz osiwniały
Stanie bezsilny w milczącej rozpacz
Na gruzach dawnej wielkości i chwały,
Gdy już na zawsze żegna się z nadzieją
Schodząc, gdzie żadne gwiazdy nie jaśnieją,
I tak przeżywszy siebie i swe czyny,
Sam jest pomnikiem swych nieszczęść lub winy.
Ta zmiana losu, ta smutków obfitość
Musi i serca, które gniewem płoną,
Natchnąć litością...

MARYA.

Nie znam, co to litość.

KONRAD.

Zawziętość znika, gdy zemsta spełnioną,
Gdy brzemię nieszczęść wroga już obarcza
I w prochu kładzie...

MARYA.

Mnie to nie wystarcza!
Mnie trzeba kajdan, tortury, więzienia,
A potem śmierci...

KONRAD.

Pragniesz nazbyt wiele,
Nie zdając sobie sprawy z położenia —
Kiejstut, choć oddał swój oręż Jagielle
I przelał główne prawa swej korony
Na twego brata — to brat z swojej strony
Zaprzysiągł jemu w najświętszym układzie
Należne względy, cześć i miłość syna,
Obronę przeciw napaści lub zdradzie.

MARYA (*szyderczo*).

Jakąż ma wartość próżna gadanina?

KONRAD.

Ma wartość księżno świętego przymierza,
Którego łamać nie wolno nikomu —
Kto nie chce plamić honoru rycerza.
Jagiello wiodąc Kiejstuta do domu
Z skromnym orszakim nie więźniów, lecz gości,
Będzie rozliczne miał dłań obowiązk
Danych przyrzeczeń i praw gościnności,
I wzgląd konieczny na rodzinne związki. —
Trzeba więc chłodno rozważyć przeszkody,
Mściwym zapędem nałożyć hamulec...

MARYA (*z szyderstwem*).

Zabójcy męża podać dłoń do zgody?

KONRAD.

Czasem wypada konieczności uledez.

MARYA.

Ja znam konieczność jedną tylko, której
Ulegać muszę — bo ta w krwi mej płynie —
By tego starca wydać na tortury
I na śmierć pewną. — A więc Kiejstut zginie.

KONRAD.

Trudno do skutku przywieść takie dzieło,
Na które brat twój zgodzić się nie może.

MARYA.

Sądzisz, że będzie wahał się Jagiełło?
Gdy jak sędziemu krzywdy swe przedłożę,
Mnie sprawiedliwość wymierzyć?

KONRAD.

Czyn taki

Nadtoby głośnem uczynił na świecie
To wiarołomstwo księcia.

MARYA.

Wy krzyżaki

Sami najświętsze przysięgi łamiecie,
Tylko dla drugich macie sąd surowy. —
Zresztą ja także nie myślę z początku
Żądać koniecznie mego stryja głowy,
Potrafię głosem rządzić się rozsądku
I poprzestawać na mniejszym wymiarze;
Dość, gdy Jagiełło na moje żądanie
Kiejstuta w oczach mych uwięzić każe
I ciemne lochy da mu na mieszkanie.

KONRAD.

A jeśli życzeń twoich nie wysłucha?

MARYA.

Nie mogąc jawnie — będę działać skrycie...
Żywot człowieka to rzecz taka krucha!
Cóż łatwiejszego jak wziąć komu życie?
Na to wystarczy jad zadany w winie;
Gdy ten omyli — są najemni zbóje...
I nóż się znajdzie! Dość o krwawym czynie
Pomyśleć — sama myśl mu śmierć zgotuje.

KONRAD.

Więc zginąć musi?

MARYA.

Sądz, że już nie żyje.

Tak, jestem teraz na wszystko gotowa,

Że nawet swoich zamiarów nie kryję,
 Ani w kłamliwe nie ubieram słowa.
(Wchodzi Halban przez drzwi w głębi).

SCENA IV.

KONRAD, MARYA, HALBAN.

HALBAN.

Orszak nadciąga, wkrótce w zamku stanie.

MARYA.

Trzeba stryjowi usunąć się z drogi,
 Niech go mój widok nie straszy.
(Wychodzi przez drzwi na lewo).

SCENA V.

KONRAD i HALBAN.

KONRAD.

Halbanie!

Kiedym porzucił swe rodzinne progi,
 Miłość i szczęście, ojczyznę i wiarę,
 Ohydną zdrajcy przybierając postać,
 Byle pełzając ukradkiem jak żmija
 Do serca hydry krzyżackiej się dostać,
 I cios w przyszłości zadać, co zabija;
 Przygotowany byłem, że me czyny
 Przyjdzie opłacać straszną serca męką —
 Nie przewidziałem jednak tej godziny,
 Że tak stać będę z skrzepowaną ręką,
 Kiedy w pierś ojca godzą zbójców dłonie,
 Że nie dobędę z pochwy swego miecza,
 Ani go pierśią swoją nie zasłonię.
 Więc się dziś wstrząsa natura człowiecza,
 Na to się wzdryga zgwałcona przyroda!
 Nie chcę iść naprzód w tem dziele zdradzieckiem
 Za taką cenę...

HALBAN *(z wzgardliwą litością)*.

Szkoda ciebie — szkoda!

Miałeś być mężem — jesteś tylko dzieckiem,

Co się w myśl wielką bawiło przez chwilę,
Ale spostrzegłszy nagle, że się zrani,
Rzuca ją...

KONRAD.

Nie szydź! wycierpiałem tyle
I tyle szczęścia poświęciłem dla niej,
Żem na szyderstwo twoje nie zasłużył,
Gdy z drogi widmo straszliwe mnie spycha.

HALBAN.

Widzę, że duch twój zachwiał się i znużył!
Byłaż to tylko żądza sławy licha,
Co do nadludzkich ofiar cię popchnęła?
Jeśli tak było, zrzec się twego dzieła,
Kochaj, myśl, działaj jak ludzie zwyczajni,
Bo nic wielkiego nie zrobisz na świecie!
Lecz jeśliś żywił w twego ducha tajni
Prawdziwą miłość dla sprawy ojczyznej,
Jeśliś chciał zrzucić jarzmo, co nas gniecie
I Litwie tryumf zgotować wieczysty...
To idź jak dotąd milezący na wyłom
Przeciw piekielnym czy niebieskim siłom,
Przez łyż — przez ogień — i przez krwi strumienie.
Zapomnij! że masz serce lub sumienie.
Wij się z boleści!... umieraj z rozpaczy!...
Lecz to, coś zaczął, dokonaj!

KONRAD (*rozpaczliwie*).

Inaczej

Te słowa nigdyś brzmiały mi przed laty,
Kiedym je stroił w własnych marzeń kwiaty.
Dziś nawet cel ten — wielki, wzniosły, święty,
Któremu duszę zaprzedałem młoda,
Tak mi się zdaje mgłami przesłonięty,
Że już pociechą nie jest — ni nagroda.
Dziś mi na oczach głowa ojca siwa,
Która odemnie ratunku przyzywa —
On mnie tak kochał — jam mu rozdarł serce —
A teraz wszystkie, gdy nań spadły gromy,
Mam obojętnie czekać, aż morderce
Cios mu nareszcie zadadzą kryjomy.

HALBAN.

Zkąd taka pewność?

KONRAD.

Ta dzika wilezyca,
Co się zaledwie krwią ofiar nasycy,
Jawnie się chełpi z zamierzonej zbrodni,
I jeśli brat jej nie wesprze w zamiśle
I do więzienia Kiejstuta nie wyśle,
Sama go zgładzi. — To słyszałem od niej. —
Tak więc jedyny sposób ocalenia
Biednego starca wtrącić do więzienia.

HALBAN.

Tu nie rozpaczać, lecz działać wypada.
Trudno się ustrzedz, gdzie czatuje zdrada —
Ale więzienne otworzyć mu bramy
Łatwo nam przyjdzie. Wszelką pomoc mamy.
Bo interesem także jest zakonu
Współzawodnika Jagielle do tronu
Trzymać w zapasie...

KONRAD.

Straszliwe to środki,
Za które chwytać muszę dłonią drżącą,
Jakby za przędzę pajęczyny wiotkiej
Po nad przepaścią na łup czyhającą.

(Ochodzi z Halbanem przez drzwi na prawo. Po chwili przez drzwi środkowe wchodzi Jagiełło, a z nim Kiejstut i Witold, przez otwarte drzwi widać Butryma i paru rycerzy z orszaku Kiejstuta, którzy jednakże nie wchodzi na scenę).

SCENA VI.

JAGIEŁŁO, KIEJSTUT, WITOLD.

JAGIEŁŁO *(wprowadzając Kiejstuta)*.

Szlachetny stryju, wszedłeś znów w te progi
Jako zwycięzca, co w niewolę bierze
Zdobyte serca. Cały lud pod nogi
Rzucał ci kwiaty i witał tak szczerze,

Z taką radością i z takim zapalem,
 (z lekkim odcieniem niezadowolenia)
 Że nawet o mnie zapomniał w tej chwili.

KIEJSTUT.

Ty mi współczucia, którego doznałem,
 Nie żałuj! — jeśli lud ten głowę chyli,
 To nie przedemną, co znaczę tak mało,
 Nie przed sztandarem niegdyś może świetnym,
 Lecz przed nieszczęściem, które zamieszkało
 We mnie. — Więc nie wiń tych, którzy w szlachetnym
 Popędzie uczcił umięją niedolę,
 Widząc majestat cierpienia na czole.

JAGIEŁŁO.

Któżby ich winił? Gdy właśnie mej chęci
 Czynili zadość niosąc hołd powinny.
 Wszak tacy goście muszą być przyjęci
 U mnie najszczerzej?

WITOŁD *(z goryczą)*.

Jesteś zbyt gościnnie!
 Jednak wołałbym nie zaznać twej łaski.

KIEJSTUT.

Witołdzie przestań! Po co dziś zgryźliwe
 Rzucając słowa, odnawiać niesnaski
 I krzywdzić chęci Jagiełły życzliwe?
 Pókiśmy stali naprzeciw z orężem,
 Mogliśmy jeszcze sprzeczne mieć zamysły,
 Lecz gdyśmy rzekli: zgodę zaprzysiężem,
 To niech serc związek utrwali się ścisły,
 Niech naszej zgody żaden cień nie zaćmi,
 (zwracając się do Jagiełły i Witołda)
 Byliście dawniej — bądźcie znowu braćmi!

JAGIEŁŁO.

Z mej strony chęci ku temu najlepsze.

WITOŁD.

Łatwo się wtedy bawić w wielkoduszność,
 Kiedy los dumne zachcenia podeprze;
 Lecz kto za sobą miał męstwo i słuszność,
 A tylko szczęście w końcu go zawiodło,
 Temu niełatwo zgiać się pod to godło

Braterstwa, co mu zwycięzca nałoży,
Bo w niem przegląda coś nakształt obroży.

KIEJSTUT.

Synu, przez ciebie mówi próżna pycha,
Która dość nieszczęść przysparza tej ziemi;
Na waśni nasze wróg przebiegły czyha,
Umie korzystać i tuczyć się niemi.
My dziś winniśmy dać przykład ze siebie,
Że nam o Litwę chodzi — nie o władzę,
I wszystkie siły połączyć w potrzebie,
Aby się oprzeć najeźdźców przewadze,
Bo ten ojczyźnie usłuży najlepiej,
Który przykładem karność w niej zaszczepli.
Póki sam stałem pierwszy na wyłomie,
Litewski sztandar podnosząc widomie,
To wymagałem od wszystkich najściślej,
By się poddali mej wodzy i myśli.
Więc kiedy teraz mam ustąpić z pola,
A bogi władzę w jego ręce kładą,
Niechaj we wszystkim rządzi jego wola,
Gdyż każdy opór jest ojczyzny zdradą.

JAGIELŁO (*z uszanowaniem*).

Stryju, ty zawsze będziesz Litwy głową
Przy mnie i ze mną.

KIEJSTUT (*z rezygnacją*).

Praca ma skończona.

Trzeba zejść z drogi przed epoką nową,
Kiedy świat dawny w moich oczach kona.
Trzeba wam miejsca ustąpić, o młodzi!
Co macie świeże chorągwie i bronie. —
Rycerska przeszłość do grobu już schodzi,
I Znicz rodzinny coraz słabiej płonie,
A w serce puszczy litewskiej — bez trwogi
Z nowymi ludźmi wchodzą nowe bogi.
I tak dość długo dziedzić ojców wiary
I narodowej myśli spadkobierca,
Chciałem utrzymać nasz porządek stary,
Nie szczędząc trudów, krwi mej, ani serca;
Lecz nie umiałem wśród ciągłych zapasów

Skutecznie walczyć z duchem nowych czasów,
 I przed Krzyżakiem po dawnym zwyczaju
 Umiałem tylko mieczem bronić kraju.
 Trzeba więc miejsca ustąpić wam dzieci,
 Co macie świeże oręż i hasła...
 Niech wasza gwiazda na niebie zaświeci,
 Gdy moja teraz w ciemnościach zagasła.

WITOLD.

Te nie zaświecą! wraz z twoją ściemniały
 Gwiazdy tej ziemi, wraz z tobą ubywa
 Duch opiekuńczy, co ją wiódł do chwały!
 I pozostanie teraz nieszczęśliwa
 Łupem dla wrogów...

KIEJSTUT (*surowo*).

Synu! ty się nie wąż
 Wątpić tak przy mnie o przyszłości naszej,
 Bo tylko ojca starego rozgniewasz.
 Dlaczego przyszłość ojczyzny cię straszy?
 Wszak los narodów nie jest przywiązany
 Do usiłowań pojedynczych ludzi —
 Wyższa moc wszystkim kieruje bez zmiany,
 I ta w potrzebie bohaterów wzbudzi.
 Trudno nam sądzić, gdy padamy sami
 O tem, co tryumf lub zgubę stanowi;
 Myślim, że wszystko przepada wraz z nami
 I zlorzeczymy smutnemu losowi —
 A często właśnie to, co mienim klęską,
 Patrząc na naszych nadziei zwalisko,
 Utrwała dolę ojczyzny zwyciężką —
 I grób nasz będzie przyszłości kołyską.
 (*Przez drzwi w głębi wchodzi Aldona zbliżając się z nieśmiało-*
ścią do Kiejstuta).

SCENA VII.

KIEJSTUT, JAGIEŁŁO, WITOLD, ALDONA.

ALDONA.

Ty się nie gniewaj, mój ojczy Kiejstucie,
 Że nieposłuszne dziecko tu przybiegło;

Dotąd ci zawsze bywałam uległą,
Lecz dzisiaj trwogi silniejsze uczucie,
Dziwny niepokój gnał mnie w twoje ślady
Pomimo danych poleceń i rady.

KIEJSTUT.

Szalone dziecko! zawsze w sercu tobie
Jakieś postrachy lub senne widziadła,
Zawsze cię trwoży jakiś duch w żalobie
I ściga mara przeszłości wybladła;
Zawsze twój umysł znękany i chory
Wszystko w cudowną fantazją zamienia
I własne światu narzuca kolory
Za rzeczywistość biorąc przywidzenia.

ALDONA.

Gniewasz się?

KIEJSTUT.

Chciałbym, lecz to nie tak łatwo,
Co robić z taką rozpieszczoną dziatwą?
Z taką ptaszyną, co wraca stęskniona
I mnie staremu zlatuje w ramiona?
(*Ściska Aldonę*).

ALDONA.

Widzisz mój ojcze, mnie bez ciebie trudno
Wyżyć już teraz; gdy nie jesteś ze mną,
Świat mi się zdaje pustynią odludną,
Tak lodowatą i martwą i ciemną,
I tak nie w sobie dobrego nie mieści,
Że serce moje pęknąć chce z boleści.

KIEJSTUT (*z uśmiechem do Jagielly*).

Patrz, patrz Jagiełło, jak mnie w sieci łowi
Owa rusalka swoją mową spiewną,
Jak się z miłością oświadcza starcowi,
Któremu tylko smutkiem jest pokrewną.
Musisz ją teraz ugościć u siebie,
Nim w świat pójdziemy o zebranych chlebie.

JAGIEŁŁO.

Co mówisz stryju! masz mnie na usługi.

KIEJSTUT.

Miecz upuściwszy, już się nie zdam na nic —

Chyba, by ludziom gwarzyć w wieczór długi. —
 Będę więc Litwę obchodził do granic
 I wszędzie pukał od chaty do chaty
 Opowiadając o chytrości obcej.

(Do Aldony).

Ty pójdiesz ze mną

ALDONA.

Ach w najdalsze światy!

KIEJSTUT.

Może choć młode nauczą się chłopcy
 Wyklinać Niemców i strzedz się przed niemi
 I lepiej od nas bronić swojej ziemi.

(Zwracając się do Jagiełły).

Tymczasem prowadź synowcze starego
 Na wypoczynek.

JAGIEŁŁO.

Dam ci własne łóże.

Chodź ze mną stryju.

(Jagiełło prowadzi Kiejstutę ku drzwiom na lewo, lecz się te otwierają nagle i wchodzi na scenę Marya z Prorą Bilgenem, tamując przejście; we drzwiach za nimi stoją inni uzbrojeni dworzanie Jagiełły).

SCENA VIII.

MARYA, PRORA BILGEN, KIEJSTUT, JAGIEŁŁO, WITOŁD,
 ALDONA, ZBROJNI DWORZANIE JAGIEŁŁY.

MARYA *(wchodząc do Jagiełły).*

Zaczekaj!

JAGIEŁŁO.

Ty czego?

Stryj chce odpocząć.

MARYA.

Stryj poczekać może —

Na sen spokojny jam dłużej czekała.

JAGIEŁŁO *(do Maryi).*

Więc mów, co żądasz.

MARYA.

Chcę sama dla stryja
Wygodne usłać łoże...

ALDONA *(na ustroniu)*.

Ach drzę cała!

JAGIEŁŁO.

Co to ma znaczyć?

MARYA.

Sen starcom nie sprzyja,
Jeśli krew jeszcze mają na sumieniu.
Spać im nie daje noc zanadto widna —
Niech Kiejstut w ciemnem wypocznie więzieniu.
Tam go więc pošlij!

WITOLD.

Jak ty śmiesz bezwstydną
Bryzgać słów pianą...

JAGIEŁŁO.

Szalejesz mi siostró.

MARYA.

Ja nie szaleję. — Ty będziesz szalony,
Jeśli raz w życiu nie stawisz się ostro
I z rąk wypuścisz przyszłość swej korony.

JAGIEŁŁO.

Maryo zamilknij!

MARYA.

Czyliż tobie bracie
Połkniętych zniewag pamięć jest tak strawną?
Że o krzywd naszych nie myślisz zapłacie;
Czy nie pamiętasz? jak nas stryj niedawno
Tu w naszym gnieździe zelżył wobec świata
I więzić kazał, by pozorem łaski
Ośmieszyć później. — Gdzie dług, tam zapłata.
Zrób z nim tak samo.

WITOLD.

Ucisz swoje wrzaski!

(Zwracając się do Jagiełły).

Jagiełło, rozkaż, niech pójdzie ta jędza.

MARYA.

Bracie, ty słyszysz! — on mnie ztąd wypędza —

Z własnego domu — za to; że ich zbrodnie
 Na sprawiedliwej pragnę zważyć szali.
 Bracie! więc twoich przyjaciół swobodnie
 Zabijać można? i ciebie nie spali
 Rumieniec wstydu, że nawet ich zgonu
 Pomścić się nie chcesz? Więc u twego tronu
 Nikt bezpieczeństwa nie znajdzie w potrzebie?
 Mnie męża — tobie, mój bracie, wydarto
 Wiernego sługę, co zginął dla ciebie.
 Gdy go nie pomścisz — służyć ci nie warto!
 I wszyscy wierni opuszczą cię słudzy,
 Gdy ich na pastwę dajesz złości cudzej.

KIEJSTUT (*do Jagiełły z wyrzutem*).

Takieś synowcze zgotował przyjęcie,
 Gdym ci zaufał?

JAGIEŁŁO.

To nie z mojej winy,
 Nie przewidziałem tego. — W jej lamencie
 Tkwią jednak słuszne zażaleń przyczyny.

WITOŁD.

Tak dotrzymujesz przysięg?

JAGIEŁŁO

Cóż poradzę?

WITOŁD.

Weź ją precz z oczu! masz po temu władzę.

JAGIEŁŁO (*do Maryi*).

Odejdź ztąd siostro!

MARYA.

Dopóki ten stary
 Jest na wolności — nie ustąpię póty.
 (*Wskazując na Bilgęna i resztę dworzan*).

Całe rycerstwo domaga się kary
 Za śmierć Wojdyłły...

JAGIEŁŁO.

Cóż to? bunt uknuty...

MARYA.

Nie bunt, lecz słuszne sług twoich żądanie,
 Byś sprawiedliwość wymierzył im panie.

WITOŁD (*patrząc w oczy Jagielle*).

Ej mój Jagiełło, źle ci z oczu patrzy —
Czyżbyś się wahał dotrzymać nam słowa?

(*Butrym uchyla drzwi środkowe i przysłuchuje się, wchodząc po cichu na scenę*).

Któż był od ciebie w przysięgi bogatszy?
A teraz milczysz? Czyż się zdrada chowa
W twem pomieszaniu?

JAGIEŁŁO.

Widzisz — sam z nienacka
Tak zaskoczony przez tych ludzi skargi,
Muszę wysłuchać...

WITOŁD.

Rozumiem, zasadzka —
Abyś mógł łatwiej wejść z sumieniem w targi.

(*Unosząc się coraz bardziej*).

Jam ci jak bratu i sprzyjał i wierzył,
Jam ręczył ojcu za uczciwość twoją,
Jam go namówił, aby się sprzymierzył,
A ty nóż zdrajcy ukryłeś pod zbroją.
Przeklinam teraz ten mój umysł miękki,
Co lgnął do ciebie. — Stokroć lepiej było
Przyjąć nam pomoc choć z Krzyżaków ręki
I na twój umizg odpowiedzieć siłą.
Wszak oni o to prosili się sami...
Lecz ojciec nie chciał wiązać się z Niemcami —
A jam nie wiedział, jak ty działasz chytrze,
Bobyś w książęcej już nie chodził mitrze!

(*Butrym powoli przechodzi przez scenę ku drzwiom na prawo i wychodzi przez nie*).

MARYA (*do Jagielly z naciskiem*).

Zważ dobrze bracie, z czem się Witołd zwierza —
Mieli cię zniszczyć z Krzyżakami w zмовie,
Tylko nie przyszło jeszcze do przymierza...
Że dziś żałują, sam ci Witołd powie.
Oblicz się bracie, co ci grozi potem,
Gdy ich z rąk puścisz?

JAGIEŁŁO.

W oczach mi się mieni
I serce w piersiach bije jakby młotem.

ALDONA (*z przerażeniem*).

On jej usłucha — jesteśmy zgubieni.

JAGIEŁŁO.

Co począć, nie wiem...

(*Drzwiami z prawej strony wchodzi Konrad, Halban i Butrym*).

SCENA IX.

KIEJSTUT, MARYA, JAGIEŁŁO, WITOŁD, ALDONA
KONRAD, HALBAN, BUTRYM, PRORA BILGEN i ZBROJNI
DWORZANIE JAGIEŁŁY.

JAGIEŁŁO (*do Konrada*).

Nadchodzisz mi w porę
Rycerzu, trudną mam rozstrzygnąć sprawę,
Więc ciebie tutaj na sędziego biorę,
Zrobię, co powiesz.

ALDONA (*na stronie*).

O bogi łaskawe!

Wy go zsyłacie, aby nas ocalił.

KONRAD.

Cóż więc?

JAGIEŁŁO.

Na stryja nie będę się żalił,
Choć mnie nie jedna spotkała zniewaga;
Lecz Marya, której męża kazał stracić,
Gwałtem na niego kary się domaga;
Całe rycerstwo żąda, by odpłacić
Chociaż więzieniem za ten czyn tak srogi,
A jam bezkarność przyrzekł żalem zdjęty,
Nie wiedząc nawet, jakie z nich są wrogi
Chciwe mej zguby.

WITOŁD.

Obłudnik przekłety!

JAGIEŁŁO (*ciągnąc dalej do Konrada*).

Ty zatem powiedz, czy swem przyrzeczeniem
Mam się krępować?

ALDONA (*do Konrada błagalnie*).

Ty znasz prawdę całą,
Więc broń!

JAGIEŁŁO (*do Konrada*).

Cóż sądzisz?

KONRAD (*po walce wewnętrznej*).

Ukarać więzieniem.

ALDONA (*z najwyższą rozpaczą*).

Syn przeciw ojcu!

MARYA (*do Bilgena i dworzan*).

Hej rycerze śmiało!

Zabrać ich wszystkich!

(*Bilgen i zbrojni postępują naprzód*).

WITOLD.

Nie wyjdę ztąd żywcem.

Za broń Butrymie!

(*Witold i Butrym wydobywają miecze*).

KIEJSTUT (*nakazując*).

Schowajcie swe miecze!

(*Butrym chowa swój miecz do pochwy*).

WITOLD (*nie słuchając rozkazu*).

Będę się bronił...

(*Konrad zachodzi mu z tyłu i oręż wytrąca z jego ręki*).

Podłym niegodziwcem

Jesteś Krzyżaku.

ALDONA.

Ach, oko człowiecze

Nie oglądało zbrodni tak okropnej...

I to on...

MARYA (*do rycerzy*).

Brać ich — Kiejstut jest roztropny

I wie, że opór krwią zapłacić można.

ALDONA (*zastaniając Kiejstuta*).

Ja ciebie, ojcze, swą pierś zastawię...

Ja cię wziąć nie dam...

MARYA (*odrywając ją gwałtem*).

Precz ztąd!

ALDONA.

Ty bezbożna!

(Zbrojni z Bilgenem otaczają Kiejstutą, Witolda i Butryma, prowadząc ich ku drzwiom głównym. Aldona wyciąga ręce ku Kiejstutowi).

Ojcze, mój ojciec!

KIEJSTUT *(odwracając się)*.

Ja cię błogosławię.

(Wychodzą wszyscy prócz Aldony, Konrada i Halbana).

SCENA X.

ALDONA, KONRAD, HALBAN.

ALDONA *(chwiejąc się na nogach)*.

Co za ból! — tu... tu

(Chwyta się za serce i pada na ziemię. — Konrad i Halban pochylają się nad nią).

KONRAD *(po chwili do Halbana)*.

Patrz! ona umarła!

Bo uwierzyła w zbrodnię, co tak jawna —
Niewdzięczność syna serce jej rozdarła,
Serce, boleścią trawione od dawna.
Straszno pomyśleć, że już w grobu ciszy
Usprawiedliwień moich nie usłyszysz,
Lecz razem z sobą unosi na zawsze
Widzenie z życia całego najkrwawsze,
Przed którym właśnie zamknęła powieki.

(Przyklękając przed Aldoną).

Śnie mej młodości! żegnaj mi na wieki!

Krwawy kochanek na twe czoło blade

Ostatni teraz pocałunek kładę.

(Całuje Aldonę w czoło).

Zasłona spada.

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT PIĄTY.

Scena przedstawia podziemia więzienne zamku w Krewem. Przednia część sceny stanowi obszerne sklepienie podziemie zamknięte z tyłu trzema arkadami połączonemi żelazną kratą, przez którą widać tylną część sceny przedstawiającą krużganek więzienny. W środkowej arkadzie kraty stanowi bramę łączącą krużganek z frontowem podziemiem. Na lewo ku przodowi sceny wejście niskie do drugiej pieczary. Ze sklepienia na łańcuchu zwiesza się kaganek oświecający mdłym światłem więzienie. Za podniesieniem zastony na krużganku ukazuje się Prora Bilgen z kluczami, za nim Kuno, Konrad i Halban. Prora Bilgen otwiera bramę kratową w środkowej arkadzie i wprowadza Krzyżaków na przód sceny.

SCENA I.

PRORA BILGEN, KUNO, KONRAD i HALBAN.

PRORA BILGEN (*wprowadzając*).

Nie mogłem woli opierać się waszej,
Lecz wiedźcie o tem że łamię powinność
Tu was prowadząc...

KONRAD.

Niech cię nie nie straszy.

PRORA BILGIEN.

Zbyt się narażam...

KUNO.

Za twoję uczynność

Masz naszą łaskę, co w każdym wypadku
Wspierać cię będzie.

PRORA BILGEN.

Wam się też oddałem.

KONRAD (*dając mu kieszę złota*).

Tymczasem przyjmij to złoto w zadatku.

PRORA BILGEN (*biorąc*).

Służyć wam będę i duszą i ciałem.

HALBAN.

Lecz gdzie jest Kiejstut?

BILGEN, *wskazując na podziemie po lewej stronie.*

Ta pieczara służy

Mu za kryjówkę — w niej na pęku słomy

Jako dąb stary powalony od burzy,
Całe dnie leży głuchy, nieruchomy;
Mówić do niego to daremna praca,
Milczy jak gdyby chciał się mowy zarzec,
I nawet na nas swych oczu nie zwraca —
Strasznie już teraz zdziecinniał ten starzec!

KONRAD.

Prowadź do niego!

PRORA BILGEN.

Nazbyt ciemno, brudno,
I odrażliwie w tamtym ciasnym lochu
Wam tam rycerze nawet wchodzić trudno —
Ja co innego, przywykłem po trochu
Do tych widoków, więc pójdę, gdy chcecie,
Przywieść go...

KUNO.

Dobrze.

PRORA BILGEN.

Lecz bądźcie cierpliwi,
Bo jego trzeba namawiać jak dziecko,
A wynieść w rękę, jeśli się sprzeciwi.
(wychodzi przez wejście na lewo).

SCENA II.

KUNO, KONRAD i HALBAN.

KUNO.

Sądę że bardzo nam się nie opłaca
Nasze zabiegi, by teraz z więzienia
Dobyć Kiejstuta. Taki starzec na co
Przydać się może?

HALBAN.

Zawsze dźwięk imienia
Pozostał po nim, ten użyty zgrabnie
Może być silną bronią w naszych rękach.

KUNO.

Dźwięk taki coraz przycicha i słabnie
Gdy słabnie człowiek. Co po pustym dźwięku?

KONRAD.

Przyszłość pokaże.

KUNO.

Nie łatwo nam będzie
Wyzyskać starca, co i tak już wprzód
Nie dał się nigdy użyć za narzędzie;
Lecz gdyście chcieli podjąć takie trudy,
A więc próbujemy...

(*Prora Bilgen powraca prowadząc Kiejstutę, który się daje wieść machinalnie nie zwracając uwagi na nikogo z obecnych*).

SCENA III.

KUNO, KONRAD, HALBAN, PRORA BILGEN, KIEJSTUT.

PRORA BILGEN (*do Kiejstutę*).

Chodź starszku śmielej,
Nie ci się złego nie stanie — masz gości,
Co cię chcą widzieć — będzie ci weselej.

KONRAD (*na stronie*).

Okropny widok nieszczęść i starości!

KUNO (*patrząc na Kiejstutę*).

Istna ruina, co pustkami świeci...
Widmo człowieka, które za dotknięciem
Zda się natychmiast w prochy się rozleci...

PRORA BILGEN (*do Kiejstutę pociągając go ku Krzyżakom*).

Zbliż się starszku!

KUNO (*do Kiejstutę*).

Myśmy chcieli z księciem
Pomówić nieco. — Poznajesz nas pewno
Książę Kiejstucie?

(*Kiejstut nie daje żadnego znaku życia*).

PRORA BILGEN (*do Kiejstutę*).

No, odpowiedz stary!

(*zwracając się do Krzyżaków*).

Cóż nie mówiłem? milczy tak jak drewno.

KUNO (*do Kiejstutę*).

Żywim dla ciebie życziwe zamiary.

HALBAN (*do Kunona*).

Zazwyczaj więźniom obecny dozorca
Usta krępuje.

KUNO.

Oddal się Bilgenie —
Wśród zamkowego czekaj nas podworca.
Daj klucze, sami zamknijemy więzienie.

PRORA BILGEN.

(*podając klucze które od niego bierze Konrad*).
Oto są, spełniam wszystkie wasze chęci.
(*odchodzi przez kratę potem przez krużganek na prawo*).

SCENA IV.

KUNO, KONRAD, HALBAN, KIEJSTUT

KUNO (*do Kiejstuta*).

Książę, jesteśmy boleścią przejęci
Widząc cię w takim stanie. Straszna zbrodnia
Na tobie zdrajny popełnił synowiec.
Możemy teraz pomówić swobodnie.
Bilgen już odszedł.

HALBAN.

Poznałeś nas powiedz?

(*Kiejstut pozostaje w jednakowej nieruchomości*).

KUNO.

Jesteśmy sami przyjaciele twoi,
Chcemy ci pomódz w nieszczęściu...
(*widząc że Kiejstut żadnego wzruszenia nawet na twarzy nie
zdradza*). (*do Halbana*).

Ten człowiek

Bez ruchu, głosu, odrętwiały stoi,
I nawet żadnem poruszeniem powiek
Uczuć nie zdradzi.

HALBAN (*do Kunona*).

Może nie rozumie.

KUNO.

Prędeż się zaciął w uporze i dumie.

HALBAN.

Trzeba wyraźniej powiedzieć co chcemy.

KUNO *(do Kiejstuta)*.

Książę, ty nie myśl że wszystko stracone,
I tak przed nami nie stój martwy, niemy,
My ci powrócimy wolność i koronę,
Wyrwiesz cię z grobu, w którym nie oglądasz
Jasności słońca, damy oręż w ręce,
I damy zemstę jakiej tylko żądasz.

(po chwili daremnego wyczekiwania na odpowiedź lub ruch Kiejstuta).

Milczysz? czy myślisz że cię próżno nęcę?
Patrz — drzwi otwarte — gdy cię pod swą tarczę
Wczmiemy, wyjdiesz z tych lochów bezkarnie.
Wolność cię czeka — Cóż ty na to starcze?
Czy chcesz koniecznie zginąć tutaj marnie?
Nie chcesz krzywd pomścić? zatrzeć pamięć klęski
I jak bohater stanąć znów zwycięzki?

(po chwili z niecierpliwością).

No odpowiadaj! bo cię pozostawię
Twemu losowi gdy stracę cierpliwość.
Milczysz? Więc wolisz kończyć dni w niesławie?

KONRAD.

(występując z po za Kunona i Halbana i zbliżając się do Kiejstuta).

O nie odpychaj tych, których życzliwość
Tutaj zawiodła. — Zawierz im Kiejstucie!

(Kiejstut podnosi głowę mierzając oczami Konrada, jakby chciał coś przemówić, ale powraca do dawnego odrętwienia).

KUNO *(do Halbana)*.

Posąg nareszcie przemówił oczami,
I jakieś ludzkie błysło w nich uczucie
Na chwilę.

HALBAN *(do Kunona)*.

Chodźmy! Niech zostaną sami,
Bo Konrad nad nim dziwną moc posiada.

KUNO.

Niech i tak będzie, zostawmy Konrada.

(Kuno odchodzi wraz z Halbanem przez bramę kratową, a potem przez krużganek na prawo).

SCENA V.

KONRAD i KIEJSTUT.

KONRAD (*obejrzawszy się za odchodzącymi*).

Oni już poszli. — Jestem sam przy tobie
W straszliwej męce co pierś moję kruszy —
O tych dniach życia ja śnić będę w grobie,
Jeżeli będzie sen dla mojej duszy.
Ty nie wiesz, jakim ciężarem mnie tłoczy
Twoje milczenie niezblagane, groźne,
Jaki dreszcz śmierci ślą mi twoje oczy
Tak nieruchome, spokojne a mroźne.
Wolę ach! wszystko przenieść — niżli widzieć
Takie zastygłe milczące męczeństwo...
Więc jeśli masz mnie prawo nienawidzić,
To chcę usłyszeć z ust twych choć przekleństwo!
Nie stój tak dłużej martwy, nieruchomy,
Lecz powstań gniewny jako wódz olbrzymów,
Rzuć na mnie wszystkie twoich spojrzeń gromy,
Przeklnij! — lecz słowo chociaż jedno wymów!

(*po pauzie*) Nie? nic nie powiesz?... i to zniosę w końcu —
Lecz daj mi rękę i z tego cmentarza
Uchodź wraz zemną ku jasnemu słońcu —
Bo śmierć niechybna tutaj ci zagraża.
Uchodź, zaklinam!

(*po małej chwili*). Ha! ty może znowu
Lękasz się zdrady? pomnąc żem poradził
By cię uwięzić... Wierzaj memu słowu!
Ja ci przysięgam żem ciebie nie zdradził,
Lecz chciałem tylko odwrócić w ten sposób
Śmiertelne ciosy z ręki innych osób.

(*krótka pauza*).

Nie idziesz? Milczysz?... Więc mi serce zamień
Ażeby także milczało jak kamień,

(*po chwili z uniesieniem i determinacją*).

O nie! ja muszę wyrwać cię od zguby —
Precz myśl o jutrze! Precz wszelka rozwaga!
Precz udawanie! Łamię swoje śluby....

(Kłękając przed Kiejstutem).

Ojcie syn ciebie na kolanach błaga
Byś się pozwolił ocalić....

KIEJSTUT.

Syn? jaki?

Był jeden wprawdzie, któregom opłakał
I w duszy po nim zatarł wszystkie znaki,
Bo on — to moje nieszczęście i zakał.
Więc chociaż potem odgadłem od razu
Jaką twarz nosi krzyżacka gadzina —
Zamknąłem oczy przed śladami płazu,
Poznałem zdrajcę, nie poznałem syna.
Syn mój nie żyje od dawna.

KONRAD

O! srogo

Mści się wciąż na mnie gwałt sercu zadany —
Na całym świecie nie ma już nikogo,
Coby z litością wejrzał w moje rany,
I ogrom ofiar swem współczuciem zmierzył.
Ojcie! więc twoje serce rodziciela
Nie nie przeczuło? Więceś ty uwierzył
Pozorom zdrady co kryje mściciela?
I głos ci żaden tajemny nie szeptał
Dla czegoż wszystko poświęcił i zdeptał.

KIEJSTUT.

Jam w życiu sobie wytknął prostą drogę;
Kraj swój kochając i czcząc swoje bóstwa,
Żyłem wciąż prawdą — więc się znać nie mogę
Na krętych ścieżkach fałszu i oszustwa;
Jam przywykł sądzić czyny, nie zamiary,
I to rozumiem na co patrzą oczy,
Znam jedną prawosć — więc nie daję wiary
Cnocie, co chytrze śladem zbrodni kroczy.

KONRAD *(błagalnie)*.

Ojcie!

KIEJSTUT *(tak jakby do siebie)*.

Ach! dawno straciłem to dziecko,
W którym najwięcej złożyłem nadziei
Sądząc, że zemną nawałę niemiecką

Odganiać będzie od litewskiej kniei,
 Że mnie podtrzyma w walce z tą poczwarą
 Od rozjuszonych groźniejszą niedźwiedzie
 I nie da ciosom spaść na głowę starą,
 On, mojej sławy uczestnik i dziedzic!

(z wzruszeniem).

Alem źle jemu i sobie wywróżył
 Zbyt zatopiony w tej główce dziecięcej —
 Bo on sam szczęście i nadzieję zburzył,
 On, miłowany przezemnie najwięcej.

(z ponurą żalością).

Jam go na zawsze stracił.

KONRAD.

Tak żałośnie

Słowami nie dźwięcz, jakbyś wzdychał za czem
 Co niepowróci — bo we mnie żal rośnie
 Taki bezmierny, że rozsadzi płaczem
 Pierś mężką.

(po małej chwili). Ojcze, więc ty wiary nie dasz
 Że ja ojczyzny nie miałem na sprzedaż;
 Więc ty nie wierzysz, że ja wierny sławie
 Swe życie w jednym pomieściłem czynie,
 Przez którą Litwę i pomszczę i zbawię. —
 Ojcze twój Butawt ożyje gdy zginie!

KIEJSTUT.

O tem co będzie — będą sądzić inni;
 Może go potem przyszłość uniewinni,
 I rzuci poklask za szczęśliwy zamach,
 I nic nie wspomni o poprzednich plamach.
 Lecz ja, którego schyłek dnia tak krótki,
 Jam złego ziarna zgubne widział żniwo:
 W rodzinie same nieszczęścia i smutki,
 Tryumfy wrogów, Litwę nieszczęśliwą,
 I w mojej starej głowie się nie mieści,
 Że ma kraj zbawić, kto się pozbył cześci.
 Trudno ach temu! kto raz fałszu zarwie,
 Choć w dobrej myśli duszę swoją splami,
 Ożyć na nowo w niewinności barwie
 I szlachetnemi zajaśnić czynami.

Wieczna go klątwa potem w życiu ściga
 Krzyżując wszystkie zamiary najczystsze,
 Pcha do występku przed którym się wzdryga
 I w ścieżki coraz prowadzi ciernistsze —
 Więc to czem gardzi, na zawsze poślubi,
 Co chce ocalić, jeszcze prędzej zgubi —
 I cała jego rąk skalanych praca
 Pomimo woli na złe się obraca.

KONRAD.

Mój ojcze, ty mi ostatniej otuchy
 Przed kresem drogi nie chcej dziś odbierać!
 Na pastwę nocy nie wydaj mnie głuchej,
 Nie każ mi zwątpić — zwątpiwszy umierać!
 Bo jak do celu nie doszedłszy padnę,
 To już mnie bóstwo nie rozgrzeszy żadne.

(z pokorą błagalnie).

Ojcze! ty swego uzał się dziecięcia,
 Które tak cierpi, za młodzieńczej pychy
 Zbyt śmiały polot. Otwórz mi objęcia...
 Niech w nie upadnę pokorny i cichy
 Na twojem łonie łez wylewać zdroje....
 Przebacz mi winy....

KIEJSTUT *(wzruszony jakby do siebie).*

Biedne dziecko moje...

KONRAD *(z wykrzykiem padając w objęcia Kiejstuta).*
 Ojcze!

KIEJSTUT.

O synu!

KONRAD.

Ach! to jedno słowo
 Zdejmuje klątwę ze mnie. — Twe uściski
 Wracają życia jutrztenkę różową,
 Która u mojej świeciła kołyski.
 Ty mi przebaczasz?

KIEJSTUT.

Wy niewdzięczne dzieci
 Nie wiecie nawet co miłość rodzica,
 Która za wami aż w przepaści leci,

I własnym swoim bólem się podsyca,
 A choć głos gniewnej przybierze rozpaczy —
 Wszystko zapomni i wszystko przebaczy.
 O synu! synu!

(przyciska Konrada do swych piersi).

KONRAD.

Błogo się spoczywa
 Na twojem łonie. Ach gdyby tak można
 Zasnąć na długo.

(po chwili z niepokojem).

Ojcie! czas upływa. .

I myśl się budzi stroskana i trwożna...
 Spieszmy się ojcie! — Uchodź ztąd, nie zwlekaj,
 Za mną chodź, za mną!

(postępuje parę kroków ku kracie naprzód i zatrzymuje się widząc, że Kiejstut nie zdąża za nim).

KIEJSTUT.

Synu ty nie czekaj
 Napróżno na mnie — ja się ztąd nie ruszę.

KONRAD.

Ojcie, ja ciebie uprowadzić muszę,
 Wszakżeś przebaczył?

KIEJSTUT.

Przebaczyłem dziecie —
 Lecz ztąd już trudno bym uciekał z tobą.
 Co jabym teraz robił w waszym świecie,
 Starzec złamany wiekiem i żałobą?
 Z wolności mojej wróg korzystać będzie;
 Nie chcę powodem być domowej wojny,
 Nie chcę Krzyżakom służyć za narzędzie,
 I wolę tutaj umierać spokojny.

KONRAD.

Ja ci przysięgam, że wynajdę środki
 Żeby cię wyrwać krzyżackiej obłudzie,
 Ja ci zgotuję wypoczynek słodki,
 Którego więcej nie zakłóca ludzie...
 Tylko chodź z nami!

KIEJSTUT.

O nie, mój Butawcie!

Wy mnie mojemu losowi zostawcie.
 Tak jest najlepiej. Mimo woli bowiem
 Mógłbym nieszczęście przynieść naszej ziemi,
 A u nóg twoich zaciężyć ółowiem
 Ażbyś się musiał zdradzić przed obcemi.
 Niechęć, dla kilku nędznych chwil żywota
 Kupować wolność po tak wielkiej cenie.

KONRAD.

Ojczy!

KIEJSTUT.

Tak każe i rozum i enota.
 Nie kuś mnie próżno, bo już nie odmienię
 Swych postanowień.

KONRAD.

Miej litość nademną!

KIEJSTUT.

Świat dzisiaj dla mnie jest pustynią ciemną.
 To czem wprzód żyłem — ludzie mi wydarli.
 Przeszłość nie wróci, nie wstaną umarli.
 Jestem już niczem, nie mam wracać po co!

KONRAD.

Ojczy! nie pojdiesz?

KIEJSTUT.

Nie.

KONRAD.

A więc przemocą

Ztąd cię wyniesiem; przywołam Halbana.
(wybiega szybko przez kratę i przez krużganek na prawo).
 KIEJSTUT *(patrząc za odchodzącym).*

Zapóźno synu!

(Zwraca się i powoli schodzi ze sceny przez wejście na lewo).
po chwili na krużganku ukazuje się Marya z Bilgenem i wchodzi
przez drzwi kratowe na środek sceny.

SCENA VI.

MARYA i PRORA BILGEN.

MARYA.

Krzyżacy w zamczysku..

Rzecz dosyć dziwna.

PRORA BILGEN.

Goszczą już od rana.

MARYA.

Pewnie coś knują. — Znasz ich po nazwisku?

PRORA BILGEN.

Jest Kuno, Konrad i ów Halban stary.

MARYA.

Na czas przybyłam. — Trzeba ich zamiary

Szybko uprzedzić. — Gdzie Kiejstut?

PRORA BILGEN.

W tym lochu.

MARYA.

Dobrze — Więc teraz moich ludzi sprowadź.

Tylko najciszej — nie robić popłochu.

(Bilgen odchodzi tą drogą co przyszedł — Marya odwraca się w stronę pieczary Kiejstuta grożąco).

Stryju! my teraz będziemy się rachować.

(Kuno pojawia się na krużgankach i wchodzi przez kratę.)

SCENA VII.

MARYA i KUNO.

KUNO *(ze zdziwieniem spostrzegając Maryą).*

Księżna?

MARYA.

Cóż? może dziwi cię spotkanie.

Różni się ludzie spotykają w drodze.

KUNO.

Lecz w jakim celu?

MARYA.

Chcesz wiedzieć mój panie,

A więc ci powiem: Zabijać przychodzę

KUNO.

Myślisz że na to zezwolim?

MARYA.

Ha trudno!

Bez zezwolenia muszę się obchodzić.

KUNO.

Czyn taki straszny!

MARYA.

Porzuć tę obłudną

Mowę, a powiedz, co wam może szkodzić
Mój zamysł.

KUNO.

Księżno, my w obronie stajem
Uciemnionych.

MARYA (*drwiąc*).

To waszym zwyczajem?

Niech i tak będzie! Jednak ile sędzę,
Kiejstut wam teraz nie przyda się na nic —
Próżno trwonicie i czas i pieniądze.
Wy Konradowi ufacie bez granic,
A on was zgrabnie na pasku prowadzi
Pragnąc ocalić ojca...

KUNO.

Nie rozumiem.

MARYA.

Strzeżcie się jego — on was jeszcze zdradzi —
On syn Kiejstuta!

KUNO.

Konrad?

MARYA.

Już nie umiem

Wyraźniej mówić. — Poznała go żona.

KUNO (*zaczynając pojmować*).

Ha, co za światło!

MARYA.

Mieście go na oku —

A ja do więźnia pójde. Zanim skona,
Niech przedsmak śmierci znajdzie w mym widoku!
(*Wchodzi przez wejście na lewo do drugiej pieczary*).

KUNO (*w myślach*).

Konrad?! O żmija! — Teraz się odsłania

Wiele zagadek.

(Konrad ukazuje się na krużganku i wbiega spiesźnie na scenę).

SCENA VIII.

KUNO i KONRAD.

KONRAD (*wbiegając*).

Szukałem was wszędzie.

KUNO (*zimno*).

Co chciałeś?

KONRAD.

Kiejstut wyjść z nami się wzbrania.

KUNO (*z obojętnością*).

Więc niech zostanie; to najlepiej będzie.

KONRAD (*żywo*).

Trzeba go zabrać gwałtem.

KUNO (*jak wyżej*).

Gwałtem? na co?

KONRAD

Ale on zginie tutaj!

KUNO.

To tem lepiej.

Śmierć jego drogo Litwini opłacą,

A do Jagiełły krew się ta przyczepi.

KONRAD (*unosząc się*).

Mamyż to ścierpieć?

KUNO.

Dla naszej korzyści.

KONRAD (*podrażniony*).

Zmieniłeś zdanie?

KUNO.

Ustaliłem raczej.

Zgon jego więcej dobrego nam ziści

Niż dłuższe życie.

KONRAD (*z gniewem*).

Ja sędzę inaczej.

KUNO (*z naciskiem*).

Chyba masz swoje zamiary odrębne.

KONRAD (*zdziwiony*).

Ja?

(*Marya powraca na scenę wejściem z lewej strony*).

SCENA IX.

KUNO, KONRAD, później MARYA, PRORA BILGEN
i NAJEMNICY, w końcu HALBAN.

KONRAD (*spozstrzegłszy Maryę przerażony*).

Marya tutaj?

KUNO (*szydlerczo*).

Księżna też w gościnie

U stryja...

KONRAD.

Marya! na jej widok ziębne.

Jak tu go bronić? Swym mieczem jedynie;

Chociażby zginąć!

(*Na krużganku ukazują się najemnicy Maryi z Bilgenem i po cichu wsuwają się na scenę. Konrad spozstrzegłszy ich, zwraca się do Kunona*).

Czego tu chcą oni?

MARYA.

To dobrzy ludzie — idą ze mną razem

Zabić Kiejstuta.

KONRAD (*dobywając miecza*).

Miecz mój ich rozgoni!

(*Najemnicy cofają się przerażeni. Kuno wydobywa miecz również*).

KUNO (*zastępując z dobytym mieczem drogę Konradowi*).

Stój! ani kroku!

KONRAD.

Ty swoim żelazem

Mnie nie powstrzymasz.

KUNO.

Ja ci rozkazuję

W imieniu mistrza.

(*Najemnicy korzystają z chwili i za Maryą i Bilgenem wchodzi przez wejście na lewo*).

KONRAD (*do Kunona i najemników*).

Puszczajcie mnie zbóje!

Gdy żyć pragniecie.

(*Halban wychodzi z krużganku na scenę*).

KUNO (*zastawiając drogę mieczem*).

Ha maskę zrzuciłeś!

Ty syn Kiejstuta, zdrajco dwulicowy!

KONRAD.

Wiesz o tem. — Dobrze. — Dni swoje przeżyłeś.

Powiesz to drugim, gdy wrócisz bez głowy.

(*Naciera na Kunona mieczem, a ten się zasłania*).

KUNO (*broniąc się i spostrzegając Halbana*).

Ty — zginiesz, śmiałku!

(*Do Halbana*).

Weź noża Halbanie

I pehnij go z tyłu!

(*Biją się*).

HALBAN.

Nóż byłby dla ciebie —

Lecz miecz Konrada wystarczy.

KUNO (*z wściekłością*).

Halbanie!

Zdrajco!

(*Bije się z Konradem*).

KIEJSTUT (*za sceną*).

O ludzie!

KONRAD.

Wszystkie bogi w niebie!

Głos mego ojca.

(*Marya wychodzi na scenę i usuwa się powoli na krużganek, z kąda się czas jakiś przypatruje. Konrad naciera z całą gwałtownością na Kunona*).

Giń prędzej!

(*zadając cios stanowczy*).

Precz z drogi!

(*Kuno pada na ziemię. Konrad z mieczem wbiega szybko do drugiego podziemia na lewo*).

KUNO.

Piekielna zdrada! (*umiera*).(*Marya schodzi całkiem ze sceny*).(*Konrad powraca po chwili, podtrzymując w objęciach nieżywego Kiejstuta*).

SCENA X i ostatnia.

KONRAD, HALBAN.

KONRAD.

(*Na kolanach podtrzymując Kiejstuta z rzewnością*).

Zbudź się ojcze miły!

Zasłałem trupem twoich więzień progi —

Jesteś bezpieczny.

(*Po chwili z rozpaczą*).

Napróžno! z mogiły

Nikt nie powraca.

(*Powstając*).

A więc wszystkie węzły

Serca stargane... Teraz myśli moje

Nazawsze w krwawej kałuży zagrzęzły.

Nic mnie nie trzyma... Sam jeden już stoję —

(*z ponurą decyzją*).

Więc śmiało naprzód! gdzie wytknięta droga —

Truć i zabijać i niweczyć wroga.

HALBAN.

Idź! i zabijaj!

Zasłona spada.

KONIEC AKTU PIĄTEGO I OSTATNIEGO.

Do „Reformy Stosunków Wiejskich.“

XI.

IZBA ROLNICZA.

Były i są rządy i systemata, które dążąc do zupełnego stłumienia naszego bytu *narodowego*, przeszkadzały i przeszkadzają nam w wszelkich zbiorowych pracach, chociażby takowe z polityką, z narodowością żadnego nie miały związku, chociażby dotyczyły wyłącznie materialnych interesów. Wszelka bowiem praca już sama przez się jako taka, podnosi wartość moralną swoich uczestników; wszelka praca, która siły budzi, ożywia, skupia, wytwarza właśnie poczucie siły, poczucie spójności społecznej i odpowiedzialności każdego członka społeczeństwa; pomaga utrzymywaniu się tradycyi cnót, a karczowaniu chwastów i demoralizacyi, która licznemi kanałami każdy ujarzmiony naród zalewa. Tem samym przeto wszelkie prace około materialnych interesów, mają dla nas nierównie większe znaczenie niż gdzieindziej, a nie tylko dlatego, że często są jedynie nam dozwolonemi, ale nadto dlatego, że w naszych stosunkach rezultaty ich oddziaływać muszą bezpośrednio na wartość naszego społeczeństwa, wzmacniając podstawy narodowego bytu.

Z prac zaś tego rodzaju wszystko, co dotyczy *ziemi ojczystej*, ma niezaprzeczenie znaczenie pierwszorzędne z przyczyn tkwiących w naturze rzeczy. Własność ziemi warunkuje istnienie narodu wszędzie, a tem więcej u nas, gdy w kilkunastowiekowej przeszłości naszej tylko właściciele ziemi, szlachta była narodem. Ta część ludności, jeżeli utraciła *przywileje*, to jednak sama własność ziemi sprawia, że nie może się wyzwalać od *obowiązków*, że *powinna* stać na straży cnót narodowych, powinna przodować w pracy, w solidarności, w krzewieniu ładu i zgody społecznej, bo zaniebdanie tych obowiązków ze strony tej części ludności mści się pośrednio na całym narodzie, a na niej bezpośrednio — utratą ziemi.

La propriété oblige.

Jak w reformie ustawy gminnej idzie o sprawiedliwą harmonią żywiołów, tak i we wszystkich innych sprawach, dotyczących wiejskich stosunków, niemniej zapewne idzie o właścicieli większych posiadłości niż o lud włościański. Szale interesów równoważą się tutaj, ale odpowiedzialność jest po stronie większych właścicieli niewątpliwie stokroć większą — bo większą jest możność, łatwość pracy, porozumienia się, skupienia, oddziaływania, przodowania; możność materyalna i możność intelektualna, które powinny moralną wartość podnieść. Dlatego też słusznem i sprawiedliwem jest, jeżeli u nas opinia publiczna tradycyjnie od właścicieli większych zawsze wiele, zawsze najwięcej wymaga — śnać ufa, że wymagać należy i można. A nie może być zdaje się piękniejszej, szlachetniejszej ambicji, jak utrzymać się na stanowisku, które komuś takie wymagania wyznaczają.

Czy stanowisko to jest *w ogóle* utrzymywane i należycie bronione? odpowiedź na takie pytanie, ażeby była sprawiedliwą, wymagałaby obszernego, szczegółowego badania; co nie wchodzi w zakres niniejszych uwag, które z obszaru stosunków wiejskich jedną tylko sprawę rozpatrzyć mają. Sprawa ta wszelako sięga do głębi wszelkich praw i obowiązków, ogarnia całą połowę naszego narodowego horyzontu, wszelkie trudności i obawy; apeluje zarówno do

osobistego losu, jak i do najwyższej wspólnej odpowiedzialności.

Idzie o ziemię, a tem samem o wszelkie stosunki z własności ziemi wynikające. Idzie o opiekę i reprezentacją interesu pierwszorzędnej ważności, tak pod ekonomicznym jak i narodowym względem; idzie o tę opiekę, którą sami sobie dać możemy i dla której tylko w takim razie, tylko pod warunkiem samodzielnej, skutecznej, własnej opieki uzyskać i zabezpieczyć sobie możemy opiekę rządu (w Galicyi); idzie o *suprema ratio*, ażebyśmy bezpieczeństwa, nie stali się bezziemnymi, ażebyśmy politycznie rozdarci, stali się społecznie zjednoczonymi, ażebyśmy na *Ossy* komor celnych, traktatów handlowych, taryf kolejowych, rzucili *Peliony* takiej produkcyi i takich u siebie stosunków, z pomocą których mimo politycznej niewoli, urzeczywistniłoby się ekonomiczne i społeczne wyzwolenie. Ta praca tylko od ziemi zaczynać i do niej wracać musi, ta praca, o zadaniach olbrzymich, musi zstępować w głębie najdrobniejszych spraw, wszystkie obejmować, żadnej nie lekceważyć, żadną się nie zrażać, sztandar mieć z cierpliwości, a wojsko z wszechstronności — bo nie ma tak małej piędzi ziemi, tak drobnego pnia leśnego, tak lichego ziarna, którego utrata, jeżeli z naszej winy, nie byłaby klęską; nie ma takiego *piona*, któryby dla nas był zbyt szkodliwym.

Pora przeto, żeby *sprawa reprezentacyi rolnictwa i opieki dla niego* stała na porządku dziennym i nigdy z niego nie schodziła.

Nasze towarzystwa rolnicze cieszą się piękną tradycją i powszechną sympatją — boć szeregują się w historii pod owo warszawskie towarzystwo, o którym śpiewał Syrokomla:

Nas zebranych wielu razem
Car widzieć nie życzy,
A więc zwinął swym ukazem
Legion rolniczy.
Gospodarka trzechpolowa
Wrogom się podoba,

Łan Poznania, łan Krakowa
 Wzięli Niemcy oba;
 Moskwa wzięła resztę łanów
 Polski, Litwy, Rusi,
 Więc *reforma* płodozmianów
 Kłuć ich w oczy musi.... itd.

A jednak, rok temu, Towarzystwo gospodarczo-rolnicze krakowskie ogłosiło swoją abdykacją, zadekretowało swoje rozwiązanie, aby natomiast postawić co innego.

Abdykacja ta wydała się wielom rezygnacją, upadkiem, znakiem czasu tragicznym — inni podnieśli krzyk, że Kraków się cofa, że zapada w nicość, kiedy nawet rolniczego towarzystwa utrzymać nie może; inni zaskorupiali w konserwatyzmie krótkowidzącym, oburzali się, że im Kraków spokój zamąca, że ich porusza, naprzód pcha, podczas gdy oni woleliby ciągnąć *biedę* tak jak dotąd, choćby skrzypiała, choćby co karczma, trzeba stawać, i choć po za nimi wszystko się zmienia, inaczej kształtuje.

Ci ostatni trafili w sedno — bo rzeczywiście postanowienie zapadłe w Krakowie, jest ruchem naprzód, jest obliczeniem się z sobą, z czasem i stosunkami; nie jest to krok rozpaczliwy, ale przykaz rozumu, konsekwencji, bieg rzeczy naturalny, któremu możnaby przeszkadzać, ale którego zatamować nie można. Przeszkadzaniem płonnem byłoby obstawanie przy tem co było, ażby runęło i została tabula rasa — pracą organiczną zaś jest rozwój, przemiana, reforma, przelanie kształtu zużytego w postać nową, której nowe stosunki wymagają. To nie cofanie się ale postęp, to nie upadek ale dźwiganie, to nie burzenie ale budowa, to nie rezygnacja ale odwaga, to podjęcie pracy tej samej co dotąd, ale szerzej i w odmiennym sposobie, to nie rozpacz ale mężkie, rozumne spojrzenie w oczy naturze rzeczy i zastosowanie się do niej takie, aby nie nie uронić z tego co było, a przygarnąć i ocalić wszystko, coby bez tego zmarnieć mogło.

Rozważmy tę naturę rzeczy.

Towarzystwa rolnicze centralne były niemal wszyskiem, gdy oprócz nich nie było. W nich skupiała się pra-

ca i patryotyzm — podatковано też dla nich chętnie. Potem powstały rady powiatowe, sejmy, wybory — podatki na reprezentacye krajowe... Otwarły się różne nowe pola dla działania, absorbujące czas i pieniądze, dające wszystko to, do czego pośrednio dawniej towarzystwa rolnicze służyć miały. Rola ich przeto została ograniczoną do najbliższego zakresu; zakres ten nie utracił przeto nic z swojej ważności, ale musiało braknąć materyalnego poparcia, bo powstało mnóstwo nowych ciężarów. I zdawało się wielom, że wreszcie sejm, rady powiatowe wystarczą i zadaniu opieki nad rolnictwem, a w każdym razie wobec autonomii powiatów rolnicze działania muszą się usamodzielnąć, po powiatach, grupować, nie potrzebując towarzystw centralnych i zależności od nich. Są to wszystko fakta, które sobie każdy świadomy dziejów Galicyi od lat 15 sam może obszernie omawiać i ilustrować.

I byłyby wskutek tego centralne towarzystwa rolnicze już dawno istnieć przestały, gdyby nie obawa przed usuwaniem ważnego węgla z dotychczasowej budowy, gdyby nie trudność zastąpienia go czem innem, gdyby nie upór zachowawczy, który zawsze i wszędzie ma racyą bytu tak długo, póki nie można zastąpić go podjęciem budowy nowej; gdyby wreszcie nie ta okoliczność, że te centralne towarzystwa lubo prywatne, były używane i uznawane jako organa ministerstwa rolnictwa szczególnie w rozporządzaniu subwencyami. Dla tego ostatniego względu zachodziła konieczność utrzymania ich, dopóki się da. I utrzymano, ale tylko pozory — towarzystwa niema, pozostały tylko komitety, sztab, ale bez armii. Wreszcie przyszło jednak do tego, że i sztabu zaczyna brakować, że na pozorach dłużej polegać nie można, bo rząd domaga się czegoś więcej, czemu komitet sam, bez towarzystwa poddać nie może; więc subwencye z roku na rok zostają uszczuplane. Wszystko to bywało co roku, zwłaszcza w przemowach prezesa Tow. krakowskiego sprawdzane, wytykane — bez skutku. Nie mogło być jednak skutku, bo to wszystko jest naturalnym biegiem rzeczy. Potrzeba było jednak radzić o naprawie, a rezultat był ten, że poznano właśnie naturę rzeczy, że stwierdzono, że na to, co przestało być żywotnem, rady nie ma, ale potrzeba, stosownie

do zmienionych stosunków, o czym innem, do tych samych celów służącym pomyśleć. Jakież bo wymyślono i podawano rady i sposoby, aby podźwignąć i utrzymać upadające towarzystwa centralne? Sformułowano je w projektach, nad którymi dwa lata się zastanawiano, a w których podano sposoby dwa, a przedtem już jeden upadł. Tym jednym był projekt utworzenia „*Rady kultury krajowej*.” Punkt wyjścia projektu tego i cel był ten sam, t. j. że towarzystwa centralne rolnicze się przeżyły, że trzeba je czem innem zastąpić. Projektowana wszelako instytucja nie mogła umysłów pozyskać, bo chromała z dwóch względów: raz, że stwarzała władzę rządową raczej, dla spraw ściśle krajowych; powtóre, że po za samą władzą nie tworzyła nic, nie przywracała tego czucia ciągłego z całym krajem, z rolnikami, które niegdyś towarzystwa centralne żywotnemi czyniło; nie dawał ten projekt autonomii i nie dawał reprezentacyi. Projekt upadł, ale był znaczącym objawem czasu.

Dwie zaś rady, które miały na celu *reorganizacyą* towarzystw centralnych, były następne:

- 1) Ażeby kilku lub kilkunastu mecenasów, dobrodziejów, panów, nadstawiało kieszeni za wszystkich i opędało wydatki towarzystwa. Myśl to niedobra pod każdym względem, myśl, która pieczętowałaby małoletniość kraju, która zdawałaby interesa najważniejsze na łaskę i przypadek, tem samem nie nierozstrzygająca, nie nieubezpieczająca. Myśl niesprawiedliwa sama przez się a nadto niemożliwa, bo nie ma takich dobrodziejów. Myśl, która ostatecznie ratowałaby tylko *pozory*, istnienie komitetu, ale nie stworzyłaby towarzystwa, powszechnego udziału. Myśl to oligarchiczna w epoce, w której tylko *równe* ciężary i obowiązki dają równe prawa. Niepodobna przypuścić, żeby rolnicy pod konsekwencyę podobnego projektu siebie i interesa swoje poddawać i narażać mogli.
- 2) Ułatwienie decentralizacyi, tworzenie filij po powiatach, okręgach itp. Tem ratuje *pozory* swojego istnienia towarzystwo lwowskie. Ale czegoż to dowodzi? oto, że zachodzi potrzeba odmiennego grupowania się, według

jakości i ilości najbliższych interesów — a grupy te tem lepiej mogą o sobie radzić, im mniej będą centralnym organem krępowane. Istnienie też tego centralnego organu jest kulą u nóg tych nowo tworzących się grup, jest okupowane ofiarami — dlaczego? dla pozorów, aby był ktoś do pośredniczenia u rządu. Jest to wszelako problematyczne istnienie i niepewne pośrednictwo, które zależy od istnienia tych grup i dobrej ich woli, czyli od przypadku. Wynika ztąd, że nadeszła pora nie do decentralizacji czegoś, co nie istnieje *de facto*, ale do autonomicznych działań, niekrępowanych *fikcyjnem* przewodnictwem, ale dla których potrzebnem jest wspólne *ognisko* nie na to, aby żyło kosztem cudzym, ale aby miało możność uwydatniania samodzielnej pracy wszelkich grup, zasilania jej i ożywiania, skupiania działań samodzielnych, ale rozstrzelonych, *reprezentowania* wszystkich interesów rolniczych, orędownictwa dla nich prawnego, uznanego, na podstawie równości obowiązku, rozłożenia ciężarów takiego, ażeby ich nikt nie czuł, albo przynajmniej nie więcej, jak drugi i trzeci i t. d. I ta przeto myśl doprowadziła tylko do przekonania, że reorganizacja tego, co przestało być organizmem, jest niemożliwą, a następnie do sformułowania potrzeby instytucji nowej.

I godzi się zapisać, że tak jak w sprawie reformy gminnej, pierwszy opracowany projekt wyszedł z Krakowa, tak też z Krakowa wyjdzie projekt reformy pod względem reprezentacji rolnictwa i opieki nad niem przez utworzenie *Izb rolniczych*. Sprawa ta stoi na porządku dziennym czerwcowego zebrania Towarzystwa krakowskiego, a lubo idzie na razie tylko o Izbę rolniczą krakowską, to jednak nie waham się wypowiedzieć, że idea ta zostanie w niedługim czasie szerzej zastosowaną, że znajdzie rozgłos, pociągnie za sobą inne kraje i ostatecznie w całej Austrii *Izby rolnicze* zaprowadzone zostaną.

Zachodzi tu pewna analogia z Izbami handlowemi, która ułatwia określenie tej instytucji i pozwala ominąć i ostrzedz się tych organicznych defektów, na które Izby han-

dlowe nie domagają. Określę przeto pozytywnie charakter, stanowisko, zakres działania *Izby rolniczej*, która ma dać rolnictwu wszystko to, czego już Towarzystwa rolnicze dać nie mogą:

- 1) *Izba rolnicza* jako reprezentacya, opiekunka i organ całego obszaru interesów rolniczych, t. j. ziemnych, leśnych, gospodarczych, stajennych, warzywnych, sadowniczych, rybnych, pszczelniczych, przemysłu domowego i przemysłu rolniczego, to jest przerabiającego płody surowe w sposób więcej domowy niż fabryczny, posiłkowy — instytucya taka musi być *stałą, na mocy ustawy zabezpieczoną*, niezależną od dobrej woli lub ilości członków.
- 2) Instytucya użytku powszechnego musi wszystkim interesowanym dawać prawo do udziału w jej działaniu. Wszyscy przeto rolnicy, właściciele ziemi udział odpowiedni muszą sobie mieć przyznany i równe prawo do korzystania z opieki, dobrodziejstw i korzyści Izby. Dotychczasowe Towarzystwa były prywatnemi i tylko stowarzyszonych reprezentowały.
- 3) Powszechny ten udział i stałość instytucyi mogą być oparte tylko na równym obowiązku, to jest na *podatku*, który byt Izby zabezpieczać będzie. Będzie to podatek nowy — szkopuł nielada; jednak podatek na wszystkich rozłożony, będzie nader nieznacznym, a będzie sprawiedliwym; zresztą interesa tak ważne swój organ mieć muszą, zatem byt jego musi być ubezpieczony, a na to innej rady prócz podatku nie ma.
- 4) Oprócz wszystkich właścicieli ziemi (począwszy od pewnej ilości morgów lub pewnej wysokości podatku gruntowego), są jeszcze *inni rolnicy*, którzy do udziału powołani być muszą, choćby niektórzy z nich bezpośrednio nie byli właścicielami i nie płacili podatku gruntowego, mianowicie: księża po wsiach, oficjaliści, nauczyciele wiejscy. Są też oprócz zajęć pod 1) wymienionych rozmaite specyalności, bezpośrednio interesa rolnicze mające na celu. Te warstwy ludności i te specyalności, jak spółki rolnicze, domy komiso-

we, spółki nabiałowe, zbożowe, stowarzyszenia maszynowe i t. p., muszą być w zakres działania Izby wciągnięte. Względ ten schodzi się z prądem działań autonomicznych, z ruchem dążącym do zawiązywania towarzystw okręgowych, powiatowych, kółek rolniczych itp. Działaniom tym należy się ze strony Izby zachęta, pomoc, a zarazem za to pewna kontrola. Na odwrót grupom tym, w których właśnie, księża, oficjaliści, nauczyciele wiejscy mogą się mieścić, należy się prawo do udziału w Izbie, a prawo to znowu oparte być musi bądź na podatku przez te grupy, jako takie na rzecz Izby składanym, bądź na ich znaczeniu i użyteczności. Tym sposobem autonomia działań rolniczych niczem nie będzie krępowaną, a stworzone będzie mimo to ognisko całej pracy, które z jednej strony będzie dla samodzielnych działań obroną i pomocą, z drugiej w każdej sprawie mieć będzie gotowe kompetentne organa pomocnicze. I będzie nawet zadaniem Izby wywoływać, tworzyć działania samodzielne po powiatach.

- 5) Tego rodzaju Izba będzie ciałem w zakresie swoim także samodzielnie działającym, ale zarazem będzie organem uznanym rządu i kraju. Dla rządu stałą ankietą, ciałem kompetentnem do wydawania wszelkich opinij w zakresie rolnictwa, zarządczynią subwencyj państwowych, za co w zamian państwu na skład Izb powinien wpływ przysługiwać musi. Dla kraju, względnie dla Wydziału krajowego, będzie taką samą ankietą stałą, zarządczynią dotacyi sejmowej, a Wydziałowi krajowemu również głos co do składu Izby przysługiwać musi. Sprawy nieurodzajów, głodu, traktatów, ceł, taryf, o ile odnoszą się do rolnictwa, w pierwszym rzędzie przez Izbę opiniowane być winny i na niej ciążyć będzie obowiązek *przewidywania, zapobiegania*, domagania się wszelkiej inicjatywy i kołatania do władz rządowych i krajowych.

- 6) Izba rolnicza, jako taka, musi też przeto mieć prawo wyboru posła do sejmu i do Rady Państwa, *a nadto wyboru cenzorów do filij Nationalbanku*, ażeby i sprawy *kredytu rolniczego*, gdzie potrzeba należycie były za-

stąpione. Analogia Izb handlowych jest tu nieomylną wskazówką.

- 7) Natomiast co do składu Izby rolniczej, potrzeba ustrzedz ją od tej analogii. Do Izb handlowych odbywają się wybory *bezpośrednie*, głosowanie powszechne po powiatach, a wyborcami są w $\frac{3}{4}$ częściach, wprawdzie obywatela podatujący na Izbę, któremi są małomieszcza nie wszelkiego wyznania — ale ztąd wybory są bezładem, jeżeli na nich nikomu nie zależy, albo prostą targowicą dla każdego, który zechce płacić ¹⁾. Ustawa taka jest pozbawioną wszelkiej loiki, jest demoralizacją, jest złudzeniem, jest kulą u nóg Izb handlowych, jest ich chroniczną chorobą. Ordynacya przeto wyborcza dla Izby rolniczej musi być zupełnie inną. Możliwe są tylko *pośrednie* wybory, i każdy powiat tylko *za siebie* członków do Izby wybierać winien. Zachodzi tu jednak dalszy wzgląd, że należy unikać zbytęznego rozgałęziania się czynności wyborczych, zbytęznego absorbowania ludności temi czynnościami. Otóż, zamiast po powiatach wybierać najpierw wyborców, a potem członków Izby, zdaje się być rzeczą najprostszą, ażeby ciało już wybrane przez cały powiat, jego reprezentacya, rada powiatowa każda była ciałem wyborem dla Izb rolniczych. Prawu podatujących rolników będzie uczynione zadość, a zwiększy się znaczenie rad powiatowych, co także będzie korzyścią i zachętą do udziału w nich, który poczyna słabnąć. Jakakolwiek nastąpi reforma gminna, ostoi się zawsze reprezentacya powiatowa, więc i podstawa ordynacyi wyborczej dla Izby rolniczej będzie stałą. Nadto według 4), 5) prawo wysyłania członków do Izby muszą mieć wszelkie samodzielne *rolnicze* korporacye, jakiegokolwiek nazwy, organizacyi, specyalności, jeżeli liczyć będą pewną (np. 25) ilość członków, lub jeżeli opłacać będą podatek

¹⁾ Przywożone są do Krakowa setkami puste blankiety, nabywane po 10 c. nawet, od kapociarzy, kramarzy, arendarzy, wszelkich handlarzy z prowincyi i tu wypełniane. P. A.

na Izbę. W obu jednak razach decyzja przyznania im głosu należeć powinna do Izby. Nie jest bowiem wykluczoną możebność tworzenia się korporacyj na szkodę rolnictwa i interesów kraju. Wydziałowi krajowemu przysługiwać winno prawo *mianowania* kilku członków Izby — a Cesarzowi prawo potwierdzania wyboru prezesa i wiceprezesa.

- 8) Budżet Izby wynika z poprzedniego; powstaje z podatku, z dotacyi sejmowej, z subwencyj państwowych.
- 9) Działanie Izby również z powyższego wynika, a rozkład czynności, stałe biuro i t. d. należy do regulaminu.

Przyzna każdy nieuprzedzony a znający stosunki, że taka instytucja, będąca niezbędną, nagląco potrzebną, wszelkie trudności rozwiązuje, nie uroni nic z tego, co było dobrem w towarzystwach rolniczych, a czyni zadość wszystkim, czego tam brakowało, może wpłynąć znakomicie na ożywienie i ulepszenie stosunków wiejskich, niczego nie znosi, nie krępuje, niczemu nie stawia przeszkody, owszem wszystko użyteczne popierać musi, bo na wszystko jest miejsce w jej ramach. Nie ulega wątpliwości, że i taka Izba polegać będzie głównie na ludziach, że ustawa sama nie jest jeszcze zbawieniem, ale jej stosowanie. Zachodzi ta trudność wszelako w każdym reprezentacyjnym organizmie — naprzeciw zaś trudnym sytuacyom, niechęci lub złej woli, niemniej przecież już sama ustawa jest puklerzem i nasieniem, z którego w danej chwili znowu dobra wola *prawnie* użyteczne działanie rozwinąć może.

Komitet krakowskiego Towarzystwa gosp.-rolniczego przygotował już na zebranie czerwcowe projekt statutu Izby rolniczej, który zapewne przed zebraniem członkom dla rozpatrzenia udzieli. Zasady projektu tego będą niewątpliwie zupełnie zgodne z powyższem przedstawieniem, które oparte jest na naturze rzeczy i na odbytych już w tej mierze obradach. Projekt zapewne drogą ustawy sejmowej będzie do urzeczywistnienia podany i to najpierw dla Krakowa. Powta-

rzam jednak, że przemiana towarzystw rolniczych i rad kultury krajowej na Izby rolnicze, jest w całym państwie rzeczą nader pożądaną, możliwą, i życzyć tylko można naszej delegacyi, ażeby dotyczący wniosek w rajchsracie postawiła. Możeby to było i korzystniej i łatwiej nie żądać nie osobnego, wyjątkowego dla nas, ale tym razem coś jednakiem dla wszystkich krajów koronnych i wziąć w tem inicjatywę.

Alfred Szczepański.

SZKOŁY W POLSCE

I UBODZY UCZNIOWIE KRAKOWSCY

W CZASACH NAJDAWNIESZYCH

opowiedział w Radnej sali miasta Krakowa, dnia 17 marca 1878 roku
na korzyść ubogiej młodzieży szkół ludowych krakowskich

Ks. Ignacy Polkowski.

„Res sacra miser.“

„Święta jest rzecz miłosierdzie.“

Po to tu wezwany zostałem, żebym na korzyść ubogiej młodzieży szkół ludowych krakowskich w dowolnym przedmowie słów kilka odczytał. Temu przyjemnemu wezwaniu czyniąc zadosyć, stanąłem tu z okruszynkami wspomnień z odległej, często bardzo odległej, przeszłości. Aczkolwiek obieram przedmiot wdzięczny, miły, pociągający, to jednak wyczerpującym on być nie może mimo chęci najlepszych, boby tu trzeba wżyć się wpierw w to ciekawe życie uczącej się młodzieży w czasach nietylko minionych, lecz i dzisiejszych — a ja tu gość tylko a przychodzić. To też wiele licząc na łaskawą pobłażliwość waszą, słuchacze, dzielę się z wami tem, co mam. Dla korzyści ubogiej uczącej się młodzieży ofiarując to ubogie czytanie moje, biorę za motto one

piękne słowa „Res sacra miser“ „Święta jest rzecz miłosierdzie.“ Bo zaprawdę, kto do serca przytulił sierotę, kto otarł łzę biednego, kto podał rękę potrzebującemu, kto dał zasiłek łaknącemu chleba dla nauki, kto wspomógł talent, zdolności, pilność i pracowitość uczącego się biedaka, ten zaprawdę świętą uczynił rzecz, która tam w górze kiedyś policzona mu będzie. A gdzie, pytam się wszystkich, gdzie była większa sposobność czynienia tych owoców miłosierdzia, jeżeli nie w tym grodzie, z którym od zarańia politycznego bytu zrosło się zaraz i naukowe życie, w którym przez wieków tyle i aż dotąd siedlisko było oświaty — „Ogród,“ jak mawiał Starowolski, najzacniejszych Ojczyzny i Kościoła synów.

Nie jedno w życiu mojem zwiedzając miasto, nigdy i nigdzie nie widziałem tyle uczącej się młodzieży i tyle stonsunkowo zakładów naukowych, co w tym kochanym Krakowie. Czy to znak, że tu na kresy, na strażnicę jakoby schroniła się cała przyszłość i nadzieja narodu, która tu się ma nauczyć, jak iść po Bożemu w świecie przez życie całe? Czy to znak, że ona święta tradycja, która przez wieków tyle, tylu wydała mężów miłych Bogu, ojczyźnie i ludziom, ma być od pokolenia do pokolenia czczoną i szanowaną? — czy to znak, że do tej Akademii krakowskiej, do tej żywicieli ducha, niby do ula, do królowej nauk ciągnąć mają obyczajem starym wszystkie dzieci Polski i ztąd czerpać słodycz nauki, światło a ciepło ducha? Czy te wszystkie znaki i inne, których wyliczać niepodobna — dosyć iż to jest faktem dowodami stwierdzonym, że na całym obszarze ziem polskich Kraków zawsze był pierwszym siedliskiem nauk, z Krakowa na północ i wschód rozchodziły się zawsze promienie światła. W Krakowie najprędzej a może jedynie pragnący uczyć się o suchym chleba kawałku, pomoc znaleźli i wsparcie. Kiedyś była to pomoc świetniejsza i większa, bo każdy panicz uczący się tu, każde senatorskie dziecko za obowiązek brało święty mieć za towarzysza ubogiego studenta, żaka jak go zwano, na koscie swoim i chlebie. Kiedyś ofiary hojne szczodrobliwych dobroczyńców, a jałmużna nawet biednych na wyścięgi dawana biednej uczącej się młodzieży, setki żywiła tych, co prócz gorącej żądzy nauki i

wytartego kubraczka nie więcej nie przynosili miastu w ofierze. Tak było dawniej; ale odkąd Majestat królewski nie na szczycie, ale w grobach spoczął Wawelu, odkąd senatorskie krzesła pył i zniszczenie okryły, odkąd głos hetmanów naszych a powaga kanclerzów umilkły na zawsze, to i cała postać rzeczy zmieniała się i zmienić musiała niestety.

Naszych królów berła ludzie źli roznieśli po świecie całym, ale berła tej Almy Akademii Krakowskiej dziś jeszcze dawnym jaśnieją blaskiem, a płaszcz szkarłatny i toga akademicka tradycyjnym jeszcze okryte są urokiem — i oto przyczyna, dla której kto uczyć się chce, z zasobami się często nie licząc, dąży do Krakowa, ufny, iż tu znajdzie pomoc — i nie zawiedzie się, jeśli w istocie zasługuje na to.

Tych kilka wyrazów niech służy za przedślowie do tego, co zamiar mam opowiedzieć o szkole i o uczącej się młodzieży szkolnej od czasów najdawniejszych.

Doświadczeniem wieków i doświadczeniem ludów stwierdzona wielka prawda, że każdy naród takich ma obywateli, jakich wychowa sobie, uwalnia mnie od wszelkich uwag, jakieby tu nasunąć się mogły; winienem natomiast usprawiedliwić się, dlaczego rzecz *ab ovo* zaczynam — od Adama i od stworzenia świata, jak to mówią. — Oto dlatego, by w szczegółach nie utonąć i nie być rozwlekłym w tem, co w ogólnych da się przedstawić zarysach, a z czego i pewna całość się złoży.

Wiek X ery naszej, o którym uczeni mawiają, że tak dla nauk jak i obyczajów *był żelaznym*, jest właśnie wiekiem wprowadzenia do Polski nietylko nauki Bożej, ale i nauki ludzkiej, nietylko światła religii chrześcijańskiej, ale i światła rozumu.

Nie wchodząc w to, jaki to przy ciąglem do upadku dążeniu był stan oświecenia w Europie, ani w to, na jakim stopniu wiedzy żyli protoplaści nasi, osiedli między Bałtykiem a Karpatami, między Odrą a Dnieprem, to na pewno wiedzieć możemy, że pierwociny naszych szkół i nauk zależały głównie na nauce łacińskiego języka.

Cudzoziemcy, których Rzym przysyłał do Polski, czy to w charakterze biskupów, czy misyonarzy dla rozkrzewiania wiary, wielkie swe dzieło nauki Bożej zaczynali od ob-

znajmiania ojców naszych z językiem łacińskim, już to dlatego, że to był język Kościoła powszechnego rzymskiego, już dla tego, że to był jedyny klucz do nauk.

I oto, jeżeli zawierzyć można biografom i kronikarzom naszym, to pierwsi biskupi polscy bądź sami uczyli języka łacińskiego, bądź z własnych dochodów utrzymywali przy swych stolicach nauczycieli, oddanych wyłącznie naukowemu kształceniu młodzieży. Chlubne tego świadectwo zapisane mamy o Angelocie, pierwszym biskupie czy misjonarzu kościoła plockiego z czasów Mieszka I, że w domu swoim gromadził młodzież polską, ucząc ją pilnie łacińskiego języka ¹⁾. Podobne świadectwo znajdujemy o biskupie wrocławskim Urbanie I, jako tenże biskup własnym kosztem utrzymywał uczeni i nauczyciela ²⁾.

Gorliwe usiłowania pierwszych w Polsce biskupów i wysłanników Stolicy Apostolskiej w charakterze misjonarzy, te pocieszające przyniosły owoce, że w ostatnich latach panowania Bolesława Chrobrego możniejsi Polacy do tyła postąpili w języku łacińskim, że przysłany z Rzymu do diecezji plockiej biskup Albin, z wielu Polakami rozmówić się mógł ³⁾.

A jeżeli z Thietmara słów wnosić można, że sam Bolesław pisał list do papieża, to też słusznie z Naruszewiczem przypuścić należy, że nasz waleczny król dobrze umiał po łacinie ⁴⁾.

Ale niewielka byłaby to zaleta dla pierwiastkowych szkół w Polsce, gdyby w niej przedstawano na samej tylko nauce łacińskiego języka. Bo oto o Kazimierzu I, królu polskim, mamy świadectwo, że tenże oddany na nauki w 7 roku wieku swego ⁵⁾, znaczne w nich uczynił postępy, co dowodzi, że już przed Kazimierzem więcej jak łaciny uczono w Polsce ⁶⁾.

¹⁾ Łubieński, *Vitae Episcoporum Plocen.* 23.

²⁾ Naruszewicz, *Hist. Nar. Pol.* II ks. III. Nota 196.

³⁾ Łubieński, *Vitae Episcop. Ploc.* pag. 40.

⁴⁾ Naruszewicz, l. c.

⁵⁾ Długossi *Hist. Pol.* II. 181.

⁶⁾ *Ibidem* 182.

Znakomita musiała być na owe czasy katedralna szkoła gnieźnieńska przy tejże metropolii, skoro z niej już w roku 1027 pierwszy Polak Bossuta na metropolitalną wstępuje stolicę ¹⁾, skoro w niej Stanisław Szczepanowski, późniejszy biskup krakowski, tak dalece się wykształca, że wprost z tej szkoły z pożytkiem słuchać może nauk w sławnej ówczas paryskiej Akademii ²⁾; skoro w niej Otton Ś., biskup bamberski, apostoł Pomorza, kapelan Władysława Hermana, wyuczył się po polsku, a potem sam otworzył szkołę, a w niej za ucznia miał Bogumiła Poraitę, słuchacza potem w szkołach: bamberskiej i paryskiej ³⁾, a następnie arcybiskupa gnieźnieńskiego na ziemi — a naostatek Świętego w niebie.

Musiała też i w Krakowie niepospolita być szkoła, skoro do niej Władysław Herman posyła syna swego Zbigniewa, o czym współczesny kronikarz Gall najwyraźniejsze daje świadectwo ⁴⁾.

Z tej to zapewne przyczyny, że szkoły polskie dostarczały ludzi uczonych i zdolnych do piastowania urzędów duchownych, Bolesław Śmiały wydał prawo, aby po kapitułach nie wybierano odtąd cudzoziemców ani na biskupstwa, ani na prelatury ⁵⁾; jakoż w rzadkich tylko wyjątkach znajdujemy cudzoziemców na tych wysokich godnościach.

Najwymowniejszym jednak dowodem, że od najdawniejszych czasów były u nas szkoły i byli w tych szkołach uczniowie, to poczet niemały od XII już wieku — magistrów i scholastyków jako świadków przy mnogich dokumentach ⁶⁾.

¹⁾ Damalewicz, in *Vita Bossutae*.

²⁾ Długossius, *Vita S. Stanislai*.

³⁾ Rzepnicki, *Vitae Praesulum* I. 50.

⁴⁾ Bielowski, *Monum.* I. 431.

⁵⁾ Naruszewicz, *Hist. Nar. Pol.* ks. III. Nota 196.

⁶⁾ Scholastycy przy katedrach; krakowscy: Aemilius magister r. 1166, *Codex. dipl. Cathed.* pag. 2. Vincentius magister r. 1189, *Ibidem* pag. 8. Benedictus, magister 1206. *Ibidem* pag. 11, 1212 pag. 12. Tenże, *Codex diplomaticus Poloniae Minoris* pag. 15. Venceslaus Scholasticus Gnesnensis, *Codex Majoris Poloniae* 1213 pag. 78. Gumbertus Sandomiriensis ecclesiae Scholasticus, *Codex Minoris Poloniae* pag. 16. Bogufalus Scholasticus Posnaniensis 1217. *Codex Majoris Poloniae* pag. 97.

A jeszcze wymowniejszem to one dawne fundacye benedyktyńskich klasztorów w Polsce, jak w Międzyrzeczu ¹⁾, na Łysej górze ²⁾, Sieciechowie ³⁾, Tyńcu ⁴⁾, Mogilnie ⁵⁾, Płocku ⁶⁾ i kanoników regularnych w Trzemesznie ⁷⁾, nie w innym zakładanych celu tylko, dla szerzenia oświaty po całej Polsce.

W najdawniejszych statutach, odnoszących się do szkoły Trzemeszeńskiej, znajdujemy artykuł zakazujący braciom zakonnym wszelkiej pogawędki z uczniami, tak w oratorium jako i w refektarzu, z czego najwyraźniejszy wyprowadzić można wniosek, że tam już nie tylko szkoła była, ale i konwikt dla uczniów tej szkoły ⁸⁾.

Kiedy w XIII wieku gościnna Polska po wszystkich grodach otworzyła swe bramy na oścież dla cisnących się osadników z nad Elby i Renu, to nie tylko zaszczycą ich niebawem obywatelstwem krajowem, ale by i innym dodać zachęty, obce zaprowadzała prawo wszystkich obowiązujące, i dla nauki dzieci mieszczkańskich obcych sprowadzała nauczycieli.

Od takich to zapewne przewodników chroniąc dzieci polskie, Fulko, arcybiskup gnieźnieński, w r. 1257 na synodzie prowincjonalnym w Łęczycy odbytym, za zgodą sześciu obecnych tam dyecezyalnych biskupów stanowi prawo, aby wszyscy plebani po wszystkich dyecezyach, dla zaszczytu kościołów swoich i na chwałę Pańską, utrzymywali z wola Bożą ustanowione szkoły i aby nie brali do nich nauczycieli Niemców, tylko takich, którzy znają dobrze język polski i łaciński ⁹⁾.

Ten statut Fulkona, następcy jego arcybiskupi gnieźnieńscy; Jakób II h. Swinka na synodzie łęczyckim roku

¹⁾ Profectus est inde rex et usque ad abbaciam quae Mese-
rici dicitur... (22 Września 1005).

²⁾ 1006.

³⁾ 1010.

⁴⁾ 1044.

⁵⁾ 1065.

⁶⁾ 1179. Zaszanowski, II Jus Regni Pol. 885 — kładzie datę fundacyi 1193.

⁷⁾ Łukaszewicz str. 6.

⁸⁾ Tenże str. 7.

⁹⁾ Item statuimus ut omnes ecclesiarum rectores... cum ha-

1285 ¹⁾ i Janisław na synodzie Uniejowskim roku 1326 ²⁾, między najważniejszymi zamieszczają dekrety, to jeszcze dodając, że odtąd najściślej będzie obowiązkiem wszystkich proboszczów, aby co niedziela objaśniali ludowi prawdy wiary w ojcystym ich języku ³⁾.

A kiedy tu wspominam o najdawniejszych postanowieniach synodalnych, dotyczących oświaty narodowej, to niech mi wolno będzie i to jeszcze dodać, że i we wszystkich późniejszych synodach, tak prowincjonalnych jak i diecezjalnych, jeżeli była sposobność lub potrzeba stanowienia jakiegokolwiek prawa dotyczącego szkół lub nauczycieli, ojcowie duchowni zasiadający na synodzie, w najczulszą zawsze brali opiekę wychowanie młodzieży.

Niemalby poczet odnośnych postanowień synodalnych gdyby kto chciał rozpatrzyć gruntownie, a poznać ducha tylu praw chwalebnych, to doszedłby do tego pięknego przekonania, że duchowieństwo polskie od najdawniejszych czasów nietylko ręką w rękę szło z narodem w najwłaśniejszej sprawie, w wychowaniu młodzieży, ale ono samo, podczas kiedy rycerstwo polskie szablę tylko trzymało w dłoni, ono samo trzymało ster oświaty duchowej i duchownej, mądre i pożyteczne stanowiąc prawa i przepisy.

W tych mnogich prawach i postanowieniach zalecano i rozkazywano:

Aby do szkół przy katedrach, kolegiatach i parafiach przyjmowano zdolnych tylko i promowanych nauczycieli ⁴⁾; katolików nie heretyków ⁵⁾;

beant scolas... statutas non ponant Theutonicam gentem ad regendum ipsas nisi sint polonica lingua ad auctores exponendos pueris et latinum polonice informati. Helcel. Ustawodawstwo kościelne pag. 358.

¹⁾ Helcel. Ustawod. pag. 383 § 3.

²⁾ Helcel. Ustawod. pag. 403 § 18.

³⁾ Statuimus eciam, ut omnes presbyteris singulis diebus dominicis intra missarum sollempnia, symbolum et oracionem dominicam, et salutacionem virginis gloriose... loco sermonis exponere populo debeant in polonico. Helcel. Ustawodawstwo 383 § 3.

⁴⁾ Synodus Lancic. 1523 titulus. „Quoniam Ecclesia Dei etc.

⁵⁾ Synodus Vielun. 1420 tit. „Rectores parochialium Eccle-

Aby scholastycy i archidyakonowie katedralni pilnie wglądali w wykłady nauk ¹⁾;

Aby opaci klasztorni wysyłali na akademią uzdolnioną a ubogą młodzież, własnym kosztem utrzymując ją ²⁾;

Aby prałaci po kapitułach młodzież mającą ochotę do nauk, swojemi wspierali funduszami ³⁾;

Aby biskupi na szkoły dyecezyi swej, odpowiednie wyznaczali fundusze ⁴⁾;

Aby opaci zakonni i prałaci katedralni pilnie wglądali, iżby żaden fundusz szkolny utracony i zniweczony nie został i aby wszelkie zapisy, poczynione na akademie, dochodziły przeznaczenia swego ⁵⁾;

Aby nie dawano beneficjów jak tylko tym, którzyby dwa przynajmniej lata uczyli się w głównych szkołach i odpowiednie z tychże szkół mieli zaświadczenie ⁶⁾.

Duch i treść tych wszystkich chwalebnych i innych jeszcze przelicznych postanowień, o których nie miejsce tu wspominać, te były a nie inne, by narodowa szerzyła się oświata, by ubogim, nie mającym sposobności do korzystania z nauk, podawać rękę a pomoc hojną i wsparcie; by co najważniejsza, ten drogi skarb narodowy, język ojczysty przechować i zachować od zatracenia. A nie była to płonna obawa. Osadnicy bowiem niemieccy, od XIII wieku zacząwszy, tak szlachetnie wywdzięczali się Polsce za dany im przytułek, że po wszystkich miastach i miasteczkach cała magistratura i sądownictwo i wszystkie niemal akta w niemieckim były prowadzone języku — a biskupi polscy, gdyby się byli nie opatrzyli na czasie, to całe wychowanie niemieckiemby było.

siarum etc. Synodus Petricov. 1542 Constit. Synod. Provin. lib. IV, tit. de Scholis.

¹⁾ Synodus Petric. 1542 tit. „Quia vero viam omnis virtutis etc.

²⁾ Synodus Petric. 1542, 1577, 1607 tit. de Scholis.

³⁾ Synodus Petricov. 1554. Varsaviensis 1561. Petricoviensis 1577 et 1589.

⁴⁾ Synodus Petric. 1542 tit. pro reformanda Uuniversitate etc.

⁵⁾ Synodus Lanciniensis 1523. Petricoviensis 1577, 1607 et 1621.

⁶⁾ In Synodo Lancinien. prima et secuuda. Constit. Lib. III 149.

Dowodów na to nie stawiam, bo niemi zapełnione są archiwa całe.

Czego uczono po wszystkich tych szkołach i szkółkach po całej Polsce szerzących się, jacy to byli uczniowie, a jacy nauczyciele? w których latach powstawały szkoły i szkółki, i w których miejscowościach różnych dzielnic Polski najbardziej szerzyła się oświata, byłoby za długo tu mówić o tem — tem więcej, że tak zupełnie pewnych na to danych nie mamy. Po szkołach katedralnych czytano Pismo Ś. i Ojców Kościoła, po parafiach uczono czytać, pisać, uczono katechizmu, języka łacińskiego i polskiego. Nauka pisania zwłaszcza, od XIII wieku zaczawszy, do wysokiego doszła stopnia doskonałości. Dowodem mnogie rękopisma, a zwłaszcza modlitewniki, niekiedy bardzo ozdobnie i wykwintnie i nadzwyczaj starannie pisane po klasztorach polskich; dowodem wielki szereg przywilejów i dokumentów pargaminowych paradnie pod względem kaligraficznym, a i wcale dobrze pod względem językowym pisanych.

Ale ta cała oświata aż po wiek XIV w jednym tylko przeważnie żyła stanie, to jest w duchownym. Stan rycerski i szlachta, ogólnie mówiąc, nie wiele troszczyli się o to, aby coś więcej umieć nad rycerskie rzemiosło. Ztąd młodzież polska, od XII zaczawszy stulecia, wyższych pragnąca nauk, po zagranicznych kończyła je szkołach. Już wspomniałem, że Stanisław Ś. ukończywszy szkołę w Gnieźnie, w Paryżu dalej kształcił się ¹⁾. Ś. Jacek był w Akademii bonońskiej i tam został doktorem prawa ²⁾. Ś. Czesław kończył nauki w Bononii i Paryżu ³⁾. Toż Wincenty Kadłubek i biskup późniejszy krakowski Iwon h. Odrowąż w Paryżu słuchali nauk teologicznych ⁴⁾. Mateusz h. Cholewa dla wydoskonalenia się w naukach, zwiedził Akademię włoską ⁵⁾. Mikołaj, archidyakon krakowski, był w Szkole Padewskiej ⁶⁾. Marcin Polak, sławny autor *Kroniki świata*, w Bononii wy-

¹⁾ Długosz, Vita S. Stanislai.

²⁾ Bzowski, Taumturgus Polonus pag. 10.

³⁾ Bzowski, Tutelariss Silesiae pag. 7.

⁴⁾ Łukaszewicz, Hist. Szkół I 31.

⁵⁾ Tenże tamże.

⁶⁾ Tenże tamże.

kształcił się we wszystkich gałęziach nauk. Tą kroniką w XIII pisaną wieku, tak rozślawił swe imię, że nie ma biblioteki znaczniejszej w Europie całej, by choć jednego nie miała odpisu tego sławnego na owe czasy dzieła — a żaden z biografów nie pokusił się o spisanie nie tylko wszystkich rękopiśmiennych kodexów, ale wydał nawet tej kroniki — tyle ich jest!

Jarosław ze Skotnik h. Bogorya, arcybiskup gnieźnieński, uczniem i rektorem był Akademii bonońskiej ¹⁾.

Poczet ten młodzieży kształcącej się w zagranicznych szkołach, do XIV tylko sięga wieku, a niewątpliwym jest dowodem, jak już w tak odległej epoce ojcowie nasi dbali o oświatę swych dzieci.

Doszedłszy z kolei do tej świetnej epoki, w której mówić mam o Uniwersytecie krakowskim, przyznam się, że czy wiele czy mało tu powiem, czynię to nie bez obawy pewnej; z jednej bowiem strony stawą mi tradycya wiekami uświęconą, a ztąd znana Polsce całej — stawą poczet niemały mężów najwyższych, naukowych powag, od Długosza począwszy aż do historyografów czasów dzisiejszych, szczęśliwie kreślących początek tej skarbnicy nauk — i znowu niefortunnie bałamucących najczystsą prawdę i najpiękniejszą sprawę jej. Z drugiej strony stają najjaśniejsze źródła, autentyczne pergaminy, z których niby z krynicy czystej, płynie historia założenia uniwersytetu, a z której jedynie wypada czerpać każdemu, kto pragnie rozwiązać panujące w tej mierze wątpliwości lub pragnie nieusuwający się grunt znaleźć dla swych orzeczeń.

Na polemikę nie miejsce tu, na osłabienie drogich tradycyj nie me siły potemu, na obalenie powag naukowych, oczyszczenie zamaćonych źródeł, pono za wielką byłaby zuchwałość. Rzekłszy jednakże *A* trzeba będzie i *B* powiedzieć. Najpowszechniejsze ze wszystkich podań tak ustne jak i pismienne w nieprzeliczonych zamieszczonych dziełach pokutuje aż dotąd, że Kazimierz W. we wsi Bawół na dzisiejszem przedmieściu Krakowa, Kazimierzu, założył i otworzył ten pierwszy a najwyższy umiejętności przybytek.

¹⁾ Tenże tamże.

Co do daty założenia krakowskiego uniwersytetu, to aczkolwiek za ten piękny a pogodny dzionek, w którym weszło i zajaśniało słońce oświaty, dzień zesłania Ducha św. 12 maja 1364 za dzień stanowczy a pewny przyjąć należy, po mnogich dziełach a rozprawach w przedmiocie tym z najróżnorodniejszymi spotykamy się, a u nie jednego pisarza nawet z sprzecznymi z sobą latami ¹⁾. Już uczony Muczkowski na tę wielką niezgodność historyografów naszych zwrócił uwagę, i od roku 1343 do 1401 ośm różnych przytoczył dat, odnoszących się do początku tej najwyższej w narodzie szkoły; do żadnej stanowczo nie przychyłając się daty ²⁾. Bartoszewicz dalej jeszcze idzie w tej mierze, i pisząc o początkach uniwersytetu tak się wyraża: „same niepewne doszły do nas wiadomości, nie można nawet stanowczo oznaczyć roku w którym stanął,“ a nieco dalej twierdzi że aż 13 istnieje dat założenia uniwersytetu ³⁾.

A jeśli w tych dwóch najważniejszych szczegółach dotyczących się miejsca i czasu tyle się znachodzi niezgodności wymagających krytycznych badań, cóż dopiero powiedzieć o tylu innych ważnych momentach tak ściśle związanych z założeniem tej matki szkół wszystkich.

Czy w tej walnej sprawie odważę ja się tu stawić coś przekonywającego i stanowczego — nie mnie sądzić o tem — tego jednakże spodziewać się mogę, że przyjdzie czas niebawem, w którym to co było ciemnem rozjaśni się, co zamkniętem rozwiąże się, co bałamuctwem oczyści należycie, a to dla potrzeby, pożytku a chwały narodu.

Żyjemy bowiem, dostojni słuchacze, i to nie oddawna w tych pożytecznych latach, w których na onym wiel-

¹⁾ Nakielski Miechovia str. 285 rok 1362. Radymiński, conf. Brandowski str. 162 rok 1338, 1347. W metryce promocyi pod r. 1762 Muczkowski Statut str. 416 rok 1343. Sołtykowiec: O stanie Akademii str. 5, 97, 99 rok 1347, 1360. Ossoliński II 339 1338 1347. Wiszniewski, II 241, roku 1364, a w tomie IV str. 225, że grasujące powietrze rozpedziło akademików roku 1360.

²⁾ Wiadomość o założeniu Uniwersytetu str. 1 przytacza lata 1343, 1344, 1347, 1361, 1362, 1364, 1400, i 1401.

³⁾ Brand. 164.

kim cmentarzu mieszczącym pogrobowe opisy ducha nieboszczyków, objawione w cnych lub niecnych czynach, ogrzebujemy z pyłu niepamięci i rozpatrujemy krytycznie czasy minione, opierając się na pewnych tylko danych. Żyjemy w tych pięknych dniach, w których na każdy czyn i historyczne zdarzenie, o dokumenta pytamy i idziemy do źródła „ad fontem.“ To też coraz wspanialej, krytyczniej, i obficie ukazują się światu mnogie nie znane dotąd dokumenta, jako fundamentalne kamienie a niespożyty materiał do budowy gmachu, co się historią nazywa.

Takie cztery węgielne kamienie, na których wzniesiony jest gmach krakowskiego uniwersytetu, to są cztery dyplomata pergaminowe, cztery autentyczne oryginalne dokumenta.

Dyplom erekcyjny króla Kazimierza z dnia 12 maja 1364, na mocy którego powagą majestatu erygowany został uniwersytet krakowski ¹⁾. Z tego samego dnia submissya magistratu krakowskiego, to jest zaręczenie rajców, ławników i przysiężnych miejskich, jako z powolną uległością przyjmują dobrotliwe i najzbawienniejsze królewskiego zamiaru postanowienia, i zobowiązanie się, że nadanych uniwersytetowi swobód przestrzegać i bronić nie omieszkają ²⁾.

Bulla Urbana V datowana w Awinionie dnia 1 września 1364 r. zatwierdzająca powagą stolicy apostolskiej nietylko przywilej przez króla uniwersytetowi wystawiony, ale i onę submisję przytoczoną wyżej, daną przez magistrat krakowski ³⁾.

Nakoniec breve papieskie w formie listu przez tegoż papieża do króla Kazimierza w dni 13 później, to jest 13 września 1364 roku wysłane ⁴⁾. Te 4 dokumenta, te 4 węgielne jak je nazwałem kamienie, odnoszące się do samego początku uniwersytetu krakowskiego, tak wymownie rozstrzygają wątpliwości wszelkie, iż wyjść nie można z podziwienia dla czego ci wszyscy mężowie, co pisali o początku uniwersytetu krakowskiego a znali dokumenta te, lub znać

¹⁾ Codex diplomaticus Universitatis pars I pag. 1.

²⁾ Tamże pag. 4.

³⁾ Tamże pag. 6.

⁴⁾ Tamże pag. 8.

je byli powinni, dla czego takie zamieszanie, takie niepewności i bałamuctwa takie wprowadzili do tak ważnej rzeczy.

Komentować te dokumenta byłoby tu za długo, i to nie ustna robota; treściwie jednakże poznać, i to co najważniejsze zrozumieć z nich, aby wyjść z tego labiryntu niepewności i bałamuctw, nie śmiem powiedzieć fałszów, będzie krótkim zadaniem mojem. Wprawdzie filozofowie mawiają: *dum brevis volo obscurus fio*, im krótszym być pragnę tym ciemniejszym jestem, ja jednak starać się będę i o krótkość, i o jasność możliwą.

Magistrat krakowski w zaręczeniu swoim, że nadanych Uniwersytetowi przez monarchę swobód i przywilejów bronić a przestrzegać będzie, on dyplom erekcyjny Kazimierza przytaczając w znacznych ustępach dosłownie, w rzeczoney, submisyi jak najwyraźniej mówi, że król Jegomość eryguje ten uniwersytet za zezwoleniem stolicy apostolskiej: „*Ex voluntate divina et benigna largitione Sanctissimi in Christo Patris et Domini Nostri Domini Urbani Papae V.*“ Submissya ona datowana jest dnia 12 maja 1364. Pozwolenie zatem papieskie na erygowanie uniwersytetu w Krakowie, o którym wiedział magistrat skoro o nim tak wyraźnie mówi a którego my nie znamy niestety! musiało być wcześniejsze od onej daty. A więc rzecz się tak miała:

Wielki prawdziwie król nasz Kazimierz, nadawszy narodowi prawo powszechne w Wiślicy 1347 roku, gdy w lat 10 potem zaprowadził sądy miejskie w Krakowie i uwolnił tym sposobem stolicę państwa od zebrania wymiaru sprawiedliwości u obcych, powziął myśl uwolnienia narodu od drugiej zebranyiny nauki po obcych ziemiach, inaczej mówiąc, powziął myśl założenia uniwersytetu w stolicy państwa. Wiedząc jednakże, że już od wieku XIII żaden uniwersytet nie mógł się obejść bez potwierdzenia stolicy Apostolskiej, po roku 1362 wyprawia poselstwo do Awinionu dla uzyskania sankcyi papieskiej na zamierzone dzieło. Że to istotnie musiało mieć miejsce, przed samym dyplomem erekcyjnym z roku 1364, poucza nas submisya krakowskiego magistratu, tego samego dnia co dyplom erekcyjny datowana, z wyraźną wzmianką o pozwoleniu owem.

A kiedy potem ten wiekopomny Akt założenia Uniwersytetu z prawdziwem spisano namaszczeniem, określając jasno czem ma być, to użyto takich pięknych słów i wyrażeń że niepodobna, choć one znane, nie przytoczyć ich tu: Oto ta najpierwsza szkoła „ma być nauk przemożnych perłą, wydającą ludzi dojrzałością rady znamienitych, ozdobą cnót świetnych i w rozlicznych umiejętnościach biegłych, wylewnem źródłem, z którego pełności mogliby korzystać wszyscy, którzy pragną się napoić naukami ¹⁾.”

Dalej w tymże samym czytamy dyplomie że król w założonym przez się uniwersytecie użycza gościnne przyjęcie nie tylko swoim i sąsiednich monarchów poddanym, ale nadto czyni go przystępnym dla łaknących nauki z całego świata, przez co niezaprzeczone nadaje piętno instytucji swojej powszechnego studyum czyli Uniwersytetu. Z rozczulającą ojcowską opieką którą technie akt królewski, spotykamy się i w drugim akcie tego samego dnia wydanym przez magistrat krakowski i Radnych miasta, obowiązujących się bronić i przestrzegać nadanych praw, swobód i przywilejów. Z temi dwoma prześlicznymi aktami król wyprawia znaczne posły do Awinionu, którzy w dniu 1 września 1364 otrzymawszy zatwierdzenie papieskie z bułą Głowy Kościoła dążą do ojczyzny. Bułą tą potwierdza Urban V wszystko co się mieściło w erekcyjnym dyplomie królewskim, jeden tylko unieważnia ustęp, nominacją kanclerza koronnego kan-

¹⁾ Sitque ibi scientiarum praevalentium margarita, ut viros producat consilii maturitate conspicuos, virtutum ornatibus redimitos ac diversarum facultatum eruditos; fiatque ibi fons doctrinarum irriguus, de cuius plenitudine hauriant universi literalibus cupientes imbui documentis.

Słowa z dyplomu Kazimierza W. z 1364 r.

.... Sitque ibi scientiarum praevalentium margarita, ut viros producat consilii maturitate conspicuos, virtutum ornatibus redimitos ac diversarum facultatum *doctrinis* eruditos; fiatque ibi fons doctrinarum irriguus, de cuius plenitudine hauriant universi literalibus cupientes imbui documentis.

Słowa z dyplomu Władysława Jagiełły z roku 1400 powtórzone z dyplomu Kazimierza Wiel. z dodaniem jednego wyrazu „*doctrinis*.”

clerzem uniwersyteckim ¹⁾, w miejsce którego mianuje papież raz na zawsze biskupa krakowskiego ²⁾. W dwa tygodnie potem tę zmianę chcąc złagodzić pisze papież osobne breve w formie listu do króla, w którym wyraźnie oświadcza, że niechce bynajmniej ograniczać woli królewskiej, ale przy tem obstawać musi, aby w imieniu papieskiem biskup krakowski, a nie kanclerz koronny czuwał nad promocyami akademickimi ³⁾. Pochwała dalej wybór Krakowa na miasto uniwersyteckie ⁴⁾, chwali magistrat krakowski za submissyą uczynioną wedle woli królewskiej, porównywa obdarzonych stopniami naukowemi w uniwersytecie krakowskim, z zaszczyconymi temiż stopniami w innych uniwersytetach, nadaje im prawo wykładania po wszystkich i najwyższych szkołach w całej Europie, prosi nakoniec króla, aby nie tylko dotrzymał prerogatyw danych uniwersytetowi, ale nadto by pomnażał je gdyby tego okazała się potrzeba. Kiedy tak była jak i breve papieskie tylko co wzmiankowane nadeszły do rąk królewskich, a mogło to być w końcu września lub początku października roku 1364, nastąpiło niewątpliwie i to niebawem uroczyste otworenie uniwersytetu. Którego to dnia było? i w jakim gmachu czy domu, niewiadomo; to tylko na pewne twierdzić można, że nie na Bawole, gdzie król od kilku lat wznosił mury do przyszłego gmachu uniwersyteckiego, bo o tem i mowy najmniejszej nie ma w żadnym z przytoczonych dokumentów, tem więcej że budowla ta

1) Statuimus etam et quotiescumque aliquos scolores in qualibet facultate per doctores seu magistros ad privatum examen more consueto posci contingerit, super illos Cancellarius noster Cracoviensis, qui pro tempore fuerit, tamquam supremus, approbandi huiusmodi examen omnimodam habet potestatem. — Z dyplomu Kazimierza W.

2) Episcopo Cracoviensi, qui pro tempore fuerit, vel Ecclesia Cracoviensi pastore carente, Vicario seu Officiali dilectorum filiorum Capituli ipsius ecclesiae presententur. Z bulli Urbana V.

3) Breve Urbana V. dnia 13 września. Codex dipl. Univ. par. I. p. 9.

4) civitatem tuam Cracoviensem tanquam insigniorem allis dicti regni et magis accomodam et idoneam..... Breve Urbana V. Cod. p. 8.

ukończoną nie była. Nie na Kazimierzu, bo to było oddzielne od Krakowa miasto z swoją własną magistraturą swemi rządzące się prawami, jakie mu nadał Kazimierz W. osobnym dyplomem w roku 1335 ¹⁾, i któreby na to było nigdy niezgodziło się, aby krakowski magistrat w jego atrybucye się wdzierał.

W samem więc mieście Krakowie otworzono ten nauk przybytek, o czem najwyraźniej przekonywają nas: dyplom królewski, submisya magistratu i oba pisma papieskie, jako w samem mieście Krakowie i to w roku 1364 erygowany był uniwersytet krakowski.

Co się tyczy Bawołu przedtem wsi na której według mnogich źródeł Kazimierz W. r. 1361 zaczął wznosić budo-
wle na przyszyły gmach uniwersytecki, to i ta rzecz z prawdą czystą pogodzić się da. Kazimierz na gruntach wsi *Bamwół*, jak ją zowią dokumenta, zamierzył wystawić gmach, na uniwersytet przeznaczając go i o tem jako i o innych planach swoich musiał uwiadomić papieża, ale na to smac kurya papieska nie przystała, papież bowiem zawsze o to dbali, aby taka szkoła w narodzie każdym, w najpierwszem stawała mieście, a nie w jakiejś tam lichej mieścinie. I oto przyczyna nie małej powagi, dla której Kazimierz rozpoczętych na Kazimierzu nie kończy budowli, ale w mieście samym Krakowie, osobne wynajmuje domy na *auditoria* i *lektorya*, zobowiązując właścicieli onych do niepodwyższania ustanowionego czynszu. O czem najwyraźniej jest mowa w samym erekcyjnym dyplomie ²⁾.

Jakie to były domy, w których otworzono owe *auditoria* i *lectoria* o których mówi dokumet królewski, nie wiemy, może jednak krótkie słowo o bursach na jakie naprowadzi nas ślady. Bursy po dzisiejszemu mówiąc konwikta i pensjonaty, w których pomieszczenie znajdowali słuchacze uniwersyteccy, nietylko bogaci to jest ci którzy mieli bur-
sę, czyli worek skórzany, trzos, dobrze ładowny pieniędzmi,

¹⁾ Muczkowski Wiadomość o Uniw. str. 51.

²⁾ Kto o założeniu uniwersytetu wielu rzeczy nauczyć się pragnie, temu jako najgruntowniejszy zalecić mi wolno matoryał, rozprawę Profesora Brandowskiego.

nietylko ubodzy, co służbą u profesorów, lub majątniejszych kolegów, dawaniem lekcyj, przepisywaniem manuskryptów, śpiewem po kościołach, mozolnie a godziwie zarabiali na utrzymanie się, ale i wyłącznie biedni z jałmużny tylko żyjący, zbierając ją po majątniejszych domach, a i po kościołach nawet, idąc tuż za dzwonkiem z ubogą torebką swoją. Takie bursy, mówię, takie gmachy dla młodzieży uczącej się przeznaczone, przez długie czasy pomnikami były szczęśliwszej dla nauk przeszłości. Przybytki te i przytulki zniszczone dziś zębem czasu, lub nieszczęsnymi przygody, gruzami swemi zasmucające dają świadectwo o tej powszechnej obojętności ku temu co samo tylko ród ludzki uszczęśliwić i uzacnić jest zdolne!

Z dwunastu dawnych burs uniwersyteckich, tylokrotnie opisanych przez uczonych historyografów Akademii krakowskiej, jedna tylko była, co nosiła nazwisko — Bursa majątnych *Bursa divitium*. Trzy inne *Czeską*, *Węgierską* i *Niemiecką*, odpowiedniami zaopatrzwszy dochodami, przeznaczono dla cudzoziemców przybywających na nauki do Krakowa. A ośm pozostałych dawały przytułek ubogiej młodzieży uniwersyteckiej, tak z szczuplejszemi przybywającą do Krakowa funduszami jak i ubogiej całkiem pragnącej zaczerpnąć wiedzy z tej studni a skarbnicy mądrości narodowej.

Gdy więc cyfry same najwyraźniej mówią o tych owocach miłosierdzia okazywanych tym, co do nauki garnęli się, wszelkie szczegółowe rozwodzenie się nad tem, zbyt cennem byłoby. Ale jeszcze jedną stawię cyfrę, bardzo wymowną: Oto majątek, jaki niegdyś posiadał Uniwersytet krakowski — 15 milionów złotych polskich bez mała (14,763,529 gr. 12) w dobrach ziemskich, budowlach, realnościach, kapitałach i funduszach na bursy i stypendya. Od Kazimierza W. zacząwszy, na te miliony, uposażające Uniwersytet krakowski, składali się wspaniałomyślni królowie polscy, szczodroblivi biskupi i kanclerze tej Akademii krakowskiej, zacni panowie i dostojnicy w hierarchii kościelnej a między tymi, co najwięcej przyczynili się do zwiększenia majątku uniwersyteckiego, to byli przeważnie sami akademicy, którzy swej

matce żywicielce za odbierany tu pokarm duchowy wszystkim nieraz oszczędzony grosz dawali i zapisywali testamentem, przekazując go Akademii dla dobra nauki i dla pożytku uczącej się młodzieży.

O! wszystkie te imiona wdzięczna pamięć narodu chwałą okrywać powinna! Bo i ktoż zapomnieć może ojca i twórcę Uniwersytetu krakowskiego — Wielkiego Kazimierza — kto wskrzesiciela tego Uniwersytetu Władysława Jagiełłę lub szczerobliwych dobroczyńców; one święte niewiasty: Jadwigę i Annę Jagiellonkę; one zacne króle: Kazimierza Jagiellończyka, Zygmunta, Batorego; — kto nie wyrzył w pamięci takich biskupów, jak: Oleśnicki, Tylicki, Noskowski, Zadzik, obu Maciejowskich i Załuskich! A oni wielcy fundatorowie burs, oni wdzięczni akademicy, co tak hojne czynili zapisy, przeważnie dla ubogich studentów, na wspomnienie uczącej się młodzieży, jakież to piękne dali świadectwo o sobie nie tylko za życia ale i po za grobem.

Sołtykowicz w szacownem swem dziele *O stanie Akademii krakowskiej* podał wykaz zapisów, poczynionych przez samych tylko profesorów Akademii krakowskiej na wsparcie uczącej się ubogiej młodzieży, i wyliczył, że od roku 1403 do 1755 dobroczyńców tych było 80! a sumy zapisane przez nich wynosiły ogółem 1,225,000 złotych! Sumy te doliczając do fundacyjnych sum na bursy przeznaczonych, jasne możemy mieć pojęcie, ile to ubogiej młodzieży nie tylko darmo odbierało naukę od tej matki żywicielki, ale i zasiłek i byt i utrzymanie i pokarm jako dla ducha, tak i dla ciała!

Gdzie się to wszystko podziało? gdzie znikło na zawsze, zapuścimy zasłonę, bo nie mnie dochodzić tych strat, pono niepowetowanych już nigdy.

Kto na tem stracił? to to ubóstwo, pragnące być bogate w wiedzę i naukę i przynieść wiedzę i naukę pociechę a pożytek miłej ojczyźnie swej.

Otóż ci, którym los pod względem dobrego mienia nieprzyjawnym się okazał, w bursach dla ubogich przeznaczonych znajdowali to wszystko, co ich potem na ludzi wyprowadzało.

Tych burs już fundacye same i początki interesujące są i ciekawe wielce, a cóż dopiero mówić o ich wzroście i powiększaniu przez tych przedewszystkiem, którzy z tych burs wychodzili na ludzi wielkich a zacnych w narodzie. Któż bowiem nie wie, ile to z ubogich żaków krakowskiego Uniwersytetu zajaśniało potem na najwyższych godnościach w Rzeczypospolitej.

W fundacyach tych burs rozpatrując się, czołem uderzam przed taką bursą Isnera, Bursą ubogich, a potem nazwaną Bursą królewsko-jagiellońską, bo onę to zacny kapłan Mikołaj Isner fundował już w roku 1409, zasłużony w ojczyźnie a wielki w pamięci mąż Jan Długosz powiększył i rozprzestrzenił, a zacna Anna Jagiellonka pomnożyła dochody jej. Fundusze tej bursy do roku 1734 poczynione, gdyby były w całości dochowane i rzetelnie opłacane, to nie licząc gmachu samego, byłyby przynosiły rocznego dochodu przeszło 12,000 złp. ¹⁾ I to nie dziś, ale przed stu laty jeszcze. Ile z tak pięknego dochodu utrzymałby się mogło biednej młodzieży — łatwo policzyć! Albo kto nie schyli głowy przed taką bursą Jeruzalem, fundacyi Zbigniewa Oleśnickiego, kardynała i biskupa krakowskiego, wystawioną i uposażoną na stu uczniów Akademii krakowskiej r. 1454, zwiększoną hojnemi zapisami Jakóba Zadzika, biskupa krakowskiego, Jana Zamojskiego, arcybiskupa lwowskiego i niemałemi ofiarami wdzięcznych profesorów Uniwersytetu, którzy tu kiedyś w tej bursie byt i utrzymanie mieli.

I tak każda z tych burs, a nawet fundusz każdy ma swój początek, świetny byt, smutne swe potem dzieje i upadek — inne pomijając, dosyć wspomnieć ów znany fundusz *Borkarne*, zwany od imienia założyciela swego Stanisława Borka, dziekana krakowskiego; w swych świetnych czasach fundusz ten wzrósł do sumy 81,650 złp. ²⁾ Po redukcji dochodów z funduszu edukacyjnego już tylko zeń wypłacono na kapitał 25,000 — a jakim dziś jest, tego już nie dochodziłem.

¹⁾ Sołtykiewicz str. 542.

²⁾ Sołtykiewicz 541.

Wspomniałem, że wszystkie bursy i wszystkie fundusze mają swe dzieje i dotrzeć można do ich początku a źródła, jednej tylko bursy, Philosophorum zwanej, inaczej Noskowskiego, początek, ginie gdzieś w pomroce wieków. Wszyscy co pisali o niej, znają historią jej od tego czasu dopiero, odkąd biskup płocki Jędrzej Noskowski roku 1558 bursę tę bliskim grożącą upadkiem odnowił, przez zakupienie przyległej kamienicy rozprzestrzenił i dochodami na utrzymanie 20 uczniów, wraz z seniorem i czeladzią zaopatrzył; a nadto pozwoili, żeby i innych 20 miało tu wolne mieszkanie, na co wydał z górą 100,000 złp. Dochody tej bursy zwiększył Stanisław Łubieński, także biskup płocki, o 10,000 ówczesnych złotych i Regina Srzeniawska, która w roku 1749 lokowała na Słemieniu 12,000 tynfów. Bursa ta wzniesiona była obok bursy Oleśnickiego Jeruzalem i kiedy ta w nieszczęsnym pożarze roku 1841 spłonęła, to i bursa Filozofów niedługo w gruzy się rozpadła, a ludzie dopomogli do jej rozebrania.

Otoż nasuwa się pytanie, czy ta bursa Philosophorum, której początek i fundacya pierwotna niewiadoma, nie była czasem jednym z tych domów, w którym przy erekcyi Uniwersytetu za Kazimierza W. otworzono *auditoria* i *lectoria*, o których tak wyraźnie mówi dokument. Za tą kolebką Uniwersytetu śledzić i dojść do pewnych już danych, jakżeby to pożądaną było rzeczą. Może się to uda, a ja szczęśliwy będę, iż dzwonnikiem byłem na to kazanie.

Na tem kończę to czytanie moje — zadawalniające ono być nie może, bo i ja sam czuję niedostatki wielkie. Z mnogiego materiału wybrać to, co najważniejsza i treściwym pozostać a utrzymać się do końca łatwem nie było. Nie wspomniałem tu onych gwiazd tej *Almae matris*, które dotąd świecą na zachmurzonym niebie naszym — onych świętych rodaków naszych, co w tej Akademii krakowskiej spędzili młode lata swoje, a dziś w niebie orędują za nami do Boga — Szymona z Lipnicy, Izajasza Bonera, Stanisława Kazimierczyka, Władysława z Gielniowa, Rafała z Proszowic, Szymona z Halicza, a nad tych wszystkich Ś. Jana Kantego, ucznia i profesora niegdyś, a dziś opiekuna Uniwersytetu i patrona uczącej się młodzieży.

Nie wspomniałem o tym jednym uczniu, który w dziejach oświaty miejsce i sławę w dalekie zachowa wieki, którego chwała z chwałą Jagiellońskiej szkoły tak idą w parze, że dopóki to słońce przyświecać będzie ziemi, imię Kopernika i krakowskiej Akademii żyć nie przestaną.

Nie wspomniałem tych pięknych tradycji o krakowskich szkołach i o biednych uczniach, co z garnuszkami chodząc, żebrząc o pożywienie, dochodzili do infuł i do rektorskiej togi. Na to wszystko czasu już nie staje — a i tak obawiam się, że nadużyłem cierpliwości i dobroci waszej.

Kończąc to czytanie moje, pozwałam sobie jednak powtórzyć legendę, opowiedzianą ustami narodowego piewcy (Wincentego Pola), przed dziesięciu laty, w tej samej właśnie sali:

Odwiedzał Kanty chore i strapione,
Obdzielał głodne, nagie przyodziewał,
Leczył cierpiące, cieszył obciążone,
A razem z dziatwą święte pieśni śpiewał.

Ledwo że ranek ziemię uweseli,
A rząd garnuszków stoi tuż przy celi;
Boć to Jan Kanty był spiżarnią żaczków
I żywicielem tych szkolnych robaczków,
I mawiał ciesząc: „Chłopczykowie moi
„Znajcie, że świat ten na sierotach stoi;
„Pacierz i szkoła, a matka podeprze,
„I wyjdzie jeszcze chudzina na lepsze.“

Lecz przyszły lata ciężkie dla narodu,
Bo niedoboru, przednowku i głodu...
I nędza w niskie zawitała progi...
I co z rządności było lub zapasu,
Wszystko to zabrał żaczek lub ubogi.
I począł Kanty trapić się od czasu,
Bo już i żaczków nie było czem dzielić,
A cóż dopiero rzeszę uweselić?

Raz gdy garnuszek próżny w rękę trzymał,
Osłabł i usiadł, i w końcu zadrzymał;
Tak się zatrapiał nędzą biednych ludzi. —
Coś mu się marzy, niby go ktoś budzi,
I sam nie wiedział, czy to sen? czy jawa?
Lecz głos anielski taką radę dawa:

„Tackę małą weź od Świętej Anny
 „I proś na światło do Najświętszej Panny
 „Pierwszego człeka, co spotkasz w ulicy;
 „A będzie światło dla Bogarodzicy.
 „A potem pójdziesz, kędy w Krzyżu siedzą
 „Za straganami pobożne mączarki,
 „I po pieniążku dodasz za ich wiedzę
 „Do każdej lampki, do każdej ofiarki;
 „I będziesz prosił, aby z dobrej woli
 „Każda z nich dała i po szczypcie kaszy,
 „Po ziarnku grochu i po grudce soli,
 „I na ofiarę dasz to Pani naszej;
 „A Ona dar ten w swej łasce rozmnoży,
 „I pójdzie tobie a i biednym sporzej.“

Ocknął się Kanty i za tem natchnieniem
 Puścił się z tacką po ulicy cieniem;
 Aż znany kupiec Doktora powita,
 Więc i o drogę i tackę zapyta.
 Kanty powiada, że na światło zbiera
 Do Matki Boskiej, co nędzę podpira.
 „Właśniem szedł za tem, i dziwnie się składa.“
 — Uradowany kupiec mu powiada —
 „Flisacy moi wrócili od morza,
 „I targ był dobry i Bóg strzegł przygody;
 „To gdy nademną taka łaska Boża,
 „Przyjmcie ofiarę, co wyrwana z wody,
 „Gdy Matka Boska i Święta Barbara
 „O nas niegodnych tak się wiernie stara.“

Więc i na światło dał naprzód trzy sztuki,
 A potem jeszcze znacznie dodał więcej,
 Jakto mawiano: „*na żaki i druki*;“
 I podziękował Kanty najgoręcej,
 I było z czego dodać do ofiarek,
 Kiedy już w Krzyżu stanął u mączarek.
 Tu wiernej rzeszy otoczony kołem
 Zmówił litanią z niewiastami społem
 I błogosławił, a potem po trochu
 Prosił to soli, to kaszy, to grochu.

Więc było wielkie niewiast zadziwienie,
 Że Doktor święty, co w tak wielkiej cenie
 Jest w całym mieście, po jałmużnie chodzi!
 I płacząc rzekły niewiasty troskliwie:
 „Po szczypcie dawać, to coś nieżyczliwie,

„To dla nas krzywda i to się nie godzi.“
Lecz Kanty biorąc po szczypcie, dziękował
I razem wszystko złożył w małej czarze.
„Stragany chlebne to Boże ołtarze“
Mówił, i słowa bardzo umiłował.

Ale gdy odszedł, niewiasty w też ściegi
Za sługą Bożym poszły na przespiegi;
Bo rozżalone powtarzały sobie:
„Znać służba padła na nas już w tej dobie
„I Bóg widocznie na próbę nas stawia,
„Gdy jałmużnika takiego wyprawia!“
Więc się puściły... i patrzą, co czyni.
A Kanty prosto poszedł do kapliczki
I w koło czarki pozapalał świeczki,
A potem ukląkł i rzekł: „Gospodyni
„Szafarni Bożej! bierz od nas niegodnych,
„A chleb i łaskę rozmnoż dla swych głodnych,“

Jakoż nie brakło już od tego czasu
Chleba, ni soli w tej spiżarni Bożej.
A Kanty czerpał dla głodnych z zapasu,
Co niby cudem, co nocą się mnoży,
Aż Bóg nareszcie przedsięnek zagodził,
Bo i na polach i sadach obrodził.

I lata biegły i rosła nić złota
W cichem zakryciu świętego żywota.

O Święty Kanty, dziś jeszcze służebny
Ojczyźnie polskiej, jakżeś nam potrzebny
W czasach dzisiejszych, kiedy dla narodu
W czasach ucisku, duchowego głodu
Światła potrzeba! Ciebie więc wzywamy,
Świeć polskiej szkole i świeć u swej bramy.

Kraków, d. 17 marca 1878 r.

Przegląd Literacki.

(Lilla Vénéda — traduction en vers avec une notice biographique sur l'auteur, par Jules Mien. Cracovie, Imprimerie du „Czas“ sous la direction de Joseph Łakociński. Paris, Librairie Sandoz et Fischbacher 33. Rue de la Seine. 1878; str. XXIV. 167).

Z łatwem do pojęcia uczuciem niepokoju bierzemy zawsze do ręki każdy przekład rzeczy polskich na obce języki. Nasza literatura to świat cudzoziemcom nieznany, często nawet podejrzany: „cóż może dobrego urodzić się w Naszarcie, co może rozumnego i pięknego napisać się w tym języku, który nie ma honoru być francuskim, niemieckim ani angielskim?!“ I kiedy się zdarzy, że Polak nieśmiało próbuje cudzoziemcowi dać wyobrażenie o swoich poetach, to najczęściej słuchany jest z niedowierzaniem ledwo zamaskowanym grzeczną kondescendencją, albo „z pobłażania anielską pogardą.“ „Cóż ty mi śmiesz mówić o Mickiewiczu, mnie, który mam Wiktora Hugo, o Słowackim, kiedy ja mam Heinego!“ oto co się czyta w oczach Francuza lub Niemca, nawet kiedy jego usta silą się łaskawie na uśmiech i potakiwanie.

Kiedy przyjdą i czy przyjdą do poznania i zrozumienia naszej poezyi? Z natury jej wynika, że wielkiego upodobania mieć w niej najpewniej nie będą nigdy. Ale gdyby choć dało się doprowadzić ich do tego, żeby mieli o niej wyobrażenie dokładne, a wskutku tego dla niej tyle uszanowania, ile jej się słusznie należy, byłoby już dosyć, a więcej żądać nie mielibyśmy powodu ani prawa.

Dlatego takie u nas powszechne uczucie pragnienia, obawy i ciekawości, kiedy zasłyszemy, że ktoś się do tłómaczenia rzeczy polskich zabiera. Chcielibyśmy, żeby te nasze klejnoty i pamiątki, wyniesione z zamkniętego skarbcza

i wystawione na widok całego świata wydały się dobrze. A tymczasem od tego tłumacza zależy wrażenie, z jakim one będą przyjęte, i wyobrażenie jakie się o nich wyrobi, stopień ich dobrej lub złej sławy w Europie. Jeżeli przetłumaczy świetnie, tak że przekład będzie bliskim oryginału, może im zdobyć podziwienie, cześć i zapal; wyjedna przynajmniej uznanie i poszanowanie, jeżeli tłumaczy z rozumem i taktem; a narazi na śmiech i pogardę, jeżeli formy czy treści ani znośnie nawet powtórzyć nie zdoła.

Tym razem na szczęście nie potrzebujemy mówić o żadnej bolesnej profanacji, o żadnym wstydzie zrobionym naszej poezji. Słyszeliśmy wprawdzie, że nieustraszony i niezłomny tłumacz *Szwajcaryi*, *Przedświtu* i pięciu pierwszych ksiąg *Tadeusza*, pan Charles de Noire Isle, *si totus illabatur orbis* zawzięcie tłumaczy dalej, i nie tylko *Tadeusza* dokończył, ale miał czas pastwić się nad *Zaleskim*, nad biedną *Maryą Malczewskiego*, nad *Goszczyńskim* — (a wszyscy w rękach tego tłumacza wydają nam się tak godnymi pożałowania, jak *Goszczyńskiego* bohater, kiedy wbity na pal kona w objęciu zakochanej w nim waryatki) — ale o tym tłumaczu już więcej mówić nie chcemy; są ludzie, którym wszystko wolno i ten widać do takich uprzywilejowanych należy. Dziś mamy do czynienia z tłumaczem poważnym, z tłumaczem na prawdę.

Pan Juliusz Mien, który z dobrą wolą i szlachetną myślą, godną wszelkiej z naszej strony wdzięczności, wziął sobie widać za zadanie pośredniczyć między literaturą własnej ojczyzny i kraju w którym przebywa, wytrwały w raz powziętym zamiarze, prowadzi dalej swoje dzieło przekładu *Słowackiego*, w którego początkach lat temu parę, złożył już dowody zamiłowania w naszej poezji, zdolności i zręczności w jej tłumaczeniu. Ale wtedy były to drobne próbki dopiero; dziś i rozmiary i wewnętrzne trudności pracy daleko większe. Tłumacz ogłasza *Lillę Wenedę*, jedno z dzieł *Słowackiego* najbardziej charakterystycznych, a przez właściwe autorowi przymioty i wady, wdzięk i niejasność, do tłumaczenia najtrudniejszych.

Ze strachem też wyznajemy, czekaliśmy tej *Lilli* we francuskim przebraniu. Co się z nią stanie? jak ona będzie mogła wyglądać? Nie mówiąc już, że ciekawie a niespokojnie czeka się tego sądu, jaki o niej wydadzą Francuzi — jeżeli w ogóle popatrzeć na nią i mówić o niej zechcą — sama sprawa przekładu wydawała nam się wątpliwą. *Słowacki*, który swoją oryginalność i wdzięk winien jest w wielkiej części formie, będzie zawsze wskutku tego jednym z autorów najtrudniejszych, najniebezpieczniejszych do tłumaczenia. A dopieroż tłumaczyć go na język francuski! Jego

styl ma tę własność dziwną, że wszystko wydaje się w nim jak żeby za jakimś przeźroczem z lekkich i miękkich obłoków. Jak mgła wieczorna lub ranna rozesłana po ziemi zakrywa podstawę, łagodzi linie i kontury i zmienia same rozmiary rzeczy widzianych zdaleka, tak że najpowszedniejsze i najskromniejsze nabierają jakichś kształtów malowniczych i fantastycznych, tak w jego języku i stylu rzeczy tracą rzeczywistość, wyrazistą odrębność swoich zarysów, i swoją ziemską własność ciężaru i bryłowatości, a ukazują się jak żeby ulatujące w powietrzu, otoczone różnobarwną mgłą, jak ta kochanka, którą on sam ujrzawszy pod szwajcarską kaskadą, myślał, że „z tęczy była i z potoku piany.“ Że to coś nieokreślonego, nieujętego w jego rysunku, to coś spływającego się w jego kolorycie, choć w zasadzie za dobre, za wzór, uchodzić nie może, jest jednym z sekretów tego uroku jaki Słowacki na nas wywiera, to pewna; a gdyby nawet tak nie było, to tłómacz musiałby starać się oddać koniecznie tę jego właściwość jako jedną z jego cech najbardziej charakterystycznych. A jakże ta właśnie konieczna mglistość może udać i wydać się w przekładzie francuskim? jak się da zgodzić z tą trzeźwością i precyzją, z tą stałością i jasnością wyrażań, która jest przyrodzonym prawem i najszlachetniejszym może przymiotem tego języka i stylu? I jeszcze Lilla do tego! W języku francuskim mogą być wszystkie możliwe brzmienia i tony prócz jednego tylko, kapryśnego dźwięku arf eolskich, a to właśnie jest dźwięk, który w Lilli odzywa się najwięcej, najgłośniej i najwdzięczniej. Jakże więc ona będzie wyglądała w tym stroju? czy pod jej „niezawiazaną koszulą“ nie będzie trochę znać dobrze zrobionego ale nieco sztywnego paryskiego gorsetu? czy bosa nóżki nie będą sztukały obcasami oderwanemi od Rasynowskich koturnów? a bławatki i lilie wodne czy nie będą zbyt porządnie, zbyt symetrycznie ułożone na biednej znękaney, pochylonej głowce?

Oto pytania, z jakimi braliśmy do ręki bardzo ładne wydanie francuskiego przekładu Lilli Wenedy.

Znaleźliśmy w niem naprzód zamiast przedmowy krótki, ale dokładny i dla cudzoziemców zupełnie wystarczający szkic biograficzny, a po tym wstępie, z którego czytelnik francuski może się dowiedzieć, kto był Słowacki, jego list do Krasińskiego, ten śliczny list, którym przypisuje swoją Lillę *Autorowi Irydiona*. Czy zagraniczny czytelnik, nieznający Irydiona, nie wiedzący nic o stosunkach Słowackiego z Krasińskim, a prawdopodobnie nie i o nich samych, czy list ten zrozumie i nie znajdzie go dziwnym, może dziwnym? Darmo, opuścić go tłómacz nie mógł, mógł tylko starać się oddać go jak najwierniej, i to zrobił.

W poemacie samym zapewne nie zdołał tłómacz wywołać takiego wrażenia poetycznego, jakie robi oryginał. Powtórzmy jeszcze raz to, co zawsze w podobnych razach powtórzonem być musi, że bardzo jest mało na świecie tłómaczeń, któreby tej sztuki dokazały, i to, że ze Słowackim i z Lillą i tłómaczowi francuskiemu dokazać jej było trudniej, niż każdemu innemu i przy każdym innym dziele. Fantastyczny koloryt Lilli stał się cokolwiek rzeczywistszym, jej linie i zarysy niepewne, jak w złudnych widziadłach stepu czy pustyni, są może cokolwiek wyraźniejsze, ostrzejsze; tęcze i girlandy nie unoszą się w powietrzu jak jesienne pajęczyny, ale znać, że się czegoś trzymają, są gdzieś przytwierdzone; arfy eolskie grają, ale znać, że tracone ręką człowieka. Ale te różnice, konieczne i nieuniknione w każdym a dopieroż w takim tłómaczeniu, dowodzą tylko jednej rzeczy dawno i powszechnie wiadomej, tej, że kopia oryginałem nie jest i być nie może, ale nie dowodzą bynajmniej, jakoby kopia nie była dobrą i bardzo dobrą.

Znowu powtórzmy musimy, cośmy już mówili przed laty, że nie czujemy się w prawie ani w możności sądzenia przekładu pana Mien ze stanowiska francuskiego języka, stylu czy wiersza. Chodzi nam o to jedynie, czy i o ile wiernie oddaje on myśl i wrażenie zawarte w oryginale. Co do wierności, to z wyjątkiem tych różnic koniecznych, które wynikają z samej natury języków, zapisaliśmy parę zaledwo miejsc, w których myśl oryginału jest albo opuszczona albo cokolwiek zmieniona. Naprzykład, kiedy Śláz chce zrobić Panu Bogu ofiarę, któraby go nic nie kosztowała, mówi w oryginale, że robi *„votum z przywiązania do swego Pana,”* czyli że odtąd przywiązanym do niego nie będzie, jak na prawdę nigdy nie był. Tłómacz zrozumiał inaczej, wziął *„votum z przywiązania za votum przywiązania”* i napisał:

„Promettons par exemple à notre ancien seigneur
„D'être pour lui toujours un zélé serviteur.

W czwartym akcie, kiedy Gwinona przestraszona o syna wziętego w niewolę, obiecuje być dobrą i słodką, jeżeli go odzyska, tłómacz opuszcza te wiersze:

„jabym głaskała ręką wasze tury
„prosząc o łaskę ich nad moim synem:
„jabym szczepiła wasze kwaśne grusze
„miodem litości; a sosen szumowi
„dałabym matki głos, jęki i prośbę.“

Szkoda, bo to rozczerlenie „twardej dziewczki skandynaw-

skiej“ zmiękczonej obawą o dziecko, jest bardzo ładne. Podobnie w akcie pierwszym, gdzie Gwinona tak doskonale opisuje Lecha a Słowacki charakter polski, tłumacz opuszcza to małe ale bardzo potrzebne „*lubisz spać*“, które koniecznie oddać należało. Czy jest może takich zmian lub opuszczeń więcej? Nie dostrzegliśmy ich. A w każdym razie gdyby nawet były, to są to rzeczy małe, łatwe do poprawienia, które na wartość przekładu ani na jego piękność nie wpływają.

Co się zaś tyczy wrażenia poetycznego, to pod tym względem, uważając cały przekład za bardzo dobry, musimy zrobić pewne rozróżnienie. Są całe ustępy, raczej całe role, przetłumaczone doskonale, tak że się je czyta z największą przyjemnością i ze szczerem dla tłumacza podziwieniem. Są to mianowicie te role, w których jest więcej rzeczywistości, więcej ludzkiego i ziemskiego pierwiastku, a mniej tęcz, arf, przeczuć i intuicji, Lech, Gwinona, Sygón, święty Gwalbert i Śláz. Ci wszyscy są żywcem przeniesieni z oryginału z tą samą fizyognomią, której żaden rys charakterystyczny nie zaginął ani nie przybladł przy tej operacji przenoszenia na inne płótno. Gwinona jedna może nie wszędzie ma zupełnie taką jak w oryginale energią i głębokość namiętności, co wyказaza-pewne ztąd, że język nie mający konstrukcyi dowolnych, musi czasem silną essencję rozpuszczać wodą gramatycznych i syntaktycznych wymagań. Ale ma ona przecież swoją siłę ponurą i dziką, swój rozum głębszy; a że tu i owdzie tłumacz spiłował nieco zbyt szorstką nieestetyczną surowość jej wyrażań, to zdaniem naszym wyszło jej tylko na dobre. Co do innych, nie mamy ani takich nawet zastrzeżeń do zrobienia, a wszystko co mówi Lech, św. Gwalbert i Śláz, uważać musimy za zupełny i świetny tryumf tłumacza.

Z Wenedami było oczywiście daleko trudniej. Lilla ma takie w swoich słowach gracye i takie pieszczoty, Roza taki głęboki ton rozpacz, stary Derwid takie pathos, a wszyscy takie mają natury i słowa przeczuć i sensorywne, taki jakiś dziwny *second sight*, że właściwa Słowackiemu nieokreśloność tak trudna do naśladowania dla każdego- a zwłaszcza dla francuskiego tłumacza, występuje tu w całej swojej pełni. To też tu jest większa różnica między oryginałem a przekładem, a boleść i rezygnacya Wenedów, którzy giną i wiedzą że zginąć muszą, a choć bierni i do zwycięstwa nie zdolni, do ostatka sprawy swojej bronią z miłością, bez nadziei i bez wiary, ten pierwiastek najbardziej tragiczny w poemacie, nie występuje w przekładzie tak wyrażnie, nie działa tak przejmująco i rozdzierająco jak w oryginale. Zachowany jest o ile tylko, sądzymy, mógł być zachowanym w tłumaczeniu, tylko stopień nie jest wszędzie

taki sam. Najmniej naszym zdaniem udały się tłumaczowi te chóry, które występują na zakończenie każdego aktu. Mniejsza o to, że zamiast jednostajnego wiersza, jak u Słowackiego, są w nich mieszane strofy, choć i to wygląda już na poprawianie oryginału, które nawet kiedy jest rzeczywistym poprawieniem, jest zawsze licencją nie wiemy czy pozwoloną. Ale ważniejsze jest to, że myśl zawarta w tych chórach wychodzi czasem w przekładzie na wprost przeciwną tej, którą w nie włożył Słowacki. I tak po akcie pierwszym chór mówi, że ma rozpacz w sercu, ale nie płacze dlatego, żeby się wróg widokiem tych łez nie rozradował; w przekładzie chór mówi o nadziei, o zwycięstwie, ufa w Bogu, w słuszności swojej sprawy i w zapale swego narodu. Może to być bardzo pięknem, ale nie jest Słowackiego, jest dodane, a zważywszy, że cała tragiczność rzeczy tkwi w tem, że Wenedzi ani nadziei ani przyszłości nie mają, o tem wiedzą i na nikogo i na nic nie liczą, pokaże się, że ten dodatek nietylko się do tragicznego wrażenia nie przyczynia, ale się sprzeciwia temu wrażeniu, jakie oryginał wywoływać miał i wywołuje. Chór po akcie drugim jest wierniejszy, ale zamiast tego prostego akcentu tego zakroju cokolwiek klasycznego, jaki jest w oryginale,

„o synu! serce twe z boleści pęknie!
„o córko ojca twego krew się splami!

ma formę i ton jakiejś nowoczesnej w wykrzyknikach swoich nieco konwencyonalnej liryki:

Horreur! Horreur! Ah! si la main tremblante
Du pauvre enfant te faisait dévier
Hache effrayante
Et sans pitié
Tu frapperais, en immolant un père
Du même coup et la soeur et le frère etc.

To samo rzeklibyśmy o chórze w końcu aktu trzeciego, a po czwartym chór wydaje nam się dość wierną wprawdzie, ale cokolwiek rozwodnioną parafrazą oryginału.

Do słabszych miejsc także zaliczylibyśmy scenę Derwida z Gwinoną w akcie pierwszym. Za to są inne i nie najmniej, owszem najbardziej może trudne, które zasługują na wszelką pochwałę. Takim naprzykład jest opowiadanie Rozy o pobojowisku, na którym szukała serc w piersiach poległych Wenedów, taką prośbą Lechona o życie, scena, kiedy w skrzyni od arfy ukazuje się ciało uduszonej Lilli, a zwłaszcza może ta, w której Derwid wybierać ma między

arfą a córką, a Lilla oddaje siebie w zakład. Rolę jej, rozumie się samo z siebie, tłumaczył pan Mien ze szczególnem staraniem i zamięłowaniem, ale też i z całym pożądanym skutkiem. Pożegnanie z braćmi i pierwsza scena IVgo aktu, należą do najświetniejszych ustępów przekładu. W tej scenie tłumacz wyrzucił z przemowy Lilli wiersz o muszce, która „będzie mieć jaką córkę, co ją zbawi.“ Czy źle zrobił? Wyznajemy, że ten pomysł wydaje nam się cokolwiek wyszukany i wolelibyśmy, żeby go w oryginale nie było.

Co o Lilli powiedzą Francuzi (jeżeli czytać ją będą)? Nie mamy nadziei, żeby im bardzo przypadła do smaku; nie z winy tłumacza, ale dlatego, że jest tak odmienna, tak daleka od ich usposobień, upodobań i przyzwyczajęń literackich. Wszelako który z nich zechce (choćby całość nie była mu sympatyczną) uznać przynajmniej niezwykle piękności w szczegółach, ten ma wszelką po temu sposobność, bo przekład pana Mien pozwala mu piękności te rozpoznać i ocenić. A z tych słów wychodzi już jasno jak na dłoni powód do wielkiej od nas wdzięczności dla tłumacza, który dobrowolną trudną wytrwałą i zdolną pracą, daje dokładne i poważne wyobrażenie o naszej poezyi, świadczy przed obcymi o naszej cywilizacyi, i bez żadnego względu nas obowiązku czas i siły swoje na to poświęca, by literaturze naszej zdobyć uznanie i dobrą sławę na świecie. Cokolwiek zatem powiedzą obcy o dziele, my o jego tłumaczeniu musimy zgodnie myśleć i powiedzieć, że jest pięknym i dobrym względem nas uczynkiem. Nie wątpimy też, że publiczność nasza z ciekawością i zajęciem rzuci się na tak ponętną nowość; jak bardzo niepospolity poemat polski w obcym języku i pięknie na ten język przełożony. Ktoby zaś mimo tego wszystkiego jeszcze potrzebował zachęty, temu powiemy, że oprócz Lilli znajdzie w tym tomie wydany powtórnie przekład najpiękniejszego może wiersza Słowackiego, *Grobu Agamemnona*.

St. Tarnowski.

Przegląd polityczny.

Kraków 30 maja.

Już porządek chronologiczny wymaga, aby przegląd z miesiąca maja rozpoczął się wystawą powszechną międzynarodową w Paryżu, w dniu 1 maja otwartą. Wystawa ta nie tylko była przeznaczoną dla popisu przemysłu i sztuki wszystkich narodów i okazania wielkiej żywotności Francyi, gdy ta w kilka lat po kosztownej i występiającej wojnie, która zniszczyła znaczną część departamentów Francyi i kilka ich oderwała, po spłacie ogromnego haraczu pod nazwą wynagrodzenia kosztów wojennych, a zatem po wielkich stratach publicznych i prywatnych zdolną była iść o lepsze z innemi państwami Europy, nawet temi, które wojna ta zbogaciła; lecz wystawa ta miała inny cel jeszcze i to polityczny. Przedewszystkiem szło o wykazanie dowodnie za granicą, że Francya gotując się do wystawy, nie chce równocześnie myśleć o powetowaniu militarnem i terytoryalnem szkód poniesionych, a przeto zapewnienia polityki jej pokojowej są szczerze. Rzeczywiście też od podjęcia przygotowań do wystawy przestał rząd pruski podejrzывать Francję o podstępne zastawianie się wystawą i zaczął dawać wiarę zapewnieniom pokojowym Francyi. Innym powodem urządzenia wystawy była chęć podźwignięcia miasta Paryża, a nawet przywrócenia mu nie tylko cechy, ale oraz imienia stolicy świata, którą był utracił pod grozą Komuny; wreszcie pragnęła partya republikańska zrobić coś dla uświetnienia swoich rządów i udowodnienia, że nie potrzeba Napoleona III, aby zbudować pałac wystawy i ściągnąć do Paryża tysiące wystawców a miliony gości.

Pod wszystkimi temi względami powiodło się Francuzom nad miarę. I nadaremnie pewna część dziennikarstwa francuskiego, nie chcąc przyznać rządowi republikańskiemu zasługi z wystawy, usiłuje powodzenie to zmniejszyć lub milczeniem pozbawić je rozgłosu. Ależ nie ma tu nic do czynienia duch partji, ani forma rządu. Powiodła się wystawa, bo umysł narodu francuskiego, mimo licznych zboczeń nawet zgubnych, nie skarłowaciał ani nie upadł pod brzemieniem nieszczęść; bo praca i oszczędność są przymiotami ludu francuskiego, a one jedne dają siłę, tworząc zasoby znaczniejsze. niżby je spotrzebować chciano w tym samym czasie, a praca ta jest tak dobrze fizyczna, jak umysłowa, tak dobrze materyalna, jak duchowa. Te narody giną, które mniej pracują niż potrzebują i więcej wydają niż posiadają.

Wystawa paryska jest przeto dowodem potęgi materyjalnej i duchowej narodu francuskiego i żywotności jego, gdy po klęskach ciężkich nie upadł, nie zleniwiął, nie zobojętniał, nie rozpróżniaczył się, nie zwątpił, nie zubożał. Z tego też powodu wystawa ta ma wysokie znaczenie polityczne. społeczne i ekonomiczne.

Najwybitniej okazuje się to z porównania z Niemcami, które po zwycięstwach, po zdobyczach, po zjednoczeniu swem, wreszcie po uzyskaniu pięciu miliardów, nie śmiały stanąć do wspólnych zapasów z Francją na polu przemysłu i pracy. Intencją rządu niemieckiego było, odmawiając udziału w wystawie paryskiej, z jednej strony utrudnić przyjście wystawy do skutku a okazywaniem nieufności w jej powodzenie odciągnąć inne kraje od uczestnictwa, zapobiedz licznym odwiecznemu swoim poddanych do Paryża, któreby mogły sprawić zmianę w wyobraźniach, jakie utrzymać się starano wobec Francuzów, i usnąć rozbudzony szowinizm niemiecki; z drugiej jednak strony nie tajono sobie w Berlinie, że przemysł niemiecki nie zdoła na wystawie paryskiej takiego zająć stanowiska, jakieby odpowiadało świeżo zyskanej chwale wojennej i pretensjom wielkiego narodu. Już z wystaw wiedeńskiej i filadelfijskiej odniesiono bardzo niechlubne wrażenie o przemyśle niemieckim, zwłaszcza pruskim, o lichocie wyrobów w porównaniu z inno-krajowemi i o braku artystycznego poczucia, które jest tem dla przemysłu, czem dla obiadu zastawa stołowa wobec sztuki kulinarnej.

Wojna niemiecka a przedewszystkiem system military pruski, przerywający kształcenie się tak naukowe jak rękodzielnicze i artystyczne w połowie rozpoczętej drogi, jest jedną z najgłówniejszych przeszkód w rozwoju przemysłu niemieckiego. Robotnik, który przez trzy lata dźwigał karabin i odwykł od swego zawodu, który nadto musi na kilku-

tygodniowe stawać corok ćwiczenia, nie może z świeżym umysłem i z tą samą biegłością wracać do swego zatrudnienia, a nie tylko straconego czasu, ale oraz straconej zręczności nie odzyska. Kiedy też wojsko niemieckie wróciło do domu po wojnie, okazał się w fabrykach i warsztatach nie tylko ubytek rąk, ale i cofnięcie się w dokładności wyrobów. Nie chciano więc występować w Paryżu z takim ubóstwem.

Z powodu atoli licznych skarg w Niemczech, lubo nie można już było cofnąć odmowy udziału przemysłowców niemieckich w wystawie, gdyż spóźniona pora nie dozwalała przygotować się należycie do tego popisu międzynarodowego, cesarz Wilhelm chcąc jaką taką przywrócić styczność obu rządów, pozwolił artystom niemieckim uczestniczyć w dziale sztuk pięknych, licząc na to, że szkoły malarskie w Berlinie, Dysseldorfie, Monachium i Dreźnie wytrzymają porównanie z innymi krajów artystami. Nie miejsce atoli zdawać tu sprawę o wartości tych prac, jak w ogóle o technicznej stronie całej wystawy; idzie bowiem przedewszystkiem o jej znaczenie polityczne.

Pod tym ostatnim względem tak program wystawy, jak i mowa ministra Teisseirene de Bort, bo Mac-Mahon powiedział kilka słów bez znaczenia, nacechowały wystawę jako popis pracy i rękojmię pokoju. Jeszcze ostatnimi dniami na obiedzie danym komisarzom zagranicznym wystawy przez klub deputowanych republikańskich, stwierdził Gambetta tę samą cechę wystawy, a słowa jego miały służyć za dowód, że partya republikańska, której on mieni się być przewodnikiem i przyszłym naczelnikiem rządu po upływie siedmiolcia, nie wyjdzie po za ten program. Wiele też partyi republikańskiej na tem zależy, aby okazać, iż panowanie jej dopomaga wzrostowi materialnemu i ekonomicznemu Francyi, że Francya republikańska zdoła pod temi względami przewyższyć Francję napoleńską, że państwo zdoła dać jeszcze miliardy na koleje żelazne drugiego rządu, i że projekt ten już uchwalony jest także rękojmią pokoju na przyszłość.

Aby dorównać Francyi napoleońskiej pod względem świetności, potrzeba było ściągnąć do Paryża nie tylko krocie cudzoziemców, ale oraz monarchów zagranicznych. Pod tym względem okazała się trudność, pomimo uznania republiki przez wszystkie dwory. Do takiego równouprawnienia jeszcze bowiem nie przyszło. Zwiedzali obcy monarchowie Francję ale incognito, a gdy przejeżdżali przez Paryż z pełnym tytułem umyślnie nie przybywali do Paryża. Do połowy jednak i tę dworską etykietałą trudność przewyciężyć się dało, skoro następcy tronów angielskiego i duńskiego lub księżęta innych domów panujących bądź zjechali do Paryża na wy-

stawę, bądź nawet jako opiekuni działów wystawy swoich krajów w urzędowym charakterze przebywają w Paryżu. Jest to jakby uznanie prawowitości (*legitimité*) republik w Europie.

Nie umiała jednak partya republikańska zachować długo ten nastrój umiarkowany i spokojny, bo dnia 30 maja postanowiła obchodzić demonstracyjnie, jakby tryumf, swój setną rocznicę śmierci Voltaira.

Mogłoby się na pozór zdawać, że obchód wolterowski nie ma żadnego związku z polityką bieżącą lub przyszłą, z programem pokoju i pracy. A jednak są punkta styczności między obchodem śmierci tego zwiastuna pierwszej rewolucyi a teraźniejszym kierunkiem społecznym i politycznym skrajnych stronnictw tak we Francyi, jak w wielu innych krajach Europy. Ztąd ta gorliwość o uświetnienie obchodu i danie mu cechy powszechnej, manifestowania przezeń siły żywiołów rozkładowych i destrukcyjnych, które czują się bliskimi zawładnięcia Francją.

Wobec wystawy powszechnej nie bardzo na rękę przypada rządowi francuskiemu obchód wolterowski, nie dla tego, aby dzisiejsi ministrowie francuscy wypierać się chcieli swojej dla wolteryanizmu sympatyj, lecz wypada im zachować przed Europą pewne względy i nie zrażać na razie tych rządów, dla których Wolter jest synonimem rewolucyi społecznej. Minister Marcère wydał przeto rozporządzenie zabraniające Radzie miejskiej paryskiej, od której inicjatywa obchodu wyszła, urzędowego w tym obchodzie występowania, jakoby w imieniu całego narodu francuskiego i unieważnił nakaz tej korporacji municypalnej, aby mieszkańcy Paryża dzień 30 maja święcili, domy swe przystrajali i oświetlali. Obchodu jednak nie zakazał, lubo zakazuje odprawiania procesyj katolickich po za obrębem kościoła pod pozorem ujmę dla innowierców i obchodu dnia śmierci Dziewicy Orleańskiej.

Cześć dla Woltera jest sztucznie wywołaną agitacją przeciw odżywiającemu się życiu religijnemu Francyi; bo jeżeli wielbiciele jego pamiętają mu rehabilitację straconego niewinnie Calasa, lub upomnienie się o krzywdę niesłusznie prześladowanych, to natomiast chcą mu puścić bezkarnie znieważenie pamięci Joanny d'Arc, poniewieranie własnego narodu, czołganie się u nóg zwycięzcy Francuzów pod Katzbach i ubóstwianie ukoronowanej Mesaliny. Wszakże i bohaterowie Komuny paryskiej zamiast broń swoją zwrócić na Prusaków, którzy Francję najechali, podnieśli bratobójczą rękę na wojska francuskie.

Obchód wolterowski jest i pod tym względem szkodliwym, nawet zgubnym dla Francyi, że przytłumione a przy-

najmniej uśpione zawiści stronnictw na nowo rozognił, że podzielił znów Francję na obozy i odwrócił uwagę publiczną od prawdziwych interesów kraju. W sto lat po śmierci wicherzy jeszcze Wolter, jak zły duch swego narodu. Wolter nie był ani rewolucjonistą w właściwym znaczeniu tego wyrazu, coby burzył i obalał przeszłość i teraźniejszość dla zrobienia miejsca przyszłości; nie był Tytanem, coby górę na górę wznosząc, chciał dosięgnąć nieba; nie był reformatorem, któryby w żarliwości swojej mylne nieraz obierał drogi i środki; nie był nawet krytykiem i satyrykiem, karzącym złe a nawet chłосzczącym boleśnie społeczność lub pewne jej warstwy; ale raczej szyderca ostry, co najświeższe uczucia obracał w śmieszność, duch przeciwnieństwa i sprzeczności, nicujący każdą myśl zdrową i uczciwą, zły i złośliwy potwarca, co błotem zniewagi obrzucał wszystko co szlachetne, satyr lubieżny obrażający niewinność, skeptyk przedrzeźniający prawdę. Był on jednym z ostatnich, którzy rozkładu społeczności 18go wieku dokonali, i dlatego uważanym jest za zwiastuna rewolucyi, która w kilka lat po jego śmierci wybuchła. Ta negatywna ujemna natura miała może usprawiedliwienie w konieczności historycznej. Dzikie ludy oddają cześć dobrym bogom, a złym składają ofiarę; Francya dzisiejsza, a przynajmniej pewna jej część otacza wciąż swoje złe duchy i pamięć ich święci, bo ciągle jeszcze żyje w idei swego destrukcyjnego powołania, nie mogąc wznieść się do szlachetnej myśli, iż czas już budować przyszłość, gdy obfity materyał leży gotów i marnuje się.

Nigdy ks. Bismarka o doktryneryzm nie można było pośadzać. Świadomy celów, starał się osiągnąć je takimi środkami, jakie w danej chwili zdawały się najstosowniejsze. Brak zasad, a raczej lekceważenie ich pozwalało powodować się tylko względami dogodności i pożytku. Z takim usposobieniem licząc się, nie można było nigdy mówić o jego kierunku politycznym, o jego programie, a tem mniej o jakim systemie. Póki żył cesarz Napoleon, ambicja osobista i zazdrość zebrały się, aby zrobić z kanclerza niemieckiego zawziętego wroga Francyi; wojna ostatnia o tyle ten stan umysłu przedłużyła, że zawiść, przemienioną w nienawiść, zastąpiła lekceważeniem i pogardą. Dopiero sprawa wschodnia kazał kanclerzowi obliczać wszystkie siły gotowe, jak i te, które mogą powstać, najmniejszej nie pomijając, i temu przypisać należy zmianę zapatrywania się kanclerza na Francję i pewną w ostatnich czasach pobłażliwość dla dawnego współzawodnika a przeto nieprzyjaciela.

Inna rzecz co do Rosyi. Jeszcze przed wojną francuską dał się z tem słyszeć ks. Bismark, że Niemcy zjednoczone i z pod zwierzchnictwa Austrii oswobodzone, muszą

naprzód pokonać Francję, aby obalić jej przewagę w Europie, do czego dopomoże przyjaźń Rosyi dla Prus, odosobnianie się dobrowolne Anglii i interes Włoch; poczem kolej dla Niemiec uwolnić się od przyjaźni rosyjskiej, która ciężarem swoim tamuje wolny ruch Niemiec. Wojna francusko-niemiecka dowiodła, że przyjaźni rosyjskiej jeszcze Prusom lekceważyć nie należy, owszem, trzeba Rosyę oszczędzać, bo ona jedna mogłaby stworzyć w Europie koalicję przeciw Niemcom. Można by przypuszczać, że podniesienie kwestyi wschodniej przez Rosyę jeśli nie wyszło z Berlina, to niewątpliwie umiano w Berlinie korzystać z okoliczności, aby Rosya wstąpiła na drogę, z której już nie ma powrotu, bo Rosya raz wplątana w sprawy wschodnie, nie może już myśleć o odegraniu w Europie roli opiekuna Francyi, lecz przeciwnie, wymagać musi od Prus, co najmniej, neutralności osłaniającej ją od Austrii. Niemałego wpływu na tę politykę wywołały osobiste pobudki cesarza Wilhelma, czy też osobiste uczucia jego dla cesarza Aleksandra. Musiał je uwzględnić ks. Bismark i do tego nastroił swoją politykę zagraniczną.

Ale i w polityce wewnętrznej trzymał się kanclerz tej samej maxymy utylitaryzmu. Nie było mu trudnem odepchnąć konserwatystów, którzy mu nie obiecywali pomocy w jego walce z kościołem, w walce, której źródłem była ta sama chęć wszechwładztwa, jaka wywołała wojnę z Austryą a potem z Francją.

Są to wszystko rzeczy dawniejsze. Ostatniemi czasy, gdy zawiodło zarozumiałe przypuszczenie, iż nowy Papież podda się nowemu stanowi rzeczy, a przeto gdy okazało się, że nie można liczyć na ustępstwa Rzymu, chciał kanclerz ściślejszy jeszcze zawiązać stosunek z partją liberalną i uczynić ją zupełnie sobie powolną, a obrócić ją na narzędzie swojej władzy. Doznawał już od niej tyle dowodów uległości, tyle zaufania do osoby swojej, że zdawało mu się, iż ma już prawo nawet do posłuszeństwa. Partya ta miała mu posłużyć zarówno do zawładnięcia wyłącznego w całej Rzeszy niemieckiej pod hasłem jedności, a właściwie centralizacyi administracyjnej, jak i do wywierania nacisku na pokrewne stronnictwa za granicą, czy to we Włoszech, czy nawet we Francyi, i do podkopywania przez przyjaciół władzy papieskiej. W tym celu wybrał sobie kanclerz kilku członków liberalnych parlamentu niemieckiego, a przez deputowanego Luciusa, osobistego powiernika swego, zawiązał stosunki z naczelnikami liberalnego stronnictwa. Wyparł przeto kanclerz dwóch ministrów Camphausena i Eulenburga, a to nie bez trudu, bo trzeba było zwalczać powoli nawyknienia osobiste Cesarza, i chciał kolejno pozbyć się ministra Leonhardta, a wprowadzić do gabinetu Bennigsen; in-

nych zaś ministrów dobrać z pomiędzy podwładnych swoich. Ale układy z Bennigsenem napotkały na znaczne trudności; partya bowiem liberalna stawiała warunki: nie o poddaniu się kanclerzowi myślała, ale o przeobrażeniu gabinetu w duchu liberalnym. Układy zatem rozbiły się. Gabinet został uzupełniony, a partya liberalna nacechowała pewną niezależność, którą tem więcej cenić sobie musiała, iż chciała okazać kanclerzowi siłę swoją i wróżyła sobie, że chwila nadejdzie, gdy kanclerz zwróci się jeszcze raz ku niej i zażąda jej poparcia wobec rosnących w liczbę opozycyjnych stronnictw, jakoto katolików i członków środka Izby, postępowców oraz socyalistów, a osłabnięcia odcieni zwanych konserwatywnymi, które są tylko balastem, ale nie mają w sobie materiału na stronnictwo.

I zaszedł wypadek, ale nie ten, jakiego oczekiwali liberalni, pomijając i to, że kanclerz zachorował i na czas pewien musiał zaniechać wszelkiej akcyi politycznej. Wypadkiem tym był strzał rewolweru, dany do Cesarza 11go maja przez blacharczyka nazwiskiem Hödel.

Ponieważ Hödel, jakkolwiek przejęty zasadami socyalistycznymi, zbyt nisko był wykształcony, aby mógł uporządkować w głowie swej różne pojęcia socyalizmu demokratycznego i wyniósł ze szkoły socyalizmu trochę frazesów, oraz uczucie zawiści ku władzy, własności, hierarchii społecznej, religii, więc z tej gmatwaniny pojęć i uczuć wyrosła w nim myśl królobójstwa. Wyparli się solidarności z nim wyznawcy zasad socyalizmu, lubo z natury ich doktryn wypływa nienawiść do monarchizmu, jako najwyższego przywileju. Uklął się rząd pruski tego objawu groźnego i pomimo manifestacyi bardzo dla Cesarza przyjaznych ze strony wszystkich stanów, które były zadośćuczynieniem potępienia zamachu Hödla, zamierzył skorzystać z tej sposobności, aby nietylko wystąpić stanowczo przeciw socyalistom, lecz zarazem ścieśnić prawa i swobody konstytucyą zawarowane. Zniósłszy się z Radą Związku niemieckiego, wniósł przed parlament ustawę o ścieśnieniu wolności druku i wolności stowarzyszeń publicznych oraz zgromadzeń, odnośnie do kierunku socyalno-demokratycznego. Gdy jednak ocenienie tego kierunku powierzyć chciał najniższym organom administracyjnym i uchylał w tej mierze jurysdykcyę sądów, tak iż projekt ustawy przypominał napoleońskie *la loi de sûreté publique*, przeto znalazł się z swoim projektem w takiej mniejszości rażącej, bo 57 głosów przeciw 251, jaka powinna go była przekonać nietylko o zasadniczej wadliwości ustawy, ale także o zupełnej porażce, jakiej doznał ze strony wiernych swoich. Opuścili go bowiem liberalni, którzy coraz bardziej oddalali się od ks. Bismarka, czy raczej on coraz bardziej

wyłamywał się z warunków niegdyś przyjętych. A mianowicie zraził już liberałów zapędami ku systemowi ceł opiekuńczych, ku monopolowi tytoniowemu i sprzyjał święceniu niedzieli. Cesarz Wilhelm w przemowie swej do ministrów, winszujących mu wyjścia z niebezpieczeństwa, rzekł, iż nie trzeba pozbawiać ludu religii. To utylitarne zastosowanie religijności w interesie bezpieczeństwa korony i życia monarchy, mogło być przynajmniej podjęte jako środek polityczny ze strony gabinetu, ale nikt w łonie rządu nie miał odwagi uczynić kroku stanowczego i przedewszystkiem poświęcić ministra wyznań Falka, a sama dymisja jego byłaby potężniej oddziaływała niż ustawa, którą rząd chciał ująć socjalistów w karby. Stało się więc, że ustawę odrzucono nazwawszy ją „ustawą zamachu“ i w ten sposób sprowadzono ją z wyżyn politycznych na poziom środków policyjnych.

W sprawie wschodniej gabinet berliński widocznie trzymał ciągle stronę Rosyi. Neutralność jego nie przeszkadzała zapomagać Rosyę materyałem wojennym; ważniejsze on jednak spełnia zadanie przestrzegania, iżby żaden popisowy z Królestwa Polskiego i północnej Litwy nie zdołał przedrzeć się za granicę uchodząc przed poborem wojskowym, a poseł niemiecki w Konstantynopolu ks. Reuss i konsulowie niemieccy po innych miastach bronią zawsze interesów rosyjskich. Przyjaźń Niemiec dla Rosyi nawet tak daleko zaszła, że ks. Karol Rumuński, który jako Hohenzollern, liczył wiele na poparcie z Berlina, nie znalazł tam żadnego słowa zachęty, któreby go natchnęło otuchą, iż czy to w sprawie Besarabii, którą Rosya pragnie odebrać, czy w sprawie etapów rosyjskich w Rumunii, będzie mógł oprzeć się żądaniom Rosyi. Wobec dyplomacyi europejskiej gabinet berliński trzyma również stronę Rosyi a nie mogąc nic korzystniejszego znaleźć dla niej, jak uzyskanie sankcyi kongresu europejskiego przynajmniej na częśćkę warunków traktatu pokoju w San Stefano, stara się pojednać Rosyę z Anglią, zebrać kongres w Berlinie i na nim ostatecznie rzecz zakończyć.

Gdy atoli nie przyszły do skutku usiłowania, aby użyć równoczesny odwrót wojsk rosyjskich z pod Konstantynopola i floty angielskiej z morza Marmora, każde z dwóch współzawodniczących mocarstw gotowało się do wojny i dotąd się do niej sposobi. Anglia wzmacnia swoją marynarkę wojenną, ściga okręty z odległych mórz, sprowadza na Malte wojsko indyjskie krajowe, którego noga nigdy jeszcze w Europie nie powstała, trzyma na kanale Kaletańskim flotę przeznaczoną na morze Bałtyckie, powołała milicję do służby czynnej i uzyskała na wstępne koszty nie bez wielkiego trudu, bo przy silnej opozycyi liberałów, od parlamentu kredyt 6 milion. fnt. strl.; Rosya zaś wciąż zasila ubytki w puł-

kach swoich nowym żołnierzem, ściągnęła znaczne wojska w Rumunii i groziła nawet rozbrojeniem wojska rumuńskiego, fortyfikuje stanowiska wojskowe nad brzegami morza Marmora i po przeciwległej stronie półwyspu Trackiego, trzyma w pogotowiu statki dla zatopienia ich w odnodze Fińskiej Bałtyku na wypadek wypłynięcia floty na Bałtyk, nabywa w Ameryce okręty, a co więcej, zabiera się do przygotowania korsarzy. W tym celu wysłano z Kronstadu do Kalifornii kilkuset majtków i oficerów marynarki dla rozdzielenia ich na statkach korsarskich, któreby pod pawilonem rosyjskim uzbrojone na Oceanie Spokojnym mogły w razie danym trafić kupieckie okręty angielskie i nieść handlowi angielskiemu szkodę na odległych wodach. Nie wstrzymała nawet Rosyi od tego zamiaru konwencya paryska przeciw pirackim okrętom, którą także przyjęły Stany Zjednoczone, a która prywatne mienie, byle nie było kontrabandą wojenną, uznaje nietykalnem, choćby na statkach krajów w wojnie z sobą zostających. Co więcej, pod przewodnictwem następcy tronu rosyjskiego zawiązał się komitet w celu zbierania datków na uzbrojenie statków korsarskich i znaczne do komitetu tego wpływają pieniądze.

Podczas kiedy w Rosyi słabe tylko odzywają się głosy przemawiające za pokojem, w Anglii różnorodne interesa a wszystkie przeciwne wojnie utworzyły bardzo silną koalicję. Połączyli się bowiem tam whigi, jako przeciwnicy gabinetu, członkowie szkoły polityczno-ekonomicznej manchesterskiej, która za poprzedniego gabinetu głównie wpływała na trzymanie się zasady nieinterwencji, bogaci przemysłowcy i kupcy związani stosunkami handlowymi z Rosją; poruszono tam wszystkie żywioły aż do robotników, których nastraszono upadkiem fabryk w razie wojny. Cała ta koalicja drogą meetingów, deputacyj, petycyj coraz nowe stawiała rządowi trudności, a w samym parlamencie podnoszono to rezolucye, to wnioski przeciw kredytowi i przeciw prawu użycia wojsk indyjskich po za granicami Indyj. Wobec tak skoalizowanej opozycji rząd mógł tylko zastawiać się tem, że nie myśli sprowadzać wojny, lecz tylko przygotować się chce do obrony interesów Anglii na Wschodzie, bez tych przygotowań bowiem nie miałby środków do stawienia oporu wykonaniu traktatu w San Stefano w całej rozciągłości. Długie rozprawy parlamentu nad mocą Hartingtona, która nawet zmierzała do oskarżenia gabinetu o naruszenie konstytucyi i o przywłaszczenie sobie prawa rozrządzania środkami należącemi do kompetencji parlamentu, zakończyły się wreszcie zwycięstwem rządu, ale warunkowem. Izba bowiem zastrzegła sobie ostatnie słowo w kwestyi wojny, lubo służy jej tylko pod tym

względem taka decyzja, iż może odmówić kredytu na prowadzenie wojny.

Mimo tego poseł rosyjski w Londynie hr. Szuwałow nie przestał posyłać do Petersburga ostrzeżeń, iż rząd angielski w żadnym razie nie zezwoli na taką formę obrad kongresu, jaką Rosya projektowała, a mianowicie, aby nie całkowity traktat z San Stefano przedłożony był kongresowi do sankcyi, lecz tylko aby każdy rząd przedkładał swoje skargi przeciw tym punktom traktatu, któreby za szkodliwe swoim interesom poczytał, z wyłączeniem kwestyi Besarabii i twierdz armeńskich, z których pierwsza jest rzeczą honoru dla Cesarza, druga nie może obchodzić państw europejskich.

Inicyatywa zwołania kongresu, pierwiastkowo podjęta przez hr. Andrassego, przeszła niepostrzeżenie do rąk ks. Bismarka, jako niby najmniej interesowanego na Wschodzie. Na poufne zapytanie, rozesłane do rządów a mające uprzedzić zaproszenie formalne, odpowiedziano z Londynu dawną piosenką o potrzebie przystania poprzednio Rosyi na przedłożenie całego traktatu kongresowi. Nie było więc już prawie nadziei dobrego skutku układów. Wiele zapewne ubocznych kroków w sprawie tej czynionych pozostanie jeszcze czas jakiś w tajemnicy, póki ich *blue book* nie wykryje parlamentowi i całemu światu, ale już teraz z oznajmień ministrów angielskich powziąć można, iż rząd pruski prowadził pośredniczące układy między Rosyą i Anglią; możnaby nawet przypuścić, że w tym celu królewiczowa pruska wyjechała w odwiedzinę do matki swej królowej Wiktoryi i że w tym celu pospieszył za nią królewicz do Anglii; bo mimo układu maszyny konstytucyjnej w Anglii, wpływ korony nie jest zupełnie wykluczony, już przez to samo, że korona powołuje ministrów. Nie mógł przeto lord Beaconsfield okazywać się zbyt stanowczo wojennym, bo ma do czynienia z opozycyą w Izbach i z wpływami u dworu.

Wreszcie hr. Szuwałow wyjechał do Petersburga, a odwiedził po drodze i cesarza Wilhelma i chorego ks. Bismarka, a z tej podróży przywiózł zapewne złagodzone warunki rosyjskie, skoro naraz zmienił się ton groźny dzienników półurzędowych rosyjskich i ich berlińskich współpracowników, i już nie ma mowy o sprzeciwianiu się Rosyi warunkowi przedłożenia traktatu z San Stefano kongresowi, ani o honorze cesarskim ani o tem, żeby niewolno kongresowi było podnosić sprawy zaboru Armenii, a co więcej, Rosya niekoniecznie obstawać będzie przy zaborze niektórych twierdz w Azji i gotową jest opuścić znaczną część, może połowę, może nawet więcej, z kosztów wojennych od Turcyi żądanych, ani też nie obstaje przy rozpostarciu Bułgaryi po morze Egejskie, przy uposażeniu Czarnogóry portem i twierdzą

Antivari i przy rozpostarciu się Serbii w granice Bośni. Nie ma wprawdzie dotąd aktu, któryby tak złagodzone warunki rosyjskie formułował, ale hr. Szuwałow miał przyrzec, że Rosya okaże się zgodną, niemal poprzestanie dla siebie na moralnem zadosyćuczynieniu, gdy przyniosła ludom słowiańskim wolność, a nadto nie okaże się przeciwną wzmocnieniu żywiołu greckiego na półwyspie Bałkańskim choćby przez przyłączenie Epiru i Tesalii do Grecyi. Ostatniemi bowiem czasy Grecya znalazła wielką w Anglii przyjaźń, a to od kąd przekonano się w Atenach, że zagony rosyjskie w Turcyi nie zmierzają tyle do oswobodzenia chrześcian, jako raczej do utworzenia państwa Bułgarskiego, którego urządzeniem zajęłaby się Rosya i w któremby miała zupełną władzę zwierzchniczą, a przez tę formacyę państwa słowiańskiego, odgraniczającego Grecyę od Konstantynopola, żywioł grecki na Wschodzie zostałby upokorzony wobec żywiołu słowiańskiego. Anglia też wzięła Grecyę w opiekę, aby ją przeciw słowianizmowi bronić i zamienić ją w ognisko działań przeciwnych Rosyi. Wzmocnienie Grecyi zaborami od północy odpowiadałoby życzeniom Anglii.

W całej tej sprawie Turcyja uważana jest za rzecz martwą, a experimenta w niej robione, jakby *in anima vili*, nie ją samą mają na celu, ale interesa państw trzecich. Dlatego w świecie muzułmańskim różne stronnictwa to tu, to owdzie szukają pomocy i ratunku dla państwa Ottomańskiego. Jedne pokładają nadzieję w Anglii, że ta ocali Turcyę, przepędziwszy Moskali za Prut; drugie, że trzymając z Rosyą, można będzie więcej od niej utargować, niż gdyby ona osobno, a Anglia osobno chciały znaleźć dla siebie wynagrodzenie na Wschodzie; była chwila, że liczono na Austryę, iż ta rozciągnie opiekę swoją nad Słowianami tureckimi, uszanuje przynajmniej byt państwa Ottomańskiego; mała zaś garstka prawowiernych muzułmanów marzyła o wojnie religijnej, o powołaniu całej potęgi mahometańskiej z głębi Azji aż z za Gangesu. Są i tacy, którzy radzili rzucić Europę i po tamtej stronie Hellespontu utrwalić silną monarchię. Od pamiętnego powstania ulemów, które chciało z rewolucyą polityczną połączyć rewolucyę pałacową, od zamordowania jednego Sułtana aż do strącenia drugiego i przyprawienia go o obłokanie, ledwie parę lat upłynęło. Dziś właśnie ubiega dwa lata, jak Abdul Azis postradał tron i życie, a w trzy miesiące potem następca jego Murad strącony ustąpił miejsca Abdulowi Hamidowi. Rewolucya pałacowa chciała temi dniami stracić znów Hamida a przywrócić na tron Murada, ale bez dostatecznych środków, bez myśli politycznej, upadła kosztem tylko życia sprawców swych. Może w związku z tym zamachem był pożar Wysokiej Porty. Oba

te jednak wypadki żadnego nie wywarły wpływu na bieg sprawy wschodniej, chyba okazały, iż nie Konstantynopol jest miejscem, gdzie losy Wschodu rozstrzygają się. Rozstrzygną się one tam, gdzie zbierze się kongres, jeśli w ogóle zbierze się. Dotąd ani dzień ani miejsce kongresu nie oznaczone. Ostatnia wiadomość naznaczała Berlin na miejsce zebrania, a dzień 11 czerwca na rozpoczęcie obrad, ale daty te okazały się być tylko przypuszczeniami.

Wśród tego wojsko austriackie zajęło małą wyspę i forteczkę turecką Ada-Kale na Dunaju pod Orszową. Jaki cel tej okupacji: rzecz dotąd niewyjaśniona. Jako krok militarny, nie ma ona żadnej wagi; jako krok demonstracyjny, ma być chyba wstępem do okupacji innych posiadłości tureckich.

W ogóle polityka gabinetu austro-węgierskiego w zasadzie neutralna, w praktyce nie może być przychylną rozpostarciu się Rosji lub wpływu rosyjskiego na Wschodzie; zarazem jednak zniewoloną jest oglądać się na Niemcy, które sprzyjaniem swym interesom rosyjskim wywierają nacisk na swobodę działania rządu austro-węgierskiego. Możeby Austria, licząc stanowczo na wojenne zamysły Anglii, więcej okazać chciała stanowczości, ale skoro gabinet St. James dotychczas nie zajął postawy wojennej, Austria naraziłaby się kiedyś na srogi odwet. Tam tylko, gdzie interesa Austrii dotykają i bezpośrednio mogą być narażone traktatem z San Stefano, Austria przez usta swoich ministrów nakreśliła nie tyle swej polityki program, jako raczej jej ducha. W celu postawienia się w możności działania, rząd austro-węgierski domagał się kredytu 60 milionów i uzyskał go od obu delegacji, austriackiej i węgierskiej, ale aby go zrealizować, wypadało jeszcze poddać tę rzecz pod uchwałę obu parlamentów. System reprezentacyjny jest w monarchii austro-węgierskiej tak skombinowany, że rząd ma ręce związane, a sprzeczność zapatrywań się Sejmu węgierskiego i Rady państwa w jej przeważnie centralistycznym składzie, sprawia, że oba te ciała parlamentarne ciągną częstokroć wóz państwa, każdy w inną stronę, tak iż ten nie może kroku zrobić naprzód w tym czy w owym kierunku, lecz szamotany skrzypi i już nieraz o mało nie został rozszarpany. Lubo nie silniejsza węgierska ale energiczniejsza, połowa zaprzęgu porzywa niekiedy za sobą drugą połowę, wszelako ta poczuwszy się na siłach, naraz uprze się i wstrzyma wóz w pół drogi, choćby na spadzistości. Monarchia bowiem austro-węgierska nie jest organicznie zrosłą, ale tylko mechanicznie złożoną; aby więc funkcjonowała, potrzebuje spokoju, dobrego smarowidła kół i ostrożnego obchodzenia się uczonych mechaników.

Wyjaśnienia polityki austro-węgierskiej dane przez prezesów obu gabinetów w Izbach, ograniczały się na ogólnem nakreśleniu stanowiska monarchii, której interesa narażone byłyby traktatem San Stefano; odmówił jednak rząd wymienienia tych punktów, które szczególnie dotyczą Austro-Węgier; naznaczył tylko w ogóle, że nie ograniczają się one jedynie do pogranicznych Austrii ziem tureckich, lecz obejmują ze względów handlowych i politycznych cały półwysep Bałkański. Kredyt żądany był na kroki militarne, mogące postawić Austro-Węgry w możności obrony swych interesów. W obu delegacyach dał znów dnia 28 maja hr. Andrassy pogląd nie już na politykę austriacką z powodu żądania pokrycia kredytu 60-milionowego, lecz na cele użycia tego kredytu. Nazajutrz zaś odpowiadając na interpelację jednobrzmiącą w obu delegacyach co do traktatu z San Stefano, dał jednobrzmiącą odpowiedź: że traktat ten przedłoży delegacyom w całej osnowie, a jako punkta dotyczące interesów austriackich, wskazał naprzód zbyt wielkie rozszerzenie granic Bułgarii, pobyt tamże wojska rosyjskiego przez dwa lata po zawarciu pokoju i takie powiększenie się Serbii i Czarnogóry, któreby było szkodliwe dla handlu austriackiego. O zajęciu Ada-Kale dotychczas była tylko mowa w wydziale delegacji węgierskiej do spraw zagranicznych. Hr. Andrassy nadmienił tylko tyle, że Austria zajęła ją w porozumieniu z Turcją na tak długo, dopóki kongres o losie tej wyspy nie rozstrzygnie. Już dawniej, bo 9go maja poseł Grocholski wniósł był interpelację w Izbie deputowanych o zamiar zajęcia przez Austrię Bośni i Hercegowiny, a przedewszystkiem, czy zajęcie takie nastąpiłoby za porozumieniem się z Rosyą, czy też z państwami podpisanemi na traktacie paryskim? W kilka dni potem odpowiedział rząd, że pogłoski o okupacji są bez podstawy i że rząd nie odstępuje od zasady, iż wszystkie punkta sprawy wschodniej mają być rozbiegane na kongresie, Austria przeto nie będzie prowadziła polityki na własną rękę. Otóż z tem oświadczeniem nie da się pogodzić zajęcie wysepki Ada-Kale, która lubo mała, jest tak dobrze w posiadaniu Turcyi, jak Bośnia lub Hercegowina.

Równolegle z kwestyą kredytu 60-milionowego toczą się w parlamentach wiedeńskim i peszteńskim oraz w delegacyach rokowania w sprawie ugodowej, to jest przedłużenia traktatu unii obu państw monarchii na drugie dziesięciolecie. Rzecz już tylko około pewnych formalnych punktów obraca się, a jedynie miałyby znaczenie polityczne, gdyby ugoda nie przysłała do skutku; dziś atoli jest już niewątpliwem, że do skutku przyjdzie.

Stanowisko posłów polskich, jako reprezentantów interesów Galicyi w monarchii, musi się mieścić w ramach kompetencji ich. Dążność objawiająca się w niektórych sferach w kraju naszym, aby delegacya polska w Radzie państwa wiedeńskiej zajęła rolę mandanta całej Polski, nie ma podstawy ani prawnej, ani faktycznej, ale tę ostatnią mogłaby wtedy tylko przyjąć, gdyby znajdowała w polityce rządu austriackiego bądź poparcie, bądź ciche przyzwolenie. Dopóki jednak polityka gabinetu wiedeńskiego nie bierze w rachubę kwestyi polskiej jako takiej, dopóki Austria nie wychodzi z koła, w które została wciągnięta i rozbiorem Polski i sojuszem trójcesarskim i potrzebą oglądania się na politykę innych mocarstw, jedyna siła delegacyi polega na przestrzeganiu wspomnianych ram, w obrębie których robiona co tylko pozwala położenie.

Jednym ze środków zepchnięcia delegacyi naszej z tego jej stanowiska były projekta zmiany regulaminu, zmiany określenia solidarności Koła a wreszcie myśl wprowadzenia w łono delegacyi żywiołów nowych opozycyjnych polityce rządu i że tak nazwać je możemy wyzywających. Droga obrana do tego nie przyniosła skutku innego, prócz, że wprowadziła w Koło delegacyjne zatargi, i powagę delegacyi wobec innych krajów i innych klubów naraziła. Nie łatwiejszego, jak wyzwać do walki wszystkie przeciwne nam żywioły i interesa, ale w tak nierównym boju upaśćby przyszło, i nie tylko nie pozyskać, ale stracić można i to, co Galicya bądź uzyskała wolą Monarchy, bądź zbiegiem okoliczności, bądź wywalczyła sobie roztropnością i rozwagą, a pod tym ostatnim względem właśnie delegacyi mamy najwięcej do zawdzięczenia.

Aleksander Szukiewicz.

Kronika żałobna.

I znowu kilka strat do zapisania. Pierwszą jest śmierć **Władysława Tarnowskiego**, zmarłego w podróży z Indyi do Ameryki, na morzu, dnia jak się zdaje 19go Kwietnia; wszystkie szczegóły dotąd niewiadome. Syn Waleryana T. i Ernestyny z Tarnowskich, urodził się w Wróblewicach, w obwodzie Samborskim, dnia 4 Czerwca 1836. Nauki pobierał początkowo w konwikcie Jezuitów we Lwowie, później w Krakowie pod okiem uczonego kapłana i serdecznie doń przywiązanego krewnego ks. kanonika Scipiona. Od dzieciństwa już okazywał to zamiłowanie poezyi i muzyki, które wywarło wpływ stanowczy na jego późniejsze życie, i to usposobienie uczuciowe, tęskne, które było tłem jego duszy. Skłonny do rozmarzenia, ciekawy wszystkiego co piękne na świecie, pragnący nietylko jego poznania, ale i tworzenia, od pierwszej młodości próbował się w muzycznych i poetycznych kompozycjach, które długo starannie przed okiem świata ukrywał. Wydawać zaczął dopiero po roku 1863, do którego wypraw (pod Poryck) należał jako ochotnik, po którym obiecywał sobie skutek dobry, a na którego złym końcu cierpiał tém więcej, im więcej miał zapału i złudzeń. Być może, że pod wpływem tego smutku rzucił się stanowczo i otwarcie w zawód artystyczny, do którego zawsze czuł

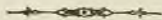
pociąg nieprzewyciężony, w którym długo wystąpić nie śmiał, a teraz szukał ulgi i pociechy. Odtąd życie jego upłynęło bądź na nauce sztuki muzycznej w konserwatoriach zagranicznych, bądź na podróżach, z których na letnie miesiące zwykł był do domu powracać, a z których ostatnią jak sobie i swoim obiecywał, miała być ta, z której nie wrócił. Pisma swoje ogłaszał bądź bezimiennie, bądź pod pseudonimem Ernesta Buławy, kompozycje muzyczne pod własnym nazwiskiem. Czytelnicy nasi znający skład Redakcyi *Przeglądu*, rozumieją powody, dla których nie przystoi nam wdawać się w sąd o dziełach Władysława Tarnowskiego. Pochwała w naszych ustach byłaby zawsze podejrzaną, krytyka nie właściwą. Wstrzymujemy się więc od wszelkiego ocenienia pisarza czy muzyka. Ale to i my mamy prawo powiedzieć, że człowiek był dobry i szlachetny, szczerze gotów dać życie za to co kochał, pełen dobrej woli i wzniosłych uczuć; że złego nikomu nigdy nie zrobił, a dobrego robił ile tylko mógł; że ludzi bardzo w kraju naszym znakomitych, żeby wymienić jednego tylko Augusta Cieszkowskiego, przyjaźń pozyskał, a zgonem swoim zasmucił. Niech inni sądzą artystę, my tylko człowieka żegnamy, ale z większym niż wszyscy inni żalem.

Ksiądz Józef Terlikiewicz, kapłan obrządku greckiego z dyecezyi Chełmskiej przeżywszy 46 lat umarł dnia 12 maja. Kto o nim wiedział za życia? kto o nim pamiętać będzie po śmierci? Ze wszystkich może zasług i bohaterstw na tym świecie, najpiękniejsze i najsmutniejsze są te poświęcenia ludzi prostych, skromnych, zwyczajnych, którzy oddają wszystko, a za to nikt o nich nawet nie wspomni. Ksiądz unicki wierny swojej wierze traci swoje probostwo, znosi prześladowanie. Ma sześcioro dzieci, ma starego ojca paralityka, to wszystko zostanie bez kawałka chleba: darmo, lepsza nędza niż odstępstwo. I bez kawałka chleba, z tą całą rodziną dostał się tu, gdzie go nikt nie prześladował, ale też może nikt o nim nie wiedział. I teraz umarł, zostawiając tego starego ojca i te sześcioro dzieci bez niczego i bez nikogo. Oto cała jego historia. Jakie się w niej kryć muszą przepaście cierpienia, i jakie wysokości cnoty.

Gdyby takich pięciu było się znalazło w Sodomie, byłiby ją uratowali od zagłady. Nasz kościół unicki miał więcej niż pięciu, miał podobnych wielu; ufajmy, że ich cnoty, ich wierność, ich poświęcenia i zgony, ocalą go nie tylko na Podlasiu i w Chełmskiem, ale że go zbawią i gdzieindziej i że uczynią zadosyć za niejedno złe, unickie, czy łacińskie, ruskie czy polskie. A Bóg i dobrzy ludzie niech pamiętają o tych sierotach, które zmarły wyznawca zostawił.

Po tym, który wołał wszystko jak odstąpić swojej wiary, dziwnie zapisać zgon tego, który jej odstąpił i wielu do odstępstwa pociągnął.

Andrzej Towiański umarł w Zurychu w ciągu tego miesiąca. Jakikolwiek był, człowiek ten będzie miał miejsce w naszej historyi. Bo jeżeli nawet nauka jego nie okaże żadnej żywotności i żadnego już nie wywrze wpływu, to to, co zrobił w początkach swego zawodu, rola, jaką odegrał w życiu Mickiewicza, sprawi, że w naszym narodzie zapomnianym już nigdy być nie może. Zawdzięczamy mu jedną z bardzo bolesnych kart naszej historyi w bieżącym wieku: dziś, kiedy umarł, starajmy mu się ją przebaczyć.



Nowe książki.

Ostatnie chwile Unii w dyeoezyi chełmskiej czyli ozasy Nerona w XIX wieku pod rządem moskiewskim. Fakta zebrane przez kapłanów unickich i naocznych świadków uzupełnił i wydał ks. J. P. B. We Lwowie drukiem i nakładem drukarni ludowej pod zarządem Stanisława Baylego 1878 r. str. VII i 264. Uzupełnia i dodatki obejmują str. 136 (razem 407).

Dwoma faktami przypomniało się naszej publiczności w b. m. męczeństwo unitów. W Krakowie umarł ks. *Józef Terlikiewicz* w największej nędzy, zostawiwszy liczną rodzinę; we Lwowie inny z wygnańców wydał książkę powyższą krwią i łzami pisaną, przeznaczając cały dochód na wsparcie kapłanów unickich internowanych lub wywiezionych do Rosyi. Dzieło to, którego tytuł pozwalałby przypuszczać, że będzie raczej pismem tendencyjnym, jest prawdziwą i z wielką prostotą opowiedzianą historią, popartą autentycznymi dokumentami i zeznaniami naocznych świadków i będzie na zawsze ważnem źródłem dla historyków naszej epoki, a na teraz powinno być dla wszystkich księga, w której wyczytać można i potrzeba wielkie przykłady gorącej wiary i prawdziwego heroizmu. Mamy nadzieję, że w każdym domu polskim znajdzie się chętne ucho ku słuchaniu tego opowiadania, z którego wkrótce obszerniejszą zdamy sprawę, i dobroczynna ręka, która pospieszy z pomocą dla biednych i szlachetnych wyznawców. Składki przyjmuje Redakcyja „Czasu.“

Bogusław Radziwiłł, Koniuszy litewski. Szkic historyczny przez *Bernarda Kalickiego*. W Krakowie. Nakładem Redakcyi „Przeglądu Polskiego“. W drukarni „Czasu“ 1878 str. 194. Jestto osobne odbicie zajmującej monografii, którą drukowaliśmy w „Przeglądzie.“ Nie mamy zwyczaju chwalić dzieł naszych współpracowników, mamy jednak nadzieję, że praca ta doczeka się sumiennego ocenienia w innych pismach.

J. Turgeniew. Nowiny. (Odbitka z „Dziennika Pozn.“). Poznań Nakładem księgarni N. Kamińskiego i Spółki, 1878 str. 275. *Turgeniew* zdobył sobie u nas oddawna niezwykłą popularność. Każdą jego powieść na ślepo bierze publiczność do ręki i czyta chciwie. Potrzeba też przyznać, że powieściom Turgeniewa niejedno zarzucić można, ale nigdy nikt nie powiedział, żeby były nudne, a to wiele znaczy w czasach dzisiejszych, gdzie nas tak nudzą rozmaici *skrybenci*. Prze-

kład nie wolny od usterek, ale nie zły; wydanie wcale ładne, druk bardzo dobry choć oszczędny.

Biskupstwo Warmińskie, jego założenie i rozwój na ziemi pruskiej, z uwzględnieniem dziejów, ludności i stosunków geograficznych ziem dawniej krzyżackich, napisał *Dr. Sieniawski*. Praca konkursowa, uwieńczona pierwszą nagrodą przez Akademię umiejętności w Krakowie r. 1876. Poznań. Nakładem księgarni Jana Kantego Żupańskiego, 1878 r. Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Łebński) Tom I str. 279. Tom II str. 119. Dzieło to, które polecenia nie potrzebuje, skoro je Akademia odznaczyła nagrodą, zawiera następujące rozdziały: 1) Zarys dziejów warmińskich; 2) Forma rządu biskupstwa Warm., stosunki jego polityczne; 3) Ziemia Warmińska w stosunku do innych ziem staropruskich; 4) Kolonizacya biskupstwa, położenie ludności krajowej. Ludność przybyła. Miasta; 5) Charakterystyka ludności krajowej w północnych częściach biskupstwa; 6) O ziemiach staropruskich i o narodowościach mieszkańców; 7) o narodowości starych mieszkańców bisk. Warm. i o Warmie polskiej; 8) Warmia dzisiejsza; 9) Nazwiska miejscowości w Warmii polskiej. Tom II zawiera *Przywileje udzielane krajowcom* lub wogóle osadnikom pochodzenia nie niemieckiego. Ważne te dokumenta stanowią część *Monumentów Hist. Warm.*

Biblioteka Mrówki. Pod tym tytułem wydaje *Księgarnia Polska* we Lwowie z prawdziwie wzorową wytrwałością tanią bibliotekę czytelnym drukiem i po cenie bardzo przystępnej (10 do 35 c. za tom). Świeżo wyszło 25 tomików. Wydawnictwu temu radzimy: 1) żeby, jak w ostatnich czasach, tylko uznane arcydzieła drukowało; 2) żeby więcej dbało o staranną korektę. Natomiast mamy prawo wymagać od publiczności życzliwszego, niż dotąd, poparcia. Śmiało powiedzieć można, że *Universal Bibliothek Reclama* rozchodzi się u nas w większej liczbie egzemplarzy, niż *Biblioteka Mrówki*. Gdyby udział publiczności był większy, jesteśmy przekonani, że i papier byłby w tem wydawnictwie lepszy i korekta staranniejsza i cena jeszcze niższa. Tomiki Nr. 46 do 60 wydane w r. 1877 i 1878, zawierają następujące rzeczy:

Karol Brzozowski: Noc strzelców w Anatolii.

Ignacy Krasicki: 1) Satyry, 2) Monachomachia i Antimonachomachia.

Seweryn Goszczyński: 1) Oda, 2) Anna z Nabrzeża.

Piotr Skarga: Wzywanie do pokuty.

K. Brodziński: Mowa o narodowości Polaków i posłanie do braci wygnańców.

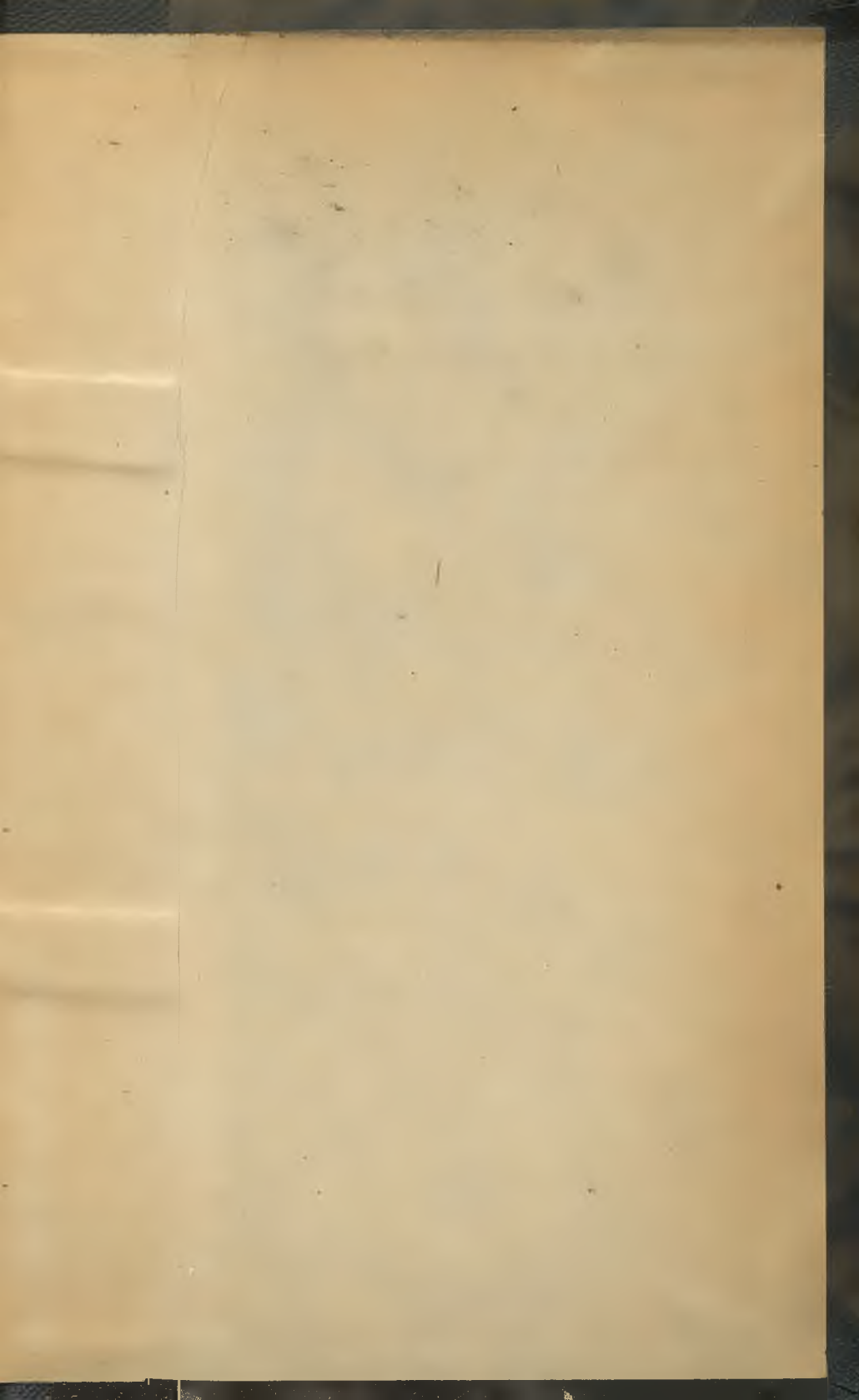
A. Malczewski: Marya.

Juliusz Stowacki: 1) Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa o Piekło, 2) Jan Bielecki i Grób Agamemnona, 3) Książd Marek, 4) Mazepa 5) Marya Stuart.

Teofil Lenartowicz: 1) Lirenka (dotychczas kosztowała 1 zł. 50 cent., w tem wydawnictwie 35 cent.) 2) O polskim naczelniku Kościuszcze i o racławickiej bitwie.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor *Dr. Ign. Skrochowski*.





Biblioteka Śląska w Katowicach
ID: 0030002007830



II 4501/12/3-4/1878